

Neal Stephenson

Zamieć

Tłumaczył: Jędrzej Polak

Dowozicielator to elita elit, święta subkategoria. Jest pełen wigoru. W tej chwili przygotowuje się do trzeciej tego wieczoru misji. Ma czarny jak węgiel, aktywowany uniform, pochłaniający całe światło z powietrza. Gdyby ktoś w niego strzelił, kula odbiłaby się od arachnowłóknistej tkaniny jak strzyżyk od drzwi patio; inaczej niż pot, który wydostaje się na zewnątrz z lekkością wietrzyka przewietrzającego świeżo spalony napalmem las. W miejscach, gdzie kościste wyrostki ciała stykają się z materią, uniform wypełnił się tufem cerzożelu: kaszkowatej mazi, chroniącej jak kołdra z książek telefonicznych.

Gdy dostał tę pracę, dali mu pistolet. Dowozicielator nie kasuje gotówki, ale zawsze ktoś może go zaczepić – zapragnąć samochodu albo i ładunku. Pistolet jest maleńki, aerodynamiczny i lekki, słowem taki, jaki mógłby należeć do projektanta mody. Strzela mikroskopijnymi lotkami, podróżującymi w powietrzu z szybkością pięciokrotnie przewyższającą prędkość samolotu szpiegowskiego SR-71. Gdy skończy się amunicja, wystarczy podłączyć go do samochodowego gniazda zapalniczki, bo żywi się elektrycznością.

Dowozicielator nigdy nie wyciągnął broni ze złości czy strachu. Posłużył się nią tylko raz, na Wyżynie Gila. Jakims śmieciarzom z Wyżyny, będącej skądinąd całkiem szykowną burbklawą, zachciało się złożyć zamówienie, za które nie mieli zamiaru zapłacić. Myśleli, że zrobią wrażenie na Dowozicielatorze, machając mu przed nosem kijem baseballowym. Dowozicielator wyciągnął pistolecik, wymierzył laserowym celownikiem w domorosłego sportowca i wypalił. Odrzut był potężny, jakby broń wybuchła mu w dłoni. Trzecia, środkowa część kija baseballowego zamieniła się w kolumnę płonących trocin, rozszerzającą się na wszystkie strony jak rodząca się gwiazda. Śmieciarzowi została sama rączka, z której sączył się mleczny dym. Do tego głupi wyraz twarzy. Jeśli nie liczyć wstydu, Dowozicielator nie zostawił mu niczego.

Od tamtej pory trzymał pistolecik w schowku w aucie i polegał na parze idealnie dobranych długością mieczy samurajskich, które zawsze były jego ulubioną bronią. Śmieciarze z Wyżyny Gila nie bali się pistoletu, dlatego musiał go użyć. Miecze natomiast nie wymagają dodatkowej prezentacji.

Samochód Dowozicielatora kryje w akumulatorach taki potencjał energii, jaki wystarczyłby do wyekspediowania funta wieprzowiny w Pas Asteroid. W przeciwieństwie do wózków dla lalek i krążowników z burbiów, auto Dowozicielatora pozbywa się tej energii przez wyzierające od spodu, lśniące, wypolerowane zwieracze. Kiedy Dowozicielator wciska gaz do dechy, w powietrzu latają gówna. Czy ktoś chciałby porozmawiać o przyczepności? Dobra. Hej, ty, spójrz na swoje gummy! Co widzisz? Nic, bo przylegają do asfaltu czterema łatkami wielkości twojego języka. A auto Dowozicielatora ma wielkie, lepkie opony, rozmawiające z drogą dupskami grubych bab. Dowozicielator dotyka asfaltu, startuje jak inflacja, staje na pesecie.

Zapytacie, dlaczego Dowozicielator jest tak wyposażony? Bo ludzie polegają na nim. Bo stanowi model do naśladowania. Tu jest Ameryka. Ludzie robią, co im się, kurwa, żywnie podoba. A co? Coś nie tak? Mają do tego prawo. No, i mają broń, i nikt im, kurwa, nie może przeszkodzić. W rezultacie gospodarka tego kraju należy do najgorszych. Chcecie wiedzieć dlaczego? Chcecie porozmawiać o bilansie handlowym? Dobra. No więc, kiedyś wymóździliśmy się, wyeksportowaliśmy całą naszą technologię do ciepłych krajów, po czym okazało się, że w Boliwii robią lepsze samochody, a w Tadżykistanie lepsze kuchenki mikrofalowe i wszystko sprzedają tutaj. Do tego wyszło na jaw, że nasze zasoby surowcowe możemy wsadzić sobie, sami wiecie gdzie, bo w Hongkongu budują takie statki i sterowce, które za pięć centów przewiozą całą Dakotę Północną do Nowej Zelandii i z powrotem. Jakby tego było mało, Niewidzialna Ręka Rynku wzięła się do tych wszystkich historycznych nierówności i rozsmarowała je po całym globie grubą warstwą tłuszczu, który przez pakistańskich murarzy uznawany jest za luksus. Więc co nam zostało? Nic. Są tylko cztery rzeczy, które robimy lepiej od innych:

- muzyka,
- filmy,
- mikrokody (oprogramowanie),
- błyskawiczny dowóz pizzy.

Dowozicielator robił kiedyś programy. Wciąż robi, czasami. Ale gdyby życie było takie jak dawne szkoły powszechne, zarządzane przez dobrodusznym doktorów habilitowanych, na cenzurce Dowozicielatora widniałaby następująca uwaga: „Hiro jest uczniem bystrym i zdolnym, musi jednak popracować nad umiejętnością współdziałania w grupie”.

Tak więc, teraz ma inną pracę. Nie trzeba w niej być bystrym ani zdolnym, z drugiej strony, nie współdziała się w grupie. Obowiązuje tylko jedna zasada: Dowozicielator ma honor, dowozi pizzę w trzydzieści minut. Jeśli nie, możesz se wziąć ją za darmo, zastrzelić kierowcę, rąbnąć mu samochód, a oprócz tego wytoczyć firmie proces. Dowozicielator wykonuje tę pracę już przez sześć miesięcy – długo, bardzo długo, jak na jego standardy – i nigdy nie zdarzyło mu się, by jechał z pizzą dłużej niż dwadzieścia

jeden minut.

Och, kiedyś ludziska klócili się o czas, marnowało się na to wiele korporacyjnych roboczogodzin. Stał sobie taki jeden z drugim w progu, czerwony na ryju, spocony od własnych kłamstw, śmierdzący Old Spice'em i związanym z pracą stresem, i wymachiwał swoim Seiko, i kłął: „Ludzie, nie wieta, która jest godzina!”

To już się nie zdarza. Dowóz pizzy stał się jedną z głównych gałęzi przemysłu. I zarządzania. Ludzie przez cztery lata studiują w CosaNostra Pizza University, żeby się tego nauczyć. Zgłaszają się na egzaminy, nie potrafiąc skleić zdania po angielsku, walą tu z Abchazji, Ruandy, Guanajuato i południa Jersey, a po czterech latach wiedzą więcej o pizzy niż Beduin o piachu. Pizza i jej dowóz stały się problemem naukowym. Problemem, który zbadano, kreśląc wykresy częstotliwości występowania kłótni na schodach i poświęcanego im czasu (podłączając pierwszych Dowozicielatorów do aparatury pomiarowej, która nagrywała, a potem analizowała postawę i taktykę debatujących stron: histogramy napięcia wokalnego, specyficzne struktury gramatyczne stosowane przez przeciętnego, białego, średnio zarabiającego mieszkańca burbklawy, który, wbrew wszelkiej logice, dochodził do wniosku, że odbierając pizzę, ma ostatnią szansę, by stanąć jak Savonarola i zgromić wszystko, co zgniłe i zdegenerowane w otaczającej go rzeczywistości).

Wnioski płynące z badań były przerażające: przeciętny mieszkaniec burbklawy był gotów zrobić wszystko, ale to wszystko, by dostać pizzę za darmo. Był gotów kłamać, wmawiać sobie, że nie zna się na zegarku, ba, był gotów przyspieszyć czas, byle tylko dostał mu się darmowy produkt. Przeciętny mieszkaniec burbklawy uważał, że darmowa pizza należy mu się tak samo jak prawo do życia, wolności i realizacji własnych, jebanych dążeń. Na nic zdały się hordy psychologów wysyłane do domu przeciętnego mieszkańca, na nic telewizory w prezencie za wypełnienie ankiety, na nic wykrywacze kłamstw, EEG, przeprowadzane podczas wyświetlania przeciętnemu mieszkańcowi krwawych lub trudnych do zrozumienia filmów, nagranych na wideo orgii, katastrof samochodowych i programów z Sammym Davisem, Jr., na nic hipnoza w pachnącym słodko, ciepłym, pomarańczowym gabinecie, na nic pytania natury etycznej o tak pokrętnym charakterze, że nawet jezuita nie odpowiedziałby na nie, nie popełniając grzechu śmiertelnego. Wszystko na nic. Przeciętny, biały, średnio zarabiający mieszkaniec burbklawy chciał pizzy. Za darmo.

Analitycy z CosaNostra Pizza University wywnioskowali zatem, że pragnienie pizzy za darmo leży w ludzkiej naturze, której, jak wiadomo, nic nie jest w stanie zmienić. Postarali się zatem o mały, tani gadżet: sprytopudełko. Obecnie pudełko do pizzy ma plastikowy panczyk – pofałdowany, by utrzymać sztywność – a z boku mały wyświetlacz ciekłokrystaliczny, informujący Dowozicielatora, ile bezcennych, bo groźących załamaniem rynku, minut upłynęło od chwili uzyskania przez klienta połączenia z firmą. W środku pudełka są różne chipy i obwody. Pizze – niezbyt pokaźny zapas – spoczywają sobie w komorach za głową Dowozicielatora. Wraz z uzyskaniem przez klienta połączenia, pizza wsuwa się do sprytopudełka jak obwód scalony w płytę komputera, uruchamiając jednocześnie interfejs współdziałający z systemem pokładowym auta Dowozicielatora. Adres klienta – przechwycony z numeru telefonu – pakowany jest w pamięć operacyjną pudła. Stamtąd dostaje się do samochodu, który oblicza i wyświetla optymalną trasę. Trasa ukazuje się na kolorowej mapce na przedniej szybie auta – Dowozicielator nie musi nawet pochylać głowy.

Jeśli po trzydziestu minutach pizza nie trafi do klienta, wiadomość o katastrofie przekazywana jest do centrali Pizzy CosaNostra i dalej, do samego wujka Enzo – sycylijskiego pułkownika Sandersa, Carusa pizzoróbstwa, wyprostowanego jak struna, wymachującego brzytwą bohatera koszmarów niejednego Dowozicielatora, Capo i kluczowej postaci CosaNostra Pizza SA – który po pięciu minutach dzwoni do klienta i rozplywa się w przeprosinach. Następnego dnia wujek Enzo ląduje na podwórku klienta w odrzutowym helikopterze, przeprosza go jeszcze trochę i funduje mu darmową podróż do Włoch – wszystko, co facet musi zrobić, to podpisać stertę komunikatów, które zrobią z niego osobę publiczną i rzecznika Pizzy CosaNostra i generalnie zakończą jego życie prywatne w dotychczasowej postaci. Gość wyjdzie z tego, mając wrażenie, że nie wiadomo dlaczego winny jest Mafii przysługę.

Dowozicielator nie jest pewny, co dzieje się w takiej sytuacji z kierowcą, ale słyszał plotki. Większość dostaw pizzy odbywa się wieczorem, który wujek Enzo traktuje jako czas dla siebie. A jak może czuć się człowiek, któremu przerywają obiad z rodziną po to, by zadzwonił do jakiegoś rozhisteryzowanego flimona z burbklawy i upadł się za spóźnioną, jebaną pizzę? Wujek Enzo nie po to od pięćdziesięciu lat służy krajowi i rodzinie, by w wieku, kiedy większość grywa w golfa i kołysze wnuki, wyskakiwał, ociekając wodą, z wanny, padał na ryj i całował stopy jakiegoś szesnastoletniego łyżworolkarza, którego pepperoni jechało trzydzieści jeden minut. Boże! Już sama myśl o tym przyspiesza oddech Dowozicielatora.

Ale nie jeździłby dla Pizzy CosaNostra w żaden inny sposób. Wicie dlaczego? Bo jest coś w życiu na krawędzi. Człowiek czuje się jak kamikadze. Ma jasny umysł. Inni – sprzedawcy, kucharze, programiści, cała bezsensowna lista zawodów składająca się na życie w Ameryce, słowem: inni ludzie prowadzą zwykłe, stare współzawodnictwo. Myślą sobie: „Lepiej przerzucę tego kotleta albo odwszawię podprogramy szybciej i lepiej niż mój koleś z klasy, mieszkający dwie przecznice dalej, przerzucą i odwszawia, bo współzawodniczymy ze sobą, a ludzie patrzą”.

Co za kurewski wyścig szczurów! Pizza CosaNostra nie ma konkurencji. Współzawodnictwo jest wbrew

mafijnej etyce. Nie pracuje się lepiej tylko dlatego, że trzeba współzawodniczyć z jakąś pizzerią z rogu. Pracuje się lepiej, bo człowiek ryzykuje wszystkim: nazwiskiem, honorem, rodziną, życiem. Kucharze może istotnie mają większą średnią długości życia, ale co to w ogóle jest za życie – trzeba siebie zapytać. I właśnie dlatego nikt – nawet Nippończycy – nie przewozi pizzy szybciej niż CosaNostra. Dowozicielator jest dumny z tego, że nosi mundur, jest dumny, że jeździ autem, że maszeruje chodnikiem pod niezliczone drzwi domostw burbklawy niczym napawająca strachem czarna wersja wojownika ninja z pizzą na ramieniu, z ciekłokrystalicznymi cyferkami świecącymi dumnie na czerwono w nocy: 12:32 albo 15:15 lub czasami 20:43.

Dowozicielator jest przypisany do Pizzy CosaNostra # 3569 w Dolinie. Południowa Kalifornia nie wie obecnie, czy ma pęknąć, czy udusić się sama na miejscu. Za mało dróg dla tylu ludzi. Prostepasy SA przez cały czas buduje nowe. Musi zrównywać z ziemią wiele osiedli, ale te miściny z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych istnieją tylko po to, żeby je zrównać, co nie? Żadnych chodników, żadnych szkół, niczego! Nie mają własnych sił policyjnych – żadnej kontroli imigracji – przez co jednostki niepożądane mogą wejść do środka bez najmniejszego problemu: nikt ich nie przeszukuje, nikt nawet nie powie im złego słowa. Właściwym miejscem do zamieszkania jest burbklawa: miasto-państwo z własną konstytucją, granicami, prawami, glinami, wszystkim.

Dowozicielator był kiedyś kapralem w Państwowych Siłach Bezpieczeństwa Wesołych Farm. Wylali go za to, że wyciągnął miecz na znanego buzę. Przeciął mieczem materię jego koszuli, wsunął ostrze na płask i przycisnął je do karku, po czym przygwoździł go do wypaczonej, pokrytej bąblami, winylowej ściany domu, do którego buza chciał się włamać. Wydawało mu się, że aresztował go całkiem słusznie, ale wylali go, bo buza okazał się synem wicekanclerza Wesołych Farm. Ech, spryciarze, znaleźli powód: powiedzieli, że trzydziestosześcioletni miecz samurajski nie należy do obowiązującego uzbrojenia. Powiedzieli, że naruszył PZPoP: Procedurę Zatrzymywania Podejrzanego o Przestępstwo. Powiedzieli, że buza przeżył stres psychologiczny. Boi się teraz noży kuchennych; rozsmarowuje dżem łyżeczką do herbaty. Powiedzieli, że naraził ich na odpowiedzialność procesową.

Dowozicielator musiał pożyczyć trochę pieniędzy, żeby zapłacić odszkodowanie. W istocie musiał pożyczyć je od Mafii. Figuruje teraz w mafijnej bazie danych: wzór siatkówki, DNA, graf wokalny, odciski palców, odciski stóp, odciski dłoni, odciski nadgarstka, każdej jebanej części ciała, na której są fałdki – no, prawie każdej – sukinsyny tarzały go w atramencie i robiły odciski, które zapisywano cyfrowo w komputerze. Ale to ich forsa – mają prawo wiedzieć, komu ją pożyczają. Więc kiedy zgłosił się na Dowozicielatora, przyjęli go z otwartymi ramionami, bo go znali. Gdy załatwił pożyczkę, miał osobiście do czynienia z asystentem wicecapo Doliny, który później zarekomendował go do pracy. Wszystko jakby zostało w rodzinie. Pokręconej, strasznej, zniewalającej rodzinie.

Pizza CosaNostra # 3569 mieści się przy Drodze AVista, niedaleko centrum handlowego Park Królów. Droga AVista należała kiedyś do stanu Kalifornia, ale teraz nazywa się Prostepasy SA Drga CSV-5. Kiedyś współzawodniczyła z nią amerykańska autostrada międzystanowa, która teraz nazywa się BezKolein SA Drga Cal-12. Nieco dalej, w Dolinie, dwie współzawodniczące drogi nawet się przecinają, co wcześniej prowadziło do ostrych konfliktów, w których skrzyżowanie było sceną wymiany ognia snajperskiego. W końcu całą krzyżówkę kupił wielki przedsiębiorca budowlany, który wybudował na niej centrum handlowe dla kierowców. Teraz drogi prowadzą do systemu parkingowego – nie placu, nie podziemia, ale systemu – i tracą swoją tożsamość. Żeby przejechać przez skrzyżowanie, trzeba odnaleźć drogę w systemie, którego splecione włókna i kierunki są jak szlak Ho Chi Mina. CSV-5 ma większą przelotowość, za to Cal-12 ma lepszą nawierzchnię. To typowe: drogi należące do Prostychpasów budowano z myślą o tym, by dojechać do celu, co interesuje kierowców Kategorii A; drogi BezKolein z kolei buduje się dla przyjemności jazdy, co interesuje kierowców Kategorii B.

Dowozicielator należy do kierowców Kategorii A i to w dodatku takich, którzy cierpią na wściekliwość. Zbliża się do bazy Pizzy CosaNostra # 3569, prując lewym pasem CSV-5 z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Jego samochód jest niewidzialnym, czarnym rombem, ciemnym miejscem w przestrzeni, odbijającym tunel znaków sieci-loglo. Z przodu – tam, gdzie powinna być chłodnica, gdyby auto oddychało powietrzem – płonie i kipi rząd pomarańczowych świateł. Pomarańczowe lampy wyglądają jak świeżo zapalona benzyna. Ich światło wpada przez tylne szyby zwykłych aut, odbija się od lusterek, rzuca ognisty blask w oczy, przedostaje się do podświadomości kierowców, z której wydobywa przeraźliwy strach przed zgnieceniem, przed straszną, bo świadomą, śmiercią w płomieniach wybuchającego zbiornika z paliwem. Widząc to, chcą natychmiast zjechać na pobocze, marzą tylko o tym, by przepuścić czarny, ognisty rydwan pepperoni Dowozicielatora.

Logio u góry – oznaczające dwoma smugami bieg CSV-5 – jest organizmem elektrycznego światła, składającym się z niezliczonej liczby komórek. Każda komórka projektowana jest przez imażystów z Manhattanu, którzy za wymyślenie jednego logo biorą więcej, niż Dowozicielator zarobi przez całe życie. Mimo wysiłków, włożonych w to, by komórki się wyróżniały, wszystkie zlewają się w jedną całość; szczególnie jeśli podróżuje się sto dwadzieścia na godzinę. Trudno jednak nie zauważyć Pizzy CosaNostra #

3569, a to przez tablicę reklamową – szeroką i wysoką, nawet według dzisiejszych bombastycznych standardów. Sam przysadzisty budynek pizzerii przypomina zaledwie niski fundament pod olbrzymie, arachnowłókniste kolumny, podtrzymujące tablicę na handlowym firmamencie. Marca Registrada, kochanie. Tablica to klasyk, to dąb, nie żaden duperel z okresowych kampanii promocyjnych Mafii. Jest jak deklaracja, jak pomnik, postawiony po to, by trwać. Prosty i wzniosły. Widać na niej wujka Enzo w pysznym, włoskim garniturze, na którym paski prężą się jak tętnice. Jaśniej chusteczka w kieszonce; idealna fryzura: włosy przyczesane do tyłu przy pomocy czegoś, co nigdy nie puści, każde pasemko obcięte prosto i równo na końcu przez kuzyna wujka Enzo, Arta Fryzjera, który prowadzi drugą co do wielkości światową sieć tanich zakładów fryzjerskich. Wujek Enzo stoi wyprostowany. Trudno powiedzieć, czy się uśmiecha, choć w jego oku widać dobrotliwy błysk. Nie pozuje jak model, tylko stoi; stoi tak, jak stałby każdy wujek. Napis głosi:

„Mafia

Masz przyjaciela w Rodzinie!
Opłacone przez Fundację Naszej Rzeczy”.

Tablica jest jak gwiazda polarna Dowozicielatora. Wie, że gdy na CSV-5 znajdzie się w miejscu, w którym dolny róg tablicy zaczyna przesłaniać pseudogotycki, witrażowy łuk miejscowego przedstawicielstwa sieci Perłowych Wrót Wielebnego Wayne’a, czas zjechać na prawy pas, po którym wloką się niedorozwoje w wózkach dla lalek; przypadkowi, niezdecydowani, wbijający gały w każdy mijany podjazd sieci, jakby nie mieli pojęcia, co się za nim kryje: obietnica czy groźba.

Pakuje się przed jeden z takich wózków – rodzinny minivan – mknie obok Kup & Siup mieszczącego się po sąsiedzku i skręca ku Pizzy CosaNostra # 3569. Wielkie, grube, kontaktowe łąty skarżą się i popiskują, ale trzymają mocno patentową, ciężkobieźną nawierzchnię Prostychnasów SA i wiodą go ku zsygowi. W zsygowi nie ma innych Dowozicielatorów. To dobrze, to oznacza wysokie zarobki, szybką akcję, kolejną pizzę do przewiezienia. Gdy staje z chrzęstem, elektromechaniczny właz z boku auta już się otwiera, ukazując puste przedziały pizzowe, których wloty składają się z kliknięciem jak skrzydełka żuka. Przedziały czekają, czekają na gorącą pizzę.

I czekają. Dowozicielator trąbi. Tak nie wygląda nominalna wydajność.

Odsuwa się okienko. Coś takiego nigdy nie powinno się zdarzyć. Można to sprawdzić w spiętym trzema pierścieniami podręczniku z CosaNostra Pizza University – wystarczy zajrzeć pod hasła „okienko”, „zsyg”, „dyspozytor”. Są tam opisane wszystkie procedury związane z okienkiem i żadna z nich nie zezwala na jego otwarcie. Chyba że coś jest nie tak.

Odsuwa się okienko i... – siedzicie wygodnie? – wydobywa się z niego dym. Ponad huraganem metalu dudniącego w systemie dźwiękowym Dowozicielatora słychać jakieś bzyczenie i po chwili kierowca zdaje sobie sprawę, że to alarm pożarowy dzwoniący w pizzerii.

Guzik natychmiastowego ściszenia sprzętu. Straszliwa cisza – bębni w jego uszach wracają do normalnych rozmiarów – okienko zanosi się od płaczu alarmu. Silnik obraca się na jałowym biegu, auto czeka. Właz jest otwarty za długo, zanieczyszczenia atmosferyczne osadzają się na elektrycznych czujnikach kontaktowych z tyłu przedziałów – trzeba je będzie oczyścić przed wyznaczonym terminem – wszystko idzie akurat tak, jak nie powinno, przynajmniej według spiętego trzema pierścieniami podręcznika, który dokładnie wyznacza wszystkie rytmy pizzowego wszechświata.

W środku biega przypominający piłkę do rugby Abchaz z otwartym podręcznikiem w ręku; porusza się krokiem człowieka niosącego jajko na łyżce. Wrzeszczy coś po abchasku; w tej części Doliny wszyscy przedstawiciele sieci Pizzy CosaNostra to abchascy emigranci.

Pożar nie wygląda groźnie. Dowozicielator widział raz prawdziwy pożar na Wesołych Farmach i wtedy dymu było tyle, że zasłaniał cały widok – nic więcej, tylko dym wydobywający się znikąd i od czasu do czasu błyski pomarańczowego światła na dole, jak błyskawice w chmurach. Ten pożar jest zupełnie inny. Ten pożar podymił tylko po to, żeby włączyć alarm. A on traci czas przez to gównie.

Dowozicielator naciska sygnał. Abchaski kierowca podchodzi do okienka. Rozmawiając z kierowcami, powinien używać interkomu – może mówić, co mu się żywnie podoba, i wszystko słyszać w aucie Dowozicielatora – ale nie, ten widocznie woli gadać twarzą w twarz, jakby Dowozicielator podjechał tu z zaprzęgiem pierdolonych wołów. Jest czerwony na ryju, poci się i przewraca oczami, próbując znaleźć angielskie słowa.

– Ogień, mały – mówi.

Dowozicielator nie odpowiada. Wie, że wszystko nagrywa się na taśmę. Tak się składa, że taśmę oglądają potem na CosaNostra Pizza University, analizują ją w laboratorium zarządzania. Będą ją pokazywać studentom uczelni – może nawet tym, którzy zastąpią Abchaza, gdy ten zostanie wywalony – jako książkowy przykład tego, jak spieprzyć sobie życie.

– Nowy pracownik... kładzie obiad do mikrofalówki... z folio... bum! – mówi kierowca.

Abchazja była kiedyś częścią Związku jebanych Sowietów. Nowo przybyły emigrant z Abchazji,

operujący kuchenką mikrofalową, jest jak tubifex zabierający się za operację mózgu. Skąd oni się, kurwa, biorą? Czy nie ma już Amerykanów do pieczenia pieprzonej pizzy?

– Wrzucić mi coś na ruszt – mówi Dowozicielator.

Uwaga ta przywraca Abchaza współczesności. Bierze się w garść. Zatrząskuje okienko, odcinając od uszu Dowozicielatora uporczywy pisk alarmu.

Ramię nipponskiego robota wsuwa pizzę do górnego przedziału. Właz zamyka się, by ją chronić.

Dowozicielator wyjeżdża z zsyphu, nabiera szybkości, sprawdza adres, który pojawił się na przedniej szybie, zastanawia się, czy skręcić w prawo czy w lewo, i właśnie wtedy to się staje. Sprzęt nagłaśniający wyłącza się samoczynnie na rozkaz systemu pokładowego. Światła w kabinie zmieniają kolor na czerwony. Czerwony. Odzywa się brzęczyk. Ciekłokrystaliczny odczyt na przedniej szybie – identyczny z tym z pudełka – informuje go: 20:00.

Właśnie dali mu pizzę, która ma już dwadzieścia minut. Sprawdza adres. Ma do przejechania dwanaście mil.

2

Dowozicielator wydaje z siebie ryk – wbrew własnej woli – i wciska gaz do dechy. Uczucia podpowiadają mu, że powinien wrócić i zabić kierownika: wystarczy wyciągnąć miecze z bagażnika, wskoczyć do środka jak ninja przez małe odsuwane okienko, odszukać Abchaza w roboczym chaosie zmikrofalowanej pizzerii i urządzić mu błyskawiczną, spieczoną apokalipsę. Jednak podobne myśli przychodzą mu do głowy, gdy ktoś zajeżdża mu drogę na autostradzie, i nic z nich nie wynika – na razie.

Da sobie radę. To jest wykonalne. Podkręca jasność pomarańczowych świateł ostrzegawczych do maksimum, włącza automigacze przednich lamp. Kasując alarmowy brzęczyk, nastawia radio na Taxiscan przeczesujący częstotliwości taksówkarzy w poszukiwaniu wiadomości o ruchu. Ni chuja z tego nie rozumie. W zasadzie mógłby kupić sobie kasety z serii: „Ucz się za kierownicą” i zaznajomić się z taxilinga. Znajomość tego języka jest podstawą, gdy chce się zostać dryndziarzem. Mówi się, że taxilinga oparty jest na angielskim, ale nawet jedno słowo na sto nie daje się zrozumieć. Mimo to, słuchając taksówkarzy, człowiek może wyrobić sobie ogólne pojęcie o tym, co się dzieje. W razie kłopotów na drodze dryndziarze kłapią dziobami jak wściekli, co już samo w sobie jest ostrzeżeniem, pozwala wybrać inną drogę.

Chwyta mocniej kierownicę

stoi w korku,

ma oczy jak młyńskie koła, odrzut wpycha je

w głąb

czaszki -

wystarczy, że wpakuje się na dom na

kółkach

ma pełen pęcherz,

i dostarczy pizzę.

Boże, Boże!

za późno.

Na przedniej szybie wisi 22:06; przed oczami ma tylko 30:01.

Dryndziarze zaczynają buceć. Taxilinga jest miodopłynną paplaniną z kilkoma ostro brzmiącymi, obcymi dźwiękami, co przypomina masło posypane szkłem. Powtarzają: „taksa”. Zawsze pieprzą o swoich taksach. Co za sprawa? Co się dzieje, jak zmienią taksę?

Za późno?

Nie dostają napiwku? Cholera z nim.

Na skrzyżowaniu CSV-5 i Drogi Oahu ruch zwalnia – jak zwykle. Jedyne rozwiązanie, żeby ominąć korek, to skorzystać ze skrótu przez Stadninę Na Górcę Windsor.

Wszystkie Stadniny Na Górcę Windsor są tak samo rozplanowane. Zakładając nową burbklawę, Korporacja Budowlana SNGW rozkopie każdą górę, odwróci bieg najpotężniejszej rzeki, byle tylko zachować wytyczony plan ulic – zaprojektowany ergonomicznie dla bezpieczeństwa kierowców. Dowozicielator może wjechać do Stadniny Na Górcę Windsor w Fairbanks albo w Jarosławiu czy zgoła w specjalnej strefie ekonomicznej Szenzen, a i tak znajdzie drogę.

A gdy człowiek dostarczył ciasto parokrotnie do każdego domu SNGW, zna wszystkie małe sekrety burbklawy. Dowozicielator jest takim człowiekiem. Wie, że w standardowej SNGW jest tylko jedno podwórko – jedno podwórko! – które nie pozwala na to, by wjechać do burbklawy z jednej strony i wyjechać z drugiej po linii prostej. Jeśli ktoś boi się jeździć po trawie, objazd przez SNGW może zająć mu dziesięć minut. Lecz jeśli ma dosyć odwagi, by przeorać ten jeden dziedziniec, mknie jak strzała przez centrum.

Dowozicielator zna to podwórko. Dostarczał tam pizzę. Obejrzał je sobie, obwąchał, zapamiętał umiejscowienie szopy na narzędzia i ogrodowego stołu, umiałby powiedzieć, gdzie są, nawet po ciemku. Wiedział, że jakby co – jakby przyszło mu dostarczyć dwudziestotrzyniutową pizzę na drugi koniec miasta przy korku na CSV-5 i Oahu – to wjedzie do Stadniny Na Górcie Windsor (elektroniczna wiza dostarczyciela automatycznie otwiera bramę), przemknie przez Bulwar Dziedziectwa, zetnie zakręt do Zaułka Słomianego Mostka (nie zwracając uwagi na znak: „DROGA BEZ WYLOTU”, ograniczenie szybkości i ideogramy: „UWAGA NA DZIECI”, rozmieszczone w nadmiarze w całej SNGW), zgniecie szykany potężnymi radialami, wpadnie z rykiem na podjazd Ronda Słomianego Mostka Numer 15, skręci ostro w lewo, omijając szopę na narzędzia, włąduje się z przechylem na tylne podwórko Zaułka Majowych Jabłuszek Numer 84, ominie ogrodowy stół (co nie będzie łatwe), przedostanie się na podjazd, a z niego do Zaułka, który prowadzi do Drogi Cienistej Doliny, która z kolei wiedzie prosto do wyjazdu z burbklawy. Niewykluczone, że u wylotu będą czekać na niego siły policyjne SNGW, ale ich UNO (Urządzenia Niszczące Opony) mają ostrza skierowane tylko w jedną stronę – mogą powstrzymać ludzi od wjazdu, ale nie mogą im zabronić wyjechać.

To auto jeździ tak, kurwa, szybko, że gdyby gliniarz ugryzł pączka w chwili, gdy Dowozicielator wpada na Bulwar Dziedziectwa, nie zdążyłby nawet połknąć, a pizza jechałaby już po Oahu.

Pac. Na przedniej szybie zapalają się kolejne czerwone światła. Ktoś przekroczył granicę bezpieczeństwa wokół pojazdu Dowozicielatora.

Nie. To niemożliwe.

Ktoś się za nim ciągnie. Tuż za autem, z lewej strony. Ktoś na deskorolce pędził autostradą tuż za jego plecami w chwili, gdy planował wektory zbliżenia do Bulwaru Dziedziectwa.

Dowozicielator – w tym rozkojarzonym stanie umysłu – dał się spunić, to znaczy złapać na harpun – wielki, okrągły, wyścielany elektromagnes znajdujący się na końcu arachnowłóknistego kabla. To właśnie on pacnął w tył auta Dowozicielatora; pacnął i został. Dziesięć stóp za jego plecami surfuje właściciel tego przeklętego urządzenia, ciągnie się za nim, jedzie na desce jak narciarz za łożdźką.

W lusterku pomarańczowe i niebieskie błyski. A więc pasożyt nie jest zwykłym śmieciem, który chce się zabawić. To człowiek interesu robiący pieniądze. Pomarańczowo-niebieski kombinezon, wypchany spieczonymi warstwami cerzożelu, stanowi umundurowanie Kuriera. Kuriera z Radixsu (Radykalnych Kurierskich Systemów). Są jak posłańcy na rowerach, choć oczywiście sto pięćdziesiąt razy bardziej denerwujący, bo nie pedałują własnymi nogami, tylko ciągną się za człowiekiem, zwalniając szybkość auta.

Naturalnie. Dowozicielatorowi bardzo się śpieszy, mruga światłami, piszczy kontaktowymi łatami. Jedzie najszybszą rzeczą na tej drodze. Naturalnie Kurier wybierze Dowozicielatora, żeby się pociągnąć.

Nie ma co wpadać w panikę. Dzięki skrótowi przez SNGW czasu będzie aż nadto. Wyprzedza wolniejsze auto na środkowym pasie, a potem zajeżdża mu drogę. Kurier musi się odpunąć, jeśli nie chce wpaść pod tamtego.

Zrobione. Kurier nie ciągnie się już dziesięć stóp za jego plecami – jest tuż za nimi, zagląda przez tylną szybę. Spodziejając się tego manewru, zwinął kabel przymocowany do uchwytu z automatycznym kołowrotkiem. Stoi teraz nad samym pojazdem z pizzą, przednie kółka jego deski są zapewne pod tylnym zderzakiem Dowozicielatora.

Z boku widać pomarańczowo-niebieską, urękawiczoną dłoń z prostokątem przezroczystego plastiku. Dłoń uderza w boczną szybę. Dowozicielatorowi przyklepiono nalepkę. Nalepka ma stopę przekątnej i są na niej wielkie, pomarańczowe litery wydrukowane na lustro, tak żeby mógł je przeczytać:

„TO BYŁO ŚWIŃSTWO!”

Mało brakowało, a przejechałby zjazd do Stadniny na Górcie Windsor. Wcisła hamulec, przepuszcza ruch i przecina pas z szykaną, prowadzący do burbklawy. Posterunek graniczny jest dobrze oświetlony, celnicy gotowi do przeszukania wjeżdżających – zjrzą człowiekowi w każdy otwór, jeśli im się nie spodoba – ale system bezpieczeństwa, wyczuwając zbliżający się pojazd Pizzy CosaNostra, otwiera bramę jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: dostawa, proszę pana. Gdy Dowozicielator przekracza granicę, Kurier – ten kleszcz na jego dupie – macha do policjantów! Co za kutas! Jakby codziennie przyjeżdżał tu na kawę.

Prawdopodobnie przyjeżdża tu codziennie. Odbiera ważne przesyłki od ważniaków z SNGW i dostarcza je do innych Jeparananabeesów (Jednostek Paranarodowych na Bazie Sieci), przewozi je przez cło. To właśnie robią Kurierzy. Jeszcze.

Jedzie za wolno, stracił rozpęd, a czas mija. A gdzie Kurier? Aha, popuścił trochę kabla, znów ciągnie się z tyłu. Dowozicielator wie, że tego gnoja czeka wielka niespodzianka. Ciekawe, czy ustoi na desce, jadąc setką przez splaszczony resztki plastikowego trycykla jakiegoś dzieciaka? Dowiemy się.

Kurier odchyła się – Dowozicielator zerka na niego w lusterku – odchyła się jak narciarz wodny, skręca deskę i podjeżdża do boku auta; pędzi teraz równo z Dowozicielatorem po Bulwarze Dziedziectwa i pac! – kolejna nalepka, tym razem na przednią szybę:

„PROWADŹ TAK DALEJ TĘ FURĘ!”

Dowozicielator słyszał o tych nalepkach. Pozbycie się ich zajmuje godziny. Trzeba pojechać do myjni, zapłacić tryliony dolarów. Dowozicielator myśli teraz wyłącznie o dwóch rzeczach: jak pozbyć się tego pacana na kółkach i jak dostarczyć pizzę w ciągu -

24:23

– następnych pięciu minut i trzydziestu siedmiu sekund.

Właśnie o to chodzi – musi skoncentrować się na drodze. Bez ostrzeżenia skręca w boczną uliczkę z zamiarem wpakowania Kuriera na znak drogowy na rogu. Nic z tego. Sprytniejsi z nich obserwują przednie koła, wiedzą, kiedy skręcasz, nie można ich zaskoczyć. Zaulek Słomianego Mostka! Wydaje się taki długi, dłuższy niż pamiętał – to normalne, kiedy człowiek się śpieszy. Z przodu błysk samochodów, samochodów zaparkowanych bokiem do drogi – muszą stać przy rondzie. A oto i dom. Jasnobłękitny jednopiętrowiec z winylowych desek, z parterowym garażem z boku. Podjazd stanowi teraz centrum jego wszechświata, zapomina o Kurierze, stara się nie myśleć o wujku Enzo i o tym, co Capo robi w tej chwili – czy siedzi w wannie, czy może w sraczu, czy kocha się z jakąś aktoreczką, czy może wreszcie uczy sycylijskich piosenek jedno z dwudziestu sześciu wnucząt.

Wzniesienie podjazdu wbija przednie zawieszenie do komory silnika, ale na tym polega praca zawieszenia. Omija samochód na podjeździe – mamy dzisiaj gości, bo zdaje się nikt z tutejszych nie jeździł Lexusem – przecina żywopłot, wjeżdża na boczne podwórko. Gdzie ta szopa? Szopa, na którą za żadne skarby nie może wjechać.

Nie ma jej, rozebrali ją.

Następny problem – stół ogrodowy na drugim podwórku.

Trzymaj się! Ogrodzenie! Kiedy postawili to ogrodzenie?

Nie ma czasu, żeby wyhamować. Przeciwnie, trzeba przyspieszyć, rozpieprzyć je, nie tracąc rozpędu. To tylko płotek wysoki na cztery stopy.

Ogrodzenie pada z łatwością. Auto traci nie więcej niż dziesięć procent szybkości. Dziwne, płot wyglądał na stary... Musiał gdzieś źle skręcić... Myśli o tym wszystkim, wpadając do pustego basenu.

Gdyby w basenie była woda, nie byłoby tak źle – dałoby się uratować samochód, nie wisiłby Maffii nowego auta. Nic z tego. Wali jak strącony Stukas w tylną ścianę basenu; dźwięk przypomina eksplozję, a nie zderzenie. Poduszka powietrzna wypełnia się, po sekundzie opada jak kurtyna, za którą kryje się jego nowe życie: siedzi w rozbitym aucie w pustym basenie kąpielowym SNGW, słyhać zbliżające się syreny policji burbklawy, za głową ma pizzę, która, niczym ostrze gilotyny, wskazuje nieodwołalnie 25:17.

– Dokąd? – pyta kobiecy głos.

Spogląda przez powyginaną ramę okna i fraktalny wzór skryształizowanej szyby. Mówi do niego Kurier. Kurier nie jest facetem, jest dziewczyną. Jebaną nastolatką. Jest świeżutka, nic się jej nie stało. Zjechała na desce do basenu i teraz ślizga się w górę i w dół z jednej strony na drugą, a potem w poprzek – ze ściany na ścianę – niemal do samej krawędzi. W prawej dłoni trzyma harpun, elektromagnes przylega do uchwytu, wygląda jak jakieś dziwne, intergalaktyczne, szerokokątne narzędzie śmierci. Jej pierś lśni jak pierś generała od setek wstążeczek i medali – rzecz jasna, nie są to odznaczenia; każdy prostokącik jest kodem kreskowym, kodem z numerem identyfikatora, który pozwala jej wjechać do każdego interesu, na każdą autostradę i do każdego Jeparananabeesu.

– Ty! – woła – Dokąd jedzie ta pizza?

Dowozicielator umrze, a ona robi sobie jaja.

– Białe Kolumny. Wistarii 5 – rzuca.

– Załatwię to. Otwórz właz.

Serce Dowozicielatora powiększa się dwukrotnie. Do oczu napływają mu łzy. Być może będzie żył. Naciska guzik otwierający właz.

Przy kolejnej orbicie w pobliżu auta Kurierka wyciąga pizzę z przedziału. Dowozicielator krzywi się, wyobrażając sobie czosnkową polewę rozlewającą się po całym pudle. Dziewczyna wpycha pizzę pod pachę. To już za dużo jak dla niego.

Ale dowiezie ją. Wujek Enzo nie przeprasza za zimne, rozbebeszone pizze, tylko za te, które się spóźniły.

– Hej! – woła do niej. – Weź to!

Dowozicielator wyciąga obleczone na czarno ramię przez rozbite okno. W półmroku podwórka jaśniej białym prostokącik: wizytówka. Kurierka odbiera ją podczas następnej orbity. Czyta:

HIRO PROTAGONISTA
Ostatni z wolnych hakerów
Najlepszy szermierz na świecie
Współpracownik
Centralnej Korporacji Wywiadowczej
Specjalność: wywiad programowy
(muzyka, filmy & mikrokody)

Z tyłu jest napisane, jak można się z nim skontaktować: numer telefonu, globalny kod odszukiwacza wokofonowego, numer skrzynki pocztowej, adresy z kilku sieci komunikacji elektronicznej i adres w Metawersie.

– Głupie nazwisko – mówi Kurierka, chowając wizytówkę do jednej z setki małych kieszonek kombinezonu.

– Ale nigdy go nie zapomnisz – odpowiada Hiro.

– Jeśli jesteś hakerem...

– To dlaczego wożę pizzę?

– No.

– Bo jestem hakerem z doskoku. Słuchaj, jak ci tam... jestem ci winny przysługę.

– Nazywam się D.U. – rzuca Kurierka, odpychając się nogą od dna basenu i nabierając szybkości. Wyskakuje na podwórko jak wyrzucona z katapulty i znika. Sprytorolki przy desce – wiele, wiele maleńkich szprych wydłużających się bądź skracających w zależności od ukształtowania terenu – wiozą ją przez trawnik niczym kostkę masła na rozgrzanym teflonie.

Hiro, który od trzydziestu sekund nie jest już Dowozicielatorem, wysiada z auta, wyjmując miecze z bagażnika, przypina je pasami na plecach i przygotowuje się do zapierającej dech w piersiach nocnej ucieczki z terytorium SNGW. Do granicy z Rezydencjami Pod Dębem jest tylko kilka minut drogi; pamięta plan (tak przynajmniej wydawało mu się do tej pory), a poza tym wie, jak działają gliniarze z burbklawy, bo sam był jednym z nich. Ma duże szanse powodzenia, choć rzecz zapowiada się ciekawie.

Nad jego głową, w domu, do którego należy basen, zapaliło się światło. Z okien sypialni patrzą na niego dzieci otulone ciepłymi pizamkami wojowników ninja i misiów uszatków – ubrankami, które są albo ogniodporne, albo niekarcynogenne, ale nigdy i to, i to. Z tyłu domu wychodzi tatuś, nakładając po drodze kurtkę. Miła rodzina, bezpieczna rodzina w domu pełnym światła. Zupełnie taka jak ta, do której należał jeszcze trzydzieści sekund temu.

3

Hiro Protagonista i Witalij Czernobyl – współmieszkańcy – chłodzą się u siebie w domu: przestronnym, bo mierzącym 20 na 30 stóp kontenerze, stojącym w Maga-Zyn-Uj w Inglewood w Kalifornii. Pokój ma cementową podłogę, ściany z blachy falistej, oddzielające mieszkanie od sąsiedniego i – co jest oznaką dobrobytu i luksusu – podnoszone, stalowe drzwi, wychodzące na północny-zachód; drzwi, które w chwilach takich jak ta – gdy słońce zachodzi nad lotniskiem w LA – dają im kilka czerwonych promieni światła. Od czasu do czasu jakiś 777 albo Naddźwiękowy Transportowiec Suchoj/Kawasaki wlatuje przed słońce i zasłania je ogonem albo zniekształca czerwone światło tym, co wylatuje mu z rury, a co na tylnej ścianie splata się w równoległe warkocze odrzutu.

Mieszkanie nie jest wcale takie złe. Ludzie mieszkają w znacznie gorszych warunkach, nawet tutaj w Maga-Zyn-Uj. Tylko duże kontenery, takie jak ten, mają własne drzwi. Inne, w zasadzie większość, dostępne są przez komunalną rampę załadowniczą, prowadzącą do labiryntu korytarzy z blachy falistej i wind towarowych. To właśnie są prawdziwe slumsy, komórki o wymiarach 5 na 10 albo 10 na 10, gdzie ludzie z plemienia Yanoama gotują fasolę i podgrzewają liście koki nad ogniskiem z kuponów loteryjnych.

Mówi się tu i ówdzie, że w dawnych czasach, kiedy kompleks Maga-Zyn-Uj wykorzystywany był zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem (czyli do przechowywania za niewielką opłatą nadmiaru dóbr materialnych należących do mieszkańców Kalifornii), do biura zgłosił się pewien przedsiębiorca i przy pomocy sfalszowanego dowodu tożsamości wynajął kontener 10 na 10, a następnie zapełnił go stalowymi beczkami wypełnionymi toksycznymi odpadami chemicznymi. Później, rzecz jasna, zniknął, zostawiając problem na głowie Korporacji. Firma, głosi dalej plotka, zamknęła po prostu kontener na kłódkę i spisała go na straty. Teraz, jak mówią emigranci, w niektórych kontenerach pojawia się chemiczna zjawia. Opowiadają tę bajkę dzieciom, które uwielbiają włamywać się do zamkniętych na kłódki kontenerów.

Nikt nigdy nie próbował włamać się do kontenera Hiro i Witalija z tej prostej przyczyny, że nie ma w nim nic, co warto byłoby ukraść; co więcej, obaj panowie znaleźli się na takim etapie życia, że nikt nie ma

zamiaru ich porwać, zabić czy choćby przesłuchać. Do Hiro należy ładna para nippońskich mieczy, ale te Protagonista zawsze nosi ze sobą i w ogóle sam pomysł kradzieży fantastycznie niebezpiecznej broni stawia przed domniemanym przestępcą nie byle jaki dylemat, bo w walce o miecze zawsze wygrywa ten, który dzierży rękojeść. Hiro ma także całkiem niezły komputer, który również zabiera ze sobą, gdy gdzieś wychodzi. Do Witalija natomiast należy pół kartonu Lucky Strike'ów, elektryczna gitara i kac.

W tej chwili Witalij Czernobyl leży wyciągnięty na pryczy i odpoczywa, a Hiro siedzi po turecku przed niskim stoliczkiem w stylu nippońskim, zbudowanym z palety transportowej i cegieł.

Po zachodzie słońca, zamiast czerwonych promieni w kontenerze widać neonowe logo getta-sieci, stanowiących naturalne środowisko Maga-Zyn-Uj. Światło to, nazywane powszechnie logo, wypełnia mroczne kąty kontenera dusznymi, przebarwionymi kolorami.

Hiro ma skórę koloru kawy cappuccino, a na głowie ostre, przycięte dreadlocki. Włosy nie zajmują mu już tyle miejsca, co kiedyś, wciąż jednak jest młodym człowiekiem – wcale nie łysym, nawet nie łysiejącym; cofnięta linia włosów podkreśla zarys jego wysokich kości policzkowych. Na oczach ma lśniące gogle, zapięte z tyłu głowy. Z nauszników gogli wychodzą małe słuchawki, które wkłada się do uszu.

W słuchawki wbudowany jest system redukcji hałasu. System ten działa najlepiej przy hałasie o stałym natężeniu. Gdy, na przykład, po drugiej stronie ulicy startuje jumbo jet, jego ryk brzmi w słuchawkach jak niski, basowy poszum. Jeśli natomiast Witalij Czernobyl gra na gitarze eksperymentalne solo, dźwięk instrumentu rani uszy Hiro.

Z gogli wydobywa się światło, mglista poświata padająca na oczy Protagonisty, w których odbija się niewyraźny, szerokokątny obraz jaskrawo oświetlonego bulwaru, prowadzącego ku nieskończonej czerni. Bulwar ten nie istnieje naprawdę; został stworzony przez komputer.

Oczy Hiro, na które pada obraz, są azjatyckie. Odziedziczył je po matce, Koreance z Nipponu. Reszta jego postaci przypomina ojca – Afrykańczyka z Teksasu i armii (gdy ta jeszcze istniała, bo teraz podzielono ją na kilka współzawodniczących organizacji, takich jak System Obrony Generała Jima czy Narodowe Siły Zbrojne Admirała Boba).

Na palecie transportowej stoją cztery rzeczy: butelka drogiego piwa znad cieśniny Puget, na które Hiro tak naprawdę nie stać; długi miecz znany w Nipponie jako *katana* i krótki miecz nazywany *wakizashi* – broń tę przywłaszczył sobie w Japonii ojciec Hiro po zatamowaniu drugiej wojny światowej – wreszcie komputer.

Komputer jest pozbawionym cech szczególnych czarnym klinem. Nie ma kabla zasilającego; z tyłu obudowy wychodzi jedynie wąska, półprzezroczysta, plastikowa rurka, wijąca się po palecie transportowej i podłodze, podłączona do niezbyt starannie zainstalowanego, światłowodowego gniazda, znajdującego się nad głową drzemącego Witalija. Środkiem rurki biegnie cienki jak włos światłowód. Kabel służy do przesyłania informacji między komputerem Hiro a resztą świata i na odwrót. Gdyby chciał przesłać tę samą ilość informacji na papierze, w kontenerze musiałby lądować co kilka minut samolot transportowy 747 pełen książek telefonicznych i encyklopedii. Trwałoby to całą wieczność.

Tak naprawdę Hiro nie stać również na komputer. Ale musi go mieć. Komputer jest narzędziem jego fachu. W ogólnoswiatowej społeczności hakerów Hiro należy do najbardziej utalentowanych włóczęgów. Jeszcze przed pięciu laty styl życia hakera wydawał mu się nad wyraz romantyczny. Ale w pełnym świetle dorosłości, która dla dwudziestoparoletniego człowieka jest tym, czym niedzielny ranek dla sobotniej nocy, Hiro pojął, do czego sprowadza się hakerstwo: do bycia ciągle bez forsy i ciągle bezrobotnym. Kilka krótkich tygodni temu dobiegła końca jego kadencja dostarczyciela pizzy – jedyna bezsensowna, pozbawiona perspektyw posada, która naprawdę mu się podobała. Od tamtej pory, z konieczności, poświęcił się kryzysowej pracy dodatkowej: nietatowej współpracy z CKW (Centralną Korporacją Wywiadowczą z Langley w Wirginii).

Robota jest prosta. Hiro zbiera informacje: plotki, taśmy wideo, taśmy audio, fragmenty dysków komputerowych, kopie dokumentów, nawet żarty oparte na najnowszych, szeroko nagłośnionych katastrofach.

Ładuje to wszystko do bazy danych CKW – Biblioteki, dawnej Biblioteki Kongresu, której teraz nikt już tak nie nazywa. Większość ludzi nie wie do końca, co znaczy słowo: „kongres”. Pojawiają się nawet kłopoty z terminem: „biblioteka”. Kiedyś było to miejsce pełne książek, głównie starych. Później do książek dołączyły taśmy, płyty i pisma. Jeszcze później wszystkie zbiory skonwertowano na zera i jedynki – formę, którą czytają maszyny. Wraz z rozwojem mediów materiał był co chwilę uaktualniany, a metody przeszukiwania Biblioteki stawały się coraz bardziej skomplikowane. W pewnym momencie zatarła się różnica między Biblioteką Kongresu a Centralną Agencją Wywiadowczą. Na szczęście stało się to wtedy, gdy rozpadał się rząd Stanów Zjednoczonych. Jedną ze swych ostatnich uchwał rząd połączył obie instytucje i sprzedał je na giełdzie.

W tej chwili miliony innych współpracowników CKW ładują do Biblioteki tony informacji. Klienci CKW, głównie duże korporacje i suwerenowie, przetrząsają Bibliotekę, poszukując czegoś, co może im się przydać. Jeśli znajdą i jeśli informację tę dostarczył akurat Hiro, Hiro dostaje wypłatę.

Przed rokiem załadował do Biblioteki cały pierwszy szkic scenariusza filmowego, który ukradł z kosza na śmieci pewnego agenta z Burbank. Scenariusz przeczytało z pół tuzina wytwórni. Jadł i odpoczywał za to przez pół roku.

Od tamtej pory wiedzie mu się znacznie gorzej. Przekonał się na własnej skórze, że 99 procent informacji znajdujących się w Bibliotece nigdy nie jest wykorzystywane.

Przykład? Niedawno pewien Kurier dał mu cynk o istnieniu Witalija Czernobyla. Hiro spędził kilka tygodni na intensywnych badaniach nowego fenomenu muzycznego w LA: ukraińskich spółdzielni nuklearnego fuzz-grunge'u. Załadował do Biblioteki wyczerpujące notatki o tym trendzie, w tym nagrania wideo i audio. Do tej pory nie skorzystał z nich ani jeden agent, ani jedna wytwórnia płytowa czy choćby rockowy krytyk.

Górna powierzchnia komputera jest gładka; wystaje z niej tylko szerokokątna soczewka – wypolerowana, szklana kopuła pokryta fioletowym barwnikiem optycznym. Gdy Hiro korzysta z maszyny, soczewka wylania się z głębi i wskakuje z kliknięciem na miejsce; jej podstawa znajduje się wówczas na równi z powierzchnią komputera. Logio z sąsiedztwa załamują się i zakrzywiają na wypukłości sztucznego oka.

Całość wygląda niezwykle seksownie. Hiro uważa tak po części dlatego, że od kilku tygodni nie miał żadnej kobiety. Jest w tym jednak coś jeszcze. Ojciec Hiro, stacjonujący przez wiele lat w Japonii, miał bzika na punkcie aparatów fotograficznych. Bez przerwy przywoził je z podróży po Dalekim Wschodzie, zapakowane w ochronne warstwy papieru i nie tylko. Gdy wyjmował aparat, chcąc pokazać zdobycz synowi, Hiro czuł się tak, jakby oglądał striptiz... opadające czarne skóry, nylony, paski i zamki. A gdy wreszcie ukazywała się soczewka – urzeczywistnione, najczystsze równanie geometryczne – tak potężna i tak krucha zarazem, Hiro myślał jedynie o przekopywaniu się przez spódnicę i bieliznę do zewnętrznych warg, wewnętrznych warg... Czuł się nagi, słaby, ale i odważny.

Soczewka widzi połowę wszechświata – tę połowę, która znajduje się nad komputerem i obejmuje większą część Hiro. Dzięki temu komputer wie, gdzie, najogólniej rzecz biorąc, jest jego właściciel i w którą patrzy stronę.

W środku komputera zamknięte są trzy lasery: czerwony, zielony i niebieski. Są na tyle mocne, by świecić jasnym światłem, i na tyle słabe, by nie przepalić oka i nie ugotować mózgu, wysmażając korę i obie półkule na wiór. Jak każdy wie ze szkoły podstawowej, te trzy kolory światła można łączyć z różną intensywnością i tworzyć każdą barwę, jaką jest w stanie odróżnić oko Hiro.

W ten sposób z wnętrza komputera można wystrzelić przez szerokokątną soczewkę wąski promień światła dowolnego koloru i w dowolnym kierunku. Znajdujące się w komputerze elektroniczne lustra kierują promień wprost na soczewki gogli, które ma na głowie Hiro; podobnie działa telewizor, w którym strumień elektronów maluje obrazy na wewnętrznej powierzchni kineskopu. Tutaj obraz wisi w powietrzu tuż przed źrenicami Hiro, przesyłającymi do mózgu ogląd rzeczywistości.

Przed każdą źrenicą laser maluje nieco inny obraz, co nadaje polu widzenia pozory trójwymiarowości. Co więcej, obraz zmienia się siedemdziesiąt dwa razy na sekundę, dzięki czemu wszystko się rusza. Ruchomy, trójwymiarowy obraz ma rozdzielczość 2K pikseli na źrenicę – większej rozdzielczości oko już nie dostrzega. Całości dopełnia cyfrowy, stereofoniczny dźwięk z małych słuchawek. Czy można żądać większego realizmu?

Tak więc naprawdę Hiro nie siedzi w domu. Znajduje się we wszechświecie wygenerowanym przez komputer, odmalowanym na goglach i wpompowanym w słuchawki. W języku komputerowym ten sztuczny świat nosi nazwę Metawersu. Hiro spędza dużo czasu w Metawersie. Metawers bije na łeb siedzenie w Maga-Zyn-Uj.

Hiro zbliża się do Ulicy. To Broadway – Champs Élysées Metawersu. W soczewkach gogli widać odbicie – zminiaturyzowane i odwrotne – jasno oświetlonego bulwaru. Miejsce to nie istnieje. Ale w tej chwili spacerują po nim miliony ludzi.

Rozmiary Ulicy są stałe i określone protokołem ustalonym raz na zawsze przez mandarynów grafiki komputerowej ze Stowarzyszenia Globalnej Multimedialnej Grupy Protokołowej Maszyn Obliczeniowych. Ulica jest szeroką arterią, biegnącą wzdłuż równika czarnej kuli o promieniu nieco większym niż dziesięć tysięcy kilometrów. Łatwo obliczyć, że obwód kuli i długość Ulicy wynosi około 65 536 kilometrów – znacznie więcej niż obwód Ziemi.

Liczba 65 536 nikomu nic specjalnie nie mówi. Z wyjątkiem hakerów, którzy znają ją lepiej niż datę urodzin własnych matek. Tak się składa, że 65 536 jest potęgą 2 – 2, mówiąc ściślej – potęgą, w której nawet wykładnik jest równy 2, a następny, 4, jest równy 2... Liczba 65 536, wraz z takimi liczbami jak 256, 32 768 i 2 147 483 648, stanowi kamień węgielny wszechświata hakera; wszechświata, w którym tak naprawdę liczy się tylko cyfra 2, bo tyle jest znaków rozpoznawanych przez maszynę. Pierwszym z tych znaków jest 0, drugim 1. Każda liczba, którą tworzy się przez godne fetyszysty mnożenie 2 przez 2 – i okazjonalne odejmowanie 1 – jest natychmiast rozpoznawana przez hakera.

Ulica, podobnie jak jej odpowiedniki w rzeczywistości, podlega ciągłym zmianom. Programiści-budowniczowie ciągną od niej własne, mniejsze uliczki. Czasami stawiają przy niej budynki, parki, znaki, a także obiekty, które nie istnieją w rzeczywistości, jak choćby olbrzymie, zawieszane w powietrzu spektakle świetlne czy okolice, w których nie obowiązują prawa trójwymiarowej czasoprzestrzeni, czy wreszcie darmowe strefy walki, gdzie ludzie polują na siebie i zabijają się nawzajem.

Jedyna i zasadnicza różnica między Ulicą a ulicami w rzeczywistości polega na tym, że Ulica nie istnieje naprawdę – jest tylko protokołem graficznym spisany gdzieś na kawałku papieru – i żadna ze stojących przy niej budowli nie ma statusu ciała fizycznego. Jest tylko kawałkiem oprogramowania udostępnianego publiczności przez ogólnoswiatową sieć światłowodową. Gdy Hiro wchodzi do Metawersu, spogląda w dół Ulicy i widzi budynki i znaki ciągnące się ku ciemności i znikające za krzywizną globu, patrzy w rzeczywistości na graficzne reprezentacje – nazywane też interfejsami użytkownika – miriadów programów komputerowych, stworzonych przez duże korporacje i nie tylko. Po to, by umieścić programy na Ulicy, każda firma musi uzyskać zgodę Globalnej Multimedialnej Grupy Protokołowej, musi kupić działkę, zdobyć zgodę strefy, pozwolenie budowlane, co często wymaga przekupywania inspektorów i tak dalej. Pieniądze płacone przez korporacje za wnoszenie budowli przy Ulicy przekazywane są na fundusz powierniczy będący własnością GMGP. Fundusz ten wykorzystuje się do tworzenia i rozwoju maszyneryi, dzięki której Ulica istnieje.

Hiro ma własny dom w najbardziej zatłoczonej części Ulicy. Okolica, w której stoi dom Hiro, jest bardzo stara według obowiązujących na Ulicy standardów. Przed mniej więcej dziesięciu laty, gdy powstawał protokół Ulicy, Hiro wraz z grupą przyjaciół złożył się na wykupienie działki i licencji budowlanej. Razem stworzyli dzielnicę hakerów. W tamtym czasie dzielnica była zaledwie mgiełką światła wśród czerni. Ale sama Ulica nie była wówczas niczym więcej jak nitką lamp wokół czarnej kuli zawieszanej w przestrzeni.

Przez te wszystkie lata dzielnica Hiro niewiele się zmieniła, w przeciwieństwie do Ulicy. Znajomi Hiro, którzy wcześniej zadomowili się na Ulicy, mieli przewagę nad większością ludzi z interesu. Niektórzy z nich nawet się wzbogacili.

Hiro było stać na zakup dużego, ładnego domu w Metawersie, natomiast w rzeczywistości stać go jedynie na kontener. Widać talenty w obrocie nieruchomościami nie przenikają przez sąsiednie wszechświaty.

Niebo i ziemia są czarne jak pusty ekran komputera. W Metawersie zawsze panuje noc i tylko Ulica lśni i błyszczy jak Las Vegas, uwolnione z ograniczeń fizyki i finansów. Ludzie mieszkający w dzielnicy Hiro są doskonałymi programistami, więc wszystko urządzone jest ze smakiem. Domy wyglądają jak prawdziwe. Niektóre z nich są kopiami projektów Franka Lloyda Wrighta, inne przypominają modne wiktoriańskie.

Gdy Hiro wychodzi ze swojej dzielnicy na Ulicę, gdzie wszystko ma wysokość mili, przeżywa szok. Jest w centrum, najbardziej zatłoczonej okolicy. Wystarczy jednak przejść się kilkaset kilometrów w dowolnym kierunku, by zabudowa zniknęła, a Ulica wróciła do pierwotnego kształtu łańcucha światła odbijających się od czarnego aksamitu ziemi. Ale centrum jest jak tuzin Manhattanów lśniących neonami i nałożonych na siebie.

Prawdziwy świat – Ziemię, rzeczywistość – zamieszkuje mniej więcej sześć do dziesięciu miliardów ludzi. Większość z nich zajmuje się wyrobem cegieł z błota lub wymachiwaniem AK-47. Nie więcej niż miliard ma dosyć pieniędzy, by kupić sobie komputer. Statystycznie rzecz biorąc, ludzie ci mają większe dochody niż cała reszta ludzkości.

Z miliarda potencjalnych właścicieli komputerów być może jedynie czwarta część zadaje sobie trud kupienia komputera, a czwarta część z tych, którzy kupili komputer, ma maszyny na tyle dobre, by zmieścić się w nich protokół Ulicy. Z obliczeń tych wynika, że w dowolnej chwili po Ulicy może poruszać się sześćdziesiąt milionów ludzi. Jeśli dodać do tego kolejne sześćdziesiąt milionów tych, których nie stać na spacer, ale którzy mimo wszystko spacerują, wykorzystując w tym celu maszyny publiczne lub należące do ich szkoły czy pracodawcy, wychodzi na to, że w dowolnym momencie po Ulicy porusza się dwukrotna liczba mieszkańców Nowego Jorku.

Dlatego jest tu tak cholernie ciasno. Wystarczy postawić na ulicy budynek czy znak, a codziennie oglądać go będzie sto milionów najbogatszych, najmodniejszych, najlepiej ustawionych ludzi na ziemi.

Ulica ma szerokość stu metrów. Jej środkiem biegnie linia jednotorówki. Jednotorówka jest darmowym, dostępnym dla wszystkich kawałkiem oprogramowania, które umożliwia szybkie, bezproblemowe przemieszczanie się po Ulicy. Wielu ludzi po prostu jeździ jednotorówką i ogląda znaki. Gdy przed dziesięciu laty Hiro znalazł się po raz pierwszy na Ulicy, jednotorówka nie była jeszcze napisana. Hiro i jego znajomi pisali dla siebie programy samochodowe lub motocyklowe, by dostać się tu i tam. Bywało i tak, że ścigali się na własnych programach przez czarną pustynię elektronicznej nocy.

D.U. wiele razy widziała, jak ten czy inny młody Clint rozwała sobie przystojną facjatę o pusty basen w burbklawie podczas nielegalnego, nocnego przelotu; zawsze jednak Clint podróżował na desce, a nigdy samochodem. Krajobraz podmiejskich nocy kryje w sobie wiele zdradzieckiego piękna. Wystarczy popatrzeć.

Z powrotem na desce. Toczy się przez dziedziniec na Sprytorolkach Radiksu Wersja IV. D.U. sprawiła sobie owe czarodziejskie toczydła po przeczytaniu w piśmie „Rolkarz” następującego ogłoszenia:

„UJRZYSZ W LUSTRZE SINĄ SZYNKĘ

zamiast twarzy, jeśli surfując na cienkiej desce z nic niewartymi, twardymi kółkami, najedziesz na tłumik, oponę z nowym bieżnikiem, śnieżną zaspę, szykanę, półoś napędową, szynę kolejową lub nieprzytomnego przechodnia. Jeśli uważasz, że to mało prawdopodobne, wszystko wskazuje na to, że jeździsz wyłącznie po pustych centrach handlowych. Przedstawione powyżej przeszkody plus parę innych napotkano niedawno na jednomilowym odcinku New Jersey Turnpike. Każdy surfer, jeżdzący po tej drodze na zwykłej desce, jest samobójcą.

Nie słuchaj tak zwanych purystów, którzy twierdzą, że każdą przeszkodę można przeskoczyć. Zapytaj profesjonalnych Kurierów! Gdy spuniłeś szybki pojazd dla zabawy lub zysku, twój czas reakcji kurczy się do dziesiątych części sekundy – nawet setnych, jeśli surfujesz blisko auta!

Spraw sobie zestaw Sprytorolek Radiksu Wersja IV – jest tańszy niż bieżnikowanie twarzy i sprawia większą radość. Sprytorolki wykorzystują sonar, dalmierz laserowy i radar o milimetrowej długości fali, by ominąć tłumiki i inne śmieci, o których nie masz pojęcia.

Nie daj się zautomacić! Już dziś kup nową wersję!”

To były mądre słowa. D.U. kupiła kółka. Każde z nich ma piastę o wielu mocnych szprychach. Każda szprycha składa się teleskopowo w pięciu miejscach. Na końcu każdej szprychy jest gumowa przyłga z bieżnikiem, obracająca się na łożysku. Gdy kółka są w ruchu, przyłgi – jedna po drugiej – dotykają podłoża, zlewając się niemal w oponę. Gdy najeżdżasz na szykanę, szprychy chowają się w siebie. Gdy najeżdżasz na dziurę, zrobotyzowane przyłgi wypełniają głębiny w asfalcie. Zarówno w pierwszej, jak i w drugiej sytuacji kółka pochłaniają wstrząsy; nic nie grzmoci, nie wali, nie wibruje, nie trzeszczy. Deska i wysokie, sportowe buty firmy Converse pozostają nie naruszone. Reklama mówiła prawdę – nie możesz być profesjonalnym surferem na drodze bez sprytorolek.

Szybka dostawa pizzy to drobiazg. D.U. ześlizguje się z wilgotnej trawy na podjazd bez najmniejszego wstrząsu, nabiera szybkości na cementcie, zjeżdża po pochyłości na ulicę. Lekki przechył pupy zmienia kierunek deski, jedzie teraz w dół Przydomowej Zagrody i rozgląda się za ofiarą. W drugą stronę pędzi czarne auto migoczące obrzydliwymi światłami. Chcą dopaść nieszczęsnego Hiro Protagonistę, KnoktoWizyjne gogle Radiksu, przesłaniające oczy D.U., przyciemniają się samoczynnie, znika policyjna poświata. Źrenice Kuriera, którym nie grozi już migoczące światło, przeczesują drogę, szukając śladów ruchu. Basen, w którym wylądował Hiro, wykopano w najwyższym punkcie burbklawy. D.U. jedzie w dół, ale to za mało.

Pół przecznicy dalej, na bocznej ulicy, ktoś uruchamia cztery żalodne cylindry wózka dla lalek, minivanu. D.U. obserwuje go kątem oka. Zapalają się białe światła cofania, kierowca przesuwa dźwignię automatycznej skrzyni biegów na D przez R i N. D.U. celuje w krawężnik, uderza weń, jadąc dosyć szybko. Szprychy sprytorolek – widząc, co się święci – cofają się tak jak powinny i D.U. zjeżdża z ulicy na trawnik bez najmniejszego problemu. Na trawniku przyłgi zostawiają ośmiokątne ślady. Psią kupę – czerwoną jak mięso od nie strawionego barwnika – ozdabia teraz logo Radiksu, którego lustrzane odbicie tworzy bieżnik każdej przyłgi.

Wózek dla lalek odrywa się od krawężnika i wyjeżdża na ulicę. Bok karoserii szoruje po krawężniku, piszcząc jak ranna wiewiórka. Jesteśmy w burbklawie, gdzie ludzie wolą skrócić życie opon o tysiąc kilometrów – nieodmiennie waląc bokami o krawężnik – niż narazić się na społeczny ostracyzm i wybuchy masowej hysterii po zaparkowaniu nieco dalej od krawężnika na jezdni („Dam sobie radę, mam, mogę przejść ten kawałek”), co uważane jest za zagrożenie ruchu i śmiertelne niebezpieczeństwo dla młodych cyklistów. D.U. naciska guzik na uchwycie harpuna, zwalnia metr kabla. Wyrzuca harpun w górę, kręci nim nad głową jak australijski myśliwy polujący na strusie. Zaraz zatańczy z tą tandetną bryką. Głowica harpuna – wielkości sałatkowego półmiska – gwizdże, zataczając koła; zupełnie niepotrzebnie, choć brzmi niezłe.

Spunienie wózka dla lalek wymaga takich umiejętności, o jakich zwykły pedes nie ma najmniejszego pojęcia. Jest trudne już choćby dlatego, że pojazdy mieszczące są najnormalniej w świecie nic nie warte, brakuje w nich stali czy innej żelazistej materii, do której przyczepia się MagnaPun. Co prawda, są już na rynku harpuna nadprzewodzące, przylepiające się do aluminiowych karoserii przez indukcję prądów wirowych w korpusie auta, które, chcąc nie chcąc, zmienia się wówczas w elektromagnes. D.U. nie ma jednak takiego urządzenia. Sprzęt tego rodzaju jest znakiem firmowym zatwardziały surferów z burbklaw, do których D.U. – mimo tej nie zakończonej jeszcze przygody – nie należy. Harpun, którym dysponuje, przyczepia się tylko do stali, żelaza i (słabo) do niklu. W wózku dla lalek, który ma przed sobą, stal jest tylko w ramie.

Rozpoczyna niskie podejście. Harpun porusza się teraz w niemal pionowej płaszczyźnie; w przedniej fazie trajektorii prawie dotyka błyszczącej, podmiejskiej nawierzchni. Gdy D.U. zwalnia przyciskiem kabel, harpun startuje z wysokości centymetra nad ziemią, wznosi się lekko do góry, sunie nad ulicą i zapada pod podwozie autka, chwytając stal. Uderzenie jest porządne, tak porządne jak pozwala na to mgławica powietrza, tapicerki, farby i reklamy, znana jako rodzinny minivan.

Reakcja jest natychmiastowa, nawet błyskawiczna, jak na podmiejskie standardy. Osoba prowadząca wózek nie życzy sobie obecności D.U. Samochód startuje jak napompowany hormonami byk, dźgnięty w tyłek ostrą lancą pikadora. Oznacza to, że za kółkiem nie siedzi mamusia. Oznacza to, że wózkiem kieruje młody Bysio Nastolat, który, jak każde chłopię w burbklawie, ładuje się co wieczór końskimi dawkami testosteronu. Daje sobie w żyłę w szkolnej szatni i robi to, odkąd skończył czternaście lat. Teraz jest napakowany, wymóżdżony i przez to całkowicie przewidywalny.

Jedzie wężykiem, nie panując do końca nad sztucznie wzmocnionymi mięśniami. Odlana z plastiku i pokryta skajem brązowa kierownica śmierdzi kremem do rąk mamusi, co doprowadza go do wściekłości. Wózek przyśpiesza i zwalnia, przyśpiesza i zwalnia. Bysio pompuje pedałem gazu, bo wciskanie go do dechy nie przynosi spodziewanego efektu. Chce, żeby samochód był taki jak jego mięśnie – miał więcej mocy niż fabryka przewidziała. I samochód zachowuje się tak, jak jego mięśnie: zawodzi go. W wyżartym przez sterydy mózgu Bysia rodzi się podstępny plan. Nastolat wciska przycisk, pod którym napisano: „MOC”. Inny przycisk, ten pod którym widnieje napis: „JAZDA EKONOMICZNA”, wyskakuje automatycznie, przypominając mu – jak w szkole – że MOC i JAZDA EKONOMICZNA wzajemnie się wykluczają. Małeńki silniczek wózka zmniejsza obroty, jakby nabierał siły. Bysio trzyma nogę na gazie i jadąc Ulicą Wiejskich Chatek, zbliża się do setki.

Tam, gdzie kończy się Ulica Wiejskich Chatek, wpadając pod kątem prostym do Drogi Cienistej Doliny, stoi przeciwpożarowy hydrant. W SNGW stoi wiele hydrantów ze względu na bezpieczeństwo mieszkańców. Hydranty SNGW są arcydziełami sztuki zdobniczej, podnosząc wartość każdej nieruchomości. W niczym nie przypominają swych garbatych, żeliwnych poprzedników, wyprodukowanych w jakiejś zapomnianej przez Boga odlewni w czasach rewolucji przemysłowej i pokrytych setkami warstw tanich, łuszczących się farb. Hydranty SNGW są wykonane z mosiądzu i co czwartek polerują je polerskie roboty. Hydranty mają w sobie tyle godności, ile może mieć prosta rura wyrastająca z idealnej, wzmocnionej chemicznie murawy, porastającej trawniki burbklawy i oferująca potencjalnym strażakom zestaw trzech różnych połączeń do węży. Hydranty zaprojektowali na swych komputerach ci sami esteci, którzy odpowiadają za wygląd dynawiktoriańskich domostw, eleganckich skrzynek na listy i olbrzymich, marmurowych tablic z nazwami ulic, stojących na każdym skrzyżowaniu niczym nagrobki. Wszystko to zaprojektowano na ekranie komputera, pamiętając jednak o smaku i elegancji rzeczy minionych i, jakże często, niesłusznie zapomnianych. Hydrantów SNGW nie powstydziliby się żaden koneser sztuki użytkowej. Hydrantów SNGW nie trzeba retuszować na zdjęciach, gdy wystawia się dom na sprzedaż.

Jebany Kurier za chwilę zginie, okręciwszy się na jednym z nich. Dopilnuje tego Bysio Testosteronowy Nastolat. Manewr, który do tego doprowadzi, oglądał wielokrotnie w telewizji, a ta, jak wiadomo, nie kłamie. Ćwiczył tę sztuczkę wiele razy – w głowie. Rozpędzi wóz do maksimum na Wiejskich Chatkach i szarpnie hamulec ręczny, obracając jednocześnie kółkiem. Zad wozu wpadnie w poślizg i okręci się o sto osiemdziesiąt stopni. Pieprzony Kurier wystrzeli jak z bata na swoim niełamliwym kablu. Prosto w hydrant. Bysio Nastolat zatryumfuje, pojedzie zwycięski Drogą Cienistej Doliny ku wielkiemu światu dorosłych mężczyzn w fajowych samochodach; odda wreszcie zaległą kasę z *Wojownikami z tratw IV: ostatnią bitwą*.

D.U., rzecz jasna, nie wie, co dzieje się w głowie Bysia, choć to i owo może sobie wyobrazić, dopowiedzieć, zrekonstruować plan psychologiczny wydarzeń, rozgrywających się w środku wózka dla lalek. Doskonale widzi zbliżający się hydrant, widzi, jak Bysio opuszcza rękę na parkingowy hamulec. Wszystko to jest tak oczywiste! Współczuje Bysiowi i jemu podobnym. Zwalnia kabel, daje sobie dużo luzu. Bysio kręci kółkiem, szarpnie hamulec. Autko skręca bokiem, szoruje po własnych śladach i nie wystrzeliwuje jej tak, jak życzył sobie tego Nastolat. Musi mu pomóc. Gdy zad autka okręca się wokół osi, D.U. napina i zwija kabel, przekształcając tym samym szybkość kątową we własny ruch posuwisty, i dopiero teraz mknie niczym pocisk obok wózka z chyżością mili na minutę. Zmierza wprost na marmurowy

nagrobek z napisem: „DROGA CIENISTEJ DOLINY”. Odchyła się, wykonuje zdradliwy skręt, sprychny chwytają nawierzchnię i odpychają deskę od nagrobka. D.U. jest przechylona tak mocno, że mogłaby dotknąć dłonią jezdni. Sprytorolki wjeżdżają na następną ulicę. Dokładnie tam, gdzie chce. Jednocześnie D.U. wyłącza elektromagnes, którym spuniła autko. Głowica harpuna odrywa się od ramy, odbija się od nawierzchni i pędzi ku uchwytowi wraz z automatycznie zwijanym kablem. D.U. jedzie prosto ku granicy burbklawy z fantastyczną szybkością.

Za nią słychać łomot i trzask rezonujące w jej trzewiach. Minivan pakuje się bokiem w uliczny nagrobek.

D.U. pochyla się i przejeżdża pod granicznym szlabanem, wpada w sam środek ruchu na Oahu. Jest między dwoma skręcającymi gwałtownie, piszczącymi i trąbiącymi beemwicami. Wszyscy kierowcy beemwic wykonują gwałtowne ruchy na drodze przy najmniejszym splunięciu – naśladując kierowców z reklam BMW i wmawiając sobie, że kupili sprawne auta. D.U. znów się pochyla, przyjmuje pozycję płodową i przejeżdża pod paką półciężarówki na wysokich kołach. Pędzi wprost na cementową barierę odgradzającą jezdnię. Pędzi tak, jakby chciała umrzeć. Ale cementowe bariery to przyszcz dla sprytorolek. Ich krawędzie są tak nisko, że stanowią idealną rampę – jakby zaprojektowaną jako podjazd dla surferów. D.U. wjeżdża do połowy bariery, skręca lekko w kierunku przeciwnym do obecnego i gładko ląduje na drugiej jezdni. Ma przed sobą samochód. Nie musi nawet rzucić harpunem, wyciąga rękę i kładzie elektromagnes na pokrywie bagażnika.

Jej nowy kierowca poddaje się losowi, niczym się nie przejmując i nie niepokoi jej. Wiezie ją do samego wjazdu do następnej burbklawy, do samych Białych Kolumn. Białe Kolumny są bardzo południową, bardzo tradycyjną i bardzo rasistowską burbklawą. Nad główną bramą wisi ozdobny napis: „WJAZD TYLKO DLA BIAŁYCH. TYPY NIEKAUKASKIE PODDAJE SIĘ KONTROLI”.

D.U. ma wizę Białych Kolumn. D.U. ma wizę wszędzie. O tu, na piersi, małeńki paskowy kod. Gdy skręca w stronę wjazdu, laser odczytuje wizę i otwiera bramę. Ciężkie, żeliwne krówsko z wymyślnymi zdobieniami. Ale udręczeni biali mieszkańcy Kolumn nie mają czasu ani ochoty na podziwianie kunsztu kowalstwa artystycznego przy wjeździe do burbklawy, dlatego brama otwiera się z szybkością migawki aparatu fotograficznego.

D.U. sunie obsadzonymi drzewami alejami Starego Południa, mija jedną mikroplantację po drugiej, wykorzystując wciąż energię kinetyczną pochodzącą ze zbiornika z paliwem Bysia Nastolata.

Świat pełen jest mocy i energii i człowiek może zajechać naprawdę daleko, jeśli tylko wie, jak je uszczknąć.

Ciekłokrystaliczny czytnik na pudełku z pizzą pokazuje 29:32. Facet, który zamówił ciasto, pan Grubadupa, stoi z sąsiadami, klanami Kwaśnych i Padalców, na trawniku przed domem mikroplantacji i rozpoczyna przedwczesny taniec zwycięstwa. Jakby wygrał sekstylion na loterii. Z trawnika roztacza się wspaniały widok aż po Oahu i nigdzie ani śladu auta w kolorach Pizzy CosaNostra. Co prawda, alejką sunie Kurier – ot, zwykła ciekawostka! – z czymś prostokątnym pod pachą, co jest zapewne projektem nowej rasistowskiej reklamy, którą przedstawiają do akceptacji kaukaskiemu bossowi od marketingu, mieszkającemu ciut wyżej...

Grubadupa, Kwaśni i Padalce patrzą na D.U. i otwierają paszcze. Dziewczyna ma jeszcze dosyć energii szczątkowej, by skręcić na ich podjazd. Moment pędu wynosi ją na sam szczyt. Zatrzymuje się obok acury pana G. i wózka pani G. i schodzi z deski. Wyciągnięte sprychny odnotowują zmniejszony nacisk i wczepiają się w nawierzchnię, nie pozwalając stoczyć się desce.

Z niebios splywa na obecnych oślepiające światło. KnoktoWizyjne gogle D.U. dbają o jej wzrok, ale pod klientami uginają się kolana; ich karki przyginają się do ziemi, jakby światło ważyło tonę. Mężczyźni przesłaniają oczy włochatymi ramionami, kręcą obfitymi korpusami to w tę, to w drugą stronę, próbując odszukać wzrokiem źródło niezwyklej iluminacji, szepczą do siebie urywanymi zdaniami, wymieniając teoretyczne uwagi o niezwyklej fenomenie. Kobiety ćwierkają i drżą podenerwowane. Dzięki czarom gogli KnoktoWizyjnych D.U. widzi odczyt na pudełku z pizzą: 29:54. Ten sam odczyt widnieje na pudełku, gdy rzuca je na mokasyny pana G.

Tajemnicze światło gaśnie.

Klienci są wciąż oślepieni, a D.U., dzięki KnoktoWizji, widzi wszystko. Widzi wieczorne niebo i ślady podcierwieni, i źródło, z którego pochodzą – niewykrywalny helikopter z wirnikiem o podwójnych ostrzach, wiszący na wysokości trzydziestu stóp nad domem sąsiadów. Helikopter ma elegancki czarny kolor i żadnych ozdób, nie należy więc do ekipy telewizyjnej. Ale jest jeszcze jeden, stary i głośny, pokryty jaskrawymi, odnawianymi co minutę reklamami. Buczy i miesza wirnikiem powietrze nad Białymi Kolumnami, przeczesuje plantacje własnym reflektorem. Chce być pierwszy na miejscu epokowego wydarzenia. Spóźniona dostawa pizzy! Oglądajcie wiadomości o jedenastej! Po nich komentarz redakcyjnego psychologa o traumatycznych implikacjach podróży Wujka Enzo do Wystandaryzowanego Statystycznie Obszaru Metropolitalnego!

Czarny helikopter jest niewidoczny. Nikt nie miałby pojęcia o jego istnieniu, gdyby nie smugi

podczerwieni wydobywające się z jego podwójnych silników turboodrzutowych. Helikopter należy do Mafii, która filmuje całe wydarzenie kamerą wideo. Na wypadek gdyby Grupadupa chciał się procesować, wносить niepotrzebnie tę sprawę do Systemu Sądowiczego Sędziego Boba w nadziei na uzyskanie darmowej pizzy.

I jeszcze jedna sprawa. W powietrzu wisi dziś mnóstwo gówna, parę megaton gleby nawiewanej przez wiatr od strony Fresno. I gdy w helikopterze włączają laser, jego wążutka, idealnie prosta linia jest zaskakująco widoczna dla wszystkich. Miliony ziaren piasku płoną czerwono jakby nanizane na światłowodową nić, która ożywa nagle przed piersią D.U. Nić poszerza się, zamienia się w wąski wachlarz, ostrokątny trójkąt, którego podstawa obejmuje tors Kuriera.

Wszystko to trwa nie więcej niż pół sekundy. Skanują kody paskowe na uniformie D.U. Chcą wiedzieć, kim jest. Już wiedzą. Gdzie mieszka, co robi. Znają kolor jej oczu, stan karty kredytowej, pochodzenie i grupę krwi.

Załatwiwszy tę sprawę, helikopter przechyla się i znika w ciemności jak hokejowy krążek w stawie z atramentem. Pan Grubadupa zdobywa się na żart; mówi, że mało brakowało czy coś równie idiotycznego. Pozostali wybuchają nienaturalnym śmiechem, którego D.U. nie słyszy, bo w górze dudni aparat powietrzny telewizji. Nagle wszyscy zamierają, schwytani światłem reflektora. W powietrzu fruwa mnóstwo robali. D.U. widzi je wszystkie, widzi, jak kręcą się w tajemniczych formacjach, jak unoszą się nad głowami ludzi i ślizgają w powietrznych prądach. Jakiś robak usiadł jej na nadgarstku, ale darowała mu życie.

Reflektor liże ich przez minutę. Płaskie pudełko z pizzą, noszące na wieczku logo CosaNostra, leży na ziemi jak niemy świadek. Helikopter wisi w miejscu, ekipa kręci krótki filmik na wszelki wypadek.

D.U. jest znudzona. Wskakuje na deskę. Kółka zakwitają, przyjmują swój naturalny kształt. D.U. omija wężykami samochody, skręca na ulicę. Reflektor sunie za nią przez chwilę, ekipa robi zdjęcia do archiwum. Taśma wideo jest tania. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś może się przydać, więc lepiej sfilmować wszystko jak leci.

Ludzie zarabiają w ten sposób na życie – ludzie siedzący w wywiadzie. Ludzie tacy jak Hiro Protagonista. Po prostu wiedzą, co jest grane, a jeśli nie wiedzą, to przynajmniej filmują wszystko na wideo. A potem magazynują w Bibliotece. Kiedy inni ludzie chcą się dowiedzieć czegoś, o czym wiedzą ci pierwsi, albo obejrzyć to czy tamto na wideo, płacą tym pierwszym forszę i sprawdzają w Bibliotece, a czasami nawet kupują wiedzę na pniu. To głupota, ale D.U. nie jest przeciwniczką tej idei. Wręcz przeciwnie. CKW nie zwraca zazwyczaj uwagi na Kurierów. Ale wygląda na to, że Hiro ma z nimi jakąś umowę. Może uda się jej zawrzeć umowę z Hiro? Bo D.U. zna wiele interesujących drobiazgów.

Jednym z nich jest to, że Mafia winna jest jej przysługę.

5

Gdy Hiro zbliża się do Ulicy, widzi dwie pary młodych ludzi – korzystających pewno z rodzicielskich komputerów i bawiących się w podwójną randkę w Metawersie. Wychodzą z Portu Zero, który jest lokalnym portem wejścia i przystankiem jednotorówki.

Nie są to, rzecz jasna, ludzie tacy jak w rzeczywistości. Stanowią element ruchomej ilustracji, rysowanej przez jego komputer zgodnie ze specyfikacjami nadchodzącymi światłowodowym kablem. Ludzie – jak wszystko dookoła – są kawałkami programów, które w ich wypadku nazywa się awatarami. Są ciałami audiowizualnymi, które prawdziwi ludzie wykorzystują do komunikowania się między sobą w Metawersie. Awatar Hiro również znajduje się na Ulicy. Gdyby młodzi, wysiadający z jednotorówki, spojrzeli w jego stronę, widzieliby go równie dobrze, jak on widzi ich. Mogliby nawet zacząć rozmowę z Hiro, który siedzi w Maga-Zyn-Uj w LA, podczas gdy oni leżą najpewniej na sofie na przedmieściach Chicago i bawią się laptopami. Jednak nie zainicjują rozmowy, podobnie jak nie zaczęliby jej w rzeczywistości. Dzieciaki z dobrych domów nie zadają się z samotnymi mieszkańcami w zgrabnych, robionych na zamówienie awatarach z przypiętymi na plecach mieczami.

Awatar może mieć dowolny wygląd, a jedynym ograniczeniem jest posiadany sprzęt. Jeśli ktoś jest brzydki, w Metawersie może być piękny. Jeśli przed chwilą wyszedł z łóżka, w Metawersie może mieć na sobie szyte na miarę ciuchy i profesjonalnie nałożony makijaż. W Metawersie każdy jest tym, kim chce być: gorylem, smokiem albo olbrzymim gadającym penisem. Wystarczy pięć minut na Ulicy, a człowiek natknie się na każdy z powyższych egzemplarzy.

Awatar należący do Hiro wygląda tak jak Hiro. Jedyne różnica polega na tym, że, nie bacząc na strój Hiro w rzeczywistości, awatar Hiro zawsze ubrany jest w czarne, skórzane kimono. Większość hakerów nie lubi wymyślnych awatarów. Wiadomo bowiem, że realistyczne oddanie ludzkiej twarzy wymaga znacznie większego wysiłku niż namalowanie gadającego penisa. Hakerzy zachowują się jak prawdziwi znawcy sztuki krawieckiej, którzy po drobnych, wydawałoby się, detalach potrafią odróżnić tandetny, szary, wełniany garnitur od drogiego, szarego, wełnianego garnituru szytego na miarę.

Każdy może się zmaterializować w Metawersie w dowolnym miejscu, może nadlecieć z wysoka jak, nie przymierzając, Superman. Jednak tego rodzaju wejścia są irytujące i nie cieszą się aprobatą innych użytkowników Ulicy. Niszczą jej metaforę. Materializowanie się (i znikanie na powrót w rzeczywistości) jest czynnością osobistą, którą najlepiej wykonywać w zaciszu własnego domu. Większość dzisiejszych awatarów ma prawidłową budowę anatomiczną, co oznacza, że w chwili powstania każdy z nich jest goły jak noworodek, a nikt nie będzie przecież spacerował nago po Ulicy. Chyba, że jest dewiantem, którego nie obchodzi.

Jeśli któryś z użytkowników jest peonem i nie ma własnego domu – do tej kategorii należą najczęściej osoby korzystające z publicznych terminali – wówczas materializuje się w porcie. Przy Ulicy stoi 256 Portów Ekspresowych umieszczonych w równych, dwustupięćdziesięciosześciokilometrowych odstępach na jej obwodzie. Każdy z tych odstępów jest dalej podzielony 256 razy Portami Lokalnymi, oddzielnymi od siebie odległością kilometra (pilny student hakerskiej semiotyki odnotuje zapewne obsesyjne przywiązanie do liczby 256, która jest wynikiem potęgowania 2, w którym nawet wykładnik 8 ocieka od znaczeń, no bo to 2 razy 2). Porty pełnią funkcję analogiczną do portów lotniczych: tu przybywa się do Metawersu z innych miejsc. Gdy użytkownik zmaterializuje się w porcie, może wyruszyć dalej na Ulicę, wskoczyć do jednotorówki, słowem – robić co zechce.

Młodych ludzi wychodzących z kolejki nie stać na awatary robione na zamówienie, nie stać ich także na to, by samemu sporządzić sobie awatar. Musieli zatem kupić gotowe produkty. Jedna z dziewczyn ma całkiem ładną powierzchowność. Jej awatar wygląda na pewno jak ostatni krzyk mody wśród konsumentów telewizji kablowej. Dziewczyna kupiła sobie Zestaw Do Budowy Awatarów™ i z różnych kawałków złożyła własny, miarowy model. Kto wie, może nawet podobny do niej w rzeczywistości. Jej partner też nie wyglądał najgorzej.

Druga dziewczyna to Brandy. A jej facet to Clint. Brandy i Clint są popularnymi, gotowymi modelami awatarów. Kiedy białe, nie najbogatsze licealistki wybierają się na randkę w Metawersie, nieodmiennie biegną do działu gier komputerowych najbliższego supersamu i kupują egzemplarz Brandy. Użytkowniczka Brandy ma do wyboru trzy rozmiary biustu: niemożliwy, nieprawdopodobny i absurdalny. Dalej, stosunkowo ograniczony repertuar min: milutką i nadąsaną; milutką i zagniewaną; zuchwałą i zaciekawioną; uśmiechniętą i wrażliwą; milutką i nieobecną. Rzęsy Brandy mają długość pół cala, ale przez oszczędność oddano je jako dwie czarne, mahoniowe płytki. Kiedy Brandy mruga, człowiek niemal czuje odświeżający powiew.

Clint jest po prostu męskim odpowiednikiem Brandy. Choć napakowany i przystojny, ma bardzo ograniczoną zdolność wyrażania jakichkolwiek stanów emocjonalnych.

Hiro zastanawia się od niechcenia, w jaki sposób te dwie pary zeszyły się razem. Pochodzą najwyraźniej z dwóch odrębnych warstw społecznych. Może są starszym i młodszym rodzeństwem? Młodzi zjeżdżają ruchomymi schodami i znikają w ulicznym tłumie. Wokół jest tylu Clintów i Brandy, że można by stworzyć z nich nową grupę etniczną.

Na Ulicy jest sporo ludzi. Większość to Amerykanie i Azjaci – w Europie jest teraz wczesny ranek. Ze względu na przewagę Amerykanów, tłum ma krzykliwy, surrealistyczny wygląd. Azjaci – u których jest południe – występują najczęściej w granatowych garniturach. Dla Amerykanów to czas imprez – ci mają na sobie wszystko, co tylko może stworzyć komputer.

W chwili, gdy Hiro przekracza linię oddzielającą jego dzielnicę od Ulicy, spadają na niego ze wszystkich stron kolorowe kształty; obsiadają go jak sępy świeżą padlinę. Animoreklamy nie mają wstępu do dzielnicy Hiro, ale na Ulicy wszystko jest dozwolone.

Na niebie wybucha nagle przelatujący myśliwiec, zmienia gwałtownie trajektorię lotu i spada wprost na Hiro z dwukrotną szybkością dźwięku. Wbija się w Ulicę pięćdziesiąt stóp od miejsca, w którym stoi Protagonista, rozpada się, eksploduje, staje się postrzępioną chmurą ognia i metalu, pędzącą nad jezdnią w stronę Hiro. Za chwilę obejmie go wściekła ściana płomieni – cudownie zaprogramowanych i oddanych w Metawersie.

Płomienie zastygają, wychodzi z nich mężczyzna, który staje przed Hiro. Wygląda jak modelowy haker: broda, blada cera, skóra i kości. Żeby dodać sobie ciała, wyposażył awatar w puchatą, jedwabną wiatrówkę noszącą logo jednego z wielkich parków rozrywki Metawersu. Hiro zna tego człowieka – spotykali się wielokrotnie na zjazdach ludzi z branży. Facet od dwóch miesięcy stara się dać mu pracę.

– Hiro, nie rozumiem, dlaczego mnie unikasz. Robimy tu straszne siano... megasiano i jeny... Jesteśmy elastyczni co do pensji i premii. Teraz montujemy taką historię z mieczami i magią, przydałbyś się nam! Zgłoś się i porozmawiaj ze mną, dobrze?

Hiro przechodzi przez miejsce „katastrofy”, zaprojektowanej dlań przez znajomego. Wszystko znika. Parki rozrywki Metawersu bywają fantastyczne i oferują użytkownikom pełen wybór trójwymiarowych zabaw interaktywnych. Wciąż jednak są to te same, znane od dawna gry wideo. Hiro nie jest jeszcze tak ubogi, by pisać programy gier dla jakiejś komercyjnej firmy. Z tego co wie, firma ta należy do

Nippończyków, co samo w sobie nie jest niczym złym. Gorzej jednak, że zarządzają nią Nippończycy, co oznacza, że wszyscy programiści muszą przychodzić do pracy na ósmą w obowiązkowych białych koszulach i siedzieć nie wiadomo jak długo w maleńkich przegródkach, i jakby tego było mało, muszą uczestniczyć w zebraniach!

Gdy przed piętnastoma laty Hiro uczył się informatyki, haker mógł samodzielnie i od ręki napisać cały program. Teraz nie jest to już możliwe. Programy pisze się w fabrykach, a hakerzy w mniejszym lub większym stopniu stali się robotnikami przy linii produkcyjnej. Co gorsza, zostają menedżerami i całkiem zarzucają pisanie kodów.

Perspektywa pracy przy linii produkcyjnej jest dla niego bodźcem, by znaleźć dziś w Metawersie naprawdę wartościowe dane wywiadowcze. Próbuje się zorganizować, wyjść z letargu, w jaki popada każdy człowiek bez pracy. Gdy ma się własne miejsce w siatce, dane wywiadowcze spadają jak z nieba. Z jego koneksjami nie powinien mieć z tym żadnych problemów. Wystarczy, że zabierze się do tego poważnie. Poważnie! Poważnie! Ale w dzisiejszych czasach tak trudno myśleć poważnie o czymkolwiek.

Jest winny Mafii forszę za nowe auto. Wystarczający powód, żeby spoważnieć na dobre.

Przecina ulicę, przechodzi pod linią jednotorówki i zmierza ku olbrzymiej, czarnej i szerokiej u podstawy budowli – niezwykle ponurej jak na Ulicę – niczym parcela, o której zapomniano w planach zabudowy. Budynek ma kształt przysadzistej piramidy ze ściętym wierzchołkiem. Prowadzą do niego pojedyncze drzwi (w rzeczywistości wirtualnej nie istnieją przepisy nakazujące architektom dbałość o wyjścia awaryjne), przed którymi nie ma strażników, barier, znaków, niczego, co nie pozwalałoby ludziom wejść do środka. Mimo to przed drzwiami tłoczą się tysiące awatarów zaglądających do wewnątrz, próbujących znaleźć sposób na wejście. Nic z tego, nie przejdą przez drzwi z tej prostej przyczyny, że nikt ich nie zaprosił.

Nad drzwiami wisi matowa, czarna półkula o średnicy metra, wbudowana w ścianę piramidy. Jest to jedyna ozdoba budowli. Poniżej widać napis wyryty w materiale, z którego postawiono budynek. Napis głosi: „CZARNE SŁOŃCE”.

Nie jest to architektoniczne dzieło sztuki i co z tego? Kiedy Da5id, Hiro i inni hakerzy pisali Czarne Słońce, nie mieli dosyć pieniędzy, by wynająć architektów i projektantów. Zdecydowali się na prosty, geometryczny kształt. Awatary tłoczące się przed wejściem i tak nie zwracają nań najmniejszej uwagi.

Gdyby awatarami byli prawdziwi ludzie na prawdziwej ulicy, Hiro nie miałby żadnych szans, by dostać się do wejścia. Było ich za dużo. Ale system komputerowy nadzorujący Ulicę ma ciekawsze rzeczy do roboty niż monitorowanie milionów chodzących po niej użytkowników i pilnowanie, żeby, broń Boże, na siebie nie wpadli. System komputerowy Ulicy nawet nie stara się rozwiązać tego niezwykle skomplikowanego problemu. Tutaj awatary po prostu przechodzą przez siebie.

Gdy Hiro przedziera się przez tłum, zmierzając do wejścia, naprawdę się przedziera. Tam, gdzie gromadzi się dużo awatarów, komputer upraszcza sprawę i rysuje je jak duchy – półprzezroczyste stwory, przez które widać to, co znajduje się dalej. Hiro widzi swój normalny kształt i gęstość, natomiast reszta awatarów przypomina mu zjawy. Maszeruje przez tłum jak przez mgłę, za którą wznosi się ściana frontowa Czarnego Słońca.

Przechodzi przez próg i zatrzymuje się w hallu. W tej samej chwili staje się ciałem stałym dla awatarów tłoczących się na zewnątrz. W tej samej chwili wszystkie, jak jeden mąż, zaczynają wrzeszczeć. Rzecz jasna, nie mają pojęcia, kim Hiro jest naprawdę. Nie wiedzą, że jest zdychającym z głodu współpracownikiem CKW, mieszkającym w kontenerze przy lotnisku. Wiedzą natomiast, że na całym świecie jest tylko kilka tysięcy ludzi, którzy mogą przekroczyć próg Czarnego Słońca.

Hiro odwraca się i omiata wzrokiem dziesiątki tysięcy rozwrzeszczanych fanów. Jest w hallu sam, obok nie ma żadnych awatarów, widzi więc dokładnie twarze ludzi z pierwszego rzędu tłumy. Wszyscy mają wymyślne, dziko jaskrawe awatary, łudząc się, że dzięki nim Da5id – właściciel i główny haker Czarnego Słońca – zaprosi ich do środka. Migoczą kolorowo i stapiają się w jedną rozhisteryzowaną ścianę. Są wśród nich uderzająco urodziwe dziewczyny, wymodelowane i wyretuszowane komputerowo z szybkością siedemdziesięciu dwóch klatek na sekundę i przypominające trójwymiarowe króliczki z rozkładówek „Playboya” – to przyszłe aktorki, czekające, by ktoś je odkrył. Za nimi widać wściekle, abstrakcyjne plamy; tornada pulsujących światła – to hakerzy, którzy mają nadzieję, że Da5id dostrzeże ich talent, zaprosi do środka i da im pracę. Dalej tłumek czarno-białych – ludzi, którzy wchodzą do Metawersu przez tanie, ogólnodostępne terminale i którzy oddani są tu w rozmażanej czerni i ziarnistej bieli. Wielu z nich to regularni psychopaci, na przykład miłośnicy popularnych aktorek, marzący o zakłuciu tej czy innej ulubienicy nożem. W rzeczywistości nie mogliby zbliżyć się do swych ofiar na miłą, dlatego wskakują do Metawersu, by swobodnie tropić zwierzynę. Są tu też przyszłe gwiazdy rocka, podświetlone laserami, jakby dopiero co zeszyły ze sceny, i awatary nippońskich biznesmenów – doskonale oddane przez sprzęt najnowszej generacji, ale pełne rezerwy i nudne w granatowych garniturach.

Jeden z czarno-białych wyróżnia się spośród tłumy dzięki nadzwyczajnemu wzrostowi. Uliczny protokół stwierdza, że awatar nie może być większy niż jego właściciel. Przepis ten zapobiega tworzeniu postaci

wysokich na kilometr. Facet korzysta z płatnego terminalu – musi korzystać, sądząc po jakości obrazu – w którym nie można podrasować awataru. Wygląda zatem, tak jak wygląda, pomijając ostrość i kolor. A rozmowa z czarno-białym na Ulicy przypomina konwersację z osobą, która wysyła faksem zmiany wyrazu twarzy.

Człowiek ten ma długie włosy rozdzielone na środku głowy przedziałkiem niczym szparą w kurtynie, za którą widać wytatuowane czoło. Ze względu na gównianą rozdzielczość, nie ma szans, by rozpoznać tatuaż, ale wygląda na to, że nie jest to wzór, lecz słowa. Poniżej widać wyraźnie rozwiany wąs à la Fu Manchu.

Hiro zdaje sobie sprawę, że facet zauważył go, że mierzy go wzrokiem od stóp do głów, zwracając szczególną uwagę na miecze.

Na twarzy czarno-białego pojawia się szeroki uśmiech – uśmiech zadowolenia, uśmiech uznania, uśmiech człowieka, który wie coś, o czym Hiro nie ma najmniejszego pojęcia. Czarno-biały stał w tłumie z rękoma złożonymi na piersi, jak ktoś, kto się nudzi, jak ktoś, kto na coś czeka. Teraz opuszcza ręce ku biodrom, rozluźnia je na całej długości, jak sprinter przed startem. Podchodzi tak blisko, jak tylko może, i pochyla się w stronę Hiro. Jest naprawdę bardzo wysoki, za jego głową widać jedynie pustkę czarnego nieba, poprzecinaną lśnącymi śladami przelatujących animoreklam.

– Hej, Hiro! – woła czarno-biały. – Chcesz spróbować Zamieci?

Przed Czarnym Słońcem wałęsa się wielu ludzi mówiących niestworzone rzeczy. Człowiek nie zwraca na nich uwagi. Ten jednak zaciekał Hiro.

Ciekawostka numer jeden: facet zna imię Hiro. Ale ludzie mają swoje sposoby na zdobywanie takich informacji. Zatem to nic nie znaczy.

Numer dwa: słowa czarno-białego zabrzmiały jak oferta sprzedawcy narkotyków. Rzecz nie byłaby niczym niezwykłym przed barem w rzeczywistości. Ale w Metawersie! W Metawersie nie wolno sprzedawać dragów, bo można się zaćpać od samego patrzenia.

Numer trzy: nazwa narkotyku. Hiro nigdy nie słyszał o niedozwolonej substancji o nazwie „Zamiec”. W zasadzie nie jest to niczym niezwykłym, bo co roku wprowadza się na rynek tysiące nowych dragów, a każdy z nich ma z pół tuzina nazw handlowych.

Ale „zamiec” jest słowem z języka komputerowców. Oznacza awarię systemu – wesz – na tak fundamentalnym poziomie, że siada wszystko, nawet sterownik strumienia elektronów uderzających w ekran monitora. Elektrony robią wówczas co chcą, a na monitorze zamiast siatki pikseli pojawia się wściekła śnieżna zawieja. Hiro widział „zamiec” miliony razy. Nie słyszał jednak o narkotyku o tak wymyślnej nazwie.

Uwagę Hiro przykuwa niezwykła pewność siebie faceta. Gość jest całkiem spokojny i rzeczowy. Rozmawia się z nim jak z asteroidą. I wszystko byłoby fajnie, gdyby robił coś, co ma choć odrobinę sensu. Hiro szuka jakichś wskazówek w twarzy czarno-białego, ale im dłużej patrzy, tym gorszy staje się obraz, a awatar zamienia się w kupkę rozedrganych, koślawych pikseli. Jest to tak, jakby dotykał nosem ekranu zepsutego telewizora. Zaczynają boleć go zęby.

– Przepraszam – mówi w końcu Hiro. – Co powiedziałeś?

– Pytałem, czy chcesz spróbować Zamieci?

Gość ma twardy akcent niewiadomego pochodzenia. W dodatku jego audio jest niemal tak samo kiepskie jak wideo. W tle słychać przejeżdżające gdzieś samochody. Korzysta z ogólnodostępnego terminalu przy jakiejś autostradzie.

– Nie rozumiem – mówi Hiro. – Co to jest Zamiec?

– Narkotyk, palancie – odpowiada czarno-biały. – A co myślałeś?

– Zaczekaj. To dla mnie coś nowego... – Hiro udaje, że się zastanawia. – Naprawdę myślisz, że dam ci za to pieniądze? A potem co? Mam czekać, aż przyślesz mi towar?

– Pytałem, czy chcesz spróbować, a nie czy chcesz kupić – mówi tamten. – Nie musisz mi dawać żadnych pieniędzy. Dostaniesz darmową próbkę. I nie będziesz czekał na żadną pocztę. Dostaniesz go teraz.

Sięga do kieszeni i wyciąga hiperkartę.

Hiperkarta wygląda jak wizytówka. Jest czymś w rodzaju awataru. W Metawersie hiperkarty służą do przekazywania danych. Tekstu, głosu, filmów, fotografii – wszystkiego, co można przedstawić cyfrowo.

Na rzeczywistych kartach, na przykład zbieranych przez kolekcjonerów pocztówkach ze sportowcami, można umieścić zdjęcie, krótki tekst, trochę danych liczbowych. Taka sama karta w Metawersie zawierałaby film o wysokiej rozdzielczości przedstawiający sportowca w akcji – jego pełną biografię odczytywaną przez samego atlete w cyfrowym systemie stereo – i kompletną statystyczną bazę danych, włącznie ze specjalnymi programami umożliwiającymi wyszukiwanie potrzebnych kolekcjonerowi rekordów.

Hiperkarta może być nośnikiem właściwie nieskończonej ilości informacji. Z tego, co wie Hiro, można na niej zmieścić całą Bibliotekę Kongresu albo każdy odcinek *Hawaii Five-O*, jaki kiedykolwiek powstał, albo pełną dyskografię Jimmy’ego Hendriksa czy wreszcie dane ze spisu ludności z roku 1950.

Można też – i to czyni się częściej – wpakować na hiperkartę cały zestaw morderczych komputerowych

wirusów. Gdyby Hiro wyciągnął rękę i odebrał kartę, umieszczone na niej dane zostałyby przetransferowane z sytemu faceta do komputera w Maga-Zyn-Uj. Hiro, rzecz jasna, nie dotknąłby cudzej hiperkarty w żadnych okolicznościach, podobnie jak nie wzięłby strzykawki od nieznanego na Times Square i nie wbiłby jej sobie w szyję. Poza tym wszystko to nie ma sensu.

– Chcesz mi dać hiperkartę, a wspomniałeś, zdaje się, że Zamieć to narkotyk – mówi zakłopotany.

– Bo to prawda – odpowiada facet. – Spróbuj.

– Jebie się od tego w mózgu? – pyta Hiro. – Czy w komputerze?

– I tu, i tu. A może nigdzie. Co za różnica?

Hiro wreszcie zdaje sobie sprawę, że stracił sześćdziesiąt cennych sekund własnego życia na bezsensowną rozmowę ze schizofrenikiem, w dodatku paranoidalnym. Odwraca się na pięcie i wchodzi do Czarnego Słońca.

6

Przy wyjeździe z Białych Kolumn stoi czarny samochód, który czai się jak pantera. Przypomina lśniącą stalową soczewkę, w której odbija się logo Drogi Oahu. To Patrol. Lotny Patrol MetaGlin SA. Na drzwiach auta widnieje srebrzysta odznaka, chromowane logo mundurowych, wielkości dużego talerza. Wymalowano na nim nazwę prywatnych sił porządkowych i hasło:

„WEZWIJ 1-800-GLINY
Respektujemy większość kart kredytowych”

MetaGliny SA są oficjalnymi siłami porządkowymi Białych Kolumn, a także Stadniny Na Górze Windsor, Wzgórz Nad Wodopojem Niedźwiedzi, Cynamonowego Zagajnika i Koniczynowych Farm. Oprócz tego pilnują ruchu na autostradach i drogach należących do Prostychpasów SA. Z ich pomocy korzystają również mniejsze Jeparananabeesy, takie jak choćby Kajmany Plus czy Alpy. Większe narody, zorganizowane w sieci, wolą mieć własne siły bezpieczeństwa. Jedynym powodem, dla którego ludzie starają się o obywatelstwo Metazanii czy Nowej Południowej Afryki, jest chęć pełnienia służby w policji. Własne gliny ma także Nowa Sycylia. Natomiast Narkolumbia nie potrzebuje ochrony, bo obok jej przedstawicielstw każdy przyśpiesza do setki. (D.U. również czuje swędzenie w piętach w okolicach, w których roi się od konsulatów Narkolumbii). Wielki Hongkong Pana Lee – pierwowzór wszystkich Jeparananabeesów – załatwia te sprawy w typowo azjatycki sposób: przy pomocy robotów.

Główny konkurent MetaGlin, GlobPała, zajmuje się drogami należącymi do BezKolein i strzeże bezpieczeństwa (globalne kontrakty) Tradycjonalistów z Dixie, Plantacji Picketta oraz Podwójnej Tęczy (ciekawe burbklawy: dwie rasistowskie i jedna dla facetów w czarnych garniturach), a także Łąki i Dworca przy Cegielni. GlobPała jest mniejsza od MetaGlin, przyjmuje jednak bardziej wymagające kontrakty i, jak twierdzą niektórzy, ma bardzo rozwinięty wydział wywiadowczy, co zresztą o niczym nie świadczy, bo nie ma na świecie człowieka, który w tych czy innych okolicznościach nie zetknąłby się z wywiadem, choćby CKW.

No i jest jeszcze ZŁOMO, ale ci kosztują masę pieniędzy i niechętnie poddają się rygorom. Mówi się, że ZŁOMO-wcy pod mundurami noszą podkoszulki z nieoficjalną odznaką swojej organizacji, przedstawiającą pięść dzierżącą pałę, na której widać napis: „ZASKARŻ MNIE”.

D.U. zjeżdża niezbyt stromym stokiem ku bramie Białych Kolumn, czekając, aż ta umknie na bok. Zjeżdża i czeka, i czeka, i czeka... Lecz brama nie ma zamiaru odskoczyć. W wartowni nie włącza się laser, który sprawdza, kim jest D.U. Ktoś wyłączył system. Gdyby D.U. była głupim pedesem, podjechałaby do MetaGliny i zapytała dlaczego. MetaGlina odpowiedziałaby jej: „Ze względu na bezpieczeństwo państwa-miasta”. To wszystko. Burbklawy! Państwa-miasta! Takie małe i takie nerwowe. Wystarczy nie przyciąć trawnika, wystarczy włączyć głośniejsze radio, by kwestia ta urosła do rozmiarów zagrożenia narodowego bezpieczeństwa!

Nie da się przejechać przez ogrodzenie. Białe Kolumny odgradza od reszty świata wysoki na osiem stóp płot z robo-kutego żelaza. Odgradza na całym obwodzie. D.U. podjeżdża do bramy, chwyta kraty, szarpie. Brama nie ustępuje. Jest za duża, zbyt solidnie ją zbudowano.

MetaGlinom nie wolno opierać się o wóz patrolowy. Opieranie się o wóz patrolowy sprawia, że MetaGlina wygląda na znudzonego i bezbronno. MetaGlina może natomiast udawać, że opiera się o wóz, może przyjąć postawę gliny wspartego na aucie, tak jak osobnik, którego widzi D.U., w żadnym razie jednak nie może się o nie oprzeć. Pomijając wszystko inne, kompletny i połyskujący majestatycznie Osobisty Przenośny Rynsztunek MetaGliny, zawieszony na Osobistej Modułowej Uprząży Rynsztunkowej, mógłby podrapać lakier wozu patrolowego.

– Otwórz tę furtkę dla ruchu, człowieku! Nie widzisz, że jestem w pracy? – pyta retorycznie D.U.

Zza wozu patrolowego dobiega wilgotne, cmokliwe plaśnięcie, tak ciche, że trudno uznać je za wystrzał. Brzmi jak odgłos pękającej gumy balonowej, nadmuchanej po naciągnięciu na język. Brzmi jak odgłos, który słyszy mama w pieluszcze niemowlaka, który właśnie zrobił kupę. Dłoń D.U., spoczywająca na bramie, zaczyna piec, a potem robi się jednocześnie zimna i gorąca. D.U. nie może nią ruszyć. Czuje smród winylu.

Z tyłu auta wysiada drugi MetaGliniarz. Szyba tylnych drzwi wozu patrolowego jest otwarta, ale samochód jest tak czarny i lśniący, że szczegół ten widać dopiero po otwarciu drzwi. Obaj MetaGliniarze uśmiechają się złośliwie pod połyskującymi, czarnymi hełmami i KnoktoWizyjnymi goglami. Ten, który wysiadł z auta, trzyma w ręku Rusznicę Krępowania Chemicznego Krótkiego Zasięgu, czyli gumolet. Plan panów posterunkowych powiódł się w zupełności. D.U. nie przyszło do głowy, by sprawdzić KnoktoWizję, czy w aucie nie siedzi snajper z pistoletem na gumę.

Nabój gumoletu, po wystrzeleniu z rusznicy, rozszerza się i przyjmuje kształt piłki do rugby. Mieści w sobie wiele mil maleńkich, lecz mocnych włókien przypominających spaghetti. Sosem do spaghetti jest w tym wypadku lepka, ciągliwa substancja, która przed wystrzeleniem ma postać cieczy, a po trafieniu w cel natychmiast zastyga.

MetaGliny mają na składzie taki sprzęt, bo nie są w stanie ganiać za ludźmi w maleńkich burbklawach. Potencjalny buza – którym niemal zawsze jest niewinny rolnik – w każdym pościgu wyprzedza gliny o trzy długości deski, a trzy długości deski wystarczają najczęściej, by znaleźć schronienie w sąsiedniej burbklawie. Poza tym niewiarygodna masa Osobistej Modułowej Uprzęży Rynsztunkowej – prawdziwego zyrandola ze sprzętem – i wszystkiego co na niej wisi, utrudnia bieg do tego stopnia, że ludzie wybuchają śmiechem, widząc przebierającego nogami glinę. Gliniarze nie są jednak tacy głupi: zamiast tracić wagę, wieszają jeszcze jedną ozdóbkę na uprząży – na przykład gumolet.

Smarkowata, włóknista kropla owinęła się wokół dłoni i nadgarstka D.U., przywiązała Kuriera do bramy. Nadmiar substancji spływa po kratownicy, ale nie ucieka daleko, zastyga, zamieniając się w gumę. Kilka luźnych pasemek tego gówna spryskało ramiona, piersi i podbródek dziewczyny. D.U. cofa się, klej oddziela się od włókien, rozciąga długimi, cienutkimi nitkami jak gorący ser mozzarella. Nitki zastygają, twardnieją i odłamują się poskręcane. Ociera twarz, nie czuje się już tak groteskowo, ale dłoń wciąż jest unieruchomiona.

– Niniejszym ostrzega się, że jakikolwiek ruch ze strony zatrzymanego, nie będący bezpośrednim wynikiem ustnej autoryzacji ze strony tutejszych sił porządkowych, może skutkować użyciem sił i środków niosących ryzyko fizyczne, i dalej psychologiczne i potencjalnie – w zależności od wyznawanego przez zatrzymanego systemu wartości – duchowe, wynikające z reakcji zatrzymanego na wzmiankowane ryzyko fizyczne. Jakikolwiek ruch zatrzymanego wyraża domniemaną i bezwarunkową zgodę na poniesienie takiego ryzyka – deklamuje pierwszy MetaGliniarz. Głośniczek, który ma u pasa, tłumaczy symultanicznie całą przemowę na hiszpański i japoński.

– Inaczej mówiąc – dodaje drugi MetaGliniarz – nie waz się drgnąć, skurczybyku!

To ostatnie, nieprzetłumaczalne słowo, brzmi w głośniku raz jako „Escorial”, a potem jako „sake”.

– Tutejszy Lotny Patrol jest autoryzowanym przedstawicielstwem MetaGlin SA. Zgodnie z paragrafem 24, ustęp 5, łamane przez 2 Kodeksu Białych Kolumn, wzmiankowane przedstawicielstwo, w formie i postaci Lotnego Patrolu, ma prawo wykonywać obowiązki sił policyjnych na tutejszym terytorium.

– Takie, jak nękanie niewinnych rolnarzy – rzuca D.U.

MetaGliniarz wyłącza tłumacza.

– Zwracając się do mnie po angielsku, wyrażasz bezpośrednią i bezwarunkową zgodę na to, by wszystkie przyszłe rozmowy odbywały się w tym języku.

– Nie masz ochoty usłyszeć, co ma do powiedzenia D.U. – mówi D.U.

– Zostałaś zidentyfikowana jako DPFSANZPK. Dowód w Postaci i Formie Świadka Aktu Noszącego Znamiona Przystępstwa Kryminalnego. Wzmiankowany akt zdarzył się na innym terytorium. Terytorium to nosi nazwę Stadniny Na Górcie Windsor.

– Człowieku, to inny kraj! Jesteśmy w Białych Kolumnach!

– Zgodnie z postanowieniami Kodeksu SNGW, przedstawicielstwa MetaGlin SA mają obowiązek egzekwować prawo, dbać o bezpieczeństwo narodowe i harmonię społeczną na wzmiankowanym terytorium. Traktat zawarty między Stadniną Na Górcie Windsor a Białymi Kolumnami upoważnia tutejszy Lotny Patrol do prewencyjnego zatrzymania Dowodu do czasu wyjaśnienia jego roli we wzmiankowanym akcie.

– Wpadłaś w niezłe gówno – informuje D.U. drugi gliniarz.

– Ponieważ zachowanie zatrzymanej nie wskazuje na wzmożoną agresywność i ponieważ wedle najlepszej wiedzy przedstawicielstwa zatrzymana nie jest uzbrojona, tutejszy patrol nie podejmie działań mających na celu zmuszenie zatrzymanej do współpracy – deklamuje pierwszy gliniarz.

– Pójdiesz nam na rękę, to i my pójdziemy tobie – dodaje drugi.

– Niniejszym ostrzega się jednak zatrzymaną, że tutejszy patrol wyposażony jest w urządzenia

obejmujące, acz nie ograniczające się do broni palnej, które, gdy zostaną użyte, mogą stanowić bezpośrednie i natychmiastowe zagrożenia dla zdrowia i życia.

– Więc nie rzucaj się, bo odstrzelimy ci łeb – mówi drugi MetaGliniarz.

– Dobra, tylko odlep mnie od tej bramy – prosi D.U. Słyszała to wszystko miliony razy.

W Białych Kolumnach, podobnie jak w większości burbkław, nie ma aresztu ani posterunku policji. Po co komu takie nieprzyzwoite budynki? Tam, gdzie stoją areszty i posterunki policji, wartość nieruchomości spada na łeb i na szyję. Poza tym, kto chciałby narażać się na wytoczenie procesu przez zatrzymanych i przypadkowo niewinnych buków? Aresztów (miejsc, w których ten czy inny swawolnik może *habeas* swój zdegenerowany *corpus*) jest dosyć w każdym na poły przyzwoitym przedstawicielstwie sieci i centrum handlowym.

Jadąc wozem patrolowym. D.U. ma skute z przodu ręce. Jedną z dłoni Kuriera wciąż oblepia gumiąsta maź, tak bardzo cuchnąca winylem, że obaj MetaGliniarze opuścili boczne szyby. Sześć stóp luźnych włókien spada z kolan dziewczyny i ciągnie się po podłodze i dalej – przytrzaśnięte drzwiami – po jezdni. MetaGliny nie śpieszą się. Jadą środkowym pasem gotowi wlepić temu i owemu mandat za przekraczanie szybkości, jeśli tylko droga znajdzie się w ich jurysdykcji. Kierowcy na ich widok natychmiast zwalniają, przerażeni myślą, że musieliby spędzić na poboczu przynajmniej pół godziny, przez które policjanci recytują paragrafy zdejmujące z nich jakąkolwiek odpowiedzialność za przyszły bieg wypadków, udzielają pouczeń i przedstawiają własną, mętłą wersję obowiązujących kodeksów. Nie boją się ich tylko dowozicielatorzy z Pizy CosaNostra. Prują lewym pasem niczym kuliste pioruny w chmurze pomarańczowego światła. Gliniarze udają, że nie widzą.

– Dokąd jedziemy, do Kozy czy do Mamra? – pyta pierwszy MetaGlina. Mówi tak, jakby chciał wsadzić do ciupy swojego partnera.

– Do Kozy, proszę! – woła D.U.

– Do Mamra! – przekrzykuje ją drugi gliniarz. Odwraca się do tyłu, szerzy zęby przez kuloodporną szybę i syci się własną władzą.

Wnętrze auta rozjaśnia się od świateł, gdy mijają Kup & Siup. Wystarczy połączyć trochę po parkingu sieci, by załatwić sobie niezłą opaleniznę. Problem w tym, że zaraz nadjeżdża lotny patrol GlobPały i przymyka człowieka za włóczęgostwo. Od tych wszystkich laserów uruchamiających systemy bezpieczeństwa zaczynają jarzyć się nalepki Visa i MasterCard na bocznej szybie auta.

– D.U. ma kartę kredytową – chwali się D.U. – Ile trzeba mieć, żeby wsiąść?

– Rodzice chyba cię nie kochali – stwierdza drugi gliniarz. – Jak można dziecku dać na imię Daewoo?

Jak większość kolorowych, ma kłopoty z percepcją słuchową.

– Nie Daewoo, tylko D.U. – poprawia go pierwszy.

– Zgadza się. Mam na imię D.U. – mówi D.U.

– No przecież mówię! – obrusza się drugi. – Daewoo!

– Dee Uuuu! – krzyczy pierwszy, akcentując U z taką mocą, że pluje na przednią szybę. – Niech zgadnę... Dolores Upito?

– Nie.

– Dana Ucap?

– Nie.

– Więc co?

– Nic.

Tak naprawdę D.U. oznacza „Do Usług”, ale jeśli są tak głupi, że nie przyszło im to do głowy, kij im w oko.

– Braknie ci forsy – oznajmia pierwszy MetaGlina. – Nie zapominaj, że masz na pieńku z SNGW.

– Mogłabym wsiąść nieoficjalnie. Mogłabym po prostu uciec.

– Ten patrol ma klasę! Nie popiera ucieczek! – oburza się pierwszy.

– Coś ci powiem... – odzywa się drugi. – Rzucisz nam trylion, to zawieziemy cię do Kozy, a potem targuj się z nimi.

– Pół trylionu – mówi D.U.

– Siedemset pięćdziesiąt tysięcy bilionów – stwierdza gliniarz. – Ostatnie słowo. Masz, kurwa, kajdanki na rękach. Koniec dyskusji.

D.U. otwiera zamkiem błyskawicznym kieszeń na udzie. Wyjmuje czystą ręką kartę kredytową i przesuwając ją przez czytnik umieszczony na oparciu przedniego siedzenia.

Koza, do której jadą, wygląda na całkiem nową. D.U. widywała hotele o gorszym standardzie. Logo Kozy – kaktus saguaro w nałożonym na bakier czarnym, kowbojskim kapeluszu – nie jest nawet obesrane przez ćmy.

KOZA

Luksusowe usługi aresztanckie i więzienne dla ludności! Przyjmujemy całe transporty!

Na parkingu stoi kilka wozów patrolowych MetaGlin i więźniarka ZŁOMO zajmująca w poprzek dziesięć miejsc. MetaGliny oglądają ją z zainteresowaniem. Nic dziwnego, bo ZŁOMO ma się tak do MetaGlin jak Rambo do św. Franciszka.

– Jedna na przechowanie – mówi drugi MetaGliniarz.

Stoją w recepcji. Na ścianach wiszą podświetlane obrazki przedstawiające rewolwerowców z Dzikiego Zachodu. Anne Oakley patrzy ponuro na D.U. Jest z kogo czerpać wzory!

Recepcyjny kontuar utrzymany jest w stylu pseudorustykalnym. Strażnicy mają na głowach kowbojskie kapelusze, a na piersiach pięcioramienne gwiazdy z imionami. Z tyłu są tradycyjne więzienne drzwi z żelaznymi kratami. Za nimi zaczyna się korytarz przypominający salę operacyjną. Po bokach stoją małe cele – białe i opływowe jak prefabrykowane kabiny prysznicowe. Faktem jest, że można się w nich kąpać, wystarczy stanąć na środku i przycisnąć guzik. Wszędzie palą się jaskrawe światła, które obsługa wyłącza o jedenastej. W celach są nawet aparaty telewizyjne na żetony i prywatne linie telefoniczne. D.U. nie może się już doczekać.

Kowboj za kontuarem celuje skanerem w D.U., czyta jej kod paskowy. Na ukrytym pod blatem ekranie pojawiają się setki danych o życiu osobistym Kurierki.

– Ha! – odzywa się. – Kobieta!

Dwaj MetaGliniarze patrzą po sobie z rozbawieniem. Co za geniusz! Za cholerę nie przyjęliby go do policji.

– Przykro mi, chłopaki, nie ma wolnych miejsc. Nie przyjmujemy dziś bab.

– Przestań, koleś!

– Widziałeś tę więźniarkę na parkingu? W Pij & Śpij mieli dziś niezłą rozróbę. Jacyś Narkolumbijczycy sprzedali ludziom trefny Tajfun. Wszystkim odjechało. ZŁOMO wysłało tam cały pluton, przywieźli ze trzydziestu. Więc nie ma miejsc. Spróbujcie trochę dalej, w Mamrze...

D.U. wcale się to nie podoba.

Wsadzają ją z powrotem do samochodu i włączają zagłuszkę, żeby nie podsłuchiwała. D.U. słyszy tylko burczenie we własnym brzuchu i suche trzaski gumy spowijającej jej rękę. A już miała nadzieję na dobry obiad w Kozie... chili z ogniska albo hamburgery bandyty...

Na przednim siedzeniu dwaj MetaGliniarze rozmawiają zawzięcie. Wyjeżdżają z parkingu. Nieco dalej widać kwadratowe podświetlone logo: czarno-biały Uniwersalny Kod Towarowy z napisem: „Kup & Siup”.

Trochę niżej na tym samym słupie wiszą krzywe literki: „DO MAMRA!”

Wiozą ją do Mamra! Sukinsyny. Uderza w kuloodporną szybę skutymi dłońmi, rozmazując na szkle lepka gumę. Niech sobie zmywają! Niech zdrapują to pazurami! Gliniarze odwracają głowy, patrzą na nią jak na powietrze. Świnie! Wiedzą, że są winni!

Wjeżdżają w mgławicę błękitnych, radioaktywnych świateł systemu bezpieczeństwa Kup & Siup. Drugi gliniarz wysiada, rozmawia z facetem za ladą. Przed sklepem stoi gruby, biały chłopak z pismem „Potwociężarówki” pod pachą. Na głowie ma nowopółudniowoafrykańską czapkę z daszkiem i flagą Konfederatów. Zagląda przez szybę do auta, chce na własne oczy zobaczyć prawdziwego buzę. Na tyłach sklepu pojawia się drugi mężczyzna, tej samej rasy co pierwszy – ciemny, chudy, z płonącymi, czarnymi oczyma. Nowo przybyły trzyma w ręku spięty trzema pierścieniami podręcznik z logo Kup & Siup. W dzisiejszych czasach, żeby znaleźć kierownika sklepu, nie trzeba wrzeszczeć na całe gardło. Wystarczy rozejrzeć się za gościem z podręcznikiem.

Kierownik rozmawia z MetaGliną, kiwa głową, wyciąga z szuflady klucze.

MetaGlina wraca, skrada się do auta, otwiera niespodziewanie tylne drzwi.

– Morda w kubel – mówi. – Albo przyładuję ci w nią z rusznicy.

– Fajnie, że podoba ci się w Mamrze – odpowiada D.U. – bo od jutra tutaj zamieszkas, gumiaku.

– Naprawdę?

– Taa, za zdefraudowanie karty kredytowej.

– Moja być glina, twoja być buza. Sędzia Bob ci nie uwierzy.

– Pracuję dla Radiksu. Dbamy o swoich.

– Nie dzisiaj, maleńka. Dzisiaj wiozłaś pizzę z miejsca wypadku. Uciekłaś z miejsca wypadku! Radiks kazał ci zawieźć tę pizzę?

D.U. nie odpowiada. MetaGlina ma rację: Radiks nie kazał jej zawozić pizzy. Zrobiła to dla kaprysu.

– Radiks ci nie pomoże, więc przymknij dziób!

Szarpie ją za ramię, za którym podąża reszta D.U. Niedouczony z podręcznikiem omiata ją wzrokiem. Musi przekonać się, że jest człowiekiem, a nie workiem mąki, półciem karkówki czy wieprzową półtuszą. Prowadzi ich na cuchnące tyły Kup & Siup – ponure królestwo szczurów buszujących po pełnych

pojemnikach na śmieci. Otwiera jakieś drzwi – szarą, stalową furkę, noszącą ślady licznych uderzeń łomem. Widocznie nocą grasują tu bestie o żelaznych pazurach.

Wpychają D.U. do piwnicy. Pierwszy MetaGlina schodzi za nią, ciągnąc za sobą jej deskę, którą obija bezlitośnie o posadzkę i brudne, plastikowe pojemniki na butelki.

– Trzeba jej zabrać ciuchy. Ma w nich za dużo sprzętu... – sugeruje zebrany drugi gliniarz z obleśnym uśmieszkiem.

Kierownik spogląda na D.U. Próbuje zachować zimną krew bezgrzesznego profesjonalisty. Jego naród przetrwał tysiące lat wyłącznie dzięki czujności. Naród przetrwał najazdy Mongołów galopujących jak piaskowa burza nad horyzontem... On sam przetrwał napady recydywistów wymachujących obrzynami nad ladą... I wszystko dzięki czujności! Teraz jego czujność jest niemal namacalna – tak namacalna, że aż bolesna. Kierownik przypomina ampułkę z gorącą nitrogliceryną. Wisząca w powietrzu kwestia uprawiania pewnych niedozwolonych praktyk seksualnych pogarsza tylko sprawę. Dla niego to nie są żarty.

D.U. wzrusza ramionami, próbując myśleć o czymś obojętnym i śmiesznym. Wie, że jej prześladowcy spodziewają się, że zacznie piszczeć, wić się, szarpać, rwać włosy z głowy, mdleć i błagać ich o łaskę. Grożą przecież, że rozbiorą ją do naga. Straszne! Nie daje im satysfakcji, na jaką liczą.

Kurier musi znaleźć własną przestrzeń na drodze. Gdy przestrzega przepisów, gdy zachowuje się przewidywalnie, usypia kierowców. A ci tylko na to czekają i natychmiast pakują Kuriera do maleńkiej klatki na jezdni, i życzą sobie, żeby w niej został. Nie cierpią, gdy Kurier opuszcza wyznaczone miejsce.

D.U. nie lubi klatek. D.U. znajduje przestrzeń na jezdni, jadąc zygakiem przez pasy. Rozpycha się, skręca, nikt nie wie, co strzeli jej do głowy. Ludzie stają się czujni, reagują na jej obecność, dzięki czemu D.U. nie musi reagować na nich. A teraz znów ma wokół siebie facetów, którzy chcą ją zapuszkować! Zmusić do respektowania ich zasad!

Rozpina zamek błyskawiczny kombinezonu. Od góry do dołu, aż do samego kroku. Pod spodem nie ma nic, oprócz własnego ciała.

MetaGliny unoszą brwi. Kierownik odskakuje, zasłania oczy ręką. Nie chce, nie może na to patrzeć.

– Nie, nie, nie! – powtarza jak opętany.

D.U. wzrusza ramionami i zaciąga zamek.

Nie ma się czego bać. Tam, gdzie trzeba, ma zębata pas cnoty.

Kierownik przykuwa ją do rury z zimną wodą. Drugi MetaGlina zabiera swoje nowsze, bardziej cybernetyczne kajdanki i wiesza je na uprząży. Pierwszy opiera jej deskę o ścianę – na tyle daleko, by nie mogła jej sięgnąć. Kierownik kopie w jej stronę zardzewiałą puszkę po kawie. Puszka odbija się od jej nogi. To tyle, jeśli chodzi o toaletę i inne udogodnienia.

– Skąd jesteś? – D.U. pyta kierownika.

– Z Tadżykistanu.

Dżyk! Mogła się była domyślić!

– Powiedz mi, tam u was najpierw sracie do puszkę, a potem gracie nią w piłkę czy odwrotnie?

Kierownik nie rozumie. MetaGliny rechoczą pod nosem. Podpisują papiery. Idą na górę. Kierownik przed wyjściem gasi światło. W Tadżykistanie trzeba oszczędzać prąd.

D.U. siedzi w Mamrze.

Czarne Słońce zajmuje powierzchnię kilku boisk piłkarskich ułożonych obok siebie. Wyposażenie składa się z czarnych, kwadratowych blatów wiszących w powietrzu (rysowanie nóg nie miałoby sensu) i rozmieszczonych w równych odstępach nad podłogą jak piksele. Wyjątkiem jest środek sali, gdzie schodzą się cztery kwadranty baru ($4 = 2$). Bar jest okrągły i ma średnicę długości szesnastu metrów. Wnętrze jest matowoczarne, co znacznie ułatwia komputerowi rysowanie kształtów – system nie musi martwić się o wypełnianie skomplikowanego tła. W Czarnym Słońcu liczą się tylko awatary, zgodnie z życzeniem ojców-założycieli i upodobaniami większości odwiedzających.

Pokazywanie się w szybkim awatarze na Ulicy – gdzie zawsze są tłumy, a wszyscy przechodzą przez siebie i stapiają się w jedną masę – nie ma sensu. Czarne Słońce jest natomiast programem z klasą. Tutaj nikt na nikogo nie wpada, nikt nie przechodzi przez innych jak przez powietrze. Czarne Słońce nadzoruje liczbę wpuszczanych do środka gości, co zapobiega powstawaniu tłumu. Wszystko jest tu solidne, nieprzezroczyste i realistyczne. Klientela też ma styl i nie spotyka się wśród niej gadających penisów. Awatary wyglądają jak prawdziwi ludzie. I nie tylko one, prawdziwych ludzi przypominają również demony.

Termin „demon” pochodzi ze starego żargonu komputerowego. Używano go w czasach pamiętających system operacyjny UNIX. W UNIX-ie „demon” był programem użytkowym niskiego szczebla, stanowiącym fundamentalną część systemu operacyjnego. W Czarnym Słońcu demon przypomina awatar, ale nie jest

człowiekiem. Jest robotem żyjącym w Metawersie, programem, duchem zamieszkującym maszynę, spełniającym zazwyczaj jakąś konkretną rolę. W Czarnym Słońcu jest wiele demonów serwujących nierzeczywiste drinki czy załatwiających gościom takie czy inne sprawy.

Są tu choćby demony-bramkarze pozbywające się natrętów, chwytające niezdyscyplinowane awatary za kołnierz i wyrzucające je przez drzwi, zgodnie z podstawowymi zasadami wirtualnej fizyki. Wirtualna fizyka autorstwa Da5ida różni się nieco od rzeczywistej i przypomina tę, która obowiązuje w filmach rysunkowych. Wyjątkowo niegrzeczni goście muszą liczyć się z tym, że przed wyrzuceniem na ulicę zostaną potraktowani uderzeniem wielkiego młota w głowę albo spadającego z sufitu sejfu. Oprócz natrętów, przykrości takie spotykają tych, którzy niepokoją bądź fotografują gwiazdy i wszystkich, którzy są zarażeni. Nie w sensie dosłownym; chodzi tu o zawirusowany komputer próbujący dostać się do Czarnego Słońca. Właściciel takiej maszyny, a raczej jego awatar, miażdżony jest bez pardonu.

Hiro mruczy pod nosem: „Tablica”. „Tablica” to nazwa programu, który sam napisał – niezastąpionego narzędzia współpracownika CKW. Program przekopuje się przez system operacyjny Czarnego Słońca, szukając w nim informacji, a następnie otwiera przed Hiro kwadratową mapę informującą go, kto gdzie siedzi i z kim rozmawia, je, pije i tak dalej. Wszystko to jest nielegalne, bo tego rodzaju dane są w Czarnym Słońcu zastrzeżone. Ale Hiro nie jest jakimś marnym aktorzyzną przychodzącym tu dla zabawy. Jest hakerem. Jeśli potrzebna mu jest informacja, kradnie ją wprost z trzewi systemu – dane ex machina.

Tablica informuje go, że Da5id zaparkował w zwykłym miejscu, przy stole w Kwadrancie Hakerów, obok baru. W Kwadrancie Gwiazd Filmowych siedzi, jak co dzień, tłum monarchów, monarchiń i paziów. W Kwadrancie Gwiazd Rocka panuje natomiast jakieś poruszenie. Hiro dowiaduje się, że Czarne Słońce odwiedził dziś słynny nippoński raper Sushi K. W Kwadrancie Nippończyków wałęsa się sporo przedstawicieli przemysłu muzycznego, mimo to jest tam ciszej niż gdzie indziej, może dlatego, że zamiast wrzeszczeć, wszyscy kłaniają się sobie nad niskimi stołami, otoczonymi długorzęsyimi demonami gejsz. Ludzie ci przysli tu ze względu na Sushi K. i są zapewne menedżerami, promotorami, prawnikami itp.

Hiro przecina Kwadrant Hakerów, zmiierzając w stronę stołu, przy którym siedzi Da5id. Zna tu wielu ludzi, ale jak zwykle dziwi go i niepokoi liczba tych, których twarzy nie rozpoznaje – pewnych siebie, błyskotliwych dwudziestojednolatków. Programowanie, podobnie jak sport, ma to do siebie, że każdy parający się nim trzydziestolatek czuje się rencistą.

Podnosi wzrok i spogląda w stronę stołu Da5ida, który rozmawia z czarno-białą. Mimo braku koloru i kiepskiej rozdzielczości Hiro rozpoznaje tę postać po sposobie składania ramion, gdy mówi, i odrzucania włosów do tyłu, gdy słucha. Awatar Protagonisty zamiera, przygląda się jej z takim samym wyrazem twarzy, z jakim Hiro wpatrywał się w nią przed wielu laty. W rzeczywistości Hiro sięga po piwo, upija łyk i obraca gorzkawy napój w ustach. Dla mieszkających pod językiem bakterii zaczyna się sztorm.

Nazywa się Juanita Marquez. Poznali się na pierwszym roku studiów w Berkeley, pracowali przy jednym stole na ćwiczeniach z fizyki. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, wyrobił sobie pogląd na jej temat, pogląd, który miał towarzyszyć mu przez wiele lat. Wydała mu się nudną, zadzierającą nosa kujonicą, ubierającą się tak, jakby codziennie chodziła na rozmowę w sprawie posady księgowej w domu pogrzebowym. Miała przy tym cięty język, którym chłostała ludzi w najmniej spodziewanych okolicznościach, przeważnie w związku z jakimś całkowicie absurdalnym afrontem czy naruszeniem etykiety, o której inni studenci nie mieli najmniejszego pojęcia.

Wszystkie niewiadome równania o nazwie Juanita Marquez złożyły się w całość kilka lat później, gdy oboje znaleźli pracę w Czarnym Słońcu S.A. W tamtym okresie Hiro i Juanita zajmowali się awatarami. Hiro pracował nad ciałami, ona programowała twarze. W zasadzie była jednoosobowym Działem Twarzy, bo nikt nie traktował wówczas poważnie oblicz awatarów, którym wystarczały głowy w mniej lub bardziej cielistym kolorze. Juanita dowiodła, jak bardzo się mylili. Wcześniej jednak typowo męskie zgromadzenie bitogłowych, tworzące strukturę władzy w Czarnym Słońcu stwierdziło, że problem twarzy jest trywialny i sztucznie rozdmuchany. Był to, rzecz jasna, zwykły seksizm, przy tym nadzwyczaj złośliwego rodzaju, jakim zarażeni są męscy technokraci, którzy całkiem szczerze wierzą, że są nań uodpornieni dzięki inteligencji.

Hiro musiał zrewidować swój pierwszy pogląd na Juanitę, wrażenie, jakie zrodziło się w jego głowie, gdy miał siedemnaście lat i był zwykłym niedojrzałym gnojkiem (który zaledwie trzy tygodnie wcześniej wyrwał się spod opiekuńczych skrzydeł armii). Nie, nie był głupi, ale znał się jedynie na dwóch rzeczach: filmach samurajskich i komputerach Macintosh. Z perspektywy czasu widać, że znał się na nich aż za dobrze. W jego głowie nie było miejsca dla osób pokroju Juanity.

Istnieje pewien typ małego miasteczka, który wyrasta jak wrzód na dupie każdej bazy wojskowej na świecie. Hiro zaliczył wiele takich miejsc, dorastał w nich jak zmutowana orchidea, karmiona światłem tysięcy reflektorów systemu bezpieczeństwa sieci Kup & Siup. Jego ojciec wstąpił do wojska w 1944, mając zaledwie szesnaście lat. Spędził rok na Pacyfiku, głównie jako jeniec wojenny. Hiro przyszedł na świat, gdy ojciec zamykał życiowy rozdział zatytułowany: „Wiek średni”. Stary mógł wówczas już dawno być na

emeryturze, ale nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić poza koszarami, pracował więc, póki sami go nie wykopali pod koniec lat osiemdziesiątych. Hiro studiował wtedy w Berkeley, wcześniej jednak mieszkał w Wrightstown w New Jersey; Tacomie w stanie Waszyngton; Fayetteville w Karolinie Północnej; Hinesville w Georgii; Killeen w Teksasie; Grafenwehr w Niemczech; Seulu w Korei; Ogden w Kansas i w Watertown w stanie Nowy Jork. Wszystkie te miejsca wyglądały mniej więcej jednakowo. Wszędzie były takie same getta sieci usługowych, takie same podejrzane bary i nawet ci sami ludzie – bez przerwy spotykał kolegów ze szkół, do których chodził dwie bazy wcześniej.

Różnił ich kolor skóry, ale należeli do tej samej grupy etnicznej: wojska. Czarne dzieciaki nie mówiły jak czarne dzieciaki. Azjatyckie dzieciaki nie wyróżniały się osiągnięciami w szkole. Białe dzieciaki nie miały przeważnie problemów z dogadaniem się z dziećmi czarnymi i żółtymi. A dziewczyny знаły swoje miejsce. Wszyscy mieli takie same mamy o obfitych tyłkach wypychających legginsy, z takimi samymi, zlepiętymi lakierem, poskręcany od wałków fryzurami. Wszyscy byli generalnie mili, czuli i ugodowi, a jeśli ktoś przypadkiem okazał się inteligentny, robił, co się dało, żeby to ukryć.

Więc gdy Hiro ujrzał Juanitę po raz pierwszy – i nie tylko ją, każdą normalną dziewczynę spoza zakłętą kręgu wojskowych zasieków – miał strasznie skrzywioną perspektywę. Juanita miała długie, lśniące, czarne włosy, które z substancji chemicznych znały jedynie szampon. Nie kładła sobie sińców na powieki i pod oczami. Ubierała się spokojnie w stonowane, szyte na miarę kostiumy. I nie dawała sobie w kaszę dmuchać, nawet profesorom, co wówczas wydało mu się groźne i przebiegłe.

Gdy spotkał ją ponownie po kilku latach – które spędził głównie w Japonii, pracując wśród prawdziwych dorosłych wywodzących się z wyższej klasy społecznej niż ta, z którą miał do czynienia do tej pory, wśród ludzi zamożnych, noszących prawdziwe ubrania i wiodących prawdziwy żywot – stwierdził ze zdziwieniem, że Juanita jest elegancka i ma swój niepowtarzalny styl. Początkowo sądził, że dokonała się w niej jakaś radykalna zmiana, że była inna niż za pierwszym razem w college'u.

W tym samym czasie miał okazję odwiedzić ojca w jednym z wojskowych miasteczek i wpadł przypadkiem na licealną piękność, królową balu maturalnego. Dziewczyna ta ze zdumiewającą szybkością zamieniła się w otyłą, ubraną krzykliwie krówsko z tlenioną trwałą na głowie. Babona, który przy kasie w kantynie sylabizował nagłówki brukowców, bo nie miał dość pieniędzy, by kupić sobie szmatławca; który żuł i strzelał gumą; który miał dwoje dzieci, ale brakowało mu energii i daru przewidywania, by je wychować.

Widząc tę kobietę w kantynie, doznał spóźnionego olśnienia. Co prawda, nie był to snop światła z niebios na jego zamroczoną głowę, a raczej nikłe światełko z latarki gasnącej przy poruszeniu, ale zrozumiał... Juanita wcale się nie zmieniła od pierwszego spotkania, przeciwnie, nadal była sobą. To on się zmienił. I to radykalnie.

Pewnego razu wszedł do jej biura, mając do załatwienia jakąś pilną sprawę. Wcześniej wielokrotnie spotykali się w firmie, udawali jednak, że prawie się nie znają. Gdy wszedł, Juanita kazała mu zamknąć drzwi i włączyła wygaszacz ekranu komputera. Siedziała za biurkiem, obracając w palcach ołówki i spoglądając na niego jak na talerz nieświeżego sushi. Za jej plecami, na ścianie, wisiał amatorski rysunek przedstawiający kobietę w podeszłym wieku. Obrazek oprawiony był w starą, ozdobną ramę. Wszyscy inni hakerzy mieli na ścianach kolorowe fotografie startujących promów kosmicznych albo plakaty z serialu *Star Trek* i statkiem „Enterprise”.

– To moja zmarła babcia, niech spoczywa w spokoju – powiedziała, widząc, że przygląda się rysunkowi. – Mój wzór i ideał.

– Naprawdę? Była programistką?

Popatrzyła na niego, nie przestając obracać ołówkiem, tak jak patrzy się na amazońskiego leniwca, co do którego nie ma pewności, że zdecyduje się na kolejny oddech. Nie wyśmiała go jednak, odpowiedziała krótko: – Nie. – A potem uraczyła go pewną opowieścią. – Kiedy miałam piętnaście lat, zatrzymał mi się okres. Miałam chłopaka i używałam krążka, choć wiedziałam, że jest zawodny. Byłam dobra z matematyki i zapamiętałam stopień zawodności oddany w procentach. Wbiłam sobie te procenty do podświadomości... a może świadomości, nigdy nie wiem, która za co odpowiada. W każdym razie byłam przerażona. Mój pies zaczął traktować mnie inaczej; podobno psy wyczuwają, kiedy kobieta jest w ciąży... kiedy suka jest w ciąży...

Twarz Hiro wyrażała czujność i zdumienie. Juanita musiała zapamiętać ten wyraz, bo później często wykorzystywała go w swojej pracy. Mówiąc, nie przestawała go obserwować, analizowała ułożenie fałd na czole, lekko uniesionych brwi i zmieniających się owali oczu.

– Moja matka była bezradna. Mój chłopak nawet gorzej... mówiąc szczerze, z miejsca go rzuciłam, bo przekonałam się, że jest mi obcy, jak większość przedstawicieli twojego gatunku... – chodziło jej oczywiście o mężczyzn.

– Odwiedziła nas wtedy babcia – wskazała na rysunek. – Unikałam jej aż do obiadu. A kiedy usiedliśmy przy stole, babcia domyśliła się wszystkiego po... może dziesięciu minutach... Domyśliła się, obserwując moją twarz! Nie mówiłam wiele, jedynie: „Proszę o tortillę”, czy coś takiego. Nie mam pojęcia, w jaki

sposób moja twarz wyraziła tę informację, ani jaki zmysł pozwolił babci ją odebrać... Stworzyć niezbity fakt z pajęczyny domysłów.

„Stworzyć niezbity fakt z pajęczyny domysłów”. Hiro nigdy nie zapomniał brzmienia jej głosu, gdy wypowiadała to zdanie. Nigdy nie zapomniał uczucia, które go ogarnęło, gdy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak mądra jest Juanita.

Mówiła dalej: – Doceniłam to dopiero dziesięć lat później, gdy kończąc studia, próbowałam zbudować interfejs użytkownika przekazujący szybko wiele danych. Dostałam na to stypendium od morderców niewiniątek... – „Mordercami niewiniątek” byli ludzie z Departamentu Obrony. – Przychodziły mi do głowy różne pomysły, chciałam na przykład implantować elektrody bezpośrednio w mózgu. A potem przypomniałam sobie babcię i zdałam sobie sprawę, że... Chryste... tylko ludzki umysł jest w stanie pochłonąć i przetworzyć ogromne ilości informacji, pod warunkiem, że informacje te podane są w odpowiednim formacie. Przez odpowiedni interfejs. Wystarczy nam twarz... Chcesz kawy?

W głowie Hiro zrodziło się zatrważające pytanie: Jaki byłem naprawdę w college’u? Do jakiego stopnia zachowywałem się jak gówniarz? Co myślała o mnie Juanita?

Inny młody człowiek na jego miejscu zamartwiałby się tym w samotności, Hiro jednak nigdy nie miał oporów przed wyrażaniem nękających go wątpliwości. Tego samego dnia zaprosił ją na obiad i po paru drinkach (Juanita piła wodę sodową) wystrzelił: – Masz mnie za gówniarza?

Roześmiała się. On także wybuchnął śmiechem. Wydawało mu się, że powiedział coś dowcipnego, urokliwego i pełnego powabu.

Dopiero kilka lat później zdał sobie sprawę, że pytanie to stało się fundamentem ich znajomości. Czy Juanita istotnie miała go za gówniarza? Zawsze uważał, że tak, choć ona z uporem powtarzała, że nie. Pytanie zaważyło na ich związku, dało im asumpt do wściekłych kłótni i wspaniałego seksu, dramatycznych rozstań i namiętnych powrotów; w końcu jednak sprawiło, że odeszli od siebie. Oboje byli wyczerpani pracą, to musiało tak się skończyć. Hiro był na granicy rozstroju emocjonalnego, prześladowała go myśl, co sądzi o nim Juanita i w żaden sposób nie potrafił wytłumaczyć sobie, dlaczego tak bardzo zależy mu na jej opinii. Ona natomiast doszła do wniosku, że jeśli Hiro uważa, że nie jest jej wart, to może ukrywa przed nią coś, o czym ona nie wie.

Hiro był gotów przypisać porażkę różnicom klasowym, z tym że jej rodzice mieszkali w Mexicali, w domu z klepiskiem zamiast podłogi, a jego ojciec zarabiał więcej niż niejeden profesor uniwersytecki. Myśl ta wciąż wydaje mu się wielce prawdopodobna, bo klasa to nie tylko dochody, klasa to świadomość własnego miejsca w pajęczynie ludzkich powiązań. Juanita i jej bliscy wiedzieli, na czym stoją; ich pewność własnej pozycji graniczyła z demencją. On natomiast nie wiedział, kim jest. Jego ojciec był sierżantem majorem, matka Koreanką, której przodkowie pracowali jako niewolnicy w kopalniach Nipponu. Skąd miał wiedzieć, czy jest czarny, czy żółty, czy po prostu armijny? Czy jest bogaty, czy biedny, wykształcony czy dyletancki, utalentowany czy raczej ma fart? Dopóki nie przeniósł się do Kalifornii, nie miał nawet kawałka kraju, który mógłby nazywać domem. A czy w Kalifornii ma dom? Równie dobrze mógłby mówić, że mieszka na Północnej Półkuli. Tak więc gwoździem do trumny ich związku była ogólna dezorientacja Hiro.

Po zerwaniu z Juanitą zadowalał się przygodnymi znajomościami z dziewczynami. Towarami, na których robiło wrażenie, że pracuje dla firmy komputerowej z Krzemowej Doliny. Od niedawna muszą mu wystarczyć kobiety, na których nie trzeba wywierać wrażenia.

Juanita przez jakiś czas żyła w celibacie, a potem zaczęła spotykać się z Da5idem. Później wyszła za niego za mąż. Da5id należał do ludzi, którzy nie mają najmniejszych wątpliwości co do swego miejsca na świecie. Jego przodkowie byli rosyjskimi Żydami z Brooklynu, przez siedemdziesiąt lat mieszkali w tej samej nowojorskiej kamienicy, a przedtem, przez pięćset lat, w jakiejś wiosce na Litwie. Da5id – z Torą na kolanach – potrafił odtworzyć swoją genealogię do Adama i Ewy. Był jedynakiem, najlepszym uczniem w klasie, a kiedy zrobił dyplom z informatyki na uniwersytecie Stanforda, założył własną firmę – i wszystko to bez mrugnienia powieką i z wysiłkiem porównywalnym do tego, jaki ojciec Hiro wkładał w wynajęcie nowej skrytki na listy. Potem stał się bogaty. Jest właścicielem Czarnego Słońca. Da5id zawsze wiedział, czego chce.

Poza tym ma zawsze rację, nawet wtedy, kiedy się myli. I właśnie z tej przyczyny Hiro rzucił pracę w Systemach Czarnego Słońca, gdzie czekała go dostatnia przyszłość. Z tej samej przyczyny Juanita rozwiodła się z Da5idem dwa lata po wyjściu za niego za mąż.

Hiro nie był na ich ślubie. Spędził ten dzień w areszcie, do którego trafił jeszcze przed kawalerskim wieczorem wydawanym przez pana młodego. Zatrzymano go w Parku Żółtych Wrót, chorego z miłości, odzianego jedynie w slipy. Ciągnął koniak z megabutli Courvoisiera i ćwiczył kendo prawdziwym samurajskim mieczem. Chwiał się na muskularnych nogach i nagle wyskakiwał w powietrze, i przecinał na pół piłki do baseballa i talerze frisbee, rzucane przez pary spacerowiczów. Przecięcie mieczem na pół piłki w locie nie jest wcale łatwe. Problem w tym, że niektórzy nie potrafili docenić maestrii Hiro i wezwali policję.

Wykaraskał się z tego, płacąc za wszystkie zniszczone piłki i frisbee. Od tamtej pory przestał wypytywać Juanitę, czy ma go za gówniarza. Znał już odpowiedź.

Ich drogi rozeszły się.

Na początku istnienia Czarnego Słońca jedynym wynagrodzeniem hakerów były akcje firmy pobierane a conto przyszłych zysków. Hiro sprzedawał akcje na pniu. Juanita przeciwnie. Teraz jest bogata, a on przymiera głodem. Można by wysnuć z tego wnioski, że Hiro jest głupim inwestorem, a Juanita mądrym, sprawa jest jednak nieco bardziej skomplikowana. Juanita sporo ryzykowała, inwestując wszystkie pieniądze w akcje Czarnego Słońca. Fakt, zarobiła dużo, ale mogło być też inaczej. Hiro natomiast nie miał się nad czym zastanawiać. Gdy zachorował ojciec, wojsko wraz ze stowarzyszeniem weteranów pokryło niektóre rachunki, ale wydatki na szpital to nie wszystko. Mieli sporo długów, a matka Hiro – osoba, która prawie nie mówiła po angielsku – nie poradziłaby sobie z nimi. Po śmierci ojca sprzedał wszystkie akcje Czarnego Słońca i wysłał matkę tam, dokąd chciała wrócić – do cichej, spokojnej osady w Korei. Teraz jest szczęśliwa. Codziennie grywa w golfa.

Mógłby nie sprzedawać akcji i mieć z nich po roku – gdy firma weszła na giełdę – jakieś dziesięć milionów dolarów, ale matka mieszkałaby wówczas na ulicy. Gdy teraz spotyka się z nią w Metawersie, gdy widzi jej opaloną twarz i radość z golfowych przewag, uważa, że fortuna mu sprzyja. Nie opłaci tym czynszu, ale nic to! Może mieszkać pod mostem, bo ma przecież Metawers, a w Metawersie Hiro jest rycerzem i księciem.

8

Piecze go język. Zapomniał o przełknięciu piwa. W rzeczywistości.

Na ironię zakrawa fakt, że Juanita pojawiła się tu w tandetnym, czarno-białym awatarze. Była przecież osobą, która wymyśliła, jak sprawić, by awatary ukazywały coś w rodzaju emocji. Hiro nigdy nie zapomina o tym fakcie, bo gdy byli razem, to Juanita wykonała większość pracy i zawsze, gdy widzi zdziwionego, rozgniewanego lub rozanielonego awatara, widzi echo siebie i Juanity – Adama i Ewy Metawersu. O czymś takim trudno zapomnieć.

Tuż po rozwodzie Juanity z Da5idem, Czarne Słońce wypłynęło na szerokie wody. I gdy podliczyli pieniądze, sprzedali nadwyżki akcji i nacieszyli się pochlebstwami innych z hakerskiej społeczności, zdali sobie sprawę, że za powodzeniem tego miejsca nie kryły się algorytmy unikania zderzeń, demony-bramkarze czy tym podobne rzeczy. O sukcesie zadecydowały twarze Juanity.

Wystarczy zapytać biznesmenów z Nippońskiego Kwadrantu. Przychodzą tu rozmawiać o interesach w garniturach z całego świata i uważają, że jest to tak samo dobre jak kontakt twarzą w twarz w rzeczywistości. Zazwyczaj nie zwracają uwagi na to, co się mówi – wiele werbalnych niuansów i tak umyka w tłumaczeniu. Koncentrują się natomiast na wyrazie twarzy i języku ciała ludzi, z którymi rozmawiają. I dzięki temu wiedzą, co dzieje się w czyjejs głowie – tworzą fakty z pajęczyny domysłów.

Juanita nie chciała analizować tego problemu; twierdziła, że jest to coś, czego nie da się zamknąć w słowach. Będąc radykalną, odmawiającą różaniec katoliczką, przyjmowała to jako coś naturalnego. Ale bitogłowym nie mogło się to podobać. Mówili, że to irracjonalny mistycyzm. Wycofała się więc i znalazła pracę w jakiejś nippońskiej firmie. Nippończycy nie mają problemów z irracjonalnym mistycyzmem pod warunkiem, że można na nim zarobić.

Juanita przestała odwiedzać Czarne Słońce. Po części dlatego, że była wkurwiona na Da5ida i innych hakerów, którzy nie doceniali jej pracy. Przede wszystkim jednak doszła do wniosku, że cała rzecz to humbug. Że, bez względu na to jak jest dobry, Metawers zniekształca sposób, w jaki ludzie rozmawiają ze sobą, a ona nie chciała takich zniekształceń w swoich stosunkach z ludźmi.

Da5id zauważa obecność Hiro. Mrugnięciem oka wskazuje, że pora nie jest odpowiednia. Zazwyczaj tego rodzaju subtelności gubią się w szumach systemu, ale Da5id ma bardzo dobry komputer osobisty i awatar, nad którym pracowała Juanita – więc komunikat ma cechy serii z karabinu maszynowego.

Hiro odwraca się, wchodzi leniwie na orbitę wielkiego, okrągłego baru. Większość z sześćdziesięciu czterech stołków barowych zajmują przedstawiciele niższych szczebli przemysłu. Zbierają się w pary lub trójki i robią to, co potrafią najlepiej: plotkują i intrygują.

- ... więc umawiam się z reżyserem na rozmowę o scenariuszu. Facet ma domek na plaży...
- Niesamowite!
- Nie wkurwiał mnie.
- Słyszałem. Debi była tam na przyjęciu, kiedy domek należał do Franka i Mitzi.
- No dobra... więc jest taka scena na początku, kiedy główny bohater budzi się na śmietniku. Chodzi o to, żeby pokazać, jaki jest przybity...
- Szalony wyraz...
- Dokładnie.
- Świetne!

– Wiem, też mi się podoba. Ale on chce ją zastąpić sceną, w której facet jest na pustyni z pancerfaustem i strzela do starych samochodów na złomowisku.

– Żartujesz!

– No więc, siedzimy na tym jebanym patio nad plażą, a on powtarza w kółko: „Pierduut! Pierduut!”, udając cholerną bazookę. Odbiło mu na jej punkcie. Wiesz o co mi chodzi: mam przed sobą faceta, który chce pokazać pancerfausta w filmie! Więc musiałem go przekonać, żeby tego nie robił.

– Ładna scena. Ale masz rację. Pancerfaust to nie to samo co śmietnik.

Hiro stoi na tyle długo, by zarejestrować tę rozmowę, a potem rusza dalej. Wywołuje Tablicę z magiczną mapą, odnajduje swoje położenie i odczytuje nazwisko scenarzysty spod baru. Później przeszuka publikacje filmowe, by stwierdzić, nad jakim scenariuszem pracuje ów gość, co umożliwi mu odnalezienie nazwiska tajemniczego reżysera, który kocha bazooki. Ponieważ cała rozmowa przebiegała w komputerze, Hiro zarejestrował ją na taśmie. Po odpowiednim zamaskowaniu głosów, załaduje ją do Biblioteki z odnośnikami do nazwiska reżysera. Setki walczących o chleb scenarzystów wywołają tę rozmowę, będą jej słuchać do upadłego, nauczą się jej na pamięć – płacąc Hiro za ten przywilej – a po kilku tygodniach zarzucą biuro reżysera scenariuszami z pancerfaustem. Pierduut!

Kwadrant Gwiazd Rocka jest tak jaskrawy, że trudno na niego patrzeć. Awatary mają fryzury, o których ludzie ci mogą jedynie marzyć w rzeczywistości. Hiro sprawdza, czy nie ma tam jego znajomych, ale dziś przy barze siedzą jedynie pasożyty i upadłe gwiazdy. Znajomi Hiro należą do kategorii gwiazd *in statu nascendi*.

Kwadrant Gwiazd Filmowych jest przyjemniejszy dla oka. Aktorzy uwielbiają tu przychodzić, bo w Czarnym Słońcu wyglądają tak samo dobrze jak w filmach. W przeciwieństwie do barów czy klubów w rzeczywistości, mogą zbierać się tu, nie wychodząc z domów, apartamentów hotelowych, pensjonatów w górach, prywatnych samolotów itp. Mogą puszyć się i spotykać znajomych, nie narażając się na niebezpieczeństwo kontaktów z porywaczami, fotoreporterami, autorami scenariuszy, zabójcami, byłymi małżonkami, zbieraczami autografów, komornikami, psychotycznymi wielbicielami, łowcami posagów i dziennikarzami z kronik towarzyskich.

Hiro wstaje ze stołka i wraca na orbitę, przenosząc wzrok na Kwadrant Nippoński. Jak zwykle siedzi tu wielu facetów w garniturach. Niektórzy rozmawiają z gringo z przemysłu. Duża część kwadrantu w tylnym rogu została okresowo zasłonięta.

I znów Tablica. Hiro dowiaduje się, które stoły stoją za zasłoną i zaczyna odczytywać nazwiska. Jedyne, które zna, należy do Amerykanina, L. Boba Rife’a, monopolisty telewizji kablowej. Prawdziwie wielka postać z przemysłu, choć rzadko widywana. Wokół Rife’a siedzi tłum nippońskich ważniaków. Hiro każe komputerowi zapamiętać ich nazwiska. Później sprawdzi je w bazie danych CKW i przekona się, do kogo należą. Wydaje się, że za przepierzeniem odbywa się duże i ważne spotkanie.

– Jak ci leci, tajny agencie?

Hiro odwraca się. Juanita stoi tuż za jego plecami, wyróżniając się spośród tłumu czarno-białym awatarem. Ale i tak wygląda dobrze.

– Co u ciebie? – pyta.

– W porządku. A u ciebie?

– Wspaniale. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko rozmawianiu ze mną w postaci faxu.

– Wolę ciebie jako fax niż większość kobiet na żywo.

– Dzięki, podstępny sukinsynu. Dawno nie rozmawialiśmy... – stwierdza, jakby było to coś niezwykłego. Zatem coś wisi w powietrzu.

– Mam nadzieję, że nie będziesz bawił się Zamiecią – mówi. – Daśid nie chce mnie słuchać.

– Uważasz mnie za mnicha? Wiesz, że jestem facetem, który będzie bawił się tym, czym nie wolno.

– Znam cię lepiej, Hiro. Jesteś impulsywny, ale i sprytny. Masz odruchy mistrza miecza.

– Co to ma wspólnego z braniem narkotyków?

– Ma. Wyczuwasz nadchodzące zło, potrafisz mu przeciwdziałać. To instynkt, tego nie można się nauczyć. Gdy tylko się odwróciłeś, na twojej twarzy pojawił się wyraz czujności. „Coś się dzieje... Juanita ma dla mnie jakąś niespodziankę”.

– Nie wiedziałem, że kontaktujesz się z ludźmi przez Metawers.

– Czasami... jeśli zależy mi na szybkim załatwieniu sprawy – oznajmia. – No i zawsze z tobą.

– Dlaczego ze mną?

– Wiesz przecież. Byliśmy razem. Pamiętasz? Byliśmy ze sobą, kiedy pisałam to wszystko... i dlatego jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy mogą odbyć szczerą rozmowę w Metawersie.

– Nic się nie zmieniłaś. Wciąż ten sam pokrętny mistycyzm... – Uśmiecha się, by ostatnie zdanie zabrzmiało czarująco.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo pokrętna i mistyczna jestem obecnie.

– Jak bardzo?

Spogląda na niego uważnie. Tak samo jak przed wielu laty, gdy po raz pierwszy wszedł do jej biura.

Zaczyna się zastanawiać, dlaczego Juanita jest zawsze taka spięta w jego obecności. Na studiach wydawało mu się, że obawia się jego intelektu, ale po tych wszystkich latach wie, że to akurat najmniej ją martwi. Gdy pracowali w Systemach Czarnego Słońca, uważał to za typową kobiecą ostrożność – Juanita bała się, że Hiro chce dobrać się do jej majątek. Ale teraz ten problem zniknął.

Mając za sobą pewne doświadczenie w sprawach męsko-damskich, wymyślił nową teorię: Juanita jest ostrożna, bo go lubi. Hiro jest kuszącym, acz nieodpowiednim partnerem – dokładnie takim, jakiego mądre dziewczyny powinny unikać.

Dokładnie o to chodzi. Nie ma to jak doświadczenie przychodzące z wiekiem.

Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, mówi: – Mam znajomego, którego powinieneś poznać. Dżentelmena i naukowca nazwiskiem Lagos. Fantastycznie się z nim rozmawia.

– To twój chłopak?

Rozważa to pytanie, jakby chciała udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

– W przeciwieństwie do mojego postępowania w Czarnym Słońcu, obecnie nie pierdolę się z każdym mężczyzną, z którym pracuję. A nawet gdybym to robiła, Lagos nie wchodzi w grę.

– Nie jest w twoim typie?

– Absolutnie nie.

– A tak nawiasem mówiąc, jaki jest twój typ?

– Uwielbiam starych, bogatych blondynów bez wyobraźni, o stałym zatrudnieniu.

Nie od razu pojmuje, o co jej chodzi. W końcu jednak chwyta.

– Mógłbym się przefarbować. I kiedyś się zestarzeję.

Juanita wybucha śmiechem. Jakby chciała rozładować napięcie.

– Wierz mi, Hiro, jestem ostatnią osobą, z którą chciałbyś się teraz związać.

– Masz na myśli te sprawy kościelne? – pyta. Juanita dzięki zarobionym pieniądзом stworzyła coś w rodzaju nowego odłamu katolicyzmu – uważa się za misjonarkę wśród inteligentnych ateistów świata.

– Nie bądź protekcyjny – odpowiada. – Walczę z ludźmi o takim nastawieniu. Religia nie jest dla prostaków.

– Przepraszam. Ale to niesprawiedliwe... Możesz czytać w mojej twarzy jak w otwartej książce, a ja widzę cię przez cholerną śnieżycę!

– Wracając do tematu: owszem, ma to ogromny związek z religią. Jednak wszystko jest tak skomplikowane, a twoja znajomość tematu tak nikła, że nie wiem, od czego zacząć.

– W szkole średniej co niedzielę chodziłem do kościoła. Śpiewałem w chórze.

– Wiem. Właśnie na tym polega problem. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z tego, co dzieje się w kościołach, nie ma nic wspólnego z religią. Inteligentni ludzie zauważają to prędzej czy później i dochodzą do wniosku, że całe sto procent jest diabła warte i dlatego ateizm kojarzy się najczęściej z byciem inteligentnym.

– Więc żadna z tych rzeczy, o których słyszałem w kościele, nie ma nic wspólnego z tym, o czym mówisz?

Juanita zastanawia się przez chwilę i mierzy go wzrokiem. A potem wyciąga z kieszeni hiperkartę. – Masz. Weź to.

Gdy karta przechodzi z ręki do ręki, zmienia się radykalnie jej wygląd: z szarawej, niezbyt wyraźnej kartki staje się trójwymiarowym, kremowym arkuszem o wyrazistej fakturze. Na hiperkarcie widnieją dwa słowa wypisane lśniącym, czarnym atramentem.

BABEL (Infokalipsa)

9

Świat zamiera i ciemnieje na chwilę. Czarne Słońce traci płynną animację, obrazy zmieniają się klatka po klatce. Komputer dostał potężnego kopa: wszystkie obwody zajęte są obrabianiem olbrzymiego pakietu danych – zawartości hiperkarty – i nie mają czasu rysować Czarnego Słońca ze stuprocentową, zapierającą dech w piersiach wiernością.

– Niech mnie szlag! – woła, gdy Czarne Słońce wraca do normalnych kształtów. – Co to jest, do cholery! Załadowałaś mi połowę Biblioteki?

– Razem z Bibliotekarzem – odpowiada Juanita – który pomoże ci przebrnąć przez to wszystko. I mnóstwo taśm wideo z L. Bobem Rifem, a te, jak wiesz, zajmują największą miejscę.

– No dobrze. Zerknę na to w wolnej chwili – mówi sceptycznie Hiro.

– Powinieneś. W przeciwieństwie do Da5ida, jesteś na tyle sprytny, by na tym skorzystać. A tymczasem

trzymaj się z daleka od Kruka i nie dotykaj Zamieci. Dobrze?

– Kim jest Kruk? – pyta. Ale Juanita jest już w połowie drogi do drzwi. Modne awatary odprowadzają ją wzrokiem. Gwiazdy filmowe patrzają na nią szyderczo, a hakerzy zaciskają usta i milcząco okazują szacunek.

Hiro wraca do Kwadrantu Hakerów. Da5id przekłada hiperkarty na stole – wyniki finansowe Czarnego Słońca, klipy filmowe i wideo, programy demonstracyjne i numery telefonów.

– Za każdym razem, gdy stajesz w drzwiach, nasz system operacyjny dostaje czkawki – wita go Da5id. – W takich chwilach widzę oczami duszy, jak Czarne Słońce zmierza ku zapaści.

– To Tablica – odpowiada Hiro. – Mam w niej podprogram, który zajmuje na chwilę niższe obszary pamięci.

– No właśnie! Błagam cię na wszystkie świętości: wyrzuć to świństwo!

– Co? Tablicę?

– Owszem. Kiedyś, być może, było to dosyć ciekawe rozwiązanie, obecnie przypomina siekierę, którą naprawiasz reaktor jądrowy.

– Dzięki.

– Jeśli zgodzisz się uaktualnić ją do czegoś mniej niebezpiecznego, dam ci wszystkie potrzebne adresy – mówi Da5id. – Nie neguję twoich umiejętności. Stwierdzam tylko, że powinieneś dotrzymywać kroku czasom.

– Kurewsko trudno – oznajmia Hiro. – Nie ma już miejsca dla wolnego hakerza. Trzeba mieć poparcie wielkiej korporacji.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem również, że nie mógłbyś pracować dla dużej firmy. Dlatego obiecuję, że dam ci wszystko, czego będziesz potrzebował. Jesteś przecież częścią historii tego miejsca, choć musieliśmy się rozstać...

Klasyczny Da5id. Myśli sercem, a nie głową. Gdyby nie został hakerem, z pewnością niczego by w życiu nie osiągnął. Tak myśli Hiro.

– Pomówmy o czymś innym – Hiro zmienia temat. – Czy mi się śniło, czy znów odzywacie się do siebie z Juanitą?

Da5id uśmiecha się pobłaźliwie. Od czasu Rozmowy – która miała miejsce kilka lat temu – Da5id jest bardzo wobec niego uprzejmy. Rozmowa zaczęła się jak zwykła pogaduszka towarzyszy broni przy piwie i ostrygach. Dopiero po trzech kwadransach Hiro zdał sobie sprawę, że właśnie stracił pracę. Od tamtej pory Da5id – jakby na skutek wyrzutów sumienia – podrzuca Hiro przydatne plotki i informacje.

– Wyruszyłeś na łowy? – stwierdza, bardziej niż pyta, Da5id. Jak większość bitogłowych jest naiwny jak dziecko, chociaż wydaje mu się, że jest wcieleniem Machiavellego.

– Coś ci powiem, facet – zaczyna Hiro. – Większość rzeczy, o których mówimy, nigdy nie trafia do Biblioteki.

– Dlaczego? Cholera, sprzedaję ci najlepsze plotki! Myślałem, że na tym zarabiasz.

– Nie potrafiłbym – stwierdza Hiro. – Nie potrafiłbym handlować rozmowami o charakterze osobistym. Dlaczego uważasz, że cienko przędę?

Jest jeszcze coś, o czym Hiro nigdy nie wspomina, a co według niego rozumie się samo przez się: otóż, Hiro uważa się za równego Da5idowi i nie zniósłby myśli, że musi żywić się okruszkami z pańskiego stołu.

– Cieszę się, że Juanita nas odwiedziła... nawet w czerni i bieli... – mówi Da5id. – Jej niechęć do Metawersu przypominałaby awersję Alexandra Grahama Bella do telefonu.

– Po co przysła dzisiaj?

– Coś ją niepokoi – stwierdza Da5id. – Chciała wiedzieć, czy widziałem na Ulicy pewnych ludzi.

– Kogoś szczególnie?

– Niepokoi ją taki naprawdę duży facet z długimi, czarnymi włosami – mówi Da5id. – Handluje czymś o nazwie... słuchaj uważnie... Zamieć!

– Sprawdziła w Bibliotece?

– Taa... tak przypuszczam.

– Widziałeś go?

– O tak. Nietrudno go zauważyć – uśmiecha się. – Jest przed drzwiami. Dostałem od niego coś takiego.

Spogląda na stół, podnosi jedną z hiperkart i pokazuje ją Hiro.

ZAMIEĆ

w celu otrzymania darmowej próbki
przedrzyj kartę na pół

– Wiesz co, Da5id – zaczyna Hiro. – W głowie mi się nie mieści, że wziąłeś hiperkartę od czarno-białego.

Da5id wybucha śmiechem.

– Nie te czasy, stary druhu. W moim systemie jest tyle programów antywirusowych, że nic się tu nie przedostanie. Codziennie dostaję tony zawirusowanego gówna od najprzeróżniejszych ludzi, którzy tu przychodzą. Czasami wydaje mi się, że kieruję oddziałem zakaźnym. Mimo to, śmiem twierdzić, że nie muszę obawiać się zawartości tej hiperkarty.

– No cóż, w takim razie jestem ciekaw, co na niej jest – mówi Hiro.

– Ja też – odpowiada z uśmiechem Da5id.

– Prawdopodobnie przeżyjemy rozczarowanie.

– Prawdopodobnie natkniemy się na animoreklamę – Da5id kiwa głową. – Myślisz, że powinienem...?

– Jasne – stwierdza Hiro. – Niecodziennie można spróbować nowego narkotyku.

– Można, jeśli się chce – mówi ze znanstwem Da5id. – Ale niecodziennie znajduje się taki, który nic ci nie może zrobić.

Podnosi hiperkartę i przedziera ją na pół.

Przez sekundę nic się nie dzieje.

– Czekam – niecierpliwi się Da5id.

Na stojącym przed nim blacie pojawia się awatar, najpierw jest bezkształtny i przezroczysty, jednak stopniowo nabiera ciała i trójwymiarowości. Banalna sztuczka. Da5id i Hiro wybuchają śmiechem.

Awatar jest gołą Brandy. W zasadzie nawet nie oryginalną Brandy, a jakąś tandetną, tajwańską imitacją. Bez wątplenia jest to demon. Trzyma w rękach dwie rury wielkości rolek papierowych ręczników.

Da5id odchyła się w krzesło, podziwia przedstawienie. W całej scenie jest coś absurdalnie wulgarnego.

Brandy pochyła się, przyzywa gestem Da5ida, który z szerokim uśmiechem kieruje głowę w jej stronę. Jaskrawe, rubinowoczerwone usta demona dotykają ucha Da5ida, Brandy szepcze coś, czego Hiro nie może usłyszeć.

Gdy Brandy odsuwa głowę, wyraz twarzy Da5ida ulega zmianie. Jest martwy, jakby oszołomiony. Może Da5id istotnie wygląda w ten sposób w rzeczywistości, a może Zamieć zmieniła jego awatar, który nie odzwierciedla już prawdziwego Da5ida. Patrzy teraz przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Brandy unosi dwie rury przed nieruchomą twarzą Da5ida i przesuwają je z góry na dół. Między rurami pojawia się zwój. Zwój rozwija się przed oczami Da5ida jak płaski, dwuwymiarowy ekran. W zahipnotyzowanym obliczu Da5ida odbija się sinawe światło emitowane przez zwój.

Hiro obchodzi stół, by spojrzeć na to, co widzi Da5id. Zerka na zwój, lecz w tej samej chwili Brandy kończy pokaz. Hiro dostrzegł jedynie żywą ścianę światła jak w płaskim kineskopie telewizora. Zwykła statyka. Biały szum. Śnieg.

Brandy znika. Nie ma już po niej śladu. Przy kilku stołach w Kwadrancie Hakerów rozlegają się przypadkowe, sarkastyczne oklaski.

Da5id jest już normalny, uśmiecha się z wyższością, ale też z zażenowaniem.

– Co to było? – pyta Hiro. – Widziałem tylko śnieg na końcu.

– Widziałeś wszystko – mówi Da5id. – Wzorek z czarno-białych pikseli o stosunkowo dużej rozdzielczości. Kilkaset tysięcy jedynek i zer, na które miałem popatrzeć.

– Inaczej mówiąc, ktoś potraktował twój nerw wzrokowy setkami tysięcy bajtów informacji – stwierdza Hiro.

– Po co ktoś miałby przekazywać mi informacje w systemie binarnym? Nie jestem komputerem. Nie czytam map bitowych.

– Uspokój się, chłopie. Nabieram cię – mówi Hiro.

– Wiesz, co to było?

– Nie.

– Demo, które nie odpaliło. Jakiś haker chciał mi pokazać program. Wszystko było okay, dopóki Brandy nie rozwinęła zwoju. Program był do dupy i pojawiła się zamieć. Zamiast demo obejrzałem śnieg.

– No dobra, tylko dlaczego to się nazywa Zamieć?

– Wisielczy humor. Facet wiedział, że nie odpali.

– A co ta Brandy szepnęła ci do ucha?

– Nie wiem. Mówiła w jakimś języku, którego nie rozpoznałem. Coś jakby... babble..

Babble. Babel.

– Wyglądałeś na niezłe kopniętego.

Da5id wpada w złość.

– Wcale nie byłem kopnięty. Wszystko było dosyć dziwne i chyba mnie odrzuciło.

Hiro patrzy na niego z powątpiewaniem. Da5id zauważa to i wstaje zza stołu.

– Chcesz zobaczyć, co robi twoja nipponńska konkurencja?

– Jaka konkurencja?

– Projektowałeś kiedyś awatary dla gwiazd rocka, prawda?

– Wciąż to robię.

– No właśnie. A dzisiaj odwiedził nas Sushi K.

– Aha. Ten z włosami jak Droga Mleczna.

– Fakt. Nawet z tego miejsca widzę promienie – Da5id wskazuje ręką sąsiedni kwadrant. – Chciałbym jednak obejrzeć gościa w całości.

Kwadrant Gwiazd Rocka wygląda tak, jakby wschodziło w nim słońce. Ponad głowami tłumu awatarów unosi się wachlarz pomarańczowych promieni. Wachlarz porusza się, odwraca, drży to z jednej, to z drugiej strony, a cały wszechświat rocka obraca się wokół niego. Na Ulicy fryzura Sushi K. podlegałaby przepisom normującym wysokość i szerokość awatarów. Tu, w Czarnym Słońcu, Da5id jest liberalny wobec środków wyrazu, więc pomarańczowe promienie sięgają granic posiadłości.

– Ciekawe, czy ktoś mu powiedział, że Amerykanie nie kupią rapu od Japończyka? – zastanawia się głośno Hiro, idąc w stronę gwiazdy.

– Może ty powinieneś go o tym poinformować – proponuje Da5id. – Możesz skasować go za usługę. Jest teraz w LA, wiesz?

– I pewnie mieszka w hotelu razem z bandą pochlebców, którzy wmawiają mu, że zostanie gwiazdą. Zdaje się, że przydałby mu się kontakt z prawdziwą biomasą.

Wchodzą w wąską szczelinę, która otworzyła się pośród stłoczonych ciał.

– Biomasą? – pyta Da5id.

– Żywą materią. To termin ekologiczny. Bierzesz hektar amazońskiego lasu albo kilometr sześcienny oceanu, albo milę kwadratową Compton i wyciskasz z niej wszystko, co żyje. Po odcedzeniu ziemi i wody zostaje ci biomasa.

Bitogłowy Da5id mówi: – Nie rozumiem. – Jego głos brzmi jakoś dziwnie. Do przekazu audio wkradają się białe szumy.

– Zapytaj o to facetów z przemysłu – radzi mu Hiro. – Przemysł żywi się ludzką biomasą Ameryki. Jak wieloryb kryłem z oceanu.

Hiro klinuje się między dwoma nippońskimi biznesmenami. Pierwszy ubrany jest w przepisowy, granatowy garnitur. Drugi nosi się w sposób neo-tradycyjny i ma na sobie czarne kimono. Podobnie jak Hiro, ma przy sobie dwa miecze: długi *katana* przy lewym biodrze i *wakizashi* wsunięty za pas. Wymieniają z Hiro spojrzenia świadczące o zainteresowaniu bronią. Hiro odwraca głowę i udaje, że niczego nie widział, natomiast neotradycjonalista zamiera w bezruchu z opadniętymi kącikami ust. Hiro wie, jak to się skończy, doświadczył już tego wiele razy. Za chwilę Nippończyk wyzwie go na pojedynek.

W tłumie widać jakieś poruszenie. Ludzie usuwają się na boki, a w kierunku Hiro sunie coś wielkiego i upartego. Awatary ustępują mu z drogi lub są popychane to w tę, to w drugą stronę. W Czarnym Słońcu jest tylko jedna rzecz, która może zachowywać się w ten sposób. Demon. Bramkarz.

Tym razem nadchodzi ich cała banda. Goryle w smokingach. Prawdziwe goryle. Idą w stronę Hiro.

Próbuje się wycofać, ale coś staje mu na przeszkodzie. Odwraca się. Cholerna Tablica. W końcu się doigrał. Próbuje wyjść z baru.

– Da5id – krzyczy. – Odwołaj ich, człowieku. Zaraz wyłączę Tablicę.

Ludzie stojący w pobliżu spoglądają nad jego ramieniem, ich twarze oświetla jaskrawa iluminacja.

Hiro odwraca się ponownie, szukając Da5ida. Ale Da5ida już nie ma.

Na jego miejscu pojawiła się błyszcząca chmura złej, cyfrowej karmy. Jest tak jaskrawa, ruchliwa i bezsensowna, że boli, gdy się na nią patrzy. Zmienia kolory, błyska czernią i bielą i znów zapala się tęczowym widmem niczym dyskotekowe światła. Własne granice nie stanowią dla niej przeszkody. Co jakiś czas strzela na zewnątrz cienkimi jak włos liniami pikseli, które szybują przez Czarne Słońce i przebijają ściany. W środku chmury panuje nieopisany zamęt; raz po raz pojawiają się w niej zarysy linii i wielokątów, które nie znajdując wspólnego środka, rozrywają się niczym szrapnele i fruują po sali, zawadzając o awatary, mrugając i znikając.

Gorylom to nie przeszkadza. Wsuwają włochate łapska w sam środek rozpadającej się chmury i jakimś cudem podnoszą ją do góry i wynoszą ku wyjściu. Gdy przechodzą obok, Hiro zagląda w bezkształtną masę i widzi coś, co przypomina twarz Da5ida oglądaną przez zbitą szybę. Twarz znika. Podobnie jak awatar wykopany ze znanstwem przez frontowe drzwi, wznoszący się płaskim łukiem nad horyzontem Ulicy. Hiro spogląda ku pustemu miejscu za stołem Da5ida. Wokół tłoczą się zaszokowani hakerzy. Niektórych замуrowało, inni chichoczą pod nosem.

Da5id Meier, największy z hakerów, jeden z ojców założycieli Metawersu, twórca i właściciel słynnego Czarnego Słońca, doświadczył właśnie awarii systemu. Został wyrzucony z własnego baru przez swoje własne demony.

otwieranie kajdanek. Obecnie nie projektuje się tego rodzaju sprzętu z myślą o trwałym unieruchomieniu buzy – po cóż byłyby wówczas miliony przedstawicielstw Mamra? A utrwalony społeczny status rolkarzy jako prześladowanej grupy etnicznej oznacza, że każdy z jej członków jest mistrzem w uciekaniu.

Ale najpierw to, co najważniejsze. D.U. ma mnóstwo rzeczy ukrytych w uniformie o stu kieszeniach – dużych, płaskich kieszeniach na pocztę i małych, wąskich kieszonkach na sprzęt; kieszeniach wszytych w rękawy, nogawki, gdzie się da. Ekwipunek chowany w owych wielozadaniowych kieszeniach jest z natury rzeczy mały, lekki i wszechstronny. Są tam ołówki, pisaki, latarki, scyzoryki, wytrychy, skanery kodów kreskowych, flary, śrubokręty, kastety w płynie, obezwładniacze i paralizatory. Na prawym udzie D.U. spoczywa kalkulator, służący również jako taksometr i stoper.

Na drugim udzie D.U. ma telefon. Gdy kierownik zamyka drzwi, telefon zaczyna dzwonić. D.U. podnosi go wolną ręką. Słyszy mamę.

– Cześć, mamo... W porządku, a ty? Jestem u Tracy... Tak, wybrałyśmy się do Metawersu... Powygłupiałyśmy się trochę pod arkadami na Ulicy... Mnóstwo nowych gier... Taaak, miałam ładny awatar... Niiieeee, mama Tracy obiecała, że mnie później odwiedzie. Może zatrzymamy się na chwilę w Wesołym Przystanku przy Wiktorii... Dobrze... Spij spokojnie, mamo. Ja też cię kocham... Pa.

Naciska guzik z dwoma runicznymi błyskawicami. *Flash* przerywa połączenie z mamą i w mgnieniu oka daje jej nowy sygnał.

– Blokada – mówi D.U. do telefonu.

Telefon pamięta numer Blokady i wybiera go automatycznie.

W słuchawce wyje. To powietrze uderzające w mikrofon telefonu Blokady z oszałamiającą prędkością. W tle słychać także szum wielu opon na jezdni; głębsze tony to dziury. Sądząc po jakości asfaltu, Blokada jedzie Venturą.

– Ty, D.U. – mówi Blokada. – Co jest?

– Co z tobą?

– Surfuję Turą. Gdzie cię boli?

– Mam masaż w Mamrze.

– Uau! Kto cię zwinął?

– MetaGliny. Załatwili mnie gumoletem przy bramie Białych Kolumn.

– Stolcowo. Kiedy wychodzisz?

– Niedługo. Może byś wpadł i mi pomógł?

– A konkretnie?

Mężczyźni.

– Konkretnie, wiesz, pomógł mi. Jesteś moim chłopakiem – mówi D.U. prosto i wyraźnie. – Jesteś od tego, żeby mi pomagać, jak mnie zwijają. – Cholera, nie nauczyli go tego w domu? Coś jest nie tak ze współczesną rodziną.

– No... gdzie jesteś?

– Kup & Siup numer 501 762.

– Jestem w drodze do Bernie i mam super-ultra.

Co oznacza, że jedzie do San Bernardino z super-ultra-błyskawiczną przesyłką. Co oznacza: masz pecha.

– Dobra, dzięki za nic.

– Przykro.

– Płyn bezpiecznie – kończy D.U. z charakterystycznym kurierskim sarkazmem.

– W twoje ręce – żegna się Blokada. Wycie ustaje.

Co za palant! Ma z głowy następną randkę. Tymczasem trzeba znaleźć kogoś, kto winny jest jej przysługę. Jest taki facet, problem w tym, że może okazać się downem. Mimo to trzeba spróbować.

– Słucham – odzywa się w telefonie. Dyszy ciężko, a w tle słychać kilka syren.

– Hiro Protagonista?

– Tak. Kto mówi?

– D.U. Gdzie zdychasz?

– Na parkingu Hipersamu przy Oahu.

Mówi prawdę. D.U. słyszy stukot kopulujących analnie sklepowych wózków.

– Jestem trochę zajęty, Daewoo, ale powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nazywam się D.U. – poprawia go. – I możesz pomóc mi wydostać się z Mamra. – Opowiada mu szczegóły.

– Jak długo tam siedzisz?

– Dziesięć minut.

– Dobra, przepisy mówią, że kierownik Mamra musi sprawdzić zatrzymanego pół godziny po przejściu.

– Skąd wiesz? – pyta oskarżycielsko.

– Rusz głową. A teraz słuchaj, po wyjściu kierownika odczekaj jeszcze pięć minut i wykonaj ruch. Spróbuję ci pomóc. Jasne?

– Jasne.

Dokładnie po dwudziestu minutach słyszy szcęk otwieranych drzwi. Zapalają się lampy. KnoktoWizjer chroni ją przed bolesnym ukłuciem światła. Kierownik przesuwając się chyłkiem w jej stronę i gapi się na nią, gapi się na nią stosunkowo długo. Najwyraźniej coś go kusi. Ułamek sekundy, przez jaki widział gołe ciało, odbijał się rykoszetem w jego mózgu przez minione pół godziny. Nieszczęśnik rujnuje sobie umysł pytaniami o kosmologicznym wymiarze. D.U. ma nadzieję, że nie przyjdzie mu nic głupiego do głowy, bo czasami trudno przewidzieć, jak zachowa się dentata.

– Decydujesz się, kutasie? – pyta go.

Zadziałało. Potężna fala kolejnego szoku kulturowego wyrzuca Dżyka z jego etycznej pułapki. Rzucił D.U. pełne pogardy spojrzenie. Suka! Zmusiła go, żeby jej pożałował, żeby się podniecił, żeby przez pół godziny czuł zamęt w głowie. Nie musiała dać się aresztować, prawda? Więc teraz jest na nią zły. Ma do tego święte prawo!

Czy to możliwe, żeby jej ziomkowie wymyślili szczepionkę przeciw polio?

Odwraca się, podchodzi do schodów, gasi światło, zamyka drzwi.

D.U. sprawdza czas. Nastawia sygnał alarmowy w zegarku na pięć minut (mówiąc szczerze, jest jedyną Amerykanką, która wie, jak nastawić alarm w zegarku), po czym wyciąga z kieszeni zestaw wytrychów. Z innej – cienką jak palec latarkę. W wąskim promieniu światła odnajduje płaską stalową sprężynę i wpycha ją we wnętrze kajdanków. Zwalnia sprężynowy zacisk. Obręcz, która poprzednio tylko się zaciskała, odskakuje od zimnej rury.

Mogłaby zdjąć kajdanki z nadgarstka, ale dochodzi do wniosku, że są ładną ozdobą. Zamyka otwartą obręcz na ręce tuż obok drugiej – ma teraz oryginalną, podwójną bransoletkę. Coś takiego, co nosiła jej mama w czasach, gdy była punkową.

Stalowe drzwi są zamknięte, ale przepisy bezpieczeństwa obowiązujące w Kup & Siup wymagają wyjścia awaryjnego na wypadek pożaru. W piwnicy wyjściem awaryjnym jest zakratowane okno, obok którego znajduje się dzwignia alarmu przeciwpożarowego z opisem w wielu językach. W zielonkawym świetle latarki czerwień wygląda jak czerń. D.U. czyta instrukcję po angielsku, powtarza ją dwukrotnie w pamięci i czeka na upływanie wyznaczonych pięciu minut. Skraca sobie czas, czytając instrukcję obsługi wyjścia awaryjnego we wszystkich obcych językach, i próbuje zgadnąć, który z nich jest którym. Ale według D.U. wszystkie wyglądają jak taxilinga.

Szyba w oknie jest tak brudna, że trudno cokolwiek przez nią dojrzeć, D.U. zauważa jednak jakiś cień. Hiro.

Po dziesięciu sekundach odzywa się alarm w zegarku. D.U. ciągnie dzwignię przeciwpożarową. Terkocze dzwonek. Kraty odsuwają się z chrzęstem i tak wolno, że D.U. dziękuje Bogu, że nie wybuchł prawdziwy pożar. W końcu droga jest wolna. Wyrzuca na zewnątrz deskę i wskakuje na parapet, a za nią otwierają się drzwi. Zanim kierownik odnalazł święty pstryczek od światła, D.U. skręca ostro na frontowy parking, na którym – jak się okazuje – odbywa się właśnie Tadżycki Festiwal Kultury.

Zjechali tu chyba wszyscy Dżycy z południowej Kalifornii! Przyjechali wielkimi, zardzewiałymi taksówkami z obco wyglądającą rogacizną rozmieszczoną na tylnych siedzeniach. Cały parking cuchnie kadzidełkami, a po asfalcie suną dziesiątki stóp obutych w trampki o neonowych barwach. Na masce jednej z taksówek stoi wodna fajka o ośmiu cybuchach, z których wydobywają się chmury duszącego dymu.

I wszyscy jak jeden mąż patrzą na Hiro Protagonistę, który odwzajemnia się im tym samym. Na każdej twarzy – nie wyłączając Hiro – widać ogromne zdumienie.

Musiał nadejść od tyłu, nie wiedział, że z przodu jest pełno Dżyków. Jeśli miał jakiś plan, to plan ów właśnie wziął w łeb. Potężnie.

Z tyłu sklepu wypada kierownik, wylewając z siebie mrozące krew w żyłach potoki w taxilinga. Zdaje się, że ma na celowniku tyłek D.U.

Ale Dżycy przy fajce nie przejmują się D.U. Mają na celowniku Hiro. Starannie odwieszają srebrzyste, ozdobne cybuchy na szyjkę megafai. A potem ruszają w jego stronę, sięgając w fałdy sukman lub do wewnętrznych kieszeni wiatrówek.

Uwagę D.U. odwraca ostry, syczący dźwięk. Spogląda na Hiro i widzi długi na trzy stopy, zakrzywiony miecz opuszczający pochwę, której wcześniej nie zauważyła. Hiro przykucnął. Ostrze miecza lśni boleśnie w zabójczych światłach bezpieczeństwa Kup & Siup.

Cudownie!

Powiedzieć, że chłopców od fai cofnęło – to mało! Inna rzecz, że są nie tyle przestraszeni, co zmieszani. Niewątpliwie większość z nich ma broń palną. Nie pojmują, po co facet wyciąga na nich miecz.

D.U. przypomina sobie, że wśród licznych zawodów wymienionych na wizytówce Hiro był też: „Najlepszy szermierz na świecie”. Czy naprawdę uda mu się pokonać bandę uzbrojonych Dżyków?

Dłoń kierownika spada na jej bark – jakby coś takiego mogło ją powstrzymać! D.U. robi zamach drugą ręką i daje mu poczuć siłę działania Płynnego Kastetu. Kierownik kwiczy jak prosię, szarpie do tyłu głową i

puszczając jej bark, cofa się niepewnie i rozplaszcza się na jednej z taksówek, trąc kłykciami oczy.

Chwila! Dana taksówka jest pusta! W dodatku w stacyjce tkwi klucz ozdobiony długą na pół kilometra makramą.

Wrzuca deskę przez okno w głąb taksówki i nurkuje za sprzętem (jest mała, otwieranie drzwi nie jest konieczne). Wspina się od tyłu na fotel kierowcy i zapada się głęboko w gniazdko z drewnianych paciorków i odświeżaczy powietrza. Przekręca kluczyk i rusza. Tyłem. W stronę tylnego parkingu. Taksówka, jak wszystkie taksówki w takich okolicznościach, była zaparkowana dziobem do przodu – gotowa do szybkiego odjazdu w każdej chwili. I wszystko byłoby dobrze, gdyby D.U. była sama, teraz jednak ma jeszcze Hiro na głowie. W radiu słychać wrzaski – zapewne przekleństwa w taxilinga. Jedzie tyłem wokół całego sklepu Kup & Siup. Tylny parking jest dziwnie pusty i cichy.

Wrzuca „Jazdę” i wraca tą samą drogą, którą przyjechała. Dżycy nie mieli czasu, żeby się przygotować; spodziewali się, że wyjedzie z drugiej strony. Hamuje z piskiem opon tuż obok Hiro, który był na tyle przytomny, by schować miecz do pochwy. Wskakuje do taksówki okienkiem od strony pasażera. Od tej chwili D.U. nie zwraca już na niego uwagi. Ma inne rzeczy do roboty, choćby takie, jak sposób na uniknięcie staranowania podczas wyjazdu na autostradę.

Nie taranują jej, chociaż hamujące z tyłu auto wpada w poślizg. Wcisną gaz do dechy. Samochód jest tak zrywny jak dawne pojazdy taxi.

Problem w tym, że goni ich pół tuzina innych starych taksówek.

Coś gniecie lewe udo D.U. Spogląda na dół. Na obiciu drzwi wisi w siatce wyjątkowo duży rewolwer.

Musi znaleźć miejsce, w którym mogłaby się zatrzymać. Najlepiej żeby był to franszulat Nowej Sycylii – Mafia wisi jej przysługę – albo Nowej Południowej Afryki, której nienawidzi. Ale Nowi Południowi Afrykanie nienawidzą jeszcze bardziej Dżyków.

Nie, odpada! Hiro jest czarny albo częściowo czarny. Nie może zawieźć go do rasistów. A ponieważ sama jest Kauką, odpada również Metazania.

– Wielki Hongkong Pana Lee – rzuca Hiro. – Pół mili przed nami po prawej stronie.

– Dobrze, że o tym pomyślałeś. Ale nie wpuszczaj cię z mieczami.

– Wpuszczaj – mówi Hiro. – Mam obywatelstwo.

Już widzi znak. Wyróżnia się wśród innych, bo jest stosunkowo rzadki. Nie ma ich zbyt wiele. Znak jest zielono-niebieski – kołi oczy wśród jaskrawego getta franszulatów. Napisano na nim:

„WIELKI HONGKONG PANA LEE”.

Lomot z tyłu. Głowa D.U. wpada na nadokiennik. Jedna z taksówek wjechała im w kufer.

Skręca na parking pana Lee, jadąc z szybkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. System bezpieczeństwa nie ma okazji zapoznać się z jej wizją i natychmiast opuszcza UNO, więc niszczą sobie opony, zostawiając na kołcach kaptcie łysych radiali. Tocząc się na iskrzących bębnach, hamuje i wjeżdża na trawnik spełniający rolę parkingu i bariery dla dwutlenku węgla.

Wysiadają z taksówki.

Hiro wyszczerza zęby schwytywany krzyżowym ogniem dziesiątków czerwonych laserów obmacujących go ze wszystkich stron jednocześnie. Automatyczny system bezpieczeństwa Hongkongu sprawdza jego tożsamość. Jej też. D.U. widzi promień lasera wędrujący przez pierś.

– Witamy w Wielkim Hongkongu Pana Lee, panie Protagonista – mówi przez głośniki system bezpieczeństwa. – Witamy również pańskiego gościa, pannę D.U.

Pościg zatrzymał się w formacji bojowej przy krawężniku. Niektóre taksówki przejechały franszulat i cofają się teraz spod następnej przecznicy. Trzaskają zamykane drzwi. Część taksówkarzy nie przejmuje się drzwiami i nie wyłącza silników. Trzech Dżyków zatrzymuje się na chodniku i ogląda resztki opon nabite na kolce – długie kawałki neoprenu z wystającymi tu i ówdzie stalowymi i szklanowłóknistymi drutami przypominającymi zniszczone przez kataklizm peruki. Jeden z Dżyków trzyma rewolwer wycelowany w chodnik.

Do pierwszej trójki przyłącza się czterech kolejnych. D.U. dolicza się w sumie trzech rewolwerów i automatycznego obrzyna. Jeszcze paru takich, a będą mogli założyć rząd.

Przechodzą ostrożnie przez kolce i stają na szmaragdowej murawie Hongkongu. W tej samej chwili ozywają lasery. Dżycy są przez sekundę czerwoni i ziarniści.

A potem dzieje się to, co zwykle. Zapalają się światła. System bezpieczeństwa chce lepiej widzieć tych ludzi.

Franszulaty Hongkongu słyną ze swoich trawników – czy gdziekolwiek indziej można parkować na trawie? – i anten. Franszulaty Hongkongu wyglądają jak ośrodki badawcze NASA – tyle w nich sprzętu elektronicznego. Niektóre anteny służą do porozumiewania się z satelitami i są wycelowane w niebo. Inne, maleńkie antenki, celują w ziemię, w murawę.

D.U. nie zna się na tym, ale wie, że maleńkie antenki są radarami pracującymi na milimetrowej długości fal. Jak wszystkie inne radary nadają się do wychwytywania metalowych obiektów. W przeciwieństwie jednak do radarów lotniczych, radarki Hongkongu widzą małe rzeczy. Rozdzielczość systemu radarowego

zależy od długości fal. Ponieważ długość fal radarków Hongkongu wynosi około milimetra, urządzenia te widzą plomby w zębach, metalowe skuwki przy sznurowadłach i nity w lewisach. Mogą policzyć drobne w kieszeni intruza.

Broń palna nie stanowi dla nich żadnego problemu. Potrafią nawet powiedzieć, czy jest załadowana, a jeśli tak, to jaką amunicją. Spełniają bardzo istotną funkcję, ponieważ broń jest nielegalna w Wielkim Hongkongu Pana Lee.

11

Nie byłoby oznaką dobrego wychowania wałęsanie się teraz po Czarnym Słońcu i roztrząsanie faktu awarii komputera DaSida. Wystarczy, że robią to młodzi hakerzy pragnący popisać się swoją wiedzą. Hiro zbywa ich i rusza w kierunku Kwadrantu Gwiazd Rocka. Wciąż chce zobaczyć fryzurę Sushi K.

Ale na jego drodze staje Nippończyk – ten neo-tradycjonalista. Facet z mieczami. Stoi przodem w odległości dwóch długości miecza i nie ma zamiaru się ruszyć.

Hiro jest dobrze wychowany. Kłania się w pas i staje wyprostowany.

Biznesmen nie jest aż tak uprzejmy. Omiata Hiro wzrokiem od stóp do głów i odwzajemnia ukłon w znacznie mniej kurtuazyjny sposób.

– Te... – zaczyna – ...bardzo ładne.

– Dziękuję panu. Możemy mówić po nippońsku, jeśli pan woli.

– Nosi to tylko awatar – biznesmen upiera się przy angielskim. – W rzeczywistości nie nosi takich broni.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować, ale noszę taką broń w rzeczywistości – odpowiada Hiro.

– Taką samą?

– Dokładnie.

– To starożytna broń – stwierdza Nippończyk.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

– Jak to się stało, że wszedł w posiadanie dziedzictwa nippońskiego rodu? – pyta biznesmen.

Hiro rozumie podtekst: *Do czego używasz tych mieczy, chłopcze? Kroisz nimi arbuzy?*

– Miecze są teraz dziedzictwem mojego rodu – mówi Hiro. – Wygrał je mój ojciec.

– Wygrał? W karty?

– W walce. Jeden na jeden. Mój ojciec walczył z nippońskim oficerem. To dosyć skomplikowana historia.

– Przepraszam, jeśli przeinaczam coś – mówi Nippończyk – ale odniosłem wrażenie, że mężczyźni tej rasy nie walczyli w wojnie.

– Pańskie wrażenie jest uzasadnione – potwierdza Hiro. – Mój ojciec był kierowcą ciężarówki.

– Więc jak walczył jeden na jeden z nippońskim oficerem?

– Wydarzenie to miało miejsce w okolicach obozu jenieckiego – mówi Hiro. – Mój ojciec i jego współtowarzysz podjęli próbę ucieczki. Ścigał ich nippoński oddział wojskowy, którym dowodził właściciel tych mieczy.

– Ta historia jest nieprawdziwa – stwierdza biznesmen. – Bo ojciec nie przeżył takiej ucieczki, żeby przekazać miecze synowi. Nippon leży na wyspach. Nie ma gdzie uciec.

– To było pod koniec wojny – oznajmia Hiro. – A obóz mieścił się w okolicach Nagasaki.

Nippończyk krztusi się i czerwienieje, słowem, trafia go szlag. Lewą ręką dotyka pochwy miecza. Hiro rozgląda się. Nagle robi się luźno, stoją w środku koła o średnicy dziesięciu jardów.

– Myśli, że wszedł w posiadanie mieczy honorowo? – pyta biznesmen.

– Gdybym tak nie myślał, już dawno bym je zwrócił.

– Więc nie ma nic przeciwko temu, żeby je stracić w ten sam sposób?

– Lub zyskać pańskie.

Biznesmen sięga prawą ręką do rękojeści miecza, chwyta ją poniżej klingi. Wyciąga miecz, kieruje ostrze w stronę Hiro, a potem kładzie lewą dłoń na rękojeści tuż pod prawą.

Hiro robi to samo.

Obaj uginają kolana, przykucają z wyprostowanymi torsami. Po chwili stają na równych nogach i ustawiają stopy w odpowiedniej pozycji: równolegle, palcami do przodu, prawa przed lewą.

Biznesmen robi zamach, zbierając *zanshin*. Tłumaczenie tego pojęcia na język europejski jest tym samym, co tłumaczenie wyrażenia: „Goły jak święty turecki” na nippoński. Można przyjąć – za niektórymi psychoanalitykami – że oznacza ono „intensywność emocjonalną”. Zebrawszy *zanshin*, szarżuje na Hiro, wrzeszcząc ile sił. Porusza się, szurając stopami po ziemi, co umożliwia mu zachowanie absolutnej równowagi. W ostatniej chwili unosi miecz nad głowę i spuszcza go na Hiro. Hiro podnosi klingę, obraca ją bokiem, dźwigając w górę rękojeść z lewej strony głowy. Ostrze opada na prawo, chroniąc go niczym

daszek, od którego cięcie biznesmena odbija się jak deszcz. Hiro odstepuje na bok, przepuszcza Nippończyka i tnie mieczem w jego nie osłonięte ramię. Ale biznesmen jest szybki, a Hiro nieco się spóźnił. Klinga opada z boku pleców atakującego.

Stają znów twarzami do siebie. Cofają się, przybierają postawę.

„Intensywność emocjonalna” nie oddaje połowy sensu tego, co się dzieje. Słyszac to tłumaczenie, rozczłonkowane ciała samurajów przewracają się w grobach. *Zanshin* niesie ze sobą tyle ukrytych znaczeń, że trzeba być Nippończykiem, żeby je ogarnąć.

Hiro – mówiacz szczerze – uważa, że wszystko to należy do kategorii pseudomistycznych bzdetów, podobnych do „gry na 110 procent”, do jakiej zachęcali go futbolowi trenerzy.

Biznesmen atakuje po raz drugi. Tym razem jego zamiary są całkiem jasne: zbliża się, przebiegając szybko stopami, i tnie w kierunku piersi przeciwnika. Hiro paruje cięcie.

Teraz Hiro wie już o nim wszystko. Jak większość nipponkich szermierzy biznesmen zna tylko kendo.

Kendo ma się tak do samurajskiej walki na miecze jak szermierka do bitwy pod Grunwaldem: jest próbą uczynienia dyscypliny sportowej z wysoce dezorganizowanego, chaotycznego, gwałtownego i brutalnego konfliktu. W kendo, podobnie jak w szermierce, atakuje się tylko niektóre części ciała – te, które okrywa zbroja. W kendo (i w szermierce) nie wolno kopać przeciwnika w rzepki kolanowe i łamać na jego głowie krzesel. Sędziowanie ma absolutnie subiektywny charakter. W kendo można trafić przeciwnika tak, że żyć mu się odechce, a mimo to nie zdobyć punktu, bowiem sędziowie uznają, że w cięciu było za mało *zanshin*.

Dla Hiro *zanshin* znaczy tyle, co zeszłoroczny śnieg na Alasce. Hiro chce po prostu zakończyć pojedynek. Gdy biznesmen po raz trzeci wydaje z siebie bojowy okrzyk i, szurając stopami, rzuca się na Hiro, wymachując mieczem, ten paruje cięcie, odwraca się i obcina Nippończykowi nogi tuż nad kolanami.

Biznesmen pada na ziemię.

Poruszanie awatarem w Metawersie wymaga pewnej praktyki. Gdy awatar traci nogi, praktykę tę można wyrzucić przez okno.

– A niech mnie! – krzyczy Hiro. – Co my tu mamy?

Dwa szybkie cięcia i ręce biznesmena leżą na podłodze razem z mieczem. Słychac nawet charakterystyczny stukot i trzask.

– Jemima! Wystaw grilla, zaraz przyniosę mielone! – woła Hiro, zataczając ostrzem idealny okrąg i przecinając biznesmena na pół, tuż nad pępkiem. Skończywszy z Nippończykiem, Hiro pochyla się i patrzy mu prosto w twarz. – Czy nikt ci nie powiedział – pyta, siląc się na uprzejmość – że lubię hakać?

Odcina głowę biznesmena. Głowa spada na ziemię, turla się i zatrzymuje z oczami wbitymi w sufit. Hiro cofa się o kilka kroków i szepcze pod nosem: – Sejf.

Z sufitu wyrasta sporych rozmiarów metalowa szafa i spada na głowę biznesmena. Uderzenie jest tak silne, że głowa i sejf znikają w dziurze w posadzce Czarnego Słońca. Pod spodem są tunele. Reszta ciała leży rozczłonkowana na podłodze.

W tej chwili nipponki biznesmen siedzi zapewne w pokoju hotelowym w Londynie albo w swoim biurze w Tokio, czy nawet pierwszej klasie LATH, Los Angeles/Tokio Hipersonic i, pocąc się i czerwieniac, patrzy w ekran komputera, na którym właśnie ukazała się strona Panteonu Sław Czarnego Słońca. Nie ma już połączenia z Metawersem, widzi tylko dwuwymiarową stronę, na której umieszczono zdjęcia dziesięciu najlepszych szermierzy wszechczasów wraz z krótkimi życiorysami. Niżej znajduje się przesuwana lista zaczynająca się od 11 pozycji. Może przejrzeć ją, jeśli chce znaleźć swoje miejsce. Ekran uprzejmie powiadamia go, że obecnie znajduje się na 863 pozycji wśród 890 osób, które walczyły na miecze w Czarnym Słońcu.

Miejsce pierwsze zajmuje niejaki Hiroaki Protagonista.

12

Organ Gwardianin Olfakto-Nowozautonomizowany # A-367 mieszka w przytulnej czarno-białej niszy Metawersu, gdzie na drzewach rosną krwiste steki kołyszące się na wysokości głowy i gdzie pachnące kaszanką talerze frisbee fruwać w chłodnym, przejrzystym powietrzu zupełnie bez powodu, dopóki się ich nie złapie.

Mieszka na małym podwórku otoczonym płotem. Wie, że nie może przeskoczyć przez płot. W zasadzie nigdy nie próbował, bo wie, że nie może. Nie wychodzi na podwórko, jeśli nie musi. Na podwórku jest gorąco.

Wykonuje ważną pracę: pilnuje podwórka. Czasami przez podwórko przechodzą ludzie. W większości są to dobrzy ludzie, których nie musi niepokoić. Nie wie, dlaczego akurat ci ludzie są dobrzy. Wie natomiast, że są. Niekiedy jednak na podwórku pojawiają się źli ludzie, którym musi robić złe rzeczy, żeby odeszli. Bo tak trzeba i już.

Na całym szerokim świecie jest mnóstwo takich podwórek pilnowanych przez podobne mu Organy. Organy wcale nie są złe. Są jego przyjaciółmi.

Najbliższy sąsiedni Organ mieszka daleko, dalej niż sięga wzrok. Ale czasami słyhać jego szczekanie, gdy do podwórka zbliża się zły człowiek. Słyhać także inne Organy z sąsiedztwa, a nawet te, które są coraz dalej i dalej. Razem tworzą jedną wielką sforę miłych Organów.

OGON i inne miłe Organy szczekają, gdy do ich podwórka zbliża się obcy. Obcy tego nie słyzy, ale słyzy to wszystkie Organy ze sfory. Jeśli mieszkają w pobliżu, budzą się, podniecają i są gotowe zrobić różne złe rzeczy obcemu, który wejdzie na ich podwórko.

Gdy sąsiedni Organ szczeka na obcego, w głowie OGON-a pojawiają się dziwne obrazy, zapachy i dźwięki. Ni stąd, ni zowąd OGON wie, jak wygląda obcy. Jak pachnie. Jak brzmi. I jeśli obcy pojawi się w pobliżu podwórka, OGON go rozpozna. Zaszczeka do innych Organów, by i one przygotowały się na powitanie obcego.

Tej nocy OGON # A-367 szczeka jak oszalały. Nie szczeka, żeby przekazać innym Organom ze sfory szczekania sąsiednich Organów. Szczeka, bo jest podniecony tym, co dzieje się na jego podwórku.

Najpierw na podwórku pojawiło się dwoje ludzi. Zaniepokoiło go to, bo ludzie ci pojawili się bardzo szybko. Słyzył szybkie bicie ich serc, czuł pot, który pachniał strachem. Przyjrzał się im dokładnie, żeby sprawdzić, czy nie mają przy sobie złych rzeczy.

Teraz wie, że mniejsza osoba ma przy sobie różne paskudztwa, ale nie tak do końca złe. Natomiast większa osoba ma przy sobie prawdziwe okropności. Ale większa osoba jest dobra. Ma prawo być na podwórku. Nie jest obca. Mieszka tu. A mniejsza osoba jest gościem większej.

Jednak na podwórku dalej dzieją się rzeczy wielce podniecające. Szczeka. Ludzie tego nie słyzy. Ale słyzy go wszystkie inne miłe Organy w sforze, a słyzyąc go, widzą, czują i słyzy dwójkę przestraszonych, miłych ludzi.

Ale na podwórku pojawia się więcej ludzi – równie podnieconych jak on. Słyzy ich łomoczące serca. Ślina napływa mu do pyska, gdy czuje gorącą, słoną krew w ich arteriach. Ludzie są podnieceni, zagniewani i trochę przestraszeni. Nie mieszkają tu: są obcy. A OGON nie przepada specjalnie za obcymi.

Przygląda się im i widzi, że mają przy sobie trzy rewolwery: jeden – kaliber .38 i dwa magnum – kaliber .357. Trzydziestka ósemka załadowana jest ślepakami; jedno magnum ma w magazynku teflonowe pociski i jest odbezpieczone. W komorze automatycznej śrutówki o ściętej lufie jest już breneka, cztery inne czekają w magazynku.

Rzeczy niesione przez obcych są bardzo złe. Przeróżające. OGON podnieca się jeszcze bardziej. Wpada w złość. Odczuwa też lekki strach, ale lubi się bać, bo strach jest dla niego tym samym, co podniecenie. W zasadzie jego układ emocjonalny zna tylko dwa stany: sen i skok adrenaliny.

Zły obcy z obrzynem unosi broń!

To absolutnie niedopuszczalna potworność! Żli, podnieceni obcy najechali jego podwórko, niosąc złe rzeczy, żeby zrobić krzywdę dwójce miłych gości.

Wydaje krótkie, urwane szczeknięcie ostrzegające sąsiednie Organy i wypada z budy napędzany rozgrzanym do białości odrzutem morderczego instynktu.

D.U. widzi kątem oka jakiś błysk, słyzy metaliczny dźwięk. Przenosząc wzrok w tamtą stronę zauważa, że światło emanuje z czegoś w rodzaju otworu dla psa, który mieszka zapewne pod budynkiem administracyjnym sieci Wielkiego Hongkongu. Furtka zasłaniająca otwór została całkiem niedawno otwarta, a z głębi wydostało się coś, co pędzi teraz ku trawnikowi z szybkością i determinacją pocisku artyleryjskiego.

Gdy fakty te wpisują się w siatkę percepcji D.U., zewsząd odzywają się krzyki Dżyków. Krzyki nie są gniewne czy strachliwe. Nikt nie miał jak dotąd czasu, żeby wpaść w gniew czy się przestraszyć. Głosy te przypominają dźwięki, jakie wydaje osoba, której ktoś wylał na głowę wiadro zimnej wody.

Okrzyki wzmagają się. D.U. wciąż odwraca głowę ku Dżykom, gdy z psiej budy wydobywa się kolejna błyskawica. Żrenice D.U. reagują natychmiast. Wydaje się jej, że widziała długi, owalny cień przesłaniający światło w ułamku sekundy, jaki zajęło zatrzaśnięcie furtki od środka. Gdy wbija wzrok w otwór, widzi tylko oscylującą furtkę, tak jak poprzednio. Przez jedną tysięczną sekundy nie dzieje się nic oprócz tego, że przez trawnik przebiega snop iskier prowadzący od otworu w budzie do Dżyków i z powrotem. Ślad przypominający podwójny warkocz rakiety, która po błyskawicznej misji wróciła na ziemię.

Ludzie mówią, że Szczurojamnik ma cztery nogi. Może biegnąc, sypie iskrami, gdy pazury jego zrobotyzowanych łap wczepiają się w metalową siatkę trawnika.

Dżycy są w ruchu. Niektórzy z nich zostali powaleni na murawę i wciąż toczą się, i podskakują. Inni nie zdążyli jeszcze upaść na ziemię. Żaden z nich nie ma bronii. Wymachują pustymi rękoma i wrzeszczą, choć teraz w ich głosach wyraźnie słyhać strach. Jeden z nich ma rozprutą nogawkę spodni: od pasa aż po kostkę, jakby zajął się nim kieszonkowiec, który śpieszył się tak bardzo, że zabrał to, co miał zabrać wraz z kieszenią. Może facet nosił w spodniach nóż?

Nigdzie nie widać krwi. Szczurojamnik działa precyzyjnie. Ale Dżycy dalej wymachują rękami. Może to prawda – jak mówią – że Szczurojamnik poraża prądem, gdy chce coś odebrać.

– Uważaj – mówi D.U., chcąc dokończyć myśl, która zajmowała ją jeszcze przed sekundą – mają broń.

Hiro odwraca się i szczerzy zęby. Bardzo białe i bardzo proste, i ostre jak u drapieznika.

– Już nie mają. Broń jest nielegalna w Hongkongu, pamiętasz?

– Przed sekundą mieli jeszcze broń – upiera się D.U., wytrzeszczając oczy i kręcąc głową.

– Ale rozbroił ich Szczurojamnik – stwierdza Hiro.

Dżycy dochodzą do wniosku, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdą. Biegają do taksówek i odjeżdżają z piskiem opon.

D.U. wsiada do skradzionego pojazdu i wycofuje go na bębnach przez UNO, po czym parkuje starannie na ulicy, równoległe do krawężnika. Wraca do franszulanu Hongkongu, ciągnąc za sobą mgławicę aromatycznej, taksówkowej świeżości niczym ogon komety. Przez chwilę zastanawia się, jak by to było, gdyby wskoczyła z Hiro na tylne siedzenie samochodu. Pewno fajnie. Ale najpierw musiałaby wyjąć dentatę, a miejsce nie jest najlepsze. Poza tym facet, który jest na tyle porządny, żeby pomóc jej wydostać się z Mamra, mógłby mieć skrupuły w związku z dmuchaniem piętnastolatki.

– Dżycy będą ci wdzięczni – mówi Hiro, wskazując brodą zaparkowaną taksówkę. – Odkupisz im jeszcze opony?

– Nie. A ty?

– Mam ostatnio problemy z przepływem gotówki.

D.U. stoi na środku trawnika Hongkongu. Oboje przyglądają się sobie uważnie.

– Dzwoniłam do mojego chłopaka, ale puścił mnie w trąbę.

– Rolkarz?

– Taki sam.

– Popeliłaś błąd, który i mnie zdarzyło się popełnić.

– Jaki?

– Mieszasz interesy z przyjemnością. Spotykasz się ze współpracownikiem. To bardzo przeszkadza.

– Taa... Rozumiem, co masz na myśli. – D.U. nie jest pewna, czy wie, kim jest współpracownik.

– Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy zostać partnerami – mówi.

Spodziewa się, że ją wyśmiej. Ale zamiast tego Hiro uśmiecha się i kiwa lekko głową.

– To samo i mnie przyszło do głowy. Ale muszę się zastanowić, jak by to miało wyglądać.

Jest zdumiona, że musi się zastanawiać nad czymś tak dziecinnie prostym. Opanowuje się jednak i dochodzi do wniosku, że Hiro wafluje. Co oznacza, że kłamie. Skończy się na tym, że będzie chciał ją zaciągnąć do łóżka.

– Spadam – mówi. – Muszę wracać do domu. Przekonamy się, kiedy przypomni sobie o partnerstwie. Odwraca się do niego plecami.

I nagle zapalają się ponownie zrobotyzowane światła bezpieczeństwa Hongkongu.

D.U. czuje ostry, świdrujący ból pod żebrami, jakby ktoś uderzył ją łokciem. To nie może być Hiro. Hiro jest nieprzewidywalnym łgarzem z mieczami, ale nie cuchnie jak damski-bokser. D.U. rozpoznaje damskich-bokserów na milę.

– Auu! – krzyczy i odwraca się od uderzenia. Spogląda w dół i widzi mały, ciężki przedmiot spadający na ziemię u jej stóp.

Na ulicy słychać pisk opon starożytnej taksówki uciekającej spod krawężnika. Z tylnego okna wychyla się Dżyc i wygraża im pięścią. Rzucił w nią kamieniem!

Ale to nie jest kamień. To coś, co odbiło się od jej żeber i leży teraz u stóp D.U., jest granatem ręcznym. Rozpoznaje gruszkowaty kształt w ułamku sekundy. Świat wygląda nagle jak komiksowy koszmar.

I wtedy coś podcina jej stopy – za szybko, by mogła poczuć ból. I gdy zaczyna pojmować, że gwałtownie zmieniła pozycję, z innej części parkingu dobiega boleśnie głośny wybuch.

Dopiero wówczas świat zatrzymuje się w miejscu na tyle długo, by ujrzeć i pojąć, co się stało.

Szczurojamnik zatrzymał się. Nigdy tego nie robią. Część ich uroku polega na tym, że człowiek nie widzi, co go trafiło. Nikt tak naprawdę nie wie, jak wyglądają.

Nikt – z wyjątkiem D.U. i Hiro. Od teraz.

Jest większy, niż podejrzewała. Wbrew nazwie, jego korpus przypomina wielkością rotweilera i podzielony jest na nachodzące na siebie segmenty niczym pancierz nosorożca. Ma długie, sprężyste kończyny jak gepard. Ludzie nazywają go Szczurojamnikiem z powodu ogona – niesamowicie długiego i elastycznego. Ogon również składa się z segmentów – setek wpasowanych w siebie elementów, które w całości przypominają kręgosłup.

– Jezu Chryste! – mówi Hiro, a z jego tonu można domyślić się, że widzi to coś po raz pierwszy.

Ogon leży teraz zwinięty na korpusie Szczurojamnika jak sznur, który spadł z drzewa. Część urządzenia jeszcze się porusza, reszta jest sztywna i martwa. Drgają spazmatycznie łapy. Całość wygląda fatalnie, jak samolot, który stracił skrzydła przy lądowaniu. Nawet ktoś, kto nie jest inżynierem, może z całą pewnością

stwierdzić, że urządzenia nie da się uratować.

Ogon zwija się i uderza jak wąż, rozwija się i unosi nad korpusem Szczurojamnika, wyplątując się z łap. Ale łapy są już zbyt słabe. Urządzenie nie może się podnieść.

– D.U. – ostrzega ją Hiro – nie rób tego.

Robi to. Ostrożnie stawiając stopy, podchodzi do Szczurojamnika.

– On jest niebezpieczny, jeśli jeszcze o tym nie wiesz – mówi Hiro, idąc za nią krok w krok. – Mówią, że ma komponenty biologiczne.

– Komponenty biologiczne?

– Psie, zwierzęce. Jest nieprzewidywalny.

D.U. lubi zwierzęta. Idzie dalej.

Z bliska Szczurojamnik nie wygląda tak groźnie. Oprócz pancerza i siły widać w nim jakąś kruchość. Na korpusie umieszczone są małe wypustki przypominające skrzydełka: większe przy barkach i rzędy mniejszych wzdłuż kręgosłupa, jak u stegosaurusa. Gogle KnoktoWizyjne informują D.U., że wypustki są tak gorące, że można by upiec na nich pizzę. Jest coraz bliżej, a skrzydełka zaczynają się rozwijać i rosnąć.

Rozkwitają jak kwiaty w filmie oświatowym, rozkładają płatki, ukazując skomplikowaną wewnętrzną strukturę, która zapadła się do wewnątrz. Każde skrzydełko dzieli się na dwie części, a każda miniaturowa kopia dzieli się na kolejne i tak bez końca. Najmniejsze mają grubość folii i są tak małe, że z daleka przypominają sierść.

Robi się coraz goręcej. Skrzydełka zaczynają jarzyć się czerwono, D.U. zsuwa gogle na czoło i zasłania twarz dłonią przed światłem, które teraz brązowieje jak przegrzana spirala elektrycznego piecyka. Trawa pod Szczurojamnikiem zaczyna się tlić.

– Ostrożnie! Mogą mieć w środku groźne izotopy – mówi z tyłu Hiro. Jest blisko, ale dalej niż ona.

– Co to jest izotop?

– Substancja radioaktywna wytwarzająca ciepło. Źródło energii.

– Jak się je wyłącza?

– Nie wyłączają się. Rozgrzewają się, dopóki się nie stopią.

D.U. dzieli od Szczurojamnika tylko kilka stóp, czuje ciepło na policzkach. Skrzydełka osiągnęły pełną długość. U nasady mają jasnożółtą lub pomarańczową barwę, która przechodzi w czerwień i brąz przy delikatnych, nie rozgrzanych jeszcze krawędziach. Duszący dym z nadpalonej trawy zasłania częściowo widok.

D.U. myśli: krawędzie skrzydełek coś mi przypominają... Wyglądają jak cienkie, metalowe panele od zewnętrznej strony zaokiennego klimatyzatora. Panele, po których można pisać, jeśli odpowiednio mocno naciśnie się je palcem.

Albo jak chłodnica auta. Wiatrak dmucha powietrze na chłodnicę, by schłodzić silnik.

– On ma chłodnice! – krzyczy. – Szczurojamnik ma chłodnice, żeby się schłodzić. – To są bezsporne fakty, o których do tej pory nikt nie miał pojęcia.

Ale urządzenie wcale się nie schładza. Robi się coraz bardziej gorące.

D.U. zarabia na życie, surfując przez korki na autostradach. Dzięki korkom znalazła swoją niszę rynkową – jest szybsza niż ruch samochodowy. D.U. wie, że samochód nie grzeje się, kiedy pędzi autostradą. Grzeje się, kiedy stoi w korku. Bo kiedy stoi, do chłodnicy nie dochodzi powietrze.

To samo dzieje się teraz ze Szczurojamnikiem. Szczurojamnik musi się ruszać, musi wpuszczać powietrze na chłodnicę, bo w przeciwnym razie przegrzeje się i stopi.

– Schładzaj się – mówi. – Bo wybuchniesz albo co...

Korpus kończy się ostrym pyskiem, który z przodu ma spore wzniesienie przesłonięte kopułką z czarnego szkła, przypominającą kokpit myśliwca. Jeśli Szczurojamnik ma oczy, to z pewnością mieszczą się właśnie tutaj.

Niżej, tam gdzie powinna być szczeka, widać resztki jakiegoś mechanizmu, który został rozerwany przez granat.

Szklany kokpit czy maska, cokolwiek to jest, ma w środku dziurę. Na tyle dużą, że D.U. mogłaby włożyć w nią rękę. Po drugiej stronie dziury jest ciemno i nic tam prawie nie widać, bo przeszkadza pomarańczowa poświata z radiatorów. Można jednak zauważyć czerwoną substancję wypływającą z głębi – nie żaden płyn hamulcowy. Szczurojamnik jest ranny i krwawi.

– To jest zwierzę! – krzyczy D.U. – Ma krew w żyłach!

Myśli: to są dane wywiadowcze. Prawdziwe dane! Mogę na tym zarobić... ja i mój partner Hiro... mój partnerski Hiro. A potem myśli: To biedactwo usmaży się żywcem!

– Nie rób tego! Nie dotykaj go, D.U.! – ostrzega Hiro.

Podchodzi do psa, zakłada gogle, by ochronić twarz przed gorącym. Łapy Szczurojamnika przestają drgać, jakby czekał na nią.

D.U. pochyla się i chwytą przednie łapy robota. Reagują, napinają pręty mięśni w jej uścisku. Zupełnie tak, jak u prawdziwego psa, którego podnosi się za przednie łapy i każe mu się tańczyć. To jest żywe

stworzenie. Reaguje na nią. D.U. wie to na pewno!

Spogląda na Hiro, by przekonać się, czy bierze w tym udział. Bierze.

– Palant! – zaczyna. – Nadstawiam głowę i mówię, że chcę być twoim partnerem, a ty mówisz, że musisz się zastanowić? Jaki masz problem? Nie jestem dość dobra, żeby z tobą pracować?

Pochyla się i zaczyna ciągnąć Szczurojamnika po trawie. Pies jest niesamowicie lekki. Nic dziwnego, że biega tak szybko. Mogłaby go podnieść, gdyby miała ochotę nadpalić sobie skórę.

Ciągnie go w stronę budy. Na trawie zostaje czarny, dymiący ślad. Kombinezon D.U. paruje. Stary pot i wilgoć wyłazą z materiału. Jest na tyle mała, że zmieści się w otwór psiej budy – kolejna rzecz, której Hiro nie mógłby zrobić. Budy są zazwyczaj zamknięte, kiedyś próbowała otworzyć jedną z nich. Ta jednak pozostała otwarta.

W środku budynku administracyjnego franszulanu jest jasno, lśni biała, wypolerowana przez roboty podłoga. Kilka stóp od otworu dla psa stoi coś, co wygląda jak czarna pralka. Właściwa buda Szczurojamnika. Buda, w której siedzi sobie po ciemku, czekając na robotę. Wychodzi z niej gruby kabel, który biegnie gdzieś dalej. Do budy prowadzi właz, który jest również otwarty – coś niespotykanego! Z włazu wydobywa się para.

Para nie jest gorąca. Przeciwnie. Ma temperaturę pary wydobywającej się z zamrażalnika w wilgotny dzień.

D.U. wpycha Szczurojamnika do budy. Zagląda przez właz. Ze wszystkich ścian leje się zimny płyn, który zamienia się w parę, nie dotykając korpusu zwierzęcia. Nadmiar pary wydostaje się przez właz z takim impetem, że D.U. siada na pupie.

Z włazu wystaje też długi ogon, który ciągnie się po podłodze i sięga otworu w ścianie. Podnosi go. Ostre, szlifowane przez maszyny krawędzie segmentów kłują ją przez rękawice.

Nagle ogon napina się, wibruje przez sekundę. D.U. cofa dłoń. Ogon chowa się we wnętrzu budy, jakby był z gumy. Nie zauważyła nawet jego ruchu. Właz zatrząskuje się. Robot zatrudniony na etacie sprzątaczk, odkurzacz z mózgiem, wyjeżdża z jakiegoś kąta i czyści podłogę poplamioną krwią.

Wysoko na ścianie foyer prowadzącego do głównego wejścia budynku administracyjnego wisi plakat okolony zrudziałą girlandą z jaśminów. Na plakacie jest zdjęcie uśmiechniętego pana Lee, a pod spodem część informacyjna.

„WITAM!

Z przyjemnością zapraszam wszystkich ludzi z klasą do odwiedzenia Hongkongu. Każdy biznesmen i każdy poszukiwacz przygód poczuje się u nas jak w domu. Jeśli jakiś element naszego skromnego otoczenia nie wyda ci się przyjazny, poinformuj mnie, a postaram się zapewnić ci całkowitą satysfakcję.

My, ludzie wywodzący się z Wielkiego Hongkongu, jesteśmy dumni z niebywałego rozwoju naszego maleńkiego narodu. Ci, którzy traktowali naszą wyspę jako maleńki kąsek dla Czerwonych Chin, nie mogą wyjść ze zdumienia, widząc, jak tak zwane wielkie mocarstwa starej daty cofają się jak niepyszne pod naporem naszej potęgi, naszej przedsiębiorczości, naszego wolnorynkowego idiomu wysoko rozwiniętych technologicznie osiągnięć osobistych służących polepszeniu losu wszystkich ludzi. Potencjał wszystkich ras etnicznych i antropologicznych, zgromadzonych pod sztandarem Trzech Zasad, a mianowicie:

1. Informacja, informacja, informacja!
2. Absolutnie uczciwa konkurencja rynkowa!
3. Ścisłe przestrzeganie reguł ekologicznych!

Nie ma sobie równych w historii rozwoju ekonomicznego.

Któż oprze się tym trzem fundamentalnym zasadom? Jeśli nie masz jeszcze obywatelstwa Hongkongu, natychmiast złóż podanie o paszport! W tym miesiącu NIE OBOWIĄZUJE zwykła opłata paszportowa w wysokości HK\$100. Wypełnij podanie (poniżej) już dziś! Jeśli zabrakło podań, zadzwoń 1-800-HONGKONG i poproś o pomoc naszych dobrze poinformowanych operatorów.

Wielki Hongkong Pana Lee jest prywatną, całkowicie eksterytorialną, suwerenną jednostką paranarodową, nie uznawaną przez inne kraje i w żaden sposób nie powiązaną z dawną Kolonią Korony Brytyjskiej o nazwie Hongkong, która obecnie jest częścią Chińskiej Republiki Ludowej. Chińska Republika Ludowa nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności za działania pana Lee, Rządu Wielkiego Hongkongu i wszystkich obywateli tegoż, ani za naruszenia lokalnych praw, szkody osobiste i straty materialne, do jakich doszło na terytoriach, w budynkach, miastach, instytucjach i innych nieruchomościach będących własnością, zajmowanych lub podlegających jurysdykcji Wielkiego Hongkongu Pana Lee.

Przyłącz się do nas już dziś!

Twój partner w przedsiębiorczości

Pan Lee”.

Organ Gwardianin Olfakto-Nowozautonomizowany # A-367 leży w chłodnej budzie i wyje.

Na zewnątrz, na podwórku było bardzo gorąco i bardzo źle. Zawsze, gdy jest na podwórku, robi mu się

gorąco, dlatego musi biegać. Kiedy zrobili mu krzywdę i leżał bez ruchu na trawie, było mu goręcej niż kiedykolwiek przedtem.

Teraz nie jest mu już gorąco. Ale wciąż go boli. Wyje, bo jest ranny. Mówi wszystkim okolicznym psom, że potrzebuje pomocy. Sąsiadom jest przykro i niepokoją się, i powtarzają to wycie całej sforze.

Słyszy, jak nadjeżdża weterynarz. Weterynarz jest miły i sprawi, że poczuje się lepiej.

Zaczyna czekać. Opowiada psom o złych ludziach, którzy zrobili mu krzywdę. I o tym, jak gorąco było na podwórku, kiedy leżał na ziemi. I o miłej dziewczynce, która pomogła mu wrócić do chłodnej budy.

Przed budynkiem administracyjnym franszulatu Hongkongu stoi od jakiegoś czasu Limuzyna. D.U. nie musi patrzeć na tablice rejestracyjne, by domyślić się, że samochód należy do Mafii. Tylko Mafia używa takich aut. Szyby samochodu są zaciemnione, ale D.U. wie, że ktoś jest w środku i obserwuje ją. Jak oni to robią? Wszędzie widzi się Limuzyny, ale nigdy w ruchu, nigdy jak jadą. Nie wiadomo nawet, czy mają silniki.

– Okay, wybacz – mówi Hiro. – Zostanę przy swoim, ale zawieramy umowę... partnerstwo... na dane wywiadowcze. Dzielimy się pół na pół.

– Umowa stoi – odpowiada D.U., wskakując na deskę.

– Dzwon, kiedy chcesz. Masz moją wizytówkę.

– Hej, coś mi się przypomniało. Ta twoja specjalność z wizytówki...

– Muzyka, filmy, mikrokody?

– No właśnie! Mówi ci coś nazwa Witalij Czernobyl i Sarkofagi?

– Nie. To zespół?

– Ta. Najlepszy na świecie. Sprawdź ich, wieśniaku, bo niedługo o nich usłyszysz.

Zjeżdża na ulicę i spunia jakieś audi z tablicą rejestracyjną Oazy Zieleni. Powinna dojechać za nim do domu. Mama leży już pewno w łóżku, udaje, że śpi, i martwi się jak cholera.

Pół przecznicy od wjazdu do Oazy Zieleni odpunia się od audi i skręca do McDonalda. Idzie do damskiej toalety. W McDonalddie są kasetonowe sufity. D.U. staje na muszli w trzeciej kabinie, popycha jeden z sufitowych paneli i odsuwa go na bok. Z góry spada na nią bawełniany rękaw z delikatnym wzorem. Ciągnie go i zrzuca na dół całą resztę: bluzkę, plisowaną spódniczkę w kratę, bieliznę od Vicky's, skórzane pantofle, wisior, kolczyki i nawet jebaną torebkę! Zdejmuje kombinezon Radiksu, zwija go, wrzuca w dziurę w suficie i zasuwa panel. Potem przebiera się.

Wygląda teraz tak, jak podczas dzisiejszego śniadania z Mamą.

Niesie deskę pod pachą przez całą drogę do Oazy Zieleni. W Oazie można mieć deskę pod warunkiem, że nie stawia się jej na ziemi. Pokazuje paszport na granicznym posterunku, przemierza pół mili czystym, nowiutkim chodnikiem i skręca w stronę domu, w którym na werandzie pali się lampa.

Mama jak zwykle siedzi u siebie przed komputerem. Pracuje dla Federalów. U Federalów nie zarabia się dużo pieniędzy, ale trzeba ciężko pracować, żeby wykazać się lojalnością.

D.U. staje w progu i spogląda na Mamę, która opadła nisko w fotelu, przyłożyła ręce do twarzy i wyciągnęła do góry stopy w samych rajstopach. Nosi okropne, tandetne rajstopy od Federalów, które przypominają papier ścierny. Gdy Mama chodzi, jej uda ocierają się o siebie, czemu towarzyszy okropny, szeleszczący odgłos. Na stole stoi torba z zamrażarki pełna wody, która jeszcze niedawno była lodem. D.U. zerka na lewe ramię Mamy. Pod podwiniętym rękawem widać świeży siniak, tuż nad łokciem, gdzie zakładają rękaw do mierzenia ciśnienia. Mama, jak co tydzień, przechodziła test na poligrafie wymagany przez Federalów.

– Czy to ty? – krzyczy Mama, nie wiedząc, że D.U. jest już w pokoju.

D.U. wraca do kuchni. Nie chce jej przestraszyć.

– Tak, Mamo – odpowiada. – Jak ci minął dzień?

– Jestem zmęczona. – Zawsze tak mówi.

D.U. wyjmuje piwo z lodówki i robi sobie gorącą kąpiel. Szum wody odpręża ją niemal tak samo jak dźwięk generatora szumów, który stoi na nocnym stoliczku Mamy.

Pocięty w kawałki nippoński biznesmen leży na podłodze Czarnego Słońca. O dziwo – choć w całości wyglądał jak żywy – w miejscach cięć dokonanych mieczem Hiro nie widać krwi, tkanek czy organów. Nipponczyk był jedynie cienką skorupą epidermy, niewiarygodnie złożoną nadmuchiwaną lalką. Ale nie uszło z niego powietrze, nie zapadł się w siebie; zaglądając w głąb otworów cięć, zamiast kości i tkanek widać odwrotną stronę skóry.

Jego widok psuje metaforę: awatar w ogóle nie przypomina trupa. Przypomina natomiast gościom

Czarnego Słońca, że żyją w świecie fantazji. A ludzie tego nie znoszą.

Gdy Hiro pisał algorytm pojedynków na miecze w Czarnym Słońcu – kod, który później przyjął się w całym Metawersie – odkrył, że nie ma dobrego sposobu pozbycia się tego, co po nich zostaje. Awatary nie miały umierać. Nie miały rozpadać się na kawałki. Twórcy Metawersu nie mieli dość czarnego humoru, by przewidzieć zapotrzebowanie na tego rodzaju rzeczy. A cały sens walki na miecze zasadza się w tym, że zabijając przeciwnika, tnie się go na plasterki. Tak więc Hiro musiał coś wykombinować, by z czasem Metawersu nie zasiały tony rozczłonkowanych, ale nie rozkładających się awatarów.

Pierwszą rzeczą, która ma miejsce, gdy ktoś przegrywa pojedynek na miecze, jest odłączenie jego komputera od sieci globalnej, czyli Metawersu. Gość wypada z systemu. To jedyne przybliżenie śmierci oferowane przez sieć; przybliżenie, które może tylko rozżłościć użytkownika.

Dalej, użytkownik przekonuje się, że przez kilka kolejnych minut nie będzie mógł zalogować się z powrotem do Metawersu. Nie będzie mógł wrócić. Wynika to z faktu, że awatar, choć rozczłonkowany, wciąż zalega w sieci, a zasadą jest, że awatary nie mogą istnieć w dwóch miejscach naraz. Użytkownik nie wróci, dopóki system nie pozbędzie się jego ciała.

Za pozbywanie się poszatkowanych ciał odpowiedzialne są Demony Cmentarne, nowa cecha Metawersu, którą musiał wymyślić Hiro. Demony są małe i zwinne, całe w czerni jak wojownicy ninja, nie widać nawet ich oczu. Są ciche i skuteczne. Gdy Hiro cofa się od pociętego ciała przeciwnika, Demony wyłaniają się przez niewidoczne zapadnie w posadzce Czarnego Słońca, wychodzą z zaświatów i zbierają się przy trupie. Po upływie kilku sekund ciało spoczywa w czarnych workach. Demony wracają do ukrytych zapadni i znikają w podziemnych tunelach Czarnego Słońca. Kilku ciekawskich gości próbuje iść ich śladem, próbuje otworzyć schowane w podłodze zapadnie, ale palce ich awatarów trafiają jedynie na gładką, matową posadzkę. Wstęp do tuneli mają wyłącznie Demony.

I tak się złożyło, że również Hiro. Ale rzadko korzysta z tego przywileju.

Demony Cmentarne położą trupa na Stosie, wewnętrznym, podziemnym ognisku płonącym pod Czarnym Słońcem. Gdy płomień pochłonię awatara, informacja o nim zniknie z Metawersu, a właściciel będzie mógł wrócić do systemu w nowej postaci. Należy mniemać, że za drugim razem będzie bardziej uprzejmy i ostrożny.

Hiro spogląda na krąg klaszczących, gwizdzących i wiwatujących awatarów i stwierdza, że zaczynają znikać. Całe Czarne Słońce wygląda teraz jakby patrzył na nie przez gazetę. Po drugiej stronie pojawiają się jakieś światła psujące obraz, który po chwili znika całkowicie.

Ściąga gogle i stwierdza, że stoi na parkingu Maga-Zyn-Uj i trzyma w ręku obnażoną kataną.

Właśnie zaszło słońce. Wokół niego, w sporej odległości, stoi parę dziesiątków ludzi, niektórzy pochowali się za autami, czekając, co będzie dalej. Większość boi się jak cholera, ale kilku wyraźnie mu kibicuje.

W otwartych drzwiach kontenera stoi Witalij Czernobyl. Domowe lampy podświetlają od tyłu jego fryzurę poddaną twardej obróbce białkami kurzych jaj i innymi proteinami. Substancje te załamują światło i rzucają wokół fragmenty spektrum – tęcze w pigułce. Komputer Hiro rzuca na jego tyłek maleńki obraz Czarnego Słońca. Witalij przestępuje niepewnie z nogi na nogę, jakby stanie o tak wczesnej porze sprawiało mu trudność.

– Zaslaniaasz mi obraz – mówi Hiro.

– Już czas – odpowiada Witalij.

– Popędzasz mnie? Od godziny czekam, aż się obudzisz!

Hiro rusza w stronę kontenera, a Witalij przygląda się niepewnie obnażonemu mieczowi. Ma suche, zaczerwienione oczy, a na dolnej wardze febrę wielkości mandarynki.

– Wygrałeś? – pyta.

– A jak myślisz? – rzuca Hiro. – Jestem najlepszym szermierzem na świecie.

– I napisałeś program.

– To też...

Gdy Witalij Czernobyl i Sarkofagi przyплыnęli do Long Beach na porwanym, należącym dawniej do Związku Radzieckiego frachtowcu z uchodźcami, rozbiegli się po całej południowej Kalifornii, szukając wolnych, pokrytych żelbetonem płaszczyzn, podobnych do tych, jakie zostawili w Kijowie. Nie wynikało to z tęsknoty za domem. Pokryte żelbetonem płaszczyzny potrzebne im były do uprawiania sztuki.

Naturalną kolejną rzeczą wybrali koryto rzeki LA, nad którym przerzucono mnóstwo betonowych mostów i kładek. Miejsce to znaleźli dla nich rolnicy, znający z dawien dawna jego ukryte zalety. Rolnicy i spółdzielnie nuklearnego fuzz-grunge'u zajmują podobne nisze ekologiczne. I właśnie do takiej niszy jadą teraz Witalij i Hiro.

Witalij jeździ naprawdę starym volkswagenem typu vanagon z podnoszonym dachem, który zamienia auto w wóz kempingowy. Kiedyś Witalij w nim mieszkał, parkując samochód przed przedstawicielstwami Pij & Śpij. Robił to, dopóki nie spotkał Hiro. Obecnie kwestia praw własności do volkswagena jest sprawą

dyskusyjną, bo Witalij jest winny Hiro więcej pieniędzy, niż wynosi wartość auta. Jeżdżą więc nim na zmianę.

Zajeżdżają vanagonem na drugą stronę Maga-Zyn-Uj, trąbiąc po drodze i mrugając światłami, by wypłoszyć setki dzieciaków bawiących się na rampie. Bawiących się z konieczności, bo w okolicy nikt nie wybudował dla nich ogródka jordanowskiego.

Wysiadają z auta i znikają w głębi szerokiego korytarza. Idąc, co dwa metry przepraszają ludzi leżących w obozowiskach Majów czy przed buddyjskimi kapliczkami – i białe śmieci nawalone od rana Wirem, Szarlotką, Fuzzy Buzzy, Nartexem, Musztardą i tym podobnymi. Posadzka prosi się o to, by ją zamieść: leżą na niej zużyte strzykawki, złamane fiolki, okopcone łyżeczki, cybuchy fajek. Między nimi walają się małe buteleczki wielkości mniej więcej kciuka. Buteleczki są z przezroczystego plastiku i mają czerwone zakrętki. Być może sprzedawano w nich crack, ale obecność zakrętek wydaje się podejrzana. Ćpuny nie są aż tak drobiazgowo, by zakręcać puste flakoniki. Zatem jest coś nowego, towar, o którym Hiro jeszcze nie słyszał, sprzedawany w pojemnikach jak hamburgery u McDonalda.

Przechodzą przez awaryjne drzwi do innej części Maga-Zyn-Uj, która wygląda tak samo jak poprzednia (w Ameryce wszystko wygląda teraz tak samo, panuje ogólna stagnacja). Witalij ma tu komórkę, 5 na 10, trzecią z prawej strony. Wykorzystuje ją, zgodnie z przeznaczeniem, do magazynowania.

Czernobyl zatrzymuje się przed drzwiami i próbuje sobie przypomnieć szyfr do kłódki, co wymaga odrobiny zgadywania. W końcu zamek puszcza i kłódka otwiera się. Witalij zdejmuje skobel i otwiera drzwi, zamiatając przy okazji podłogę z narkotykowych śmieci. Większą część komórki zajmują czterokołowe wózki transportowe z głośnikami i wzmacniaczami.

Hiro i Witalij zajeżdżają wózkami na rampę, wrzucają sprzęt do volkswagena i odprowadzają wózki do komórki. Wózki – technicznie rzecz ujmując – należą do tutejszej społeczności, ale nikt o to nie dba.

Jazda na miejsce koncertu trwa długo, tym bardziej, że Witalij, odrzucając technocentryczny, właściwy LA ogląd wszechświata, w którym szybkość jest Bogiem, uwielbia utrzymywać się na powierzchni, podróżując z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie ma dużego ruchu. Hiro korzysta z okazji i podłącza komputer do gniazda zapalniczki. Wkłada gogle i loguje się w Metawersie.

W tej chwili nie jest połączony z siecią kablem optycznym. Komunikacja komputera ze światem odbywa się przy pomocy fal radiowych, znacznie wolniejszych i często zawodnych. W tych okolicznościach odwiedziny w Czarnym Słońcu nie miałyby sensu – wyglądałby i brzmiał nieciekawie, a goście traktowałiby go jak czarno-białego. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by wpadł do siebie do biura mieszczącego się we wnętrznościach komputera, który trzyma na kolanach; do tego nie potrzeba kontaktu ze światem zewnętrznym.

Zatem materializuje się w biurze, w ładnym, małym domku stojącym w starej dzielnicy hakerów nieopodal Ulicy. Wystrój wnętrza jest bardzo nipponski, na podłodze leżą maty tatami. Jego biurkiem jest wielki, zdrowy pień przepiłowanego mahoni. Srebrzyste światło sączy się zza ryżowych ścian. Jedna z nich odsuwa się, ukazując ogród z szemrzącą sadzawką, z której wyskakują polujące na muchy pstrągi. Gdyby chciał być wierny tradycji, w sadzawce pływałyby karpie, ale Hiro, jak większość Amerykanów, uważa karpie za niejadalne dinozaury, siedzące na dnie i żywiące się odpadkami.

W biurze pojawił się nowy element: glob wielkości grapefruta ze szczegółową mapą Ziemi, wiszący na wyciągnięcie ręki przed jego oczami. Hiro słyszał o czymś takim, ale nigdy tego nie widział. Jest to program należący do CKW i noszący bezpretensjonalną nazwę: „Ziemia”. „Ziemia” to kolejny interfejs użytkownika, pozwalający ludziom z CKW zdobywać i gromadzić informacje przestrzenne – mapy, dane pogodowe, plany architektoniczne, obrazy z satelitów szpiegowskich itp.

Hiro planował, że za kilka lat, jeśli zarobi dość pieniędzy w wywiadzie, kupi sobie „Ziemię” i postawi ją w biurze. Teraz „Ziemia” pojawiła się sama i to zupełnie za darmo. Jedyńm wytłumaczeniem, jakie przychodzi mu do głowy, jest prezent od Juanity.

Ale po kolei. Karta z Babel/Infokalipsą nadal spoczywa w kieszeni awatara. Wyjmuje ją.

Jeden z paneli z ryżowego papieru, będących ścianami jego biura, odsuwa się. Po drugiej stronie pojawia się duży, słabo oświetlony pokój, którego wcześniej nie było; Juanita musiała więc przebudować jego dom. Do biura wchodzi jakiś człowiek.

Demon Bibliotekarza ma wygląd miłego, pięćdziesięcioletniego, siwawego i brodatego mężczyzny o jasnoniebieskich oczach. Ubrany jest w sweter z wycięciem, pod którym widać roboczą koszulę; na szyi ma krawat z grubo tkanego tweedu. Choć jest tylko kawałkiem oprogramowania, ma wszelkie powody, by się cieszyć: umie poruszać się po nieskończonych zasobach informacji zgromadzonych w Bibliotece z wprawą pająka tańczącego na sieci odnośników. Bibliotekarz jest jedynym programem CKW kosztującym więcej od „Ziemi”. Jedyne, jakiej nie potrafi, to myślenie.

– Słucham pana – odzywa się. Jest usłużny bez obrzydliwej służalczości. Składa ręce na plecach i kołysze się lekko na piętach, unosząc wyczekująco brwi nad połówkami okularów.

– Babel to miasto w Babilonie, prawda?

– Legendarne miasto – odpowiada Bibliotekarz. – Babel jest terminem biblijnym oznaczającym

Babilon. Słowo jest pochodzenia semickiego: Bab oznacza bramę, El – Boga, tak więc Babel należy tłumaczyć: „Brama Boga”. Przyпускаjąc, że używano go również jako onomatopei, określającej kogoś, kto mówi niezrozumiałym językiem. W Biblii pełno jest kalamburów.

– Zbudowano tam wieżę sięgającą nieba, którą zburzył Bóg...

– Przedstawił pan antologię powszechnie stosowanych przeinaczeń. Bóg nie zajmował się wieżą. „I oto rzekł Pan: Oto jeden lud i wszyscy mają jeden język, a to dopiero początek ich dzieła. Teraz już nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek postanowią uczynić. Przeto zstąpmy tam i pomieszajmy ich język, aby nikt nie rozumiał języka drugiego! I rozproszył ich Pan stamtąd po całej ziemi, i przestali budować miasto. Dlatego nazwano je Babel, bo tam pomieszał Pan język całej ziemi” – Genesis 11, 6-9, Standardowa Wersja Poprawiona.

– Więc wieża nie została zburzona. Zostawiono ją samą sobie.

– To prawda. Nie została zburzona.

– Bzdura!

– Że co?

– Bzdura, inaczej dowodnie fałsz. Juanita uważa, że w Biblii nic nie jest dowodnie fałszywe ani dowodnie prawdziwe. Gdyby było dowodnie fałszywe, Biblia byłaby kłamstwem, a gdyby było odwrotnie, wtedy można by udowodnić istnienie Boga i nie byłoby miejsca na wiarę. Historia Babel jest dowodnie fałszywa, bo jeśli zbudowali tam wieżę sięgającą nieba i Bóg jej nie zburzył, to wieża powinna gdzieś być, a przynajmniej jej szczątki.

– Przyjmując, że wieża sięgała nieba, posługuje się pan wiedzą ze zdezaktualizowanej literatury. W Biblii wieżę opisano jako budowlę, której szczyt, cytuję, „sięgałby aż do nieba”. Przez wieki cytat ten interpretowano w sposób, który pan przed chwilą przedstawił: wieża Babel była budowlą tak wysoką, że jej szczyt sięgał nieba. Jednak prowadzone w ostatnim stuleciu wykopaliska udowodniły, że babilońskie zigguraty, wieże, ozdobione były na szczycie diagramami astrologicznymi, inaczej mówiąc, obrazami nieba...

– Rozumiem, rozumiem. Więc prawdziwa historia była taka, że zbudowano wieżę z diagramami nieba na szczycie, co wydaje się bardziej prawdopodobne niż wieża sięgająca nieba.

– Mówiąc, że wieża z diagramami nieba na szczycie wydaje się bardziej prawdopodobna od wieży sięgającej nieba, wyraża się pan nieścisłe. Wieże z diagramami nie mogą być prawdopodobne, bo zostały odkryte.

– No dobra. Trzymajmy się faktów. Twierdzisz, że Bóg wściekł się na budowniczych i zszedł do nich, ale nie tknął wieży. Jednak ludzie musieli przerwać budowę, bo pojawił się informatyczny kataklizm... nie mogli się porozumieć.

– Słowo „kataklizm” pochodzi od greckiego *kataklysmós* – „powódź” i w tym kontekście należałoby zastosować je raczej do biblijnego potopu... – Bibliotekarz spuszcza wzrok. – Przepraszam... ale ze względu na wewnętrzną strukturę jestem łasy na *non sequitur* każdego rodzaju.

– Nic nie szkodzi – mówi Hiro. – Jesteś naprawdę fajnym programem. A w ogóle kto cię napisał?

– W znacznej części napisałem się sam i nadal to czynię – odpowiada Bibliotekarz. – Mam wbudowaną zdolność do uczenia się przez doświadczenie. Zdolność tę wpisał we mnie mój twórca.

– Kto? Może go znam? – mówi Hiro. – Znam wielu hakerów.

– Mój kod nie został napisany przez profesjonalnego hakera *per se*, ale przez pewnego badacza z Biblioteki Kongresu, człowieka, który nauczył się programować – odpowiada Bibliotekarz. – Człowiek ten poświęcił dużo czasu na rozwiązanie powszechnego problemu sortowania nieistotnych danych w poszukiwaniu potrzebnych informacji. Nazywa się doktor Emanuel Lagos.

– Słyszałem to nazwisko – mówi Hiro. – Nie wiedziałem tylko, że był meta-bibliotekarzem. Myślałem, że jest jednym z tych typów z dawnej CIA, które kręcą się wokół CKW.

– Doktor Lagos nigdy nie pracował dla CIA.

– Dobra, zabierzmy się do roboty. Sprawdź dla mnie darmowe informacje w Bibliotece, zawierające nazwisko L. Boba Rife’a i ułóż je w porządku chronologicznym. Pamiętaj, by w poszukiwaniach kłaść nacisk na darmowe.

– Telewizję i gazety. Dobrze, proszę pana. Chwileczkę, proszę pana. – Bibliotekarz odwraca się i wychodzi na miękkich podszwach. Hiro kieruje uwagę na „Ziemię”.

Fantastyczny poziom szczegółowości! Rozdzielczość, przejrzystość, sam wygląd mówi Hiro i każdemu, kto zna się na komputerach, że „Ziemia” to nie byle gówno.

Nie chodzi tu tylko o sposób oddania kontynentów i oceanów. „Ziemia” wygląda tak, jak prawdziwa Ziemia oglądana z orbity geostacjonarnej satelity zawieszzonego nad LA; są na niej układy pogodowe – olbrzymie, obracające się galaktyki chmur, wiszące tuż nad powierzchnią globu, rzucające szarawe cienie na oceany – polarne czapy lodowe, znikające i roztopiające się w morzu. Połowę globu oświetla słońce, drugą okrywa mrok. Terminator – linia oddzielająca noc od dnia – przesunął się właśnie przez LA i pełnie teraz po Pacyfiku na zachód.

Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Gdyby dobrze przyjrzał się chmurom, dostrzegłby ich zmieniające się kształty. Na Wschodnim Wybrzeżu jest przejrzysta noc.

Jego uwagę przykuwa pewien kształt poruszający się stosunkowo szybko po powierzchni Ziemi. Początkowo bierze go za komara, ale w Metawersie nie ma komarów. Wbija weń wzrok. Komputer śledzący ruchy jego źrenic przy pomocy słabego lasera wyczuwa zmianę ostrości spojrzenia. Hiro chwytą bezgłośnie powietrze. Spada na Ziemię! Jak kosmonauta, który urwał się ze sznurka podczas kosmicznego spaceru. Stara się zapanować nad własnym wzrokiem i zatrzymuje się kilkaset mil nad Ziemią. Pod sobą ma chmury i komara sunącego nad nimi. Jest nim nisko zawieszony satelita CKW lecący z północy na południe po polarnej orbicie.

– Pańskie informacje – przerywa mu Bibliotekarz.

Lekko przestraszony Hiro podnosi wzrok. Ziemia znika z jego pola widzenia, w którym pojawia się Bibliotekarz stojący przed biurkiem z hiperkartą w dłoni. Jak każdy prawdziwy bibliotekarz porusza się bezszelestnie.

– Czy mógłbyś hałasować, wchodząc? Mam słabe serce – prosi Hiro.

– Owszem, proszę pana. Przepraszam.

Hiro wyciąga rękę po hiperkartę. Bibliotekarz podchodzi o pół kroku i pochyla się lekko. Tym razem jego stopy szurają po tatami, a spodnie wydają suche trzaski, jak naelektryzowane.

Hiro odbiera hiperkartę i omiata ją wzrokiem. Z przodu widać nagłówek

Wyniki analizy zawartości Biblioteki

co do:

Rife'a, Lawrence'a Roberta, 1948 –

Odwraca kartę na drugą stronę. Z tyłu widać kilkadziesiąt równo poukładanych ikon, nie większych od paznokcia. Niektóre z nich przypominają zmniejszone pierwsze strony gazet. Inne – lśniące kolorowo prostokąci – miniaturowe ekrany telewizora, na których wyświetla się zapis wideo.

– To niemożliwe! – mówi Hiro. – Siedzę w starym, jadącym autostradą volkswagenie. Jestem połączony z siecią łączem komórkowym. Nie mogłeś załadować mi tylu filmów przez tak krótki czas!

– To nie było konieczne – odpowiada Bibliotekarz. – Wszystkie istniejące zapisy wideo dotyczące L. Boba Rife'a zebrał doktor Lagos i umieścił w katalogu Babel/Infokalipsa, który istnieje już w pańskim systemie.

– Aha.

14

Hiro spogląda na miniaturowy telewizorek w lewym górnym rogu karty. Ikona powiększa się, osiągając kształt dwunastocalowego aparatu o niskiej rozdzielczości, ustawionego na wyciągnięcie ręki. Automatycznie włącza się odtwarzanie obrazu wideo. Jest to kiepski, ośmiomilimetrowy film ze szkolnego meczu futbolowego z lat sześćdziesiątych. Nie ma głosu.

– Co to za mecz?

– W Odessie w stanie Teksas w 1965 roku – odpowiada Bibliotekarz. – L. Bob Rife jest obrońcą z numerem ósmym na ciemnej koszulce.

– Nie potrzebuję tylu szczegółów. Nie mógłbyś ich streszczać?

– Nie. Ale mogę pokrótce wymienić zawartość odnalezionych materiałów. W katalogu jest jedenaście szkolnych meczów futbolowych. W klasie maturalnej Rife występował w drugiej reprezentacji piłkarskiej Teksasu. Później, dzięki stypendium, znalazł się w Rice, gdzie również grał w futbol, co widać na czternastu filmach z meczów uniwersyteckich. Rife zrobił dyplom z technik komunikacyjnych...

– Logiczne, zważywszy, kim został.

– ...a następnie pracował jako telewizyjny komentator sportowy w Houston, co jest udokumentowane pięćdziesięcioma godzinami taśm wideo – w większości z wyjątkami, rzecz jasna. Po dwóch latach pracy w telewizji, zaczął prowadzić interesy z wujem – finansistą działającym w przemyśle naftowym. W katalogu jest kilka wycinków z gazet, mówiących o tym okresie. Przeczytawszy je, doszedłem do wniosku, że są powiązane formalnie, co wskazuje, że wyszły z jednego źródła.

– Informacje dla prasy.

– Potem jest przerwa obejmująca pięć lat...

– Szykował coś...

– ...po której pojawiają się artykuły, będące wyjątkami z kolumn religijnych prasy z Houston. W artykułach tych wymienia się dotacje przekazane przez Rife'a różnym organizacjom.

– Ładnie to streściłeś. A mówiłeś, że nie umiesz streszczać!

– Istotnie nie umiem. Posłużyłem się streszczeniem, którego dokonał dr Lagos, przeglądając nie tak dawno te same dane z Juanitą Marquez w mojej skromnej obecności.

– Mów dalej.

– Rife przekazał 500 dolarów Szkockiemu Kościołowi Chrztu Ogniem, na ręce Wielebnego Wayne'a Bedforda, proboszcza; 2 500 dolarów Zielonoświątkowej Lidze Młodzieży z Bayside, na ręce Wielebnego Wayne'a Bedforda, przewodniczącego; 150 000 dolarów Kościołowi Zielonoświątkowców Nowej Trójcy, na ręce Wielebnego Wayne'a Bedforda, założyciela i patriarchy; 2 300 000 dolarów Kolegium Biblijnemu Rife'a, na ręce Wielebnego Wayne'a Bedforda, rektora i dziekana wydziału teologicznego; 20 milionów dolarów wydziałowi archeologicznemu Kolegium Biblijnego Rife'a oraz 45 milionów dolarów wydziałowi astronomii i 100 milionów dolarów wydziałowi informatycznemu.

– Czy te dotacje miały miejsce przed hiperinflacją?

– Tak, proszę pana. Dokonano ich... jak to się mówi... prawdziwymi pieniędzmi.

– Ten Wayne Bedford... Czy to ten sam facet, który prowadzi Perłowe Wrota Wielebnego Wayne'a?

– Ten sam.

– Chcesz mi powiedzieć, że Rife jest właścicielem Perłowych Wrót?

– Ma większościowy pakiet akcji w Towarzystwie Perwrota, które jest ponadnarodową korporacją, prowadzącą sieć Perłowych Wrót Wielebnego Wayne'a.

– Dobra, przekopujmy się dalej...

Hiro zerka przez gogle na zewnątrz, by stwierdzić, że Witalij nadal nie zbliżył się do miejsca, w którym ma się odbyć koncert. Wraca zatem do komputera i przegląda taśmy i artykuły zebrane przez Lagosa.

W tych samych latach, w których Rife dokonywał dotacji dla Wielebnego Wayne'a, jego nazwisko zaczęło pojawiać się coraz częściej w kolumnach poświęconych gospodarce: najpierw w gazetach lokalnych, a potem w „Wall Street Journal” i „New York Timesie”. Wkrótce wybucha prawdziwa bomba informacyjna – z zapalnikiem sterowanym niewątpliwie przez ludzi od Public Relations Rife'a – po tym jak Nippończycy, korzystając ze swych dawnych stosunków, próbują wygryźć Rife'a z amerykańskiego rynku telekomunikacyjnego. Rife odwołuje się do zdania amerykańskiej opinii publicznej i wydaje 10 milionów na kampanię mającą przekonać Amerykanów, że Nippończycy to podstępne bestie. Utrzymana w tryumfalistycznym tonie okładka „The Economist” oznajmia, że Nippończycy przegrali i Rife panuje nad całym amerykańskim rynkiem światłowodowym i sporą częścią rynku Wschodniej Azji.

Zaraz potem pojawiają się kawałki o stylu życia L. Boba Rife'a, który chce pokazać opinii publicznej swą bardziej ludzką stronę. W dużym piśmie, poświęconym znanym ludziom, ukazuje się lukrowana sylwetka Boba, który kupuje nowy jacht z zapasów rządu Stanów Zjednoczonych.

L. Bob Rife – ostatni z dziewiętnastowiecznych monopolistów – pokazany jest na mostku kapitańskim podczas rozmowy z dekoratorem wnętrz. Okręt wygląda niezłe, zważywszy, że Rife kupił go od Marynarki Wojennej, ale wnętrza nie odpowiadają teksańskim gustom armatora. Bob każe je opróżnić i przebudować. Na kilku zdjęciach widać jego bycze ciało, przemieszczające się po wąskich podestach i stromych schodkach okrętu, utrzymanego w nudnym, szarostalowym kolorze, który Bob obiecuje zmienić.

Mówi dziennikarzowi: – Wie pan, jest taka opowieść o Rockefellerze, który kupił sobie jacht... niezbyt duży... mierzący z siedemdziesiąt stóp. W zasadzie mały według ówczesnych standardów. I kiedy ktoś go zapytał, dlaczego kupił sobie taką małą łajbę, Rockefeller spojrział na niego i powiedział: „Co pan myślisz, że jestem Vanderbilt!” Ha, ha! Witam, witam serdecznie na pokładzie mojego jachtu.

Mówiąc te słowa, L. Bob Rife stoi wraz z ekipą telewizyjną na otwartej platformie okrętowej windy. Winda jedzie do góry. W tle widać Pacyfik. Gdy Rife kończy ostatnie zdanie, winda zatrzymuje się i kamerzysta odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni. Przed oczami widza ciągnie się pokład lotniskowca „Enterprise”, należącego dawniej do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Obecnie jest to prywatny jacht L. Boba Rife'a, który w przetargowej wojnie pokonał System Obrony Generała Jima i Globalne Siły Zbrojne Admirala Boba. L. Bob Rife podziwia olbrzymie, otwarte przestrzenie pokładu lotniskowca, porównując je do niektórych części Teksasu. Uważa, że byłoby fajnie nasypać na pokład ziemi i zacząć hodować na nim bydło.

Kolejny profil Rife'a. Tym razem późniejszy i pochodzący z sieci zajmującej się biznesem: widz ogląda przebudowany mostek kapitański lotniskowca „Enterprise”. L. Bob Rife, lord Szerokości Pasma, siedzi za biurkiem podczas woskowania wąsów. Woskowania, rzecz jasna, nie w sensie usuwania, a wygładzania i podkreśniania. Czynność tę wykonuje mała Azjatka, która robi to tak delikatnie, że Rife może swobodnie mówić, głównie o tym, jak stara się okablować Koreę i Chiny i połączyć tamtejszy kabel z linią biegnącą przez Syberię i dalej, za Ural.

– Tak, wie pani, praca monopolisty nigdy się nie kończy. Nie ma czegoś takiego jak doskonały monopol. Zawsze zostanie gdzieś jakiś ułamek procentu, który nie należy do pana.

– A co na to rząd koreański, który, jak wiemy, wciąż wydaje się silny i skuteczny? Zapewne tamtejsze przepisy sprawiają panu niemało kłopotów.

L. Bob Rife wybucha śmiechem.

– Wie pani, moją ulubioną rozrywką jest przyglądanie się, jak rządowi specje od przepisów próbują dotrzymać kroku rozwojowi świata. Pamięta pani, jak podzielili Ma Bell... to znaczy Bella?

– Tyle o ile... – Dziennikarka ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Ale wie pani co to Ma Bell?

– Bell, owszem. Monopolista telekomunikacyjny działający na rynku telefonii głosowej.

– Zgadza się. Robili mniej więcej w tym samym co ja. W informacji. Przesyłali głos po cienkich, miedzianych drucikach, jedna rozmowa na jeden drucik. I rząd ich podzielił! W tym samym czasie kiedy zakładałem sieci kablowe w trzydziestu stanach! Ha! Uwierzy pani? Rząd Stanów Zjednoczonych zachował się tak, jakby wprowadził przepisy ruchu dla koni w czasach, gdy na drogach pojawił się ford T, a w powietrzu zaczęły latać samoloty.

– Ale system telewizji kablowej nie jest tym samym, co system telefoniczny.

– Nie był, proszę pani. W tamtych czasach. Ze względu na niewielki zasięg. Ale gdy obejmie nim pani cały świat, wystarczy tylko połączyć jedno z drugim i ma pani globalną sieć. Tak wielką jak dawna sieć telefoniczna, ale przesyłającą informacje tysiące razy szybciej. Obrazy, dźwięk, dane, co tylko pani chce!

Dalej zwykły implant ludzi od PR: półgodzinna reklama telewizyjna, służąca jedynie temu, by L. Bob Rife mógł przedstawić swój punkt widzenia. Na cokolwiek. W pewnym momencie historii rozwoju imperium Rife'a, grupa programistów – ludzi odpowiedzialnych za pracę jego systemu – założyła związek – rzecz niesłychana wśród hakerów! – i wytoczyła Rife'owi proces, oskarżając go o to, że umieścił aparaturę podsłuchową (audio i wideo) w ich domach, że poddawał ich nieustannej inwigilacji i dalej nękał, i groził tym spośród nich, którzy prowadzili – jak utrzymywał – „niemożliwy do zaakceptowania styl życia”. Sprawa wyszła na jaw, gdy jedna z programistek odbyła we własnej sypialni stosunek płciowy z mężem, a podczas stosunku uprawiała z nim seks oralny. Następnego ranka wezwano ją przed oblicze L. Boba Rife'a, który nazwał programistkę „wszetcznicą i sodomitką” i kazał jej uprzątnąć biurko. Skandal, jaki wybuchł w prasie, tak zirykował Boba, że postanowił wydać parę milionów na reklamowanie siebie.

– Zajmuję się informacją – powiada jednemu z przylizanych, płaszczących się pseudodziennikarzy, którzy „przeprowadzają wywiad”. Rife siedzi w swoim biurze w Houston i jest bardziej śliski niż zwykle. – Wszystkie programy telewizyjne oglądane przez widzów na całym świecie idą moim kablem. Większość informacji transmitowanych do i z bazy danych CKW przechodzi przez moją sieć. Metawers i Ulica istnieją dzięki systemowi, który należy do mnie i jest przeze mnie kontrolowany.

– Oznacza to, jeśli zechcą państwo poświęcić chwilę uwagi mojemu rozumowaniu, że każdy pracujący u mnie programista, zajmujący się informacją, ma niesłychaną władzę! Informacje przechodzą przez jego mózg i często tam zostają. Idą z nim do domu po pracy. Pojawiają się – na rany Chrystusa! – w jego snach, w rozmowach z żoną. Ale niech mnie szlag trafi, jeśli człowiek ten ma prawo do tych informacji! Gdybym był właścicielem fabryki samochodów, to czy pozwalałbym moim robotnikom jeździć autami do domu albo pożyczać narzędzia? A robię to, tak, robię to codziennie o piątej po południu na całym świecie, gdy moi hakerzy kończą pracę.

– W dawnych czasach, kiedy wieszano koniokradów, ci, przed śmiercią, zawsze moczyli się w spodnie. Był to, pojmują państwo, ostatni znak mówiący, że stracili kontrolę nad własnym ciałem, że umierają. Co z tego wynika? Otóż to, drodzy państwo, że podstawową funkcją każdej organizacji jest utrzymanie kontroli nad pęcherzem. Z przykrością stwierdzam, że jesteśmy dopiero w połowie drogi do opanowania owej podstawowej czynności. Doskonalimy nasze techniki zarządzania tak, by każda informacja, bez względu na to gdzie się znajduje – na twardym dysku czy w głowie programisty – była bezpieczna, byśmy mogli ją kontrolować! W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej ze względu na konkurencję. Ale mam ogromną nadzieję, że za pięć... może dziesięć lat, sprawa ta zostanie gruntownie rozwiązana.

Dalej był półgodzinny odcinek cyklicznego programu naukowego, poświęcony kontrowersyjnej, nowej dziedzinie, jaką jest infoastronomia – poszukiwanie sygnałów radiowych pochodzących z innych układów słonecznych. L. Bob Rife osobiście zainteresował się tym tematem. Rządy wielu państw wyprzedają resztki zasobów, a Bob kupuje radioobserwatoria i łączy je, używając w tym celu sieci światłowodowej i tworząc jedną, gigantyczną antenę, wielkości ziemskiego globu. Przeczesuje kosmos dwadzieścia cztery godziny na dobę, szuka sygnałów radiowych, które mogą mieć sens – informacji pochodzących od obcych cywilizacji.

– Dlaczego? – pyta prowadzący program, znany profesor z MIT. – Dlaczego zwykły nafciarz zajmuje się tak wysublimowanymi zagadnieniami?

– A dlatego, że właśnie zeszył te planete.

Rife wypowiada to zdanie z sardonyczną, pełną pogardy intonacją; z przesadnym akcentem kowboja, który podejrzewa, że jakiś jajogłowy Jankes bierze go pod włos.

Fragment serwisu informacyjnego, późniejszego o kilka lat. Kamera znów pokazuje pokład „Enterprise”, ale teraz panuje tu zupełnie inna atmosfera. Górny pokład zamienił się w obozowisko uchodźców. Tłoczą się na nim mieszkańcy Bangladeszu, których L. Bob Rife wyłowił z Zatoki Bengalskiej, po tym, jak ich kraj spłynął do morza na skutek olbrzymich powodzi, wywołanych przez masowe wycinanie lasów w Indiach,

toczących wojnę hydrologiczną. Kamera przesuwają się i kieruje obiektyw nad krawędź pokładu i niżej, gdzie widać początki Tratwy: stosunkowo niewielkiej jeszcze zbieraniny łodzi, które przyczepiły się do „Enterprise”, mając nadzieję na darmową podróż przez ocean do Ameryki.

Rife wędruje wśród uchodźców, rozdając biblijne komiksy i całując dzieci. Ludzie tłoczą się wokół niego, składając dłonie, i kłaniają mu się z uśmiechem. Rife odwzajemnia ukłony – dosyć niezdarnie – ale na jego twarzy nie ma nawet cienia uśmiechu. Jest śmiertelnie poważny.

– Panie Rife, co odpowie pan tym, którzy posądzają pana o efekciarstwo, twierdząc, że robi pan to wszystko dla reklamy? – pyta dziennikarz występujący teraz w roli Złego Gliny.

– Cholera, gdybym zastanawiał się nad wszystkim, co się o mnie mówi, to nie miałbym czasu na pracę – odpowiada L. Bob Rife. – Proszę zapytać tych ludzi – wskazuje na uchodźców – co o tym myślą.

– Czyli twierdzi pan, że program pomocy uchodźcom nie ma nic wspólnego z budowaniem pańskiego publicznego wizerunku?

– Nic a nic. Bo...

Cięcie, po którym do kamery przemawia dziennikarz. Rife chciał wygłosić kazanie – myśli Hiro – ale mu nie pozwolili.

Jedną z ogromnych zalet Biblioteki jest to, że można w niej znaleźć mnóstwo wyjątków. To, że kawałek taśmy nigdy nie znalazł się w nadanym na antenie programie, nie znaczy, że nie ma na nim cennych danych wywiadowczych. CKW już dawno zapuściła macki w bibliotekach nagrań stacji i sieci telewizyjnych. Ale materiały, które wypadły przy montażu – miliony godzin nagrań – nie zostały jeszcze zapisane w formie cyfrowej w Bibliotece. Można jednak wysłać zamówienie i CKW ściągnie z półki interesującą nas taśmę, i przekoduje ją dla nas.

W tym konkretnym wypadku Lagos był pierwszy. Zadbał o wycięty kawałek taśmy i wypowiedzi Rife’a.

– Nic a nic. Bo proszę posłuchać: Tratwa jest istotnie wydarzeniem medialnym, ale w znacznie głębszym sensie, niż się komukolwiek wydaje.

– Czyżby?

– Tak, jest tworzona przez media, bo bez nich ludzie nie wiedzieliby o jej istnieniu. Uchodźcy nie wypływaliby w morze i nie dryfowali wokół lotniskowca. Ale Tratwa, proszę zwrócić uwagę, tworzy również media, dając im pokarm w postaci informacji: obrazów, filmów, wiadomości, reportaży i tak dalej...

– Więc tworzy pan własne wydarzenie medialne, by zarobić na związanym z nim przepływie informacji? – pyta dziennikarz, rozpaczliwie starając się pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Z jego tonu wynika, że uważa to za stratę taśmy. A z całej, bezsilnej postawy – że nie po raz pierwszy ma do czynienia z ekscentrycznymi pomysłami Rife’a.

– Po części. Ale to bardzo powierzchowne wytłumaczenie. Sprawa jest znacznie głębsza. Zapewne słyszał pan wyrażenie, że przemysł żywi się biomasą jak wieloryb odsączający kryła z oceanu?

– Owszem, słyszałem.

– Jest moje, sam je wymyśliłem. Takie wyrażenia, wie pan, są jak wirusy, informacje, dane. Rozprzestrzeniają się od jednej osoby do drugiej. Ale nie o to chodzi. Podstawową funkcją Tratwy jest sprowadzenie biomasy. Żeby odnowić Amerykę. Większość krajów jest statyczna, a jedyne, czego im trzeba do istnienia, to przyrost naturalny. Natomiast Ameryka jest jak wielki, stary, dymiący kombajn, który jeździ po polu i pożera wszystko jak leci. Zostawia za sobą plewy, mnóstwo, mnóstwo plew. I potrzebuje paliwa. Czytał pan kiedyś taką historię o labiryncie i Minotaurze?

– Ma się rozumieć. Rzecz działa się na Krecie, prawda? – pyta sarkastycznie dziennikarz. Sam nie może uwierzyć, że słucha tych bzdur. Żałuje, że wczoraj nie poleciał do LA.

– Taa. Co roku Grecy łapali parę dziewczic i wysyłali je na Kretę jako hołd. Potem król Krety wrzucał je do labiryntu, a Minotaur pożerał je żywcem. Kiedy byłem dzieckiem, czytałem tę opowieść mnóstwo razy i zastanawiałam się, kim do cholery byli ci Kreteńczycy, że cały świat trząsał przed nimi portkami i potulnie, co roku, oddawał im dzieci na pożarcie. Skubanym sukinsynom.

– Teraz patrzę na to inaczej. Ameryka w oczach tych tam z dołu wygląda tak samo jak Kreta w oczach pieprzonych Greków. Z tą różnicą, że do niczego ich nie zmusza. Ci tam z własnej woli oddają nam dzieci. Milionami wysyłają je do labiryntu na pożarcie. Przemysł żywi się nimi i wypluwa plewy w postaci obrazów, filmów i programów telewizyjnych, przesyłanych moją siecią. Obrazy bogactwa i rzeczy, jakich nie widzieli na oczy, podsuwa się następnym, żeby mieli o czym marzyć, do czego aspirować. I na tym polega funkcja Tratwy – wielkiego frachtowca z kryłem.

Dziennikarz pozbywa się wreszcie maski profesjonalisty i zaczyna otwarcie ganić L. Boba Rife’a. Wyraźnie ma go już dosyć.

– To obrzydliwe. Nie wierzę, że myśli pan o ludziach w taki sposób.

– Gównu wiesz, chłopcze, i przestań się wymądrzać. Nikt tu nikogo nie je naprawdę. To była tylko taka ta... metafora. Ci tam, z dołu, przyjeżdżają do nas, dostają porządną pracę, odnajdują Chrystusa, kupują sobie grill od Weбера i żyją długo i szczęśliwie. Co w tym złego?

Rife jest wkurzony. Krzyczy. Stojący za nim Bangladeszczycy podchwytyją złe wibracje. Nagle jeden z

nich, niesamowicie chudy facet z długimi, zwisającymi wąsami, staje przed kamerą i zaczyna wrzeszczeć: – A ma la ge zen ba dam gal nun ka aria su su na an da... – Słowa te powtarza reszta zgromadzonych, a po chwili wykrzykuje je cały pokład.

– Cięcie – mówi dziennikarz do obiektywu. – Po prostu cięcie. Babba Brygada się włącza... który to już raz?

Na ścieżce dźwiękowej pojawiają się tysiące głosów ludzi mówiących różnymi językami. Blżej słychać wkurwiający, wysoki chichot L. Boba Rife’a.

– To cud. Dar Ducha Świętego! – Rife przekrzykuje tumult. – Rozumiem każde słowo. A ty, bracie?

– Ty! Odłącz się od tego, partnerze!

Hiro podnosi wzrok znad karty. W biurze nie ma nikogo oprócz Bibliotekarza.

Obraz traci nagle ostrość, umyka do góry i znika z jego pola widzenia. Hiro widzi teraz przednią szybę auta. Ktoś zerwał mu gogle z głowy i nie był to Witalij!

– Tu jestem, okularniku!

Hiro spogląda w bok. D.U. jedzie obok volkswagena, trzymając się jedną ręką drzwi. W drugiej ma jego gogle.

– Zabierają ci mnóstwo czasu – mówi, wskazując brodą okulary. – Wróc do rzeczywistości.

– Tam gdzie jedziemy – odpowiada Hiro – będzie jej aż nadto.

Gdy Hiro i Witalij zbliżają się do szerokiego mostu, na którym ma odbyć się koncert, ich mocno żelazisty vanagon przyciąga MagnaPuny jak świeca ćmy. Gdyby rolkarze wiedzieli, że w aucie siedzi sam Witalij Czernobyl, w volkswagenie z pewnością zatarłby się silnik. A tak korzystają tylko z okazji dojazdu na koncert.

Im bliżej mostu, tym trudniejsza staje się jazda. Na drodze jest gęsto od rolkarzy. Pasażerowie vanagona czują się tak, jakby w rozsznurowanych butach przechodzili przez pokój pełen małych kotków. Zwalniają, dają znaki klaksonem, mrugają światłami.

W końcu udaje im się dojechać do platformy ciężarówki, będącej sceną dzisiejszego koncertu. Obok stoi druga ciężarówka, pełna wzmacniaczy i innego sprzętu nagłaśniającego. Kierowcy ciężarówek, prześladowana dwuosobowa mniejszość, schowali się w kabinie ciężarówki ze sprzętem, gdzie palą papierosy i skąd spoglądają groźnie na rój rolkarzy – ich głównych wrogów w łańcuchu pokarmowym autostrad. Wyjdą stamtąd dopiero o piątej rano, kiedy droga się oczyści.

Pozostali członkowie Sarkofagów stoją obok sceny i palą papierosy, trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym, jak wszyscy Ruscy. Widząc zbliżający się vanagon, rzucają papierosy na ziemię, zdeptują je podeszwami tanich winylowych butów i podbiegają do auta. Po chwili wyjmują już z niego sprzęt. Witalij wkłada gogle, podłącza się do komputera ciężarówki ze wzmacniaczami i zaczyna dostrajać nagłośnienie. W pamięci maszyny jest trójwymiarowy model mostu. Witalij musi zsynchronizować opóźnienia wszystkich głośników, tak by podczas koncertu dudniło w nich jedno, nieznośne echo.

15

Na rozgrzewkę gra Tępy Ból. Zaczynają około dziewiątej. Po pierwszym akordzie tani zestaw kupionych z drugiej ręki wzmacniaczy zespołu trafia szlag. Z drutów sypią się iskry, a wśród rolkarzy wybucha chaos. Komputer ciężarówki nagłaśniającej odnajduje przepalony obwód i wyłącza go, zanim komuś lub czemuś stanie się krzywda. Tępy Ból gra coś w rodzaju szybkiego reggae, czerpiąc pełnymi garściami z antytechnologicznych pomysłów Sarkofagów.

Będą grać prawdopodobnie przez godzinę, a potem przez parę godzin scena znajdzie się we władaniu Witalija i Sarkofagów. A jeśli pojawi się Sushi K., może i on stanie przed mikrofonem.

Biorąc pod uwagę tę ewentualność, Hiro wrywa się z oszalałego środka tłumu i zaczyna krążyć po jego orbicie. Gdzieś tam jest D.U., ale nie ma sensu jej szukać. Poza tym na pewno byłoby jej wstyd pokazywać się wśród rolkarzy ze „starszym”.

Koncert pędzi już pełną parą i równie dobrze obejdzie się bez niego. Hiro nie ma tu nic do roboty. To, co ciekawe, zawsze dzieje się na obrzeżach, tam gdzie jest ruch, a nie w środku, gdzie wszystko jest takie samo. Wydarzenia dzieją się na granicach, w tym wypadku na krawędzi tłumu, w miejscu, gdzie światło reflektorów ginie w cieniu mostu.

Tłum na obrzeżach stanowi typową mieszankę ze złej strony mostu w LA w środku nocy. Stoi tu małe miasteczko kartonowych baraków, zamieszkiwanych przez hardcore’owych niezatrudnialnych z Trzeciego Świata i schizofrenicznych przedstawicieli świata pierwszego, którzy już dawno temu starli swe mózgi na popiół w pustelniach własnej wyobraźni. Wielu z nich wyłania się teraz z przewróconych śmietników i

starych zamrażarek, by stanąć na palcach na krawędzi tłumu i zająrzeć tam, skąd dobiega hałas i światło. Niektórzy wyglądają na sennych i przejętych, inni – postawni Latynosi – są rozbawieni tym, co się dzieje, podają sobie papierosy z rąk do rąk i potrzásają głowami z niedowierzaniem.

Ta ziemia należy do Krypsów. Krypsi chcieli zatrudnić się jako ochrona, ale Hiro, który studiował w Altamont w czasach, gdy żywa była jeszcze legenda pewnego koncertu, wziął na siebie ryzyko posłania ich do diabła. A zamiast nich wynajął Pacyfikatorów.

Na obrzeżach tłumu co kilkadziesiąt stóp stoi duży, wyprostowany mężczyzna w seledynowej kurtce z napisem „PACYFIKATOR” na plecach. Rzuca się w oczy, tak jak lubią. Ale mundury ochroniarzy nasączone są elektropigmentem i w razie potrzeby można zmienić ich kolor na czarny przy pomocy małego pstryczka w klapie. Kurtki są też kuloodporne, wystarczy zasunąć zamek. Noc jest ciepła, więc większość ochroniarzy chodzi porozpinana, żeby się ochłodzić. Niektórzy się wałęsają, ale część wpatruje się w tłum, a nie w zespól.

Żołnierze są na miejscu, ale Hiro szuka wzrokiem generała. Oto i on. Niski, napakowany czarny facet o posturze ciężarowca wagi lekkiej. Ma taką samą kurtkę jak inni, ale pod spodem dodatkową kamizelkę kuloodporną, a przy niej fajny zestaw środków łączności i urządzeń do robienia ludziom krzywdy. Biega w tę i z powrotem, wymachuje głową, wyrzucając z siebie rozkazy do zawieszonoego na uchu mikrofonu, i zachowuje się jak trener drużyny futbolowej.

Nieco dalej stoi wysoki mężczyzna dobrze po trzydziestce. Ma wyraźną kozią bródkę i ładny szaroczarny garnitur. Jego spinka do krawata rzuca błyski na odległość stu stóp. Hiro wie, że gdyby podszedł bliżej, odczytałby słowo „Kryps” wypisane na spince szafirami i okolone diamentami. Facet ma własną ochronę – liczący z pół tuzina oddział ludzi w podobnych garniturach. Choć Krypsi nie pracują na koncercie, nie mogli podarować sobie przysłania delegacji, choćby po to, żeby się pokazać.

Przez ostatnie dziesięć minut peryferia jaźni Hiro drąży jakieś *non sequitur*. Światło lasera ma szczególną, ziarnistą strukturę, molekularną czystość odzwierciedlającą jego pochodzenie. Oko doskonale to wychwytuje i wie, że nie ma do czynienia ze zjawiskiem naturalnym. Laser można rozpoznać wszędzie, a już szczególnie pod brudnym mostem w środku nocy. Hiro odbiera kątem oka laserowe błyski i próbuje wysledzić ich źródło. Zdaje się, że nikt inny niczego nie zauważył.

Ktoś z bliskiej odległości puszcza promień lasera prosto w jego twarz.

To irytujące. Hiro ostrożnie zmienia kurs, dryfuje w stronę nawietrznej ogniska śmieciarzy płonącego w stalowej beczce. Przechodzi przez chmurę rozrzedzonego dymu, którego prawie nie widać, ale doskonale czuć.

Gdy laser po raz kolejny strzela w jego twarz, odrzuca na boki miliony maleńkich cząsteczek popiołu i uwidacznia się jako geometryczna prosta w przestrzeni prowadząca do samego źródła.

Gargulec stoi w ciemności obok kartonowego pudła. Ubrał się w garnitur, jakby chciał mieć pewność, że nikt go nie przeoczy.

Gargulce reprezentują wstydlivą stronę Centralnej Korporacji Wywiadowczej. Nie korzystają z laptopów, lecz noszą komputery na całym ciele, podzielone na oddzielne moduły wiszące w pasie, na plecach i na głowie. Spełniają funkcję ludzkich urządzeń inwigilujących, odnotowując wszystko, co się wokół nich dzieje. Nie ma na świecie człowieka wyglądającego głupiej niż gargulec. Jego sprzęt jest współczesnym odpowiednikiem telefonu komórkowego i kalkulatora wiszącego w pochewce przy pasku, oznajmiającego całemu światu, że oto ma do czynienia z osobnikiem poniżej wszelkich standardów. Hiro nienawidzi gargulców, bowiem stanowią uosobienie najgorszych stereotypów współpracownika CKW. Zwracają na siebie uwagę. Jediną korzyścią wynikającą ze skazania się z własnej woli na ostracyzm, jest ciągły dostęp do Metawersu, co umożliwia zbieranie danych wywiadowczych przez cały czas.

Wyżsi rangą współpracownicy CKW nie znoszą gargulców, ponieważ ci ładują do bazy danych zastraszające ilości całkowicie nieprzydatnych informacji, łudząc się, że kiedyś ktoś z nich skorzysta. Ich praca podobna jest do kompulsywnego zapisywania numerów rejestracyjnych wszystkich aut, jakie widzi się po drodze do pracy, w nadziei, że jedno z nich potrafi pieszego i ucieknie. Baza danych CKW też ma swoją pojemność. Zwykle więc gargulce szybko tracą zatrudnienie.

Ten widocznie jeszcze go nie stracił. A sądząc po jakości jego sprzętu – który jest bardzo drogi – siedzi w tym interesie już jakiś czas. Oznacza to, że jest dobry.

A jeśli tak, to co robi w takim miejscu?

– Hiro Protagonista – mówi gargulec, gdy Hiro zachodzi go od tyłu, w ciemnościach, obok kartonowego pudła. – Współpracownik CKW od jedenastu miesięcy. Specjalność: przemysł. Były haker, ochroniarz, dowozicielator, promotor zespołów rozrywkowych. – To dobrze znane fakty i nie trzeba być gargulcem, żeby je znać.

Promień lasera, który kłuł Hiro w oko, wydobywa się z peryferyjnego urządzenia komputerowego, zawieszonoego nad gołami gargulca na środku czoła. Gdy człowiek staje przed gargulcem z otwartymi oczami, laser penetruje tęczówkę, najczulszy z ludzkich zwieraczy, i skanuje siatkówkę. Wynik wysyła się do CKW, w której znajduje się baza danych kilkudziesięciu milionów zeskanowanych ludzkich siatkówek.

Jeśli nasza siatkówka znajduje się w bazie danych, po kilku sekundach właściciel urządzenia wie, z kim ma przyjemność. Jeśli naszej siatkówki nie było w bazie danych, to cóż... już jest.

Użytkownik, rzecz jasna, musi mieć przywilej dostępu. A gdy ustalą tożsamość, musi postarać się o kolejne przywileje, by wydobyć dane personalne. Ten konkretny gargulec ma mnóstwo przywilejów. Znacznie więcej niż Hiro.

– Nazywam się Lagos – oznajmia gargulec.

A więc to jest doktor Emanuel Lagos! Hiro zastanawia się, czy nie zapytać go, co tu do cholery robi. Z przyjemnością zaprosiłby go na drinka, zapytał o pracę nad Bibliotekarzem. Ale jest wkurzony. Lagos nie był wobec niego uprzejmy (jak zresztą każdy gargulec *ex definitione*).

– Jesteś tu w sprawie Kruka? Czy tylko z powodu fuzzi-grunge'owego cynku, jaki sprzedano ci... hmm... przed trzydziestoma sześcioma dniami? – pyta Lagos.

Rozmowa z gargulcami nie należy do przyjemności. Nigdy nie kończą zdania. Dryfują w rysowanym przez lasery świetle, skanując na prawo i lewo siatkówki, sprawdzając tożsamość każdego, kto zbliży się do nich na tysiąc jardów, i obserwując wszystko na wielu pasmach jednocześnie: w świetle widzialnym, podczerwonym, na milimetrowej długości radarze i w ultradźwięku. Człowiekowi wydaje się, że z nim rozmawia, a on akurat sprawdza stan konta jakiegoś faceta po drugiej stronie miasta lub ustala markę i model samolotu lecącego nad chmurami. Z tego, co Hiro wie, Lagos może teraz mierzyć długość jego kutasa przez spodnie i udawać, że prowadzi rozmowę.

– Pracujesz z Juanitą, zgadza się? – pyta Hiro.

– Raczej ona pracuje ze mną albo coś takiego.

– Powiedziała, że chce, żebym się z tobą spotkał.

Lagos zamiera na kilka sekund. Sprawdza dane. Hiro ma ochotę wylać na niego kubek zimnej wody.

– Słusznie – mówi po chwili. – Znasz się na Metawersie nie gorzej od innych. Wolny haker! Pasujesz idealnie.

– Pasuję idealnie do czego? Nikt już nie zatrudnia wolnych hakerów.

– Twoi koledzy po fachu, pracujący dla korporacji, załapią się na każdą infekcję. Padną tysiącami jak wojska Sancheryba pod murami Jeruzalem – mówi Lagos.

– Infekcję? Sancheryba?

– A w rzeczywistości też umiesz się bronić... przyda ci się to, gdybyś miał stanąć oko w oko z Krukiem. Pamiętaj, jego noże są ostre jak molekuly. Przechodzą przez kuloodporne kamizelki jak przez bieliznę.

– Z Krukiem?

– Zobaczysz go pewnie jeszcze dzisiaj. Lepiej zejdź mu z drogi.

– Dobrze – mówi Hiro. – Poszukam go.

– Ja tego nie powiedziałem. – Lagos kręci głową. – Mówiłem: zejdź mu z drogi.

– Dlaczego?

– Żyjemy w świecie pełnym niebezpieczeństw – oznajmia Lagos. – Z każdą chwilą robi się tu coraz mniej ciekawie. Nie chcemy naruszać równowagi strachu. Przypomnij sobie zimną wojnę.

– Dobra. – Hiro ma ochotę odejść i nie oglądać więcej tego faceta, ale gargulec jeszcze nie skończył rozmowy.

– Jesteś hakerem. Musisz troszczyć się o swoje głębokie struktury.

– Jakie struktury?

– Neurolingwistyczne ścieżki w mózgu. Pamiętasz, jak uczyłeś się kodu dwójkowego?

– Owszem.

– Przecierałeś wówczas nową ścieżkę w mózgu. Głęboką strukturę. Gdy korzystasz z niej, twoje nerwy tworzą nowe wypustki... aksony dzielą się i wpychają między gangliony i neurofibryle... twój bioware ulega samodoskonaleniu... software staje się częścią hardware'u... Jesteś więc szczególnie podatny... wszyscy hakerzy są szczególnie podatni... na *nam-shub*. Musimy się wspierać.

– Co to jest *nam-shub*? Dlaczego jestem na niego podatny?

– Nie oglądaj żadnych map bitowych! Nie dawano ci ostatnio jakiejś mapy bitowej? Na przykład w Metawersie?

– Ciekawe. Mnie osobiście nie... ale jeśli już przy tym jesteśmy, przypomniałem sobie tę Brandy, która odwiedziła mojego znajomego...

– Religijna prostytutka Asherah. Roznosi chorobę, która jest synonimem zła. Brzmi melodramatycznie? Nie całkiem. Pojmujesz, w Mezopotamii nie istniało odrębne pojęcie zła. Była tylko choroba... inaczej złe zdrowie. Zło było synonimem choroby. Więc co ci to mówi?

Hiro odchodzi. W ten sam sposób, w jaki odchodzi od psychotyków na ulicy podążających jego śladem.

– Mówi ci to, że zło jest wirusem! – krzyczy za nim Lagos. – Nie wpuszczaj *nam-shub* do systemu operacyjnego!

Juanita pracuje z przybyszem z obcej planety?

Tępy Ból gra przez dobrą godzinę, przechodząc od jednej piosenki do drugiej bez uszczerbku dla ściany dźwięku. Wszystko jest częścią obowiązującej estetyki. Gdy muzyka zamiera, występ dobiega końca. Hiro po raz pierwszy słyszy uniesienie tłumu. Wybucho nieopisany pisk, wciskający się pod czaszkę, dzwoniący w uszach.

I na tym tle pojawia się niski, narastający pomruk, jakby ktoś uderzał stopą w basowy bęben. Przez chwilę wydaje mu się, że mostem jedzie ciężarówka. Ale pomruk trwa, nie zamiera w oddali.

Dobiega zza jego pleców. Inni także go słyszą, odwracają głowy w tamtą stronę, ustępują z drogi. Hiro stawia krok na skos i obraca się całym ciałem.

To coś jest duże i czarne – tak przynajmniej wygląda na początku. Trudno uwierzyć, że taki wielki facet może siedzieć na motocyklu, choć motocyklem jest ogromny, dudniący harley.

Poprawka. To harley z bocznym wózkiem – opływowym, czarnym pociskiem, zawieszonym z prawej strony i jadącym na własnym kole. Wózek jest pusty.

To niewiarygodne, że facet może mieć taką masę i nie być przy tym gruby. Nie jest gruby, w ogóle nie ma grama tłuszczu, co widać pod opiętym kombinezonem – jakby ze skóry, ale niezupełnie – pod którym rysują się mięśnie i kości, i nic więcej.

Jedzie na harleyu tak wolno, że przewróciłby się, gdyby nie wózek. Od czasu do czasu wyrывa do przodu, puszczając palcami sprzęgło.

Wydaje się wielki – oprócz tego, że jest naprawdę wielki – ponieważ nie ma szyi. Ma szeroki łeb, który staje się jeszcze szerszy i łączy się z ramionami. Początkowo Hiro bierze to za jakiś awangardowy kask, ale gdy facet przejeżdża obok, kask faluje i ucieka do tyłu, jak włosy. W istocie jest to grzywa gęstych, czarnych włosów, opadających na ramiona i dalej na plecy, aż do pasa.

Gdy Hiro rozważa w myślach ten fakt, facet odwraca głowę i patrzy na niego. A w każdym razie w jego kierunku. Trudno stwierdzić, na co dokładnie patrzy, ze względu na gogle – gładką, wypukłą skorupę – przesłaniającą mu oczy. W goglach jest tylko wąska, pozioma szpara.

A jednak patrzy na Hiro. Obdarza go tym samym, oznaczającym „pierdolę cię” uśmiechem, którym uraczył go wcześniej, przed wejściem do Czarnego Słońca. Ten facet dał Zamieć Da5idowi!

Tatuaż na jego czole składa się z trzech słów wypisanych dużymi literami: „SŁABA KONTROLA ODRUCHÓW”.

Hiro podskakuje, dosłownie zawisa w powietrzu, gdy Witalij Czernobyl i Sarkofagi rozpoczynają pierwszy numer: „Świecące grzyby”. Z głośników płynie huragan wysokich tonów i zniekształceń, który daje wrażenie zwisania z haka wbitego w ścianę.

W dzisiejszych czasach większość państw to franszulatory lub burbklawy – jednostki administracyjne o zbyt małym obszarze, by budować w nich więzienia czy starać się o własny system wymiaru sprawiedliwości. Gdy ktoś zrobi coś złego, odpowiednie władze wymyślają szybką i brzydką karę, na przykład w postaci chłosty, konfiskaty mienia, publicznego napiętnowania lub – w przypadku ludzi znanych ze skłonności do wyrządzania krzywdy innym – ostrzegawczego tatuażu na widocznej części ciała. SŁABA KONTROLA ODRUCHÓW! Facet musiał gdzieś niezłe narozrabiać.

Przez chwilę na twarzy Kruka widać lśniącą czerwono siatkę, która nagle kurczy się i zbiega w linię, wpadającą do jego prawej źrenicy. Kruk potrząsa głową, szuka źródła laserowego promienia, którego już zresztą nie ma. Lagos zdążył zeskanować mu dno oka.

To dlatego tu przyszedł. Nie obchodzi go Hiro ani Witalij Czernobyl. Interesuje się Krukiem. Dowiedział się jakoś, że Kruk tu przyjedzie. Teraz stoi gdzieś niedaleko i filmuje gościa, przeczesuje radarem jego kieszenie, nagrywa puls i oddech.

Hiro chwyta za telefon.

– D.U. – rzuca i telefon wybiera numer.

Dzwoni bardzo długo, zanim D.U. decyduje się odebrać. Trudno cokolwiek usłyszeć przez hałas dobiegający ze sceny.

– Czego kurwa chcesz?

– Przykro. Coś się dzieje. Coś dużego. Mam na oku wielkiego motocyklistę, na którego wołają Kruk.

– Wiesz, na czym polega twój problem? Nigdy nie przestajesz pracować.

– Taki mam zawód – mówi Hiro.

– Zwrócę uwagę na Kruka – zgadza się D.U. – jak będę w pracy! – Kończy połączenie.

Kruk objeżdża tłum wolnymi zakolami, nie śpieszy się, rozgląda się na wszystkie strony. Jest irytująco spokojny i powolny.

Potem odrywa się od ludzi i znika w ciemności. Znow się rozgląda, sprawdzając okolice kartonowego

miasteczka. W końcu zawraca i kieruje harleya na trajektorię, która wynosi go w okolice ważnego Krypsa – faceta z szafirową spinką do krawata i własnym oddziałem goryli.

Hiro zaczyna przedzierać się przez tłum w tamtym kierunku, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Sprawa zapowiada się ciekawie.

Widząc zbliżającego się Kruka, ochroniarze stają przed szefem tworząc luźny pierścień. Kruk jest coraz bliżej, goryle cofają się, jakby popychało ich niewidzialne pole siłowe. Motocykl zatrzymuje się, Kruk opuszcza nogi na ziemię. Przez chwilę majstruje przy manetkach, a potem odchodzi od harleya. Staje w rozkroku i podnosi ręce do góry, jakby wiedział, co się stanie.

Dwaj Krypsi zachodzą go z obu stron. Nie wyglądają na uszczęśliwionych, zerkają z niepokojem na motocykl. Główny Kryps ponagla ich, pokazuje ręką, gdzie mają stanąć. Krypsi wyjmują cienkie detektory metalu. Objężdżają nimi Kruka z każdej strony i nic nie znajdują, nawet drobnych w kieszeni. Facet jest w stu procentach organiczny. To, co Lagos mówił o nożach, to jakaś bzdura!

Krypsi z detektorami wracają pośpiesznie do głównej grupy. Kruk idzie za nimi. Szef Krypsów cofa się o krok i wyciąga przed siebie dłonie, pokazując: „stój”. Kruk zatrzymuje się, stoi, na jego twarzy pojawia się uśmiech.

Kryps odwraca się i macha w stronę czarnego BMW. Tylne drzwi auta otwierają się i z BMW wysiada facet: młody, nieduży, czarny facet w okrągłych, druczianych okularach, ubrany w dżinsy i wielkie, białe buty sportowe; reszta jak u każdego studenta.

Student idzie powoli w kierunku Kruka i wyjmuje coś z kieszeni. Trzyma w ręku jakieś urządzenie, trochę większe od kalkulatora. Z jednej strony jest klawiatura, a na krótszym boku okienko, które student kieruje na Kruka. Nad klawiaturą widać ciekłokrystaliczny ekranik, a pod nim czerwoną lampkę. Student zakłada słuchawki, a wtyczkę umieszcza w pudełku.

Na początek kieruje okienko ku niebu, a potem ku ziemi, by wreszcie pozostać przy Kruku. Zerka na lampkę i ekran. Wygląda to jak jakiś obrzęd religijny, w którym facet przyjmuje cyfrowe błogosławieństwo od ducha nieba, ziemi i czarnego anioła w skórach.

Idzie powoli, krok za krokiem, ku Krukowi. Czerwone światełko mruga od czasu do czasu bez określonej przyczyny.

Student jest oddalony od Kruka o niecały jard, zaczyna obchodzić go w kółko, kierując okienko do wewnątrz. Kończąc, cofa się sprężysto, odwraca i celuje w motocykl. W tej samej chwili światełko zaczyna mrugać jak oszalałe.

Student podchodzi do głównego Krypsa, zdejmuje słuchawki, szepcze szefowi do ucha. Kryps kiwa głową, ale nie odrywa wzroku od Kruka. Klepie studenta po ramieniu i odsyła do BMW.

Po drodze do auta chłopak chowa do kieszeni przenośny licznik Geigera.

Kruk rusza ku szefowi Krypsów. Podają sobie ręce w standardowym staroeuropejskim uścisku bez żadnych wariacji. Ale nie wygląda to na przyjacielskie spotkanie. Kryps ma trochę za szeroko otwarte oczy, za bardzo zmarszczone czoło; cała jego postać wydaje się krzyżeć: „Zabierzcie stąd tego Marsjanina!”

Kruk wraca do radioaktywnej maszyny, odkręca jakieś sznurki i podnosi metalową tęczkę. Wręcza ją szefowi Krypsów i znów ścisną mu dłoń. Potem odwraca się, podchodzi spokojnie do motocykla, zapala i odjeżdża.

Hiro z przyjemnością pokręciłby się po okolicy i sprawdził, o co w tym wszystkim chodzi, ale ma dziwne przeczucie, że Lagos już wie. Czekają go inne sprawy. Przez tłum, w kierunku sceny, jadą dwie limuzyny.

Limuzyny zatrzymują się i wysiadają z nich Nippończycy. Ubrani na czarno, niefajni, stoją niepewni w samym środku imprezy-zadymy, jak połamane gwoździe w słoiku z dżemem. Hiro zbiera się w sobie i podchodzi do aut. Zagląda przez szybę, by sprawdzić, czy jest tam ten, który powinien być.

Nic nie widać przez przyciemnioną szybę. Hiro pochyla się i przykładą czoło do okna, dając do zrozumienia, o co mu chodzi.

Żadnej odpowiedzi. Wypada więc zapukać.

Cisza. Podnosi głowę i patrzy na facetów z ochrony. Ci także mu się przypatrują, ale gdy widzą jego twarz, odwracają się nagle, zaciągają się papierosami i drapią po czołach.

We wnętrzu limuzyny jest tylko jedno źródło światła, widoczne przez przyciemnioną szybę: wyraźny, wypukły prostokąt ekranu telewizyjnego.

A co tam! – myśli Hiro. Jesteśmy w Ameryce! Hiro jest w połowie Amerykaninem i nie widzi sensu w przedłużaniu tych uprzejmości. Otwiera drzwi auta i zagląda do tyłu. Sushi K. siedzi wciśnięty między dwóch młodych Nippończyków – programistów i imażystów. Fryzura jeszcze nie jest włączona, wygląda więc jak zwykle, pomarańczowe afro. Sushi ubrany jest częściowo w sceniczny kostium, wygląda na to, że potraktował poważnie propozycję występu.

Ogląda znany program telewizyjny: *Oko szpiega*. Program produkuje CKW i nadaje go duża stacja telewizyjna. *Oko szpiega* jest czymś w rodzaju „tv verité”: CKW wybiera jednego ze swoich agentów, zajętego jakąś mokrą robotą – a przynajmniej działaniami w stylu „płaszczka i szpady” – ładuje na niego

sprzęt gargulca i wysyła w teren. Wszystko, co facet widzi i słyszy, trafia do bazy w Langley. Po odpowiednim zmontowaniu powstaje z tego godzinny program, nadawany co tydzień.

Hiro nigdy nie ogląda *Oka szpiega*. Odkąd zaczął pracować dla CKW, *Oko szpiega* dziwnie go irytuje. Jednak tu i ówdzie słyszy się różne głosy widzów i stąd Hiro wie, że dzisiejszy odcinek jest przedostatnim z pięcioodcinkowej sagi. CKW przeszmuglowała agenta na Tratwę, w okolicy której działa wiele barwnych i sadystycznych pirackich band. Agent próbuje zinfiltrować jedną z nich: organizację Bruce'a Lee.

Hiro wsiada do samochodu i zerka na ekran, na którym widać samego Bruce'a Lee – oglądanego z miejsca, w którym znajduje się nieszczęsny gargulec – idącego jakimś mrocznym korytarzem jednego ze statków-widm Tratwy. Z ostrza samurajskiego miecza Bruce'a skapują kropelki wody.

– Ludzie Bruce'a Lee schwytali szpiega w pułapkę na starej koreańskiej przetwórni w Jądrze – tłumaczy szeptem przejęty przydupas Sushi K. – Teraz go szukają.

Nagle Bruce'a zalewa fala białego światła, w której jego firmowy, diamentowy uśmiech błyszczy jak ramię galaktyki. Na środku ekranu pojawiają się nitki celownika, skierowanego w sam środek czoła pirata. Wygląda na to, że szpieg ma już dosyć i chce wydostać się z tego gówna przy pomocy markowego oręża CKW, które roztrzaska Bruce'owi czaszkę. Ale z boku ekranu widać czarną plamę, tajemniczy kształt, który zasłania Bruce'a. Celownik przesuwają się... no właśnie, na co?

Dowiemy się w następnym odcinku.

Hiro siada obok telewizora naprzeciw artysty i programistów. Widzi rapera w telewizyjnym zbliżeniu.

– Nazywam się Hiro Protagonista. Rozumiem, że dostałeś moją wiadomość.

– Cudo! – wykrzykuje Sushi, używając nipponkiego skrótu hollywoodzkiego przymiotnika-wytrycha: „cudownie”.

– Hiro-san – mówi dalej – jestem głęboko zobowiązany za tę jedyną w swoim rodzaju okazję przedstawienia moich skromnych dokonań tak wspaniałej publiczności. – Mówi po nipponsku, wtrącając angielskie zwroty.

– Najmocniej przepraszam, że przygotowania były tak pośpieszne i niestaranne – odpowiada Hiro.

– Odczuwam ból, słysząc przeprosiny za tyle włożonego wysiłku i szansę, jakiej pozazdrości mi każdy nipponski raper, który nie miał okazji przedstawić swych niegodnych dzieł buzom z gett LA.

– Jestem wielce zafasowany faktem, że obecna tu publiczność w większości nie składa się z buzów z gett. Jeśli przez uchybienie dałem do zrozumienia, że tak właśnie będzie, kajam się i błagam o wybaczenie. Wśród publiczności większość stanowią rolkarze, którzy słuchają rapu i heavy metalu.

– Ach, nic nie szkodzi – rzuca Sushi K., ale w jego głosie słychać, że szkodzi bardzo wiele.

– Na pocieszenie mogę tylko dodać, że mamy tu przedstawicieli Krypsów – Hiro sam się dziwi szybkości własnych myśli – i jeśli koncert zostanie dobrze przyjęty, w co głęboko wierzę, wieść o nim rozejdzie się wśród lokalnych społeczności.

Sushi K. otwiera okno. W jednej chwili poziom hałasu zwiększa się pięciokrotnie. Spogląda na tłum, pięć tysięcy potencjalnych udziałów w rynku, w osobach rozrywkowo nastawionych młodych ludzi. Ludzie ci nigdy nie słyszeli muzyki, która nie byłaby doskonała. Ich środowisko akustyczne stanowi wypracowane w każdym detalu brzmienie płyt kompaktowych lub koncertowo niezawodny fuzz-grunge, grany przez najlepszych muzyków na świecie, przyjeżdżających do LA, aby wyrobić sobie nazwisko, i zaprawionych w gladiatorских zmaganiach w klubach. Na twarzy artysty pojawia się grymas radości i przerażenia. Musi wysiąść z auta i zmierzyć się z tłumem. Stańc przed rozgrzaną do czerwoności biomasą.

Hiro wysiada pierwszy i toruje mu drogę. To przyszcz. Potem wycofuje się. Zrobił, co do niego należało. Nie ma sensu tracić czasu na skitranego Sushi K., gdy w okolicy kręci się Kruk, za którym kryje się znacznie większe źródło dochodów. Hiro wraca na obrzeża tłumy.

– Ty! Do ciebie mówię fajansie z mieczami! – odzywa się jakiś głos.

Hiro odwraca się. Widzi Pacyfikatora w seledynowej kurtce, który kiwa na niego palcem. To ten niski, mocno zbudowany gość z radiostacją na głowie. Szef ochroniarzy.

– Piszczek – przedstawia się, wyciągając rękę.

– Hiro – mówi Hiro i podaje mu swoją wizytówkę. Nie ma powodu, żeby ukrywał się przed tymi facetami. – W czym ci pomóc, Piszczek?

Piszczek czyta wizytówkę. Jest uprzedzająco uprzejmy, jak kapral ZŁOMO. Naoglądał się filmów, których bohaterami byli trenerzy drużyn piłkarskich.

– Pan tu rządysz? – pyta po chwili Piszczek.

– O ile ktokolwiek tu rządzi.

– Taa... No więc, panie Protagonista, muszę poinformować pana, że przed paroma minutami odebraliśmy telefon od pańskiej przyjaciółki, panny Daewoo...

– Co z nią? Nic jej się nie stało?

– O nie, proszę pana. Ale ta wesz, z którą pan rozmawiał wcześniej...

Hiro nigdy nie słyszał słowa: „wesz” użytego w takim kontekście, ale domyśla się, że Piszczkowi chodzi o gargulca, Lagosa...

– Tak?

– No więc, wytworzyła się sytuacja, o której panna Daewoo dała nam cynk. Pomyślałem, że może zechce pan rzucić na to okiem.

– Na co?

– Hmm, może pan pójdzie ze mną. Niektóre rzeczy łatwiej pokazać niż wyjaśnić.

Piszczek odwraca się. Na scenie zaczyna rapować Sushi K. W jego głosie słychać napięcie.

*Hej, jestem Sushi K, wysłuchać mnie chciej,
Bo rapuję okay, jak nippoński DJ.
Uważaj Number One, skończ już swój chłam,
Bo ochotę mam, zostać Number One.
Moja gadka jest cool, nie jestem żaden wół,
Ani nippoński ćwok, co wpada w A-mok.
Włosy mam jak Big Star i galaktyk żar,
Bo oddałem swe sny w ręce technologii.*

Hiro wychodzi za Piszczkiem z tłumu na słabo oświetlony obszar na obrzeżach kartonowego miasta. Wysoko, na wycementowanym brzegu, w okolicach mostu, widać fosforyzujące kształty – seledynowe kurtki Pacyfikatorów kręcących się wokół jakiejś ciekawostki.

– Niech pan uważa – mówi Piszczek, wchodząc na skarpe. – Beton jest śliski.

*Każdy mój rap jest jak korab,
Po morzu płci, wpływa do gaci.
Gdy jesteś down wśród swoich dam,
Zawołać chciej: „Pomóż Sushi K!”
Nippoński sposób mam, jak nie dawać plam,
Jak samurajskie miecze, mój język cię usiecze.
Kto rżnie całą Azję i wschodni Pacyfik,
Strefę Dobrobytu – to be specific.*

Tam, gdzie kończy się beton, zaczyna się zwykły błotnisty stok pełen kamieni. Wygląda tak, jakby miał spłynąć do koryta rzeki przy pierwszej dużej burzy. Tu i ówdzie rosną kaktusy, szałwia i suchokrzewy. Roślinność nie jest pierwszej świeżości z powodu zanieczyszczeń atmosferycznych.

Trudno jest cokolwiek dojrzeć, bo Sushi K. zaczął skakać po scenie, a jego promienista fryzura rzuca na publiczność i całą okolicę kolorowe błyski. W tym migotliwym świetle stok, chwasty i kamienie to pojawiają się, to znikają w szarej, mdłej poświacie.

*Sushi K. w dupie metro ma,
Do pracy nie jedzie jak pan Honda.
Idzie do kina obejrzeć Godzillę,
Która zionie ogniem w każdą wolną chwilę.
Mój zmutowany rap zmiecie cały świat,
Zainwestuj, gdy szansę dają ci.
Nikkei trafi szlag, Hang Seng pójdzie w piach,
A Dow Jones do nieba pofrunie się jebać.
Przyoszczędzisz, gdy wstąpisz do korporacji.
Jedna jest okay. Jaka? Sushi K!*

Piszczek idzie pod górę równolegle do świeżego śladu opon motocyklowych, które wbiły się głęboko w miękką, gliniastą ziemię. Oprócz dwóch opon harleya w ziemi odcisnął się ślad wózka, biegnący równolegle o kilka stóp z prawej strony.

Im wyżej, tym ślad jest coraz głębszy. Głębszy i ciemniejszy. Nie przypomina już odcisku motocykla w glinie, a rów odpływowy jakiegoś cuchnącego kanału.

*Ludzie mówią mi, nie jedź do Ameryki,
Ameryka zła, zje cię konkurencja.
Zostań w Japonii Sushi, niech cię serce ruszy.
O no, Sushi, o no! Pójdiesz na samo dno.
Raperów z U.S. chyba ugryzł giez.
Na mój rap-ha! chcą zaporowego cla!*

*Cykają się, Sushi K.,
Bo publika go away.
Sushi K. plecy ma i finansowego nosa,
A raperzy z USA palą gumy, jak trza.
Moja koncertowa machina gnie się jak mandolina -
Szybka, skuteczna i suuper-clean-a!
Jak się Sushi postara, Amerykę podjara.
Stary raper chyłkiem wypina się tyłkiem.*

Jeden z Pacyfikatorów na zboczu trzyma w ręku latarkę. Omiata nią prostopadle ziemię, jak reflektorem. Przez chwilę światło latarki pada na głęboki motocyklowy ślad, którym płynie rzeka czerwonej, utlenionej krwi.

*Japoński, angielski, polski to teraz żadna różnica,
W erze globalizacji wszystko z jednego pieca.
Sushi złączy na fest każdy naród, tak jest!
Znad Dunajca chłop będzie tańczył hip-hop,
Tak jak z Kinszasy bambo wie dziś kto to Rambo,
A z Mongolii pannica Oprahą się zachwyca.
Anglofoni z antypodów, mają problem w sprawie schodów -
Nie wiedzą czy kangury tańczą trans w dół czy do góry.*

Lagos leży na ziemi rozciągnięty w poprzek śladu opon. Rozcięto go jak karpia jednym, wprawnym pociągnięciem ostrza, które wbiło się przy odbyciu, przeszło przez brzuch, splot słoneczny i zatrzymało u nasady szczęki. Cięcie nie jest powierzchowne. Miejscami sięga aż do kręgosłupa. Czarny nylonowy pas, na którym trzymał się sprzęt komputerowy, przecięto tylko w jednym punkcie, co wystarczyło, by wszystko walało się teraz w błocie.

*Usłyszycie Sushi K. w radiu,
W kłocie i w poradni.
Analitycy Sushi K. mówią o przyszłości mej,
Która rysuje się cudnie jak zimna cola w południe.
Kupuj akcje Sushi K.,
Przykop w dupę matce swej!*

17

Jason Breckinridge ma marynarkę koloru terakotowego, w barwach Sycylii. Jason Breckinridge nigdy nie był na Sycylii. Kiedyś jednak na pewno tam pojedzie. W nagrodę. Po to, żeby popłynąć za darmo na Sycylię, Jason musi zebrać 10 000 Punktów Goombata.

Rozpoczął karierę z uprzywilejowanej pozycji. Otwierając własny franszulat Nowej Sycylii, automatycznie dostał 3333 punkty w banku Punktów Goombata. Gdy doda się do tego jednorazową Premię Obywatelską w wysokości 500 punktów, bilans zaczyna wyglądać interesująco. Liczbę punktów Jasona przechowuje się w wielkim komputerze w Brooklynie.

Jason wychował się na zachodnich przedmieściach Chicago, jednego z najwyżej usieciowionych regionów w kraju. Uczęszczał do szkoły handlowej Uniwersytetu Illinois, którą skończył ze średnią 2,9567. Napisał pracę dyplomową, zatytułowaną: „Interakcja między etnograficznymi, finansowymi i paramilitarnymi wymiarami współzawodnictwa na niektórych rynkach”. Było to studium przypadków walki o ziemię między franszulatami Nowej Sycylii i Narkolumbii w jego starej dzielnicy, Aurorze.

Podupadający franszulat Narkolumbii, badany przez Jasona, prowadził niejaki Enrique Cortazar. Jason rozmawiał z nim kilka razy przez telefon, w sumie dosyć krótko, i nigdy nie spotkał pana Cortazara twarzą w twarz.

Pan Cortazar uczył absolutorium Jasona, bombardując rodzinną przyczepę Breckinridge'ów (Omni Horizon) bombami zapalającymi i puszczając jednaście serii z broni automatycznej we frontową ścianę ich domu.

Na szczęście pan Caruso – który prowadził miejscową sieć franszulatów Nowej Sycylii i odpowiadał za proces łojenia tyłka pana Cortazara – dowiedział się o zamiarach Narkolumbijczyków odpowiednio wcześniej (przechwytyjąc zapewne sygnał z kiepsko zabezpieczonych telefonów komórkowych lub

nadajników CB ludzi pana Cortazara). Pan Caruso ostrzegł rodzinę Jasona na czas. Gdy w środku nocy kule świsnęły w salonie i sypialniach Breckinridge'ów, ci pili fundowanego przez firmę szampana w Starej Sycylijskiej Gospodzie pięć mil dalej, przy Drodze 96.

Rzecz jasna, gdy szkoła handlowa zorganizowała jak co roku targi pracy, Jason nie zapomniał odwiedzić stoiska Nowej Sycylii i osobiście podziękować panu Caruso za uratowanie od pewnej śmierci wszystkich członków rodziny.

– Wiesz co, chłopie, to była taka no... pomoc sąsiedzka, wiesz jak jest, nie, Jasie? – powiedział pan Caruso, waląc Jasona po plecach i ściskając jego muskuły, które miały wielkość kantalup. Wtedy nie brał już tyłu sterydów, ile łykał, mając lat piętnaście, ale zachował doskonały wygląd.

Pan Caruso pochodził z Nowego Jorku. Jego stoisko na targach pracy należało do najbardziej obleganych. Targi odbywały się w pawilonie wystawienniczym na dworcu Union. Cały hall zamieniono w plan miasta. Dwie „autostrady” dzieliły „miasto” na kwadranty, wszystkie franszulatory i narodowości miały stoiska przy autostradach. Burbklawy i inne firmy chowały się przy podmiejskich „uliczkach” we wnętrzu kwadrantów. Stoisko Nowej Sycylii pana Caruso stało przy samym skrzyżowaniu autostrad. Tuziny wymytych absolwentów szkoły handlowej czekały w kolejce na rozmowę kwalifikacyjną, ale pan Caruso – zauważywszy Jasona w ogonku – podszedł do niego, wyciągnął go z kolejki i ścisnął mu muskuły. Reszta absolwentów patrzyła na niego z zazdrością. Jason poczuł się wyróżniony, to było coś wspaniałego! Z Nową Sycylią zawsze kojarzyło mu się jedno hasło: osobiste zainteresowanie.

Na ojcowskie pytanie pana Caruso co porabia, odpowiedział wówczas: – No cóż, stoję w kolejce, czekając na rozmowę, a potem mam zamiar obejrzeć stoisko Wielkiego Hongkongu pana Lee, bo interesuje mnie high-tech.

Pan Caruso ścisnął go wyjątkowo mocno. W jego głosie słychać było bolesne zdumienie, co nie znaczy, że położył lachę na Jasonie, jeszcze nie wtedy. – Hongkong? A cóż taki bystry, biały chłopak jak ty będzie robił u pierdolonych żółtków? Jebanych Nipów?

– Technicznie rzecz biorąc, mieszkańcy Hongkongu nie są Nipami... to znaczy Nippończykami – sprzeciwił się. – Hongkong jest w przeważającej części kantoński.

– Kantoński-sroński! Dla mnie każdy żółtek jest Nipem – oznajmił pan Caruso. – A wiesz, dlaczego tak mówię? Nie dlatego, że jestem pierdolonym rasistą, bo nie jestem, tylko dlatego, że dla nich... no wiesz... tych tam... Nipów... wszyscy jesteśmy obcymi diabłami. Tak na nas mówią. Obce diabły. I jak ci się to podoba?

Jason uśmiechnął się z uznaniem.

– I to po tym wszystkim, co dla nich zrobiliśmy! – kontynuował pan Caruso. – Ale coś ci powiem, chłopcze, tutaj, w Ameryce, wszyscy jesteśmy obcymi diabłami, co nie? Wszyscy jesteśmy nie stąd... oprócz jebanych czerwonoskórych. Chyba nie idziesz na rozmowę do Narodu Lakota, nie?

– Nie, proszę pana – odparł Jason.

– To dobrze. Dobrze główkujesz. Popieram to. Ale nie o to mi chodzi. A chodzi mi o to, że, ponieważ wszyscy mamy unikatową tożsamość etniczną i kulturową, musimy starać się o pracę w organizacji, która unikatowo szanuje i stara się zachować nasze odrębne tożsamości, wykuwając z nich funkcjonalną całość, kapujesz?

– Chyba wiem, co ma pan na myśli – odpowiedział Jason.

W tym miejscu rozmowy z panem Caruso znaleźli się daleko od stoiska i przechadzali się po jednej z metaforycznych Autostrad Możliwości.

– A teraz powiedz mi, chłopcze, czy znasz jakąś organizację, która spełnia te pierdolone wymagania?

– No cóż...

– Chyba nie powiesz mi, że jebany Hongkong! Hongkong jest dla białych, którzy chcą być żółtkami, ale nie mogą. Wiedziałaś o tym? Chyba nie chcesz być żółtkiem, co nie?

– Ha, ha... Nie, panie Caruso.

– Wiesz, co kiedyś usłyszałem? – Pan Caruso puścił Jasona i stanął tuż przed nim, dotykając niemal jego piersi. Cygaro, które trzymał w dłoni, zbliżało się niebezpiecznie do ucha Jasona podczas gestykulacji. Nadszedł czas na poufną część rozmowy i małą anegdotę między dwoma mężczyznami. – Wiesz, co robią w Japonii, jak ktoś coś spieprzy? Każą mu obciąć sobie jeden palec. Ciach! I po wszystkim. Klnę się na Boga. Nie wierzysz mi?

– Wierzę. Ale to nie dotyczy całej Japonii, proszę pana. Tylko tych z *Yakuza*... japońskiej mafii.

Pan Caruso odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się serdecznie, a potem znów objął Jasona.

– Wiesz co, chłopcze? Lubię cię, naprawdę... – oznajmił. – Japońska mafia! Powiedz mi, Jasonie, czy słyszałeś kiedyś, żeby ktoś mówił o naszej rzeczy jako „Sycylijskiej Yakuzie”? Hę?

Jason roześmiał się.

– Nie, proszę pana.

– A wiesz dlaczego? Wiesz czy nie? – Pan Caruso przeszedł do poważnej i znaczącej części przemowy.

– Dlaczego, proszę pana?

Pan Caruso odwrócił Jasona w stronę wysokiej postaci wujka Enzo, górującej nad skrzyżowaniem autostrad jak Statua Wolności.

– Bo jest tylko jedna, synu. Jedna jedyna. I ty możesz do niej należeć!

– Ale tak trudno się dostać...

– Co?! Posłuchaj mnie: miałeś średnią w granicach trzech. Skopiesz im tyłki, synu!

Pan Caruso, jak każdy przedstawiciel franszulatu, miał dostęp do Turfnetu, sieci usług listingowych, przydatnych w wyszukiwaniu tego, co nazywa się „strefami możliwości”. Zabrał Jasona z powrotem do stoiska – omijając wszystkich stojących w kolejce baranów, co bardzo podobało się Jasonowi – i zalogował się w Turfnecie. Teraz wystarczyło, żeby Jason wybrał sobie region.

– Mam wujka, który jest dealerem samochodowym w południowej Kalifornii – powiedział Jason. – Wiem, że ten rejon szybko się rozwija i...

– Mnóstwo nowych stref możliwości! – wykrzyknął pan Caruso, uderzając z radością w klawiaturę. Odwrócił monitor i pokazał Jasonowi mapę LA, lśniąca czerwonymi plamami oznaczającymi wolne sektory. – Bierz, co chcesz, chłopcze!

Teraz Jason Breckinridge jest kierownikiem Nowej Sycylii # 5328 w Dolinie. Co rano zakłada elegancką terakotową marynarkę i jedzie do pracy oldsmobilem. Wielu młodych przedsiębiorców jeździ beemwicami albo acurami, ale organizacja, do której Jason należy, przywiązuje (premiowaną) wagę do tradycji i wartości rodzinnych i nie popiera modnych fur importowanych z zagranicy. Jeśli wujek Enzo może jeździć amerykańskim autem...

Na kieszonce marynarki Jasona widnieje wyhaftowane logo Maffii, a w nim litera „G” oznaczająca Gambino – oddział zajmujący się rachunkami w Dorzeczu LA. Niżej widać nazwisko: „Jason (Paker) Breckinridge”. „Paker” to ksywa, którą wymyślili z panem Caruso przed rokiem, na targach pracy w Illinois. Każdy musi mieć jakąś ksywę, to sprawa tradycji i powód do dumy. Generalnie popiera się ksywy, które coś mówią o danym osobniku.

Do zadań Jasona – jako kierownika lokalnego biura – należy odpowiednie rozdzielenie pracy wśród miejscowych wykonawców. Każdego ranka parkuje oldsmobila przed biurem i biegnie pochylony do wyłożonych pancernym szkłem drzwi, co ma utrudnić zadanie narkolumbijskim snajperom. Snajperzy rekompensują to sobie, strzelając do wielkiej postaci wujka Enzo, górującej nad franszulem, co zresztą nikomu w niczym nie przeszkadza, bo wujek Enzo jest bardzo odporny i trzeba wielu kul, żeby zaczął wyglądać nieciekawie.

Znalazłszy się bezpiecznie w biurze, Jason loguje się do Turfnetu. Na ekranie pojawia się lista robót. Teraz Jason musi znaleźć wykonawców, którzy się ich podejmą. Niekiedy upływa mu na tym cały dzień. Jeśli nie znajdzie wykonawcy, sam musi zająć się pracą. Tak czy inaczej, robotę trzeba wykonać. Większość zadań to zwykle dostawy, które przydziela Kurierom. Inne prace to odbiórki od zalegających dłużników lub franszulatów chronionych przez Nową Sycylię. Jeśli zdarzy się akurat pierwsze ostrzeżenie, Jason lubi pojawiać się osobiście, by zaprezentować barwy i podkreślić, że jego organizacja ma indywidualne, bezpośrednie, dłużnikoprzyjazne i mikrozarządzające podejście do kwestii zadłużeń. Jeśli natomiast pojawi się drugie lub trzecie ostrzeżenie, zazwyczaj podpisuje kontrakt ze SpolegliŁomot International – wyspecjalizowaną agencją rewindykacyjną, z której wykonu zawsze był zadowolony. Czasami jednak wśród zadań pojawia się Kod H. Jason nie lubi zajmować się Kodami H. Uważa je za symptomy awarii systemu wzajemnego zaufania, który sprawia, że społeczeństwo może funkcjonować. Najczęściej jednak Kody H. załatwiane są bezpośrednio z poziomu regionalnego, a jego zadaniem jest tylko dopilnowanie prawidłowego wykonu.

Tego ranka Jason wygląda nadzwyczaj rzutko, a jego oldsmobil lśni po świeżym woskowaniu. Po wyjściu z auta podnosi kilka walających się po parkingu papierków po hamburgerach, i niech szlag trafi snajperów! Jason słyszał, że w okolicy przebywa sam wujek Enzo, i nigdy nie wiadomo, kiedy przed franszulem pojawi się flotylla limuzyn i opancerzonych wozów, a do środka wejdzie boss, by uściśnąć ręce podwładnym. Tak, dzisiaj Jason będzie pracował do późna, dopóki nie usłyszy, że samolot wujka Enzo bezpiecznie opuścił strefę.

Loguje się do Turfnetu. Jak zwykle na ekranie pojawia się lista robót, niezbyt długa lista. Działalność interfranszulatowa spadła dziś do minimum, każdy kierownik biega, pucuje i dokonuje inspekcji placówki w oczekiwaniu na możliwy przyjazd wujka Enzo. Jest jednak coś na czerwono! Priorytetowa robótka!

Priorytetowe roboty nie zdarzają się codziennie. Są oznakami upadku morale i ogólnego tumiwisizmu. Każda praca powinna być priorytetową. Ale niekiedy wypada coś eskaordynaryjnego, czego nie można schrzanić. Lokalny kierownik, taki jak Jason, nie może zarządzić priorytetowej roboty. Robią to wyżsi rangą.

Zazwyczaj priorytetowa robota jest Kodem H. Tym razem jednak jest inaczej, Jason stwierdza z ulgą, że to zwykła dostawa. Należy dostarczyć pewne dokumenty do biura Nowej Sycylii # 4649, na południe od centrum.

Daleko na południe. Aż do Compton – strefy wojny, twierdzy Narkolumbijczyków i rastafariańskich rewolwerowców.

Compton. Po jaką cholere biurę w Compton potrzebna jest podpisana kopia jego księgi rachunkowej? Powinni zajmować się swoimi Kodami H. i konkurencją!

W istocie, w pewnej części Compton działa bardzo aktywnie grupa Młodych Mafiosów, której udało się przepędzić wszystkich Narkolumbijczyków i objąć okolicę dozorem Mafijnej Straży. Staruszki znów mogą chodzić po ulicach. Dzieci czekają na szkolne autobusy i grają w klasy na chodnikach, którymi niedawno spływała krew. To dobry przykład. Jeśli udało się w Compton, uda się i gdzie indziej.

Rzeczywiście, wujek Enzo pojawi się w Compton, by złożyć osobiste gratulacje Młodym Mafiosom.

Tego popołudnia # 4649 będzie jego tymczasową kwaterą główną.

Implikacje są oszałamiające.

Jason otrzymał priorytetową robotę dostarczenia księgi rachunkowej do franszlatu, w którym wujek Enzo będzie dziś pił espresso!

Wujek Enzo interesuje się nim!

Pan Caruso twierdził, że ma chody bardzo wysoko, ale czy aż tak wysoko?

Jason opada na skorelowane kolorowo, ziemiste, obrotowe krzesło i zaczyna rozważać bardzo prawdopodobną możliwość, że za kilka dni będzie kierował całym regionem... albo jeszcze lepiej.

Jedno jest pewne. Tej dostawy nie można powierzyć żadnemu Kurierowi – żadnemu punkowi na desce. Jason osobiście pojedzie oldsmobilem do Compton i odda to, co należy.

18

Jest na miejscu godzinę przed czasem. Chciał być pół godziny wcześniej, ale gdy wjechał do Compton – o którym słyszał (mój Boże!) niestworzone rzeczy – wcisnął gaz do dechy. Tandetne, obskurne franszlaty – wszystkie, co do jednego, z jaskrawymi logo; wśród kolorów wyróżnia się zdradziecka żółć, a Alameda ciągnie się przed nim jak ślad radioaktywnej uryny wysikany na południe z samego centrum LA. Jason ustawia się na samym środku ulicy, nie zwraca uwagi na pasy i czerwone światła, wdeptuje gaz.

Większość z żółtawych, podejrzanych franszlatów to operacje o nazwach Centrum, Narkolumbia, Kajmany Plus, Metazania i Mamer. Franszlaty Nowej Sycylii są tu jak wyspy wśród bagien, stanowią przyczółki Maffii w wojnie z przeważającą Narkolumbią.

Wokół pełno jest gównianych działek, których nie kupiliby nawet ludzie z Mamra; działki te trafiają do ciulaczy, którym udało się zebrać milion jenów na narkolumbijską licencję, i którym potrzebna jest nieruchomość – jakakolwiek nieruchomość – wokół której można postawić płot i uczynić ją eksterytorialną. Takie lokalne franszlaty wysyłają większość zysków do Medelin, w opłatach za prawo do używania nazwy sieci, a za resztę wiążą ledwo koniec z końcem.

Po jakimś czasie niektórzy z tych ludzi próbują naciąć sieć, włożyć do własnej kieszeni parę papierów, kiedy – jak im się wydaje – kamera na nich nie patrzy, po czym dają nogę do najbliższego franszlatu Kajmanów Plus albo Alp, które rozłożyły się w okolicy jak muchy nad przejechanym przez auto kotem. Wkrótce jednak przekonują się, że w Narkolumbii za wszystko płaci się głową, że nie można odwołać się do żadnego wymiaru sprawiedliwości, i że sprawiedliwość wymierzają lotne brygady, które mają prawo włamać się do każdego franszlatu o każdej porze dnia i nocy i przefaksować podrobione księgi do bardzo wybrednego komputera z Medelin. Nie ma na świecie rzeczy bardziej przykrej niż widok plutonu egzekucyjnego przed tylną ścianą interesu, który zbudowało się własnymi rękami.

Wujek Enzo miarkuje, że Mafia ze swoim przywiązaniem do lojalności i tradycyjnych wartości rodzinnych zdoła przejąć owych przedsiębiorców, zanim staną się Narkolumbijczykami.

Fakt ten tłumaczy obecność reklam, które Jason widzi ze wzrastającą częstotliwością, wjeżdżając do Compton. Niemal z każdego rogu promienieje uśmiechnięta twarz wujka Enzo. Najczęściej obok twarzy widać ramię wujka obejmujące zdrowego, czarnego dzieciaka, a wyżej chwytliwy slogan reklamowy: „MAFIA – MASZ PRZYJACIELA W RODZINIE!” i „SPOKOJNIE! – WJEŹDŹASZ W OKOLICĘ PATROLOWANĄ PRZEZ MAFIJNĄ STRAŻ!” albo „WUJEK ENZO ZAPOMINA I WYBACZA!”

Temu ostatniemu sloganowi towarzyszy najczęściej zdjęcie wujka Enzo sztorcującego jakiegoś małolata. Jest to aluzja do faktu, że Narkolumbijczycy i Jamajczycy zabijają każdego, kto wejdzie im w drogę.

„NIE TĘDY DROGA, JOSE!” Wujek Enzo podnosi rękę, zatrzymując jakiegoś Latynosa wymachującego Uzi. Za wujkiem stoi murem panetniczna gromada dzieciaków i babć z kijami baseballowymi i patelniami.

Faktem jest, że Narkolumbijczycy wciąż kontrolują produkcję liści koki, ale gdy Nippon Pharmaceuticals otworzy swoją wielką fabrykę syntetycznej kokainy w Mexicali, czynnik narkolumbijski przestanie mieć znaczenie. Mafia stawia na to, że każdy sprytny młodzian wchodzący do interesu zerknie na plakaty i dobrze się zastanowi nad przyszłością. Po co kończyć swoje młode życie, dusząc się własnymi wnętrznościami na tyłach Kup & Siup, kiedy można włożyć wyprasowaną marynarkę w kolorze terakoty i

zostać członkiem jowialnej rodziny? Szczególnie teraz, gdy pojawili się czarni, latynosczy i azjatyccy capo, którzy szanują kulturową odrębność. W przyszłości tacy jak Jason będą w mniejszości wśród Krewnych.

Jego czarny oldsmobil jest jak wrzód na dupie w miejscu takim jak to. Compton to najgorsza dzielnica, jaką widział. Trędowaci pieką na ruszcie psy nad wannami pełnymi nafty. Włóczędzy pchają przed sobą taczki wyładowane banknotami milion i miliardodolarowymi, które wyłowili z rynsztoków. Szykany na jezdniach, olbrzymie szykany – tak wielkie, że mogą być tylko ludźmi – poukładane na odcinkach długości przecznicy. Płonące blokady przecinające arterie. I ani jednego franszulanu. Na zewnątrz coś terkocze. Po dobrej chwili Jason zdaje sobie sprawę, że wszyscy do niego strzelają. Dobrze, że dał się namówić wujkowi na mocny pancerz. Z tą świadomością odpręża się i bierze w garść. To jest dopiero coś! Jedzie sobie swoim oldsem, sukinsyny strzelają do niego, a on ma wszystko gdzieś!

Na każdej ulicy, w odległości trzech przecznic od franszulanu Nowej Sycylii stoi w poprzek wóz bojowy Mafii. Wśród wypalonych kamienic kryją się strzelcy z długimi na sześć stóp strzelbami, ubrani w czarne wiatrówki z odblaskowym napisem „MAFIA”, wysokim na pięć cali.

To jest coś, człowieku! To jest, kurwa, wojna!

Jason podjeżdża pod punkt kontrolny. Jego olds staje nad przenośną miną przeciwpancerną. Gdyby okazało się, że nie jest tym, za kogo się podaje, mina zrobiłaby z samochodu stalowy precel. Ale jest tym, za kogo się podaje. Jest w porządku. Ma priorytetową robotę, stertę dokumentów leżących na fotelu obok w eleganckich, plastikowych koszulkach.

Opuszcza szybę. Doświadczony strażnik Mafii świeci mu w oko skanerem. Żadnych bzdurnych identyfikatorów. Wiedzą, kim jest, w ułamku sekundy. Jason opiera potylicę o podglówek, przekręca lusterko w swoją stronę i sprawdza ułożenie włosów. Nie jest tak źle.

– Kolego – mówi strażnik. – Nie ma cię na liście.

– Owszem jestem – odpowiada Jason. – Mam priorytetową przesyłkę. Tu leżą dokumenty!

Podaje strażnikowi twardą kopię zlecenia z Turfnetu. Strażnik przygląda się jej i pomrukując, odchodzi w kierunku wozu bojowego, udekorowanego antenami.

Oczekiwanie jest bardzo, bardzo długie.

Ulicą idzie mężczyzna; przemierza piechotą pustkę między franszulanem Mafii a posterunkiem granicznym. Okolica jest rumowiskiem cegieł i poskręcanych przewodów elektrycznych, a dżentelmen ów idzie jak Jezus po Morzu Galilejskim. Ma idealnie czarny garnitur. Podobnie jak włosy. Nie pilnują go żadni ochroniarze. Oznacza to, że za posterunkiem granicznym jest bezpiecznie.

Jason zauważa, że wszyscy strażnicy z posterunku prostują się, poprawiają krawaty i spinki przy mankietach. Jason chciałby wysiąść z auta i złożyć należne uszanowanie temu, który się zbliża, ale nie może otworzyć drzwi, które blokuje wielki strażnik przeglądający się w lakierze pokrywającym dach jak w lustrze.

Po chwili nieznajomy stoi przy posterunku.

– Czy to on? – pyta strażnika.

Strażnik patrzy na Jasona, jakby nie wierzył własnym oczom, a potem odwraca się do waźniaka w czarnym garniturze i kiwa głową.

Ten w garniturze odpowiada tym samym, poprawia mankiety, mruży oczy i spogląda na snajperów na dachu, rozgląda się po okolicy, byle nie spojrzeć na Jasona. Potem robi jeden krok. Ma szklane oko, które nie patrzy tam, gdzie powinno. Jasonowi wydaje się, że facet w ogóle go nie widzi. Ale owszem, widzi go dobrym okiem. A może jednak nie? Cholera wie, które z tych oczu jest dobre? Jason drży i sztywnieje jak szczeniak na mrozie.

– Jason Breckinridge – rzuca tamten.

– Paker – przypomina mu Jason.

– Milcz! Przez resztę tej rozmowy tylko ja mówię! Siedź i słuchaj! Rozumiemy się? Dziś rano dostałeś priorytetową robotę. Łatwą, łatwiuteńką. Miałeś tylko przeczytać jebane zlecenie. Ale nie przeczytałeś. Musiałeś wsiąść w te bryke i przyjechać sam! Akurat odwrotnie niż było napisane.

Jason zerka na leżące obok dokumenty.

– Możesz wsadzić se je w dupę – mówi tamten. – Nie chcemy twoich jebanych ksiąg. Ty i twój franszulan zwisa nam i powiewa. Chcieliśmy Kuriera. Na zleceniu było napisane jak byk, że dostawę ma wykonać Kurier pracujący w twojej okolicy. O nazwisku D.U. Tak się składa, że wujek Enzo polubił D.U. Chce się z nią spotkać. Ponieważ jednak spierdoliłeś robotę, jego życzeniu nie stanie się zadość. Fatalna sprawa. Wstyd, wstyd i jeszcze raz wstyd! Jedna wielka obsuwa, ot co! A teraz posłuchaj mnie uważnie, mój Jasonie Pakerze! Twój franszulan tak czy siak pójdzie się jebać, ale masz jeszcze szansę nie karmić dzisiejszym śniadaniem szczurów z rynsztoka...

– Tego nie zrobiono mieczem – mówi Hiro.

Stojąc nad ciałem Lagosa, jest nienaturalnie opanowany. Uczucia pojawiają się później, gdy pojedzie do domu i położy się spać. Teraz myśląca część jego mózgu jest oddzielona od reszty ciała, jakby połknął garść dołujących dragów. Jest tak samo spokojny jak Piszczek.

– Naprawdę? Skąd pan możesz wiedzieć? – pyta Piszczek.

– Miecze tną głęboko przez całą grubość ciała. Można nimi obciąć rękę albo głowę. Osoba zabita mieczem nie wygląda w ten sposób.

– Co pan powiesz? Znaczy się, musiałeś pan sporo naciąć tymi kozikami.

– Owszem. W Metawersie.

Stoją jeszcze przez chwilę, patrząc na ciało.

– Według mnie to nie wygląda na szybkie cięcie. Wygląda za to na silne cięcie – mówi Piszczek.

– Kruk nie jest słaby.

– Faktycznie, nie jest.

– Ale nie miał przy sobie broni. Krypsi przeszukali go wcześniej. Był czysty.

– Więc musiał pożyczyć – stwierdza Piszczek. – Ta wesz... – wskazuje brodą trupa – ...była wszędzie, rozumiesz pan? Mieliśmy go na oku, bo spodziewaliśmy się, że wkurwi Kruka. Łaził wszędzie i szukał dobrego miejsca do obserwacji.

– Miał na sobie pełno sprzętu – mówi Hiro. – Obserwację najlepiej prowadzi się z góry.

– Więc skończył na tym stoku. Ten, kto to zrobił, wiedział, gdzie go szukać.

– Pył – rzuca Hiro. – Spójrz na lasery.

Na dole Sushi K. kręci piruety. Butelka po piwie odbija się od jego czoła. Po stoku przebiega wiązka laserowego światła – doskonale widoczna w grubym pyle nawiewanym przez wiatr.

– Ten facet... ta wesz... używała laserów. Wszedł tutaj...

– I zdradził swoją pozycję – kończy Piszczek.

– I Kruk go dopadł.

– Taa... nie mówimy, że to on... – zastanawia się głośno Piszczek – ...ale chciałbym wiedzieć, czy ten tu... – pokazuje na trupa – ...robił coś, co mogło nie spodobać się Krukowi.

– Z byka spadłeś!? Kogo rusza, co mogło nie spodobać się Krukowi!

– Mnie – mówi Piszczek z ponurą determinacją.

– Lagos był gargulcem. Wielkim odkurzaczem na dane wywiadowcze. Jestem pewien, że nie zajmował się mokrą robotą... a gdyby nawet, to nie z takim sprzętem!

– To dlaczego Kruk spanikował?

– Może nie lubi być śledzony.

– Taa – mówi Piszczek. – Warto o tym pamiętać.

Nagle przykładła dłoń do ucha. Chce lepiej usłyszeć głos w słuchawce.

– Czy D.U. widziała, jak to się stało? – pyta Hiro.

– Nie – mruczy Piszczek po kilku sekundach. – Ale widziała, jak stąd odjeżdżał. Śledzi go.

– Po jaką cholere miałaby to robić!?

– Zdaje się, że sam pan jej kazał czy coś w tym rodzaju...

– Nie myślałem, że weźmie to sobie tak bardzo do serca.

– Prawdopodobnie nie wie, że Kruk zabił tego gościa – mówi Piszczek. – Dała nam znać, że widziała go tutaj. To wszystko. Teraz jedzie do Chinatown... – ostatnie zdanie Piszczek rzuca w biegu. Wyżej, na zjeździe z autostrady, czekają samochody Pacyfikatorów.

Hiro rusza za nim. Ma mocne nogi – wszystko dzięki walcom. Dobiega do Piszczka, zanim ten wsiadł do samochodu. Kierowca otwiera elektryczny zamek główny. Hiro wskakuje na tylne siedzenie, Piszczek siada obok prowadzącego. Odwraca się i patrzy zmęczonym wzrokiem na Hiro.

– Będę grzeczny – Hiro uprzedza jego słowa.

– Jedna rzecz...

– Wiem. Mam nie wkurwiać Kruka.

– Zgadza się.

Piszczek patrzy na niego przez kolejną sekundę, a potem odwraca się i każe kierowcy ruszać. Z umieszczonej na podsufitce drukarki urywa dziesięć stóp twardej kopii i zaczyna przeglądać wiadomości.

Na długim pasku papieru widać kilka podobizn najważniejszego Krypsa – gościa z kózką bródką, z którym układał się Kruk. Wydruk identyfikuje go jako T-Bone Murhpy'ego.

Jest także zdjęcie Kruka. Zrobione w akcji, a nie w Kiciu czy w Marmrze. Efekt jest fatalny. Fotkę pstryknięto teleobiektywem, kolory są niewyraźne, mało kontrastowe, a całość pokryta grubym ziarnem. Ktoś musiał wyostrzać je w komputerze – stąd wzięło się ziarno. Numer rejestracyjny jest obłą plamą rozświetloną tylną lampą. Motocykl robi ostry skręt, koło wózka unosi się kilka cali nad ziemią. Motocyklista nie ma szyi, jego głowa, a raczej ciemna plama w miejscu głowy, robi się szersza u podstawy i łączy się z ramionami. Stuprocentowy Kruk.

– Skąd masz zdjęcie T-Bone Murphy’ego? – pyta Hiro.

– Goni go – mówi Piszczek.

– Kto kogo?

– Pańska przyjaciółka, D.U., nie jest Jamesem Bondem, ale z raportów, które nadaje, wynika, że obu widziano w tym samym rejonie. Próbują się zabić. – Piszczek mówi spokojnym, opanowanym głosem osoby informowanej na bieżąco przez radio.

– Wcześniej robili jakiś interes – rzuca Hiro.

– Więc nic dziwnego, że próbują się zabić.

Są coraz bliżej. Śledzenie T-Bone’a i Kruka staje się znacznie łatwiejsze. Trasę przejazdu znaczą liczne ambulanse. Co kilka przecznic stoi grupa policjantów i techników medycznych, mrugają światła, pokastują przenośne radia. Wystarczy iść ich tropem.

Przy pierwszej karetce widać martwego Krypsa na jezdni. Szeroki na sześć stóp strumień krwi przecina ulicę i spływa do kolektora burzowego. Technicy z karetki stoją wokół, paląc i pijąc kawę z plastikowych kubków. Czekają, aż Pacyfikatorzy skończą pomiary i zdjęcia. Potem będzie można zabrać trupa do kostnicy. Przy Krypsie nie wala się żaden sprzęt medyczny, choćby pół wacika, pół opakowania po strzykawce. Nie próbowali nawet go ratować.

Kilka skrzyżowań dalej kolejna galaktyka świateł. Tym razem technicy z ambulansu nadmuchują unieruchamiający opatrunek na nodze MetaGliny.

– Przejechany przez motocykl – mówi Piszczek, potrząsając z niedowierzaniem głową. Pacyfikatorzy tradycyjnie gardzą MetaGlinami, młodszymi kolegami po fachu.

Piszczek włącza radio. Teraz wszyscy słyszą, co się dzieje.

Nigdzie ani śladu motocyklisty. Miejscowe gliny zbierają jednak krwawe żniwo. Dzwoni jakiś obywatel i skarży się, że człowiek na motocyklu i paru innych gości rozbija się po chmielowisku.

– Trzy przecznice stąd – mówi Piszczek do Kierowcy.

– Chmiel? – pyta Hiro.

– Znam to miejsce. Lokalny mikrobrowar – mówi Piszczek. – Sadzą własny chmiel. Wypuszczają pole miejskim ogrodnikom. Chińscy chłopi grzebią dla nich w ziemi.

Przyjeżdżają tam jako pierwsi przedstawiciele władz. Wiedzą już, dlaczego Kruk dał się zagnać w chmiel – doskonale można się tu ukryć. Chmiel jest gęsty, kwitnące szyszki zwieszają się szpalerami z długich, bambusowych tyczek. Każdy szpaler jest wysoki na osiem stóp, ale nic w nim nie widać.

Wysiadają z auta.

– T-Bone? – krzyczy Piszczek.

Na środku pola słychać jakieś głosy mówiące po angielsku.

– Tutaj, tutaj! – Nie jest to jednak odpowiedź na wołanie Piszczka.

Wchodzą na pole. Ostrożnie. Otacza ich silny, żywiczny zapach, przypominający nieco marihuanę – ostry smród drogiego piwa. Piszczek nakazuje gestem, by Hiro trzymał się z tyłu.

W innych okolicznościach Hiro posłuchałby go. Jest przecież w połowie Japończykiem i żywi szacunek dla władzy. W pewnych okolicznościach.

Teraz jednak nie zachodzi taka okoliczność. Jeśli Kruk pojawi się w pobliżu, Hiro przemówi do niego kataną. A gdy do tego dojdzie, lepiej nie mieć Piszczka u boku. Mógłby stracić rękę zupełnie niepotrzebnie.

– Ty! T-Bone! – wrzeszczy Piszczek. – Jesteśmy Pacyfikatorami! Wkurwionymi do tego! Wyłaż, człowieku! Czas iść do domu!

T-Bone – tak przynajmniej wydaje się Hiro – odpowiada krótką serią z pistoletu maszynowego. Błyski z lufy oświetlają chmiel jak lampa stroboskopowa. Hiro celuje ręką w ziemię, chowa się w bruździe i przez kilka sekund wacha liście.

– Kurwa! – krzyczy T-Bone. W tej „kurwie” słychać rozczarowanie, ale także frustrację i chyba trochę strachu.

Hiro siada na piętach w tradycyjnej pozycji i rozgląda się. Nigdzie nie widać Piszczka i drugiego Pacyfikatora.

Hiro przeciska się przez szpaler. Stoi teraz w bruździe bliższej miejsca akcji.

Pacyfikator-kierowca jest w tym samym rzędzie, jakieś dziesięć metrów dalej, tyłem do Hiro. Spogląda przez ramię w stronę Hiro, potem odwraca się i widzi kogoś innego – Hiro nie wie kogo, bo kierowca zasłania mu widok.

– Co do kurwy... – mówi kierowca.

Potem podskakuje, jakby się czegoś przestraszył, i coś dzieje się z jego kurtką.

– Kto to? – pyta Hiro.

Pacyfikator nie odpowiada. Próbuje się odwrócić, ale coś mu przeszkadza. Coś innego potrząsa tyczkami z chmielem.

Kierowca drży, przestępuje z nogi na nogę.

– Muszę się odczepić – mówi głośno i chyba do siebie. Zaczyna biec, oddala się od Hiro. Osoba, która

była tu wcześniej, zdażyła zniknąć.

Pacyfikator biegnie dziwnie sztywnym krokiem, z ramionami przy bokach. Jego seledynowa kurtka nie leży właściwie.

Hiro rusza za nim. Kierowca biegnie do końca bruzdy, tam, gdzie widać uliczne światła.

Wypada z pola kilka sekund przed Hiro. Gdy Hiro staje przy krawężniku, kierowca jest na środku ulicy. Pada na niego migotliwe, błękitne światło z wielkiego ekranu telewizyjnego, zawieszzonego na ścianie domu. Obraca się w kółko, drobiaz nogami. Nie może zachować równowagi. Powtarza: „Aaach, aaach” niskim, spokojnym głosem – zachrypniętym, jakby nie mógł odkaszlnąć.

Gdy Pacyfikator zwraca się w jego stronę, Hiro widzi, że ktoś wbił mu w brzuch bambusową tyczkę. Cztery stopy z przodu, mniej więcej cztery z tyłu. Po plecach Pacyfikatora ścieka ciemna krew przemieszana z fekaliami, przednia część tyczki jest jasnozielona i czysta. Kierowca widzi tylko ten fragment i obejmuje go dłońmi, przesuwając je z góry na dół, chcąc potwierdzić świadectwo oczu. Tylna część tyczki zahacza o zaparkowany samochód, zadziera wosk z lśniącej pokrywy bagażnika. W aucie włącza się alarm. Kierowca odwraca się, chcąc sprawdzić, co się dzieje.

Gdy Hiro widzi go po raz ostatni, biegnie środkiem pulsującej neonami ulicy do centrum Chinatown. Wyrzuca z płuc okropną, wyjąca pieśń, która zagłusza syrenę alarmu. Hiro czuje, że świat otworzył przed nim jakąś nieznaną stronę, że wisi nad nią jak nad przepaścią i spogląda na miejsce, w którym nie chce być. Zagubiony w biomasie.

Wyciąga kataną.

– Piszczek! – krzyczy. – Uważaj na tyczki! Rzucą nimi! Fachowo! Trafił twojego kierowcę!

– Słyszę! – odkrzykuje Piszczek.

Hiro wchodzi w najbliższy rząd. Z prawej strony słychać jakiś szelest, tnie kataną szpaler. Przedzieranie się przez chmiel nie jest przyjemne, ale lepsze to od pulsującej światłami ulicy.

Widzi jakiegoś mężczyznę. Poznaje go po dziwnym kształcie głowy rozszerzającej się ku dołowi, wrastającej w ramiona. Kruk trzyma w ręku bambusową tyczkę wyrwaną ze szpaleru.

Drugą ręką manipuluje przy końcu tyczki, ostrzy ją! Widać błyski ostrza. Ma nóż! Naciął koniec tak, by z tyczki powstała dzida.

Rzucił ją bez wysiłku. Ruch jest płynny i pełen gracji. Dzida znika, bo leci w stronę Hiro.

Nie ma czasu, by przyjąć odpowiednią postawę. Nic nie szkodzi. Przyjął postawę wcześniej. Zawsze, gdy ma w ręku kataną, jego nogi ustawiają się same, zachowując równowagę ciała i uniemożliwiając przypadkowy upadek. Stopy równoległe czubkami do przodu, prawa przed lewą. Katana na wysokości krocza, jak przedłużenie fallusa. Hiro unosi koniec ostrza i tnie dzidę bokiem. Zmienia jej tor na tyle, by wpadła w obrót i minęła cel, wplątując się w chmielowe szyszki z prawej strony Hiro. Koniec dzidy zawiesza się po lewej stronie, drga, zrywając pnącza. Jest ciężki i przez to szybki.

Kruk zniknął.

Do zapamiętania: Nie wiadomo, czy Kruk wyruszył dziś w miasto z zamiarem załatwienia w pojedynkę paru Krypsów i Pacyfikatorów, ale jeśli istotnie miał taki zamiar, nie zadał sobie trudu zabrania broni palnej.

Kolejna strzelanina parę rzędów dalej.

Hiro stoi w miejscu przez dosyć długą chwilę, myśląc o tym, co właśnie zaszło. W końcu przecina szpaler i rusza w kierunku błysków z lufy, szepcząc pod nosem: – T-Bone, nie strzelaj do mnie. Jestem po twojej stronie, człowieku.

– Skurwysyn, rzucił we mnie kijem! – skarży się T-Bone.

Ale gdy chodzi się w pancerzu, dzida przestaje być straszna.

– Lepiej o tym zapomnij – odzywa się Hiro. Musi przeciąć jeszcze kilka szpalerów, zanim dojdzie do T-Bone'a. Znajdzie go, pod warunkiem, że tamten nie przestanie mówić.

– Jestem Krypsem, a my niczego nie zapominamy – oznajmia T-Bone. – Jesteś tu?

– Nie – mówi Hiro. – Jeszcze do ciebie nie doszedłem.

Krótką serią przerwana w połowie. Zapada cisza. Hiro przecina ostatni szpaler. Tam, gdzie chciał postawić stopę, leży dłoń T-Bone'a. Amputowana na wysokości nadgarstka. Palec wskazujący opiera się na zabezpieczeniu spustu MAC-11.

Pozostała część T-Bone'a stoi dwa rzędy dalej. Hiro podchodzi ostrożnie i zagląda przez szpaler.

Kruk jest jednym z największych ludzi, jakich widział Hiro poza areną sportową. T-Bone cofa się przed nim między szpalerami. Kruk stawia długie, pewne kroki, podchodzi do T-Bone'a i wyrzuca rękę. Hiro nie musi widzieć noża. Wie, że tam jest.

Wygląda na to, że T-Bone'owi uda się wyjść z tego z przyszytą dłonią i skierowaniem na rehabilitację ruchową. Nie można przecież zasztyletować osoby noszącej pancerz!

T-Bone wrzeszczy.

Podskakuje w górę i w dół zgodnie z ruchami ręki Kruka. Nóż przebił kuloodporną tkaninę i teraz Kruk wybebesza T-Bone'a tak, jak zrobił to z Lagosem. Ale nóż – albo to, czym tnie – nie może rozplatać pancerza. Jest na tyle ostry, by go przebić – choć wydaje się to niemożliwe – ale dalej ani rusz.

Kruk wyciąga narzędzie z ciała. Przyklęka na jedno kolano i bierze długi zamach, a potem wbija nóż między uda T-Bone'a. Przeskakuje przez osuwające się zwłoki i zaczyna biec.

T-Bone'owi nic już nie może pomóc. Hiro nie pozostaje nic innego, jak puścić się za Krukiem. Nie chce go dopaść, chce tylko wiedzieć dokładnie, gdzie jest.

Przecina kilka szpalerów i gubi Kruka. Zastanawia się, czy nie zawrócić i biec ile sił w przeciwnym kierunku.

Nagle słyszy głęboki, basowy pomruk motocyklowego silnika. Biegnie ku najbliższemu wyjściu na ulicę. Może zdąży jeszcze rzucić na Kruka okiem.

Zdąża, choć nie na wiele to się zdaje. To, co widzi, wcale nie jest lepsze od fotografii z policyjnej drukarki. Kruk odwraca się w jego stronę, nie zmniejszając szybkości. Przejeżdża pod lampą i Hiro po raz pierwszy widzi dobrze jego twarz. Jest Azjata. Ma wąsy opadające aż za brodę.

Sekundę później na ulicę wypada kolejny Kryps. Kruk zwalnia, ocenia wzrokiem sytuację i dodaje gazu. Z jego ust wydobywa się bojowy okrzyk.

Piszczek pojawia się na ulicy zaraz za Krypsem. Ściga obu – Kruka i Krypsa – nie zwalniając kroku.

Kruk chyba nie wie, że Kryps biegnie za nim, choć później stało się jasne, że musiał obserwować go w lusterku. Gdy Kryps jest już dostatecznie blisko, dłoń Kruka odrywa się od manetki gazu i biegnie do tyłu, jakby wyrzucając jakiś śmieć. Pięść trafia w sam środek twarzy Krypsa jak zamrożona szynka wystrzelona z armaty. Głowa Krypsa odskakuje, stopy unoszą się nad ziemią, ciało wykonuje pół salta do tyłu i pada na jezdnię, uderzając o nią podstawą czaszki, a następnie gruchocząc wyprostowanymi ramionami. Z daleka wygląda to na kontrolowany unik, choć gdyby tak było, facet musiałby mieć niezwykły refleks.

Piszczek zwalnia, zawraca i przyklęka obok leżącego Krypsa, zostawiając Kruka samemu sobie.

Hiro widzi, jak wielki, radioaktywny, miotający dzidami zabójca i handlarz narkotykami wjeżdża na motocyklu do Chinatown. Jeśli chodzi o pościg, równie dobrze mógłby wjechać do Chin.

Podbiega do Krypsa rozkrzyżowanego na samym środku ulicy. Dolna część jego twarzy jest trudna do rozpoznania. Oczy są półprzymknięte, mięśnie rozluźnione. Z tego, co było kiedyś ustami, wydobywa się szept: – To jebany Indian albo coś takiego.

Ciekawe. Choć Hiro stawia na to, że Kruk jest Azjata.

– Po chuj żeś go gonił? – pyta Piszczek. Jest tak wkurwiony, że Hiro cofa się o krok.

– Naciął nas, skurwysyn... teczka spłonęła – bełkocze Kryps, plując zębami.

– To dlaczego nie spisaliście jej na straty? Chyba wam odbiło, żeby zadzierać z Krukiem!

– Naciął nas. Każdy, kto to zrobił, już nie żyje.

– Z wyjątkiem Kruka – mówi Piszczek. Jest już spokojniejszy. Kołysze się na piętach i patrzy na Hiro.

– T-Bone i kierowca prawdopodobnie nie żyją – mówi Hiro. – Lepiej nie ruszać tego gościa... może mieć skręcony kark.

– Jakby nie miał, to sam mu, kurwa, skręcę – rzuca Piszczek.

Nadjeżdża karetka. Technicy zdążyli opatulić Krypsa w nadmuchiwany kołnierz ortopedyczny, po czym facetowi wraca ambicja i wstaje. Po minucie zabierają go do szpitala.

Hiro wraca na pole i odnajduje T-Bone'a. Jest martwy. Zwinięty na kolanach i oparty o szpaler chmielu. Pchnięcie, które przeszło przez pancerz, było zapewne śmiertelne, ale Krukowi to nie wystarczyło. Musiał jeszcze załatwić mu podbrzusze. Nacięcie po wewnętrznej stronie ud sięga aż do kości. Z otwartych tętnic udowych wyciekła cała krew. Jakby ktoś odciął dno plastikowego kubka.

20

Pacyfikatorzy zamieniają całą przecnicę w jeden komisariat. Nadjeżdżają wozy patrolowe, suki i ciężarówki z antenami satelitarnymi. Faceci w białych fartuchach chodzą po chmielowisku z licznikami Geigera. Piszczek chodzi po ulicy ze słuchawkami w uszach, patrzy w dal i prowadzi rozmowy z niewidzialnymi. Nadjeżdża wóz pomocy drogowej ciągnący czarne BMW T-Bone'a.

– Ty! Partner! – Hiro odwraca się i widzi D.U. Właśnie wyszła z Hunana po drugiej stronie ulicy. Podaje Hiro białe pudełeczko i pałeczki. – Kurczak na ostro z sosem z czarnej fasoli. Bez konserwantów. Umiesz jeść pałeczkami.

Hiro wzrusza ramionami na tę obelgę.

– Wzięłam podwójną porcję – ciągnie D.U. – bo za te dane powinno wpaść nam trochę kasy.

– Wiesz, co się tutaj stało?

– Nie. Znaczą się, komuś stała się krzywda, nie?

– Niczego nie widziałas?

– Za szybko jechali, nie dałam rady.

– To dobrze – mówi Hiro.

– A co się stało?

Hiro potrząsa głową. Kurczak na ostro lśni ciemną polewą w świetle lamp. Hiro nigdy w życiu nie był tak mało głodny.

– Gdybym wiedział, nie zleciłbym ci tego zadania. Myślałem, że to zwykła obserwacja...

– Co się stało?

– Nie chce mi się o tym gadać. Słuchaj, trzymaj się z daleka od Kruka, dobrze?

– Jasne – odpowiada, ćwierkając, co oznacza, że kłamie i chce, żeby było wiadomo, że to robi.

Piszczek otwiera tylne drzwi BMW i zagląda do środka. Hiro podchodzi bliżej, czuje smród spalenizny. Zimny smród spalonego plastiku.

Aluminiowa teczka, którą Kruk dał T-Bone'owi stoi na tylnym siedzeniu. Wygląda tak, jakby ktoś rozpałił pod nią ognisko. Wokół zamków widać plamy spalenizny, plastikowy uchwyt stopił się do połowy. Wypalone są też kremowe obicia na fotelu. Nic dziwnego, że T-Bone się wkurwił.

Piszczek wciąga lateksowe rękawiczki. Wyciąga teczkę, stawia ją na bagażniku i otwiera zamki małym pilnikiem.

Cokolwiek to jest, przypomina aptekę połączoną ze stacją komputerową.

W górnej połowie teczki widać kilka rzędów małych buteleczek z czerwonymi zakrętkami. Coś takiego Hiro widział już w Maga-Zyn-Uj. W pokrywie zmieściło się pięć rzędów fiolek z dwudziestoma buteleczkami w każdym.

W dolnej części teczki spoczywa coś w rodzaju starego, zminiaturyzowanego terminala komputerowego. Najwięcej miejsca zajmuje klawiatura. Wyżej jest mały ekran ciekłokrystaliczny, na którym mieści się nie więcej niż pięć linii tekstu. Do tego przymocowane jest skręconym kablem jakby pióro. Może latarka, a może skaner kodów kreskowych. Nad klawiaturą, a pod ekranem, umieszczona jest soczewka wycelowana w tego, który pracuje przy komputerze. Są jeszcze inne rzeczy, których przeznaczenie nie jest całkiem jasne: szpara – być może na kartę kredytową lub ID – i cylindryczny uchwyt wielkością odpowiadający jednej z buteleczek.

To wszystko Hiro zrekonstruował sobie z ogólnych zarysów, bo gdy Piszczek otworzył teczkę, jej wnętrze było stopione. Sądząc po plamach spalenizny na zewnątrz teczki – ułożonych wzdłuż szpary między jej górną a dolną częścią – źródło ognia znajdowało się w środku teczki, a nie pod nią.

Piszczek wyciąga z pokrywy jedną z buteleczek i podnosi ją pod światło, którego nie brak w Chinatown. Fiolka była kiedyś przezroczysta, teraz widać na niej plamy od ciepła i dymu. Z daleka wygląda to na zwykłą aptekarską fiolkę, ale gdy Hiro podchodzi bliżej, widzi, że buteleczka podzielona jest na małe przegródki, połączone ze sobą cienkimi jak włos rurkami. Czerwona zakrętka zamykająca fiolkę ma coś w rodzaju prostokątnego okienka. Piszczek obraca buteleczkę w palcach. Hiro widzi ciemnobrunatny błysk wyłączanego ekranu ciekłokrystalicznego, jak w małym kalkulatorku. Pod ekranem, w zakrętce, widać małą perforację. Ale nie jest to zwykła dziura. Otwór – szeroki na powierzchni – zwęża się ku dołowi niczym lejek grubości szpilki.

Zbiorniczki w środku fiolki wypełnione są częściowo płynem. W niektórych przegródkach płyn jest przezroczysty, w innych czarnobury. Ciemny płyn musiał być związkami organicznymi, który po podgrzaniu zamienił się w rosół. Reszta może być wodą albo czymkolwiek innym.

– Wysiadł z samochodu i poszedł do baru na drinka – mruczy Piszczek. – Co za dupek!

– Kto?

– T-Bone. T-Bone, kapujesz pan, był zarejestrowanym użytkownikiem tego gówna. Znaczy się, teczki. Wystarczyło, że odszedł od niej na dziesięć kroków i bum! Wszystko poszło w cholerę.

– Dlaczego?

Piszczek patrzy na Hiro, jakby ten był idiotą.

– Wiesz pan, ja nie pracuję w wywiadzie, ale wiem jedno: ten, kto robi to świństwo... mówią na nie Odliczanka, Czerwony Kapturek albo Zamieć... ma świra na punkcie tajemnicy handlowej. Jeśli handlarz zostawi teczkę albo ją zgubi, albo chce dać ją komuś innemu... bum!

– Myślisz, że Krypsi zechcą policzyć się z Krukiem?

– Może, ale nie w Chinatown! – Piszczek znowu jest wkurwiony. Retrospektywnie. – Nie rozumiem tego faceta! Z ochotą zabiłbym sukinsyna!

– Kruka?

– Nie, tego Krypsa. Ma szczęście, że Kruk dobrał się do niego pierwszy.

– Goniłeś Krypsa?

– A co żeś pan myślał? Że uganiałem się za Krukiem?

– Chyba tak... To znaczy, Kruk jest przestępcą, nie?

– Z całą pewnością. I goniłbym go, gdybym był policjantem i miał obowiązek ścigać przestępców. Ale jestem Pacyfikatorem i moim zadaniem jest utrzymanie porządku, ładu społecznego i spokoju. I dlatego zrobię wszystko... podobnie jak każdy inny Pacyfikator w mieście... żeby Krukowi nie spadł włos z głowy. A jeśli masz pan zamiar szukać Kruka i mścić się za tego kolesia, którego skasował, to możesz pan o tym

zapomnieć.

– Skasował? Kolesia? – wtrąca się D.U. Nie widziała, co spotkało Lagosa.

Podtekst, jaki kryje się za słowami Piszczka, przeraża Hiro.

– Czy dlatego wszyscy mówili mi, żebym uważał na Kruka? Bali się, że go zaatakuję!

– Trafiałeś pan, jak to mówią, w sedno – stwierdza Piszczek, zerkając na miecze.

– Dlaczego wszyscy bronią Kruka?

Piszczek uśmiecha się, jakby przed sekundą wkroczył do królestwa nierzeczywistości.

– Bo jest Suwerenny.

– Więc można wypowiedzieć mu wojnę!

– Wypowiadanie wojny mocarstwu nuklearnemu nie jest dobrym pomysłem.

– Cooo!

– Cholera... – Piszczek kręci głową – ...gdybym wiedział, koleś, że nie masz pojęcia o całej sprawie, nie wsiadłbyś do mojego auta. Myślałem, że jesteś poważnym gościem od mokrej roboty z CKW. A teraz, mówisz mi, koleś, że nie wiesz nic o Kruku!?

– Owszem, właśnie to mówię.

– Dobra, powiem ci, żebyś nie robił więcej szumu. Kruk wozi się z głowicą torpedy, którą podpierdolił ze starej, ruskiej łodzi podwodnej. Ta torpeda miała jednym uderzeniem zmieść całą armadę krążowników. Kapujesz? Mówimy o nuklearnej torpedzie, jakbyś jeszcze nie wiedział. No dobra... Widziałeś wózek przy harleyu Kruka, nie? Rzecz w tym, że to nie żaden wózek a bomba wodorowa, człowieku! Uzbrojona i niebezpieczna. Zapalnik połączony jest z elektrodami EEG, które Kruk wstrzelił se w czaszkę. Jak Kruk jest kaput, bomba robi bum, kapujesz? Więc jak Kruk odwiedza nasze miasto, robimy wszystko, żeby czuł się jak w domu.

Hiro stoi z otwartymi ustami. D.U. zabiera głos zamiast niego.

– Już wszystko wiemy – oznajmia. – Mówię za siebie i za mojego partnera: będziemy trzymać się od niego z daleka.

21

D.U. wścieka się. Nie ma zamiaru spędzić na tym zjeździe całego popołudnia jak pies gówno na poboczu. Cały ruch z centrum do Compton odbywa się po Harbor Freeway, ale zjazdy z autostrady są tak rzadko używane, że w dziurach w asfalcie rosną spokojnie suchokrzewy. D.U. nie chce wjeżdżać do Compton przy pomocy nożnego napędu. Musi spłacić coś dużego i w miarę szybkiego.

Nie może skorzystać ze zwykłej sztuczki, polegającej na zamówieniu pizzy w tę okolicę i spunieniu dowozicielatora, bo żadna porządna pizzeria nie dostarcza towaru do tej dzielnicy. Jedyne, co może, to czekać na poboczu na przejeżdżającego frajera. Czekać godzinami. Jak pies gówno.

Nie podoba się jej ta dostawa. Ale kierownik franszulanu uparł się tylko na nią. Nikogo innego. Daje jej tyle pieniędzy, że to aż nieprzyzwoite. W paczce musi być pełno jeszcze ciepłych narkotyków.

Ale to nic w porównaniu z tym, co dzieje się potem. D.U. jedzie sobie po Harbor Freeway i zbliża się do cholernego zjazdu przyczepiona do sunącej na południe półciągarówki. Cwierć mili od zjazdu przejeżdża obok niej czarny, podziurawiony kulami oldsmobil i włącza kierunkowskaz w prawo. Skręca w jej zjazd! To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Spunia oldsmobila.

Zjeżdżając z autostrady za opasłym sedanem, sprawdza w lusterku kierowcę, którym okazuje się sam pieprzony kierownik franszulanu – ten, który płaci jej niewyobrażalne pieniądze za tę dostawę.

W tej chwili D.U. bardziej boi się kierownika niż przejażdżki po Compton. To musi być psychol. Zakochał się w niej. Ukartował to wszystko z góry.

Ale jest już za późno. Póki co musi z nim zostać i znaleźć sposób na wydostanie się z tej płonącej i gnijącej dzielnicy.

Zbliżają się do wielkiej, niebezpiecznej na oko blokady drogowej Maffii. Facet naciska gaz, jakby miał zamiar się zabić. D.U. widzi przed sobą franszulanu przeznaczenia. W ostatniej chwili psychol skręca gwałtownie i hamuje przy krawężniku.

Nie mógł lepiej tego wymyślić. D.U. odpunia się, wykorzystując całą jego energię i płynie przez punkt kontrolny z bezpieczną i rozsądną szybkością. Strażnicy celują lufami w niebo i kręcą głowami, wpatrując się w jej tyłek, gdy przejeżdża mimo.

Comptoński franszulan Nowej Sycylii sprawia ponure wrażenie. Wszędzie roi się od Młodych Mafiosów, którzy są jeszcze gorsi od tępaków z Czystomormońskiej Pustynnej Burbklawy. Chłopaki wystroili się w straszliwe czarne garnitury. Dziewczyny nie wiadomo po co podkreśliły swoją dziewczęcość. Tylko skąd się tu wzięły do cholery? Do Młodych Mafiosów nie przyjmują dziewczyn; mają dla nich organizację Sycylijskich Płaczek podających facetom makaron. „Dziewczyny” to zbyt piękne słowo dla tych

organizmów. Nie zaszły tak wysoko po drabinie ewolucji. Nie są nawet laskami.

D.U. jedzie za szybko, więc skręca deską w bok, uruchamiając automatycznie hamulce, pochyla się i zatrzymuje z poślizgiem, wznecając chmurę kurzu i pyłu, który opada na wyglansowane lakiery Młodych Mafiosów kręcących się przed franszulem, zjadających sycylijskie przysmaki i rżnących dorosłych. Najwięcej kurzu i pyłu dostało się na białe, koronkowe rajstopy mafijnych protolasek. D.U. zeskakuje z deski, udając, że robi to w ostatniej chwili. Przygniata lewą stopą koniec swojego pojazdu, który wyskakuje na półtora metra w górę, obraca się wokół osi i ląduje bezpiecznie pod jej pachą. Przyciska deskę do boku. Szprychy sprytorolek są już schowane i nie większe od samej piasty. D.U. wciska MagnaPun w zagłębienie między kołami i jest gotowa doręczyć przesyłkę.

– D.U. – rzuca D.U. – Młoda i szybka. Gdzie jest, kurwa, Enzo?

Mafijne przedszkolaki postanawiają pokazać się D.U. od dorosłej strony. Chłopcy w ich wieku zajmują się głównie ściskaniem się za jaja i upijaniem do nieprzytomności. Ale nie w obecności „kobiety”. W obecności „kobiety” nagle dojrzewają. Co sprawia absurdalnie porażające wrażenie. Jeden z pijących mleko mafiosów wysuwa się o krok i zajmuje pozycję między D.U. a najbliższą protolaską.

– Witamy w Nowej Sycylii – oznajmia. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

D.U. wzdycha głęboko. Jest w pełni niezależnym człowiekiem interesu, a te kmioty traktują ją jak koleżankę ze szkoły.

– Dostawa dla niejakiego Enzo, kapujesz? Nie mam czasu. Nie podoba mi się w tej okolicy.

– Obecnie jest to niezwykle spokojna okolica – mówi Młom. – Powinnaś zostać u nas przez chwilę. Może nauczyłaś się dobrych manier.

– Przejdź się Venturą w godzinach szczytu. Poznasz swoje ograniczenia, pączusiu.

Młom uśmiecha się, jakby dawał za wygraną.

– Człowiek, z którym chcesz porozmawiać, jest w środku. Chociaż nie jestem pewny, czy zechce cię przyjąć.

– To po chuj mnie tu wzywał? – pyta D.U.

– Przyleciał do nas przez cały kontynent – uśmiecha się Młom. – I jest nami ukontentowany.

Reszta Młomasów rechocze i pochrząkuje z aprobatą.

– Gdyby tak było, nie kazałby ci stać na dworze – rzuca D.U. i wchodzi do środka.

W całym franszule panuje atmosfera dziwnego odprężenia. Wujek Enzo wygląda z bliska tak samo jak na plakatach, a nawet jest większy, niż wydawało się D.U. Siedzi przy stole i gra w karty z facetami w żalobie. Pali cygaro i popija espresso. Wygląda na to, że brakuje mu wrażeń.

Cały franszulec zavalony jest podręcznym sprzętem wujka Enzo. Na stole w rogu stoi podróżny ekspres do kawy. Obok przenośny kredens, a w nim wielka foliowa torba z Włoską Mocno Paloną Bezkofeinową i pudło hawańskich cygar. W drugim rogu stoi gargulec podłączony do większego niż normalnie laptopu i mruczący coś do siebie.

D.U. unosi łokieć i pozwala, by deska wpadła jej do dłoni. Rzuca ją na stół i sięga do kieszeni na przedramieniu po przesyłkę, zbliżając się do wujka Enzo.

– Gino – mówi Enzo, kiwając na kogoś głową.

Gino pojawia się obok D.U. i odbiera przesyłkę.

– Potrzebuję podpis – rzuca D.U. Z jakiejś przyczyny, nie dodaje „facet” albo „koleś”.

Gino zasłonił jej widok i nie zdążyła się zorientować, kiedy wyrósł obok niej sam wujek Enzo, który lewą dłonią uniosł jej prawą rękę. Rękawice Kuriera mają z przodu zamek, który po otwarciu odsłania kawałek gołej skóry. Właśnie na tym kawałku wujek Enzo złożył swoje usta. Pocałował D.U. w rękę! Ciepłym, wilgotnym pocałunkiem! Co prawda nie zaślinionym i obleśnym, ale też nie antyseptycznym i suchym. Ciekawe. Jedyne, czego nie można mu zarzucić, to braku pewności siebie. Chryste, ależ jest przylizany! Ale ma ładne wargi. Stanowcze, mięsiste wargi, nie takie jak miękkie, galaretowate wargi piętnastolatka. Pachnie lekko cytryną i zatęchłym tytoniem. Rozpoznanie pełnej gamy zapachów wymagałoby rzucenia się mu na szyję. Wujek Enzo góruje nad D.U., stoi w stosownej odległości i mruży zmarszczone w kącikach oczy.

Wydaje się całkiem miły.

– Nie masz pojęcia, D.U., jak bardzo pragnąłem cię poznać – mówi Enzo.

– To miło – odpowiada D.U., ćwierkając bardziej, niżby chciała. Dlatego dodaje: – Co to za pieprzona ultrawartościowa przesyłka?

– Ach, to nic ważnego – rzuca wujek, uśmiechając się z lekkim zawstydzaniem. Jakby było mu przykro, że musiał uciekać się do podstępów, chcąc poznać D.U. – Wszystko to przez imażynierię – rozkłada bezradnie ręce. – Człowiek mojego pokroju nie może spotykać się z dziewczętami bez niepotrzebnych plotek w mediach. To niemądre, ale niestety musimy brać to pod uwagę.

– Po co mnie pan tu ściągnął? Ma pan jakąś przesyłkę?

Wszyscy zgromadzeni mężczyźni wybuchają śmiechem.

Odgłos ten wywołuje u D.U. lekkie skurcze żołądka i przypomina jej, że występuje przed tłumem. Na

chwilę odrywa wzrok od twarzy wujka Enzo.

Mafioso dostrzegł to. Jego uśmiech staje się odrobinę węższy, a w postawie widać oczekiwanie. Na ten znak wszyscy mężczyźni wstają i wychodzą.

– Zapewne nie zechcesz mi uwierzyć – odzywa się wujek Enzo – ale chciałem po prostu złożyć ci podziękowanie za dostarczenie pizzy przed kilkoma tygodniami.

– Dlaczego miałabym panu nie wierzyć? – pyta D.U. i ze zdumieniem stwierdza, że z jej ust wydobywają się miłe dla ucha dźwięki.

Wujek Enzo jest nie mniej zdumiony.

– Ty jedna znalazłaś jakiś powód.

– Może – rzuca D.U. – Spędził pan miły dzień z Młodymi Mafiosami?

Wujek Enzo patrzy teraz inaczej, a jego oczy mówią: „Uważaj, dziecko!” D.U. przechodzą ciarki, ale Mafioso wybucha śmiechem, bo chciał ją nabrać, dać jej szkołę. Śmiech wujka oznacza, że D.U. też może się śmiać.

D.U. nie pamięta już, kiedy ostatni raz rozmawiała w taki sposób. Dlaczego inni nie są tacy jak wujek Enzo?

– Chwileczkę... – wujek Enzo wbija wzrok w sufit, jakby starał się coś sobie przypomnieć. – Wiem o tobie to i owo. Masz piętnaście lat i mieszkasz z mamą w Burbkławie w Dolinie.

– Ja też wiem o panu parę rzeczy – rzuca ryzykownie D.U.

Wujek Enzo uśmiecha się.

– Z pewnością mniej niż sobie wyobrażasz, zapewniam cię. A teraz powiedz mi, proszę, co myśli mama o twojej karierze?

Ładnie z jego strony, że powiedział „kariera”.

– Nie ma o niej pojęcia... a może nie chce wiedzieć...

– Mylisz się i to bardzo – stwierdza wujek Enzo. Nie brzmi to tak, jakby odmawiał jej racji ani nic w tym guście, bo ciągle się uśmiecha. – Zdumiałabyś się, wiedząc, jak dobrze poinformowana jest twoja mama. Tak przynajmniej podpowiada mi własne doświadczenie. Jak zarabia na życie?

– Pracuje dla Federalów.

Wujek Enzo znajduje ów fakt niezwykle zabawnym.

– A jej córka dostarcza pizzę dla Nowej Sycylii! Co robi dla Federalów?

– Coś takiego, o czym nie może mi powiedzieć z obawy, że coś komuś chlapnę. Przechodzi masę testów na wykrywaczu kłamstw.

Wujek Enzo rozumie to doskonale.

– Tak, wiele posad federalnych tego wymaga. Szczęśliwie zapada cisza.

– Trochę mnie to przeraża – przerywa milczenie D.U.

– To, że mama pracuje u Federalów?

– Nie... To, że robią jej te testy... Zakładają jej coś na rękę... Coś do mierzenia ciśnienia...

– Sfigmomanometr – mówi wujek Enzo bez zajknięcia.

– No... a potem ma siną rękę... I sama nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie to niepokoi...

– Powinno, przyznaję.

– I w domu jest pełno pluskiew... to znaczy urządzeń podsłuchowych... więc kiedy jestem w domu... i nieważne co robię... zawsze ktoś mnie podsłuchuje...

– No cóż, powiem ci tylko, że wiem o tym to i owo.

Oboje wybuchają śmiechem.

– Teraz zapytam cię o coś, o co zawsze chciałem zapytać Kuriera – mówi po chwili wujek Enzo. – Obserwuję was przez okna mojej limuzyny i, wiesz, kiedy spuni nas Kurier, mówię Peterowi, mojemu szoferowi, żeby jechał ostrożnie. A teraz pytanie: nosicie wyściełane kombinezony ochronne, ale dlaczego nie jeździecie w kaskach?

– W kombinezonie jest poduszka powietrzna, która nadyma się wokół szyi, gdy człowiek spadnie z deski. Dzięki niej nie można uderzyć się w głowę. Poza tym kaski są tylko przeszkodą. Mówi się, że nie wpływają na słuch, ale to nieprawda.

– W twojej pracy często korzysta się z tego zmysłu.

– Zdecydowanie najczęściej.

Wujek Enzo kiwa głową.

– Tak przypuszczałem. Kiedy byliśmy w Wietnamie, nigdy nie nosiliśmy hełmów...

– Słyszałam, że był pan w Wietnamie, ale... – przerywa, czując, że powie za dużo.

– Ale myślałaś, że to kit. Nie, byłem tam. Mógłbym się wymigać, gdybym chciał. Ale pojechałem na ochotnika.

– Pojechał pan na ochotnika do Wietnamu?

Wujek Enzo uśmiecha się.

– Tak, jako jedyny z rodziny.

– Dlaczego?

– Bo wydawało mi się, że jest tam bezpieczniej niż w Brooklynie.

Teraz D.U. wybucha śmiechem.

– Kiepski dowcip – poprawia się wujek Enzo. – Pojechałem do Wietnamu dlatego, że ojciec chciał, żebym został w domu. Zrobiłem mu na złość.

– Naprawdę?

– Mam przysiąc? Przez całe lata wynajdywałem sposoby zrobienia mu na złość. Umawiałem się czarnymi dziewczynami. Nosilem długie włosy. Paliłem marihuanę. A zwieńczeniem tej kampanii i moim ostatecznym tryumfem... nawet większym od przekłutego ucha... była służba na ochotnika w Wietnamie. I wyobraź sobie, że nawet wtedy musiałem posunąć się do ostateczności...

Wzrok D.U. przeskakuje od jednego do drugiego pomarszczonego ucha wujka Enzo. W płątku lewego dostrzega nie bez trudności maleńki, diamentowy kolczyk.

– Jak to do ostateczności?

– Wszyscy wiedzieli, kim jestem. Takich rzeczy nie da się ukryć, sama wiesz... Gdybym po prostu zgłosił się do wojska, skończyłbym za jakimś biurkiem w Stanach przed stosem formularzy. Może nawet wysłaliby mnie do Fortu Hamilton, wiesz... obok Bensonhurst. Więc żeby temu zapobiec, zgłosiłem się do Sił Specjalnych i zrobiłem wszystko, by znaleźć się na froncie. Są sposoby... – Uśmiecha się. – Tak czy inaczej, podziałało. Widzisz, zagadałem się jak sklerotyk, a chciałem powiedzieć ci o hełmach...

– No...

– Naszym zadaniem było łażenie po dżungli i płoszenie skośnookich dżentelmenów z karabinami dwa razy większymi od nich. Co nie znaczy, że nie byli sprytni. I podstępni. Słuch był dla nas wtedy wszystkim, tak jak dla ciebie. I oczywiście nigdy nie nosiliśmy hełmów...

– Z tych samych powodów.

– No właśnie. Choć wtedy hełmy nie zakrywały uszu, wpływały jakoś na sam słuch, nie potrafię ci tego naukowo wytłumaczyć. W każdym razie, do tej pory uważam, że przeżyłem dlatego, że chodziłem z gołą głową.

– To ciekawe. Naprawdę.

– Patrz, minęło tyle lat i wydawałoby się, że problem już dawno powinien być rozwiązany...

– Fakt – mówi D.U. – Ale pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają... Tak myślę...

Wujek Enzo odrzuca do tyłu głowę i śmieje się serdecznie, aż mu się brzuch trzęsie. W normalnych okolicznościach D.U. uważałaby, że to irytujące, ale wujek Enzo śmieje się całkiem szczerze i nie ma w tym niczego złego.

D.U. chciałaby go zapytać, jak to się stało, że z buntownika zamienił się w biznesmena prowadzącego rodzinny interes. Ale nie zrobiła tego. Mimo to, wujek Enzo wyczuł, że naturalną kolejną rzeczą musi odpowiedzieć na to pytanie.

– Czasami zastanawiam się, kto przyjdzie po mnie – zaczyna. – Nie znaczy to, broń Boże, że brakuje nam utalentowanych młodych ludzi. Przeciwnie. Problem w tym, że, jak każdy stary człowiek, uważam, że świat idzie ku gorszemu.

– Ma pan miliony Młodych Mafiosów – wtrąca D.U.

– Nadają się do przekładania papierów na przedmieściach. I do noszenia marynarek. Nie masz dla nich szacunku, D.U., bo jesteś młoda i arogancka. Ale ja też ich nie szanuję, bo jestem stary i mądry.

To, co powiedział wujek Enzo, jest dosyć zdumiewające, ale D.U. wcale mu się nie dziwi. Brzmi to jak rozsądna opinia rozsądnego gościa, jakim jest wujek Enzo.

– Żaden z nich nie dałby sobie na ochotnika odstrzelić nóg w Wietnamie, tylko po to, by zrobić na złość staremu. Brakuje im pewnej tkanki. Nie ma w nich życia, są znużeni.

– To smutne – mówi D.U. W pierwszej chwili chciała wyrazić się dosadniej, ale dała sobie spokój.

– No cóż... – mówi wujek Enzo i jest to „no cóż” kończąca rozmowę. – Miałem zamiar wysłać ci róże, ale pomyślałem sobie, że nie lubisz kwiatów, prawda?

– No... nie wyrzuciłabym ich do kosza – odpowiada D.U. i klnie się w myślach za własną słabość.

– Dam ci coś innego... coś, na co zasługuje prawdziwy towarzysz broni... – wujek Enzo rozluźnia krawat i odpina górny guzik przy koszuli. Wyjmuje wiszący na szyi tani stalowy łańcuszek z dwoma ostemplowanymi blaszkami. – To mój stary, wojskowy identyfikator – mówi prawie szeptem. – Noszę go już całe lata, sam nie wiem dlaczego. Sprawisz mi wielką radość, przyjmując go...

Pod D.U. uginają się kolana, gdy wkłada łańcuszek na szyję. Blaszki opadają na kombinezon.

– Lepiej schowaj je do środka – radzi wujek Enzo.

D.U. chowa łańcuszek w sekretnym miejscu na piersiach. Identyfikator jest jeszcze ciepły ciepłem wujka Enzo.

– Dziękuję.

– To drobiazg – rzuca Mafioso. – Ale gdybyś miała kiedyś kłopoty, pokaż tę rzecz temu, kto je sprawia, a miną jak ręką odjął.

- Dzięki, wujku Enzo.
- Uważaj na siebie. Bądź dobra dla mamy. Ona cię kocha.

22

Gdy wychodzi z franszulatu Nowej Sycylii, czeka na nią jakiś facet. Uśmiecha się nie bez ironii i pochyla lekko głowę, tylko po to, by zwrócić na siebie jej uwagę. To śmieszne, ale po pogawędce z wujkiem Enzo, D.U. inaczej patrzy na świat. Więc zamiast roześmiać mu się w nos, odwraca tylko głowę i idzie dalej.

– D.U., mam dla ciebie robotę – mówi facet.

– Jestem zajęta – odpowiada D.U. – Mam mnóstwo dostaw.

– Łzesz jak z nut – rzuca facet z podziwem. – Widziałaś w środku gargulca? Jest podłączony do komputera Radixsu przez całą dobę. Więc wszyscy wiemy doskonale, że nie masz żadnej roboty.

– Ale nie wolno mi przyjmować zleceń od klienta – mówi D.U. – Przyjmuję zlecenia tylko z dyspozytorni. Zadzwoń pod 1-800.

– Kurwa, za kogo ty mnie bierzesz, dziewczyno?

D.U. zatrzymuje się, odwraca i spogląda na faceta. Jest wysoki, szczupły, ma czarny garnitur i czarne włosy. A do tego straszliwe szklane oko.

– Co ci się stało w oko? – pyta D.U.

– Kolec do lodu, Bayonne, 1985 – odpowiada tamten. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie ma się o co obrażać. Po prostu byłam ciekawa.

– Dobra, więc wracajmy do interesów. Ponieważ wbrew temu, co ci się wydaje, wcale nie myślę dupą, doskonale wiem, że wszyscy Kurierzy przyjmują zlecenia z dyspozytorni, do której dzwoni się przez 1-800. Rzecz w tym, że nie zależy nam na wykręcaniu tego numeru i dyspozycjach z centrali. Sprawa dotyczy tylko nas. Osobiście, bo tak załatwiamy sprawy. Jesteśmy staromodni, kapujesz? W urodziny mojej mamy nie wykręcam 1-800-ZŁÓŻ ŻYCZENIA, tylko wsiadam w auto i osobiście całuję mamę w rękę. A teraz zależy nam, żebyś ty osobiście załatwiła dla nas sprawę.

– Dlaczego?

– Bo uwielbiamy załatwiać interesy z laskami, które zadają mnóstwo pytań. Mówiłem ci już, że nasz gargulec siedzi w komputerze Radixsu, w waszej dyspozytorni.

Mężczyzna ze szklanym okiem odwraca głowę prawie o sto osiemdziesiąt stopni i kiwa w stronę franszulatu, gdzie stoi gargulec. Po chwili dzwoni telefon D.U.

– Odbierz go, do kurwy nędzy! – rzuca jednooki.

– Czego? – mówi D.U. do słuchawki.

Komputerowy głos informuje ją, że ma odebrać przesyłkę w Griffith Park i dostarczyć ją do franszulatu Perłowych Wrót Wielebnego Wayne'a przy Van Nuys.

– Jeśli zależy wam na przewiezieniu czegoś z miejsca A do miejsca B, dlaczego nie zrobicie tego sami?

– pyta D.U. – Wsadź dupę do czarnego lincolna i po sprawie.

– Rzecz w tym, że to coś niezupełnie do nas należy, a poza tym nie bardzo lubimy ludzi w miejscu A i miejscu B. Obawiam się, że z wzajemnością.

– Chcesz, żebym coś dla was ukradła! – krzyczy D.U.

Jednooki cierpi, jakby go ktoś obraził.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Posłuchaj, dziewczyno! Jesteśmy, kurwa, Mafią i jak chcemy coś ukraść nie potrzebujemy niczyjej pomocy, kapujesz? Nie zatrudniamy piętnastolatek do kradzieży! Teraz chodzi nam o coś w rodzaju tajnej operacji...

– Szpiegowskiej? Wywiad!

– Taa, szpiegowskiej – rzuca mężczyzna, jakby tłumaczył się przed kimś, kto słucha go z ukrycia. – I dlatego potrzebny jest nam Kurier, któremu możemy zaufać.

– Więc całe spotkanie z wujkiem Enzo to był kit! – mówi D.U. – Chcecie tylko zaprzyjaźnić się z Kurierem.

– Chryste Panie! – jednooki wznosi oko ku niebu, ale widać, że jest rozbawiony. – Wiesz, żeby zrobić wrażenie na piętnastolatce, nie trzeba ściągać samego bosa. W tym mieście są miliony Kurierów, których moglibyśmy przekupić, żeby przewieźli dla nas ten towar. Ale zwracamy się z tym do ciebie, bo znamy cię osobiście, kapujesz?

– Dobra, co mam zrobić?

– Dokładnie to, co zrobiłabyś w każdej innej sytuacji – mówi jednooki. – Pojedziesz do Griffith Park i odbierzesz przesyłkę.

– I nic więcej?

– Zawieziesz ją do miejsca przeznaczenia. Zależy nam jednak, żebyś pojechała 1-5, kapujesz?

- Ale to nie po drodze!
- Zrób tak, jak ci mówię.
- Dobra.
- Wreszcie! Chodź, dam ci jakąś eskortę z tej dziury.

Czasami, przy sprzyjającym wietrze, można dostać się w poduszkę powietrzną za pędzącym osiemnastokołowcem, którego nie trzeba nawet spuniać. Próżnia wsysa człowieka jak odkurzacz. Można tak jechać przez cały dzień. Rzecz w tym, że jeśli coś się spieprzy bezsilny człowiek zostaje sam na lewym pasie, mając za plecami konwój półciężarówek. Równie nieprzyjemne jest zbliżenie do osiemnastokołowca. Wsysa wtedy człowieka pod chlapacze, co grozi owinięciem wokół opony na kształt rozwałkowanego ciasta. W żargonie rolniczy nazywa się to „spunieniem odkurzacza”. Życie D.U. stało się właśnie czymś takim od owego pamiętnego wieczoru, kiedy poznała Hiro Protagonistę.

Pun D.U. trafia we wszystko, co jeździ po San Diego Freeway. D.U. wie, jak podczepić się nawet do najłżejszego, plastikowoalumiiniowego gówna o szumnej nazwie chińskiego ekonowozu. Nikt nie ma prawa grać jej na nosie. Zna swoje miejsce na jezdni.

Od dzisiaj będzie miała mnóstwo roboty. Część zleceń wypuści Blokademie. Oznacza to, że będą spotykać się w przydrożnych motelach – jak prawdziwi ludzie interesu. Ostatnio D.U. uczyła Blokadę, jak postępować z jej ciałem. Ale gdy ten fajans widzi kawałek gołej skóry, dostaje amoku i odgrywa macho. Co wcale nie jest takie złe. Tak czy siak, bierze się to, co dają.

Nie jedzie najkrótszą drogą do Griffith Park, ale tak chciała Mafia: kazali jej pojechać czterysta piątą do Doliny i nadjechać z tamtego kierunku, a dalej już normalnie. Banda paranoików. I zawodowców.

Z lewej strony ma lotnisko LAX. Z prawej kontenery Maga-Zyn-Uj, w których siedzi pewno ten przygłup – jej partner – podłączony do komputera. W pobliżu lotniska Hughesa, które jest teraz prywatną placówką Wielkiego Hongkongu Pana Lee, wpada w duży ruch. Tak samo jest przy lotnisku Santa Monica, wykupionym niedawno przez Globalne Siły Zbrojne Admirala Boba. Dalej jest Fedład, do którego codziennie rano jeździ mama.

Fedład był kiedyś szpitalem dla weteranów i kilkoma innymi budynkami federalnymi. Teraz ma kształt nerkowatej plamy owiniętej wokół czterysta piątki. Z każdej strony chroniony jest umocnieniami: płotem granicznym z kolczugowatej tkaniny, zasiekami, barykadami i barierami biegnącymi od jednego budynku do drugiego. Wszystkie budowle w Fedładzie są wielkie i brzydkie. Wokół fundamentów kręcą się ludzie noszący wełniane ubrania koloru mokrego granitu. Wydają się niezdarni i nieważni w białym majestacie budowli.

Z prawej strony za barierami Fedładu zaczynają się tereny UCLA. Uczelnię prowadzą teraz wspólnie Japończycy, Wielki Hongkong Pana Lee i kilka dużych amerykańskich korporacji.

Ludzie mówią, że to, co widać z lewej strony, nad oceanem w Pacific Palisades, jest kwaterą główną Centralnej Korporacji Wywiadowczej na Zachodnim Wybrzeżu. Niedługo – może nawet jutro – D.U. podjedzie sobie pod tę chatę i pomacha pracującym w niej ludziom. Ma mnóstwo rzeczy do przekazania Hiro. Stuprocentowe dane wywiadowcze o wujku Enzo. Ludzie zapłacą miliony, żeby je zobaczyć.

Ale o dziwo czuje, że rusza ją sumienie. Chyba nie zdoła nakablować na Mafię. Nie dlatego, żeby się bała. Dlatego, że jej zaufali. Byli dla niej mili. I kto wie, może coś z tego będzie w przyszłości... Znacznie ciekawsza kariera od posady w CKW.

Niewiele aut korzysta ze zjazdu do Fedładu. Mama musi robić to codziennie, podobnie jak paru innych. Wszyscy Federalowicze zaczynają pracę przed świtem, a kończą późno w nocy. U nich nazywa się to lojalność. Mają świra na punkcie lojalności, a ponieważ nie zarabiają dużo i nie cieszą się powszechnym szacunkiem, muszą udowadniać własne zaangażowanie i odporność na różnorakie pokusy.

Przykład? D.U. spuniła przy LAX taksówkę, która wiezie ją do tej pory. Pasażerem jest Arab, siedzący na tylnym siedzeniu. W otwartym oknie powiewa jego burnus – znaczy się, klimatyzacja nie działa, dryndziarz zarabia za mało, żeby kupić na czarnym rynku ChłodoFreon. Typowe – tylko Federalowicze każą gościom jeździć brudnymi, nie klimatyzowanymi taksówkami. I jakby na potwierdzenie tej myśli, dryndziarz skręca ku rampie z napisem: „STANY ZJEDNOCZONE”. D.U. odpunia się i łapie ciężarówkę jadącą ku Dolinie.

Na dachu wielkiego Budynku Federalnego stoi banda Federalów z krótkofalówkami, w ciemnych okularach i wiatrówkach z napisem „FEDS” na plecach. Czają się, celują lornetkami w przednie szyby aut nadjeżdżających Wilshire Boulevard. Nocą D.U. ujrzałyby lasery czytające kreskowe tablice rejestracyjne taksówki jadącej do Stanów.

Mama D.U. wspominała o tych facetach. Należą do Grupy Wykonawczej Komendantury Operacji Ogólnych, GWKOO. FBI, Szeryfowie Federalni, Tajne Służby i Siły Specjalne wciąż jeszcze roszczą sobie prawo do odrębności – tak jak kiedyś Armia, Marynarka i Siły Powietrzne – ale wszyscy podlegają GWKOO, wszyscy robią to samo i można ich łatwo zamienić. Poza Fedładem ludzie znają ich jako Federalów. GWKOO twierdzi, że ma prawo wejść wszędzie i o każdej porze do obiektów znajdujących się

w dawnych granicach Stanów Zjednoczonych. Nie musi nawet mieć nakazu czy choćby wytłumaczenia. Ale tak naprawdę czuje się w domu tylko tutaj, w granicach Fedlądu, kiedy patrzy sobie przez teleobiektyw i mówi coś do mikrofonu, wymachując obrzynem albo karabinem snajperskim. Najlepiej najdłuższym z możliwych.

Poniżej autostrady wioząca Araba taksówka zwalnia do prędkości podświetlonej i jedzie slalomem między barierami i umiejscowionymi strategicznie gniazdami pięćdziesięcimilimetrowych karabinów maszynowych. Zatrzymuje się przed UNO, stając jednocześnie nad otwartym kanałem pełnym chłopaków z GWKOO z psami i mocnymi latarkami. Mają za zadanie zajrzeć taksówce pod spódnicę, gdzie mogą kryć się bomby albo nośniki NBCI (nuklearno-biologiczno-chemiczno-informacyjne). Tymczasem kierowca wysiada z gabloty i otwiera bagażnik, gdzie mogą chować się terroryści. Jeden z Federałów bierze na cel Araba i zaczyna go dręczyć przez okno.

Ludzie mówią, że w Waszyngtonie wypuścili w agencję wszystkie muzea i pomniki, i że dochód z tych turystycznych atrakcji stanowi dziesięć procent wpływów rządu. Federałowie sami mogliby prowadzić ten biznes i zgarniać więcej szmalu, ale nie o to chodzi. Chodzi o filozofię. Powrót do podstaw. Rząd powinien rządzić. Rząd nie zajmuje się rozrywką, nie? Rozrywką zajmują się zbrodniecy z przemysłu rozrywkowego, którzy zrobili dyplomy ze stepowania. Federałowie nie są tacy. Federałowie są poważnymi ludźmi. Kończyli nauki polityczne. Przewodniczyli radom studenckim. Sekretarzewali w kółkach dyskusyjnych. Są ludźmi mającymi dosyć samozaparcia, by chodzić w garniturach z ciemnej wełny i zapiętych pod szyją koszulach nawet w czterdziestostopniowym upale i wilgotności, o którą rozbijają się odrzutowce. Są ludźmi, którzy czują się najlepiej po niewidocznej stronie weneckiego lustra.

23

Chłopcy w wieku D.U., chcący dowieść swojej męskości, wybierają się samochodami we wschodni rejon Wzgórz Hollywoodzkich, najczęściej do Griffith Park, znajdują pierwszą lepszą ulicę i po prostu jadą nią. Przejechanie przez Griffith Park bez przeszkód jest takim samym cudem jak policzenie pcheł na karku wściekłego pitbulla. Już samo zbliżenie się do niebezpieczeństwa robi z chłopaka mężczyzną.

Ale chłopcy w samochodach widzą tylko przelotowe ulice. Gdy wybierają się do Griffith Park w poszukiwaniu wrażeń i przypadkowo skręca w uliczkę ze znakiem: „BEZ WYJAZDU”, natychmiast wrzucają wsteczny bieg w accordzie tatusia i jadą tyłem do domu, katując silnik poza wskazania tachometru.

Rzecz jasna, gdy D.U. wjeżdża do Griffith Park, jadąc wyznaczoną jej trasą, pierwsze, co widzi, to znak: „BEZ WYJAZDU”.

Nie jest jedynym Kurierem, który zapuszcza się w te strony, i wiele słyszała o miejscu, do którego jedzie. A jedzie do wąskiego kanionu, do którego prowadzi tylko ta droga – nadzorowana, jak zresztą cały kanion, przez pewien nowy gang. Ludzie nazywają ich „Falabala” – z powodu języka, jakim się posługują. Mają własny język, który w postronnych uszach brzmi jak bełkot.

Teraz najważniejszą rzeczą jest nie myśleć o tym, jak głupio postępuje. Podejmowanie właściwych decyzji jest, wraz z kupowaniem witaminy B i pisaniem listów do babci w podzięce za perłowe kolczyki, jednym z podstawowych priorytetów. Teraz już nie można się wycofać.

Granicę terytorium Falabala wytycza rząd gniazd karabinów maszynowych. Według D.U. to lekka przesada, ale z drugiej strony, nie wiadomo, jak to jest, gdy nadeptnie się na odcisk Mafii. Bierze się w garść i jedzie w kierunku blokady – nie szybciej niż dziesięć mil na godzinę. Jeśli ma wpaść w panikę i stchórzyć, to nadszedł ostatni moment. Podnosi wysoko nad głowę kolorowy dokument Radiksu z cybernetycznym, promienistym logo i daje wszystkim do zrozumienia, że przybywa po ważną przesyłkę... jak mi Bóg miły! Nie... z tymi facetami to nie poskutkuje...

A jednak! Nagle znika z jej drogi zwój ostrych jak żyłki zasieków i D.U. przejeżdża na drugą stronę, nawet nie zwalniając. Ot tak! Już wie, że wszystko pójdzie dobrze. Ci ludzie robią tu interesy, jak wszyscy.

Nie musi wjeżdżać do samego końca kanionu. Dzięki Bogu! Skręca parę razy i pakuje się na jakiś plac otoczony drzewami – w miejsce, które wygląda jak dom wariatów na świeżym powietrzu.

Albo festiwal Moonistów.

Na placu jest kilkadziesiąt osób. Widać, że żadna z nich ostatnio o siebie nie dbała. Wszyscy ubrani są w poszarpane szmaty, które kiedyś musiały być całkiem porządnymi strojami. Jakies pół tuzina klęczy na jezdni ze złożonymi rękoma i bełkocze coś do niewidzialnych bytów.

Na bagażniku samochodowego złomu stoi złożony z odpadów komputerowy terminal. Na środku monitora widać pajęczynę pęknięć, jakby ktoś rzucił w ekran kubkiem po kawie. Jakiś grubas z czerwonymi szelkami wiszącymi mu w okolicy kolan unosi łapska nad klawiaturą i wali w klawisze na chybił trafił, bełkocząc coś niezrozumiale. Paru innych stoi za jego plecami i zagląda mu przez ramię, i przepycha się do komputera, co spotyka się z gwałtowną reakcją grubasa.

Jest też grupa klaszczących, kiwających się śpiewaków, wykonujących piosenkę *Szczęśliwy wędrowiec*. Robią to z sercem. D.U. nie widziała takiej dziecięcej radości od czasu, gdy pozwoliła Blokadzie zdjąć z siebie ciuchy. Inna rzecz, że ta dziecięca radość nie przystoi ludziom dobrze po trzydziestce i to w dodatku z brudnymi włosami.

Jest jeszcze facet, którego D.U. nazywa w myślach Najwyższym Kapłanem. Gość ubrany jest w biały niegdyś, laboratoryjny fartuch z logo jakiejś firmy znad Zatoki. Siedzi z tyłu unieruchomionego kombi, ale gdy D.U. pojawia się na placu, wyskakuje z auta i biegnie w jej stronę, co wygląda nieco groźnie. Jednak w porównaniu z innymi Najwyższy Kapłan sprawia wrażenie zwykłego, zdrowego, psychotycznego pojeba.

– Przyjechałaś po walizkę, tak?

– Przyjechałam po coś. Nie wiem, co to jest – odpowiada D.U.

Najwyższy Kapłan idzie do jednego z unieruchomionych aut, otwiera bagażnik i wyjmuje aluminiową teczkę. Taką samą, jaką wczoraj znalazł Piszczek w beemwicy.

– Oto przesyłka – oznajmia Najwyższy Kapłan i rusza w stronę D.U. wielkimi krokami.

D.U. cofa się instynktownie.

– Rozumiem, rozumiem – mówi tamten. – Wyglądam przerażająco.

Kładzie teczkę na ziemi i popycha ją stopą. Teczka jedzie w stronę D.U., podskakując na leżących na jezdni kamieniach.

– Ta przesyłka nie jest pilna – mówi Najwyższy Kapłan. – Może zostaniesz i napijesz się czegoś orzeźwiającego? Mamy oranżadę w proszku.

– Chciałabym – odpowiada D.U. – ale mam za wysoki poziom cukru.

– Taak. Więc zostań i bądź gościem naszej wspólnoty. Opowiemy ci o wielu cudownych rzeczach. Rzeczach, które mogą zmienić twoje życie.

– Macie coś na piśmie? Coś, co mogłabym zabrać?

– Och, chyba nie! Ale zostań. Wyglądasz na miłą osobę.

– Przykro, facet, ale nie bierzesz mnie chyba za cichodajkę – rzuca D.U. – Dzięki za przesyłkę. Spadam stąd.

D.U. odbija się od jezdni stopą, powtarza ruch, nabierając maksymalnej szybkości. Po drodze do wyjazdu mija młodą, łysą kobietę, ubraną w resztki kostiumu od Chanel. Gdy przejeżdża obok niej, kobieta uśmiecha się dziwnie i wyciąga rękę.

– Cześć – mówi. – Ba ma zu na la amu pa go lu ne me a ba du.

– Sama nią jesteś! – woła w jej stronę D.U.

Po kilku minutach jest już na I-5, jadąc w stronę Doliny. Jest trochę przestraszona, ale ma dużo czasu i nie śpieszy się. W głowie wciąż słyszy *Szczęśliwego wędrowca*, co doprowadza ją do szaleństwa.

Co jakiś czas widzi kątem oka wielką, czarną plamę. Taka kupa żelastwa to znakomity cel, ale jedzie za wolno. D.U., nawet nie śpiesząc się, jeździ szybciej od tej łajby.

Nagle otwiera się szyba od strony kierowcy. No tak, to ten gość. Pan kierownik Jason. Wychyla całą głowę przez okno i patrzy na D.U., prowadząc na ślepo. Wiatr, który owiewa pojazd pędzący pięćdziesiąt mil na godzinę, nie jest w stanie potargać jego wypomadowanej fryzury.

Uśmiecha się. Ma badawcze spojrzenie, takie jakie momentami widuje się u Blokady. Wskazuje sugestynnie na tył auta.

A niech mu tam. Poprzednim razem zawiózł ją, dokąd chciała. D.U. odpunia się od acury, która przewiozła ją przez pół mili, i łapie gruby tyłek oldsa Jasona. A Jason zjeżdża z autostrady na Victory Boulevard i rusza ku Van Nuys – zgodnie z planem.

Po kilku milach skręca ostro w prawo i wjeżdża z piskiem opon na parking nieczynnego centrum handlowego – czego nie było w planie. Parking jest prawie pusty, a jedynym stojącym na nim pojazdem jest wielki osiemnastokołowiec z pracującym silnikiem i napisem: „BRACIA SALDUCCI. PRZEPROWADZKI & USŁUGI MAGAZYNOWE” po bokach.

– Pośpiesz się – ponagla ją Jason, wysiadając z oldsa. – Szkoda twojego czasu.

– Pieprz się, dupku – odpowiada D.U., zwijając pun i spoglądając w stronę bulwaru, po którym zmierza na zachód cały ruch. Cokolwiek ten palant ma na myśli, nie są to sprawy zawodowe.

– Młoda damo – odzywa się nagle inny głos, starszy i przykuwający uwagę. – Masz prawo nie lubić Jasona. Ale twój koleś, wujek Enzo, potrzebuje pomocy.

Drzwi z tyłu ciężarówki są już otwarte. Stoi w nich mężczyzna w czarnym garniturze. Ma za sobą jasno oświetlone wnętrze. Od wypomadowanej fryzury odbijają się błyski halogenów. Choć przy tak ustawionym świetle nie widać jego twarzy, D.U. wie, że to jednooki.

– Czego chcesz? – pyta D.U.

– To, czego chcę... – zaczyna jednooki, mierząc D.U. wzrokiem – ...nie ma absolutnie znaczenia. W tej chwili jestem w pracy i nie kieruję się osobistymi upodobaniami. Muszę natomiast poprosić cię o zajęcie miejsca w tej ciężarówce, razem z deską i teczką.

Po chwili dodaje: – Rozumiemy się? – Pytanie jest retoryczne, choć widać, że spodziewa się negatywnej

odpowiedzi.

– On nie żartuje – podpowiada z boku Jason, jakby D.U. pytała go o zdanie.

– Sama widzisz – rzuca z przekąsem jednooki.

D.U. powinna być w drodze do franszulanu Perłowych Wrót Wielebnego Wayne'a. Jeśli nie odstawi przesyłki, popełni grzech, który może nie spodobać się Bogu. Bóg może istnieć, a może nie, ale z tego, co o nim wiadomo, jest skłonny wybaczać grzechy. Natomiast Mafia – której istnienia nikt nie podważa – nie wybaczająca niczego.

D.U. podaje rzeczy – deskę i aluminiową teczkę – facetowi ze szklanym okiem, a potem wskakuje do wnętrza ciężarówka, ignorując podaną jej rękę. Facet cofa dłoń, podnosi ją do oka i ogląda, jakby było z nią coś nie tak. D.U. jest jeszcze w locie, gdy ciężarówka rusza. Zanim zamknięto drzwi, zdążyli wjechać już na bulwar.

– Musimy zrobić parę testów tej twojej przesyłce – mówi jednooki.

– Masz jakieś imię? – pyta D.U.

– Nie – odpowiada tamten. – Ludzie zawsze zapominają imiona. Myśl o mnie jako „o tym facecie”, okay?

D.U. już go nie słucha. Ogląda wnętrze ciężarówka.

Naczepa przypomina długi korytarz, do którego prowadzą jedyne drzwi. Po tej stronie korytarza kręci się paru facetów z Maffii we właściwy im, niezobowiązujący sposób.

Resztę przestrzeni wypełnia elektronika. Wielka elektronika.

– Zbadamy parę rzeczy na komputerze, kapujesz? – mówi „ten facet”, podając teczkę gościowi od komputerów. D.U. domyśla się, że to gość od komputerów po długich, związanych z tyłu włosach, dzinsach i delikatnym sposobie bycia.

– Jak coś się z tym stanie, będę gryzła piach! – mówi D.U. Stara się brzmieć lekceważąco, co nie jest łatwe w tych okolicznościach.

Jednooki udaje zdumienie.

– Myślisz, że kim ja jestem? – pyta. – Samobójcą? Nie, dziewczyno, ostatnią rzeczą, o jakiej marzę, to tłumaczenie wujkowi Enzo, dlaczego ktoś przestrelał ci kolana.

– To będzie nieinwazyjna procedura – tłumaczy gość od komputerów miodopłynnym głosem.

Obraca teczkę w dłoniach, jakby sprawdzając jej sprężystość. Potem wsuwa ją do pokaźnego cylindra, leżącego na laboratoryjnym stole. Ścianki cylindra mają kilka cali grubości. Od środka wyglądają na zamrożone. Z wnętrza wydobywają się tajemnicze gazy spływające po bokach jak kipiące mleko. Gazy snują się po blacie stołu i opadają na podłogę, którą zasnuwa mgiełka wijąca się wokół stóp. Komputerowiec macha dłonią, jakby chciał ją rozgrzać.

Nakłada komputerowe gogle.

I to wszystko. Siedzi nieruchomo przez kilka minut. D.U. nie zna się na komputerach, ale domyśla się, że gdzieś na naczepie ukryta jest potężna maszyna, która pracuje teraz pełną parą.

– To coś w rodzaju tomografu komputerowego – tłumaczy jednooki szeptem sprawozdawcy z turnieju golfowego. – Czyta wszystko, kapujesz? – dodaje, kręcąc dłońmi niejednoznaczne kółka.

– Ile kosztuje?

– Nie wiem.

– Jak się nazywa?

– Jeszcze nie ma nazwy.

– Kto go zrobił?

– My, do cholery! – chwali się jednooki. – Parę tygodni temu.

– Po co?

– Zadajesz za dużo pytań. Coś ci powiem. Jesteś miłym dzieckiem, znaczy się cholernie fajną laską. Zabójczą! Ale nie myśl sobie, że jesteś najważniejsza. Na razie...

Na razie? Hmm...

Hiro siedzi w swoim kontenerze w Maga-Zyn-Uj. Dla odmiany i jakby kierując się sugestią partnerki, spędza trochę czasu w rzeczywistości. Drzwi są otwarte – do środka wpada bryza znad oceanu i samolotowe spaliny. Wszystkie sprzęty – pufy, paleta transportowa i reszta mebli z cegieł – zsunięte są pod ścianę. Hiro trzyma w ręku metrowy, ciężki łom, owinięty z jednej strony taśmą. Łom udaje kataną, bardzo ciężką kataną, nazywaną przez Hiro „mieczem na buzów”.

Stoi w pozycji kendo – z gołymi stopami. Powinien mieć na sobie bufiaste, sięgające kostki spodnie i ciężkie, granatowe kimono będące tradycyjnym strojem, ale zamiast tego ma tylko gimnastyczne spodenki.

Pot spływa po jego gładkich, dobrze umięśnionych plecach koloru cappuccino – wprost do majtek. Na lewej pięcie ma odciski wielkości winogron. Serce i płuca Hiro są dobrze rozwinięte. Bóg pobłogosławił go także niezwykle szybkim refleksem, ale jego ciało nie sprawia wrażenia silnego, tak jak na przykład ciało jego ojca. Lecz nawet gdyby było silne, ćwiczenia z kataną na buzów dałyby mu się we znaki.

Teraz ciało Hiro kipi od adrenaliny, nerwy napięte są jak postronki, a w głowie gotuje się i szumi niepokój podgrzewany od spodu nieokreślonym strachem.

Hiro sunie w tę i z powrotem wzdłuż trzydziestostopowej osi kontenera. Od czasu do czasu przyśpiesza, unosi łom nad głową, kierując jego koniec do tyłu, a potem opuszcza go gwałtownie i zatrzymuje jednym ruchem nadgarstka w powietrzu. Mówi wtedy: – Następny!

Tak przynajmniej powinno być teoretycznie. W rzeczywistości katana na buzów jest trudna do zatrzymania, gdy znajdzie się w ruchu. Co nie umniejsza wartości ćwiczenia. Przedramię Hiro wygląda jak zwój mocno skręconych stalowych kabli. Prawie. W każdym razie będzie tak wyglądało niedługo.

Nippończycy nie interesują się tym, co dzieje się po trafieniu przeciwnika. Jeśli trafi się człowieka w sam czubek czaszki i nie zatrzyma ostrza, katana przetnie czaszkę na pół i sięgnie kręgosłupa albo nawet miednicy. Średniowieczny wojownik stawiał wtedy stopę na twarzy przeciwnika i próbował wyplątać miecz z gmatwaniny tkanek i kości. I co się wtedy działo? Z boku nadbiegał kumpel zabitego, a w jego oczach czaiła się śmierć. Chodzi więc o to, by zatrzymać miecz tuż po trafieniu, naciąć mózg przeciwnika na cal albo dwa, wyciągnąć ostrze i odszukać wzrokiem kolejnego samuraja. Stąd okrzyk: „Następny!”

Hiro dużo myślał o Kruku i tym, co uczynił. Odechciało mu się spać. Dlatego ćwiczy z kataną na buzów o trzeciej nad ranem.

Wie, że był całkowicie nie przygotowany. To, że trafił w dzidę, było cudem. Po prostu machnął mieczem. Zrobił to w odpowiedniej chwili i dzida minęła go o włos. To był łut szczęścia.

Może tak to bywa z wielkimi wojownikami. Może walczą, nie myśląc, bo mają walkę we krwi i nie przejmują się konsekwencjami.

Może jednak tylko sobie pochlebia.

Odgłos helikoptera narasta już od kilku minut. Choć Hiro mieszka obok lotniska, nie jest to normalne. Helikoptery nie latają w pobliżu LAX ze względu na bezpieczeństwo.

Szum wirników nie oddala się, przeciwnie, staje się jeszcze głośniejszy. Jest tak głośny, że helikopter musi wisieć o kilka stóp nad parkingiem przed kontenerem Hiro i Witalija. Maszyna jest całkiem ładna, pewno korporacyjna, ma ciemnozielony kolor i nie rzucające się w oczy oznakowanie. Hiro przypuszcza, że w świetle dnia dostrzegłby logo firmy obronnej, na przykład Systemów Obrony Generała Jima.

Z helikoptera wyskakuje biały mężczyzna z bardzo wysokim czołem, będącym początkiem łysiny. Wygląda potężniej, niżby na to wskazywała twarz i ogólny zarys sylwetki. Biegnie po parkingu w stronę Hiro, który widywał takich facetów w czasach, gdy ojciec służył w wojsku. Nie byli to ponurzy weterani z legend i filmów, ale zwykli, trzydziestopięcioletni oficerowie, biegający w dobrze wypchanych od wewnątrz mundurach polowych. Ten jest majorem. Według plakietki przyszytej do munduru ma na imię Clem.

– Hiro Protagonista?

– Ten sam.

– Przysłała mnie po pana Juanita. Powiedziała, że będzie pan wiedział, o kogo chodzi.

– Wiem, o kogo chodzi. Ale nie pracuję dla Juanity.

– Powiedziała, że już pan pracuje.

– To miło – stwierdza Hiro. – Domyślam się, że sprawa jest pilna.

– Całkiem słusznie – potwierdza major Clem.

– Potrzebuję kilku minut. Trenowałem, rozumie pan, i muszę wpaść obok...

Major Clem sprawdza, co jest obok. W tunelu kontenerów widać logo ŚWIĄTYNI DUMANIA.

– W tej chwili sytuacja jest stosunkowo stabilna. Pięć minut nas nie zbawi... – mówi major Clem.

Hiro ma własne konto w Świątyni Dumania. Mieszkając w Maga-Zyn-Uj, w zasadzie nie ma się wyboru. Mija więc recepcję z urzędniczką przy kasie i wsuwa kartę członkowską w szczelinę. Na ekranie komputera pojawiają się trzy możliwości:

M

K

D (UNISEKS)

Hiro wciska guzik z „M?”. Ekran wyświetla menu z kolejnymi czterema możliwościami:

(1) NASZA SPECJALNOŚĆ: EKONOMICZNE I CZYSTE URZĄDZENIA STANDARDOWE.

(2) JAK U MAMY! A MOŻE NAWET LEPIEJ: PIERWSZORZĘDNE URZĄDZENIA WYSOKIEJ JAKOŚCI.

(3) DLA WYBREDNYCH: NAJWYŻSZA JAKOŚĆ I EFEKTYWNOŚĆ.

(4) DLA SMAKOSZY: USTĘP GRANDE ROYALE.

Hiro w ostatniej chwili zatrzymuje palec, biegnący wyćwiczonym gestem ku EKONOMICZNYM I CZYSTYM URZĄDZENIOM STANDARDOWYM, z których korzystają najczęściej mieszkańcy Maga-Zyn-Uj. Dziś chyba może pozwolić sobie na coś więcej niż zwykły kibel turecki, gdzie widoki i zapachy nie są wcale przyjemne. A w zasadzie odrażające. Juanita chce go zatrudnić, prawda? No więc stać go na USTĘP GRANDE ROYALE!

Nigdy tu przedtem nie był. Wnętrze przypomina najwyższe piętro luksusowego kasyna w Atlantic City, gdzie umieszczają lekko upośledzonych mieszkańców południowej Filadelfii, po tym jak ograją bank w oko. Jest tu wszystko, co otepiały, nałogowy hazardzista kojarzy z luksusem: złożone okucia, sztuczny, prasowany marmur, aksamitne draperie i lokaj.

Żaden z rezydentów Maga-Zyn-Uj nie korzysta z USTĘPU GRANDE ROYALE. Jedynym powodem, dla którego postawiono tu ten ustęp, jest bliskość lotniska znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Singapurscy dyrektorzy wykonawczy, którzy lubią brać prysznic i korzystać nieśpiesznie z kibla przy wtórze wszystkich efektów dźwiękowych – własnych, a nie cudzych – mogą tu wpaść i srać do woli, jeśli mają przy sobie korporacyjną kartę.

Lokajem jest trzydziestoletni Latynos o nieco śmiesznych oczach, które wyglądają tak, jakby nie otwierał ich od przynajmniej dziesięciu godzin. Gdy do środka wpada Hiro, mężczyzna przerzuca sobie przez ramię gruby ręcznik.

– Muszę się załatwić w pięć minut – oznajmia Hiro.

– Życzy pan sobie golenie? – pyta lokaj. Drapie się sugestywnie po policzku i próbuje zgadnąć do jakiej z grup etnicznych należy przybysz.

– Z chęcią. Ale nie mam czasu.

Zrzuca gimnastyczne spodenki, kładzie miecze na obitą aksamitem sofę i wchodzi do marmurowego amfiteatru, który służy tu jako prysznic. Gorąca woda uderza go z każdej strony. Na ścianie jest gałka do ustawiania temperatury.

Hiro z przyjemnością zostałby tu dłużej: rozsiadł się na zelektronizowanym sedesie, obejrzał lśniące czasopisma leżące na stoliczku obok i nacieszył się życiem. Ale musi pędzić. Wyciera się świeżym ręcznikiem wielkości cyrkowego namiotu, wciąga luźne, płócienne spodnie i podkoszulek, rzuca lokajowi parę megadalców i wybiega, przypinając miecze.

Lot jest krótki – głównie dlatego, że wojskowy pilot przedkłada szybkość nad komfort. Helikopter startuje pod ostrym kątem i trzyma się nisko, by nie dać się wessać silnikom przelatujących jumbo jetów. Gdy tylko pojawia się miejsce na manewr, pilot okręca ogon i opuszcza nos, i pozwala, by rotor powiódł ich dalej i w górę nad nieką miasta ku słabo oświetlonemu masywowi Hollywood Hills.

Nie dolatują jednak na wzgórze. Lądują na dachu szpitala należącego do sieci Miłosierdzie, co nominalnie czyni go własnością terytorialną Watykanu. Jak do tej pory wszystko pachnie Juanitą.

– Oddział neurologiczny – rzuca major Clem, wypowiadając te słowa jak rozkaz. – Piąte piętro, wschodnie skrzydło, sala 564.

Człowiekiem leżącym na szpitalnym łóżku jest Da5id.

Do wezłowania i stóp łóżka przymocowane są grube, szerokie, skórzane pasy. Do pasów – wyłożone miękkim futerkiem – skórzane kajdanki. Kajdanki zapięte są na nadgarstkach i kostkach Da5ida, który ubrany jest w szpitalną koszulkę odsłaniającą większą część ciała.

Najgorsze jest to, że oczy Da5ida nie zawsze patrzą w tym samym kierunku. Da5id podłączony jest do EKG zapisującego uderzenia serca. Nawet nie będąc lekarzem, Hiro wie, że serce Da5ida nie bije regularnie. Raz bije za szybko, innym razem wcale – włącza się alarm: znów zaczyna bić.

Da5ida nie ma. Jego oczy niczego nie widzą. Początkowo Hiro odniósł wrażenie, że ciało jest bezwładne i rozluźnione. Gdy się zbliżył, dostrzegł jednak, że Da5id jest cały spięty, że drży i sływa potem.

– Założyliśmy mu na razie rozrusznik – mówi kobiecy głos.

Hiro odwraca się. Głos należy do zakonnicy, która wygląda również jak chirurg.

– Od jak dawna ma te konwulsje?

– Wezwała nas jego była żona. Martwiła się jego stanem.

– Juanita.

– Tak. Gdy zjawili się technicy medyczni, spadł z krzesła i dostał konwulsji na podłodze. Widzi pan tego siniaka? To od komputera, który spadając ze stołu, uderzył go w żebra. Założyliśmy mu pasy, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Ale przez ostatnie pół godziny zachowuje się tak, jak teraz... cały drga. Jeśli ten stan się utrzyma, zdejmujemy mu pasy.

– Czy miał na głowie gogle?

– Nie wiem. Ale mogę sprawdzić.

– Myśli... pani, że to mogło się stać podczas pracy z komputerem?

– Nie wiem, łaskawy panie. Jedyne, co wiem, to to, że miał taką arytmie serca, że musieliśmy założyć

mu rozrusznik w jego własnym biurze. Podaliśmy mu lekarstwa przeciwstrząsowe, które, jak widać, na niewiele się zdały. Daliśmy mu też coś na uspokojenie, co chyba zadziałało. Obejrzelśmy jego głowę ze wszystkich stron, na zewnątrz i od wewnątrz, by sprawdzić, w czym tkwi problem. Ale konsylium jeszcze nie postawiło diagnozy.

– No cóż... rozejrzę się po jego domu – mówi Hiro.

Siostra... pani doktor wzrusza ramionami.

– Proszę dać mi znać, gdy z tego wyjdzie.

Lekarka nie odpowiada. Dopiero teraz Hiro zdaje sobie sprawę, że Da5id może nigdy z tego nie wyjść.

Gdy rusza ku drzwiom, Da5id rozchyła wargi: – e ne em ma ni a gi a gi ni mu ma ma dam e ne em an ki ga a gi a gi...

Ma głęboki, spokojny głos, w którym nie słychać napięcia. Sylaby spływają z jego ust jak mantra. Idąc korytarzem, Hiro słyszy jeszcze intonującego na nowo Da5ida: – i ge en i ge en nu ge en nu ge en us sa tur ra lu ra zem em men...

Hiro wsiada do helikoptera. Wzlatują nad Beachwood Canyon i ponownie biorą kurs na litery Hollywood.

Dom Da5ida zalany jest światłem. Stoi na końcu prywatnej dróżki, prowadzącej na szczyt wzgórza. Dróżka zablokowana jest teraz przez przysadzisty, dziupiasty pojazd w kształcie żaby, należący z pewnością do generała Jima i rzucający wokół niebiesko-czerwone, pulsujące błyski. Nad samym domem wisi inny helikopter, wsparty o kolumnę światła. Po całej posiadłości chodzą żołnierze z latarkami w rękach.

– Musieliśmy zabezpieczyć teren – tłumaczy major Clem.

Na krawędziach tej świetlistej sceny Hiro widzi martwe, organiczne barwy wzgórz. Żołnierze odpychają je latarkami, wypalają ich niewidoczne granice. Hiro zaraz wtopi się w te kolory, stanie się jednym brunatnym pikselem oglądanym z okien samolotu. Nurkuje w biomasę.

Laptop Da5ida leży na podłodze obok stołu, przy którym zazwyczaj pracował. Obok walają się medyczne śmieci. Nieco dalej leżą gogle, które spadły podczas upadku lub zostały zdjęte przez pierwszą pomoc.

Hiro podnosi je. Zbliża okulary do oczu, ostrożnie zerka w głąb. Widzi dobrze znany obraz: ścianę czarno-białej statyki. Komputer Da5ida wpadł w zamieć.

Hiro zamyka oczy i opuszcza gogle. Nie można dostać zapaści od patrzenia na mapę bitową. Zresztą, kto wie...?

Dom jest modernistycznym zamkiem z wieżyczką po jednej stronie. Da5id i Hiro, i wszyscy inni hakerzy siadywali tu ze skrzynką piwa nad grillem i spędzali noce, opychając się megakrewetkami i homarami z rusztu splukiwanymi importem. Teraz dom jest oczywiście pusty, został tylko grill – zardzewiały i pełen szarego popiołu, jakby z wykopalisk. Hiro wyjął z lodówki piwo i siedzi w swoim ulubionym miejscu. Delektuje się trunkiem, tak jak zwykł to czynić, i wyczytuje historie ze światła.

Stare centrum miasta opakowane jest poniżej zwartą, odwieczną, organiczną mgiełką. W innych miastach wdycha się zanieczyszczenia przemysłowe, natomiast w LA połyka się czyste aminokwasy. Mglisty przestwór spinają i przecinają świetliste linie, jak spirale w tosterze. U wylotu kanionu światło wyostrza się i dzieli na gwiazdy, łuki i mrugające litery. Dalej, nad całą niecką, błyszczące znaki firmowe rozmazują się w półokręgi, niczym punkty geometryczne zbiegające się w krzywą. Po obu stronach getta franszulatów logio prześlizgują się po płytkich warstewkach osiedli i nikną w otaczających je ciemnościach, rozświetlonych tu i ówdzie reflektorem systemu bezpieczeństwa palącym się na czymś podwórku.

Sieć franszulatów i wirus działają w oparciu o tę samą zasadę: to, co przyjmie się w jednym miejscu, przyjmie się i w następnym. Wystarczy wymyślić odpowiednio zakaźny biznes plan, streścić go w spiętym trzema pierścieniami podręczniku – będącym jego DNA – zrobić z niego ksero i posiać w żywej podściółce obok uczęszczanej autostrady, najchętniej przy zjeździe w lewą stronę. Reszta załatwi się sama, a narodzi się z wytyczonych jej pierwotnie granic.

W dawnych czasach chodziło się do Kafajki Mamusi na ciastko z dziurką i szklankę oranżady i było fajnie jak w domu. Wszystko grało, dopóki nie wyjechało się z miasta. Bo kiedy pojechało się do dziury obok, każdy gapił się na przybysza jak na kosmitę, a Specjałem Mamusi było coś, czym mogli posilać się Eskimosi. Gdy człowiek dużo jeździł, nigdzie nie mógł czuć się jak w domu.

Teraz, gdy biznesmen z New Jersey jedzie do Dubuque, wie, że wchodząc do McDonalda, nie wzbudzi niczyjego zainteresowania. Może zamówić żarcie, nie patrząc do menu, bo wszystko wszędzie smakuje tak samo. McDonald jest domem spiętym w podręczniku i odbitym na ksero. „Żadnych niespodzianek” – głosi motto franszulatowego getta, jego kuchenna pieczęć wybita subliminalnie w każdym znaku i logo tworzących krzywizny i siatki światła wyściełających nieckę.

Mieszkańcom Ameryki, którym przyszło żyć w najbardziej zdumiewającym i potwornym kraju na świecie, owo motto przynosi ukojenie. Pojeźdź do miejsca, gdzie logio prowadzi ku zieleni dolin i kanionów, a znajdziesz się na ziemi, którą zajęli uchodźcy. Ludzie, którzy uciekli od prawdziwej Ameryki – Ameryki

bomb atomowych, skalpów, hip-hopu, teorii chaosu, cementowych butów, zaklinaczy węzów, masowych morderców, spacerów w kosmosie, odstrzału bizonów, restauracji dla kierowców, pocisków cruise, marszu Shermana przez Georgię, korków, motocyklowych gangów i skoków bungee. Uchodźcy parkują równo przy krawężniku swoje wózki dla lalek przy identycznych, komputerowo zaprojektowanych uliczkach burbklaw, kryją się w symetrycznych psich budach o winylowych podłogach i źle spasowanych framugach albo w obszernych farmach pośród dzicy logio – znaku czasów kultury znaku.

W mieście zostali tylko bezdomni, żywiący się odpadami; emigranci, rzućni tu niczym szrapnel przez azjatyckich tyranów; młodzi cwaniacy i technomedialni kapłani Wielkiego Hongkongu Pana Lee. I spryciarze w kwiecie wieku – tacy jak Hiro i Da5id – którzy ryzykują życie w mieście, bo wiedzą, jak sobie z nim radzić, a gdzie indziej brakowałoby im adrenaliny.

25

D.U. nie ma pojęcia, dokąd dojechali. Nie ma natomiast wątpliwości, że utknęli w korku. Choć w tych okolicznościach nic nie jest pewne.

– D.U. musi spadać – oznajmia.

Żadnej reakcji. Przez sekundę. A potem komputerowiec opada na oparcie krzesła i spogląda ponad goglami na ścianę, ignorując trójwymiarowy obraz w szklach.

– Dobra – mówi.

Jednooki – szybki jak mangusta – podbiega do hakera, wyszarpuje aluminiową teczkę z kriogenicznego cylindra i rzuca ją D.U. Jednocześnie jeden z wałęsających się po naczepie mafiosów otwiera tylne drzwi, za którymi ukazuje się przepiękny widok korka na bulwarze.

– Jeszcze jedno... – rzuca jednooki i wsuwa do którejś z kieszeni D.U. białą kopertę.

– Co to? – pyta D.U.

Jednooki zasłania się ręką jak przed ciosem.

– Nie bij, to tylko takie małe coś. A teraz ruszaj!

Kiwa głową w stronę faceta, który trzyma jej deskę. Tamten chyba zna się na rzeczy, bo rzuca środkiem lokomocji. Deska wylądowuje pod bardzo niewygodnym kątem na podłodze. Ale szprychy przewidziały to, obliczyły co trzeba, wysunęły się i napięły jak nogi koszykarza spadającego na ziemię po monstualnym wrzucie. Gdy deska dotyka podłoża, kołysze się w jedną i drugą stronę, chwytą równowagę, kieruje się na nogi D.U. i zatrzymuje u jej stóp.

D.U. wskakuje na swój pojazd, odpycha się parę razy od ziemi i wypada przez tylne drzwi naczepy wprost na maskę pontiaka, który jechał zbyt blisko. Przednia szyba auta jest świetną wyrzutnią, którą umożliwia D.U. elegancką zmianę kierunku przed uderzeniem kółkami w jezdnię. Właściciel pontiaka trąbi zapamiętane, ale nie ma sposobu, by mógł ją dogonić, bo ruch zakorkował się do reszty, a D.U. jest jedynym obiektem zdolnym do jazdy na przestrzeni wielu mil. Na tym polega sens bycia Kurierem.

Numer 1106 Perłowych Wrót Wielebnego Wayne'a jest całkiem pokaźny. Niski numer seryjny wskazuje na starożytność budowli. Wzniesiono ją dawno temu, kiedy ziemia była tania, a działki wielgachne. Parking jest w połowie pusty. U Wielebnego stoją zazwyczaj stare kupy złomu z takimi czy innymi hiszpańskimi wyrażeniami przyklejonymi lakierem do paznokci na tylnych zderzakach – jeżdżą nimi środkowoamerykańscy nawiedzeni, przybywający na północ w poszukiwaniu godnej pracy i uciekający przed nachalnie katolickim stylem swych ojczyzn. Jednak na tym parkingu widać zwykle, zużyte wózki dla lalek z tablicami ze wszystkich burbklaw.

W tej części bulwaru ruch jest nieco lepszy i D.U. wjeżdża na parking z całkiem sporą prędkością. Zatacza więc kilka orbit wokół franszulatu, żeby wytracić szybkość. Kiedy jedzie się chyżo, trudno oprzeć się takiej gładzi parkingu jak ta, a patrząc na to z bardziej dorosłego punktu widzenia, warto przyjrzeć się okolicy, w której robi się interesy. D.U. przekonuje się, że parking Wielebnego łączy się z sąsiednim parkingiem franszulatu Luz Wóz („W minutę zamieniamy każdy pojazd na GOTÓWKĘ!”), a ten z kolei spływa na działkę centrum handlowego. Zdolny rolkarz przejechałby z LA do Nowego Jorku, nie opuszczając parkingów.

Nawierzchnia parkingu Wielebnego wydaje miejscami dziwne trzeszczące odgłosy. Spoglądając pod nogi, D.U. zauważa, że obok śmietnika stojącego za franszuletem walają się po asfalcie małe, szklane fiolki – takie, jak te, które wczoraj oglądał Piszczek. Są rozrzucone jak pety za barem. Gdy przyłgi rolek trafiają na fiolkę, słychać trzask, a szkło rozpryskuje się po asfalcie.

Przed drzwiami stoi kolejka chcących wejść do środka. D.U. omija ogonek i pcha się do drzwi.

Hall Perłowych Wrót Wielebnego Wayne'a jest taki sam jak wszystkie inne: rząd wyścielanych, winylowych krzesłek, na których siedzą wierni czekający na wywołanie numerka; kwiaty w doniczkach w

każdym końcu i stół zawalony prastarymi magazynami; dalej kącik dla dzieci, które, chcąc zabić czas, mogą odegrać dowolną kosmiczną bitwę plastikową bronią; lada pokryta drewnopodobnym laminatem, co ma przywołać na myśl wnętrze starego kościoła. Za ladą stoi pyzata miss gimnazjum o włosach ufarbowanych na kolor wody po makaronie i poskręcanych gorącym żelazem; oczy ma podkreślone metalowo-błękitnym cieniem, a galaretowate policzki zrobione na czerwono. Spod komży chórzystki wystaje jej podkoszulek.

Gdy D.U. pojawia się na horyzoncie, chórzystka jest w połowie transakcji. Doskonale widzi D.U., ale żaden spięty trzema pierścieniami podręcznik nie pozwala na zawieszenie bądź przerwanie procedury handlowej.

D.U. ma ciężki orzech do zgryzienia, wzdycha i krzyżuje ręce na piersi, by podkreślić swoje zniecierpliwienie. W każdym innym miejscu byłaby już za ladą, mieszając z błotem recepcjonistkę. Ale tu jest kościół, do cholery!

Przed ladą jest stojak z religijnymi traktatami w cenie co łaska. Poczesne miejsce na stojaku zajmuje słynny bestseller Wielebnego: *Jak uratowano Amerykę od komunizmu: ELVIS ZASTRZELIŁ JFK*.

D.U. wyciąga z kieszeni kopertę od jednookiego. Niestety, nie jest gruba i miękka jak przechowalnia gotówki.

W środku są same zdjęcia. Na wszystkich widać wujka Enzo: stoi na szerokim, półkolistym podjeździe przed olbrzymim domem – największym, jaki widziała D.U. na własne oczy; stoi na desce; spada z deski; jedzie powoli z szeroko rozłożonymi ramionami, a za nim pędzą zaniepokojeni goryle.

Zdjęcia owinięte są kartką. Na kartce jest kilka skreślonych odręcznie zdań: „D.U. – Dzięki za pomoc. Jak widzisz, próbowałem przygotować się do spotkania z tobą, ale sądząc po efektach, zajmie mi to jeszcze trochę czasu. Twój przyjaciel, wujek Enzo”.

D.U. owija zdjęcia kartką, tak jak były, kiedy je dostała, chowa kopertę do kieszeni, uśmiecha się leciutko i wraca do interesów.

Dziewczyna w komży wciąż prowadzi transakcję. Klientką jest korpulentna, mówiąca po hiszpańsku kobieta w pomarańczowej sukience.

Chórzystka pisze coś na komputerze. Klientka rzuca na drewnopodobny laminat kartę płatniczą Visa. Brzmi to jak wystrzał z karabinu. Dziewczyna podnosi kartę długimi na cal pazurami – jest to bardzo ryzykowna i skomplikowana operacja, która przypomina D.U. filmy przyrodnicze o owadach wylazających z kokonów. Potem jest sakramentalne przesunięcie kartą przez elektromagnetyczny czytnik starannie wymodelowanym ruchem ramienia – przypominającym dla odmiany rozdieranie zasłon – czekanie na wydruk i mamrotane pod nosem prośby o podpis i dzienny numer telefonu. Chórzystka mogłaby równie dobrze mówić po łacinie, ale na szczęście klientka jest obeznana z liturgią i podpisuje wydruk przed końcem litanii.

Teraz pozostaje jedynie czekać na Słowo z Wysoka. Ale w dzisiejszych czasach komputery i środki łączności są niesłychanie sprawne i weryfikacja karty zajmuje nie więcej niż kilka sekund. Mała maszynka buczy na zgodę, z głośniczków płynie niebiański chór i z tyłu majestatycznie otwierają się perłowe wrota.

– Dziękuję za wsparcie – mówi dziewczyna, przeciągając słowa, które brzmią jak jedna sylaba.

Klientka przechodzi ku podwójnym drzwiom, jakby zahipnotyzowana organowym madrygałem. Wnętrze kaplicy jest jaskrawokolorowe, oświetlone częściowo fluorescencyjnymi żarówkami wbitymi w sufit, a w pozostałej części jarzeniowymi pudłami imitującymi witraże. Największe z nich, zwieńczone pseudogotyckim sklepieniem, wisí na tylnej ścianie nad ołtarzem i przedstawia oślepiającą trójcę: Jezusa, Elvisa i Wielebnego Wayne’a. Jezus występuje w roli gwiazdy. Tuż za progiem klientka pada na kolana i zaczyna mówić językami: – ar ia ari ar isa ve na a mir ia i sa, ve na a mir ia a sar ia...

Drzwi zamykają się bezszelestnie.

– Chwileczkę – rzuca dziewczyna, przypatrując się nerwowo D.U. Rusza za róg, zatrzymuje się na środku kącika dla dzieci – przy czym rąbek jej komży przechwytuje niechcący moduł bojowy Morskich Wojowników Ninja – i puka do drzwi sracza.

– Zajęte! – odzywa się męski głos z drugiej strony.

– Przyjechał Kurier – mówi dziewczyna.

– Już wychodzę – raportuje spokojnie głos.

I rzeczywiście wychodzi. D.U. nie czeka ani chwili dłużej, jakby tamten nie zapinał rozporoka i nie mył rąk. Ubrany jest w czarny garnitur, spod którego wyziera koloratka. Idąc przez kącik zabaw i depcząc podeszwami czarnych butów plastikowe figurki żołnierzy i kosmicznych myśliwców, poprawia fałdy kusej, również czarnej sutanny. Jest szatynem o dobrze wypomadowanych włosach, wśród których widać tu i ówdzie siwe pasemka. Nosi druciane okulary o dwuogniskowych szklach lekko brunatnej barwy. Ma bardzo duże pory na twarzy.

Gdy zbliża się do D.U., która pilnie odnotowuje wszystkie te szczegóły, zalatuje od niego dziwna woń. Cuchnie Old Spice’em zmieszany z odorem wymiocin. Ale nie są to wymiociny po gorzale.

– Dawaj! – mówi do D.U. i wyszarpuje jej teczkę z ręki.

D.U. nie pozwala ludziom na takie zachowanie.

– Najpierw podpis – mówi, ale wie, że jest już za późno. Jeśli nie zmusi się ich do złożenia podpisu przed odebraniem przesyłki, potem można sobie nagwizdać. Nie ma się władzy i autorytetu. Jest się tylko gówniarzem na desce.

Dlatego D.U. nigdy nie pozwala im na wrywanie przesyłek z rąk. Ale ten gość jest, na Boga, duchownym! Niepotrzebnie brała na to poprawkę. Wyszarpnęła jej teczkę i teraz biegnie już z powrotem do biura.

– Ja mogę podpisać odbiór – zgłasza się ofiarnie dziewczyna. Wygląda na przestraszoną. Gorzej, wygląda, jakby była chora.

– Przykro mi, ale musi zrobić to osobiście – tłumaczy D.U. – Wielebny Dale T. Thorpe.

Wyszła już z osłupienia i zaczyna być wkurzona. Idzie za Wielebnym do biura.

– Tam nie można! – krzyczy rozpaczliwie dziewczyna, ale nie wkłada w to serca, jakby czuła, że sprawa jest z góry przegrana. D.U. otwiera drzwi.

Wielebny Dale T. Thorpe siedzi za biurkiem. Ma przed sobą otwartą aluminiową teczkę. Jest w niej taki sam sprzęt, jaki widziała wcześniej po aferze z Krukiem. Wygląda na to, że Wielebny uwiesił sobie teczkę na szyi.

Chociaż nie, już wcześniej musiał mieć coś na łańcuszku pod marynarką i teraz wsadził to coś do przegródki we wnętrzu walizeczki. Z daleka przypomina to laminowaną kartę identyfikacyjną z kodem paskowym.

Wyciąga kartę i opuszcza ją na sutannę. D.U. nie wie, czy ją zauważył. Pisze coś na klawiaturze, waląc w nią dwoma paluchami, myli się, zaczyna od nowa. Z wnętrza walizki wydobywa się cichy pomruk silniczków i serwomechanizmów. Wielebny wyciąga maleńką fiolkę z pokrywy i wsuwa ją do cylindrycznego uchwytu obok klawiatury. Buteleczka chowa się powoli we wnętrzu maszyny.

Po chwili znów jest na wierzchu. Z czerwonej plastikowej nakrętki syczy się ziarniste czerwone światło. Ciekłokrystaliczny ekran, wbudowany w nakrętkę, odlicza sekundy: 5, 4, 3, 2, 1...

Wielebny Dale T. Thorpe podnosi fiolkę do nosa. Gdy licznik dochodzi do zera, fiolka zaczyna syczeć jak wentyl, przez który spuszcza się powietrze z koła. Wielebny bierze głęboki oddech, wciąga wszystko w płuca, a potem wyrzuca fiolkę do kosza.

– Wielebny? – D.U. słyszy za plecami głos chórzystki, która właśnie stanęła w drzwiach. – Czy mogę wyjść na przerwę?

Wielebny Dale T. Thorpe nie odpowiada. Osuwa się na krzesło, wbijając bezmyślnie wzrok w oprawioną w neonowe ramki podobiznę Elvise z czasów, gdy ten był w wojsku i nosił karabin.

26

Gdy się budzi, jest już środek dnia. Ma spierzchnięte od słońca wargi, a ptaki, które fruwały nad jego głową, zastanawiają się właśnie, czy już umarł, czy jeszcze nie. Schodzi z dachu wieżyczki, zwracając uwagę na wiatr, i wypija trzy szklanki kranowy made in LA. Z lodówki Da5ida wyjmuje trochę bekonu i wrzuca go do mikrofal. Większość ludzi Generała Jima zdążyła już odjechać i Hiro widzi tylko małego strażnika przy drodze. Zamyka drzwi wychodzące na wzgórze, bo nie może przestać myśleć o Kruku. A potem siada na kuchennym stole i nakłada gogle.

W Czarnym Słońcu urzędują głównie Azjaci, w tym mnóstwo ludzi reprezentujących bombajski przemysł filmowy. Gapią się na siebie, podkreślają czarne wąsy i próbują wykombinować, co szykuje konkurencja na otwarcie sezonu w Persepolis. W Azji jest wieczór i noc. Hiro pojawia się jako jeden z niewielu Amerykanów.

Wzdłuż czarnej ściany baru biegnie rząd drzwi prowadzących do pokoi prywatnych, z których część przypomina zwykłe walarenki, a część ma postać sal konferencyjnych. Juanita czeka na niego w jednym z mniejszych pokoi. Jej awatar wygląda jak ona sama. Jest jej wierną kopią, która nie maskuje nawet delikatnych kurzych łapek pojawiających się w kącikach wielkich, czarnych oczu. Lśniące włosy Juanity mają taką rozdzielczość, że Hiro widzi poszczególne pasma, załamujące światło w maleńkie tęcze.

– Jestem w domu Da5ida, a ty? – pyta Hiro.

– W samolocie, więc mogą być przerwy – oznajmia Juanita.

– Lecisz tu?

– Do Oregonu.

– Do Portland?

– Do Astorii.

– Po jaką cholerę lecisz do Astorii w Oregonie w tak ważnej dla nas chwili?

Juanita bierze głęboki oddech, a gdy otwiera usta, w jej głosie słychać lekkie drżenie: – Jeśli ci powiem, zaczniemy się kłócić.

– Co słyhać u Da5ida? – Hiro zmienia temat.

– To samo.

– Jest jakaś diagnoza?

– Nie będzie żadnej diagnozy – Juanita wzdycha. Wygląda na zmęczoną. – To problem software’u, a nie hardware’u.

– Hę?

– Badają go, szukając tego co zwykle. Robią mu EEG, ultrasonografię, tomografię komputerową i co tylko. Wszystko jest w porządku. Jego mózg działa bez zarzutu. Hardware jest okay.

– Tylko coś nie tak z programem?

– Program jest zawirusowany. Da5id przeżył wczoraj zamieć... w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że to problem psychologiczny?

– Niezupełnie. To problem wychodzący poza znane kategorie. Nowy fenomen... choć jednocześnie bardzo stary.

– Czy to się stało samoistnie, czy... jak, do cholery?

– Ty mi powiedz. – Juanita podnosi głowę. – Ty byłeś z nim wtedy. Co wydarzyło się po moim wyjściu?

– Miał zaśnieżoną hiperkartę, którą dostał od Kruka przed Czarnym Słońcem.

– Cholera. Głupi skurwiel...

– Kto? Kruk czy Da5id?

– Da5id. Ostrzegałam go.

– Skorzystał z niej... – Hiro opowiedział jej o Brandy z magicznym zwojem. – Potem miał jakieś problemy z komputerem i wykopali go.

– Słyszałam o tym, dlatego zadzwoniłam po pogotowie.

– Nie widzę związku między komputerem Da5ida, a potrzebą wezwania pogotowia.

– Na zwoju, który pokazała mu Brandy, nie było zwykłego śniegu. Było tam natomiast mnóstwo przetworzonych cyfrowo informacji. W kodzie dwójkowym... Informacje te trafiły wprost do nerwu ocznego Da5ida. Nerwu, który nawiasem mówiąc, jest częścią mózgu. Patrząc w czyjeś źrenice, widzisz mózgowy terminal.

– Da5id nie jest komputerem! Nie potrafi czytać kodu dwójkowego.

– Jest hakerem. Utrzymuje się z dłubania w kodzie dwójkowym. Ma kod dwójkowy głęboko w podświadomości. Podobnie jak ty, mój chłopcze. Obaj jesteście podatni na taki przekaz informacji.

– O jakiej informacji mówimy?

– O niedobrej. O meta wirusie. O bombie atomowej wojny informacyjnej. O wirusie, który każe systemowi zarażać się nowymi wirusami.

– I dlatego Da5id jest chory?

– Tak.

– A dlaczego ja nie zachorowałem?

– Byłeś za daleko. Twoje oczy nie rozszyfrowały mapy bitowej. Trzeba ją mieć tuż przy twarzy.

– Rozważę to, co powiedziałaś – stwierdza Hiro. – Ale mam inne pytanie. Kruk rozprowadza jeszcze jeden narkotyk... w rzeczywistości... Specyfik, który nazywa się między innymi Zamieć. Co to jest?

– To nie jest narkotyk – mówi Juanita. – Przypomina narkotyk i daje odjazd jak narkotyk, ale tylko po to, żeby ludzie chcieli go brać. Dodają do niego kokainy czy czegoś tam...

– Więc jeśli to nie jest narkotyk, to co?

– Chemicznie przetworzona plazma krwi ludzi zarażonych metawirusem – oznajmia Juanita. – Kolejny sposób na wywołanie epidemii.

– Kto chce ją wywołać?

– Prywatny kościół L. Boba Rife’a. Wszyscy wyznawcy są zarażeni.

Hiro obejmuje głowę rękoma. Nie myśli o tym wszystkim, pozwala rewelacjom odbijać się od ścian czaszki i czeka, aż opadną na miejsce.

– Chwileczkę! Zdecyduj się, Juanita... ta Zamieć to wirus, narkotyk czy religia?

Juanita wzrusza ramionami.

– A co za różnica?

Sposób, w jaki z nim rozmawia, niczego nie ułatwia.

– Jak możesz tak mówić? Jesteś przecież osobą religijną.

– Nie wrzucaj wszystkich religii do jednego worka.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Ale wracając do rzeczy: wszystkie ludy mają jakąś religię. Tak było od zawsze. Wygląda na to, że mamy w mózgu coś w rodzaju religijnych receptorów, które wychwytyją wszystko, co pasuje do przegródki z napisem: WIARA. Religia często przyjmowała postać epidemii: ktoś chwycił wirusa, który namnażał się w jego głowie i gdy już był dość silny, przenosił się na innych, potem następnych i kolejnych...i tak bez końca. Tak kiedyś było i obawiam się, że to samo grozi nam teraz. W historii ludzkości

było wiele prób wybawienia nas z rąk prymitywnej, irracjonalnej religii. Pierwszym, który dokonał takiej próby, był Enki... przed czterema tysiącami lat. Drugie miejsce przypada hebrajskim uczonym z VIII wieku przed naszą erą, ludziom wypędzonym ze swojej ziemi przez Sargona II. Ich próba była ciekawa, ale z czasem rozmięła się na pusty legalizm. Następną próbę podjął Jezus, lecz to, co mówił i czynił, zawirusowano przed upływem pięćdziesięciu dni od jego śmierci. Wirus został powstrzymany przez kościół katolicki, ale teraz jesteśmy w środku olbrzymiej epidemii, która zaczęła się w Kansas w 1900 roku i od tamtej pory przybiera na sile.

– Nic już nie rozumiem. Wierzysz w Boga czy nie? – zapytał Hiro. Esencja przede wszystkim.

– Oczywiście, że tak!

– A w Jezusa?

– Tak, ale nie w jego cielesne, fizyczne zmartwychwstanie.

– Czy można być chrześcijaninem, odrzucając ten dogmat?

– Odpowiem ci w ten sposób: czy można być chrześcijaninem, wierząc w ten dogmat? Każdy, kto zadał sobie odrobinę trudu, by przeczytać ewangelie, nie może mieć wątpliwości, że cielesne zmartwychwstanie Jezusa jest mitem, który dorzucono do prawdziwej historii kilka lat po jej spisaniu. Ktoś przerobił żywot Jezusa na odcinek *Z archiwum X*, nie sądzisz?

Dalej Juanita nie ma już prawie nic do powiedzenia. Mówi, że nie chce teraz zagłębiać się w całą sprawę. Nie chce wpływać na jego tok myślenia. Na razie.

– Chcesz powiedzieć, że będzie jakieś „później”? – pyta Hiro. – Chcesz powiedzieć, że nasza współpraca będzie miała charakter trwały?

– A chcesz znaleźć ludzi, którzy zarazili Da5ida?

– Tak, do cholery! Zrobiłbym to, nawet gdyby nie był moim przyjacielem. Chcę ich znaleźć, zanim dobiorą się do mnie.

– Poszperaj w Infokalipsie. A potem skontaktuj się ze mną... jeśli wrócę z Astorii...

– Jeśli wrócisz? A co tam chcesz robić?

– Prowadzić badania.

Juanita przez cały czas zachowuje się jak pieprzony kierownik działu marketingu. Cedzi informacje. Daje mi do zrozumienia, kto tu rządzi. Jednak spod maski obojętnej wyższości przebijają zaniepokojenie i chyba zmęczenie. Hiro dochodzi do przekonania, że Juanita jest mocno przestraszona.

– Powodzenia – mówi jej na pożegnanie. Był gotów trochę z nią popłirtować, zacząć od tego, na czym skończyli wczoraj. Ale między wczoraj a dziś Juanita bardzo się zmieniła. Flirt jest ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę.

Wygląda na to, że w Oregonie może być niebezpiecznie. Nie chce, żeby Hiro martwił się na zapas.

Juanita zwleka z odejściem.

– W Infokalipsie jest parę ciekawych rzeczy o kimś, kto nazywał się Inanna – mówi.

– Inanna? Jakaś kobieta? – pyta Hiro.

– Sumeryjska bogini. Jestem nią... jakby to ująć?... zafascynowana. Nie zrozumiesz tego, co chcę zrobić, dopóki nie dowiesz się, kim była Inanna.

– Szczęść Boże – rzuca Hiro. – Pozdrów ode mnie Inannę.

– Bóg zapłać – odpowiada poważnie Juanita.

– Kiedy wrócisz, chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Odwzajemniam to pragnienie. Ale najpierw musimy się z tego wyplątać.

– Nie wiedziałem, że jestem w coś wplątany.

– Nie bądź durniem. Wszyscy jesteśmy.

Hiro wychodzi do Czarnego Słońca.

Po Kwadrancie Hakerów przechadza się pewien facet, który wyraźnie się wyróżnia. Po pierwsze, ma kiepski awatar, a po drugie, ma problemy z jego kontrolowaniem. Wygląda jak ktoś, kto po raz pierwszy wszedł do Metawersu i nie wie, jak się poruszać. Bez przerwy wpada na stoły, a kiedy chce się odwrócić, obraca się kilka razy i niezdarnie próbuje zatrzymać piruet.

Hiro podchodzi do niego ze zwykłej ciekawości. Awatar kończy właśnie kolejny piruet i zatrzymuje się na tyle długo, by Hiro mógł spojrzeć mu w twarz. To Clint. Widywany najczęściej w towarzystwie Brandy.

Clint chyba rozpoznaje Hiro, bo na jego surowej zazwyczaj i bardzo męskiej twarzy maluje się zaskoczenie. Wyciąga przed siebie ręce, w których pojawia się zwój. Taki sam, jaki miała Brandy.

Hiro sięga po katanę. Clint podsuwa mu zwój pod nos, rozsuwa ręce, ukazując pobłyskującą sino mapę bitową. Hiro cofa się o krok, zachodzi Clint z boku, unosząc nad głową katanę. Jedno cięcie i na podłogę spadają ramiona Clinty.

Ale zwój rozsuwa się jeszcze bardziej. Hiro nie śmie spojrzeć w jego stronę. Clint odwraca się i po piątym piruecie próbuje uciec z Czarnego Słońca. Odbija się od stołów jak kula bilardowa.

Gdyby Hiro mógł go zabić – obciąć mu głowę – jego awatar zostałby w Czarnym Słońcu pogrzebany przez Demony Cmentarne. Wówczas można by w nim podłubać i przekonać się, kim jest i skąd przychodzi.

Ale w barze są również inni hakerzy. Przyglądają się zającemu i jeśli przyjdzie im ochota zerknąć na zwój, skończą jak Da5id.

Hiro kuca, odwracając głowę od zwoju, i pociąga dźwignię ukrytej zapadni prowadzącej do systemu tuneli. Wie, jak to zrobić, bo sam napisał ów program. Jest jedyną osobą w barze, która może to zrobić. Zrzuca zwój do tunelu, nie patrząc w jego stronę, i zamyka zapadnię.

Clint jest już przy wyjściu i próbuje trafić w drzwi. Hiro rusza za nim. Jeśli facet wyjdzie na Ulicę, to zniknie, zamieni się w przezroczystego ducha w liczącym miliony duchów tłumie. Przepadnie. Przed Czarnym Słońcem stoi jak zwykle grupa gapiów. Wśród nich jest kilka czarno-białych postaci.

Jedną z nich jest D.U. Przechadza się w tę i z powrotem, czekając, aż Hiro wyjdzie.

– D.U.! – krzyczy Hiro. – Goń faceta bez rąk!

Hiro wypada z Czarnego Słońca kilka sekund po Clincie. Na Ulicy nie ma już po nim śladu. D.U. także zniknęła.

Hiro wraca do Czarnego Słońca, otwiera zapadnię i wskakuje do tunelu – królestwa Demonów. Jeden z nich podniósł już zwój i idzie z nim ku środkowej części systemu, gdzie płonie wieczny ogień niszczący śmieci.

– Hej, kolego! – woła do niego Hiro. – Skręć w prawo przy następnym tunelu i zanieś ten zwój do mojego biura. Ale najpierw go zwiń!

Idzie za Demonom w głąb tunelu, który teraz biegnie pod ulicą. Skręcając do dzielnicy, w której Hiro i inni hakerzy mają swoje biura. Hiro prosi Demona, by złożył zwój w warsztacie, w piwnicy pod biurem – tam, gdzie zazwyczaj zajmuje się hakerstwem. Potem idzie na górę.

27

Dzwoni jego wokofon. Odbiera połączenie.

– Sie ma – mówi D.U. – Myślałam, że już nigdy stamtąd nie wyjdiesz.

– Gdzie jesteś?

– W rzeczywistości czy w Metawersie?

– I tu i tu.

– W Metawersie jadę gdzieś jednotorówką. Minęłam właśnie Port 35.

– Tak szybko? To chyba ekspres.

– Dobrze myślisz, koleś. Ten Clint bez rąk jedzie dwa wagony przede mną. Chyba nie wie, że go śledzę.

– A w rzeczywistości?

– Przy publicznym terminalu naprzeciwko Wielebnego Wayne’a – mówi D.U.

– Naprawdę? To ciekawe.

– Miałam tu coś oddać.

– Co?

– Aluminiową walizkę.

Wyciąga z niej całą historię – tak przynajmniej mu się wydaje, bo skąd ma niby wiedzieć, jak było naprawdę?

– Jesteś pewna, że bełkot, który słyszałaś w parku, był taki sam jak tej kobiety przed Perłowymi Wrotami?

– Jasne. Znam parę osób, które tu przychodzą. To znaczy, znam parę osób, których rodzice tu przychodzą i ciągną je ze sobą.

– Chodzi ci o Perłowe Wrota?

– No. Wszyscy mówią językami. Słyszałam to wiele razy.

– Dobra, pogadamy później. Mam masę roboty.

– Sie wie.

Karta Babel/Infokalipsa leży na środku biurka. Hiro podnosi ją i wita Bibliotekarza.

Zastanawia się, czy nie zapytać go, czy wie o śmierci Lagosa, ale to bez sensu. Bibliotekarz wie i jednocześnie nie wie. Gdyby zapytać go o to, sprawdziłby w Bibliotece i dowiedział się o tym. Ale nie zapamiętałby tej informacji. Nie ma niezależnej pamięci osobniczej. Jego pamięcią jest Biblioteka, której zasoby bada selektywnie.

– Co możesz mi powiedzieć o mówieniu językami? – pyta Hiro.

– Technicznie rzecz ujmując, nazywa się to „glosolalią”, proszę pana – odpowiada Bibliotekarz.

– Po co ujmować rzecz technicznie, jeśli mówimy o rytuale religijnym?

Bibliotekarz unosi brwi.

– Ponieważ istnieje wiele technicznych ujęć tego terminu. Glosolalia jest fenomenem neurologicznym, który jest jedynie nieświadomie wykorzystywany w rytuałach religijnych.

– Tylko chrześcijańskich, nie?

– Tak uważają zielonoświątkowcy, mylnie zresztą. Fenomen ten znany był już pogańskim Grekom. Platon nazywał go *theomanią*. Pojawiał się w orientalnych kultach z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Znali go Eskimosi znad Zatoki Hudsona, szamani Czukczów, Lapończycy, Jakutowie, Pigmeje Semang, ludy z północnego Borneo i mówiący językiem Trhi kapłani z Ghany. Glosolalia pojawiała się także w rytuałach zuluskiego kultu Amandiki i chińskiej sekty religijnej Shang-ti-hui. Językami mówiły opanowane przez duchy media z Tonga i ludzie praktykujący brazylijską Umbandę. Tunguskie plemiona Syberii uważają, że szaman pogrążony w transie i wyrzucający z siebie potoki niezrozumiałych sylab posługuje się językiem właściwym całej Naturze.

– Przyrodzie?

– Tak, proszę pana. Afrykański lud Sukuma nazywa ów fenomen *kintaru* – językiem przodków wszystkich czarowników, którzy jakoby wywodzili się z jednego plemienia.

– Co wywołuje glosolalię?

– Jeśli odrzucić interpretacje mistyczne, wydaje się, że glosolalia jest wynikiem aktywności głębokich struktur mózgu i jako taka jest ukrytą właściwością wszystkich ludzi.

– Jak to wygląda... to znaczy, jak zachowują się wtedy ludzie?

– C.W. Shumway obserwował ów fenomen w 1906 roku w kongregacji zielonoświątkowców w Los Angeles. Wyróżnił sześć podstawowych symptomów: (1) całkowitą utratę racjonalnego panowania nad sobą; (2) dominację emocji prowadzącą do hysterii; (3) zanik myśli i woli; (4) automatyzm funkcjonowania organów mowy; (5) amnezję; (6) mimowolne skurcze i spazmy ciała. Euzebiusz zauważył podobne symptomy już w roku 300 po Chrystusie i stwierdził, że fałszywy prorok rozpoczyna kazanie od celowego pozbawienia się kontroli nad świadomością i myślą, a kończy je w pełnym delirium, nad którym nie może już zapanować.

– Skąd glosolalia wzięła się u chrześcijan? Czy Biblia jakoś to tłumaczy?

– Owszem: Biblia odsyła nas do Pięćdziesiątnicy – inaczej Zesłania Ducha Świętego. Po grecku Pięćdziesiątnica to *pentekostos*. Po angielsku: *Pentecost*. Od tego wywodzi się angielska nazwa zielonoświątkowców.

– Fajnie. Ale co to jest?

– Pięćdziesiątnica oznacza pięćdziesiąty dzień po ukrzyżowaniu Chrystusa.

– Juanita powiedziała mi niedawno, że chrześcijaństwo zostało zawirusowane przed upływem pięćdziesięciu dni od ukrzyżowania! Podejrzewam, że chodziło jej o to, o czym mówisz, więc przejdźmy do rzeczy... i powiedz mi wreszcie, o co chodzi!

– „...I napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym, i zaczęli mówić innymi językami, tak jak im Duch poddawał. A przebywali w Jerozolimie Żydzi, mężowie nabożni, spośród wszystkich ludów, jakie są pod niebem. Gdy więc powstał ten szum, zgromadził się tłum i zatrwożył, bo każdy słyszał ich mówiących w swoim języku. I zdumieli się, i dziwili, mówiąc: «Czyż oto wszyscy ci, którzy mówią, nie są Galilejczykami? Jakże więc to jest, że słyszymy, każdy z nas, swój własny język, w którym się urodziliśmy? Partowie i Medowie, i Elamici, i mieszkańcy Mezopotamii, Judei i Kapadocji, Pontu i Azji, Frygii i Pamfilii, Egiptu i części Libii, położonej obok Cyreny, i przychodnie rzymscy, zarówno Żydzi jak prozelici, Kreteńczycy i Arabowie – słyszymy ich, jak w naszych językach głoszą wielkie dzieła Boże». Zdumieli się wtedy wszyscy i będąc w niepewności, mówili jeden do drugiego: «Cóż to może znaczyć?»” Dzieje Apostolskie 2, 4-12.

– „Cóż to może znaczyć...” – powtarza Hiro. – Szlag... nie wiem! Brzmi jak opowieść o mieście Babel na odwrót.

– Słusznie, proszę pana. Wielu zielonoświątkowców uważa, że dar mówienia językami został im zesłany właśnie po to, by pomogli szerzyć wiarę, nie ucząc się mowy innych ludów. Naukowo nazywa się to „ksenoglosją”.

– To mi coś przypomina... Pamiętasz tę taśmę z Rife’em na pokładzie „Enterprise”? Rife twierdził, że rozumie bełkot tych uchodźców z Bangladeszu... Pamiętasz?

– Pamiętam, proszę pana. Właśnie sprawdziłem w zasobach.

– Czy to możliwe?

– W XVI wieku święty Ludwik Bertrand posługiwał się darem języków do nawracania Indian południowoamerykańskich. Według niektórych źródeł nawrócił dzięki ksenoglosji od trzydziestu do trzystu tysięcy Indian – oznajmił Bibliotekarz.

– Uau! Zараżał szybciej od ospy! Co o tym wszystkim myśleli Żydzi? – pyta Hiro. – Wciąż przecież rządzą w kraju, nie?

– W kraju rządzą Rzymianie – poprawia go Bibliotekarz. – Ale istotnie: Żydzi sprawowali władzę religijną. W tamtym okresie istniały w Palestynie trzy grupy religijne: faryzeusze, saduceusze i esseńczycy.

– Pamiętam faryzeuszy z *Jesus Christ Superstar*. To ci, co śpiewali grubymi głosami i czepiali się Jezusa...

– Czepiali się Jezusa, jak pan to ujął, ponieważ byli religijnymi konserwatystami. Mieli bardzo legalistyczne poglądy religijne. Dla faryzeuszy Prawo, w rozumieniu biblijnym, było wszystkim. Jezus stanowił dla nich poważne zagrożenie, ponieważ to, czego nauczał, oznaczało w istocie zniesienie Prawa.

– Chciał renegocjować kontrakt z Bogiem...

– Brzmi to jak porównanie, a porównania nie są moją specjalnością. Zatem potraktuję pańskie stwierdzenie dosłownie: przyznaję, że jest w nim pewien sens.

– Dzięki. A pozostali?

– Saduceusze byli materialistami.

– Co to znaczy? Kupowali sobie BMW?

– Nie. Byli materialistami w sensie filozoficznym. Przekonania filozoficzne można podzielić najogólniej na monistyczne i dualistyczne. Zwolennicy monizmu uważają, że jedynym światem rzeczywistym jest świat materialny, innymi słowy są materialistami. Zwolennicy dualizmu wierzą w rzeczywistość obejmującą dwa elementy: świat duchowy i świat materialny.

– No cóż, jako haker opowiadam się za rzeczywistością binarną.

Bibliotekarz marszczy czoło.

– Przepraszam, ale to, co pan powiedział, jest nielogiczne.

– To miał być żart. Kapujesz? Binarna rzeczywistość i binarny kod, jak w komputerze... – Hiro opadają ręce. – Chciałem powiedzieć, że jako haker powinienem być dualistą...

– Jedno nie wypływa z drugiego – oznajmia Bibliotekarz. – Choć dostrzegam w pańskim żarcie pewne analogie... Ale jak powiedziałem, nie jestem w nich biegły...

Bibliotekarz zastanawia się, co oznacza, że mocno przeczesuje zasoby.

– Jeszcze raz przepraszam – mówi po chwili. – Miał pan rację...

– To był tylko żart!

– Istotnie. Jednak nie pozbawiony sensu: kod binarny za pomocą zera i jedynki oddaje wszystkie stany przepływu prądu elektrycznego. Różnica między prądem, który płynie, a prądem, który nie płynie, przypomina ontologiczne rozróżnienie między bytem a nicością, istnieniem a nieistnieniem, słowem, pojęciami mającymi fundamentalne znaczenie dla wielu systemów filozoficznych, a także religii i obecnych w nich mitach mówiących o stworzeniu...

Hiro czuje, że na jego twarzy pojawiają się wypieki, i wpada w lekką irytację. Podejrzewa, że Bibliotekarz naigrawa się z niego i, delikatnie mówiąc, robi go w balona. Z drugiej strony facet jest tylko kawałkiem oprogramowania i nie powinien być zdolny do takich rzeczy. Kto go jednak wie...

– ...nawet angielskie słowo oznaczające naukę czyli „science” pochodzi od indoeuropejskiego rdzenia oznaczającego „ciąć” lub „rozdzielać”. Nawiasem mówiąc, to samo odnosi się do angielskiego słowa oznaczającego gówno czyli „shit”, które w tym sensie mówi o oddzielaniu się materii żywej od niepotrzebnych, martwych odpadów. Ten sam rdzeń posiadają również angielskie słowa: „scissors” – nożyczki, „schism” – schizma i „scythe” – kosa, związane bez wątplenia z pojęciem oddzielania...

– A scypioerek?

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– Nieważne. Wróćmy jednak do rzeczy – mówi Hiro.

– Z przyjemnością. Z przyjemnością również wrócę do tej dygresji...

– Nie trzeba!

– ... w późniejszym terminie, wedle pańskiego życzenia.

– To świetnie, bo w tej chwili nie mam czasu na pieprzenie w bambus!

– Że co...!?

– Cisza! – krzyczy Hiro.

Bibliotekarz jest wyraźnie niepokieszony.

Hiro wzdycha ciężko.

– Powiedz mi o tej trzeciej grupie... esseńczykach?

– Esseńczycy zakładali wspólnoty i wierzyli głęboko w istnienie związku między czystością fizyczną i duchową. Często zażywali kąpeli, leżeli nago na słońcu, oczyszczali się przy pomocy lewatyw i bardzo dbali o czystość wody i pożywienia. Stworzyli nawet własną wersję ewangelii, w której Jezus leczył opętanych, ale nie cudami, lecz usuwając z ich ciała pasożyty, takie jak tasiemce, które, ma się rozumieć, utożsamiano z demonami.

– Przypominają trochę hippisów...

– Związek między nimi zauważono już wcześniej, co jest błędem pod wieloma względami. Esseńczycy byli bardzo religijni i z pewnością nie zażywali narkotyków.

– Dobra. Ważne jest to, że dla esseńczyków nie było różnicy między zarażeniem się jakimś pasożytem, na przykład tasiemcem, a opętaniem przez demony.

– To prawda.

– Ciekawe... Zastanawiam się, co by pomyśleli o wirusach komputerowych?

– Spekulacje nie leżą w mojej gestii.

– Trudno. Ale to przypomina mi, że Lagos, mówiąc o wirusach, wspomniał o czymś, co nazywa się *nam-shub*... Co to znaczy?

– *Nam-shub* jest słowem z języka sumeryjskiego.

– Sumeryjskiego?

– Tak, proszę pana. Języka używanego w Mezopotamii do około roku 2000 przed naszą erą. Najstarszego ze wszystkich języków posiadających pismo.

– To znaczy, że wszystkie inne języki pochodzą od sumeryjskiego?

Bibliotekarz wbija oczy w sufit. Znowu atakuje zasoby Biblioteki.

– Tak się składa, że nie – odpowiada po chwili. – W istocie, żaden ze znanych nam języków nie pochodzi od sumeryjskiego. Sumeryjski był językiem aglutynacyjnym, co oznacza, że należał do grupy językowej, w której podstawowym środkiem wyrażającym kategorie i stosunki gramatyczne jest aglutynacja...

– Czyli?

– ...czyli zjawisko morfologiczne polegające na tworzeniu form wyrazowych przez dołączenie do tematu jednofunkcyjnych morfemów gramatycznych. Bardzo dziwne...

– Chcesz powiedzieć – zaczyna Hiro, przypominając sobie Da5ida szczekającego w szpitalu – że gdybym usłyszał kogoś mówiącego po sumeryjsku, to brzmiałoby to jak długi potok krótkich sylab?

– Tak, proszę pana.

– Czy brzmiałoby to jak glosolalia?

– Nie mnie sądzić. Musi pan zapytać rzeczywistą osobę – odpowiada Bibliotekarz.

– Czy są jakieś współczesne języki podobne do sumeryjskiego?

– Nie istnieje możliwy do udowodnienia związek generyczny między sumeryjskim a językami, które pojawiły się po nim.

– Dziwne. Muszę odświeżyć sobie historię Mezopotamii. Co stało się z Sumerami? Wybito ich?

– Nie, proszę pana. Mezopotamia została podbita, ale nie ma dowodów, że na Sumerach popełniono zbrodnię ludobójstwa *per se*.

– Każdy naród zostaje prędzej czy później podbity... Tak już jest... Ale jeśli język nie wymarł z narodem, to dlaczego zniknął?

– Ponieważ jestem tylko programem komputerowym, nie ośmieliłbym się spekulować – mówi Bibliotekarz.

– Dobra. Czy ktoś zna sumeryjski?

– Tak. Okazuje się, że istnieje mniej więcej dziesięciu ludzi, którzy potrafią czytać po sumeryjsku.

– Gdzie pracują?

– Jeden w Izraelu, drugi w Muzeum Brytyjskim, trzeci w Iraku, czwarty na Uniwersytecie w Chicago, piąty na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, a pozostałych pięciu w Kolegium Biblijnym Rife’a w Houston w Teksasie.

– Ładny rozkład. Czy któryś z tych ludzi wie, co znaczy *nam-shub* po sumeryjsku?

– Tak. *Nam-shub* oznacza mowę o sile i właściwościach magicznych. Najbliższym odpowiednikiem tego terminu jest słowo: „zaklęcie”, które jednak ma wiele innych semantycznych konotacji.

– Czy Sumerowie wierzyli w czary?

Bibliotekarz kręci z podziwem głową.

– Zadał mi pan bardzo precyzyjne pytanie z rodzaju tych, na które ja... będąc jedynie programem komputerowym... nie umiem równie precyzyjnie odpowiedzieć. Pozwoli pan zatem, że zacytuję fragment pracy Kramera, Samuela Noaha i Maiera, Johna R., zatytułowanej: *Mity o przebiegłym bóstwie Enki*, wydanej w Nowym Jorku i Oksfordzie przez Oxford University Press w 1989 roku: „Religia, magia i medycyna są w Mezopotamii powiązane ze sobą tak ściśle, że próba rozdzielenia ich jest zajęciem próżnym i z góry skazanym na niepowodzenie... [Sumeryjskie zaklęcia] ukazują bliski związek między religią, magią i sztuką; powiązań tych nie da się rozłożyć na czynniki pierwsze bez wypaczenia sensu całości”. Są tu jeszcze inne materiały, które mogą panu przybliżyć temat.

– Gdzie?

– W sąsiednim pokoju – mówi Bibliotekarz, wskazując na ścianę. Podchodzi do niej i odsuwa ryżową przegrodę.

Mowa o sile magicznej... W dzisiejszych czasach ludzie nie wierzą w takie rzeczy. Z wyjątkiem Metawersu, gdzie czary są możliwe. Metawers jest strukturą fikcyjną, zbudowaną z oprogramowania. Oprogramowanie tworzą kody będące formą mowy, formą zrozumiałą dla komputera. Zatem Metawers, jako całość, można uznać za jedno wielkie *nam-shub*, rozprzestrzeniające się dzięki światłowodowej sieci L. Boba Rife’a.

Dzwoni wokofon.

– Zaczekaj chwilę – mówi Hiro do Bibliotekarza.

- Nigdzie mi się nie śpieszy – odpowiada tamten. I słusznie: w razie potrzeby może czekać i milion lat.
- Znowu ja – zgłasza się D.U. – Dalej jadę pociągiem. Bezręki wysiadł w Porcie Ekspresowym 127.
- Hmm. To na antypodach Centrum. To znaczy, dalej od Centrum już nie można zajechać.
- Naprawdę?
- Taa... Jeden-dwa-siedem to dwa do siódmej potęgi minus jeden...
- Oszczędź mi szczegółów. Wierzę ci na słowo. Z całą pewnością jest to straszne zadupie...
- Nie wysiadłaś za nim?
- Żartujesz? Tutaj? Dziesięć tysięcy mil od najbliższego budynku?

Ma rację. Metawers zbudowano ze sporym zapasem przestrzeni. Domy stawia się tylko wokół dwóch czy trzech Portów Ekspresowych w Centrum, na obszarze może pięciuset kilometrów kwadratowych. A Port 127 położony jest o ponad trzydzieści tysięcy kilometrów od Centrum...

- Co tam jest?
- Czarny sześcian o długości boku wynoszącej dwadzieścia mil.
- Całkiem czarny?
- No.
- Skąd wiesz, jaką ma długość, jeśli jest całkiem czarny?

– To proste. Jadę w wagonie i patrzę na gwiazdy, okay? Nagle nie widzę gwiazd z prawej strony pociągu. Więc zaczynam liczyć lokalne porty. Doliczam się szesnastu. Dojeżdżamy do Portu Ekspresowego 127 i Bezręki wysiada, i idzie w stronę czarnej ściany. Jadę dalej i doliczam się jeszcze szesnastu portów lokalnych, po których pojawiają się gwiazdy. Wtedy dodaję szesnaście do szesnastu i wychodzą mi trzydzieści dwa kilometry, co, jak wiesz, pomnożone przez sześć dziesiątych daje mniej więcej dwadzieścia mil, ty jełopie.

– Dobra jesteś – mówi Hiro. – Zebrałaś ciekawe dane.

– Jak myślisz, do kogo należy czarny sześcian o długości dwudziestu mil?

– Kierując się czystym, irracjonalnym uprzedzeniem, zaryzykuję i powiem, że do L. Boba Rife'a. Wykupił prawdopodobnie to pustkowie, postawił na nim czarny blok i trzyma tam wszystkie flaki Metawersu. Pamiętam, że ktoś mówił mi, że zderzył się z czymś takim, jadąc na motocyklu.

– Spadam, koleś.

28

Hiro rozłącza się i wchodzi do nowego pokoju. Bibliotekarz idzie za nim.

Pokój ma długość i szerokość mniej więcej pięćdziesięciu stóp. Środek zajmują trzy duże artefakty, a raczej ich trójwymiarowe wyobrażenia. Środkowy artefakt przypomina gruby kawałek wypalanej gliny. Wisi w powietrzu niczym wysoki na stopę stolicek do kawy. Hiro podejrzewa, że jest powiększeniem mniejszego przedmiotu. Powierzchnię glinianej tablicy pokrywają tajemnicze znaki, w których Hiro rozpoznaje pismo klinowe. Wokół krawędzi widać okrągłe, równoległe wgniecenia – zapewne ślady palców formujących tabliczkę.

Z prawej strony tabliczki stoi drewniany słup z rozgałęzieniami u góry – coś w rodzaju stylizowanego drzewa. Z lewej strony znajduje się wysoki na osiem stóp obelisk pokryty pismem klinowym z płaskorzeźbą u góry.

W całym pokoju wiszą jeszcze trójwymiarowe konstelacje hiperkart. Wyglądają jak fotografia zamieci. W niektórych miejscach hiperkarty tworzą geometryczne wzory, niczym atomy kryształu. W innych zbiory zbite są w bezładne grupy, co widać szczególnie w rogach, jakby Lagos zmiotł je w jedno miejsce po skończeniu roboty. Hiro stwierdza, że jego awatar bez przeszkód przechodzi przez karty, nie niszcząc przy tym ich pierwotnego położenia. Całość wygląda jak trójwymiarowy odpowiednik niezbyt uporządkowanego biurka, na którym śmieci są tam, gdzie zostawił je Lagos. Chmura hiperkart sięga do każdego rogu pokoju i od podłogi do wysokości mniej więcej ośmiu stóp, bo wyżej Lagos nie zdołał już sięgnąć.

– Ile tu tego jest? – pyta Bibliotekarza, wskazując na hiperkarty.

– Dziesięć tysięcy czterysta sześćdziesiąt jeden – odpowiada bez zająknięcia Bibliotekarz.

– Nie mam czasu, żeby to wszystko przejrzeć. Czy możesz mi powiedzieć, nad czym Lagos tu pracował?

– Mogę przeczytać tytuły wszystkich kart, jeśli pan sobie życzy. Lagos pogrupował je w cztery kategorie: studia biblijne, studia sumeryjskie, studia neurolingwistyczne i dane wywiadowcze o L. Bobie Rifie.

– Bez wdawania się w szczegóły, powiedz mi o co chodziło Lagosowi? Do czego zmierzał?

– Czy ja wyglądam na psychologa? – pyta Bibliotekarz. – Nie umiem odpowiedzieć na tak postawione pytania.

– Dobra, spróbuję jeszcze raz. Czy to wszystko ma jakiś związek z tematem wirusów?

– Ma i to nie jeden, ale podsumowanie ich wymagałoby zarówno kreatywności, jak i swobody sądów, a ja, jako byt mechaniczny, nie posiadam tych cech.



Hiro podchodzi do artefaktów.

– Ile to ma lat?

– Gliniana koperta jest sumeryjska. Pochodzi z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Została wykopana w miejscowości Eridu w południowym Iraku. Czarna stela lub obelisk jest Kodeksem Hammurabiego, pochodzącym z około 1750 roku przed naszą erą. Drewniany pał jest pniem będącym przedmiotem kultu jahwistycznego i pochodzącym z Palestyny. Nazywa się asherah. Jego wiek oceniono na dziesiąte stulecie przed Chrystusem.

– Nazwałeś tę tablicę kopertą?

– Tak, ponieważ w środku mieści się mniejsza gliniana tabliczka. W ten sposób Sumerowie zabezpieczali swoje dokumenty.

– Rozumiem, że to wszystko pochodzi z jakiegoś muzeum?

– Pień asherah i Kodeks Hammurabiego są z muzeum. Gliniana tabliczka pochodzi z prywatnej kolekcji L. Boba Rife'a.

– Wygląda na to, że L. Bob Rife bardzo interesuje się takimi rzeczami.

– Kolegium Biblijne Rife'a, którego L. Bob Rife jest fundatorem, może poszczycić się najbogatszym działem zbiorów archeologicznych na świecie. Kolegium prowadziło wykopaliska w Eridu, ośrodku kultu sumeryjskiego bóstwa Enki.

– W jaki sposób to wszystko jest powiązane ze sobą?

Bibliotekarz unosi brwi.

– Że jak?

– Dobra, spróbujmy dojść do tego na drodze eliminacji. Czy wiesz, dlaczego Lagos zajmował się dokumentami i pismem sumeryjskim, a nie na przykład greckim czy egipskim?

– Cywilizacja egipska była cywilizacją kamienną, inaczej mówiąc, Egipcjanie tworzyli sztukę i architekturę z kamienia, co miało zapewnić im trwałość i wytrzymałość. Jednak kamień jest bardzo niewdzięcznym materiałem piśmiennym. Dlatego Egipcjanie wymyślili papirus, na którym sporządzali swoje pisma. Ale papirus łatwo ulega zniszczeniu i choć do naszych czasów zachowały się obiekty

artystyczne i architektoniczne Egipcjan, ich pisma, dane, przepadły w przeważającej części.

– A hieroglify?

– Lagos nazywał je neonami, przemówieniami politycznymi w nie najlepszym stylu. Egipcjanie mieli nieproduktywną z naszego punktu widzenia skłonność do wychwalania swych przewag militarnych przed wyjściem na pole bitwy.

– Sumerowie byli inni?

– Cywilizacja sumeryjska była cywilizacją gliny. Sumerowie budowali z gliny i pisali na glinie. Posągi stawiali z gipsu, który rozpuszcza się w wodzie. Więc domy i posągi rozpadły się pod wpływem żywiołów, ale gliniane tabliczki wypiekły się w słońcu i przetrwały. Często zresztą przechowywano je w dzbanach. Dlatego dokumenty, dane Sumerów zachowały się do naszych czasów. Egipt zostawił nam sztukę i architekturę, Sumerowie megabajty informacji.

– Ile megabajtów?

– Tyle, ile zdołają wykopać archeolodzy. Sumerowie pisali na wszystkim. Kiedy budowali dom, pokrywali pismem klinowym każdą cegłę. Domy się rozpadły, ale cegły przetrwały rozrzucone po pustyni. W Koranie anioły, które przybywają zniszczyć Sodomę i Gomorę twierdzą: „Przysłano nas, by wygubić ów nikczemny lud i zesłać nań deszcz glinianych kamieni, naznaczonych ręką naszego Boga na zgubę grzesznym”. Lagos uważał, że to bezładne rozrzucanie informacji spisanych na tworzywie, które może trwać wiecznie, jest niezwykle interesujące. Mówił coś o „pyłkach niesionych przez wiatr”, co, jak rozumiem, jest porównaniem...

– Owszem. Powiedz mi, czy napisy na glinianej kopercie zostały przetłumaczone?

– Tak. Są ostrzeżeniem, które brzmi: „Ta koperta zawiera *nam-shub* Enki”.

– Dobra, wiem co to jest *nam-shub*. A *nam-shub* tego Enki? Bibliotekarz przymyka oczy, odchrząkuje i zaczyna deklamować dramatycznym tenorem:

*U progu czasu, dawno, dawno temu,
nie było węża, nie było skorpiona.
Nie było hieny, nie było i lwa,
Nie było psa dzikiego ani wilka.
Nie było strachu ani przerażenia
I człowiek nie miał wrogów.
W tych dawnych czasach kraina Szubur-Hamazi,
Ziemia Sumerów o miodopłynnych głosach,
Wspaniałe księstwo moje, Uri, kraina dostatku,
Kraina Martu, gdzie panował pokój,
Cały wszechświat i wszyscy syci ludzie
Chwalili Enlila jednym, wspólnym głosem.
Wtedy to wystąpił pan, wystąpił książę i wystąpił król,
A Enki, pan obfitości, którego rozkazy są błogosławieństwem,
Pan mądrości, którego wzrok przebiega ziemię,
Pan nad bogami,
Pan nad Eridu przenikający wszystko,
Pomieszał języki w ich ustach,
Włożył niezgodę w mowę człowieka,
Która była jedna.*

– Przekład Polaka – kończy Bibliotekarz.

– To, co usłyszałem, jest opowieścią – mówi Hiro. – Myślałem, że *nam-shub* to zaklęcie.

– *Nam-shub* Enki jest zarówno opowieścią, jak i zaklęciem – odpowiada Bibliotekarz. – Samospełniającym się dziełem literackim. Lagos uważał, że w oryginale, którego przekład jest zaledwie przybliżeniem, *nam-shub* sprawiał to, co opisywał.

– To znaczy mieszał języki?

– Owszem.

– Ta historia podobna jest do opowieści o mieście Babel, nie? Wszyscy mówili jednym językiem, a potem Enki pomieszał im mowę i nie mogli się porozumieć. Podejrzewam, że historia z Biblii opierała się na tym tekście.

– W tej sali jest wiele kart wskazujących na takie powiązania.

– Mówiłeś przedtem, że najpierw wszyscy porozumiewali się po sumeryjsku, a potem nagle nikt. Sumeryjski wymarł jak dinozaury. I nikt nie popełnił zbrodni ludobójstwa, co tłumaczyłoby ów fakt. To wszystko zgadza się z opowieścią o mieście Babel i z *nam-shub* Enki. Czy Lagos uważał, że to, co napisano o budowie miasta, jest prawdą?

– Był o tym przekonany. Zajmował się liczbą istniejących na ziemi języków i uważał, że jest ich najzwyczajniej za dużo.

– Jak dużo?

– Dziesiątki tysięcy. W wielu częściach świata można spotkać ludy wywodzące się z tej samej grupy etnicznej, zamieszkujące tę samą dolinę, żyjące w podobnych warunkach i mówiące językami, które nie mają ze sobą absolutnie nic wspólnego. Sytuacje tego rodzaju nie są czymś nadzwyczajnym, przeciwnie, są powszechne. Wielu językoznawców próbowało rozwikłać zagadkę miasta Babel, to znaczy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ludzkie języki bez przerwy dzielą się zamiast łączyć w jeden, wspólny język.

– Czy ktoś znalazł odpowiedź?

– Jest to trudny i złożony problem, ale Lagos miał pewną teorię.

– Jaka?

– Uważał, że opowieść o tym, co wydarzyło się w mieście Babel, jest prawdziwym wydarzeniem historycznym. Faktem, który zdarzył się w określonym czasie, zbliżonym do zniknięcia języka sumeryjskiego. Twierdził, że przed Babel/Infokalipsą języki łączyły się ze sobą, a po niej zaczęły się dzielić, stawały się wzajemnie niezrozumiałe. Tendencja ta, jak mówił, opłótła niczym wąż ludzki pień mózgowy.

– Katastrofę tego rodzaju można wytłumaczyć tylko... – Hiro urywa, bojąc się własnych myśli.

– Tak? – pyta Bibliotekarz z zainteresowaniem.

– Sam nie wiem... – waha się Hiro. – Musiał być jakiś fenomen, który dotknął całą populację i zmienił ludzkie umysły w taki sposób, że nie były w stanie przetwarzać... sumeryjskiego. Coś w rodzaju komputerowego wirusa, który przenosi się z jednego dysku na drugi, niszcząc po drodze wszystkie maszyny. Oplatając bezbronne procesory...

– Lagos poświęcił wiele czasu i wysiłku temu problemowi – oznajmia Bibliotekarz. – Uważał, że *nam-shub* Enki jest wirusem neurolingwistycznym.

– A ten Enki to prawdziwa postać?

– Możliwe.

– To znaczy, że Enki wymyślił wirusa i używając tabliczek, takich jak ta, rozprzestrzenił go po całej Mezopotamii?

– Tak. Odnaleziono tabliczkę zawierającą list do Enki, w którym autor skarży się na niedogodności płynące z tego faktu.

– List do boga?

– Tak. Autorem był Sin-samuh, skryba. Rozpoczął list od pochwał pod adresem Enki i uwypuklenia swego doń przywiązania. Potem natomiast stwierdził:

Jak młodemu... (tekst nieczytelny)

Odebrało mi władzę w nadgarstku.

Jak wóz, gdy urwie się zaprzęg,

Stoję nieruchomy na drodze.

Leżę na łożu, wołając: „Och!” i „O nie!”

Z mej piersi wyrzywa się jęk.

Mą wdzięczną postać ogarnia paraliż,

Nie mogą unieść mnie stopy.

Me... wrosły w ziemię,

Me ciało zmienia się.

Nie mogę spać w nocy,

Opadam z sił,

Ucieka ze mnie życie.

Dzień staje się dla mnie nocą,

Kopię własny grób.

Ja, skryba, który wie o wszystkim, wychodzę na głupca.

Ma ręka przestała pisać,

Me usta zapomniały mowy.

– Potem jeszcze trochę się skarży – mówi Bibliotekarz – i kończy tak:

Boże mój, którego się boję,

Napisałem do ciebie list.

Miej litość nade mną.

Serce mojego boga,

Każ mu oddać to, co utraciłem.

D.U. kotwiczy w Ciężarówkowej Przystani Mamusi na czterysta piątce, czekając na umówione spotkanie. W normalnych okolicznościach nie zatrzymałaby się tu za nic w świecie. Nawet gdyby przejechał ją osiemnastokołowiec, raczej wczłgałaby się na rzęsach na pobocze i dopelzła do Pij & Śpij, gdzie tankują zboczeńcy, niż zamówiła szarlotkę w Przystani. Czasami jednak – gdy jest się profesjonalistą – dostaje się pracę, której się nie lubi, i wtedy trzeba zagryźć wargi, i robić to, co każą.

Facet ze szklanym okiem, który nadał tę robotę, wyznaczył jej również „kierowcę i ochroniarza”. Czegoś takiego w ogóle się nie spodziewała. D.U. nie lubi pracować w parach, a szczególnie gdy jej partnerem ma być jakaś tajemnicza, uzbrojona po zęby persona. Wyobraża go sobie na podobieństwo trenera zapasów ze szkoły. Horror! Tak czy inaczej, ma się z nim spotkać w Przystani.

Zamawia kawę i torcik wiśniowy à la mode. Niesie wszystko na tacy do publicznego terminalu Ulicy w rogu sali. Terminal jest czymś w rodzaju stalowej budki, wciśniętej między automat telefoniczny – zajęty obecnie przez zapłakanego, tęskniącego za domem kierowcę ciężarówki – a elektryczny bilard ozdobiony od frontu wizerunkiem gołej laski, której cycki zapalają się różnokolorowo, gdy trafi się kulka w jej magiczne jajniki.

D.U. nie jest aż tak otraskana w Metawersie, ale wie, co i jak, no i ma adres. A odnalezienie adresu w Metawersie nie powinno być trudniejsze od odnalezienia adresu w rzeczywistości, chyba że jest się niedorozwiniętym pieszym.

Wchodzi na Ulicę i od razu ludzie zaczynają głupawo na nią patrzeć. Patrzą na nią tak samo jak wtedy, gdy spaceruje w rzeczywistości wśród granatowych garniaków z czesanej wełny w Parku Korporacyjnym Westlake, mając na sobie aerodynamiczny, niebiesko-pomarańczowy skafander Kuriera. Ludzie na Ulicy zerkają na nią z ukosa, bo wyszła z głównianego publicznego terminalu i w dodatku jest tylko czarno-białym awatarem.

Zabudowana część Ulicy wokół Portu Zero jarzy się niczym burza z piorunami z jej prawej strony. D.U. odwraca się plecami do tego zjawiska i wsiada do jednorówki. Chciałaby pojechać do miasta, ale ta część Ulicy jest bardzo droga, a już teraz wrzuca monety do terminalu co dwie milisekundy.

Facet nazywa się Ng. W rzeczywistości jest gdzieś w Południowej Kalifornii i siedzi za kółkiem. D.U. nie ma pojęcia, jaki pojazd prowadzi (facet ze szklanym okiem mówił, że jakiś van pełen „różnych rzeczy, o których nie musisz wiedzieć”). W Metawersie mieszka poza miastem w okolicach Portu 2, gdzie zaczyna się robić luźniej.

Metawersowy dom Nga jest kolonialną willą w stylu francuskim, usytuowaną w wiosce My Tho w Delcie Mekongu. Okolica wygląda jak Wietnam circa 1955; wszystko jest bardzo realistyczne z wyjątkiem klimatu. W Metawersie nie trzeba się pocić. Pan Ng zajął dla swojej wioski sporą połąć metawersowej ziemi, położoną kilka mil od Ulicy. Okolica jest tania, może dlatego, że nie dojeżdża tu jednorówka. Awatar D.U. musi iść piechotą.

Pan Ng ma duże biuro z żaluzjami w oknach. Balkonowe drzwi wychodzą na poletkę ryżowe, na których pracują mali Wietnamczycy. Gość musi być nieźle oblatany w technice, jeśli stworzył sobie taki zakątek z setkami ludzi na polach i dziesiątkami innych, biegających po wiosce. Wszystkie postaci są doskonale oddane, a każda robi co innego. D.U. nie jest hakerką, ale wie, że facet poświęca mnóstwo komputerowego czasu na wykreowanie sobie widoku za oknem. Jest jak w prawdziwym Wietnamie, przez co czuje się... dziwnie. Blokada wybałuszy gały, gdy mu o tym opowie. Ciekawe, czy w okolicy są leje po bombach i wypalone napalmem wsie? To byłby szczyt...

Sam Ng, a raczej jego awatar, jest niedużym, bardzo stylowym, pięćdziesięcioletnim Wietnamczykiem z przyznanymi gładko włosami. Ma na sobie garnitur wojskowego kroju w kolorze khaki. Gdy D.U. wchodzi do jego biura, opiera się łokciami o biurko i pozwala masować swój kark... gejszy?

Gejsza w Wietnamie?

Dziadek D.U., który spędził trochę czasu w Sajgonie, opowiadał, że podczas wojny światowej Wietnam zajęli Japończycy, którzy traktowali kraj ze zwykłym dla siebie okrucieństwem, „zanim ich nie zbombardowaliśmy i zanim nie odkryli, że są pacyfistami”. Wietnamczycy, jak większość Azjatów, nienawidzą Japońców. Może ten Ng załatwia sobie jakieś prywatne porachunki, każąc gejszy masować swój kark?

Mimo wszystko to trochę dziwne, bo przecież gejsza jest tylko obrazem w goglach Nga i D.U. Nie można masować sobie karku rękami postaci z telewizji, nie? Więc po co cały ten zachód?

Widząc D.U., Ng wstaje zza biurka i kłania się. Zdaje się, że jest to normalne wśród zatwardziałych Uliczników. Wołają ukłony od uścisku ręki, ponieważ niemożność nawiązania fizycznego kontaktu przypomina wszystkim o umowności spektaklu.

– Czołem – mówi D.U.

Ng siada za biurkiem, a gejsza wraca do roboty. Biurko Nga jest fajnym, francuskim antykiem z rzędem monitorów wbudowanych w uniesiony nieco blat. Ng nawet podczas rozmowy gapi się w telewizor.

– Powiedzieli mi co nieco o tobie – odzywa się w końcu.

– Nie musi się pan przejmować plotkami – odpowiada D.U.

Ng sięga po stojącą na biurku szklankę i upija łyk. Napój wygląda na mrożoną miętę. Po szkle spływa wilgoć. Wszystko jest oddane tak idealnie, że D.U. widzi nawet odbicia okien w kroplach wilgoci spływających spod palców Nga. Cholerny bitogłowy szpaner!

Patrzy na nią spokojnie, a jego twarz jest wyprana z emocji. D.U. wyobraża sobie, co o niej myśli. Gość wydał kupę szmalu na najlepszą chatę w całym Metawersie nie po to, by przyjmować w niej jakichś czarno-białych rolkarzy. Musi czuć do niej obrzydzenie. Musi jej nienawidzić, jakby kopnęła go w metaforyczne jaja.

Gdzieś w głębi domu gra radio. Nadają mieszankę wietnamskiego popu i amerykańskiego rocka dla inwalidów.

– Czy jesteś obywatelką Nowej Sycylii? – pyta Ng.

– Nie. Koleguję się tylko z wujkiem Enzo i innymi typami z Mafii.

– Ha! Bardzo niezwykle.

Ngowi nigdzie się nie śpieszy. Delektuje się leniwie płynącym życiem Deltę Mekongu, ogląda sobie telewizję, ma wszystko gdzieś i co pięć minut wyrzuca z siebie jedno zdanie.

Kolejna ciekawostka: cierpi zapewne na Zespół Tourette’a albo inne schorzenie neurologiczne, bo od czasu do czasu, bez żadnej przyczyny, wydaje dziwne odgłosy. Odgłosy te przypominają wietnamską paplaninę, jaką słyszy się czasami na tyłach sklepów albo restauracji, ale o ile D.U. zna się na wietnamskim, nie są słowami, a jedynie efektami dźwiękowymi.

– Pracuje pan dla nich? – pyta D.U.

– Wykonuję niekiedy prace związane z bezpieczeństwem. Również dla Mafii. W przeciwieństwie do większości dużych korporacji, Mafia niejako tradycyjnie sama dba o swoje bezpieczeństwo. Ale gdy pojawia się jakiś problem o dużej złożoności technicznej...

Ng przerywa, a z jego nosa wydobywa się coś jakby gwizd.

– Tym się pan zajmuje? Bezpieczeństwem?

Ng zerka na monitory. Wszystkie po kolei. Potem pstryka palcami i gejsza wypada z pokoju. Składa dłonie na biurku i pochyla się do przodu. Wbija wzrok w D.U.

– Tak – mówi.

D.U. nie odwraca głowy i czeka na ciąg dalszy. Ciągu dalszego nie ma, bo po kilku sekundach Ng znów gapi się na monitory.

– Największe zlecenia wykonuję dla pana Lee – oznajmia Ng.

Nie dla Wielkiego Hongkongu Pana Lee, ale dla pana Lee. Ciekawe...

Z drugiej strony jeśli D.U. mogła strzelić w niego wujkiem Enzo, Ng równie dobrze mógł odwzajemnić się panem Lee.

– Struktura społeczna każdego narodu-państwa zależy od rodzaju stosowanych przez nie środków bezpieczeństwa – stwierdza Ng. – I pan Lee to rozumie.

Cholera, czyżby mały wykład? Ng mówi teraz jak starzy, biali ludzie z telewizora mamy D.U.

– Zamiast zatrudniać duże siły porządkowe, składające się z nisko opłacanych mężczyzn i kobiet wyposażonych w broń maszynową... co samo w sobie może stanowić potencjalne zagrożenie dla sytuacji ogólnospołecznej... pan Lee opowiada się za systemami, w których udział czynnika ludzkiego jest ograniczony do niezbędnego minimum.

A zwierzęcego? – myśli D.U. Bardzo chciałaby zapytać Nga o Szczurojammika, ale to nie ma sensu: facet i tak nic nie powie, a wypytywanie go o dane wywiadowcze mogłoby nadwerężyć ich wzajemne stosunki, które w przyszłości mogą okazać się niezwykle owocne.

Nagle z gardła Nga wydobywa się cała masa przedziwnych dźwięków, zbitek spółgłosek i nieziemskich świstów.

– Jebana kurwa – rzuca Ng.

– Że co?!

– Nic, nic – odpowiada Ng. – Jedna pani w aucie zajechała mi drogę. Ludzie nie rozumieją, że mogę zrobić im krzywdę, rozjechać ich plastikowe autka jak żaby.

– Pan teraz jedzie?

– Tak. Jestem z tobą umówiony, nie pamiętasz?

– Mogę? – pyta D.U., wskazując na blat biurka.

– Proszę... – wzdycha Ng, jakby wcale nie miał ochoty niczego jej pokazywać.

D.U. wstaje i obchodzi biurko.

Na każdym z monitorów widać inny obraz z jadącego vana: przednia szyba, lewe okno, prawe okno, tył.

Dodatkowy monitor wyświetla elektroniczną mapę, pokazującą obecną pozycję auta: Ng jedzie po San Bernardino i nie jest daleko.

– Samochód jest sterowany głosem – tłumaczy Ng. – Usunąłem interfejs kierownicy i pedałów, bo wygodniej jest mi wydawać polecenia, mówiąc. Dlatego wtrącam czasami różne dziwne dźwięki... Nadzoruję w ten sposób tor pojazdu.

D.U. wychodzi na chwilę z Metawersu. Musi zrobić siusiu i uporządkować myśli. Gdy zdejmuje gogle, stwierdza, że ma sporą publiczność, składającą się z kierowców ciężarówek i mechaników, którzy stoją półkołem wokół terminalu i przysłuchują się jej pogawędce z Ngiem. Gdy wstaje, kierowcy naturalną koleją rzeczy skupiają uwagę na jej tyłku.

D.U. idzie do łazienki, wraca, kończy torcik i wychodzi na dwór w ultrafioletową poświatę zachodzącego słońca. Czeka na Nga.

Trudno nie rozpoznać jego vana. Jest olbrzymi. Ma z osiem stóp wysokości i jest szerszy niż wyższy, co w czasach, gdy istniał jeszcze kodeks drogowy, czyniłoby z niego zawalidrogę. Całość jest kanciasta i pudełkowata; zespawano ją z płaskich, stalowych płyt z wgłębieniami, z jakich robi się włazy kanalizacyjne i metalowe schody. Koła są wielkie jak przy traktorze, choć mają nieco płytszy bieżnik. W sumie jest ich sześć: po dwa na dwóch osiach z tyłu i jednej z przodu. Silnik tego potwora jest tak potężny, że D.U. czuje jego dudnienie w piersiach, nim pojawia się pojazd. Pracuje na ropę, o czym świadczy czarno-brunatny dym wydobywający się z dwóch grubych, ustawionych pionowo nad dachem rur wydechowych z końcówkami skierowanymi do tyłu. Przednia szyba jest idealnie płaskim prostokątem szkła o wymiarach trzy na osiem stóp i tak doskonale czarnej powierzchni, że nie widać niczego w środku. Przód samochodu zdobią wszystkie typy reflektorów znane ludzkości, jakby facet wjechał po ciemku w choinkę olbrzymia, a wlot powietrza chłodnicy wykonany jest z prawdziwych kolejowych szyn. Sama chłodnica tego giganta musi ważyć tyle co przeciętny jeep grand cherokee.

Otwierają się drzwi od strony pasażera. D.U. wdrapuje się na przednie siedzenie.

– Cześć – mówi. – Nie chce się pan odlać albo coś w tym rodzaju?

Nga nie ma.

A może jest?

W miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się siedzenie kierowcy, D.U. widzi coś na kształt neoprenowej kieszeni wielkości kosza na śmieci, podwieszanej do sufitu za pomocą sieci pasów, sprężyn, rurek, drutów, światłowodów i napinaczy hydraulicznych. Kieszeń owinięta jest taką ilością badziewia, że trudno rozróżnić jej rzeczywisty kształt.

U wylotu kieszeni D.U. widzi kawałek skóry okolony kępą czarnych włosów, co wygląda na czubek potylicy łysiejącego faceta. Wszystko, co powinno być twarzą faceta, od skroni w dół zamknięte jest w urządzeniu będącym skrzyżowaniem gogli z masko-słuchawkami, do których doprowadzony jest kabel zasilający. Urządzenie to trzyma się na głowie Nga za pomocą sprytopasków zaciskających się lub rozciągających w zależności od potrzeb i wygody właściciela.

Niżej, tam gdzie można by spodziewać się ramion, biegną zwoje kabli, światłowodów i rurek wychodzące z podłogi i najwyraźniej podłączone do barków Nga. Podobne okablowanie zastępuje mu nogi, co więcej, jest podłączone do krocza i innych strategicznych punktów na jego ciele. Całość siedzi w kombinezonie czyli kieszeni-większej od samego korpusu i bez przerwy wyrzuszającej się, i pulsującej jak odwłok kałamarnicy.

– Dziękuję za troskę, ale nie – odpowiada Ng. – Wszystkie moje potrzeby zaspokajane są na bieżąco.

Drzwi zamykają się. Ng kłapie dziobem i van wytacza się na zjazd, zmierzając ku czterysta piątce.

– Wybacz, że nie powiedziałem ci wcześniej, jak wyglądam – mówi Ng po kilku niezręcznych minutach.

– W 1974 roku podczas ewakuacji Sajgonu, na pokładzie mojego helikoptera wybuchł pożar. Trafili go z ziemi pociskiem smugowym.

– Przepraszam. Nie wiedziałam...

– Doleciałem do amerykańskiego lotniskowca zakotwiczonego u wybrzeży, ale do środka lało się paliwo.

– Piekło. Wyobrażam sobie...

– Przez jakiś czas używałem protez, niektóre z nich są całkiem niezłe. Ale nic nie pobije inwalidzkiego wózka z silniczkiem. Kiedyś przyszło mi do głowy, że wózek inwalidzki wcale nie musi być maleńkim, żalonym fotelem na kółkach, który nie może podjechać pod byle głupią rampę. I wtedy kupiłem to... Kiedyś był to niemiecki wóz strażacki, używany na lotnisku. Po kilku przeróbkach został moim wózkiem inwalidzkim.

– Bardzo tu... miło.

– Ameryka jest cudownym krajem, bo wszystko można tu dostać z samochodu. Wymiana oleju, zakup alkoholu, operacje bankowe, pogrzeby... wszystko można załatwić z auta. A moje auto jest czymś więcej niż tylko wózkiem inwalidzkim; jest przedłużeniem mojego ciała.

– To znaczy, że pan odbiera wszystkie bodźce z zewnątrz. A gejsza?

Ng mamrocze coś pod nosem i jego kieszeń zaczyna falować.

– Gejsza jest demonem. Moje ciało spoczywa w elektrokurczliwym żelu, który – gdy tego potrzebuję – masuje mnie. Oprócz gejszy mam jeszcze Szwedkę i Murzynkę, ale nie wyszły mi tak dobrze jak ona.

– A picie?

– Przez rurki. Oczywiście nie piję alkoholu... he... he...

– No dobrze – mówi D.U., gdy znaleźli się daleko za LAX i w zasadzie zrobiło się zbyt późno, by się wycofać. – Jaki ma pan plan? Jest w ogóle jakiś plan?

– Jedziemy do Long Beach. Do Strefy Ofiarnej. I kupujemy narkotyki. To znaczy ty kupujesz, bo ja jestem niedysponowany.

– I to jest moje zadanie? Kupić narkotyki?

– Kupić je i rzucić wysoko.

– W Strefie Ofiarnej?

– Dokładnie. My zajmiemy się resztą.

– „My” to znaczy kto?

– Pomoże nam kilka innych... eee... jednostek.

– To znaczy, że ma pan z tyłu jeszcze kilku takich... jak pan?

– Coś w tym rodzaju – mówi Ng. – Jesteś bliska prawdy.

– Czy to będą systemy, w których udział czynnika ludzkiego jest ograniczony do niezbędnego minimum?

– Najogólniej mówiąc, tak.

D.U. zastanawia się przez chwilę.

– Może jest pan zmęczony? Nie chce pan, żebym poprowadziła?

Ng wybucha szalonym śmiechem, od którego wóz o mało nie zjeżdża z drogi. D.U. wydaje się, że nie pojął dowcipu i śmieje się z jej głupoty.

30

– Dobra. Poprzednio mówiliśmy o glinianej kopercie. A co z tym drzewem? – Hiro wskazuje na jeden z artefaktów.

– To pień bogini Asherah – odpowiada zwięźle Bibliotekarz.

– W końcu do czegoś doszliśmy – stwierdza Hiro. – Lagos mówił mi, że ta Brandy z Czarnego Słońca była kultową prostytutką Asherah. Więc kim jest Asherah?

– Uważano ją za towarzyszkę El, znanego również jako Jahwe – odpowiada Bibliotekarz. – Asherah miała wiele imion, z których najbardziej znane jest Elat. Grecy nazywali ją Dione lub Rea. Kananejczycy znali ją jako Tannit lub Hawwa, co jest tym samym co Ewa.

– Ewa?

– Etymologia imienia Tannit według Crossa: „Tannit” jest rodzajem żeńskim wyrazu „tannin”, który oznacza „tego od węża”. Co więcej, w epoce brązu Asherah nosiła miano „dat batni”, co również oznacza „tę od węża”. Sumerowie znali ją jako Nintu lub Ninhursag. Jej symbolem był wąż oplatający drzewo lub kij: kaduceusz.

– Kto czcił Asherah? Z tego, co mówisz, wynika, że sporo ludzi...

– Boginię tę czcił każdy, kto mieszkał między Indiami a Hiszpanią od drugiego tysiąclecia przed naszą erą aż do narodzin Chrystusa. Wyjątkiem byli Żydzi, którzy czcili ją do czasu reform religijnych Hiskiasza i Jozjasza.

– Myślałem, że Żydzi byli monoteistami.

– Monolatrytami. Nie negowali istnienia innych bogów, ale czcili tylko Jahwe. Asherah znalazła u nich uznanie jako towarzyszka Jahwe.

– Nie pamiętam, żeby w Biblii pisali o żonie Boga.

– W czasach, o których mówimy, nie było jeszcze Biblii. Judaizm był jedynie luźnym zbiorem kultów jahwistycznych, z których każdy miał swoje świątynie i rytuały religijne. Opowieść o wyjściu z Egiptu nie miała sformalizowanego kształtu literackiego. A pozostałe części Biblii były przyszłością.

– Kto postanowił o usunięciu Asherah z judaizmu?

– Szkoła deutroniczna czyli ludzie, którzy spisali Piątą Księgę Mojżeszową, a także Księgę Jozuego, Sędziów, Samuela i Królów.

– Co to byli za ludzie?

– Nacjonałści. Monarchiści. Integryści. Poprzednicy faryzeuszy. W tamtym czasie asyryjski król Sargon II podbił Samarię, północną część Izraela, zmuszając Żydów do przeniesienia się na południe, do Jerozolimy. Jerozolima bardzo się rozwinęła i naturalną kolejną rzeczą rozpoczęła ekspansję na zachód,

wschód i południe. Był to czas nacjonalizmu i patriotycznego ferworu. Szkoła deutronomiczna była odzwierciedleniem tych postaw w pismach: przepisywała i reorganizowała stare opowieści, nadając im nowe treści.

– To znaczy, że pisała je od nowa?

– Mojżesz i inni uważali, że naturalną granicą Izraela jest Jordan. Deutronomiści doszli jednak do wniosku, że Izrael obejmuje także Transjordanię, co usprawiedliwiało ekspansję na wschód. Jest wiele innych podobnych przykładów: prawo przeddeutronomiczne milczało na temat monarchy. Prawo spisane przez deutronomistów mówiło o systemie monarchicznym. Prawo przeddeutronomiczne zajmowało się głównie dziedziną sacrum, prawo deutronomistów mówi o obowiązkach króla i jego ludu, czyli o rzeczach świeckich, o profanum. Deutronomiści upierali się, by scentralizować religię w Świątyni, w Jerozolimie, co pociągało za sobą konieczność zniszczenia pozostałych ośrodków kultu. Lagos zwrócił także uwagę na inną ciekawą sprawę.

– Jaką?

– Piąta Księga Mojżeszowa jest jedyną w Pięcioksięgu, w której powiada się, że spisana Tora zawiera wolę boską: „A gdy zasiądziesz na swoim królewskim tronie, niech sporządzi sobie na zwoju odpis tego Prawa od kapłanów, Lewitów. I będzie go miał u siebie, i będzie go czytał przez wszystkie dni swojego życia, aby nauczyć się bojaźni Pańskiej, przestrzegania wszystkich słów tego Prawa i spełniania tych wszystkich przepisów. Aby serce jego nie wyniosło się ponad jego braci i aby nie odstąpił od przykazania ani w prawo, ani w lewo, aby był długo królem w Izraelu, on i jego synowie”. Piąta Księga Mojżeszowa 17, 18-20.

– Więc deutronomiści skodyfikowali religię. Zrobili z niej wysoce zorganizowaną, samopowielającą się całość... żeby nie powiedzieć... wirus – mówi Hiro. – Ale zgodnie z tym, co mi powiedziałeś, Tora jest jak wirus, który zagnieźdża się w ludzkim mózgu. Żywiciel... człowiek... robi jej kopię. I coraz więcej ludzi przychodzi do synagogi, żeby ją czytać.

– Nie potrafię ustosunkować się do tej analogii. Ale to, co pan mówi, znajduje swoje potwierdzenie w takim fakcie: po reformie judaizmu, dokonanej przez deutronomistów, Żydzi, zamiast składać ofiary, chodzili do synagogi czytać Księgę. Gdyby nie deutronomiści, wszyscy monoteiści na świecie wciąż składaliby ofiary ze zwierząt i propagowali swoje wierzenia w formie mówionej.

– Dzieląc się strzykawkami – mruczy pod nosem Hiro. – Gdy pracowałeś nad tym z Lagosem, nikt z was nie wpadł na pomysł, że Biblia jest wirusem?

– Lagos wspomniał przy jakiejś okazji, że Biblia może mieć pewne cechy wspólne z wirusem, ale generalnie jest inna. Uważał Biblię za dobrego wirusa. Mówił, że jest podobna do wirusa, którego używa się w szczepionkach. Twierdził dalej, że wirus Asherah jest wirusem złośliwym i że może się rozprzestrzeniać przez wymianę płynów ustrojowych.

– To znaczy, że ścisła, książkowa religia deutronomistów uodporniła Żydów na wirus Asherah.

– W połączeniu ze ścisłą monogamią i innymi koszernymi praktykami, tak – odpowiada Bibliotekarz. – Wcześniejsze religie, od Sumerów do Deutronomium, nazywa się preracjonalnymi. Judaizm był pierwszą z religii racjonalnych i jako taki był, zdaniem Lagosa, mniej podatny na zainfekowanie, bo opierał się na ścisłych, spisanych źródłach. Kult Tory i pieczołowitość, z jaką sporządzano jej kopie, ma swoje wytłumaczenie w informacyjnej higienie.

– Czy z tego, co mówisz, wynika, że żyjemy teraz w epoce postracjonalnej?

– Tak twierdzi Juanita.

– Założę się. I przyznaję, że to co mówi, zaczyna brzmieć coraz bardziej sensownie...

– Doprawdy?

– Owszem, bo przedtem mówiła same bzdury.

– Rozumiem.

– Myślę, że gdybym mógł spędzić z tobą dość czasu, by ostatecznie dowiedzieć się, co ma na wątrobie... to... hmm... znów poruszyłaby się ziemia.

– Będę starał się pomóc.

– Koniec erekcji, wracamy do roboty. Asherah była nosicielką wirusowej infekcji. Deutronomiści dowiedzieli się o tym i zlikwidowali ją, blokując wszystkie wektory, po których rozprzestrzeniała zakażenie.

– Jeśli chodzi o infekcję wirusową... – Bibliotekarz wbija oczy w sufit – ...pozwolę sobie na odsyłacz... bo na nic innego nie mogę sobie pozwolić... do dziedziny medycyny, a konkretnie do wirusologii, a ściślej mówiąc, do wirusa opryszczki *herpes simplex*, który zagnieźdża się w systemie nerwowym, by nigdy już go nie opuścić. Wirus ten potrafi wbudowywać nowe geny w istniejące neurony, przez co zmienia je pod względem genetycznym. Współcześni terapeuci genetyczni nauczyli się wykorzystywać tę zdolność dla własnych celów. Lagos uważał, że *hepres simplex* to współczesny, nieszkodliwy potomek Asherah.

– Nie zawsze nieszkodliwy – oznajmia Hiro, przypominając sobie znajomego, który zmarł na AIDS, a raczej wywołane nim komplikacje. W ostatnich dniach życia miał liszaje opryszczki sięgające gardła. – Jest nieszkodliwy, bo jesteśmy na niego uodpornieni.

– Tak, proszę pana.

- Czy Lagos uważał, że wirus Asherah zmieniał DNA komórek mózgowych?
- Tak. To była podstawa hipotezy zakładającej, że wirus przekształca się z przekazywanego biologicznie łańcucha DNA w zespół zachowań.
- Jakich zachowań? Na czym polegał kult Asherah? Składali jakieś ofiary?
- Nie, ale istnieją dowody na uprawianie kultowej prostytucji, zarówno przez kobiety jak i przez mężczyzn.
- Czy to oznacza to, co myślę, że oznacza? Fanatyków wałęsających się wokół świątyń i pierdolących się z kim popadnie?
- Mniej więcej.
- Bingo! Doskonały sposób na rozprzestrzenianie wirusa! Dobrze, a teraz chciałbym wrócić do wcześniejszej dygresji z naszej rozmowy...
- Jak pan sobie życzy. Dygresje to moja specjalność i mogę nimi operować praktycznie bez końca.
- Mówiłeś o związku między Asherah a Ewą...
- Ewa, której biblijne imię brzmi Hawwa, jest bez wątpienia hebrajską interpretacją starszego mitu. Hawwa jest ofidyjską boginią matką.
- Ofidyjską? – Związaną z wężem. Asherah jest również ofidyjską boginią matką. Obie związane są także z drzewami. – Ewa, z tego co pamiętam, skłoniła Adama do zjedzenia zakazanego owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. A to oznacza, że nie był to żaden owoc tylko dane!
- Jeśli tak pan uważa...
- Zastanawiam się, czy zawsze towarzyszyły nam wirusy? Pośrednio zakładamy, że są z nami od zawsze, ale może było inaczej? Może był taki okres w historii, kiedy wirusy nie istniały, a jeśli istniały, to nie były tak rozpowszechnione? I nagle w jakimś momencie pojawił się metawirus, po którym przysła kolej na prawdziwą eksplozję chorób... a ludzie zaczęli padać jak muchy. To tłumaczyłoby fakt istnienia mitu o raju i upadku pierwszych ludzi w niemal wszystkich kulturach...
- Być może.
- Powiedziałeś mi, że esseńczycy uważali tasiemce za demony. Gdyby wiedzieli, czym jest wirus, prawdopodobnie potraktowaliby go tak samo. A Lagos powiedział mi, że według Sumerów nie było ani dobra ani zła... *per se*.
- Zgadza się. Według Kramera i Maiera wyróżniali dobre i złe demony: „Dobre demony sprowadzały zdrowie fizyczne i emocjonalne. Złe demony wprowadzały dezorientację i przynosiły udrękę emocjonalną i fizyczną... Ale demony te trudno odróżnić od chorób, które personifikowały... a większość chorób, według współczesnych badaczy, przypominała schorzenia psychosomatyczne”.
- To samo powiedzieli lekarze o Da5idzie... że jego przypadłość jest psychosomatyczna.
- Nie wiem nic o osobniku imieniem Da5id... z wyjątkiem paru statystycznych banałów.
- Wygląda na to, że „dobro” i „zło” zostało wynalezione przez autora legendy o Adamie i Ewie po to, by wyjaśnić, dlaczego ludzie chorują... skąd biorą się u nich fizyczne i psychiczne wirusy... Więc kiedy Ewa... albo Asherah... kazała Adamowi zjeść owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego, wprowadziła pojęcie dobra i zła na ziemi... wprowadziła metawirus tworzący wirusy...
- Możliwe.
- Moje następne pytanie brzmi: kto jest autorem legendy o Adamie i Ewie?
- Na ten temat toczy się wiele naukowych dyskusji.
- A według Lagosa? Albo jeszcze lepiej: według Juanity?
- Radykalna interpretacja legendy o Adamie i Ewie dokonana przez Nicolasa Wyatta zakłada, że mit ten był w istocie alegorią polityczną napisaną przez deutronomistów.
- Myślałem, że przypisuje się im późniejsze księgi, a nie Genesis...
- To prawda. Ale musimy pamiętać, że deutronomiści zajmowali się również kompilowaniem i redagowaniem wcześniejszych ksiąg. Przez wiele lat przyjmowano, że Pierwsza Księga Mojżeszowa została napisana około roku 900 przed naszą erą albo jeszcze wcześniej, czyli na długo przed pojawieniem się deutronomistów. Ale przeprowadzone ostatnio analizy słownictwa i zawartości księgi wskazują, że duża część pracy redakcyjnej, a kto wie czy nie autorskiej, miała miejsce w czasach Wyjścia, czyli wtedy, kiedy pojawili się deutronomiści.
- Mogli więc nadać nowy kształt wcześniejszemu mitowi o Adamie i Ewie?
- Z pewnością mieli po temu okazję. Według interpretacji Hvidberga i późniejszej – Wyatta, Adam w ogrodzie jest parabolą króla i jego domeny, co więcej, parabolą konkretnego króla, niejakiego Ozeasa, który panował w północnym królestwie do czasu najazdu Sargona II w roku 772 przed naszą erą.
- Już wcześniej wspominałeś ten najazd... Mówiłeś, że Żydzi przenieśli się na południe do Jerozolimy...
- Dokładnie. „Eden”, który można rozumieć zgodnie z hebrajskim znaczeniem jako „miejsce rozkoszy”, byłby zatem szczęśliwym państwem, w którym panował król przed podbojem. Wydalenie ludzi z Edenu do ponurych krain na wschodzie byłoby parabolą masowych deportacji Izraelitów do Asyrii po zwycięstwie Sargona. Zgodnie z tą interpretacją, król zszedł ze ścieżki prawości skuszony kultem El i jego towarzyski

Asherah, która, jak wiadomo, związana jest z węzłem, i której symbolem jest drzewo.

– Inaczej mówiąc, związek z Asherah był jedną z przyczyn podboju i deutronomiści... gdy znaleźli się już w Jerozolimie... przepisali mit o Adamie i Ewie, czyniąc zeń ostrzeżenie dla przyszłych władców południowego królestwa...

– Tak.

– I może dlatego, że nikt ich nie chciał słuchać, dorzucili po drodze pojęcie dobra i zła... jako haczyk.

– Haczyk?

– Taki termin fachowy. Ale co było dalej? Czy Sargon próbował podbić południowe królestwo?

– Sargon już nie, ale jego następcą, Sennacheryb, owszem. Król Hiskiasz, który panował w południowym królestwie, gorączkowo przygotowywał się do najazdu, umacniał Jerozolimę, zapewnił miastu dostęp do wody. Przeprowadził również dalekosiężne reformy religijne, których podjął się pod przewodnictwem deutronomistów.

– I udało mu się?

– Siły Sennacheryba otoczyły Jerozolimę. „I stało się tej samej nocy, że wyszedł anioł Pański i pozbawił życia w obozie asyryjskim sto osiemdziesiąt pięć tysięcy. Następnego dnia rano oto wszyscy oni – same trupy – pomarli. Toteż Sennacheryb, król asyryjski, zwinął obóz...” Druga Księga Królewska 19, 35-36.

– Jasne, że zwinął! Dobrze, uporządkujmy teraz parę rzeczy: deutronomiści, przez Hiskiasza, wprowadzają w Jerozolimie informacyjną higienę i idą dalej, zajmują się ciałem... Mówiłeś coś o wodzie?

– „Zebrało się wtedy wielu ludzi i zatkali wszystkie źródła, i zasypali potok płynący przez tę ziemię w tej myśli: «Po co mają przyjść królowie asyryjscy i znaleźć wodę w obfitości?»” Druga Księga Kronik 32, 4. Potem Żydzi wydrążyli w litej skale tunel długi na pół kilometra i tunelem tym dostarczano wodę do miasta.

– No tak... a potem nadchodzą żołnierze Sennacheryba i padają jak muchy, rażeni, jak przypuszczam, wyjątkowo złośliwym wirusem, na który mieszkańcy Jerozolimy byli uodpornieni... Hmm... Ciekawe... Ciekawe co było w tej wodzie?

31

D.U. nieczęsto jeździ do Long Beach, ale gdy już tu jest, robi wszystko, by uniknąć Strefy Ofiarnej. Strefa Ofiarna jest zapomnianą stoczną wielkości małego miasteczka. Wbija się w Zatokę San Pedro, nad którą mieszczą się starsze i gorsze burbklawy basenu LA – nie rozplanowane burbklawy, składające się z maleńkich, krytych azbestem domów, patrolowane przez Khmerów z nastroszonymi brwiami, wymachujących obrzynami, schodzące aż do spienionych od fal plaży. Większa część Strefy położona jest na trafnie nazwanej Wyspie Końcowej, a ponieważ deska Kuriera nie pływa po wodzie, D.U. wjeżdża i wyjeżdża stamtąd jedną z dróg użyteczności publicznej.

Jak wszystkie Strefy Ofiarne i ta ogrodzona jest siatką z żółtymi, metalowymi tablicami, rozmieszczonymi co kilka jardów.

STREFA OFIARNA

UWAGA! Zarząd Parków Narodowych ogłosił ten obszar Narodową Strefą Ofiarną. Program Stref Ofiarnych opracowano w celu zarządzania gruntami, których koszty oczyszczenia przekraczają ich całkowitą wartość handlową.

I jak we wszystkich siatkach otaczających Strefy Ofiarne, i w tej są dziury, a nawet całe pozrywane połacie. Młodzi ludzie, którym odbija szajba ze względu na obecność w ich organizmach naturalnych i sztucznych męskich hormonów, muszą mieć gdzieś miejsce do uprawiania swych idiotycznych rytuałów przejścia. Przyjeżdżają tu ze wszystkich burbklaw w napędzanych na cztery koła ciężarówkach i szaleją po otwartej przestrzeni, zrywając piszczącymi oponami ubitą, glinianą nawierzchnię, którą kiedyś przykryto najgorsze kawałki Strefy po to, żeby wiatr nie rozwiewał azbestu po Disneylandzie.

D.U. czuje dziwną satysfakcję, wyobrażając sobie, co powiedzieliby przyjeżdżający tu junacy na widok wielofunkcyjnego wózka inwalidzkiego Nga, który teraz zjeżdża z głównej drogi, nie tracąc szybkości – choć podłoże jest nieco wyboiste – i wali w stalową siatkę jak w chmurę mgły, zrywając przy okazji ze sto metrów ogrodzenia.

Noc jest widna i cała Strefa Ofiarna lśni niczym dywan z rozbitego szkła i połamanych azbestowych płyt. Jakieś sto stóp dalej mewy wgryzają się w brzuch leżącego do góry łapami owczarka niemieckiego. Ziemia faluje, co wywołuje dodatkowe, ciekawe efekty wizualne; faluje za przyczyną szczurów roznoszących wszędzie azbest i szkło. Głębokie, zaprojektowane komputerowo ślady grubych opon należących do jaskrawych gigantów, którymi przemieszczają się chłopcy z przedmieść, znaczą glinę niczym

znaki runiczne, niczym tajemnicze figury z Peru, o których mama D.U. dowiedziała się w Świątyni NeoWodnika.

Ng raz po raz wyrzuca z siebie dziwnie brzmiące polecenia.

We wnętrzu vana pana Nga D.U. zauważa system nagłaśniający – prawdziwe stereo, choć trudno wyobrazić sobie, by Ng słuchał muzyki. System włącza się, o czym świadczy cichy syk na granicy progu słyszalności.

Van toczy się przez Strefę.

Ledwo słyszalny syk przechodzi w niski, elektroniczny pomruk. Pomruk faluje, raz jest niższy, raz wyższy, choć wciąż w dolnym rejestrze, co przypomina D.U. improwizacje Blokady na elektrycznym basie. Ng zmienia kierunek jazdy, jakby czegoś szukał, i D.U. odnosi wrażenie, że poziom pomruku zaczyna się wznosić.

Tak, z pewnością wznosi się i zmierza ku rejestrom pisku. Ng rzuca komendę i głośniki cichną. Jedzie teraz bardzo wolno.

– Możliwe, że nie będziesz musiała niczego kupować – mruczy. – Zdaje się, że znaleźliśmy nie strzeżony ładunek Zamieci.

– Co to za hałas?

– Czujnik bioelektroniczny. Membrany z ludzkich komórek. Hodowanych in vitro, to znaczy w szkle... w probówce. Jedna strona membrany wystawiona jest na powietrze, druga pozostaje czysta. Gdy obca substancja przedostaje się przez membranę, uznajemy ją za wykrytą. Im więcej obcych cząstek przechodzi na drugą stronę membrany, tym wyższy dźwięk, który słyszysz.

– Jak w liczniku Geigera?

– Doskonale! Jest to licznik Geigera dla związków przenikających komórki – mówi Ng.

Jakich związków? – chce zapytać D.U., ale nie robi tego.

Ng zatrzymuje pojazd. Włącza jakieś światła – niezbyt jaskrawe światła. Taki już jest: ma w tym wózku zestaw wszystkich możliwych świateł, od superjasnych do superciemnych.

Mają przed sobą jakieś zagłębienie przed olbrzymią stertą beczek. W środku są przeróżne śmieci. Większość z nich to puste puszki po piwie. Puszki leżą wokół miejsca na ognisko. Zbiega się tu wiele śladów opon.

– Doskonale! – powtarza Ng. – Mamy tu miejsce, w którym zbierają się młodzi ludzie w celu zażywania narkotyków.

D.U. przewraca oczami, słysząc tę telewizyjną wypowiedź. Ciekawe, czy Ng nie dorabia sobie, pisząc antynarkotykowe ulotki, które rozdają w szkołach?

Ciekawe też, co wpompowuje w siebie przez te wszystkie rury?

– Nie widzę min przeciwpiechotnych – oznajmia. – Może zechciałabyś wyjść i rozejrzeć się wśród tego narkomańskiego śmiecia?

Spogląda na niego z niedowierzaniem. Facet chyba oszalał!

– Masz za siedzeniem maskę ochronną – mówi.

– Co tam jest? W kwestii skażenia...

– Azbest wykorzystywany kiedyś w przemyśle okrętowym. Nierdzewne farby okrętowe zawierające metale ciężkie. I mnóstwo polichlorodwufenylów stosowanych niemal we wszystkim.

– Wspaniale.

– Wyczuwam niechęć w twoim głosie. Ale jeśli uda nam się pobrać próbkę Zamieci z tej narkomańskiej meliny, nasza misja dobiegnie końca.

– Jeśli tak pan mówi... – rzuca D.U. i chwyta maskę – wielki gumowo-płócienny kaptur, w którym mieści się cała głowa z szyją.

Początkowo jest jej niewygodnie – ze względu na ciężar – ale ten, kto projektował ów przyrząd, wiedział, gdzie najbardziej uwiera, i po chwili wszystko jest już okay. W komplecie z maską są też ciężkie rękawice, które D.U. nakłada. Są za duże. Ci, co je robią, nie myśleli chyba o kobietach.

Wyskakuje na szklano-azbestowy grunt Strefy, mając nadzieję, że Ng nie zamknie drzwi i nie odjedzie bez niej.

Z drugiej strony mógłby tak zrobić. Blokada pozazdrościłby jej takiej przygody.

Staje w środku „narkomańskiej meliny”. Nie dziwi się, widząc gniazdko zużytych igieł. Obok leżą maleńkie, puste fiołki. Podnosi kilka i czyta nalepki.

– Co znalazłaś? – pyta Ng, gdy wraca do vanu i zdejmuje maskę.

– Igły. Głównie hyponarxy, ale mam też parę ultra laminarów i moskitów numer dwadzieścia pięć.

– Co to wszystko znaczy?

– Hyponarxy kupuje się w każdym markecie sieci Kup & Siup. Ludzie nazywają je gwoździami, bo są tanie i tępe. Przeznaczone pewnie dla biednych czarnych cukrzyków i ćpunów. Ultra laminary i moskity są modne, kupuje się je w okolicach lepszych burbklaw. Ukłucie nimi nie boli tak bardzo, bo są z dobrego materiału i mają optymalny kształt. Rozumie pan, ergonomiczne końcówki, fajowe kolory...

– Jakie narkotyki nimi wstrzykiwano?

– Musi pan zobaczyć – mówi D.U. i podnosi jedną z fiolek.

Potem przypomina sobie, że Ng nie może przekreślić głowy.

– Gdzie mam ją położyć, żeby pan widział? – pyta.

Ng śpiewa po swojemu. Z sufitu wysuwa się ramię robota, ostrożnie wyjmując fiolkę z jej dłoni, obraca ją i podsuwa pod obiektyw kamery wmontowanej w deskę rozdzielczą.

Wypisana na maszynie naklejka oznajmia, że w fiołce był testosteron.

– Ha, ha, ha, fałszywy alarm – chichocze Ng. Samochód rusza nagle i pędzi ku centrum Strefy.

– Może zechciałby pan powiedzieć mi, co się dzieje? – rzuca D.U. – Bo to ja wykonuję brudną robotę w naszej brygadzie.

– Ściany komórkowe – mówi Ng. – Czujnik oznajmia o każdym związku chemicznym, który przenika przez ściany komórkowe. Więc naturalną kolejną rzeczą wykryliśmy źródło testosteronu. Fałszywy alarm. Zabawne, bo widzisz, nasi biochemicy są ludźmi starej daty i nie przyszło im do głowy, że współczesna młodzież odmóży się do tego stopnia, by stosować hormony jako narkotyki. Przedziwne, naprawdę przedziwne...

D.U. uśmiecha się do siebie. Podoba się jej świat, w którym ludzie pokroju Nga mówią o innych, że są „przedziwni”.

– Chodzi nam tylko o Zamieć? – pyta Wietnamczyka.

– Wyłącznie – odpowiada Ng. – A zamiast niej znaleźliśmy Pierścień Siedemnastu.

– Zamieć sprzedają w tych małych fiolkach – mówi D.U. – A to drugie? Co to w ogóle jest?

– Zamieć przenika ścianki komórek mózgowych i wnika do ich jądra, gdzie przechowywane jest DNA.

Dla celów tej misji opracowaliśmy detektor, który umożliwia wyszukiwanie w powietrzu związków przenikających ściany komórkowe. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę, że na miejscu okaże się, iż współczesna młodzież używa testosteronu. Wszystkie sterydy, czyli sztuczne hormony, mają podobną strukturę podstawową: pierścień z siedemnastu atomów, które działają jak magiczny klucz otwierający dla nich ściany komórkowe. Dlatego właśnie sterydy są tak niebezpieczne, gdy wpuści się je bez opamiętania do ludzkiego ciała. Wnikają w głąb komórek, do samego jądra i zmieniają sposób działania gospodarzy.

– Podsumujmy – Ng kończy wykład. – Detektor jest bezużyteczny. Rozwiązania siłowe nie wchodzi w grę. Wracamy zatem do planu początkowego. Musisz kupić Zamieć i wyrzucić ją w powietrze.

D.U. nie całkiem rozumie ostatnią część zadania. Ale nie odzywa się, bo jej skromnym zdaniem Ng powinien skupić się na jeździe.

Wyjeżdżają z najgorszej części Strefy i wjeżdżają do części głównej, będącej pustynią porośniętą suchymi, brązowymi chwastami i zawaloną olbrzymimi metalowymi płytami. Tu i ówdzie wznoszą się wielkie hałdy gówna: węgla, szlaki, koksu, żużlu albo czegoś takiego.

Za każdym razem, gdy skręcają za jakiś róg, spotykają małą plantację warzywną, uprawianą przez Azjatów lub Latynosów. D.U. wydaje się, że Ng ma w planie rozjechanie któregoś ze swych ziomek, bo zawsze omija ich, skręcając w ostatniej chwili.

Jacyś mówiący po hiszpańsku czarni grają w baseball na dużym, płaskim placu. Do oznaczania baz służą im pokrywy pięćdziesięciopięciogalonowych beczek. Boisko oświetlone jest reflektorami ruchomego złomu, zaparkowanego wzdłuż krawędzi. W pobliżu stoi bar, mieszczący się w przyczepie kempingowej z wymalowanym graffiti: „STREFA OFIARNA”. Na starych bocznicach stoją rzędy przerdzewiałych wagonów, a między szynami rośnie nopal. W jednym z wagonów mieści się franszulat Perłowych Wrót Wielebnego Wayne’a, a natchnieni ewangelicznie Latynosi tłoczą się w kolejce, by odprawić pokutę i mówić językami pod neonem Elvisa. W Strefie Ofiarnej nie ma Świątyni NeoWodnika.

– Rejon magazynów nie jest tak zanieczyszczony jak miejsce, w którym byliśmy wcześniej – mówi Ng, jakby chcąc ją pocieszyć. – Brak maski nie powinien wpłynąć na stan twojego zdrowia. Jeśli dobrze powąchasz, wyczujesz tu tylko Panią Zimę.

D.U. wacha i zastanawia się, o jaką zabronioną substancję chodzi tym razem Ngowi.

– Ma pan na myśli freon? – pyta.

– Tak. Człowiek, który jest obiektem naszego zainteresowania, prowadzi działalność zdywersyfikowaną poziomo. Oznacza to, że handluje różnymi substancjami. Ale rozpoczął od freonu. Jest największym hurtownikiem i detalistą Pani Zimy na Zachodnim Wybrzeżu.

D.U. pojmuje wreszcie, o co chodzi. W vanie Nga jest klimatyzacja. Ale agregat nie należy do nowoczesnych, gównianych, przyjaznych ozonowi maszynek. Jest prawdziwym, heavymetalowym, mrozącym krew w żyłach Frigidaiem, od którego zamarzłoby piekło. Spala niesamowite ilości freonu.

– Kupuje pan Panią Zimę od tego gościa?

– Kupowałem, owszem. W przyszłości mam zamiar zaopatrywać się u innego dostawcy.

U innego dostawcy! Może nim być tylko Mafia.

Zbliżają się do nabrzeża. Dziesiątki długich, wysmukłych baraków magazynowych stoją równolegle do morza. Od tej strony prowadzi do nich jedna droga użyteczności publicznej. Węższe drogi biegną między

barakami i schodzą ku nabrzeżu, a raczej ku temu, co z niego zostało. Tu i ówdzie widać porzucone ciągniki.

Ng zjeżdża z głównej drogi i parkuje w małej zatoczce, ukrytej między starą akumulatorownią z czerwonej cegły a stertą zardzewiałych kontenerów. Ustawia samochód przodem do wyjazdu, jakby gotował się na szybkie opuszczenie sceny.

– W schowku przed tobą są pieniądze – mówi Ng.

D.U. otwiera rzeczony schowek i znajduje w nim gruby zwitek podniszczonych banknotów – trylion dolarowych Edów Misiaczków, jak na nie mówią ze względu na podobiznę prezydenta.

– Chryste, nie mógł pan postarać się o większe nominały? Mam iść po taczkę?

– Kurierowi nie wypada chodzić z grubszą gotówką.

– Bo Kurier to szumowina, czy tak?

– Bez komentarzy.

– Ile tu jest? Kwadrylion zielonych?

– Półtora. Inflacja, sama rozumiesz.

– Co mam zrobić?

– Pójdiesz do czwartego baraku z lewej strony – mówi Ng. – Jak dostaniesz fiolkę, wyrzuc ją w powietrze.

– I potem co?

– Resztą się nie martw.

D.U. ma całą masę wątpliwości. Ale jeśli wpadnie w tarapaty, no cóż, będzie okazja sprawdzić działanie prezentu od wujka Enzo.

Wysiada z vanu, zabierając deskę, a Ng mówi coś po swojemu. Nagle auto zaczyna drżeć i rezonować warkotem silnika. Jakiś motor budzi się do życia, ale nie jest to maszyna napędzająca wózek Nga. D.U. odwraca głowę i widzi, jak otwiera się stalowy kokon na dachu pojazdu. W środku stoi miniaturowy helikopter. Składany. Gdy warkot silników przybiera na sile, wysuwają się złożone ostrza wirników. Maszyna wygląda jak przepoczwarczający się motyl. Na jej boku widnieje nazwa: „WIETRZNY KOSIARZ”.

32

Nie ulega wątpliwości, którego baraku szukamy. Czwarty od lewej – biegnąca wzdłuż niego droga zablokowana jest kontenerami, takimi jakie wożą na osiemnastokołowcach. Kontenery ustawione są w jodełkę: chcąc przejść między nimi, trzeba lawirować w tę i z powrotem z tuzin razy, idąc wąskimi, stalowymi korytarzami niczym w labiryncie. Na kontenerach stoją faceci z karabinami maszynowymi. Przyglądają się D.U. pokonującej na desce tor przeszkód. Nim dojedzie do końca, przejrzą ją na wylot.

W korytarzach palą się pojedyncze żarówki wiszące na drutach. Gdzieś tam zawieszono nawet choinkowe łańcuchy świateł. Gdy przejeżdża pod nimi, ktoś zapala je po kolei, może na powitanie? Nic nie widzi, oprócz aureoli żarówek i nieokreślonej chmury mgły albo pyłu. Zjazd do nabrzeża zablokowany jest kolejną jodełką kontenerów. Na jednym z nich widać wymalowane graffiti: „NKNO MÓWI: ZACZNIJCIE ODLICZANIE!”

– Co za NKNO? – pyta sama siebie, żeby dodać sobie odwagi.

– Niekwestionowany Król Niszczycieli Ozonu – odpowiada jej męski głos. Facet właśnie zeskakuje z rampy wyładunkowej magazynu z lewej strony. W środku baraku widać rząd zapalonych żarówek i ogniki papierosów. – Inaczej Emilio.

– Jasne – mówi D.U. – Gość od freonu. Ale nie przyjechałam się schłodzić.

– W takim razie... – nieznajomy zawieszając głos. Jest wysoki, długonogi i ma chyba ze czterdzieści lat, choć jest za chudy jak na takiego starca. Wyciąga peta z ust i pstryka nim zaczepnie. – ...o co chodzi? – kończy.

– Po czemu jest Zamieć?

– Jeden koma siedem pięć głuptaka – mówi.

– Mówili mi, że po jeden koma pięć.

Facet kręci głową.

– Inflacja, sama rozumiesz. Nie mów, że nie masz tyle, bo twoja deska warta jest ze sto głuptaków.

– Nie kupisz jej za zielone – oznajmia D.U., prostując z dumą plecy. – Mam tylko półtora kwadryliona dolarów. – Wyciąga z kieszeni gruby zwitek.

Facet wybucha śmiechem i wrzeszczy do kumpli z baraku.

– Hej, chodźcie no. Mamy tu laskę, która płaci Misiakami.

– Pozbądź się ich i to szybko – radzi jej jakiś mniej uprzejmy głos. – Albo kup se taczkę.

Właścicielem głosu jest jeszcze starszy facet z łysym czubkiem głowy, lokami po bokach i wielkim

brzuchem. Zatrzymuje się przy krawędzi rampy.

– Jak ich nie chcecie, wystarczy powiedzieć „nie” – mówi D.U. Cała ta gadanina nie ma nic wspólnego z interesami.

– Nieczęsto wpadają do nas laski – mówi gruby łysol. D.U. domyśla się, że ma do czynienia z samym NKNO. – Damy ci zniżkę za modelowanie. Odwróć się.

– Spierdalaj – mówi spokojnie D.U. – Idź zwał se konia. – Nie ma zamiaru dyskutować z jełopem.

Wszyscy ryczą ze śmiechu.

– W porządku, obsłuż panią – rzuca NKNO do chudego przydupasa.

Długonogi wchodzi na chwilę do magazynu i wraca z aluminiową teczką. Stawia ją na stalowej beczce pośrodku drogi, tak żeby wszyscy ją widzieli.

– Najpierw forsa – mówi.

D.U. podaje mu banknoty. Ogląda je, cmoka, a potem wrzuca do magazynu jednym, wytrenowanym ruchem. W środku znów rozlegają się śmiechy.

Otwiera walizkę. Ma przed sobą mały komputerowy terminal. Wsuwa kartę magnetyczną w szparę i pisze coś na klawiaturze.

Wyjmuje fiolkę z górnej części i umieszcza ją w cylindrycznym uchwycie w części dolnej. Maszyna wciąga fiolkę do środka, coś z nią robi i po chwili wypluwa.

Podaje fiolkę D.U. Czerwone cyferki na zakrętce rozpoczynają odliczanie od dziesięciu.

– Jak dojdzie do jednego, podnieś fiolkę do nosa i zacznij wciągać – mówi.

D.U. zaczyna się wycofywać.

– Masz jakiś problem, dziewczynko? – pyta facet.

– Jeszcze nie – mówi D.U. i z całej siły rzuca fiolkę w powietrze.

Z nieba dolatuje świst wirników helikoptera. „WIETRZNY KOSIARZ” przemyka nad ich głowami. Wszyscy obecni kucają – zdumienie podcina im nogi. Fiolka nie wraca na ziemię.

– Ty jebana suko – syczy chudy.

– Miałaś niezły plan – mówi NKNO. – Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego taka miła, sprytna dziewczyna jak ty zgodziła się brać udział w samobójczej misji?

Nagle wschodzi słońce. W zasadzie jakieś pół tuzina słońc zawieszonych wysoko w powietrzu, okalających ich głowy, dławiących resztki cienia. Twarze chudego i NKNO stają się płaskie, pozbawione wyrazu w oślepiającej iluminacji. D.U. jest jedyną osobą, która widzi cokolwiek, a to dzięki KnoktoWizyjnym goglom Radiksu, które sterują światłem dochodzącym do jej oczu. Faceci mrugają i zasłaniają twarze.

D.U. odwraca się i patrzy za siebie. Jedno ze słońc wisi nad labiryntem kontenerów, rzuca światło w wąskie korytarze, oślepia strażników pilnujących wejścia. D.U. widzi na przemian światło i ciemność, elektroniczne gogle w końcu zgłupiały i nie wiedzą, do jakiego poziomu oświetlenia powinny się dostosować. W stroboskopowej burzy do źrenic D.U. dociera jeden obraz: stojący na kontenerach strażnicy padają jak drzewa podcięte huraganem, a między ich nogami i nad dachami kontenerów przemyka z szybkością światła cybernetyczny cień, sinusoidalne tsunami – Sfora Szczurojamników.

Poradziły sobie z labiryntem, przeskakując kontenery długimi, płaskimi parabolami. Po drodze niektóre z nich zwały ciała mężczyzn z karabinami, niczym futbolowi napastnicy koszący w pełnym pędzie rząd niezdatnych fotografów. Teraz, jeden po drugim, lądują na drodze przed labiryntem, wznosząc chmurę kurzu, w której iskrzą się małe wyładowania elektryczne; w tej samej chwili jeden z nich – D.U. nie widzi Szczurojamnika, słyszy jedynie odgłosy – wpada na wysokiego, chudego mężczyznę, którego zębra pękają jak suche szczapy. W magazynie wybucha piekło, ale D.U. śledzi akcję na zewnątrz, wychwytyując kolejne pyłowo-iskrowe ślady Szczurojamników nadciągających od drogi i płynących w powietrzu nad kontenerami.

Od chwili, gdy wyrzuciła fiolkę w powietrze, minęły nie więcej niż trzy sekundy. Odwraca się, by zajrzeć do magazynu. Ale jej wzrok przykuwa sylwetka mężczyzny stojącego na dachu baraku. Jeszcze jeden strażnik, snajper, wychodzi zza wylotu klimatyzacyjnego, mruży oczy, podnosi broń do twarzy. D.U. cofa się o krok, gdy laserowy promień z celownika przemyka po jej powiekach. Zamyka oczy, wiedząc, że snajper odnalazł jej czoło. Machinalnie odchyła głowę i otworzywszy oczy, widzi skupioną twarz strzelca, a tuż za nią wyrastający z ciemności dysk wirników „WIETRZNEGO KOSIARZA”. W świetle reflektorów dysk kurczy się do wąskiej elipsy, a w kolejnym ułamku sekundy – do cienkiej, srebrzystej linii. Helikopter przelatuje obok głowy snajpera.

W następnej chwili skręca gwałtownie i zatrzymuje się w powietrzu, jakby szukając kolejnej ofiary. Z tyłu coś zaczyna spadać na ziemię, D.U. wydaje się, że „KOSIARZ” zrzucił bombę. Ale to nie jest bomba, a głowa strzelca obracająca się wokół osi, wyrzucająca z wnętrza różową spiralę płynu lśniącego jaskrawo w świetle słońc. Wirniki trafiły go wprost w szyję. D.U. składa się teraz z dwóch osób: jedna z nich obojętnie patrzy na głowę obracającą się w pyle, druga wrzeszczy ile sił w płucach.

Słyszysz jakiś donośny trzask – pierwszy naprawdę głośny dźwięk, odkąd to wszystko się zaczęło. Odwraca głowę i widzi górujący nad całym zamieszaniem zbiornik wodny, doskonałe schronienie dla

następnego snajpera.

W tej samej chwili jej uwagę przykuwa cieniutka, błękitno-biała smuga raketowego odrzutu wydobywająca się z pocisku, który wystrzelił w niebo z vanu Nga. Osiągnąwszy pewną wysokość, rakietka zamiera, nie robi nic, wisi w powietrzu, siedząc na smudze paliwa. D.U. nie czeka na to, co będzie dalej, odpycha się od ziemi jedną nogą, drugą trzymając już na desce. Musi za wszelką cenę znaleźć coś, co odgrodzi ją od zbiornika.

Słyszy drugi wystrzał. Nim dźwięk na dobre dotarł do jej uszu, wisząca do tej pory nieruchomo rakietka pikuje niczym minoga, dokonując po drodze korekt lotu tak, by idealnie trafić w grzędę snajpera stojącego na drabinie pod zbiornikiem. Słysząc obrzydliwy wybuch, choć nie widać płomieni ani błysków. Bezsensowne bum dzwoni jej w uszach jak grzmot świątecznej petardy. Zaraz potem słyszy odłamki dzwoniące po metalowej konstrukcji zbiornika.

Przed wjazdem do labiryntu wyprzedza ją chmura pyłu, w której kotłują się szczęki chwytające w powietrzu odłamki szkła, kamienie i ostre, żeliwne szrapnele pędzące ku jej twarzy. Szczęki wpadają do labiryntu, słyszy jak odbijają się od ścian kontenerów niczym kula w elektrycznym bilardzie. Szczurojamnik oczyszcza jej drogę.

Kochane zwierzątko!

– Ładnie pan to rozegrał – mówi, wsiadając do wózka Nga. Ma obolałe, spuchnięte gardło. Może od krzyku, może od toksycznych odpadów, a może po prostu ze strachu. – Szkoda tylko, że nie wiedział pan wcześniej o snajperach – dodaje z wyrzutem w głosie. W zasadzie nie gniewa się na Nga, woli jednak mówić o szczegółach roboty, żeby nie myśleć o tym, co zrobił „KOSIARZ”.

– Nie wiedziałem o tym, który siedział na wieży – mówi przeprasza ją Ng. – Ale po pierwszym strzale namierzaliśmy trajektorie pocisków i posłaliśmy mu odpowiedź. – Przemawia do samochodu, który wyjeżdża z kryjówki i rusza ku czterysta piątce.

– Wybrał sobie dosyć głupie miejsce – mówi D.U. o snajperze.

– Istotnie. Stanowisko nie było ufortyfikowane. Był odkryty z każdej strony – odpowiada spokojnie Ng. – Strzelał z samobójczej pozycji. Nie jest to typowe dla ludzi związanych z przemysłem narkotykowym. Zazwyczaj są bardziej pragmatyczni. Czy masz jeszcze jakieś uwagi do mojej operacji?

– No... udało się?

– Tak. Fiolka znalazła się w szczelnej komorze helikoptera przed wypuszczeniem na zewnątrz zawartości. Zamroziliśmy ją w płynnym helu, zanim doszło do chemicznej autodestrukcji. Mamy więc próbkę Zamieci i jest to wyczyn, którego jeszcze nikt nie dokonał. Na takich i podobnych osiągnięciach polega moja reputacja.

– A co ze Szczurojamnikami?

– O co konkretnie pytasz?

– No... czy wróciły już do vanu? Tam do tyłu... – D.U. wskazuje głową.

Ng nie odpowiada przez chwilę. D.U. przypomina sobie, że facet siedzi teraz w swoim biurze w Wietnamie circa 1955 i ogląda to wszystko w telewizji.

– Trzy już wróciły – mówi po krótkiej przerwie Ng. – Trzy następne są w drodze powrotnej. A ostatnie trzy zostawiłem na miejscu w celu przeprowadzenia dodatkowych działań pacyfikacyjnych.

– Nie zabierze ich pan?

– Znajdą nas – mówi Ng. – Nie zapominaj, że na prostej osiągają szybkość siedmiuset mil na godzinę.

– Czy to prawda, że mają w środku nuklearne bebechy?

– Jeśli chodzi ci o izotopy radiotermiczne, to tak.

– A co się dzieje, jak ktoś rozpieprzy Szczurojamnika? Wypadają mu włosy?

– Jeśli ktoś znajdzie się w pobliżu siły zdolnej, jak to nazwałaś, „rozpieprzyć” Szczurojamnika, a co w istocie musiałoby polegać na wydobyciu zeń owych izotopów, to... – Ng zastanawia się przez chwilę – ...choroba popromienna byłaby jego najmniejszym zmartwieniem.

– A jak znajdą do nas drogę?

– Nigdy nie czytałaś *Lassie wróć*? – pyta Ng.

Ha! A więc nie myliła się! Szczurojamniki mają w sobie psie części.

– To okrutne – mówi.

– Wszyscy tak mówią, ale to zwykły sentymentalizm.

– Jak można wyjmować psa z jego ciała i trzymać go w metalowej budzie!

– Nie masz pojęcia, co robi Szczurojamnik, siedząc w budzie.

– Co może robić? Lizać sobie elektroniczne jaja?

– Niezupełnie. Ale biega po plaży, goni frisbee, zjada steki rosnące na drzewach, wygrzewa się przed kominkiem w myśliwskiej chacie. Nie przyszło mi do głowy, żeby zainstalować im stymulatory lizania, jak powiedziałaś, jaj, ale wezmę to pod uwagę.

– A co się z nimi dzieje, kiedy wychodzą z budy i załatwiają za pana porachunki?

– Nie masz pojęcia, jak podniecające jest dla pitbulla przemieszczanie się z szybkością siedmiuset mil na godzinę.

D.U. nie odpowiada. Musi przyzwyczaić się do tej myśli.

– Twój błąd – mówi Ng – polega na tym, że uważasz, iż wszystkie organizmy wspomagane mechanicznie, takie jak choćby ja, są żalonymi kalekami. W istocie jest akurat na odwrót, nigdy nie było nam lepiej niż teraz.

– Skąd pan bierze psy?

– Każdego dnia we wszystkich okolicznych miastach porzuca się niewyobrażalną liczbę tych zwierząt.

– Kroi pan szczeniaki?

– Ratuję porzucone psy od pewnej zagłady i wysyłam je do psiego nieba.

– Mój chłopak, Blokada, znalazł kiedyś pitbulla. Z przestrzeloną nogą. Zawieźliśmy go do weterynarza, a kiedy wyzdrowiał, nazwaliśmy go Fido. Przez kilka miesięcy trzymaliśmy go w pustym mieszkaniu w kamienicy Blokady. Karmiliśmy go, codziennie chodziliśmy z nim na spacer. A potem Fido zniknął. Ktoś włamał się do mieszkania i ukradł nam psa. Pewno sprzedał go do laboratorium.

– Prawdopodobnie – mówi Ng. – Ale z wami Fido też nie miał najlepiej.

– Miał lepiej niż przedtem.

Ng nie odpowiada. Jest zajęty rozmową z samochodem, który wjeżdża właśnie na autostradę prowadzącą do miasta.

– Czy one pamiętają różne rzeczy? Te pana Szczurojamniki? – pyta D.U.

– Tak, o ile psy mają pamięć – mówi Ng. – Nie mamy jeszcze sposobu zacierania wspomnień.

– Więc może Fido jest Szczurojamnikiem i pamięta o mnie?

– Mam nadzieję. Tak byłoby dla niego najlepiej.

We franszulacie Wielkiego Hongkongu Pana Lee, w Phoenix w Arizonie, zbudowany przez Zakłady Przemysłu Obronnego Nga Organ Gwardianin Olfakto-Nowozautonomizowany # B-782 budzi się ze snu.

Fabryka, w której powstał, uważa go za robota # B-782, ale on sam wie, że jest pitbullem i ma na imię Fido.

W dawnych czasach Fido był raz po raz złym pieseczkiem. Teraz mieszka w małym, ładnym domku na małym, ładnym podwórku. Może dzięki temu stał się miłym, małym pieseczkiem. Lubi leżeć w swoim domku i nasłuchiwać, o czym szczekają inne miłe pieseczki. Fido należy do wielkiej sfory.

Tej nocy słyszy ujadanie dobiegające z odległego miejsca. Wsłuchując się w szczekanie, wie, że cała sfera miłych pieseczków jest czymś bardzo podekscytowana. Duzi, źli ludzie chcą skrzywdzić miłą dziewczynkę. To dlatego pieski są złe i podniecone. Broniąc miłej dziewczynki, zadają ból złym, dużym ludziom.

I tak powinno być.

Fido nie wychodzi z domku. Kiedy usłyszał szczekanie, był lekko podekscytowany. Lubi miłą dziewczynkę i jest mu bardzo przykro, gdy ktoś chce im zrobić krzywdę. Kiedyś znał dziewczynkę, która go kochała. To było dawno, gdy mieszkał w strasznym miejscu pełnym ludzi, którzy chcieli go skrzywdzić. Był wtedy bez przerwy głodny, a miła dziewczynka karmiła go i była dla niego dobra. Fido kocha ją z całego serca.

Ujadanie sfory mówi mu, że miła dziewczynka jest już bezpieczna. Fido może iść spać.

33

– Wybacz, koleś – mówi D.U., wchodząc do pokoju Babel/Infokalipsy. – Chryste, to wygląda jak wnętrze szklanej kuli ze śniegiem!

– Cześć, D.U.

– Mam dla ciebie coś ekstra.

– Strzelaj.

– Zamieć to roid. Albo coś w rodzaju roida. Tak jest! Wierci dziury w ścianach komórkowych, zupełnie jak roid, a potem robi coś z jądrem komórkowym.

– Miałeś rację – Hiro zwraca się do Bibliotekarza. – Zupełnie jak wirus opryszczki.

– Facet, z którym rozmawiałam, mówił, że Zamieć jebie ci coś w DNA. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, więc powtarzam tylko jego słowa.

– Z kim rozmawiałeś?

– Z panem Ngiem. Z Zakładów Przemysłu Obronnego Nga. Nie próbuj z nim gadać i tak ci nic nie powie – rzuca obojętnie D.U.

– Skąd wytrzasnąłeś tego gościa?

– Mokra robota. Dzięki mnie i mojemu kumpłowi Ngowi Mafia dostała pierwszą próbkę Zamieci. Do tej

pory narkotyk robił bum, zanim zdążyli położyć na nim łapy. Myślę, że teraz badają go laboratoryjnie, czy coś w tym rodzaju. Może chcą wynaleźć antidotum?

- Albo zreprodukować dla własnych potrzeb.
- Mafia nie zrobiłaby czegoś takiego.
- Nie bądź głupia – mówi Hiro. – Jasne, że by zrobiła.

D.U. chyba się obraża.

– Posłuchaj – mówi Hiro. – Przykro mi, że muszę ci o tym przypominać, ale gdybyśmy wciąż mieli prawo, Mafia byłaby organizacją przestępczą.

– Ale nie mamy prawa – odpowiada D.U. – więc jest jedną z sieci.

– W porządku. Mówię tylko, że mogą nie robić tego, co robią dla dobra ludzkości.

– A ty? Po co tu siedzisz i gadasz z tym nadętym demonem? – pyta D.U., wskazując Bibliotekarza. – Dla dobra ludzkości? A może dlatego, że zależy ci na jednej dupie, tej, jak jej tam...

– W porządku, okay, nie mówmy już o Mafii. Mam robotę na głowie.

– Ja też – rzuca D.U. i znika, zostawiając w Metawersie dziurę, którą starannie wypełnia komputer Hiro.

– Myślę, że próbuje ze mną flirtować – tłumaczy Hiro Bibliotekarzowi.

– Hmm, wyglądała na dosyć... zaangażowaną – odpowiada demon.

– Dobra, wracamy do pracy. Skąd się wzięła Asherah?

– Z mitologii sumeryjskiej. Dlatego spotykamy ją później w Babilonie, u Asyryjczyków, Kananejczyków, Żydów i w mitach ugaryckich. Wszyscy oni czerpali z Sumerów.

– Ciekawe. Język sumeryjski zaginął, ale mity zdomowały się w nowych językach.

– Dokładnie tak. Sumeryjski był wykorzystywany jako język religii i nauki późniejszych cywilizacji, podobnie jak łacina w Europie w wiekach średnich. Nikt nie posługiwał się nim na co dzień, ale ludzie wykształceni potrafili w nim czytać. Dzięki temu przetrwała również religia Sumerów.

– A co dokładnie robiła Asherah w sumeryjskich mitach?

– Dysponujemy jedynie fragmentarycznymi opisami. Odnaleziono niewiele tabliczek poświęconych tej kwestii, a te, które wykopano, są połamane i zniszczone. Uważa się, że L. Bob Rife ma w posiadaniu wiele nienaruszonych tabliczek, ale nie chce ich udostępnić. Sumeryjskie mity, które przetrwały do naszych czasów, są niekompletne i mają nieco dziwną strukturę. Lagos porównywał je do halucynacji rozgorączkowanego dwulatka. Duże, zapisane fragmenty są nieprzetłumaczalne, choć rozpoznano poszczególne znaki. Problem w tym, że jako całość znaki te nie mówią nic współczesnemu umysłowi.

– Jak instrukcja programowania magnetowidu.

– Występuje wśród nich dużo monottonnych powtórzeń. A także fenomen, który Lagos nazwał „zespołem pliszki”, czyli mnóstwo pochwał wygłaszanych przez skrybów w celu uwypuklenia znaczenia ich miasta i pomniejszenia znaczenia miasta sąsiedniego.

– A co sprawiało, że jedno sumeryjskie miasto było lepsze od drugiego? Większy ziggurat? Lepsza drużyna futbolowa?

– Lepsze *me*.

– Co to jest *me*?

– Reguły lub zasady sterujące życiem społecznym, coś w rodzaju kodeksu praw, ale na niższym, podstawowym poziomie.

– Nie rozumiem.

– Na tym polega problem. Mity sumeryjskie nie nadają się do czytania, nie są „lekturą” tak jak mity greckie czy hebrajskie. Odzwierciedlają całkowicie różną od naszej świadomość.

– Podejrzewam, że gdyby nasza kultura wywodziła się z sumeryjskiej, byłoby inaczej – stwierdza Hiro.

– Mity akadyjskie, które pojawiły się po sumeryjskich, były w dużym stopniu na nich oparte. Akadyjscy redaktorzy przejrzyli mity sumeryjskie, wyrzucili z nich to, co było (z ich i naszego punktu widzenia) niezrozumiałe i dziwne, połączyli fragmenty w większe całości i zapisali jako, na przykład, opowieść o Gilgameszu. Akadyjczycy byli Semitami, kuzynami Hebrajczyków.

– Co mówią Akadyjczycy o Asherah?

– Jest boginią płodności, a co za tym idzie – życia erotycznego. Ma także moc destrukcyjną. Bywa mściwa. W jednym z mitów Asherah sprowadza śmiertelnie niebezpieczną chorobę na króla Kirta. Kirtę może uleczyć tylko El, król bogów. El pozwala niektórym ludziom ssać pierś Asherah. El i Asherah często adoptują ludzkie dzieci i wówczas Asherah jest ich mamką. W jednym z tekstów karmi w ten sposób siedemdziesięciu boskich synów.

– I zakaża ich wirusem – mówi Hiro. – Kobiety chore na AIDS przenoszą wirus na dzieci, karmiąc je piersią. Tak wyglądała wersja akadyjska?

– Owszem, proszę pana.

– Chcę usłyszeć coś z tych sumeryjskich mitów, nawet jeśli jest to nieprzetłumaczalne.

– Może ma pan ochotę na opowieść o tym, jak Asherah sprowadziła chorobę na Enki?

– Jasne.

– Tłumaczenie tej historii zależy od jej interpretacji. Niektórzy widzą w niej opowieść o wygnaniu z raju. Inni dopatrują się w niej elementów walki między aspektem męskim i żeńskim lub między wodą i ziemią. Jeszcze inni widzą w niej alegorię płodności. Fragment, który przedstawię, oparty jest na interpretacji Bendta Alstera.

– Aha.

– Streszczam poprzednie odcinki: Enki i Ninhursag (to znaczy Asherah, która w tej opowieści występuje pod wieloma innymi imionami) mieszkają w krainie Dilmun. Dilmun jest jasnym, czystym i zdrowym miejscem, nie ma w nim chorób, ludzie nie starzeją się, a drapieżniki są łagodne jak baranki.

– Przechodzę do właściwej opowieści: W Dilmun nie ma wody. Ninhursag prosi Enki (który między innymi pełni w Dilmun obowiązki boga wody) o sprowadzenie deszczu. Enki wyraża zgodę i, by sprowadzić deszcz, masturbuje się w trzcinach. Z jego prącia wydobywa się życiodajne nasienie, „woda serca”, jak na nią mówią. Jednocześnie Enki wygłasza *nam-shub* zabraniające komukolwiek wstępu w trzcinę. Nie chce, by ktokolwiek zbliżył się do jego nasienia.

– Dlaczego?

– Mit nic nie mówi na ten temat.

– W takim razie – zastanawia się głośno Hiro – Enki musiał uważać swoje nasienie za drogocenne lub niebezpieczne, albo i to, i to.

– Po masturbacji Enki Dilmun ma się lepiej niż przedtem. Pola dają obfite plony i tak dalej.

– Przepraszam, ale jak wyglądało sumeryjskie rolnictwo? Stosowali nawadnianie?

– Byli całkowicie od niego uzależnieni.

– Czyli, zgodnie z tym mitem, Enki nawodnił pola „wodą serca”.

– Owszem, Enki był bogiem wody.

– Dobra, mów dalej.

– Ninhursag, czyli Asherah, łamie zakaz Enki, zbiera jego nasienie i zapładnia się nim. Po dziewięciu dniach ciąży rodzi bezboleśnie córkę, Ninmu. Ninmu pojawia się nad brzegiem rzeki. Na jej widok Enki wpada w podniecenie, przechodzi przez rzekę i odbywa z Ninmu stosunek płciowy.

– Z własną córką?

– Tak. Po dziewięciu dniach Ninmu rodzi córkę, Ninkurę, która znów idzie nad rzekę i cała historia się powtarza.

– Enki kopuluje z Ninkurą?

– Tak. Ninkurra rodzi córkę, Uttu. Ale Ninhursag domyśla się już, co zrobi Enki, więc każe Uttu zostać w domu i czekać na Enki, który, jak przewiduje, pojawi się, by ją uwieść, lecz wcześniej przyniesie jej prezenty.

– I co, uwodzi ją?

– Enki ponownie napełnia świat „wodą serca”, po której wszystko zaczyna rosnąć. Ogrodnik cieszy się i ściska Enki.

– Jaki ogrodnik?

– Jedna z postaci mitu – odpowiada Bibliotekarz. – Ogrodnik daje Enki winogrona i inne prezenty. Enki przebiera się za ogrodnika i idzie do Uttu, i oczywiście zdobywa ją. Ninhursag, która czeka w ukryciu, zbiera nasienie Enki z ud Uttu.

– Cholera! Mieli dosyć skomplikowane życie erotyczne.

– Ninhursag rozrzuca nasienie po ziemi, z której wyrasta osiem roślin.

– Czy wtedy Enki odbywa stosunki płciowe z roślinami?

– Nie. Zjada je. W pewnym sensie poznaje przez to ich sekrety.

– Czyli tak jak w opowieści o Adamie i Ewie.

– Ninhursag rzuca kłótwę na Enki, mówiąc: „Dopóki nie umrzesz, nie spojrzę na ciebie «okiem żywota»,”. Potem znika, a Enki zapada na ciężką chorobę. Boli go osiem organów, czyli tyle, ile zjadł roślin. W końcu Ninhursag wraca. Rodzi osiem bóstw, po jednym dla każdego chorego organu Enki. Sam Enki wraca do zdrowia. Bóstwa wchodzi do panteonu Dilmun, innymi słowy, ich przyjście na świat przełamuje cykl kazirodztwa i tworzy nową rasę męskich i żeńskich bogów, którzy mogą się reprodukować bez przeszkód.

– Zaczynam rozumieć, co miał na myśli Lagos, mówiąc o halucynacjach rozgorączkowanego dwulatka.

– Alster interpretuje ten mit jako „ekspozycję problemu logicznego, który brzmiał tak: zakładając, że na początku istniał tylko jeden stwórca, jak doszło do binarnych związków seksualnych?”

– Binarnych! Znowu to słowo!

– Być może pamięta pan dygresję, którą zarzuciliśmy wcześniej podczas rozmowy, a która doprowadziłaby nas inną drogą do tego samego miejsca. Przedstawiony przeze mnie mit można porównać z sumeryjskim mitem stworzenia, w którym na początku niebo i ziemia stanowią jedno, a świat rodzi się dopiero po ich rozdzieleniu. Większość mitów stworzenia rozpoczyna się od „paradoksalnej jedności wszystkiego, ocenianej jako chaos lub raj”. Świat, jaki znamy, powstaje dopiero wówczas, gdy zmienia się

ów pierwotny stan rzeczy. W tym miejscu należy wspomnieć, że pierwsze imię Enki brzmiało En Kur, czyli Pan Kur, a Kur było pierwotnym oceanem, chaosem, który Enki zdobył.

– Każdy haker wie, co toaczy.

– Ale Asherah ma podobne konotacje. W tradycji ugaryckiej jej imię brzmiało „atiratu yammi”, co oznacza „tę, która depta morze (smoka)”.

– Okay, czyli Enki i Asherah byli w jakimś sensie odpowiedzialni za pokonanie chaosu. I według ciebie akt ten, rozdzielenie stanu statycznego albo, jak wolisz, jednorodnego świata na system binarny, jest tożsamy ze stworzeniem.

– Zgadza się.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Enki?

– Był *en* miasta Eridu.

– *En*? Znaczący się królem?

– Królem-kapłanem. *En* był opiekunem świątyni, w której przechowywano *me* – zasady społeczne spisane na glinianych tabliczkach.

– Dobra. Gdzie jest Eridu?

– W południowym Iraku. Odkopano je całkiem niedawno.

– Rife i jego ludzie?

– Tak. Jak twierdzi Kramer, Enki jest bogiem mądrości, ale to złe tłumaczenie. Jego mądrość nie jest tą, którą kojarzymy z wiekiem. Jest raczej wiedzą o tym, jak robić pewne rzeczy, związane, powiedziałbym, z okultyzmem. „Zadziwiał innych bogów zdumiewającymi rozwiązaniami niemożliwych do rozwiązania problemów”. Ogólnie jest całkiem sympatycznym bogiem, który pomaga ludziom.

– Naprawdę?

– Tak. Poświęcono mu najważniejsze mity sumeryjskie. Jak już wspominałem, utożsamia się go z wodą. Enki napęnia rzeki i sumeryjski system kanałów swym życiodajnym nasieniem. Uważano, że to on stworzył Tygrys podczas jednego, epokowego aktu masturbacji. Sam Enki opisuje siebie w sposób następujący: „Jestem panem. Jestem tym, którego słowo trwa. Jestem wieczny”. Inni mówili o nim tak: „Jedno twoje słowo, a pola napęnią się ziarnem. Sprowadzasz na ziemię gwiazdy, któreś pierwiej policzył”. Enki wypowiada nazwy wszystkich rzeczy stworzenia...

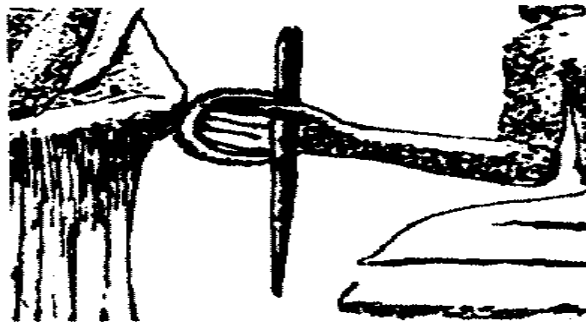
– „Wypowiada nazwy wszystkich rzeczy stworzenia?”

– W wielu mitach stworzenia nazwanie rzeczy jest równoznaczne z jej stworzeniem. W różnych mitach mówi się o nim jako o „mistrzu zaklęć”, „słowobogaty”, „mistrzu właściwych poleceń” i tym podobne. Kramer i Maier piszą: „Jego słowo wprowadza porządek tam, gdzie wcześniej był chaos, i ma moc tworzenia chaosu tam, gdzie panowała harmonia”. Enki poświęca wiele czasu na przekazanie swej wiedzy synowi, bogu Mardukowi, głównemu bóstwu Babilończyków.

– Więc Sumerowie czcili Enki, a Babilończycy, którzy przyszedli po nich, wierzyli w Marduka, jego syna.

– Tak, proszę pana. Zawsze, kiedy Marduk miał jakiś problem, zwracał się o pomoc do ojca. Tu na tej steli... – Bibliotekarz wskazuje czarny obelisk – ... Kodeksie Hammurabiego, widzimy podobiznę Marduka. Według Hammurabiego, tym, który osobiście przekazał mu Kodeks, był Marduk.

Hiro podchodzi do obelisku i drapie się w głowę jak gamoń. Pismo klinowe nic mu nie mówi. Jest jeszcze płaskorzeźba i ta wydaje się łatwiejsza do ogarnięcia... A szczególnie jej środkowa część:



- Dlaczego Marduk podaje Hammurabiemu zero i jedynkę!? – pyta.
- Są to emblematy władzy królewskiej – odpowiada Bibliotekarz. – Ich pochodzenie jest niejasne.
- To musiały być sprawka Enki!
- Najważniejszym zadaniem Enki była rola stwórcy, strażnika *me* i *gis-hur*, „słów kluczy” i „wzorów” rządzących wszechświatem.
- Powiedz mi więcej o tym *me*.
- Ponownie zacytuję Kramera i Maiera: „[Wierzyli] w istnienie od najdawniejszych czasów fundamentalnych, niezmiennych i jednorodnych mocy i obowiązków, norm i standardów, zasad i reguł znanych jako *me* i odnoszących się do kosmosu i jego składników, do bogów i ludzi, miast i państw oraz zróżnicowanych aspektów cywilizowanego życia”.
- Coś w rodzaju Tory.
- Tak, Tory o mocy mistyczo-magicznej. Trzeba jednak pamiętać, że *me* mówiło często o sprawach banalnych, a nie tylko o religii.
- Na przykład?
- W jednym z mitów bogini Inanna wyrusza do Eridu i podstępem zdobywa u Enki dziewięćdziesiąt cztery *me*, które przywozi do swego rodzinnego miasta Uruk, gdzie przyjmują je z radością i poruszeniem.
- Inanna to ta, którą szczególnie interesuje się Juanita?
- Tak, proszę pana. Traktuje się ją jako zbawczynię, ponieważ „doprowadziła do doskonałego wykonania *me*”.
- Wykonania? *Me* trzeba było wykonywać? Jak program komputerowy?
- Owszem. *Me* można porównać do algorytmów, których wykonanie jest niezbędne dla prawidłowego życia społecznego. Niektóre z *me* sterowały powinnościami kapłanów i królów. Inne wykonywaniem ceremonii religijnych. Jeszcze inne nadzorowały prawidłowy przebieg wojny i działań dyplomatycznych. Wiele miało związek ze sztuką i rzemiosłem: muzyką, stolarką, kowalstwem, garbarstwem, budownictwem, rolnictwem, a nawet z tak przyziemnymi czynnościami jak rozpalanie ognia.
- *Me* było systemem operacyjnym społeczeństwa!
- Nie rozumiem.
- Kiedy po raz pierwszy włączasz komputer, masz do czynienia z niemym zbiorowiskiem obwodów, które same z siebie nic nie potrafią. Żeby komputer działał, musisz włączyć do obwodów zbiór zasad, które powiedzą im, co należy robić. Jak być komputerem. Według mnie te *me* były systemem operacyjnym społeczeństwa, organizowały bezwładne zbiorowisko ludzkie w sprawnie działający system.
- Być może. Tak czy inaczej, Enki był strażnikiem *me*.
- Więc nie mógł być zły.
- Był najbardziej uwielbianym z bogów.
- Był kimś w rodzaju hakera. Dlatego jego *nam-shub* jest trudny do zrozumienia. Ale z drugiej strony, jeśli był taki dobry, to dlaczego pomieszał języki w mieście Babel?

– Uważa się to za jedną z tajemnic Enki. Jak pan zapewne zauważył, jego zachowanie nie zawsze odpowiadało współczesnym normom.

– Nie kupuję tego. Nie sędzę, żeby naprawdę przeleciał siostrę, córki i tak dalej. Ta historia musi być metaforą czegoś innego... Według mnie jest to metafora powtarzającego się procesu informacyjnego. Cały mit cuchnie mi czymś takim. Dla Sumerów woda oznaczała nasienie. Pasuje, bo pewnie na oczy nie widzieli czystej wody. Tak jak większość z nas, która ma do czynienia z kranową, Sumerowie pili jakąś żyburę z rowów: brązową, brudną i pełną wirusów. Ale z dzisiejszego punktu widzenia nasienie jest tylko nośnikiem informacji; może przenosić pożyteczne plemniki i szkodliwe wirusy. Woda Enki... jego nasienie, jego dane, jego *me...* płynęła przez ziemię Sumerów, doprowadzając ją do rozkwitu.

– Jak pan zapewne wie, ziemią Sumerów była równina w rozlewiskach dwóch dużych rzek: Tygrysu i Eufratu. Sumeryjska glina pochodziła z dna rzek.

– Więc Enki dał im nawet nośnik informacji: glinę! Pisali na wilgotnej glinie i potem ją suszyli, pozbawiali wody. Ale to nic nie dało, bo jeśli tabliczka wpadła do wody, informacja ulegała zatarcu, zniszczeniu. Więc wpadli na pomysł, żeby prażyć tabliczki, pozbawić je wody na dobre, wysterylizować nasienie Enki ogniem. Takie tabliczki mogły przetrwać wieki w nienaruszonym stanie. Jak Tora... Czy mówię jak wariat?

– Nie wiem – odpowiada Bibliotekarz. – Ale przypomina pan trochę Lagosa.

– Pochlebiasz mi – mówi Hiro. – Następnym razem powiesz mi, że zamieniłem się w gargulca.

34

Każdy pieszy może niezauważenie wejść do Griffith Park. Mimo barier broniących dostępu na drogach, obóz Falabalów nie jest dobrze strzeżony przed takimi, którzy – jak D.U. – mogą poruszać się poza asfaltem. Dla rolkowego wojownika ninja na całkiem nowej desce i w całkiem nowych KnoktoWizyjnych goglach (hej, najpierw trzeba coś włożyć w interes, żeby móc coś z niego wyjąć!) na nosie, wjazd do parku nie stanowi problemu. Wystarczy znaleźć odpowiednie wzniesienie schodzące w miarę łagodnie do kanionu i przejechać się grzbietem, dopóki nie zobaczy się ognisk. A potem w dół. Brawa dla grawitacji.

W połowie stoku D.U. przychodzi do głowy, że jej błękitno-pomarańczowy kombinezon, choć jak najbardziej przepisowy, może zwrócić na siebie uwagę w ogarniętej mrokiem zonie Falabalów. Sięga do kołnierza, odnajduje twardy guzik wszyty w materiał i ścisca go między kciukiem i palcem wskazującym. Słyszy ciche kliknięcie. Kombinezon ciemnieje, elektropigment rozplywa się jak kropla wody w atramencie i po chwili cały strój jest czarny jak otaczająca D.U. noc.

Podczas pierwszej wizyty w obozie D.U. nie rozejrzała się jak należy, mając (płoną) nadzieję, że nigdy tu nie wróci. Stok jest dłuższy i bardziej stromy, niż przypuszczała. Wygląda raczej na urwisko, przepaść albo co tam jeszcze... Poznaje to po tym, że często unosi się swobodnie w powietrzu. Szybkuje. Porusza się torem balistycznym. Nic nie szkodzi. To także jest część pracy, mówi sobie. Sprytorolki są w tym dobre. Drzewa mają granatowoczarny kolor i trudno je dostrzec na granatowoczarnym tle. Jedyne światło, jakie widzi, pochodzi z laserowego szybkościomierza z przodu deski. Szybkościomierz nic jej nie mówi, bo cyferki zlewają się w czerwony, poszatkowany obłoczek. Radarowe czujniki szybkości próbują właśnie zahaczyć się o coś konkretnego.

Wyłącza szybkościomierz. Pędzi w całkowitej ciemności. Pędzi ku słodkiemu, betonowemu dnu strumienia niczym jakiś czarny anioł, któremu Wszchemocny właśnie podciął skrzydła. Gdy koła trafiają w twarde podłoże, kolana D.U. o mało nie przebijają jej szczęki. Kończy transakcję z grawitacją na niezbyt dużej wysokości i z zawrotną prędkością.

Do zapamiętania: Następnym razem spróbuj skoczyć z jebanego mostu! Znacznie oszczędzisz na czasie.

Bierze ostro zakręt, pochylona tak nisko, że mogłaby zlizywać żółte pasy z asfaltu, a zaraz potem jej KnoktoWizyjne gogle rozświetla multispektralna radiacja. W podczerwieni obóz Falabalów wygląda jak wzbudzona wiatrem słonecznym zorza różowawej mgły, nakrapianej tu i ówdzie białymi rozbłyskami ognisk. Całość spoczywa na ciemno-sinej jezdni, co w tym nierzeczywistym świecie kolorów oznacza, że jezdnia jest zimna. Za wszystkim widać postrzępioną linię horyzontu dżezowej, bo zaimprovizowanej bariery. W technologii wznoszenia barier Falabalowie są naprawdę dobrzy, ale – jak uważa D.U. – każda bariera jest po to, żeby ją obejść, co przed chwilą udowodniła, spadając z nieba w sam środek obozu niczym bombowiec Stealth z kompleksem niższości.

Gdy człowiek znajdzie się już w obozie, tutejsi ludzie mają go w nosie albo zgoła nie zauważają jego obecności. Ci, którzy ją widzą, wcale się tym nie przejmują, jakby co pięć minut mijali ich rozpedzeni Kurierzy. Z dostawą oranżady w proszku. Tak czy inaczej, nikt nie niepokoi D.U. Nikt nic od niej nie chce, choć za chwilę może być inaczej: wystarczyłoby, żeby sprawdzili szczegóły techniczne jej nowej deski. Na

takim sprzecznie nie jeżdżą zwykli Kurierzy.

Płonące ogniska zapewniają wystarczająco dużo światła widzialnego, by to, co się tutaj dzieje, zajaśniało w całej, smętnej krasie. D.U. ma wokół siebie harcerzy cierpiących na demencję, nie dbających o harcerskie sprawności, a nawet o higienę. W podczerwieni, w górnej części gogli, widzi niewyraźne, karminowe twarze zjaw majaczące w cieniu. Nie wypatrzyłaby ich bez pomocy szkieł. Nowe gogle kosztowały ją sporą część pieniędzy zarobionych u Mafii na dostawach narkotyków. Ciekawe, czy właśnie o to chodziło mamie, gdy kazała jej znaleźć sobie jakąś dodatkową pracę?

Niektórzy z tych, których widziała tu ostatnio, zniknęli; jest za to pełno nowych twarzy, których nie rozpoznaje. Paru ludzi występuje w najprawdziwszych kaftanach bezpieczeństwa z taśmy izolacyjnej. Ten najnowszy krzyk mody zarezerwowany jest dla tych, którym odbiło do reszty i tarzają się po ziemi, waląc głowami w asfalt. Kilku innych jest na krawędzi szaleństwa, choć trzymają się nieźle. Pozostali są najzwyczajniej szurnięci, jak typy, które spotyka się nocami na parkingach Pij & Spij.

– Hej, spójrz – krzyczy jeden z nich. – To nasz znajomy Kurier! Witaj, przyjacielu!

D.U. już dawno przygotowała Płynny Kastet, zdjęła nakrętkę i wstrząsnęła przed użyciem. Wokół nadgarstków ma modne obecnie, metalowe mankiety pod wysokim napięciem – na wypadek, gdyby ktoś chciał złapać ją za rękę z zaskoczenia. W rękawie ukrywa zgrabny paralizator. W dzisiejszych czasach tylko tłumoki noszą broń. Kto miałby czas, czekać na efekty użycia pistoletu? Zanim ofiara wykrwawi się na śmierć (bo nikt przy zdrowych zmysłach nie celuje w głowę), może narobić jeszcze sporego bałaganu. A gdy w końcu umiera, zaczynają się prawdziwe komplikacje. Nikt natomiast nie powie złego słowa, gdy go sparaliżujesz na pewien czas. Tak przynajmniej mówią w reklamach.

Więc D.U. nie jest całkiem bezbronna ani nic w tym rodzaju. Wolałaby jednak sama wybierać cel. Dlatego utrzymuje dużą szybkość podróży i szuka ofiary. Najchętniej porozmawiałaby z tą miłą, łysą laską w kostiumie Chanel. Ma szczęście, łysa wciąż tu jest.

– Chodźmy do lasu, człowieku – mówi do niej. – Chciałabym porozmawiać z tobą o tym, co się dzieje z resztką twojego mózgu.

Kobieta uśmiecha się i wstaje z dobroduszną niezdarnością osoby chorej umysłowo, która ma akurat dobry nastrój.

– Lubię o tym rozmawiać – mówi. – Bo w to wierzę.

D.U. nie chce teraz roztrząsać tej kwestii, więc chwyta ją tylko za rękę i prowadzi na wzgórek ku małym, suchym drzewkom, jak najdalej od drogi. W okolicy nie ma żadnych czających się twarzy – tak mówi podczerwień – i powinno być bezpiecznie. Inna rzecz, że ktoś idzie za nią: dwóch ludzi, zauważa ich dopiero teraz. Maszerują lekko, nie patrzą w jej stronę, jakby wybrali się na spacer po lasach w samym środku nocy. Jednym z nich jest Najwyższy Kapłan.

Kobieta ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Jest wysoką, muskularną laską – ładną, ale bez przesady. W szkole średniej mogła grać w koszykówkę, choć z braku ikry sadzali ją na ławce rezerwowych. D.U. każe jej usiąść na głazie wystającym z ciemności.

– Czy masz pojęcie gdzie się znajdujesz? – pyta ją.

– W parku – odpowiada kobieta. – Z przyjaciółmi. Pomagamy szerzyć Słowo.

– Jak się tu dostałaś?

– Z „Enterprise”. Uczymy się tam wielu rzeczy.

– Chodzi ci o Tratwę? Tratwę „Enterprise”? Stamtąd pochodzicie?

– Nie wiem, skąd pochodzimy – mówi. – Czasami mam kłopoty z pamięcią. Ale to nieważne.

– Gdzie byłaś przedtem? Nie wychowałaś się chyba na Tratwie?

– Byłam programistką systemową w 3verse Systems w Mountain View w Kalifornii – odpowiada doskonałym, profesjonalnym angielskim.

– Więc jak się znalazłaś na Tratwie?

– Nie wiem. Moje stare życie skończyło się. Zaczęło się nowe. Teraz jestem tutaj – znów mówi jak dziecko.

– Jaka jest ostatnia rzecz, która zapamiętałaś ze starego życia?

– Pracowałam do późna. Mój komputer nie działał jak należy.

– I to wszystko? To była ostatnia normalna rzecz, jaka ci się przytrafiła?

– Miałam awarię systemu – mówi. – Ujrzałam statykę. A potem byłam bardzo chora. Zabrali mnie do szpitala. Spotkałam tam człowieka, który wszystko mi wytłumaczył. Powiedział mi, że zostałam oczyszczona krwią. I że należę teraz do Słowa. I nagle wszystko nabrało sensu. Wtedy postanowiłam pojechać na Tratwę.

– Ty postanowiłaś, czy ktoś zdecydował za ciebie?

– Po prostu chciałam. Wszyscy z nas tam jeżdżą.

– Kto był z tobą na Tratwie?

– Tacy jak ja.

– Jak ty? W jakim sensie?

– Programiści. Jak ja. Ci, którzy ujrzeli Słowo.

– W komputerach?

– Tak. Czasami w telewizorze.

– Co robiłaś na Tratwie?

Kobieta podciąga rękaw i pokazuje pokłute przedramię.

– Brałaś narkotyki? – pyta D.U.

– Nie... Oddawaliśmy krew.

– Wysysali wam krew?

– Tak. Czasami zajmowaliśmy się programowaniem. Ale tylko niektórzy.

– Jak długo tam byłaś?

– Nie wiem. Przesuwają nas, kiedy nie mogą wbić się w żyłę. Pomagamy przy szerzeniu słowa, przenosimy różne rzeczy, wznosimy barykady. Ale praca nie zajmuje nam dużo czasu, więc śpiewamy piosenki, modlimy się i mówimy ludziom o Słowie.

– Chcesz stąd uciec? Mogę cię stąd wydostać.

– Nie – odpowiada stanowczo. – Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

– Niemożliwe! Miałaś dobrą robotę, byłaś kimś! A teraz jesteś... szmatą, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Wolno, nie czuję się urażona. Nie byłam szczęśliwa, pracując przy komputerach. Nigdy nie myślałam o rzeczach najważniejszych. O Bogu, o raju... O rzeczach duchowych. W Ameryce nie poświęca się im zbyt wiele czasu. Odkłada się je na później. A to naprawdę są najistotniejsze sprawy... nie programowanie komputerów czy zarabianie pieniędzy. Teraz tylko o tym myślę.

D.U. zerka od czasu do czasu na Najwyższego Kapłana i jego kolesia. Przybliżają się, krok po kroku. Są już tak blisko, że D.U. czuje, co jedli na obiad. Kobieta kładzie rękę na ramieniu D.U.

– Chcę, żebyś została ze mną. Zejdziemy na dół, poczęstuję cię czymś orzeźwiającym. Na pewno chce ci się pić.

– Muszę spadać – mówi D.U.

– Nie mogę na to pozwolić – odzywa się Najwyższy Kapłan, wychodząc z cienia. Nie mówi tego ze złością, choć ma stanowczy głos, trochę jak tata D.U. – Podjęłaś złą decyzję.

– A kim ty do cholery jesteś? Wzorem do naśladowania?

– W porządku, nie musisz się ze mną zgadzać. Zejdziemy na dół, usiądziemy przy ognisku i porozmawiamy o tym.

– Mam inny pomysł: zejdziemy z drogi D.U., zanim D.U. naprawdę się wkurwi.

Cała trójka cofa się o krok. Wiedzą, na czym polega współpraca. Najwyższy Kapłan podnosi uspokajająco rękę.

– Przykro mi, jeśli poczułaś się zagrożona.

– Nie co dzień spotyka się takich jak wy, chłopaki – mówi D.U. i przechodzi na podczerwień.

W podczerwieni widzi, że milczący Falabala, ten, który przyszedł z Kapłanem, trzyma w ręku mały przedmiot, bardzo, bardzo gorący.

D.U. włącza szperacz, przygważdża go wąskim, żółtym promieniem. Facet, a raczej jego górna połowa, jest brudny, szary i słabo odbija światło. Ale to, co trzyma w ręku, lśni rubinowo niczym magiczna pałeczka.

To strzykawka. Pełna czerwonego płynu. W podczerwieni widać, że jest ciepły. Ma w strzykawce świeżą krew.

D.U. nie całkiem to rozumie. Po co chodzą po nocy ze strzykawką pełną świeżej krwi? Ale widziała już dosyć.

Płynny Kastet strzela z puszką długim, wąskim, neonowo zielonym strumieniem. Gdy trafia faceta z igłą w twarz, ten pada bezgłośnie, jakby właśnie dostał siekierą w samą nasadę nosa. D.U. nie oszczędza też Najwyższego Kapłana. Dla równowagi. Kobieta stoi nieruchomo, jakby zdziwiona...

Wypada z kanionu z taką szybkością, że gdy wjeżdża między samochody, wcale nie jest od nich wolniejsza. Spunia solidnego nocnego dostawcę sałaty i natychmiast dzwoni do mamy.

– Mamo, posłuchaj. Nie, mamo! Nie pytaj, co to za hałas... Jadę na desce... ulicą... Posłuchaj mnie przez sekundę!

Musi się rozłączyć. Stara jędma. Nie można z nią rozmawiać! Pozostał jej Hiro i wokofon. Połączenie zajmuje kilka minut.

– Halo, halo, halo... – wrzeszczy. Potem słyszy trąbiące auto. Ze słuchawki.

– Halo...

– D.U.

– Jak ci leci? – W sprawach osobistych facet jest opóźniony o całą wieczność. D.U. nie ma zamiaru rozmawiać z nim o swoim samopoczuciu. Słyszy kolejne trąbiące auto. Nie na nią.

– Gdzie jesteś, do cholery?

– Spaceruję ulicami LA.

– W goglach i ze sprzętem?! – I nagle pojmuje straszną prawdę. – Chryste, chyba nie zostałeś

gargulcem?

– No... – W jego głosie słycać wahanie i jakby zażenowanie. Może do tej pory nie zdawał sobie sprawy, kim jest? – Niezupełnie gargulcem... Pamiętasz, jak wściekałaś się na mnie, że wydaję całą forszę na sprzęt komputerowy?

– No...

– Więc doszedłem do wniosku, że wydaję za mało. Kupiłem sobie maszynę, którą można nosić przy pasie. Najmniejszą, jaką robią. Idę ulicą z komputerem na brzuchu. Jest fajnie.

– Jesteś gargulcem.

– No ta... Ale nie mam tony gówna na plecach.

– Jesteś gargulcem. Słuchaj, rozmawiałam z jedną z tych... co się sprzedały.

– No i?

– Powiedziała, że była kiedyś hakerem. Zobaczyła coś dziwnego w komputerze. Potem trochę chorowała i wstąpiła do sekty. Skończyła na Tratwie.

– Na Tratwie! Mów dalej.

– Na „Enterprise”. Hiro, oni pobierają im krew! Wysysają ich! Zarażają ludzi, wstrzykując im krew chorych hakerów! Tych, którym zarastają żyły, jak u ćpunów, puszcza wolno, to znaczy nie całkiem, transportują ich na ląd i zatrudniają u hurtowników.

– Genialnie! – mówi Hiro. – Jesteś genialna.

– Ta laska mówiła jeszcze, że widziała śnieg w komputerze i od tego zachorowała. Wiesz coś o tym?

– Tak. Powiedziała prawdę.

– Prawdę?

– Owszem. Ale nie musisz się tym martwić. To działa tylko na hakerów.

Przez minutę D.U. nie może wydobyć z siebie ani słowa. Tak jest wkurwiona.

– Moja mama jest programistką u Federalów. Ty kutasie, dlaczegoś mi wcześniej nie powiedział!

Pół godziny później jest już na miejscu. Nie traci czasu na przebranie się w dziewczynskie ciuszki, wpada do domu w czarnym, ulicznym uniformie. Rzuci deskę w samym wejściu. Zdejmuje z półki w pokoju jedno z trofeów mamy – ciężki kryształ (tak naprawdę czysty plastik), który dostała kilka lat temu za lizanie dupy federalnemu szefowi i zaliczenie wszystkich testów na wykrywaczu kłamstw. Wchodzi z nim do pracowni, w której siedzi mama.

Jak zwykle. Przed komputerem. Na szczęście nie patrzy w ekran, przegląda jakieś notatki trzymane na kolanach.

Gdy podnosi głowę w jej stronę, D.U. posyła kryształ nad ramieniem mamy wprost w komputer. Nagroda odbija się od blatu stolika i wpada w monitor. Rezultaty są zdumiewające! D.U. podziwia swą celność, a mama przechodzi przez różne stadia wzburzenia emocjonalnego. Co ty masz na sobie? Co to za mundur? Nie mówiłam ci, że kategorycznie zabraniam jazdy na desce po ulicach? I co to w ogóle za zachowanie! Kto ci pozwolił rzucać w tym domu sprzętami?! W dodatku moją nagrodą! Rozbiłaś mi komputer!!! Własność rządu! I co tu się w ogóle dzieje?

D.U. wie, że potrwa to jeszcze kilka minut. Idzie więc do kuchni i spryskuje twarz wodą. Potem nalewa sobie szklankę soku. Mama przez cały czas chodzi za nią i wentyluje płuca nad jej ramieniem.

W końcu poddaje się, pokonana strategią milczenia.

– Uratowałam ci, kurwa, życie – mówi D.U. – Mogłabyś przynajmniej zapytać się, czy nie jestem głodna...

– Co to za język! O czym ty do licha mówisz?

– Gdyby ludzie w twoim... w pewnym wieku... byli choć trochę na bieżąco z tym, co się wokół nich dzieje, nie musielibyśmy, mówię o nas, dzieciakach... podejmować tak drastycznych kroków.

35

Przed twarzą Hiro pojawia się majestatycznie obracająca się Ziemia. Wyciąga rękę i chwyta glob. Obraca go tak, by mieć przed oczami Oregon. Każe mu pozbyć się chmur i w następnej sekundzie ma przed sobą krystaliczny widok gór i wybrzeża.

Właśnie tam, jakieś kilkaset mil od wybrzeży Oregonu, na obliczu morza wyrasta gruzłowaty czyrak. Nie tyle wyrasta, co ropieje, i nie jest to wcale za mocne słowo. Więc ropieje kilkaset mil na południe od Astorii i ropiąc, płynie na południe. To wyjaśnia, dlaczego Juanita poleciała do Astorii przed kilkoma dniami: chciała być bliżej Tratwy. Ale po co? Można tylko zgadywać...

Hiro podnosi głowę i obejmuje wzrokiem całą Ziemię, a potem znów przechodzi do powiększeń. Gdy wyteższa wzrok, odległe obrazy z satelitów geostacjonarnych ustępują miejsca dokładnym powiększeniom,

przekazywanym do komputera CKW z kamer umieszczonych na flotyli nisko fruujących satelitów szpiegowskich. Widok, który ma przed sobą, jest mozaiką zdjęć zrobionych przed góra paroma godzinami.

Patrzy na obszar o średnicy kilku mil. Jego kształt bez przerwy się zmienia, ale w czasie, gdy robiono zdjęcia, przypominał coś w rodzaju grubej nerki. Obszar próbuje przyjąć kształt litery V skierowanej na południe, niczym klucz odlatujących na zimę gęsi, ale jego amorficzność i brak organizacji, a także szумы w systemie sprawiają, że najlepiej opisuje go kształt nerki.

W środku widać parę olbrzymich statków. Jeden z nich jest lotniskowcem „Enterprise”, a drugi jakimś tankowcem. Oba monstra połączone są ze sobą bokami i otoczone przez flotyllę nieco mniejszych jednostek, kontenerowców i frachtowców tworzących tak zwane Jądro.

Reszta to drobnica. Tu i ówdzie widać uprowadzony jacht czy zdezelowany trałowiec. Większość jednostek tworzących Tratwę to zwykłe łodzie: małe stateczki wycieczkowe, sampany, dżonki, dhowy, dingi, tratwy ratunkowe, barki mieszkalne i napędce przygotowane konstrukcje ze styropianu i napełnionych powietrzem metalowych beczek. Dobre pięćdziesiąt procent całości stanowią materiały nie służące do poruszania się na wodzie: liny, kable, deski, siatki i inne śmieci związane razem nad czymś, co ma jakąkolwiek wyporność.

W środku tego wszystkiego siedzi L. Bob Rife. Hiro nie wie dokładnie, co robi Rife ani jaki związek ma z tym wszystkim Juanita. Nadszedł czas, by sprawdzić to na miejscu.

Scott Lagerquist stoi na obrzeżach Motocyklowego Raju Marka Normana 24/7 i czeka. Na horyzoncie pojawia się idący chodnikiem człowiek z mieczami. Pieszy jest rzadkim widokiem w LA, nawet rzadszym niż pieszy z mieczami. Co wcale nie znaczy „nie chcianym”. Każdy, kto wjeżdża do handlu motocyklami, ma – z definicji – samochód, przez co opylenie mu motocykla bywa trudnym zadaniem. Pieszy to bułka z masłem.

– Scott Wilson Lagerquist! – wrzeszczy pieszy z odległości pięćdziesięciu stóp, zmniejszającej się z każdym krokiem. – Jak leci?

– Bajecznie! – odpowiada Scott nieco zbity z tropu. Nie pamięta imienia tego gościa, co może stanowić pewien problem. Nie pamięta również, gdzie i czy w ogóle go widział?

– Cieszę się, że pana widzę – mówi, podbiegając do faceta i ściskając jego rękę. – Minęło tyle czasu od... eee...

– Jest Pinky? – pyta facet.

– Pinky?

– Nooo... Mark. Mark Norman. Nazywaliśmy go Pinky w college'u. Podejrzewam, że dzisiaj nikt już tak na niego nie mówi. Wielki Pinky ma... ile? z pół tuzina przedstawicielstw motocyklowych, trzy McDonaldy i Holiday Inn, nie?

– Nie wiedziałem, że pan Norman zajmuje się również barami szybkiej obsługi.

– Jasne. Ma trzy franszulatory w okolicach Long Beach. Mówiąc szczerze, prowadzi je przez spółkę, więc mogłeś nie słyszeć. Jest dzisiaj?

– Niestety nie. Wyjechał na wakacje.

– No tak. Na Korsykę! Akacyjny Hyatt, pokój 543. Zgadza się. Całkiem o tym zapomniałem.

– Hmmm, przyszedł pan przywitać się z... Pinkym, czy...

– Nieee. Miałem zamiar kupić motocykl.

– Ma się rozumieć! O jaki rodzaj maszyny panu chodzi?

– Miałem na oku taką nową yamahę. Ze sprytkołami nowej generacji...

Scott uśmiecha się ze zrozumieniem. Próbuje robić dobrą minę do przykrej prawdy, którą za chwilę wyjawia.

– Wiem dokładnie, o jaki model panu chodzi. Ale z przykrością muszę panu powiedzieć, że nie mamy ich dzisiaj na składzie.

– Nie macie?

– Nie mamy. To najnowszy model, którego nikt jeszcze nie ma.

– Jesteś pewny? Bo przysięgłbym, że go zamawialiście.

– Niemożliwe!

– Możliwe. Przed miesiącem.

Scott kręci głową i nagle puka się w czoło.

– A niech mnie! – Bo oto na podejździe pojawia się samochód firmowy yamahy z dostawą nowiutkich motocykli.

– Oto i mój motocykl – mówi facet z mieczami. – Zerknij w papiery, sprawdź numer ramy i ściągnij go dla mnie z tej lory.

– Pan Norman zamówił go przed miesiącem?

– Zwierzył mi się w sekrecie, że zamawia ten model na wystawę. I wiesz co? Poczułem wtedy, że wypisane jest na nim moje nazwisko.

– Tak, proszę pana. Doskonale pana rozumiem.

Motocykl zjeżdża z ciężarówki. Jest dokładnie taki, jak opisał go facet z mieczami: czarny, ze sprytkołami i odpowiednim numerem ramy. Piękna maszyna. Przyciąga tłum z całego parkingu – inni sprzedawcy odstawiają kubki z kawą, zdejmują nogi z biurek i wychodzą na dwór, żeby ją obejrzeć. Wygląda jak czarna torpeda. Ma napęd na obydwie koła, bez jaj! Koła są tak nowoczesne, że w zasadzie nie są już kołami – wyglądają jak gigantyczna, odporna na obciążenia wersja sprytorolek używanych przez profesjonalnych rolników; składają się z niezależnie zawieszonych szprych z grubymi przylgami trakcyjnymi na końcach. Z przodu, nad ostro zakończonym nosem motocykla, umieszczony jest pakiet sensorów monitorujących warunki na drodze, decydujących o tym, gdzie i jak umieścić każdą przylgę w czasie jazdy, o ile wysunąć lub skrócić szprychę, jak zmniejszyć lub zwiększyć powierzchnię trakcyjną. Wszystko kontroluje WSO – Wbudowany System Operacyjny – pokładowy komputer z płaskim panelowym ekranem wmontowanym w zbiornik paliwa.

Mówią, że to cacko wyciąga sto dwadzieścia mil, jadąc po tłuczniu. WSO połączony jest z siecią pogodową CKW i wie, kiedy na drodze jest mokro. Aerodynamiczna obudowa jest całkowicie elastyczna, oblicza własny kształt, najodpowiedniejszy dla bieżących warunków pogodowych, szybkości i siły wiatru, zmienia krzywizny wedle potrzeb i otacza jeźdźca niczym nimfomaniakalna kontorcjonistka.

Scott nie ma wątpliwości, że będzie musiał wystawić fakturę. Przyjaciół i zaufany pana Normana na pewno nie zapłaci gotówką. Z drugiej strony każdy prawdziwy, gorąco krwisty diler zżyma się, wystawiając fakturę na tak seksowne cacko, wołające o deszcz pieniędzy. Żeby tylko nie wyszła z tego jakaś chryja... Waha się przez minutę.

Facet z mieczami wpatruje się weń intensywnie, wyczuwa jego nerwowość, jakby słyszał na własne uszy przyspieszone bicie serca Scotta. W ostatniej chwili postanawia być hojny – Scott uwielbia tych, co nie szczędzą grosza – wyciąga kilkaset megadolców i wpłaca je a conto należności. Starczy na skromną prowizję – w zasadzie napiwek – dla Scotta.

A potem zaczyna się. Gościowi odbija w sklepie z osprzętem. Facet wpada w amok! Kupuje cały bajer. Wszystko! Najmodniejsze! Czarny kombinezon z kuloodpornej tkaniny, okrywający ciało od szyi po pięty, z cerzożelowymi ochraniaczami we wszystkich stosownych miejscach i z poduszkami powietrznymi wokół szyi. Nawet ci, którzy na siebie dmuchają, nie kupują do tego kasków.

Facet kombinuje przez chwilę, jak przymocować miecze do nowego stroju, i zbiera się do drogi.

– Coś panu powiem – rzuca Scott, gdy gość siada na nowej maszynie, poprawia miecze i majstruje nieodpowiedzialnie przy WSO. – Wygląda pan na naprawdę zajebistego skurwysyna.

– Dzięki... – Przekręca manetkę i Scott czuje, choć nie słyszy, potęgę silnika. To cacko jest tak zbudowane, że nie traci energii na hałas. – Pozdrów ode mnie swoją małą bratanicę – rzuca i puszcza sprzęgło. Szprychy napinają się, zbierają w sobie i motocykl znika z parkingu, jakby skoczył pół mili w przód na elektrycznych łapach. Scott kręci głową, widząc, jak facet pojawia się nagle na sąsiednim parkingu franszulanu Świątyni NeoWodnika. Po chwili jest już na jezdni, a w następnej sekundzie znika za horyzontem. Pędzi bezgłośnie na północ.

36

Człowiek – dopóki nie skończy dwudziestu pięciu lat – często myśli sobie, że gdyby nie splot okoliczności, to zostałby najbardziej zajebistym skurwysynem na świecie. Że też nie wpadłem na to – myśli – żeby przenieść się do klasztoru w Chinach i przez dziesięć lat uczyć się wytrwale wschodnich sztuk walki. Że też kolumbijscy baronowie narkotykowi – myśli dalej – nie wykończyli mojej rodziny, bo wtedy mógłbym przysiąc im zemstę, że też nie zapadłem na śmiertelną chorobę – marzy – i nie został mi rok życia, bo wtedy mógłbym poświęcić się zwalczaniu ulicznej przestępczości. Że też nie rzuciłem szkoły – konkluduje – i nie pielęgnowałem w sobie zajebistości...

Hiro też tak myślał, dopóki nie spotkał Kruka. W pewnym bardzo konkretnym sensie spotkanie z Krukiem pozbawiło go złudzeń. Teraz nie musi się martwić, że nie został najbardziej zajebistym skurwysynem na świecie. Ta rola jest już zajęta. Jej ukoronowaniem – tym, co stawia prawdziwe, mistrzowskie „zajebiste sukrwysynstwo” poza zasięgiem maluczkich – jest posiadanie bomby wodorowej. Gdyby nie bomba wodorowa, człowiek wciąż mógłby aspirować do tego i owego. Może znalazłby jakąś piętę achillesową Kruka? Może coś by podpatrzył, gdzieś się wślizgnął, podrzucił świnię i wyciął numer? Ale nuklearny parasol Kruka stawia tytuł poza zasięgiem.

No i dobrze. Czasami wystarczy być małym skurwysynkiem. Znać swoje ograniczenia. Zadawalać się tym, co się ma.

Hiro jest już na autostradzie prowadzącej ku górą. Motocykl toczy się pewnie, nic więc nie stoi na przeszkodzie, by odwiedzić biuro. W goglach wciąż widać Ziemię, a raczej jej powiększony kawałek z Tratwą. Hiro kontempluje ów widok, nałożony rozmazanymi barwami na pas autostrady prowadzącej do Oregonu – drogi, którą polyka z szybkością stu czterdziestu mil na godzinę.

Z pewnej odległości Tratwa wygląda na większą, niż jest w istocie. Powiększając ją jeszcze bardziej, pojmuję, że dzieje się tak za sprawą otaczającej ją chmury/plamy wyprodukowanych na miejscu zanieczyszczeń i odpadów, stapiających się z oceanem i atmosferą.

Orbituje wokół Pacyfiku zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Kiedy odpalają kotły na „Enterprise”, mogą dokonywać poprawek w nawigacji, ale tylko niewielkich. Prawdziwa żegluga jest niemożliwa, gdy wlecze się za sobą tyle gówna. Tratwa pływa więc tam, gdzie zanoszą ją wiatry i efekt Coriolisa. Parę lat temu przepływała obok Filipin, Wietnamu, Chin, Syberii i wszędzie brała uchodźców. Potem zahaczyła o Aleuty, popłynęła w dół, wzdłuż wybrzeży Alaski i teraz dryfuje na wysokości miasteczka Port Sherman w Oregonie, w pobliżu granicy z Kalifornią.

Płynąc przez Pacyfik, niesiona prądami Tratwa zostawia tu i ówdzie spore kawałki siebie. Kawałki te trafiają w końcu na brzeg, do miejsc takich jak Santa Barbara, gdzie można podziwiać ich zmyślną konstrukcję i cieszyć oczy widokiem trupów i gołych kości.

Gdy dopłyne do Kalifornii, wejdzie w nową fazę swojego życiowego cyklu. Pozbędzie się dużej części żywego ładunku, gdy setki uchodźców odetną się od okrętu-matki i powiosłują do brzegu. Ci, którzy wpłynęli na te wody, są z definicji najbardziej wartościowym materiałem ludzkim, bo po pierwsze: dotarli na Tratwę; po drugie: przeżyli śmiertelnie niebezpieczny rejs po lodowatych wodach Arktyki; i po trzecie: nie dali się zabić rywalom. Fajni goście, nie ma co... Będzie miło, jak zaczną wylazić z wody wygłodniałymi setkami na prywatne plaże.

Pozbawiony balastu okręt-matka nabierze manewrowości i skręci na Południowy Pacyfik, zmierzając do Indonezji, skąd znów popłynie na północ, rozpoczynając kolejny cykl migracji.

Czerwone mrówki pokonują potężne rzeki, włączając jedna na drugą i zbijając się w kulę, która pływa po wodzie. Wiele odpada i tonie; toną też te, które przez cały czas są zanurzone. Te, które mają dość siły i sprytu, by wspinać się ciągle na wierzchołek kuli, przeżywają. Wiele z nich dopływa na drugi brzeg i dlatego na nic się nie zda wysadzanie mostów w obronie przed ich atakiem. W ten sam sposób uchodźcy pokonują Pacyfik, choć są zbyt biedni, by wykupić sobie bilet na statku czy zaopatrzyć się w zwykłą łódkę. Mniej więcej co pięć lat nowa fala obcokrajowców zalewa Zachodnie Wybrzeże, a wszystko za sprawą powracającego jak jo-jo „Enterprise”.

Od dobrych kilku miesięcy właściciele położonych nad morzem kalifornijskich posiadłości wynajmują ludzi do ochrony, stawiają słupy z latarniami i zasieki wzdłuż linii przyprływu, montują karabiny maszynowe na swoich jachtach. Korzystają z przekazywanego przez CKW na okrągło Raportu o Tratwie, dostają najnowsze iskrówki, prosto z satelity. Dowiedzą się dokładnie, kiedy najnowszy kontyngent dwudziestu pięciu tysięcy wygłodniałych Eurazjatów odetnie się od „Enterprise” i zaczną machać miriadami wiosł, zupełnie jak mrówki odnóżami.

– Czas trochę pokopać – mówi do Bibliotekarza. – Ale tym razem musi wystarczyć nam kontakt werbalny, bo pruję I-5 i muszę uważać na furmanki.

– Będę o tym pamiętał – mówi Bibliotekarz w słuchawkach. – Musi pan zwolnić na południe od Santa Clarita, gdzie drogę tarasuje rozbita ciężarówka, i przy wyjeździe do Tulare, gdzie na lewym pasie jest duża dziura w jezdni.

– Dzięki. A teraz do rzeczy: kim byli ci bogowie? Czy Lagos miał jakieś zdanie na ten temat?

– Lagos uważał, że mogli być magami... to znaczy normalnymi istotami ludzkimi obdarzonymi pewnymi nadprzyrodzonymi mocami... mogli też pochodzić z innych planet...

– Hej, hej! Nie tak szybko. Rozbierzmy to po kolei. Co Lagos miał na myśli, mówiąc o „normalnych ludziach obdarzonych nadprzyrodzonymi mocami”?

– Przyjmijmy, że *nam-shub* Enki istotnie funkcjonował jako wirus. Przyjmijmy, że wymyślił go człowiek o imieniu Enki. Oznacza to, że istota ludzka o imieniu Enki była obdarzona jakimiś zdolnościami lingwistycznymi, które nie mieszczą się w naszym rozumieniu normalności.

– Jak się przejawiały te zdolności? Jaki był ich mechanizm?

– Mogę przedstawić panu jedynie kolejne odnośniki opracowane przez Lagosa.

– Dobra. Przedstawiaj.

– Wiara w magiczną moc języka nie jest niczym niezwykłym, zarówno w literaturze mistycznej, jak i akademickiej. Kabaliści – żydowscy mistycy z Hiszpanii i Palestyny – uważali, że odpowiednie połączenie liter Boskiego Imienia jest w stanie zapewnić nadprzyrodzoną wiedzę i potęgę. Na przykład niejaki Abu Aharon – wczesny kabalista, który przywędrował do Włoch z Bagdadu – dokonywał podobno cudów dzięki mocy Świętego Imienia.

– O jakiej mocy mówimy?

– Większość kabalistów była wyłącznie teoretykami, interesującymi się jedynie medytacją. Ale istnieli

również tak zwani „praktycy Kabały”, którzy próbowali stosować moc Imienia w codziennym życiu.

– Inaczej mówiąc, czarownicy...

– Tak. Owi „praktycy Kabały” używali tak zwanego „alfabetu archanielskiego”, opartego na pochodzących z I wieku naszej ery teurgicznych alfabetach greckich i aramejskich, które przypominały pismo klinowe. Kabaliści nazywali ten alfabet „pismem oka”, ponieważ litery składały się z linii i małych kółek przypominających oczy.

– Jedyneki i zera...

– Niektórzy kabaliści dzielili litery alfabetu według miejsca ich artykulacji w aparacie mowy.

– Rozumiem... Z naszego punktu widzenia starali się znaleźć związek między literą napisaną na kartce a połączeniami nerwowymi odpowiedzialnymi za jej wymowę.

– Tak. Analizując pisownię różnych wyrazów, wyciągali głębokie – jak im się wydawało – wnioski co do ich prawdziwego, wewnętrznego znaczenia i istoty.

– Jeśli tak mówisz...

– Przejdę teraz do omawiania akademickiego aspektu sprawy. Tu, naturalną kolejną rzeczą, literatura jest mniej fantazyjna. Wiele prac poświęcono wyjaśnieniu fenomenu Babel. Nie chodzi tu o wydarzenia w mieście Babel, które większość ludzi uważa za mit, ale o fakt językowej dywergencji. Powstało wiele teorii lingwistycznych, próbujących powiązać wszystkie języki ze sobą.

– Teorii, które Lagos stosował do weryfikacji hipotezy wirusa?

– Owszem. Można wyróżnić tu dwie najważniejsze szkoły: relatywistów i uniwersalistów. W ich opisie posłużę się podsumowaniem George’a Steinera. Według niego relatywiści wierzą, że język nie jest wehikułem myśli, ale determinującym je medium. Wytacza granice poznania. Nasze pojmowanie rzeczy zorganizowane jest wokół przepływu wrażeń przez te granice. Dlatego analiza ewolucji języka jest analizą ewolucji ludzkiego umysłu.

– Dobra, chwytam o co chodzi. A co z uniwersalistami?

– W przeciwieństwie do relatywistów, twierdzących, że języki nie muszą mieć ze sobą nic wspólnego, uniwersaliści wierzą, że wystarczy doprowadzić do końca analizę języków, by przekonać się, że coś je jednak łączy. Więc analizują języki, szukając tego czegoś.

– Znaleźli już coś?

– Nie. Wygląda na to, że od każdej zasady uniwersalnej są jakieś wyjątki.

– Co wyklucza uniwersalistów z gry.

– Niekoniecznie. Tłumaczą to, twierdząc, że wspólne cechy języków są tak głęboko ukryte, iż nie poddają się analizie.

– To tylko wymówka.

– Uniwersalistom chodzi o to, że na pewnym poziomie język jest trybem funkcjonowania mózgu, a ponieważ wszystkie ludzkie mózgi są mniej więcej takie same...

– To nic nie znaczy. Taki sam hardware może obsługiwać różne oprogramowanie.

– Użył pan metafory, której nie rozumiem.

Hiro mija aerodynamiczną ciężarówkę kołyszącą się na boki w silnym wietrze wiejącym od doliny.

– Wyjaśnię ci to: mózg nowo narodzonego Francuza startuje na tym samym poziomie, co mózg nowo narodzonego Anglika. Gdy dorastają, programuje się ich innymi kodami – uczą się różnych języków.

– Owszem. Dlatego według uniwersalistów francuski i angielski, i wszystkie inne języki muszą mieć wspólne cechy, które zakorzeniają się w „głębokiej strukturze” mózgu. Według teorii Chomsky’ego głębokie struktury są wrodzonymi komponentami mózgu, umożliwiającymi mu przeprowadzanie pewnych operacji formalnych na łańcuchach symboli. Lub – jak twierdził Emmon Bach sparafrazowany przez Steinera – struktury głębokie są odpowiedzialne za tryb powstawania połączeń w korze mózgowej; połączeń, które z jednej strony są niewyobrażalnie rozgałęzione, a z drugiej tworzą „zaprogramowaną” sieć kanałów elektrochemicznych i neurofizjologicznych.

– Ale te głębokie struktury są tak głębokie, że nikt ich jeszcze nie odkrył?

– Uniwersaliści umieszczają aktywne węzły życia lingwistycznego – strukturę głęboką – tak daleko, że nie można poddać ich obserwacji czy opisowi. Posłużę się porównaniem Steinera: każda istota mieszkająca w głębi mórz, po wyciągnięciu na powierzchnię rozpada się lub deformuje w sposób groteskowy.

– Morski wąż, he? Czyją stronę brał Lagos: uniwersalistów czy relatywistów?

– Uważał, że na dobrą sprawę nie ma między nimi różnic. W obu przypadkach doprowadzenie teorii do końca graniczy z mistycyzmem. Twierdził, że jedni i drudzy znaleźli się w tym samym miejscu, dochodząc do niego innymi drogami.

– Według mnie istnieje jednak pewna zasadnicza różnica między obiema szkołami – mówi Hiro. – Uniwersaliści twierdzą, że jesteśmy zdeterminowani przez wrodzoną strukturę mózgu: połączenia w korze. Relatywiści nie wierzą, że podlegamy ograniczeniom.

– Lagos zmodyfikował ścisłą teorię Chomsky’ego, twierdząc, że nauka języka jest jak wbijanie kodów do komputerowego PROM-u. Przyznaję, że nie pojmuję tej analogii.

– To proste. PROM to chip z programowalną pamięcią tylko do odczytu – mówi Hiro. – Kiedy komputer wychodzi z fabryki, chip PROM jest pusty. Można na nim umieścić informacje, ale tylko raz. Nie da się tego powtórzyć, bo chip się unieczynnia. Informacja... program jest zamrożony na chipie, który tym samym zamienia się w hardware. Po wbiciu kodu do PROM-u można go odczytać, ale nie można go zmienić, nie można na nim pisać. Lagos twierdził zatem, że mózg nowo narodzonego człowieka nie ma jeszcze struktury – jak powiedzieliby relatywiści – więc gdy dziecko uczy się języka, rozwijający się mózg, buduje wokół niego stosowną konstrukcję. Język „wbija się” do hardware’u i staje się permanentną częścią głębokiej struktury mózgu, co, jak sądzę, zadowoliliby uniwersalistów.

– Tak... Lagos ujął to podobnie.

– Rozumiem, że kiedy mówił o Enki jako o normalnej istocie ludzkiej obdarzonej nadprzyrodzonymi mocami, chodziło mu o to, że Enki w taki czy inny sposób dowiedział się, na czym polega związek między językiem a mózgiem, i nauczył się go wykorzystywać. Podobnie działa haker, który znając sekrety systemu komputerowego, pisze kontrolujące go kody – cyfrowe *nam-shuby*.

– Lagos mówił, że Enki posiadał umiejętność wchodzenia do wszechświata języka i oglądania go własnymi oczyma. Podobnie jak ludzie wchodzący do Metawersu. To dało mu moc tworzenia *nam-shubów*, które z kolei miały moc przekształcania funkcji mózgu i ciała.

– Dlaczego dzisiaj nikt czegoś takiego nie robi? Dlaczego w angielskim nie ma ładnych *nam-shubów*?

– Nie wszystkie języki są takie same, jak wykazał Steiner. Niektóre z nich lepiej od innych spełniają funkcje metaforyczne. Hebrajski, aramejski, grecki i chiński doskonale nadają się do gry słowami, przez co uzyskały trwałe wpływy na rzeczywistość: „W Palestynie mieli Qiryat Sefer – «Miasto Liter», a w Syrii Byblos – «Miasto Książek». W porównaniu z cywilizacjami posługującymi się tymi językami, inne wydają się «nieme» czy – jak w przypadku Egiptu – nie całkiem świadome twórczej i transformacyjnej potęgi języka”. Lagos uważał, że sumeryjski był niezwykle potężnym językiem – przynajmniej przed pięcioma tysiącami lat.

– To znaczy, że był to język, który doskonale nadawał się do neurolingwistycznego hakerstwa Enki.

– Wcześni lingwiści, podobnie jak kabaliści, wierzyli w istnienie fikcyjnego języka Edenu – mowy Adama. Język ten sprawiał, że wszyscy rozumieli się doskonale, że komunikowali się bez przekłamań. Był to język Logosu – słowa, przy pomocy którego Bóg stworzył świat. W języku Edenu nazwanie jakiejś rzeczy równało się z jej stworzeniem. By znów zacytować Steinera: „Nasza mowa tkwi między pojmowaniem a prawdą niczym brudna szyba albo wykrzywione lustro. Język Edenu był natomiast idealnie czystą taflą szkła, przez którą przenikało światło całkowitego zrozumienia. Dlatego Babel był drugim Upadkiem”. A Izaak Słupy – wczesny kabalista – powiedział... cytuję za tłumaczeniem Gershoma Scholema: „Mowa ludzka łączy się z mową boską, a wszystkie języki, już to niebiańskie, już to ludzkie, pochodzą z jednego źródła: Boskiego Imienia”. Praktycy kabały, czarownicy, nosili miano Ba'al Shem oznaczające „mistrza boskiego imienia”.

– Cały świat mówił językiem maszyny... – myśli głośno Hiro.

– Czy to kolejne porównanie?

– Język maszyny to mowa, przy pomocy której porozumiewają się komputery – tłumaczy. – Zapisuje się ją jedynekami i zerami, kodem binarnym. Wszystkie komputery są zaprogramowane, na najniższym poziomie, łańcuchami jedynek i zer. Programując w języku maszyny, kontrolujesz komputer w jego rdzeniu mózgowym – u podstawy jego egzystencji. W tym sensie jest to język Edenu. Ale praca nad językiem maszyny jest bardzo trudna, po jakimś czasie odbija ci szajba od zmagania się z rzeczami najprostszymi. Dlatego powstał cały Babel języków programistów: FORTRAN, BASIC, COBOL, LISP, Pascal, C, PROLOG, FORTH. Rozmawiasz z komputerem w jednym z tych języków, a kawałek oprogramowania nazywany kompilatorem przekształca to na język maszyny. Z tym, że tak naprawdę nigdy nie wiadomo do końca, co robi kompilator. Nie wszystko wychodzi tak, jakbyś chciał. Pojawia się brudna szyba albo wykrzywione lustro. Doświadczony haker zaczyna rozumieć po jakimś czasie prawdziwe, wewnętrzne działania maszyny: umie przejrzeć na wylot język, w którym pisze, i potrafi dostrzec za nim sekrety funkcjonowania kodu binarnego. Staje się kimś w rodzaju Ba'al Shema.

– Lagos uważał, że legendy o języku Edenu odzwierciedlały, w sposób zniekształcony rzecz jasna, prawdziwe wydarzenia – mówi Bibliotekarz. – Były wyrazem nostalgii za czasami, w których wszyscy mówili po sumeryjsku; posługiwali się językiem przewyższającym wszystkie inne, które nastąpiły później.

– Sumeryjski był naprawdę taki dobry?

– Współcześni lingwiści nic na ten temat nie wiedzą – odpowiada Bibliotekarz. – Wspomniałem już, że rekonstrukcja tego języka jest prawie niemożliwa. Lagos podejrzewał, że w tamtych czasach słowa miały inne działanie. Jeśli przyjąć, że język ojczysty człowieka wpływa na fizyczną strukturę jego rozwijającego się mózgu, to można zaryzykować stwierdzenie, że Sumerowie – porozumiewający się językiem radykalnie innym od tych, które istnieją dzisiaj – mieli mózgi zasadniczo różniące się od współczesnych. Lagos uważał, że z tego powodu sumeryjski idealnie nadawał się do tworzenia i rozprzestrzeniania wirusów, że wirus wpuszczony do sumeryjskiego rozprzestrzenił się gwałtownie i złośliwie, dopóki nie zaraził wszystkich.

– Może Enki też o tym wiedział – mówi Hiro. – Może *nam-shub* Enki nie był ostatecznie taki zły. Może

Mama D.U. pracuje w Fedlądzie. Zaparkowała swój mały samochodzik na małej, numerowanej kopercie, za którą Federalowie każą jej płacić mniej więcej dziesiątą część pensji (jeśli nie chce, może jeździć do pracy taksówką albo przychodzić pieszo). Zaparkowawszy, ruszyła do góry ciągnącą się przez wiele poziomów, oświetloną reflektorami i wykonaną z żelbetonu spiralą, przy której lepsze miejsca parkingowe – te, znajdujące się bliżej powierzchni – są zarezerwowane dla innych i zazwyczaj puste. Wspina się zawsze środkiem rampy, między rzędami aut, żeby chłopcy z GWKOO nie pomyśleli sobie, że się czai, wałęsa, kryje, marudzi czy pali.

Dotarłszy do podziemnego wejścia do budynku, wyjęła z kieszeni wszystkie metalowe przedmioty, zdjęła skromną biżuterię i wrzuciła wszystko do brudnego, plastikowego pojemnika, po czym przeszła przez bramkę detektora. Dalej pokazała odznakę. Wpisała swoje nazwisko i odnotowała w pamięci wyświetlaną cyfrowo godzinę. Podała się kontroli osobistej przeprowadzanej przez dziewczynę z GWKOO. (Irytujące, ale o niebo lepsze od kontroli otworów. Jej pracodawcy mają prawo do kontroli otworów zawsze, gdy przyjdzie im na to ochota. Kiedyś kontrolowali jej otwory codziennie przez miesiąc. Było to po tym, jak zabrała głos na konferencji i stwierdziła, że jej przełożona być może nie ma racji w sprawie dużego projektu programowego. Spotkała ją złośliwa kara – doskonale o tym wiedziała – ale gdy pracuje się dla dobra kraju, co jest równoznaczne z pracą dla Federalów, przyjmuje się do wiadomości fakt istnienia takich czy innych układów politycznych. Zawsze było tak, że ci na najniższych szczeblach najmocniej dostawali po głowie. Dlatego priorytetem każdego zatrudnionego w Systemie Rządowym jest jak najszybsze wspinanie się w hierarchii SR. Im wyżej w hierarchii SR, tym mniej gówna zwala ci się na głowę. Mama D.U. oczywiście nie kłóci się z przełożonymi. Co prawda, jej przełożona, Marietta, nie osiągnęła jeszcze kosmicznego poziomu w hierarchii SR, ale ma dostęp. Ma koneksje. Zna ludzi, którzy znają innych ludzi. Chodzi na cocktaile, na których bywają tacy, z którymi trzeba się liczyć, i od których widoku oczy wyłażą na wierzch).

Przeszła przez rewizję u kolibra. Schowała metalowe rzeczy do kieszeni. Wspięła się ciągnącą się przez pół tuzina pięter klatką schodową i stanęła na swoim piętrze. Windy jeszcze działają, ale pewni bardzo wysoko postawieni ludzie w Fedlądzie dali do zrozumienia – oczywiście nieoficjalnie, niemniej kategorycznie – że obowiązkiem wszystkich pracowników jest oszczędzanie energii. A Federalowie mają bardzo poważny stosunek do obowiązków. Obowiązek, lojalność, odpowiedzialność – to kolagen, który spaja nas w Stany Zjednoczone Ameryki. Dlatego na schodach pełno jest przepoconych wełnianych garniturów i skrzypiących skórzanych butów. Można oczywiście skorzystać z windy – nikt nie powie ci złego słowa, ale zostanie to zauważone. Zauważone, zapisane i wzięte pod uwagę. Zaczną ci się przyglądać, omiatać cię wzrokiem, jakby pytali: „No, co się stało? Zwichnęłaś sobie kostkę?” Dlatego lepiej iść schodami.

Federalowie nie palą. Federalowie się nie obżerają (generalnie). Ubezpieczenie zdrowotne jest bardzo konkretne i bezwzględnie zachęca do zdrowego trybu życia. Masz nadwagę, sapisz na schodach – nikt nie powie ci złego słowa, bo byłoby to nie na miejscu, ale zaczynasz odczuwać określoną presję, masz poczucie, że przestajesz pasować, i gdy idziesz wśród morza biurek, wodzą za tobą oczami, oceniają masę twoich juków, wymieniają się spojrzeniami i – za obopólną zgodą – uwagami w stylu: „Znów nie dopiszą nam premii do ubezpieczenia”.

Mama D.U. wspięła się po schodach, stukając przepisowym, czarnym obuwiem na słupku i weszła do swojego biura – dużej sali wypełnionej rzędami komputerowych stacji roboczych. Kiedyś były tu przegródki, ale nie podobało się to chłopcom z GWKOO, którzy zadali kierownictwu jedno proste pytanie: „A co będzie, jak dojdzie do ewakuacji?” Przegródki przyczynią się do wzrostu paniki. Precz z przegródkami! Wystarczą stacje robocze i krzesła. Nie ma nawet biurek. Biurka zachęcają do korzystania z papieru, który jest archaiczny i odzwierciedla brak ducha zespołowego. No bo cóż takiego jest w twojej pracy, że musisz zapisać to na papierze przeznaczonym tylko dla twoich oczu? I musisz zamykać to w biurku? Kiedy pracujesz dla Federalów, wszystko, co robisz, jest własnością Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wykonujesz pracę na komputerze. Komputer ma kopię każdej wykonanej przez ciebie roboty, więc kiedy zachorujesz albo coś ci się stanie, twoi współpracownicy i przełożeni z łatwością przejmą twoje obowiązki. Jeśli chcesz sporządzać notatki albo gawędzić sobie przez telefon, nikt nie zabrania ci robić tego w domu w tak zwanym czasie wolnym.

Podstawowe znaczenie ma kwestia substytucji. Pracownicy federalni, podobnie jak żołnierze, muszą być wymienni. Zepsuła ci się stacja robocza? I co, masz zamiar siedzieć przed nią i zbijać bąki, dopóki jej nie naprawią? O nie, mój panie. Przechodzisz do pierwszej wolnej stacji roboczej i zabierasz się do pracy. Taka

elastyczność nie jest możliwa, gdy chowasz w biurku pół tony papierów, bez których nie możesz się obejść.

W biurach federalnych nie ma ładnego papieru. Wszystkie stacje robocze są takie same. Przychodzisz rano do pracy, wybierasz pierwszą z brzegu, siadasz i wykonujesz to, co do Ciebie należy. Możesz oczywiście przyzwyczaić się do którejś ze stacji, możesz siadać przy niej przez tydzień pod rząd, ale zostanie to zauważone. Z zasady wybierasz więc pierwszą wolną stację znajdującą się najbliżej drzwi. W ten sposób ci, którzy przychodzą pierwsi, siedzą najbliżej wyjścia, a ci, którzy się spóźniają, siedzą w najdalszych kątach. Dzięki temu wiadomo, kto się stara w tym biurze, a kto – jak szepczą w łazienkach – ma ze sobą problemy.

Zresztą i tak wiadomo, kto przychodzi pierwszy – to żaden sekret. Kiedy logujesz się w stacji roboczej rano, fakt ten jest odnotowywany przez centralny komputer. Centralny komputer odnotowuje niemal wszystko. Pamięta każdy klawisz, w który uderzyłeś na klawiaturze każdego dnia pracy; pamięta dokładny czas uderzenia, co do milisekundy; wie, czy klawisz był zły, czy dobry; wie, ile błędów popełniasz, jeśli je popełniasz.

Wymaga się od Ciebie pracy od ósmej do piątej z półgodzienną przerwą na lunch i dwiema dziesięciominutowymi przerwami na kawę. Ale gdybyś trzymał się takich godzin pracy, z pewnością zostałoby to zauważone i dlatego mama D.U. zajmuje miejsce przed pierwszą wolną stacją roboczą, i loguje się do komputera za kwadrans siódma. W biurze siedzi już przed komputerami stojącymi najbliżej wyjścia z pół tuzina pilniejszych od niej, ale i tak ma niezły wynik. Mając takie osiągnięcia, może liczyć na stosunkowo stabilną i bezpieczną karierę.

Federalowie nadal pracują w dwóch wymiarach. Nie marzą nawet o goglach czy stereofonicznym dźwięku. Wszystkie komputery mają najprostsze, płaskie ekrany. Na wirtualnych biurkach leżą szare teczki, które po otwarciu zamieniają się w małe okienka zawierające głównie dokumenty tekstowe. Wszystko to stanowi element programu oszczędnościowego, który – może już niedługo – przyniesie zdumiewające efekty.

Mama D.U. loguje się i sprawdza pocztę. Nie ma w niej listów osobistych, jest za to jak zwykle kilka okólników od Marietty.

NOWE ROZPORZĄDZENIE W SPRAWIE WSPÓLNEGO KORZYSTANIA Z PT

Niniejszym przedstawiam nowy regulamin dotyczący wspólnych przedsięwzięć biurowych. Załączony okólnik należy potraktować jako nowy podrozdział Kodeksu Proceduralnego GWKOO, zastępujący stary podrozdział zatytułowany: ZASOBY LUDZKIE / KALIFORNIA / LOS ANGELES / BUDYNKI / OBSZARY BIUROWE / REGULAMIN ADMINISTROWANIA OSOBAMI FIZYCZNYMI / SPRAWY PRACOWNICZE / WSPÓLNE PRZEDSIĘWZIĘCIA BIUROWE.

W starym podrozdziale czytamy „zabrania się wykorzystywania przestrzeni i czasu biurowego dla wspólnych przedsięwzięć pracowniczych o charakterze permanentnym (np. wspólne picie kawy) lub okazjonalnym (np. urządzenie przyjęć urodzinowych)”.

Przypominam, że zakaz ten nadal obowiązuje z jednym, nowym wyjątkiem odnoszącym się do biur gotowych podjąć wspólną strategię korzystania z papieru toaletowego.

Tytułem wprowadzenia przedstawiam kilka uwag ogólnych dotyczących ww. tematu.

Problem dystrybucji ww. materiału wśród pracowników stanowi poważne wyzwanie dla każdego systemu zarządzania zasobami ludzkimi ze względu na immanentną nieprzewidywalność zużycia ww. materiału: nie każda transakcja – przez jaką rozumie się korzystanie z ustępów pracowniczych – pociąga za sobą konieczność korzystania z ww. materiału, a gdy zachodzi taka konieczność, ilość zużytego materiału (w przeliczeniu na Jednostki Perforacyjne) może różnić się w zależności od osoby fizycznej, a nawet w przypadku jednej i tej samej osoby fizycznej, od transakcji do transakcji. Rozróżnienie to pomija okazjonalne korzystanie z ww. materiału w celach niezgodnych z jego przeznaczeniem, a obejmujących takie kategorie czynności jak np. usuwanie kosmetyków, płam od napojów itp. Z tego i innych powodów ww. materiał nie jest pakowany w małe pakiety przeznaczone do jednej transakcji (jak czyni się to np. z wilgotnymi chusteczkami higienicznymi) – co w niektórych przypadkach mogłoby pociągać za sobą karygodne marnotrawstwo w dystrybucji ww. materiału, a w innych doprowadzać do stresujących ograniczeń – ale tradycyjnie rozprowadza się go w Wielowarstwowych Jednostkach Dystrybucyjnych, których rozmiary przewyższają znacznie maksymalną liczbę Jednostek Perforacyjnych używanych zazwyczaj podczas jednej transakcji (wyłączywszy force majeure). Taki, a nie inny sposób rozprowadzania ww. materiału redukuje do minimum liczbę transakcji, podczas których mogłoby dojść do wyczerpania WJD (tzn. skończenia rolki), co niewątpliwie pociągałoby za sobą emocjonalny dyskomfort osoby fizycznej dokonującej transakcji, a w warunkach zarządzania zasobami ludzkimi – pracownika danej jednostki organizacyjnej. Niemniej jednak sytuacja ta stawia poważne wyzwania przed osobami odpowiedzialnymi za zarządzanie zasobami ludzkimi, polegające na: a) odpowiednim przewidywaniu i zabezpieczeniu objętościowego wykorzystywania WJD; b) przeciwdziałaniu marnotrawstwu w warunkach braku nadzorowanego dokonywania transakcji przez określoną liczbę osób fizycznych.

Od czasu implementacji Fazy XVII Programu Oszczędnościowego, pracownicy tut. jednostki otrzymali pozwolenie na przynoszenie PT z domu. To podejście wydaje się redundantne w kategoriach statystycznych, przypisując jedną WJD jednemu pracownikowi.

Niektóre tut. jednostki biurowe odpowiedziały na to wyzwanie, stosując wspólną strategię korzystania z PT.

Należy stwierdzić – bez nadmiernego uogólniania – że immanentną i nieuniknioną cechą każdej próby implementacji Wspólnej Strategii Korzystania z PT (WSKzPT) na poziomie biurowym w środowisku (np. budynku), w którym węzły transakcyjne (ustępy) rozmieszczone są według rozkładu piętrowego (tzn. na kilka jednostek biurowych przypada jeden węzeł transakcyjny), jest wydzielenie w ramach każdego biura odpowiedniego pomieszczenia do tymczasowego składowania WJD (tzn. rolek). Wypływa to z założenia, że przy składowaniu WJD (nie wchodzących tymczasowo do puli jednostek transakcyjnych) poza obrębem implementującej WSKzPT jednostki biurowej (tzn. jednostki kolektywnie odpowiedzialnej za zakup WJD), np. w korytarzu lub w węzłach transakcyjnych, w których dochodzi do rzeczywistej aplikacji JP WJD, może dojść do nieregularnego przywłaszczenia lub kradzieży WJD, dokonanej przez osoby nieupoważnione, kierujące się: a) świadomą chęcią uszczuplenia zasobów WSKzPT; b) przekonaniem, iż WJD udostępniana jest w sposób niekontrolowany przez tut. agencję operacyjną (w tym wypadku Rząd Stanów Zjednoczonych); c) rzeczywistą potrzebą np. w przypadku rozlania napoju na sprzęt elektroniczny, co wymaga podjęcia natychmiastowych środków zaradczych. Ww. sytuacja doprowadziła do tego, iż niektóre tut. jednostki biurowe (których nie ma potrzeby wymieniać – wiecie o kogo chodzi, koledzy) stworzyły tymczasowe punkty składowania WJD, połączone z punktami zbierania środków przeznaczanych za zakup WJD we WSKzPT. Zazwyczaj punkty te mają postać stołu usytuowanego najbliżej drzwi prowadzących do węzła transakcyjnego. Na stołach tych przechowuje się lub rozmieszcza WJD oraz podstawki lub inne odbiorniki, do których wkłada się składki i datki uczestników WSKzPT, zaopatrzone najczęściej w napis lub inne środki zwracania uwagi (np. pluszowe zwierzątko lub rysunek), zachęcające do wnoszenia kontrybucji. Tego rodzaju nieregularne przedsięwzięcia i manifestacje stoją w jawnej sprzeczności z Kodeksem Proceduralnym GWKOO, jednak w interesie higieny pracowniczej, morale i ducha zespołowego, moi przełożeni zgodzili się uczynić jednorazowy wyjątek od obowiązującego regulaminu.

Podobnie jak w przypadku wszystkich zmian w Kodeksie Proceduralnym, obowiązkiem pracowników jest dokładne zapoznanie się z ich treścią. Szacunkowy czas odczytu niniejszego dokumentu przewidziano na 15 minut 62 sekundy (każda zwłoka zostanie odnotowana). Polecam uwadze wszystkich pracowników następujące punkty:

1. Zezwala się okresowo na tworzenie punktów wydawania WJD; ostateczna decyzja o ich utrzymaniu bądź zlikwidowaniu zapadnie po sześciomiesięcznym okresie próbnym.

2. Punkty wydawania WJD działają w oparciu o dobrowolną WSKzPT, opisaną jako załącznik do podrozdziału o wspólnych przedsięwzięciach pracowniczych. (Uwaga: Oznacza to konieczność prowadzenia ksiąg: a) przychodów-rozchodów; b) materiałów trwałych).

3. WJD wnoszone są na teren tut. jednostek biurowych przez pracowników (nie wolno przysyłać ich pocztą) i podlegają zwykłemu regulaminowi rewizyjno-kontrolnemu.

4. Zabrania się korzystania z zapachowych WJD, które mogą powodować reakcje alergiczne (np. katary, opryszczki) u niektórych pracowników.

5. Składki i kontrybucje muszą być dokonywane – jak wszystkie transakcje monetarne przeprowadzane na obszarze jurysdykcji Rządu Stanów Zjednoczonych – w oficjalnej walucie Stanów Zjednoczonych (nie zezwala się na operowanie jenami i innymi nieuprawnionymi środkami dewizowymi).

Ad 5. Kierownictwo tut. jednostki biurowej zdaje sobie sprawę, że część pracowników potraktuje ów zakaz jako wspaniałą sposobność pozbycia się grubych zwitków starych banknotów o nominalach od miliarda do trylionów dolarów. Zarząd Budynków i Terenów zaalarmował osoby odpowiedzialne za zarządzanie zasobami ludzkimi o potencjalnych niebezpieczeństwach składowania w jednym miejscu tak dużych ilości materiałów łatwopalnych, dlatego dodatkowo poleca się opróżniać odbiorniki na składki przynajmniej raz dziennie, a nawet częściej jeśli zajdzie taka konieczność.

ZBiT wydał okólnik skierowany do tych, którzy posiadają nadmierną ilość amerykańskich środków płatniczych i wbrew prawu korzystają z nich jako z zamiennika PT. ZBiT apeluje o rozagę, ponieważ działania takie – oprócz kary przewidzianej kodeksem za niszczenie banknotów federalnych – prowadzą do:

- a. zapychania się instalacji kanalizacyjnych;
- b. zanieczyszczenia środowiska, co wyczerpuje znamiona kolejnych paragrafów federalnego kodeksu karnego.

TEGO ROBIĆ NIE WOLNO

Zamiast niszczyć banknoty, przystępujcie do WSKzPT, która jest łatwa, higieniczna i legalna!

Powodzenia w pracy!
Marietta.

Mama D.U. otwiera zatem nowy podrozdział Kodeksu Proceduralnego, sprawdza czas i zaczyna czytać. Ma na to 15 minut i 62 sekundy. Później (około 21.00), kiedy Marietta, siedząc w swoim prywatnym biurze, zabierze się za statystyczne podsumowanie dnia, na ekranie jej komputera pojawi się nazwisko każdego pracownika, a obok niego ilość czasu poświęcona na czytanie nowych rozporządzeń. Marietta sporządzi z tego notatkę służbową w mniej więcej takiej postaci:

Mniej niż 10 min. Odbyć rozmowę służbową z pracownikiem (możliwość udzielenia nagany).

10-14 min. Zwrócić uwagę na tego pracownika (lekceważenie obowiązków?).

14-15.61 min. Pracownik stara się być sumienny (może niekiedy przeoczyć ważne szczegóły).

Dokładnie 15.62 min. Spryciarz (odbyć rozmowę).

15.63-16 min. Łamaga (nie ufać!).

16-18 min. Pracownik metodyczny (może nie rozumieć drobnych szczegółów).

Ponad 18 min. Sprawdzić taśmę wideo z nagraniem roboczegodzin (mógł urządzić sobie nieuprawnioną przerwę).

Mama D.U. postanawia, że poświęci na czytanie rozporządzenia od czternastu do piętnastu minut. Młodzi pracownicy powinni czytać dłużej, by wykazać się pilnością i nie dać podstaw do zarzutów o lekceważenie obowiązków. Starsi pracownicy powinni czytać szybciej, by wykazać się potencjałem w zarządzaniu. Mama D.U. zbliża się do czterdziestki. Przegląda rozporządzenie, naciskając klawisz „DÓŁ STRONY” w równomiernych interwałach, a od czasu do czasu cofa się w „GÓRĘ STRONY”, udając, że czyta ponownie interesujący ją fragment materiału. Komputer wszystko zapamięta. Popiera powtórne czytanie. Niby to drobiazg, ale po dziesięciu latach pracy zamienia się w czarną plamę na wydruku nawyków pracowniczych.

Uporawszy się z rozporządzeniem, mama D.U. zabiera się do pracy. Zajmuje się programowaniem aplikacji dla Federalistów. W dawnych czasach zarabiała na życie, pisząc całe programy komputerowe. Teraz pisze tylko ich fragmenty. Całe programy są projektowane przez Mariettę i jej przełożonych podczas długich, trwających nawet i tydzień posiedzeń, odbywających się na górnych piętrach. Gdy zaprojektują już jakiś program, dzielą go na drobnutkie segmenty, które przydzielają kierownikom zmian, a ci z kolei dzielą owe segmenty na drobne aplikacje, które przekazują programistom. Po to, by praca programistów nie kolidowała ze sobą, wszystko odbywa się zgodnie z przepisami i rozporządzeniami, których stopień złożoności i zmienność przewyższa nawet Kodeks Procedur Rządu Stanów Zjednoczonych.

Tak więc, pierwszą rzeczą, jaką robi mama D.U. po przeczytaniu podrozdziału o WSKzPT, jest zalogowanie się do podsystemu głównego systemu operacyjnego komputera. Podsystem ten obsługuje konkretny projekt programowy, nad którym pracuje. Nie ma pojęcia, na czym polega ów projekt – informacja ta jest ŚTSZ (Ścisłe Tajna Specjalnego Znaczenia) – ani jak się nazywa. Jest to po prostu jej projekt. Pracuje nad nim razem z kilkuset innymi programistami, ale nie wie dokładnie z kim. Każdego dnia, gdy loguje się do podsystemu, czeka na nią plik memorandumów zawierających nowe przepisy i zmiany przepisów obowiązujących podczas pisania kodów. Przepisy te są tak skomplikowane i złożone, że rozporządzenie w sprawie PT wygląda przy nich zgrabnie i elegancko jak dziesięć przykazań.

Do jedenastej czyta, przegląda i czyta ze zrozumieniem nowe zmiany w projekcie. Jest ich całe mnóstwo, jak zawsze w poniedziałek. Marietta i jej przełożeni spędzają całe weekendy na kłótniach na wyższych piętrach. Kłóca się o wszystko i wszystko zmieniają.

Uporawszy się z tym, przegląda kody, które napisała wcześniej i sporządza listę wszystkich elementów, które trzeba będzie zmienić po to, by pasowały do nowych specyfikacji. Wygląda na to, że jak zwykle trzeba będzie pisać wszystko od początku. Po raz trzeci w ciągu tyłuż miesiący.

Ale, no cóż... taką ma pracę...

Około jedenastej trzydzieści podnosi głowę i stwierdza z zaskoczeniem, że wokół jej stacji roboczej stoi z pół tuzina ludzi. Oczywiście Marietta, cenzor i paru innych Federalistów. Jest też Leon – facet od poligrafu.

– Miałam test w czwartek – protestuje słabo.

– Czas na następny – mówi Marietta. – Chodź, nie będą na nas czekać.

– Wyprostuj ręce tak, żebym je widział – rzuca cenzor.

Mama D.U. wstaje, opuszcza wyprostowane ręce do boków i zaczyna iść. Wychodzi z biura. Nikt z pozostałych pracowników nie podnosi głowy. Nie wolno. Z drugiej strony nie oznacza to wcale braku wrażliwości na los kolegi/koleżanki wybranych do testu i przeżywających chwile grozy. Dlaczego? Bo poligraf to styl życia Federalistów.

Mama D.U. słyszy skrzypiące buty cenzora za swoimi plecami. Cenzor idzie dwa kroki za nią i wpatruje się w jej ręce, które robią czasami różne głupstwa, na przykład wsadzają do ust valium albo coś innego, co zniekształca wyniki testu.

Zatrzymuje się przed drzwiami toalety. Cenzor staje przed nią, otwiera drzwi i wpuszcza ją do środka. Sam też wchodzi.

Ostatnia kabina z lewej strony jest większa od innych, może swobodnie pomieścić dwie osoby. Mama D.U. wchodzi do kabiny, a za nią wchodzi cenzor, który zamyka drzwi na zamek. Mama D.U. ściąga rajstopy do kolan, podnosi spódnice, kuca nad nocnikiem i siusia. Cenzor przygląda się każdej kropli wpadającej do nocnika, a gdy mama D.U. kończy, podnosi nocnik i przelewa jego zawartość do plastikowej butelki oznaczonej stosownym nazwiskiem oraz godziną i datą.

Wychodzą na korytarz – mama D.U. i cenzor. Idąc na test na wykrywaczu kłamstw, można korzystać z windy. Zapobiega to sapaniu i poceniu się, które zniekształcają wyniki testu.

Kiedyś był to zwykły pokój biurowy z krzesłem i instrumentami rozłożonymi na biurku. Ostatnio jednak Rząd Federalny kupił nowoczesny system do przeprowadzania testów. Teraz wygląda tu jak w laboratorium medycznym na pokładzie promu kosmicznego. Sala została całkowicie przebudowana, nie ma w niej śladu dawnej prostoty. Okna są zasłonięte, wszystko jest gładkie, beżowe i pachnie szpitalem. Krzesło zostało i stoi na samym środku pokoju. Mama D.U. podchodzi do krzesła, siada i kładzie ramiona na oparciach. Palce i dłonie opuszcza na specjalnie przygotowane w tym celu wgłębienia. Neoprenowa pięść rękawa do mierzenia ciśnienia rzuca się ku niej na ślepo, odnajduje ramię i chwytka je mocno. W sali przygasają światła, zamykają się drzwi. Jest sama. Na jej głowę opuszcza się korona cierniowa, czuje przez włosy ukłucia elektrod, wyczuwa chłodne powietrze spływające na jej ramiona z nadprzewodnika kwantowego urządzenia interferencyjnego, służącego jako radar badający jej mózg. Gdzieś za ścianą personel techniczny siada przed pulpitem kontrolnym, wpatrując się w szerokoekranowe powiększenie jej źrenic.

Czuje piekące ukłucie w przedramię i domyśla się, że coś jej wstrzyknęli – co oznacza, że nie jest to zwykły test na poligrafie. Dziś przygotowali dla niej coś specjalnego. Pieczenie rozchodzi się po całym ciele, serce zaczyna łomotać, oczy łzawią. Wstrzyknęli jej kofeinę na pobudzenie, na rozmowność...

Na dzisiaj już koniec z pracą. Takie badania trwają nawet i dwanaście godzin.

– Jak się nazywasz – pyta głos. Jest nienaturalnie spokojny i płynny. Pochodzi z komputera. Dzięki temu wszystko, co się do niej mówi, brzmi obojętnie, pozbawione jest zawartości emocjonalnej, a ona nie ma szans domyślić się, jak przebiega przesłuchanie.

Kofeina w połączeniu z innymi rzeczami, które jej wstrzyknęli, mąci jej poczucie czasu.

Mama D.U. nienawidzi tego, ale każdy, kto pracuje dla Federalistów, przechodzi przez to od czasu do czasu. Samemu wyraża się na to zgodę, składając podpis w odpowiednim miejscu. W pewnym sensie stanowi to powód do dumy, niczym odznaka honorowego krwiodawcy. Pracownicy federalni wkładają w to serce. Bo gdyby tego nie robili i tak wszystko wyszłoby na jaw przy kolejnej wizycie w tym pokoju.

Padają pytania – w większości bezsensowne, na przykład: „Czy byłaś kiedyś w Szkocji?”, „Czy biały chleb jest droższy od razowego?” Pytania te mają na celu uspokojenie przesłuchiwanego, a także przetestowanie systemu. Później wyrzuca się wszystkie odpowiedzi z pierwszej godziny przesłuchania lub wlicza się je do szumów.

Mama D.U. odpręża się nieco. Mówią, że po kilku testach na poligrafie człowiek wie, jak się odprężyć, i wszystko idzie sprawniej. Krzesło podtrzymuje ją w odpowiedniej pozycji, kofeina nie pozwala jej zasnąć, brak bodźców zewnętrznych oczyszcza jej umysł.

– Czy twoja córka używa imienia?

– Nie.

– Jakim przezwiskiem się posługuje?

– D.U.

– Jak zwracasz się do córki?

– Używam jej... ksywy. D.U. Upiera się przy tym.

– Czy D.U. ma jakąś pracę?

– Tak. Pracuje jako Kurier. Dla Radiksu.

– Ile pieniędzy zarabia D.U. jako Kurier?

– Nie mam pojęcia. Kilka dolarów od czasu do czasu...

– Jak często kupuje nowy sprzęt potrzebny jej do pracy?

– Nie wiem. Nie kontroluję tego.

– Czy D.U. zrobiła ostatnio coś niezwykłego?

– To zależy, co przez to rozumieć. – Mama D.U. wie, że użyła wykrętu. – Często robi rzeczy, które

niektórzy uznaliby za niezwykle. – Nie zabrzmiało to zbyt dobrze. Wyszło na to, że popiera zachowania nonkonformistyczne. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że często zachowuje się odmiennie od innych.

– Czy D.U. zniszczyła ostatnio jakieś sprzęty w domu?

– Tak. – Mama D.U. poddaje się. Federalowie już wiedzą o wszystkim. W domu pełno jest pluskiew i ukrytych kamer. Cud, że nie doszło jeszcze do spięcia przez to odrutowanie. – Zniszczyła mój komputer.

– Czy wytłumaczyła, dlaczego zniszczyła komputer?

– Tak. W pewnym sensie. To znaczy, jeśli bzdury można uznać za wytłumaczenie...

– Jak brzmiało jej wytłumaczenie?

– Bała się... to absurdalne... bała się, że mogą złapać komputerowego wirusa.

– Czy bała się również o siebie?

– Nie. Powiedziała, że niebezpieczeństwo grozi tylko programistom.

Dlaczego pytają o to wszystko? Mają przecież nagrania.

– Czy uwierzyłaś w podane przez D.U. wytłumaczenie zniszczenia komputera?

A więc to tak...

To o to im chodzi.

Chcą dowiedzieć się jedynej rzeczy, której nie mogli nagrać – co dzieje się w jej głowie. Chcą wiedzieć, czy uwierzyła w opowieść D.U. o wirusie.

Mama D.U. wie, że popełnia błąd, myśląc o tym wszystkim. Superschlądane czujniki wokół jej głowy wychwytyją ów proces. Nie wiedzą, co prawda, o czym myśli, ale doskonale zdają sobie sprawę, że coś dzieje się w jej mózgu, że używa tę jego część, która była uspiona na początku rozmowy.

Innymi słowy, wiedzą, że analizuje sytuację i próbuje kombinować. Nie robiłaby tego, gdyby nie miała niczego do ukrycia.

– Co chcecie wiedzieć? – pyta. – Dlaczego nie zapytacie mnie o to bezpośrednio? Porozmawiajmy o tym twarzą w twarz. Usiądźmy przy stole jak dorośli ludzie i omówmy tę sprawę.

Czuje kolejne ostre ukłucie w przedramię. Ogarnia ją odrętwienie, jest jej zimno, narkotyk miesza się z krwią. Zaczyna gorzej słyszeć.

– Jak się nazywasz?

39

Alkan – Autostrada Alaskańska – jest najdłuższym fraszulatomym gettem na świecie. To prawdziwe jednowymiarowe miasto o długości dwóch tysięcy mil i szerokości stu stóp, rosnące z szybkością stu mil na rok – lub inaczej – z szybkością parkowania kolejnych wraków na pierwszych wolnych działkach u obrzeży dziewiczych lasów. Dla tych, których nie stać na bilet na samolot lub statek, jest to jedyny pewny sposób opuszczenia Ameryki.

Autostrada ma dwie jezdnie na całej długości. Jest wyasfaltowana – co nie znaczy, że gładka – i zapchana domami na kółkach, rodzinnymi vanami, pickupami i ciężarówkami przerobionymi na domki kempingowe. Zaczyna się gdzieś w połowie Brytyjskiej Kolumbii na skrzyżowaniach Prince George, gdzie spotyka się kilka wcześniejszych dopływów, łączących się w jedną, biegnącą na północ drogę. Niżej, na południu dopływy dzielą się na deltę strumieni, przecinającą granicę amerykańsko-kanadyjską w kilkunastu miejscach i rozciągającą się na przestrzeni pięciuset mil od fiordów Brytyjskiej Kolumbii do pszenicznych farm środkowej Montany. Tam system ten łączy się z amerykańską siecią dróg – falochronem migracji. Ów pięciusetmilowy obszar zajmują niedoszli badacze koła podbiegunowego w wielkich domach na kółkach, dążący optymistycznie ku północy i więcej niż garść wyrzutków, którzy porzucili swoje wraki na północy i wracają autostopem na południe. Wypiętrzone wraki i superciężkie dżipy z napędem na cztery koła wyznaczają tor slalomowy, który Hiro musi pokonać na swoim czarnym motocyklu.

Cholerne napakowane białasy z bronią! Wystarczy, że zbierze się paru takich – szukających Ameryki, w której, jak im się wydaje, dorośli – a już lgną do siebie jak muchy do gówna i tworzą prawdziwe, wyprasowane na kant oddziały partyzanckie. Ze swoimi elektronarzędziami, przenośnymi generatorami, bronią, napędzanymi na cztery koła pojazdami i komputerami osobistymi są jak bobry po anaboliach i maniakalni budowniczy bez planów. Budują coś, rzucają wszystko w cholerę. Zmieniają bieg potężnych rzek i jadą dalej, bo miejsce nie jest już takie jak kiedyś.

Produktem ubocznym takiego stylu życia są zatrute rzeki, efekt cieplarniany, pobite żony, teleewangeliści i seryjni mordercy. Ale dopóki ma się swojego dżipa, który toczy się na północ, można to wytrzymać, można zawsze być krok przed własnymi śmieciami. Za dwadzieścia lat dziesięć milionów białych ludzi zbierze się na biegunie północnym i zaparkuje tam swoje wraki. Ciepło wydzielane przez odpady ich intensywnego termodynamicznie stylu życia zamieni lodową czapę polarną w szwajcarski ser. Dziury w lodzie pochłoną cały ten złom razem z towarzyszącą mu biomasą.

Za drobną opłatą możesz zajechać do franszulatu Pij & Śpij i podłączyć wraka do jednej z licznych pępowni. Magiczne hasło brzmi: „Mamy kable”, co oznacza, że wjeżdżasz na parking, podłączasz się, idziesz spać, rozłączasz się i wyjeżdżasz, nie martwiąc się o paliwo i elektryczność dla swojego drogowego zeppelinu.

Kiedyś ośmielali się twierdzić, że franszulatory tej sieci są zwykłymi polami kempingowymi. Próbowali projektować je w stylu rustykalnym, ale klienci rąbali siekierami znaki z surowego drewna i także stoły, i ławki – używali ich do palenia ognisk. Dzisiaj znaki są bańkami z poliwęglanów, korporacyjna tożsamość miejsca wyziera z każdego kąta, a wszystko jest gładkie i wypolerowane jak urynały, co ma zapobiec zbieraniu się brudu w pęknięciach. Czy ktoś widział pole kempingowe bez domków i namiotów? Co to za pole, na którym nie ma domu, do którego można wrócić?

Po szesnastu godzinach od wyjazdu z Kalifornii Hiro zajecha do Pij & Śpij położonego na wschodnich stokach Gór Kaskadowych w północnym Oregonie. Jest kilkaset mil na północ od miejsca, w którym dryfuje Tratwa, i w dodatku po złej stronie gór, ale jest tu facet, z którym chce porozmawiać.

Są trzy wolne miejsca parkingowe. Jedno bardzo daleko, za zakrętem podziurawionej drogi wytyczonej poprzewracanymi znakami. Drugie trochę bliżej, ale na jego obrzeżach kręcą się jacyś długowłosi, salutujący do księżycy błyszczącymi srebrzyście denkami puszek z piwem. I trzecie przed Ratuszem – pilnują go uzbrojeni strażnicy. Za to miejsce trzeba zapłacić. Hiro postanawia wysupłać trochę grosza. Stawia motocykl przodem do wyjazdu, nastawia program na grzanie silnika (nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba szybko odpalić) i rzuca parę megadolarów strażnikowi. A potem podnosi głowę i obraca nią na wszystkie strony, jak pies węszący za kością. Próbuje namierzyć Polanę.

Kilkaset stóp dalej widzi miejsce, w którym ktoś odważył się rozbić namiot pod księżycem. Ci z namiotu są na pewno najlepiej uzbrojeni albo mają najmniej do stracenia. Hiro rusza w ich stronę i wkrótce dostrzega impregnowany dach rozpięty nad Polaną.

Wszyscy mówią na to Walarenka. Jest to najzwyklejszy kawałek otwartej przestrzeni – dawniej porośnięty trawą, teraz przykryty kolejnymi warstwami zrzucanego z ciężarówek piasku, przemieszanego z odpadkami, potłuczonym szkłem i ludzkimi wydzielinami. Nad tym wszystkim rozpościera się dach chroniący przed deszczem. Pod dachem, co kilka stóp rozstawione są grzyby nadmuchów ciepłego powietrza chroniącego przed zamrożeniem w nocy. Spanie na Polanie jest tanie. Innowację tę wprowadziły najpierw franszulatory z południa. Tutaj przywlekła ją zmierzająca na północ klientela.

Wokół dmuchaw leży z pół tuzina owiniętych wojskowymi kocami podróżnych. Paru innych rozpałiło małe ognisko i gra przy nim w karty. Hiro nie zwraca na nich uwagi, rozgląda się po twarzach leżących.

– Jest tu Chuck Wrightson? – woła. – Panie Prezydencie, jest pan tu?

Za drugim razem, gdy wypowiada te słowa, sterta drzewa po lewej zaczyna się chwiać i przewracać. Pokazuje się w niej głowa. Hiro odwraca się w jej stronę, rozkłada ręce na znak, że jest nieuzbrojony.

– Kto mnie woła? – pyta przerażony głos. – Kruk?

– Nie, nie ma tu Kruka – mówi Hiro. – Proszę się nie martwić. Pan Chuck Wrightson? Były prezydent Tymczasowej Republiki Kenai i Kodiak?

– Taaa. Czego chcesz? Nie mam pieniędzy.

– Chcę tylko porozmawiać. Pracuję dla CKW i zajmuję się zbieraniem informacji.

– Muszę się, kurwa, napić – mówi Chuck Wrightson.

Ratusz jest wielkim, nadmuchiwanym budynkiem, zajmującym środek franszulatu. Wygląda jak całe Las Vegas połączone w jedno: jest tu sklep spożywczy, salon gier, pralnia automatyczna, bar, monopolowy, pchli targ i burdel. Rządzi w nim mały ułamek ludzkości zdolny do balangowania co noc do piątej nad ranem i nie spełniający żadnych innych funkcji społecznych.

Większość powierzchni Ratusza zajmują przedstawicielstwa innych franszulatów w tym franszulacie. Hiro zauważa witrynę Kruka Kelleya – najprzyjemniejszej speluny, jaką można znaleźć w Pij & Śpij – i prowadzi Chucka w jej stronę. Chuck ubrany jest w wiele warstw odzieży, która kiedyś różniła się od siebie kolorem. Teraz ma taki sami kolor, jak jego skóra – maskującą barwę khaki.

Wszystkie interesy prowadzone w Ratuszu, włącznie z barem, do którego wchodzi, przypominają jadalnię na statku więziennym – sprzęty przybite są do podłogi gwoździemi, salę zalewa jaskrawe światło przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a personel oddzielony jest od publiczności grubymi, kuloodpornymi szybami poźółkłymi ze starości. Porządku w Ratuszu pilnują Pacyfikatorzy, co oznacza, że wszędzie przechadzają się pary uzależnionych od sterydów i okrytych czarnymi cerzożelowymi pancierzami osiłków, którzy entuzjastycznie oddają się czynnościom naruszającym prawa obywatelskie zgromadzonej tu klienteli.

Hiro i Chuck zajmują miejsce przy meblu najbardziej zbliżonym do narożnego stolika. Hiro wzywa elektronicznie kelnera, zamawiając kilka dzbanków piwa Pub Special, przemieszanego (o czym Chuck nie wie) pół na pół z piwem bezalkoholowym. Hiro zależy na tym, żeby prezydent nie popadł za szybko w odrętwienie.

Nie trzeba wiele, by Chuck się otworzył. Jest jak każdy odchodzący w niełasce urzędnik państwowy,

który spędza resztę życia na opowiadaniu swojej smutnej historii.

– Taaa, byłem prezydentem TRKK przez dwa i pół roku. I w dalszym ciągu uważam się za prezydenta rządu na wygnaniu.

Hiro próbuje powstrzymać się od przewracania oczami, co nie uchodzi uwagi Chucka.

– W porządku, to nic nie znaczy. Ale TRKK była wspaniałym krajem... przez jakiś czas. Wielu ludzi chciałoby teraz zamieszkać w czymś takim. Chodzi o to, że jedyna rzecz, jaka zmusiła nas do rezygnacji... jedyny sposób, w jaki ci maniacy mogli przejąć władzę, był całkowicie... no, wiesz pan... – Chyba brakuje mu słów. – Jak można się było spodziewać czegoś takiego?

– Jak zmuszono pana do rezygnacji? Wybuchła wojna domowa?

– Było parę powstań. Na początku. A niektóre odległe części Kodiaku nigdy tak naprawdę nie znalazły się w naszej jurysdykcji. Ale nie było wojny domowej jako takiej. Widzisz pan, Amerykanom podobał się nasz rząd. Amerykanie mieli broń, sprzęt i infrastrukturę. A Ortosi to była banda owłosionych półgłówków biegających po lasach.

– Ortosi?

– Ruscy ortodoksi, znaczy się prawosławni. Początkowo byli nic nie znaczącą mniejszością. Wywodzili się głównie spośród Indian, kapujesz pan? Tlingitów i Aleutów nawróconych przez ruskich na prawosławie dawno temu. Ale kiedy w Rosji zaczęło się szaleństwo, zalewali nas, przepływali całymi setkami przez linię zmiany czasu w tych swoich kajakach.

– I nie chcieli demokracji konstytucyjnej?

– Nie. W żadnym wypadku!

– A czego chcieli? Cara?

– Też nie. Ci od cara... tradycjoniści... zostali w Rosji. Ortosi przeprowadzający się do TRKK to była banda wyrzutków. Byli wykluczeni z ruskiego kościoła prawosławnego.

– Dlaczego?

– Jeretiki. Tak mówili na heretyków. Ortosi z TRKK mieli swoją sektę... zielonoświątkowców. Mieli jakieś powiązania z Perłowymi Wrotami Wielebnego Wayne'a. Bez przerwy przyjeżdżali do nas cholerni misjonarze z Teksasu. Zbierali się do kupy i gadali językami. Ruski kościół prawosławny twierdził, że to robota szatana.

– Ilu tych rosyjskich prawosławnych zielonoświątkowców przyplłynęło do TRKK?

– Cała masa. Pięćdziesiąt tysięcy najmniej...

– Ilu Amerykanów było w TRKK?

– Blisko sto tysięcy.

– Więc w jaki sposób ci Ortosi zdołali przejąć władzę?

– Cóż... obudziliśmy się pewnego ranka, a na środku placu Konstytucji w Nowym Waszyngtonie, między wozami, w których była siedziba rządu, stała sobie wielka ciężarówka. Ortosi przyprowadzili ją w nocy, a potem zdjęli jej koła, żebyśmy nie mogli jej ruszyć. Myśleliśmy, że to jakaś akcja protestacyjna, i powiedzieliśmy im, żeby zabrali ją w cholerę. Odmówili i wydali oświadczenie... po rosyjsku. Kiedy przetłumaczyliśmy ten pieprzony dokument, okazało się, że mamy brać dupę w troki i oddać im władzę...

– Sytuacja była absurda, więc zebraliśmy się do kupy i postanowiliśmy wyprowadzić ciężarówkę z placu, ale przy niej czekał już Gurow z uśmiechem od ucha do ucha...

– Gurow?

– No, taki Ruski, który przekroczył linię zmiany daty. Był generał KGB, który został fanatykiem religijnym. Był kimś w rodzaju ministra obrony w rządzie powołanym przez Ortosów. No i tenże Gurow otwiera klapę ciężarówki i pokazuje nam, co jest w środku.

– Co było w środku.

– Na początku wcale się nie pokapowaliśmy, wiesz pan, druty, generatory, jakiś panel kontrolny... Dopiero jak zobaczyliśmy tę... sam pan wiesz... Wyglądała jak wafelek do lodów, tylko była czarna i miała jakieś pięć stóp wysokości... Zapytałem, co to jest, a Gurow na to: „Bomba wodorowa o sile dziesięciu megaton, przerobiona z pocisku balistycznego. Rozpierała miasta. Masz jeszcze jakieś pytania?”

– Więc skapitulowaliście?

– A co niby mieliśmy zrobić?

– Wie pan, skąd Ortosi wytrzasnęli bombę wodorową?

Nie ulega wątpliwości, że Chuck Wrightson wie skąd. Bierze głęboki oddech – najgłębszy tego wieczoru – wypuszcza powietrze i kręci głową, patrząc gdzieś nad ramieniem Hiro. Popija oddech paroma dużymi łykami.

– Była sobie kiedyś ruska podwodna łódź atomowa, uzbrojona w pociski balistyczne. Jej dowódcą był niejaki komandir Owczinnikow. Tenże Owczinnikow wierzył w Boga, ale nie należał do fanatyków. Gdyby był fanatykiem, nie powierzono by mu dowództwa na atomowym okręcie podwodnym, nie?

– Prawdopodobnie.

– Żeby dowodzić taką łajbą, trzeba być emocjonalnie stabilnym, cokolwiek to znaczy... Nawet u

Ruskich. Ale do rzeczy: po tym, jak u Ruskich wszystko się rozpadło, Owczinnikow stał się właścicielem kilku niebezpiecznych głowic. Był porządnym człowiekiem i postanowił, że wysadzi załogę na ląd, a potem zatopi łódź gdzieś w Rowie Mariańskim. Pozbędzie się broni raz na zawsze.

– Zanim jednak doprowadził rzecz do końca, dał się przekonać, żeby wykorzystać łódź jako autobus wożący Ortosów na Alaskę. Właśnie zaczęło się robić tłoczno w Cieśninie Beringa, a warunki w niektórych obozach dla uchodźców były rozpaczliwe. Sam pan wiesz, że w tamtych rejonach są kłopoty z uprawą ziemi i żarcia jest jak na lekarstwo. Ludzie umierali tysiącami. Koczowali na plażach i umierając z głodu, czekali, aż pojawi się jakiś statek.

– Więc Owczinnikow dał się przekonać, żeby wykorzystać łódź – bardzo dużą i szybką – do ewakuacji tych nieszczęsnych uchodźców do TRKK.

– Z drugiej strony niepokoiło go, że będzie musiał przewozić okrętem nieznaną element. Dowódcy łodzi podwodnych mają zajoba na punkcie bezpieczeństwa, z całkiem zrozumiałych powodów. Owczinnikow postanowił przeprowadzić ścisłą kontrolę ludzi, których wpuszczał na okręt. Ustawił przy trapie bramki z wykrywaczami metali, a na pokładzie zamykał uchodźców pod strażą. Nic to nie dało, bo Ortosi mieli gościa, na którego wołają Kruk...

– Wiem, kto to jest.

– No i Kruk dostał się na tę łódź podwodną.

– O Chryste!

– Przełynął jakoś na wybrzeże Syberii, prawdopodobnie w jebanym kajaku...

– W kajaku?!

– A co pan myślisz? Aleuci tak pływają między wyspami.

– Kruk jest Aleutem?

– Jasne. Aleuckim wielorybnikiem. Wiesz pan chyba, kto to są Aleuci?

– Wiem. Mój ojciec znał jednego w Japonii... – mówi Hiro. W jego głowie mającej fragmenty jenieckich opowieści ojca, wypływają z jakichś najdalszych zakamarków pamięci i wędrują na powierzchnię.

– Aleut wypływa w kajaku w morze i czeka na falę. Jak złapie falę, to może prześcignąć parowiec.

– Nie wiedziałem o tym.

– Nieważne. Tak czy inaczej, Kruk znalazł się w jednym z obozów dla uchodźców, gdzie podawał się za mieszkańca Syberii. Wie pan, ci z Syberii są tacy sami jak nasi Indianie. Ortosi mieli jakichś współpracowników na tamtym brzegu, bo Kruk dostał się na okręt podwodny Owczinnikowa. Przed innymi...

– Ale mówił pan, że Rosjanin kontrolował uchodźców, miał wykrywacz metali...

– I co z tego? Kruk używa szklanych noży. Wycina się je laserem z szyb. Taki nóż to najostrzejsza broń pod słońcem...

– Tego też nie wiedziałem.

– A widzisz pan! Ostrze takiego noża ma szerokość jednej molekuly. Chirurdzy używają podobnych narzędzi do operacji oczu. Wycinają panu źrenicę, nie zostawiając blizn! Jest taki jeden Indianin, który utrzymuje się z wyrobu tych noży. Struga w chacie skalpele.

– Hmm, każdego dnia można dowiedzieć się czegoś nowego. Nóż, o którym pan mówi, na pewno przecina kuloodporny materiał...

Były prezydent wzrusza ramionami.

– W pewnym momencie przestałem już liczyć tych, których Kruk przeciął na pół razem z kuloodpornymi kamizelkami.

– A ja myślałem, że posługuje się laserem albo czymś w tym rodzaju.

– To myśl pan jeszcze, bo jemu wystarczy szkło. Miał coś takiego ze sobą na okręcie Owczinnikowa. Przeszmuglował na pokład, a jak nie, to wyciął z jakiejś szyby. Oczywiście nie laserem, a diamentem...

– I...

Chuck znów kręci głową i patrzy w dal.

– Na łodziach podwodnych nie ma, wiesz pan, kanalizacji. Ci, co przeżyli, mówili, że brodzili po kolana we krwi. Kruk wszystkich pozabijał, jednego po drugim... Oszczędził tylko Ortosów, paru z załogi potrzebnych do nawigacji i tych nielicznych, którzy pochowali się w mysich dziurach, o których nie miał pojęcia. Z ich ust wiem, że przeżyli niezapomnianą noc... – kończy Chuck.

– Kruk oddał okręt Ortosom?

– Zakotwiczył u wybrzeży Kodiak, gdzie Ortosi już na niego czekali. Zebrali załogę byłych matrosów, którzy pływali na takich łajbach i przejęli okręt. A my nie mieliśmy o niczym pojęcia i żyliśmy w TRKK jak u Pana Boga za piecem. Do dnia, w którym pokazali się z pierdoloną atomówką na naszym głównym placu!

Chuck podnosi głowę i wyraźnie wpatruje się w kogoś. Hiro czuje lekkie klepięcie w ramię.

– Przepraszam pana... – mówi nieznanomy głos. – Chciałbym zamienić z panem słówko.

Hiro odwraca głowę. Widzi za sobą dużego, prosiakowatego białasa z trzydniową szczeciną na gębie i zaczesanymi do tyłu rudymi włosami. Facet ma na głowie baseballówkę zsuniętą na potylicę tak, by świat mógł ujrzeć jego czoło, na którym wytatuowano wersalikami: „WAHANIA NASTROJU. BRAK WRAŻLIWOŚCI RASOWEJ”.

Hiro patrzy na to wszystko spod wydętego, okrytego flanelą brzuszyska gościa.

– O co chodzi? – pyta.

– No cóż, nie chciałbym panu przeszkadzać, sir. Nie chciałbym przerywać tej niewątpliwie interesującej rozmowy, jaką toczy pan z tym tu dżentelmenem, ale od pewnego czasu zadaję sobie wraz z przyjaciółmi niecierpiące zwłoki pytanie: czy jest pan leniwym, czarnodupym bambusem, czy może podstępny, chorym na kiłę żółtkiem?

Mężczyzna podnosi rękę i naciąga czapkę z powrotem na czoło. Teraz Hiro widzi flagę Konfederacji wyhaftowaną nad daszkiem, a pod nią wyszyte złotymi literami słowa: „Franszulat Nowej Południowej Afryki”.

Hiro podrywa się, odwraca, siada na stole i odepchnąwszy się od blatu, jedzie na tyłku w kierunku byłego prezydenta, który, nawiasem mówiąc, już zniknął. Chce mieć stół między sobą a reprezentantem Nowej Południowej Afryki. Zeskakuje z mebla i opiera się o ścianę, mając widok na bar.

W tej samej chwili od stołów wstają kumple rudego i szczerząc poźółkłe zęby, gromadzą się za jego plecami, poprawiając czapki i strosząc bokobrody.

– Pozwoli pan, że się zastanowię... – mówi Hiro. – To bardzo podchwytliwe pytanie...

W większości Ratuszów sieci Pij & Śpij oddaje się broń do szatni. Na szczęście ten Ratusz należy do mniejszości.

Hiro nie jest pewny, czy to dobrze, czy źle. Gdyby nie miał broni, Nowi Południowi Afrykanie mogliby co najwyżej mu wtłuc. Mając broń, Hiro może dać im popalić, co jednak zmniejsza jego szansę na wyjście z tego w jednym kawałku. Jest co prawda okryty kuloodporną materią od stóp aż po szyję, ale kto mu zagwarantuje, że Afrykanie nie będą mierzyli w głowę? Słyną podobno z celności. Broń jest dla nich święta.

– Czy pochodzicie panowie z franszulatu NPA, który widziałem po drodze? – pyta, żeby zyskać na czasie.

– Owszem – odpowiada jakiś białas o długim, zwalistym korpusie i krótkich, krzywych nogach. – To raj na ziemi. Naprawdę! Nie ma lepszego miejsca pod słońcem od Nowej Południowej Afryki.

– Jeśli jest tak w istocie, to ja również, za pozwoleniem, zadam wam jedno pytanie: dlaczego, do jasnej cholery, nie bawicie się na swoim podwórku?

– Bo widzi pan – odpowiada indagowany – mimo wszystkich zalet Nowa Południowa Afryka ma jedną wadę. Oczywiście, mówię to jako patriota.

– Jaka to wada? – pyta Hiro.

– Nie ma tam bambusów, żółtków ani gudłajów, którym można by przykopać.

– Istotnie, to duży problem – mówi Hiro. – Dziękuję za wyczerpującą odpowiedź.

– Niby dlaczego?

– Bo wiem już, jakie macie, panowie, zamiary. I nie będę miał wyrzutów sumienia, robiąc to...

Jednym płynnym ruchem ręki odcina mu głowę.

Nic innego nie mógł zrobić. Jest ich przynajmniej dwunastu. Zasłonili ciałami jedyne wyjście. Powiedzieli, o co im chodzi. I prawdopodobnie są uzbrojeni po same zęby. A poza tym, gdy znajdzie się na Tratwie, zajścia tego rodzaju będą mu się przydarzać równo co dziesięć sekund.

Pierwsza ofiara Hiro nie ma pojęcia, co się dzieje, i zaczyna reagować, dopiero gdy katana trafia w szyję. Cofa się już bez głowy. Dobrze, że się cofa, bo chlusta z niego chyba pół zapasu krwi. Z obu tętnic szyjnych biją dwie czerwone fontanny. Na szczęście, ani jedna kropla nie spada na Hiro.

W Metawersie przecięcie przeciwnika nie wiąże się z żadnymi wrażeniami dotykowymi. Tu, w rzeczywistości, Hiro spodziewał się potężnego uderzenia rękojeści katany, jak od źle przyłożonej siekiery. Nic takiego się nie dzieje. Miecz przechodzi przez szyję jak przez masło i wbija się w ścianę. Musiał trafić w przestrzeń między kręgami. Ale nie jest zadowolony. Brakuje mu treningu. Zapomniał zatrzymać ostrze. Jest w złej formie.

Mógł się spodziewać tego, co się stanie, ale mimo wszystko jest zaskoczony. Takie rzeczy nie zdarzają się awatarom. Awatary po prostu padają. Ten stoi zdumiewająco długo, co zmusza Hiro do obserwacji jego przedśmiertnych zachowań. Fontanna krwi bije coraz wyżej, skapuje już z nisko zawieszzonego sufitu, spływa z półek za barem. Pijak pochylony nad podwójną wódką kręci z niedowierzaniem głową, gdy galaktyczna mgławica trylionów czerwonych krwinek dokonuje swego żywota w roztworze etanolu.

Hiro wymienia długie spojrzenia z resztą nowopołudniowoafrykańskiej bandy. Wszyscy obecni

zastanawiają się, co będzie dalej. Powinni wybuchnąć śmiechem? Zrobić zdjęcie? Uciec? Wezwać pogotowie?

Hiro zmierza ku wyjściu, biegnąc po stołach. To niegrzeczne w stosunku do pozostałych gości, ale ci nie oponują, a nawet są na tyle szybcy, by wyrwać spod jego nóg swoje piwo. Widok obnażonej katany zachęca zgromadzonych do niemal nipponńskiej uprzejmości. Przy samym wyjściu stoi dwóch zapomnianych Nowopołudniowoafrykańczyków. Nie chcą nikogo zatrzymywać; znaleźli się tam akurat w chwili, gdy doznali wstrząsu. Wspaniałomyślny Hiro postanawia ich oszczędzić.

Biegnie już ponurym głównym holem Ratusza – tunelem mrugających i pulsujących logio, przez który przemykają czarne, rozmazane kształty – niczym plemniki, które zapędziły się do jajowodów. Plemniki wymachują ostro zakończonymi przedmiotami, które dzierżą w dłoniach. Plemniki są oczywiście Pacyfikatorzy, przy których zwykły MetaGlina wygląda jak Miś Uszatek.

Nadszedł czas gargulca. Hiro włącza wszystko: podczerwień, radar o milimetrowej długości fali, skan dźwięków otoczenia. Podczerwień nie na wiele się przydaje w tych okolicznościach, ale radar wychwytuje każdą broń, podświetla ją w rękach Pacyfikatorów i identyfikuje według producenta, modelu i typu amunicji. Pacyfikatorzy używają wyłącznie broni automatycznej.

Pacyfikatorzy i Nowopołudniowoafrykańczycy nie potrzebują radarów, by widzieć katanę Hiro ociekającą krwią i płynem rdzeniowym.

Z głośników Ratusza wali nowy singel Witalija Czernobyła i Sarkofagów – pierwszy, jaki znalazł się na liście przebojów Billboardu. Nosi tytuł: „Moje serce jest dymiącą dziurą w ziemi”. Elektroniczny skan inputu audio wycisza przebieg do rozsądnych granic, wyrównuje charczące zniekształcenia głośników, po czym wokół Witalija brzmi niemal jak bel canto. W zetknięciu z tym surrealistycznym brzmieniem obecność Hiro wydaje się nie na miejscu. Jak bardzo zagubił się w świecie. Nawet nie tyle w świecie, ile w jego biomacie. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, powinien teraz móc wskoczyć w głośnik i przenieść się po drutach niczym jakiś cyfrowy sylf z powrotem do LA – tam, gdzie jego miejsce. Na samym skrawku świata, gdzie wszystko się zaczyna. Z chęcią postawiłby Witalijowi drinka, pogadał z nim, rozwalił się na jego kozetce.

Potyka się bezradnie, bowiem coś strasznego dzieje się z jego plecami. Ma wrażenie, że masują je setki młoteczków z zaokrąglonymi łebkami. Na poświatę logio nakładają się żółtawe smugi. W goglach zapala się czerwony alarm, informujący go, że radar wykrył grad kul pędzących w jego kierunku. „Czy podać prawdopodobny tor lotu pocisków?” pyta dowcipnie komputer.

Trafili go w plecy ogniem maszynowym. Wszystkie kule rozpląszczyły się o jego kombinezon i spadły na ziemię, wcześniej jednak połamały mu połowę żeber i naruszyły kilka wewnętrznych organów. Obraca się, co bardzo go boli.

Pacyfikatorzy zrezygnowali z automatów i sięgnęli po inną broń. Tak przynajmniej twierdzi komputer w goglach: „PACYFICZNE ZAKŁADY UZBROJENIA, SP. Z O.O.: URZĄDZENIE POWSTRZYMUJĄCE, MODEL SX-29 (TZW. GUMOLET)”. Dlaczego od razu tego nie napisał?

Nie można nosić miecza, jeśli nie ma się zamiaru go użyć. Nie można wyciągać miecza z pochwy i chodzić z obnażonym ostrzem, jeśli nie ma się zamiaru kogoś zabić. Hiro biegnie wprost na Pacyfikatora, unosząc katanę do ciosu. Pacyfikator robi to, co do niego należy, to znaczy ucieka. Srebrna wstęga katany powiewa nad tłumem. Skupia na sobie uwagę Pacyfikatorów i odstrasza wszystkich innych. Toteż gdy Hiro biegnie środkiem Ratusza, nie ma przed sobą nikogo, a za sobą ciągnie łańcuch uzbrojonych po zęby mrówek.

Wyłącza wszystkie gówna mrugające w goglach. Niepotrzebnie rozpraszają jego uwagę. Gdyby umarł, przed śmiercią poznałby wszystkie dane statystyczne o swoim zgonie. Bardzo to postmodernistyczne. Czas wrócić do rzeczywistości, w której pozostają jego przeciwnicy.

Nawet Pacyfikatorzy nie strzelają w tłumie, chyba że mają stuprocentową pewność trafienia albo są w naprawdę złym humorze. Kilka gumowych kul mija Hiro; są już jednak tak spłaszczone, że, prawdę mówiąc, mogą mu nagwizdać i denerwują tylko niewinnych przechodniów, ochlapując ich welonami lepkiej pleśni.

Gdzieś między salonem trójwymiarowych gier wideo a wystawą ze śmiertelnie znudzonymi kurwami sokoli wzrok Hiro dostrzega prawdziwy cud: wyjście z nadmuchiwanego kopuły, miejsce w którym zaduch syntetycznego piwa i zatowizowanych ludzkich wydzielin styka się z chłodnym, nocnym powietrzem.

W tym momencie dzieją się w krótkich odstępach czasu pewne złe i pewne dobre rzeczy. Pierwszą złą rzeczą jest to, że na wyjście spuszcza grubą, stalową kratownicę.

Śmiechu warte – myśli Hiro, co jest, oczywiście, rzeczą dobrą. Zapomnieli, idioci, że założyli kraty w wejściu do nadmuchiwanego budynku. Włącza na chwilę radar i ściana Ratusza znika, staje się niewidzialna. Tuż za nią zaczyna się stalowy las. Hiro rozgląda się wokół i po kilku sekundach odnajduje w nim polanę – parking, na którym zostawił motocykl strzeżony teraz przez prawdopodobnie uzbrojonego strażnika.

Udaje, że biegnie w stronę burdelu, ale przy pierwszym gołym fragmencie ściany ostro skręca w bok. Materiał, z którego wykonano budynek, jest sztywny i mocny, ale katana Hiro wycina w nim sześciostopową szparę bez najmniejszego trudu. Jest już na zewnątrz, pchany cuchnącym odrzutem gęstego, ratuszowego

powietrza.

Dalej – po tym gdy Hiro wskakuje na motocykl, Nowopołudniowoafrykańczycy pakują się do terenowych pick-upów, a Pacyfikatorzy do czarnych, aerodynamicznych pacymobili – dalej jest już tylko scena pościgowa.

41

D.U. była w wielu niezwykłych miejscach w trakcie swej kurierskiej kariery. Nosi na piersi laminowane wizerunki z trzech tuzinów krajów. Oprócz zwykłych państw dostarczała przesyłki do tak uroczych zakątków jak Strefa Ofiarna czy obóz w Griffith Park. Ale najgorszą robotą ze wszystkich, jakie przyszło jej wykonywać, jest ta obecna: ktoś chce, żeby zawiozła coś do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Tak przynajmniej jest napisane na zleceniu.

Przesyłka nie jest niezwykła, ot, normalna, a raczej znormalizowana koperta, jakich są tysiące.

– Jest pan pewny, że nie chce wysłać tego pocztą? – pyta faceta, odbierając kopertę.

Robi to w zwykłej biurowej dzielnicy w Burbriach. Jak w każdej burbklawie, zajmującej się nieokreśloną pracą biurową, są tu urzędy, telefony i faksy, ale na dobrą sprawę nikt nic nie robi.

Pytanie jest oczywiście sarkastyczne. W dzisiejszych czasach poczta działa tylko w Fedlądzie. Wszystkie skrzynki pocztowe zostały odśrubowane od podłoża i umieszczone w przydomowych ogródkach miłośników starych, dobrych czasów. Z drugiej strony pytanie D.U. jest również żartem, bo na kopercie widnieje adres budynku stojącego w samym środku Fedlądu. Żart ma mniej więcej taki sens: „Jeśli prowadzisz pan interesy z Federalami, dlaczego nie skorzystasz z ich ekspresowej poczty?” Zamawiając kogoś tak niekonwencjonalnego jak Kurier, facet może nabrechać sobie w oczach Federalów.

– No cóż... – zaczyna się tłumaczyć – poczta, rozumiesz, raczej tu nie dochodzi...

Nie ma sensu opisywać jego biura. Nie ma sensu psuć sobie wzroku jego widokiem i przeładowywać pamięci niepotrzebnymi szczegółami. Jarzeniowe światło i przegródki. Wykładzina przyklejona butaprenem do podłoża stanowisk pracy. (Wolę wykładzinę na całej podłodze, wielkie dzięki.) Jednostajna gama kolorów. Ergonomiczne gówna. Uszmkowane laski. Smród ozonu unoszący się nad drukarkami. Wszystko całkiem nowe – tak przynajmniej wygląda.

Znormalizowana koperta leży na biurku faceta. Nie ma sensu strzepić sobie języka, by oddać słowami jego zwyczajność. Lekki teksański akcent. Dolna krawędź koperty leży równolegle do krawędzi biurka, oddalona od niej o przepisową jedną czwartą cala. Boczne krawędzie koperty dzieli taka sama odległość od bocznych krawędzi biurka. Ciekawe, czy odmierzał wszystko linijką? Koperta jest zaadresowana następująco: „POKÓJ 968A, EKSPozytura POCZTOWA EP-1569835, BUDYNEK LA-6, STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI”.

– A nadawca? – pyta D.U.

– To nie jest konieczne – odpowiada facet.

– Jeśli nie dostarczę przesyłki, muszę wiedzieć, komu mam ją zwrócić, a... wybaczy pan... wszystkie te miejsca są bardzo do siebie podobne.

– To nie jest aż tak ważne – mówi wymijająco. – Kiedy przesyłka trafi do adresata?

– Za dwie godziny... maksimum.

– Dlaczego nie szybciej?

– Granica, facet, cło! Federalowie nie zmodernizowali swoich systemów jak wszyscy inni. – Z tej właśnie przyczyny każdy rozsądny Kurier unika Fedlądu jak zarazy. Ale interesy nie idą dzisiaj najlepiej; nikt nie wzywał D.U. do wypełnienia tajnej misji dla mafii, a w Fedlądzie może trafić na mamę podczas przerwy na lunch.

– Jak się nazywasz? – pyta facet.

– Nie podajemy nazwisk.

Muszę wiedzieć, kto dostarczy przesyłkę.

– Po co? Sam pan mówił, że nie jest aż tak ważna.

Facet lekko się spienia.

– Dobrze, zapomnijmy o tym. Zawieź ją tylko tam, gdzie należy.

Spoko śledzia – mówi w myślach D.U. Mówi w myślach wiele innych rzeczy. Ten gość to jakiś zbokol – to więcej niż pewne. Ma to wypisane na twarzy. „Jak się nazywasz?” Daj se siana, człowieku.

Nazwiska nie są ważne. Każdy wie, że Kurierzy są tylko trybikami w maszynie, że łatwo ich wymienić. To, że jedni są szybsi od drugich, nie ma tu najmniejszego znaczenia.

Wyjeżdża z biura. Wszystko jest bardzo anonimowe. Żadnego korporacyjnego logo. Czeka na windę, dzwoni do Radixu. Próbuje dowiedzieć się, kto stoi za tą dostawą.

Odpowiedź nadchodzi po kilku minutach, gdy D.U. wyjeżdża z biurowej burbklawy, spuniwszy pierwiej

jakiegoś merca. Zaawansowane Technologie Rife'a. ZATER. Jakieś pieprzone niskobudżetowe laboratorium. Pewno próbują się załapać na rządowy kontrakt. Dostawę sfigmomanometrów dla Federalów albo coś w tym guście.

D.U. ma to gdzieś. Jej zadanie polega tylko na dostarczeniu przesyłki. Merc celowo jedzie wolno, odpunia się więc, pokazując kierowcy, co o nim myśli, i trafia jakąś dostawczą ciężarówkę wyjeżdżającą z burbklawy. Sądząc po osiach, jest pusta, niewykluczone więc, że szofer wdepnie gaz.

Jak można się było spodziewać, po dziesięciu sekundach merc szybuje setką po lewym pasie. D.U. spunia go bez trudu i jedzie wygodnie i szybko przez kilka następnych mil.

Wjazd do Fedlądu to koszmar. Większość Fedsterów jeździ maleńkimi, plastikowo-aluminiowymi wózkami, które nie nadają się do spunięcia. W końcu jednak przyczepia się do żółciutkiej fasolki z dorysowanymi oknami i trzycylindrowym silniczkiem i dojeżdża z nią do granicy Stanów Zjednoczonych.

Im mniejszy staje się ten kraj, tym większa panuje w nim paranoja. Tutejsi celnicy są wprost nie do zniesienia. Musi podpisać dziesięciostronicowy dokument, który, co gorsza, każą jej także przeczytać. Mówią, że potrwa to przynajmniej pół godziny.

– Czytałam to dwa tygodnie temu – protestuje D.U.

– Z pewnością dokonano w nim jakichś zmian – ripostuje celnik. – Więc musisz czytać go za każdym razem.

Zasadniczo w papierach chodzi o to, że D.U. deklaruje, iż nie jest terrorystką, komunistką (cokolwiek to znaczy), homoseksualistką, handlarką treściami pornograficznymi, pasożytem żerującym na opiece społecznej, osobą niewrażliwą rasowo, nosicielką chorób zakaźnych, zwolenniczką ideologii podważającej tradycyjne wartości rodzinne i nie była skazana za bezczeszczenie symboli narodowych. Większość tekstu zajmują przypisy z definicjami terminów pojawiających się na pierwszej stronie.

D.U. spędza pół godziny w małym kantorku na tyłach urzędu celnego, wykonując rutynowy przegląd i obsługę sprzętu: opróżnia kieszenie, zmienia baterie we wszystkich urządzeniach, czyści paznokcie, każe desce dokonać okresowych napraw. Potem podpisuje jebany kwestionariusz i podaje go celnikowi. Teraz może już wjechać do Fedlądu.

Znalezienie wymienionego w adresie miejsca nie sprawia jej kłopotów. Jest to typowy budynek federalny z milionem schodów. Jakby postawili go na pokrytym schodami K-2. Kolumny. Znacznie więcej ludzi niż zazwyczaj. Pyzaci faceci z przylizanymi włosami. Chyba jakaś szkiełownia. Strażnik przy drzwiach wejściowych jest niewątpliwie szkiełem i ma zamiar sprzeczać się z nią o wniesienie deski do środka. Jakby mieli od frontu parking dla rolkarzy.

Ciężko z nim idzie. Ale D.U. to nie przeszkadza, bo sama też jest twarda.

– Masz pan te kopertę – mówi D.U. – Zaniesiesz ją pan na dziewiąte piętro w przerwie na kawę. Tylko nie umrzyj pan na tych schodach.

– Posłuchaj – odzywa się strażnik maksymalnie spieniony. – To jest GWKOO. To jest, kapujesz, centrala. Centrala GWKOO. Mam powtórzyć? Wszystko, co dzieje się w odległości mili od tego budynku, jest filmowane na taśmie. W okolicach tego budynku ludzie nie plują na chodnik. Starają się nie przeklinać. Nikt ci nie ukradnie tej cholerniej deski.

– To jeszcze gorzej – mówi D.U. – bo mi ją skonfiskują. A dla mnie to wszystko jedno: kradzież czy konfiskata. Nazywajcie to sobie, jak chcecie...

Facet wzdycha. Robi zęza i zamyka się na chwilę, co oznacza, że odbiera tajną wiadomość ze słuchawki, którą ma wetkniętą w ucho – znaku rozpoznawczego każdego prawdziwego Federala.

– Dobra, idź – mówi w końcu. – Ale musisz się podpisać.

– Nie ma sprawy – rzuca D.U.

Szkieł podaje jej księgę wejścia-wyjścia, która tak naprawdę jest ciekłokrystalicznym ekranem komputera z elektronicznym ołówkiem. D.U. pisze na ekranie „D.U.” Jej sygnaturę zamieniają w mapę bitową, stemplują datą i godziną z dokładnością do milisekundy i wysyłają do wielkiego komputera w centrali Federalów.

D.U. wie, że nie ma szans przejść przez wykrywacz metali bez rozbierania się do naga, przeskakuje więc przez ladę strażnika (co jej zrobi? zacznie strzelać?) i wchodzi do budynku z deską pod pachą.

– Chwila! – woła za nią strażnik słabym głosem.

– Co? Mielicie ostatnio jakieś gwałty na agentach dokonane przez Kurierów płci żeńskiej? – pyta, waląc wściekle w przycisk windy.

Winda nie zjeżdża. D.U. daje za wygraną i idzie ku schodom jak wszyscy porządni Federalowie. Facet miał rację. Na dziewiątym piętrze mieści się centrala tutejszej szkiełowni. Zgromadzili w niej wszystkich dupków w ciemnych garniturach i z przylizanymi włosami, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi. Można dostać zawrotu głowy od cielistych spirali przewodów wychodzących im z uszu. Tu i ówdzie kręcą się ponure Federalki. Wyglądają jeszcze gorzej od facetów. Aż trudno uwierzyć, co może zrobić ze sobą kobieta pragnąca wyglądać profesjonalnie! Ciekawe, jaką noszą bieliznę? A może rodzą się już w szarogranatowych kostiumach, by nie profanować swej profesjonalności.

Dziwne, że nie noszą ciemnych okularów – ani faceci, ani baby. Wyglądają bez nich jak nadzy, jakby zapomnieli nałożyć majtki. D.U. czuje się niczym nieproszony gość w męskiej przebieralni.

Odnalezienie pokoju 968A jest stosunkowo łatwe. Większość piętra zajmują biurka podzielone na sekcje. Prawdziwe, ponumerowane pokoje są tylko na obrzeżach. Prowadzą do nich drzwi z nieprzezroczystymi szybami.

Każdy pracujący tu gliniarz ma swoje biurko. Niektórzy wałęsają się wokół tych mebli, inni biegają między sekcjami lub prowadzą zorganizowane naprędce konferencje przy biurkach innych gości. Białe koszule zgromadzonych są nieprzyzwoicie czyste. Mniej broni, niż można się było spodziewać. Pewno dostają broń tylko na akcje, kiedy wyjeżdżają do dawnej Alabamy lub Chicago, próbując odzyskać dla Stanów Zjednoczonych jakiś zapomniany franszulat Kup & Siup lub wysypisko śmieci.

D.U. zatrzymuje się przed pokojem 968A. Jak można się było domyślić, za drzwiami też jest biuro. Siedzi w nim czterech Federalów, takich samych jak reszta, no, może trochę starszych... po czterdziestce albo po pięćdziesiątce.

– Mam przesyłkę dla tego pokoju – oznajmia D.U.

– Czy to ty jesteś D.U.? – pyta głównodowodzący Federal z za biurka.

– Nie powinien pan znać mojej tożsamości – rzuca D.U. – Skąd pan wie, jak na mnie mówią?

– Poznałem cię – oznajmia Federal. – Znam twoją mamę.

D.U. nie wierzy ani jednemu słowu tego gościa. Inna rzecz, że Federalowie mają sposoby, żeby wiedzieć wszystko.

– Ma pan krewnych w Afganistanie? – pyta.

Federalowie patrzą po sobie, jakby przestali rozumieć po angielsku. I dobrze. Pytanie D.U. nie było skierowane do nich, więc nie mają nic do rozumienia. D.U. ma w kombinezonie i desce urządzenia do rozpoznawania mowy. Kiedy pyta: „Ma pan krewnych w Afganistanie?”, jej sprzęt przechodzi w stan gotowości, budzi się ze snu, przeprowadza testy i nadstawia elektronicznych uszu.

– Chce pan tę kopertę czy nie? – rzuca obojętnie.

– Wezmę ją – mówi głównodowodzący Federal i podnosi się z za biurka, wyciągając rękę.

D.U. podchodzi bliżej i podaje mu kopertę. Ten jednak nie odbiera jej. Pochyliła się nagle do przodu i chwyciła D.U. za ramię.

Kątem oka D.U. widzi błysk otwartych kajdanek, które facet trzyma w drugiej ręce. W następnej chwili kajdanki zamykają się na mankiecie jej kombinezonu.

– Przykro mi, że muszę to zrobić, D.U. – oświadcza facet. Ale jesteś aresztowana.

– Ochujeliście do reszty? – pyta retorycznie D.U., cofając wolną rękę, by nie zdrutował jej na amen.

Inny z Federalów, który wyskoczył z za biurka, chwyciła tę rękę i ciągnie do siebie. D.U. wygląda teraz jak rozpięta na krzyżu między dwoma wielkimi facetami.

– Jesteście martwi – rzuca D.U. mimochodem.

Faceci uśmiechają się, jakby lubili dziewczyny z jajami.

– Jesteście martwi – powtarza D.U. po raz drugi.

Na ten sygnał czeka cały jej sprzęt. Gdy po raz drugi mówi: „Jesteście martwi”, włącza się cały system samoobrony. Oznacza to między innymi, że przez jej mankiety przepływa teraz indukowany drogą radiową prąd elektryczny o napięciu kilka tysięcy woltów.

Głównodowodzący Federal wydaje dziwne chrząknięcie pochodzące gdzieś z brzucha i cofa się gwałtownie za biurko. Cała prawa strona jego federalnego ciała drga spazmatycznie, jakby facet wsadził gwóźdź w złą dziurkę gniazdka elektrycznego. Potyka się o krzesło i wali głową w marmurowy parapet. Pedał, który trzymał ją za ramię, wypręża się jak nadziany na niewidzialny drut, waląc przy okazji pięścią w nos trzeciego Federala. Dzięki temu ten trzeci dostaje swoją dawkę prądu. Prosto w twarz. Padają obaj na glebę jak śnięte kawki. Został tylko jeden. Ten czai się z lewej i sięga pod marynarkę. D.U. zbliża się do niego, robiąc jeden niewielki krok i macha ręką zakutą w kajdanki. Trafia go nimi w szyję. Uderzenie jest lekkie, ale z jego punktu widzenia ma moc elektrycznej pięści szatana. Prąd przebiega kilka razy wzdłuż nie tak znów mocnego federalnego kręgosłupa i facet rozciąga się jak długi na starych, drewnianych krzesłach. Jego pistolet kręci się na podłodze jak dziecięcy bączek.

D.U. napina rękę. Wprost do jej dłoni spada z rękawa naładowany ogłuszacz. Działa tak samo jak znajdujące się pod napięciem kajdanki, wiszące na jej nadgarstku. W drugiej ręce trzyma już Płynny Kastet, zdejmując wieczko i nastawia dyszę na maksymalny rozprysk.

Jeden z tych, którzy zgromadzili się za drzwiami, jest tak miły, że sam staje w wejściu. Zdążył już wyciągnąć broń. Za plecami ma tuzin fagasów, którzy zbiegli się tu z za biurek. D.U. serwuje im Płynny Kastet. – Pssssss! – Brzmi to jak płyn na komary. Za to odgłos padających ciał brzmi jak potężny werbel. D.U. stwierdza z zadowoleniem, że deska nie robi sobie wyrzutów, tocząc się po garniturach. Jest już w części biurkowej. Przeciwnicy nadciągają ze wszystkich stron, jakby wcześniej chowali się pod biurkami. Nie ma po co nawet liczyć trafień. D.U. nie zdejmuje palca z rozpylacza. Jednocześnie odpycha się od podłogi, nabiera szybkości. Płynny Kastet działa jak chemiczny sierp, a D.U. surfuje po ludzkich ciałach.

Niektórzy Federalaowie są na tyle sprytni, że próbują zająć ją od tyłu. Tych traktuje ogłuszaczem, który zmienia ich system nerwowy w spiralę rozpalonego do czerwoności drutu kolczastego. Na kilka minut. Przecież D.U. nie ma zamiaru nikogo zabić.

W trzech czwartych drogi przez ocean biurek kończy się Płynny Kastet. Puszka spełnia swą rolę jeszcze przez kilka sekund, bo ludzie się jej boją, nurkują w bok na jej widok, chociaż nic z niej nie leci. W końcu jednak pojmują swój błąd i próbują odważnie chwycić D.U. za rękaw. Ogłuszacz i kajdanki załatwiają resztę. Buuum! Jest już na klatce schodowej, zostawiając za sobą około czterdziestu rannych. Zasłużyli sobie! Nie potrafią nawet aresztować człowieka w elegancki sposób.

Dla uciekającego pieszego schody będą udręką. Ale dla sprytorolek są niczym innym jak zwykłą rampą o nachyleniu czterdziestu pięciu stopni. Trochę ją trzęsie, gdy dojeżdża do drugiego piętra, mając już bardzo niebezpieczną szybkość, ale rzecz jest bez wątpienia wykonalna.

Szczęśliwy traf: jeden z parterowych szkieł otworzył właśnie drzwi klatki schodowej mocno zaniepokojony symfonią sygnałów alarmowych i dzwonek, która teraz łączy się w ścianę historycznego dźwięku. D.U. próbuje go wyminąć; facet wystawia rękę, jakby miał dostać premię za to, że ją zatrzyma. Trafia D.U. w brzuch i wytrąca ją z równowagi, ale nowa deska potrafi dużo wytrzymać: jest na tyle sprytna, że zwalnia, czując, że środek ciężkości D.U. przemieścił się w złą stronę. Po chwili D.U. znów stoi pewnie na nogach, szusując w sposób bardzo radykalny po korytarzu prowadzącym do windy, celując wprost w łuk wykrywacza metali, przez który wpada jasne światło wolności.

Jej stary kumpel z dołu jest gotowy i zasłania ciałem rzeczoną bramkę. D.U. udaje, że jedzie prosto na niego, po czym w ostatniej chwili puszcza deskę w bok, naciśnięwszy stopą pewien mały przełącznik. Podkurcza nogi i szybuje w powietrzu; przelatuje nad ładą strażniczą. Deska pokonuje tę przeszkodę dołem. Pół sekundy później ląduje na niej bezpiecznie, chwytając równowagę i mknie ku drzwiom.

Budynek jest stosunkowo stary. Większość drzwi zabezpieczono metalem, ale zostały jeszcze drzwi obrotowe: wielkie, lśniące tafle szkła.

Wcześni rolkarze wielokrotnie stykali się z problemem przypadkowych kontaktów z płaszczyznami ze szkła. Problem ten urósł do rangi zasadniczej, gdy nadeszła epoka Kurierów zmuszonych do szybkiego przemieszczania się w środowiskach biurowych, gdzie szklane płaszczyzny uważane są za niezbędne. Dlatego na nowoczesnych deskach – do jakich niewątpliwie należy ta, na której przemieszcza się D.U. – zaczęto umieszczać pewien dodatkowy, zabezpieczający instrument. Nazywa się on Wąskostożkowym Ukierunkowanym Projektoem Fali Uderzeniowej Radiksu. Instrument ten działa szybko i pewnie, ale tylko raz (jako że czerpie swą moc z ładunku wybuchowego), co oznacza, że po każdym użyciu deskę należy oddać do warsztatu w celu wymiany WUPFU.

Obecna sytuacja jest bez wątpienia awaryjna. Paniczna – jak mówią w wojsku. D.U. to nie przeszkadza. Celuje przodem deski prosto w obrotowe drzwi i przyciska piętą stosowny włącznik.

Wybuch jest taki, jakby ktoś pokrył stadion brezentem, a potem kazał wylądować na nim Boeingowi 747. D.U. czuje, że jej wewnętrzne organy przemieszczają się o kilka cali. Serce zamienia się miejscami z wątrobą. Ma odrętwiałe stopy, jakby wbijano w nie tysiące igiełek. A nie stała przecież na drodze fali uderzeniowej.

Pancerne szkło drzwi obrotowych nie tłucze się i nie spada na podłogę – tak jak sobie wyobrażała. Jakaś potworna siła wypycha je na zewnątrz i rozbija na schodach na tryliony kawałków. D.U. żałuje, że nie może obejrzeć tego w zwolnionym tempie.

Zjeżdża po białym marmurze schodów jak po rampie. Przed samym chodnikiem ma już taką prędkość, że spokojnie dojechałaby na niej do Meksyku.

Skręca szerokim łukiem na cudowną aleję i bierze na celownik budę celników, broniącą dostępu do Stanów Zjednoczonych jakieś ćwierć mili przed nią. Szlabany są do zrobienia – myśli sobie i w tej samej chwili coś każe jej podnieść głowę.

Budynek, z którego właśnie uciekła, ma wiele pięter i góruje nad nią niczym złowroga piramida pełna federalnego ścierwa i wrzeszcząca pod niebiosami alarmami. Większości okien nie da się na szczęście otworzyć, więc ci, co za nimi stoją, mogą sobie jedynie popatrzeć. Ale jest jeszcze dach i biegający po nim ludzie. Dach wygląda jak las błyszczących w słońcu anten. Gdyby pociągnąć to porównanie, ci, którzy w nim mieszkają, musieliby być złośliwymi gnomami w ciemnych okularach. Gotowymi do akcji, ładującymi broń, celującymi wprost w D.U.

Tak naprawdę celuje w nią tylko jeden. Ale to, z czego celuje, wystarczyłoby na pułk piechoty. Lufa ma średnicę kija baseballowego. W tej chwili widać w niej błysk, po którym wydobywa się smuga białego dymu. To, co wyleciało z lufy, nie miało trafić D.U. Powinno wylądować przed nią.

Granat ogłuszający (nazywany króliczkim) spada na ulicę. Zgodnie ze swą pieszczotliwą nazwą odbija się od niej, zawisa w powietrzu i detonuje na wysokości dwudziestu stóp.

W następnej milisekundzie: nie ma jaskrawego wybuchu, który by ją oślepił, widzi więc doskonale falę uderzeniową, rozszerzającą się na wszystkie strony w idealnie sferycznym kształcie, twardą i namacalną niczym kula lodu. Gdy fala dotyka ulicy, tworzy okrągły front, pod którym drga kostka brukowa, fruując

śmieciami, a biały jak mąka chodnikowy pył zamienia się w trąby powietrzne sunące po asfalcie jak po dawnym stanie Kansas. Górząca nad tym wszystkim fala nie trwa w bezruchu, lecz pędzi w stronę D.U. z szybkością dźwięku – powietrzna soczewka załamująca i spłaszczająca wszystko po bokach. D.U. mija ją z opuszczoną głową.

42

Gdy Hiro na swym motocyklu mija o piątej rano przełęcz, przed jego oczyma ścieli się miasto Port Sherman w stanie Oregon: błysk złotego logio wpisany w szeroką dolinę w kształcie litery U, wrytą w litej skale w bardzo dawnych czasach przez jezioro lodowca uprawiający tu właściwy epoki geologiczny cunnilingus. Krawędzie doliny, znikające w deszczowym lesie, przysypane są złotym pyłem, który nabiera wyrazistości u wejścia do portu – długiego, przypominającego fiord nacięcia w prostej linii brzegowej Oregonu; głębokiego, pełnego zimnej, czarnej wody okopu prowadzącego aż do samej Japonii.

Hiro znów jest w swoim żywiole. Czuje się lepiej niż podczas nocnej jazdy przez zadupia. Za dużo tam wsiunów i górali.

Jednak Port Sherman, oglądane z odległości dziesięciu mil i wysokości jednej, nie stanowi zachęcającego widoku. Za mało w nim czerwonych punkcików, które są lepsze niż złote. A gdyby jeszcze pokazały się zielone, niebieskie albo fioletowe... Ale w Port Sherman nie ma okolic w barwach tęczy.

Z drugiej strony nikt nie obiecywał mu, że będą.

Zjeżdża z drogi i po mniej więcej połowie mili zatrzymuje się pod płaską skałą w otwartej okolicy. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed niespodziewanymi gośćmi, loguje się do Metawersu.

– Bibliotekarzu?

– Słucham pana.

– Inanna.

– Postać z sumeryjskiej mitologii. Późniejsze kultury znały ją jako Isztar albo Ester.

– Dobra czy zła bogini?

– Dobra. Powiedziałbym uwielbiana...

– Miała coś wspólnego z Enki albo Asherah?

– Głównie z Enki. Bywali ze sobą raz w dobrej, raz w złej komitywie w różnych okresach. Inanna była znana jako królowa wszystkich wielkich *me*.

– Myślałem, że *me* należały do Enki.

– I owszem, ale pewnego razu Inanna wybrała się do Abzu – okolonej wodą twierdzy w mieście Eridu, gdzie Enki przechowywał *me* – i skłoniła Enki, by oddał jej wszystkie *me*. W ten sposób *me* trafiły do ludzkich cywilizacji.

– Okolonej wodą twierdzy... powiadasz...

– Tak, proszę pana.

– Co na to wszystko Enki?

– Oddał jej *me* z własnej woli, niewątpliwie dlatego, że był pijany i oczarowany jej cielesnymi wdziękami. Kiedy wytrzeźwiał i otrząsnął się z zauroczenia, próbował ścigać Inannę, ale ta go przechytrzyła...

– Co powiesz na trochę semiotyki? – mruczy Hiro. – Tratwa jest „okoloną wodą twierdzą” L. Boba Rife’a. Na Tratwie Rife przechowuje różne swoje rzeczy... Swoje *me*... Juanita pojechała do Astorii, bo dalej i bliżej Tratwy nie dało się już dojechać... Przynajmniej przed paroma dniami... Myślę, że bawi się w Inannę...

– W innym popularnym micie Sumerów – mówi Bibliotekarz – Inanna zeszła do świata podziemnego...

– Kontynuuj – prosi Hiro.

– Zebrała razem wszystkie *me* i weszła do krainy bez powrotu.

– Cudownie!

– Przeszła przez cały podziemny świat i dotarła do świątyni, w której panowała Ereshkigal, bogini śmierci. Inanna występowała w przebraniu, ale wszystkowiedząca Ereshkigal bez trudu przejrzała jej wybieg. Mimo to, pozwoliła Inannie wejść do świątyni. Gdy Inanna przestąpiła próg, odarto ją z szat, klejnotów i *me*, i postawiono nagą przed Ereshkigal i siedmioma sędziami podziemi. Sędziowie „wbili w nią wzrok: oczy śmierci. Na ich słowo – słowo, które jest udręką dla ducha – Inanna zmieniła się w trupa, kawałek gnijącego mięsa, które powieszono na haku wbitym w ścianę”. Kramer.

– Cudownie! – powtarza Hiro. – Po jaką cholere robiła coś takiego?

– Jak twierdzi Diane Wolkstein, „Inanna porzuciła... wszystko co osiągnęła w życiu i stanęła naga przed sądem, bogata jedynie w wolę odrodzenia... Dzięki podróży do zaświatów przejęła moc i poznała tajemnicę

śmierci i odrodzenia”.

– Aha. Czyli, że na tym się nie kończy?

– Posłaniec Inanny przez trzy dni czekał na nią u wejścia do zaświatów. Gdy nie wróciła z podziemi, wezwał na pomoc innych bogów. Ale żaden z nich nie chciał pomóc Inannie, żaden z wyjątkiem Enki...

– Więc nasz kumpel Enki, bóg hackerów, musi ratować jej tyłek w piekle...

– Enki stworzył dwoje ludzi, których wysłał do podziemnego świata na pomoc Inannie. Dzięki ich czarom Inanna wróciła do życia. Opuściła zaświaty, a wraz z nią wielu zmarłych.

– Juanita wyruszyła na Tratwę przed trzema dniami – mówi Hiro. – Pora wziąć się za hakerstwo.

Ziemia jest w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Obraca się w dużym zbliżeniu, na którym widać Tratwę. Zgodnie z tym, co mówił Chuck Wrightson zeszłej nocy, spory kawałek Tratwy należy teraz do Ortosów, którzy doczepili się do niej, gdy „Enterprise” mijalo TREKK przed paroma tygodniami. Płyną na wielkich posowieckich tankowcach i roju mniejszych, otaczających je łodzi. Większa część Tratwy jest martwa i szara, a ruska sekcja lśni jak na paradzie – to jachty z włókna szklanego zrabowane emerytom z TREKK. Są ich tysiące.

Tratwa jest teraz na wysokości Port Sherman i, zdaniem Hiro, właśnie tu należy szukać najwyższej kapłanki Asherah. Za parę dni bal przeniesie się w dół, w stronę Eureka, potem San Francisco i dalej do LA – najbliższego przyczółka Ortosów na stałym lądzie.

Odwraca oczy od Tratwy i nad oceanem przenosi spojrzenie na Port Sherman, gdzie jeszcze dobrze się nie rozejrzał.

Wzdłuż brzegu lśni ładny półksiężyc tanich moteli świecących żółtymi logio. Hiro przegląda je jeden po drugim, szukając rosyjsko brzmiących nazw.

Odnalezienie ich nie jest trudne. W samym środku nabrzeża stoi sobie „Spietroom 2000”. Zgodnie z nazwą, przybytek ten oferuje cały wachlarz miejsc noclegowych – od przedziałów kolejowych, otwieranych monetą po luksusowe apartamenty znajdujące się na samym szczycie. Większość pokoi została wynajęta przez osobników, których nazwiska dziwnym zrzędzeniem losu kończą się na „-off” albo „-ovski” albo inne, łatwe do rozpoznania słowiańskie końcówki. Żołnierze śpią na samym dole w kolejowych przedziałach, tuląc do siebie swoje AK-47, generalicja i duchowni zajmują wyższe piętra. Hiro zastanawia się przez chwilę, co robi ortodoksyjnozielonoświątkowy ruski pop na materacu wyposażonym w Magiczne Paluszki.

Apartament na samej górze wynajmuje dżentelmen nazwiskiem Gurov. Pan KGB we własnej osobie. A w dodatku cykor, który boi się podróżować Tratwą.

Ciekawe, jak dostał się z Tratwy do Port Sherman? Na pewno nie kajakiem, bo jeśli ceni sobie wygodę, nie zniósłby trudów podróży przez kilkaset wzburzonych mil Pacyfiku.

W Port Sherman jest z pół tuzina przystani. Obecnie większość z nich jest zapchana małymi, brązowymi łodziami. Wygląda to jak po przejściu tsunami, które wyrzuciło na brzeg lekkie sampany. Inna rzecz, że łodzie nie są zwalone na kupę...

Uchodźcy dobijają już do brzegu. Ci spośród nich, którzy są sprytni i agresywni, wiedzą, że stąd można dojść pieszo do Kalifornii.

Fakt ten tłumaczy obecność małych łodzi w przystaniach, z których jedna zachowała mimo wszystko pierwotne oznaki luksusu. Cumuje w niej kilkanaście białych jachtów ustawionych prostopadle do brzegu bez żadnych przepychanek. Rozdzielczość obrazu jest na tyle dobra, że Hiro widzi brunatne wzniesienia rozlokowane wzdłuż nabrzeża – prawdopodobnie strażnice wzniesione naprędce z worków z piaskiem. To jedyny sposób na ocalenie własnego miejsca przy kei, gdy w pobliżu pływa Tratwa.

Numery, flagi i inne oznaczenia są trudne do rozszyfrowania. Satelita ma sporo kłopotów z tymi szczegółami.

Hiro sprawdza, czy CKW ma swoich przedstawicieli w Port Sherman. Nie może być inaczej, bo jeśli w pobliżu pływa Tratwa, CKW liczy na prawdziwe kokosy ze sprzedaży danych wywiadowczych wszystkim zdenerwowanych mieszkańcom wybrzeża stąd aż po Ziemię Ognistą.

I tak jest w istocie. Po mieście wałęsa się paru ludzi zbierających dane z Port Sherman. Jednym z nich jest palant z kamerą wideo filmujący wszystko jak leci.

Hiro przegląda efekty jego pracy na szybkim przesuwie. Większość zdjęć została wykonana z hotelowego okna: są to całe godziny widoczków z sampanami płynącymi do brzegu, przywiązującymi się do krawędzi mini-Tratwy powstającej u wybrzeży Port Sherman.

Mimo panującego wszędzie zamętu tu i ówdzie widać element organizacji, a to za sprawą ochotniczych oddziałów policji wodnej, pływającej na motorówkach, mierzącej do ludzi z broni i wydającej jakieś komendy przez megafony. To tłumaczy, dlaczego mimo wszechogarniającego chaosu środek fiordu – główna droga wodna prowadząca przez port ku morzu – jest pusty. U wewnętrznego końca wolnej drogi znajduje się przystań z eleganckimi, białymi jachtami przycumowanymi do kei.

Wśród nich dwie jednostki wyróżniają się wielkością. Jedną z nich jest duży kuter rybacki z flagą i emblematem Ortosów: krzyżem i płomieniem. Kuter niewątpliwie zrabowano w TREKK. Na rufie widać

nazwę: „KRÓLOWA KODIAK” – Ortosi nie zadali sobie jeszcze trudu, by ją zmienić. Inną dużą jednostką jest statek wycieczkowy, przeznaczony do wygodnego przemieszczania bogatych ludzi w różne przyjemne miejsca. Na statku powiewa zielona flaga, co wskazuje na jego związek z Wielkim Hongkongiem Pana Lee.

Hiro rozgląda się jeszcze przez chwilę pod ulicach Port Sherman i na jednej z nich znajduje całkiem spory franszulat Wielkiego Hongkongu Pana Lee. Pan Lee – w typowym dla siebie stylu – rozmieścił swoje budynki i pokoje w całym mieście. Zrobił to przy tym w takim zagęszczeniu, że opłacało mu się zatrudnić kilku pełnoetatowych pracowników, w tym jednego prokonsula. Hiro łąduje zdjęcie urzędnika (musi go rozpoznać): czterdziestoletniego pięćdziesięciolatka chińsko-amerykańskiego pochodzenia. Dobrze, że franszulat w Port Sherman nie jest zautomatyzowanym, odhumanizowanym przedstawicielstwem Hongkongu, jakie spotyka się zazwyczaj w gorszych 48 stanach.

43

Gdy się ocknęła, wciąż miała na sobie swój kombinezon Radiksu, usztywniony oplatającą ją taśmą izolacyjną. Leżała na podłodze górnianego vanu forda, mknącego przez sam środek nicości. Sytuacja nie przedstawiała się zbyt optymistycznie. Po wybuchu „króliczka” bez przerwy krwawił jej nos i męczył ją dudniący ból głowy; głowy, która w dodatku podskakiwała i uderzała o falistą podłogę, gdy van kołysał się na wybojach.

Na początku była tylko wkurwiona. Potem zaczął ogarniać ją chwilowy strach – chciała do domu... Po ośmiu godzinach spędzonych na podłodze auta dom był jedynym miejscem, o którym marzyła. Nie poddawała się tylko przez ciekawość. Cała sprawa cuchnęła na odległość i z pewnością nie wyglądała na operację Federalów...

Van zjechał z autostrady, przetoczył się po drodze dojazdowej i zatrzymał na jakimś parkingu. Ktoś otworzył tylne drzwi. Do środka weszły dwie kobiety. Na zewnątrz widać było gotycki łuk, logo Perłowych Wrót Wielebnego Wayne’a.

– Och, ty moje biedactwo – powiedziała jedna z kobiet.

Druga tylko westchnęła nad marnym losem D.U.

Pierwsza położyła głowę D.U. na swoich kolanach, pogłaskała ją po włosach i dała się napić słodkiej oranżady z firmowego kubka Dixie. W tym samym czasie druga zaczęła odwijać z niej taśmę izolacyjną.

D.U. nie miała butów, które zdjęto jej, zanim oprzytomniała, i teraz nikt nie zaoferował jej nowej pary. Kieszenie i zakamarki kombinezonu zostały opróżnione ze sprzętu. Wszystko zniknęło! Nie zajrzeli jednak pod kombinezon, gdzie D.U. ukryła blaszane identyfikatory. I nie sprawdzili, co ma między nogami... A między nogami ma coś, co nazywa się dentata. Nie mogli jej znaleźć!

Zawsze przypuszczała, że wojenne blaszki wujka Enzo to pic na wodę. Bo niby dlaczego *capo di tutti capi* miałyby dać coś wartościowego komuś takiemu jak ona: piętnastoletnia laska... Z drugiej strony może znajdzie się ktoś, kto da się na to nabrać...

Zajmujące się nią kobiety mają nawet imiona: Marla i Bonnie. Są z nią przez cały czas. Są... to za mało powiedziane: ściskają ją, przytulają, trzymają za ręce, głaszczą po włosach i w ogóle się zachowują... Za pierwszym razem, gdy D.U. chciała iść do toalety, Bonnie nie tylko zaprowadziła ją na miejsce, ale i otworzyła drzwi kabiny, i weszła do środka, jakby się bała, że D.U. zemdleje. Za drugim razem towarzyszyła jej Marla. Za grosz prywatności!

Inna rzecz, że D.U. nie ma nic przeciwko temu – z ręką na sercu. Jazda vanem była koszmarem. Prawdziwym koszmarem. Nigdy w życiu nie czuła się taka samotna. A teraz jest bosa i bezbronna w obcym miejscu, a kobiety dbają o wszystko.

Dały jej kilka minut na odświeżenie – cokolwiek to znaczy – w przybytku Wielebnego Wayne’a, a potem wyprowadziły ją do większego vanu – bez okien. Podłoga auta była wyłożona czymś miękkim, ale nigdzie nie było siedzeń. W środku, za otwartymi drzwiami siedziało jakieś dwadzieścia osób, stłoczonych jak śledzie. Dwadzieścia energicznych, pogodnych, młodych osób. Wyglądało to niemożliwie i D.U. cofnęła się o krok wpadając na Marłę i Bonnie. Z vanu wydobył się radosny okrzyk, błysnęły białe zęby: ludzie zaczęli robić im miejsce obok siebie.

Kolejne dwa dni spędziła w vanie, siedząc między Marlą a Bonnie. Kobiety bez przerwy trzymały ją za ręce i nie mogła nawet podłubać w nosie bez ich pozwolenia. Wszyscy śpiewali wesołe piosenki, od których D.U. lasował się mózg. Grali w przygłupie gry...

Co jakiś czas – najczęściej co kwadrans – ktoś z obecnych zaczynał bełkotać – zupełnie jak Falabale, jak ludzie z Perłowych Wrót Wielebnego Wayne’a. Bełkot rozprzestrzeniał się po aucie niczym zaraźliwa choroba i po chwili wszyscy pieprzyli bez sensu.

Wszyscy oprócz D.U. D.U. nie mogła jakoś wczuć się w sytuację. Cała ta gadanina wydawała się jej zenująco głupia. Z czasem jednak zaczęła się włączać... Udawała, że też bełkocze...

Trzy razy w ciągu dnia jedli i wydalali. Najczęściej zdarzało się to w burbklawach. D.U. czuła, jak zjeżdżają z międzystanówki i kręcą się po osiedlowych drogach, zaułkach, rondach i dojazdach. Potem otwierały się automatycznie drzwi jakiegoś garażu, van wjeżdżał do środka i drzwi zamykały się za nimi. Wypuszczano ich w podmiejskim domu, pozbawionym mebli czy innych cech rozpoznawczych. Siadali na podłodze w pustych sypialniach – oddzielnie chłopcy i dziewczęta – i jedli ciastka i ciasteczka. Domy były puste, ale pozostały w nich ślady dawnych mieszkańców: w jednym rustykalna, kwiecista tapeta i kwaśny smród odświeżacza, w innym błękitna tapeta z hokeistami, piłkarzami i koszykarzami, a w jeszcze innym białe ściany porysowane kredkami... Siedząc w pustych pokojach, D.U. przyglądała się śladom po meblach na podłodze, rysom na ścianach – badała je niczym archeolog studiujący wymarłe kultury. Później jednak – pod koniec jazdy – było jej już wszystko jedno...

W aucie słyszała tylko śpiewy i zawodzenia, widziała te same, pozbawione wyrazu twarze. Gdy zatrzymywali się po benzynę, robili to na olbrzymich stacjach dla ciężarówek – zawsze między miastami. Podjeżdżali do najdalszego dystrybutora, przy którym nikogo nie było. I jechali dalej, ciągle dalej, zmieniali się tylko kierowcy.

W końcu dojechali nad morze – D.U. czuła to po zapachu. Van stał przez kilka minut – jakby na coś czekał z włączonym silnikiem – a potem przejechał przez szykanę lub próg, wspiął się na podjazd i zaparkował na ręcznym hamulcu. Kierowca wysiadł i po raz pierwszy zostali sami. D.U. była zadowolona, że podróż dobiegła końca.

A potem wszystko zaczęło dygotać, jakby gdzieś włączono olbrzymi silnik. Nie czuła ruchu i dopiero po kilku minutach stwierdziła, że podłoga kołysze się delikatnie. Van stał na statku, który wypływał w morze.

Jest na prawdziwym statku oceanicznym. Starym, gównianym i zardzewiałym, kosztującym pewno pięć dolarów na portowym złomowisku, ale przewożącym samochody, utrzymującym się jak dotąd na wodzie, a nawet płynącym.

Na statku jest tak jak w vanie, z tą różnicą, że siedzi tu więcej ludzi. Ale jedzą to samo, śpiewają te same piosenki i sypiają tak rzadko jak w aucie. D.U. znajduje w tym pewne pocieszenie. Wie, że jest w gromadzie takich samych ludzi jak ona i czuje się bezpieczna. Robi to samo co wszyscy i zna swoje miejsce w szyku.

Dobijają do Tratwy. Oczywiście nikt im tego nie powiedział, ale to jasne. Powinna się bać. Ale może nie jest tam tak źle, jak wszystkim się wydawało.

Gdy Tratwa pojawiła się na horyzoncie, myślała, że znów zwiążą ją izolacją. Później domyśliła się, że nie będzie to wcale potrzebne. Nie robi im kłopotów, została zaakceptowana, ufają jej. W pewnym sensie jest z siebie dumna.

Na Tratwie też nie przysporzy nikomu problemów, bo niby co miałyby zrobić dalej... Uciec z tej części Tratwy na inną, prawdziwą, na Tratwę *per se*? Na Tratwę stu chińskich filmów klasy B i ociekających krwią japońskich komiksów? Nie trzeba mieć zbyt dużej wyobraźni, by domyślić się, co może się przydarzyć na Tratwie amerykańskiej, jasnowłosej piętnastolatce. Każdy o tym wie.

Czasami martwi się o mamę, a potem utwierdza się w przekonaniu, że może cała ta sprawa wyjdzie jej na dobre. Pozwoli jej otrząsnąć się nieco, bo tego właśnie jej trzeba. Po odejściu taty zamknęła się w sobie jak papierowy ptak wrzucony do ognia.

Tratwę otacza chmara małych łodzi tworzących pierścień o średnicy wielu mil. Większość z nich to łodzie rybackie. Na niektórych są ludzie z bronią, ale, o dziwo, nikt nie strzela do ich promu, który przebija się przez pierścień zewnętrzny, zakręca i przybija burtą do białego boku Tratwy. Dosłownie białego. Wszystkie łodzie są czyste i nowe; z wyjątkiem kilku pordzewiałych jednostek z ruskimi literami na rufach. Prom zatrzymuje się przy jednej z nich, bierze cumy i wzmacnia połączenia z Tratwą za pomocą siatek, trapów i starych opon.

Tratwa nie jest rajem dla rolkarzy.

D.U. zastanawia się, czy ktoś z jej towarzyszy jeździ na desce. Nie wyglądają na takich. W ogóle nie wyglądają jak ludzie, z którymi najczęściej miała do czynienia. D.U. zawsze zadawała się z wyrzutkami autostrad, a nie z takimi rozśpiewanymi maniakami. Może Tratwa jest dla niej idealnym miejscem.

Prowadzą ją na ruski statek i dają jej najpotworniejszą robotę pod słońcem: ćwiartowanie ryb. Nie potrzebuje pracy, wcale o nią nie prosiła. Ale nikt nie pyta jej o zdanie. Tak naprawdę nikt z nią nawet nie rozmawia, niczego jej nie tłumaczą i dlatego o nic nie pyta. D.U. po raz pierwszy w życiu doświadcza potężnego szoku kulturowego, bo większość ludzi na statku jest stara i gruba, i mówi tylko po rosyjsku.

Z czasem szok mija i D.U. zaczyna się przyzwyczajać. Rozgląda się wokół siebie, obserwuje koleżanki z pracy i dochodzi do wniosku, że tak ponury żywot wiedzie dziewięćdziesiąt dziewięć procent ziemskiej populacji – pozamykanej w różnych miejscach, otoczonej różnymi ludźmi, którzy niczego nie rozumieją i tylko belkoczą jak najęci, zmuszani do wykonywania bezsensownej pracy, by przetrwać, by nie oszaleć. Co można zrobić? Można rzucić to wszystko, odciąć się i uciec jak najdalej. Zagubić się w złym, okrutnym świecie, dać się połknąć i przepaść na amen.

D.U. nie jest dobra w ćwiartowaniu ryb. Potężne ruskie laski – płaskostope, płaskomorde babuszki – dają jej w kość. Stoją nad nią, obserwują, jak tnie ryby, z takim wyrazem twarzy, jakby nigdy w życiu nie

widziały równie wielkiej fajtlapy. Potem pokazują jej, jak trzeba to robić, ale D.U. nie ma motywacji. Praca jest trudna, a w dodatku sztywnieją od niej zmarznęte ręce.

Po kilku strasznych dniach przydzielają jej nowe zadania: awansują ją, przesuwiają na sam koniec linii produkcyjnej do okrętowej kantyny. Czuje się trochę jak w szkolnej kafeterii, choć przez cały czas płynie na ruskim statku. Pracuje w kambuzie, przestawiając kotły z zupą rybną z kuchni na bufetową ladę, nakładając chochlą do misek, podając miski nie kończącej się kolejce religijnych fanatyków, religijnych fanatyków i następnych religijnych fanatyków. Tylko że tu więcej wśród nich Azjatów i ani jednego Amerykanina.

Mają tu też nowy gatunek ludzi: człowieka z anteną na głowie. W zasadzie z dwiema antenami przypominającymi te, jakie mają gliniarze na krótkofalówkach. Anteny – krótkie, tępo zakończone, czarne, gumowe baciki – wyrastają ludziom zza uszu. Gdy zobaczyła je po raz pierwszy, pomyślała, że to nowy rodzaj walkmana, i chciała zapytać, gdzie takie dają i czego się na nich słucha. Ale facet z anteną wyglądał dziwnie, dziwniej niż cała reszta. Spoglądał nieprzytomnie przed siebie i bełkotał gorzej od deliryka. D.U. przestraszyła się, dołożyła mu porcję zupy i posłała dalej.

Od czasu do czasu rozpoznaje ludzi z vanu. Oni natomiast zupełnie jej nie pamiętają. Patrzą przez nią jak przez szybę. I mają szklane oczy. Jak po praniu mózgow.

Po czymś takim, co sama przeszła.

Aż trudno uwierzyć, że potrzebowała tyle czasu, by domyślić się, co z nią robią. Świadomość tego wkurwia ją jeszcze bardziej.

44

W rzeczywistości Port Sherman jest zadziwiająco małym miasteczkiem składającym się z kilku prostopadłych przecznic. Do czasu pojawienia się Tratwy mieszkało tu parę tysięcy ludzi. Teraz liczba ludności urosła do pięćdziesięciu tysięcy i wciąż pnie się w górę. Hiro musi zwolnić motocykl, bo uchodźcy śpią na ulicach i mają gdzieś utrudnienia w ruchu kołowym.

W pewnym sensie ratują mu życie. Tuż po wjeździe do Port Sherman blokują się koła motocykla: szprychy sztywnieją, a droga staje się nagle bardzo wyboista. Po kilku sekundach gaśnie silnik i Hiro sunie na martwej kupie złomu. Co gorsza, nie może odpalić. Zerka na płaski ekran na baku, łudząc się, że to tylko chwilowa awaria. Ale na ekranie jest śnieg. System umarł. Asherah opętała motocykl.

Rzuca maszynę na samym środku ulicy i idzie piechotą nad morze. Słyszy, jak za jego plecami budzą się uchodźcy, jak wylażą spod koców i ze śpiworów, jak zbiegają się nad porzuconym motocyklem, biorąc go w posiadanie.

Słyszy też głuche dudnienie rezonujące mu w piersiach i natychmiast przypomina sobie motocykl Kruka, który widział, a raczej czuł w LA. Ale w okolicy nie ma żadnych dwusładów, a dudnienie dobiega z wysoka. To śmigłowiec. Taki, co lata w powietrzu.

Czuje smród alg gnijących na plaży. Morze jest bardzo blisko. Wychodzi z za rogu i przystaje na opadającej stromo nabrzeżnej ulicy, mając przed sobą fronton „Spiektroom 2000”. Dalej jest tylko woda.

Helikopter leci nad fiordem, zbliża się znad morza i kieruje nad „Spiektroom”. Jest nieduży, zwinnie i cały przeszklony. Tam, gdzie kiedyś widniały czerwone gwiazdy, wymalowano teraz krzyże. Maszyna lśni oślepiającym światłem w chłodnym porannym powietrzu, a to za sprawą białobłękitnych flar magnezowych, jakie sypią się jej spod ogona, zupełnie jak gwiazdy. Flary wybuchają w powietrzu i spadają do morza, gdzie płoną jasnym światłem. Widać je wszędzie, przez całą długość portu. Nie jest to spektakl przygotowany na powitanie Hiro. Flary są osłoną przed ciepłolubnymi raketami.

Z miejsca, w którym stoi, widzi dach hotelu położonego nieco niżej. Ma przeczucie, że na dachu najwyższego budynku w Port Sherman jest Gurov, który czeka na świetlisty, ewakuacyjny rydwan. Odfrunie nim wprost w porcelanowe niebo i dalej na Tratwę.

Pytanie: Dlaczego się ewakuuje? Dlaczego obawia się raketowego ataku? Dzieje się tu coś bardzo, bardzo dziwnego. Szkoda tylko, że tak późno zdał sobie z tego sprawę.

Gdyby miał motocykl, mógłby wjechać nim po zewnętrznych schodach ewakuacyjnych na sam dach. Mógłby dowiedzieć się, co jest grane. Ale nie ma i niczego się nie dowie.

Z zamyślenia wyrывa go głuchy łoskot dobiegający z dachu budynku po prawej stronie. Dom jest stary, zbudowany przez pierwszych osadników przed ponad stu laty. Pod Hiro uginają się kolana. Otwiera usta, machinalnie opuszcza ramiona i podnosi wzrok. W jego polu widzenia pojawia się mały, ciemny kształt pędzący w górze niczym jaskółka. Kształt ów wybiega daleko nad wodę i zapala się. Wyrzuca z siebie chmurę żółtego, gęstego dymu. Po chwili zamienia się w ognistą kulę i wyrывa jak wyrzucony z procy. Nabiera szybkości, sunąc nad samym portem, a potem wpada do helikoptera: wlatuje przez szybę i wylatuje tyłem. Śmigłowiec zamienia się w chmurę płomieni wyrzucającą z wnętrza kawałki metalu, niczym feniks wykluwający się ze skorupy.

Wygląda na to, że Hiro nie jest jedynym facetem w mieście, który nie lubi Gurova. Teraz Gurov musi zejść na dół i przespacerować się do portu.

Hol „Spietroom 2000” przypomina warownię strzeżoną przez brodaczy z automatami. Ruscy przegrupowują siły, wzmacniają obronę, ściągają posiłki. Kolejni żołnierze wyczołgują się ze swych przedziałów, wciągają kamizelki, chwytają za broń. Jakiś śniady facet – pewno tatarski sierżant z dawnej Armii Czerwonej – biega w tę i z powrotem w zmodyfikowanym mundurze sowieckiego matrosa i wrzeszczy na ludzi, i ustawia ich to tu, to tam.

Gurov może i jest świętym mężem, ale nie potrafi chodzić po wodzie. Będzie musiał wyjść na nabrzeżną ulicę, przejść dwie przecznice do bramy prowadzącej na w miarę bezpieczną keję i dostać się na pokład „Królowej Kodiak”, która czeka na niego, plując dymem z kominów i mrugając pozycyjnymi lampami. Tuż obok „Królowej” cumuje „Kowloon” – jedyny flagowiec Wielkiego Hongkongu Pana Lee w tym rejonie.

Hiro odwraca się tyłem do „Spietroom 2000” i przebiega w górę i dół ulicę nabrzeżną, wypatrując wśród logo znajomego kształtu Wielkiego Hongkongu Pana Lee.

Nie chcą go wpuścić do środka. Macha paszportem i drzwi otwierają się automatycznie. Strażnik jest Chińczykiem, ale mówi trochę po angielsku. Do czego to doszło! – zastanawia się Hiro – żeby Pan Lee zatrudniał żywych strażników! Wielki Hongkong jest krajem otwartym, bez przerwy szukającym nowych obywateli, nawet wśród najuboższych uchodźców.

– Pan wybaczy – mówi strażnik wysokim, nieszczerym głosem. – Nie wiedziałem... – wskazuje paszport Hiro.

Franszulat jest jak łyk świeżego powietrza. Można w nim zapomnieć o Trzecim Świecie i wszechobecnym smrodzie uryny. Znaczy to, że franszulat jest czymś w rodzaju miejscowej kwatery głównej albo coś koło tego, bo większość posiadłości Pana Lee w tym mieście składa się zapewne ze strzelca wyborowego i automatu telefonicznego, pilnowanego przez tegoż.

Franszulat jest przestronny, czysty i miły. Przez szybę patrzą na Hiro oczy paruset uchodźców, trzymany z daleka od tego miejsca przez wymowną obecność trzech psich bud, w których czają się Szczurojamniki. Wygląda na to, że dwie budy sprowadzono tu całkiem niedawno. Oplaca się zadbać o własne bezpieczeństwo, gdy w pobliżu przepływa Tratwa.

Hiro podchodzi do lady, za którą stoi facet rozmawiający przez telefon po kantońsku (co oznacza, że wrzeszczy). Hiro rozpoznaje w nim miejscowego prokonsula. Prokonsul jest bardzo zajęty rozmową, ale nie omieszkał zauważyć białej broni na plecach gościa, któremu przygląda się teraz podejrzliwie.

– Jesteśmy bardzo zajęci – mówi w końcu, odkładając słuchawkę.

– Będziecie jeszcze bardziej – stwierdza Hiro – bo chciałbym wynająć waszą łajbę „Kowloon”.

– To będzie bardzo drogie – mówi prokonsul.

– Przed chwilą rzuciłem na ulicy fabrycznie nowy i bardzo nowoczesny motocykl, bo nie chciało mi się pchać go do warsztatu. Moje konto na wydatki bieżące jest tej wysokości, że gdy patrzę na nie, kręci mi się w głowie.

– Jednostka jest chwilowo zepsuta.

– Doceniam pańską uprzejmość i ten eufemistyczny sposób odmowy, ale tak się składa, że wiem na pewno, iż nie jest zepsuta, zatem przejdźmy do rzeczy.

– Powiem inaczej: nie jest do wynajęcia – mówi prokonsul. – Korzysta z niej ktoś inny.

– Ktoś inny nie wypłynął jeszcze z portu, więc odwoła pan tamten rejs, korzystając z jednej z wielu wymówek, które przychodzą panu z taką łatwością, a ja odpowiednio to wynagrodzę.

– Nie możemy postępować w ten sposób.

– W takim razie wyjdę na ulicę i poinformuję uchodźców, że dokładnie za godzinę „Kowloon” wypływa do LA i jest gotów zabrać na pokład dwudziestu z nich według kolejności zgłoszeń.

– Nie.

– Dodam, że zgłoszenia powinni składać u pana osobiście.

– Dokąd chce pan popłynąć?

– Na Tratwę.

– Mógł pan powiedzieć to od razu. Właśnie tam chce popłynąć pierwszy pasażer.

– Ma pan kogoś, kto chce popłynąć na Tratwę?

– Ogłuchł pan? Właśnie to powiedziałem. Paszport proszę.

Hiro podaje dokument. Prokonsul wsuwa paszport do czytnika. Dane Hiro wraz z jego zdjęciem przechodzą do cyfrowej kartoteki franszulatu, która pod wpływem kilku uderzeń w klawisze zwraca prokonsulowi laminowaną przepustkę.

– Pokaże pan to przy wejściu do portu – mówi prokonsul. – Przepustka jest ważna przez sześć godzin. Przez ten czas musi pan wejść na statek i ułożyć się z pierwszym pasażerem. Później nie chcę już pana widzieć.

– A gdybym potrzebował pomocy konsularnej?

– Wtedy wyjdę na ulicę i powiem wszystkim, że czarnuch z mieczami gwałci kobiety chińskich

uchodźców.

– Przeraza mnie pogarszający się poziom usług w Wielkim Hongkongu Pana Lee.

– Mamy do czynienia z sytuacją kryzysową. Wyjrzyj przez okno, baranie.

Niewiele zmieniło się na nabrzeżu. Ortosi zorganizowali obronę w holu „Spietroom 2000”, przewracając meble i budując barykady. Hiro domyśla się, że we wnętrzu hotelu dzieją się rzeczy straszne.

Wciąż jednak nie bardzo wiadomo, przed kim bronią się Ortosi. Przepychając się przez tłum, Hiro niewiele się dowiedział: większość ludzi na ulicy to zwyczajni chińscy uchodźcy w podniszczonych i powypychanych łachach. Co prawda, niektórzy z nich są bardziej podnieceni od innych, ale to o niczym nie świadczą. Chińczycy kierują się całkiem innymi afektami. Przeważnie wbijają oczy w błoto pod swoimi stopami i myślą nie wiadomo o czym. Albo chodzą w tę i z powrotem po ulicy i rozglądają się podejrzliwie. Tak się składa, że ci, którzy to robią, są przeważnie młodzi i mają na sobie obszerne kurtki, pod którymi rysują się różne, ciekawe kształty. Mają też całkiem inne fryzury niż pozostali. Zdaje się, że używają żelu do włosów.

Brama prowadząca do kei bogaczy jest obwarowana workami z piaskiem i drutem kolczastym. Pilnują jej strażnicy. Hiro zbliża się do nich wolnym krokiem z rękoma na widoku. Pokazuje przepustkę szefowi straży, który jest pierwszym białym, jakiego widzi w Port Sherman.

Wpuszczają go do portu. Bez problemu. Port – podobnie jak franszulat Hongkongu – jest pusty, cichy i czysty. Keja kołysze się delikatnie na falach, co wprowadza Hiro w swoisty błogostan. Wbrew pozorom, nie wybudowano jej na palach: postawiono ją na płytach styropianu przymocowanych do dna i istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdyby nie była strzeżona, skończyłaby jako jeden z elementów nośnych Tratwy.

W przystani, do której zmierza Hiro, panuje nadzwyczajne ożywienie. Zazwyczaj ludzie cumują tu łodzie, zamykają je i zostawiają własnemu losowi. Teraz na każdej łodzi siedzi przynajmniej jedna osoba pokrzepiająca się kawą, prezentująca okazały model broni i rzucająca maszerującemu Hiro pełne nieufności spojrzenia. Co kilka sekund keja dudni pod stopami biegnących ludzi: są to zazwyczaj Rosjanie pędzący na „Królową Kodiak”. Wszyscy są raczej młodzi, w typie żołniersko-marynarskim i skaczą na jacht, jakby ziemia paliła im się pod nogami, by po chwili i pod wpływem głośnych rozkazów oficerów zająć się gorączkowo żeglarskimi obowiązkami.

Na „Kowloon” jest spokojniej. Pilnuje go kilku strażników, ale większość personelu wygląda na kelnerów i stewardów – może dlatego, że ubrano ich w nieskazitelne uniformy z mosiężnymi guzikami i białymi rękawiczkami do kompletu. Mundury te pomyślano jako stroje nadające się do noszenia we wnętrzach: w łagodnych warunkach klimatyzowanych jadalni.

Tu i ówdzie kręcą się też członkowie załogi z zaczesanymi do góry i lśniącymi kruczoczarnymi włosami. Ci z kolei ubrani są w granatowe kurtki chroniące od deszczu i wiatru. Na jachcie jest tylko jeden człowiek, który wygląda jak pasażer: szczupły, wysoki, biały, w ciemnym garniturze, przechadzający się po pokładzie i rozmawiający przez telefon komórkowy. Prawdopodobnie biznesmen, który chce sobie popatrzeć na Tratwę i nacieszyć oczy widokiem wygłodniałych uchodźców, sycąc podniebienie przysmakami serwowanymi w jadalni „Kowloon”.

Hiro jest w połowie kei, gdy przed „Spietroom 2000” wybucha piekło. Wszystko zaczyna się od długiej serii z ciężkiego karabinu maszynowego. Seria nie wyrządza chyba dużych szkód, ale skutecznie czyści ulice. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent uchodźców po prostu znika. Pozostali – młodzi mężczyźni w obszernych kurtkach – wyciągają zza pazuchy interesującą, nowoczesną broń i kryją się w zaułkach lub bramach. Hiro przyśpiesza nieco kroku i po chwili maszeruje tyłem, próbując kryć się za większymi jednostkami cumującymi przy kei. Nie chce zginąć od zabłąkanej kuli.

Znad morza wieje lekka bryza, która w okolicach „Kowloon” zabiera ze sobą zapach smażonego bekonu i świeżej kawy. Hiro przypomina sobie, że jego ostatnim posiłkiem było stęchłe piwo w Ratuszu.

Przed „Spietroom 2000” panuje nieopisany hałas: wszyscy zgromadzeni w hotelu i przed nim strzelają równocześnie. Nie wiadomo jednak do kogo.

Coś dotyka ramienia Hiro, który machinalnie sięga po miecz, ale cofa rękę, widząc za sobą małą chińską kelnerkę, która przyszła po niego z „Kowloon”. Zwróciwszy na siebie uwagę, dziewczyna również cofa dłoń tam, gdzie trzymała ją pierwotnie, to znaczy na prawym uchu. Lewe ma cały czas zatkałe lewą dłonią.

– Pan Hiro Protagonista? – pyta, co można odczytać jedynie z ruchu jej warg.

Hiro kiwa głową. Dziewczyna kłania się, cofa o krok i wskazuje brodą „Kowloon”. Przypomina to jakiś ludowy taniec – z pewnością przez te ręce na uszach...

Hiro idzie za nią po kei. Może pozwoli mu wynająć jacht tylko dla siebie? Chinka wskazuje mu aluminiowy trap.

Idąc po trapie, zerka na wyższy pokład, na którym stoją dwaj członkowie załogi w granatowych kurtkach. Jeden z nich opiera się o balustradę i obserwuje przez lornetkę sytuację na brzegu. Drugi, starszy, podchodzi do niego od tyłu i klepie go parę razy po plecach.

Facet z lornetką odwraca się i sprawdza, kto pozwolił sobie na taką poufałość. Nie ma oczu Chińczyka.

Starszy coś do niego mówi i pokazuje na gardło. Ten też nie jest Chińczykiem.

Ten z lornetką kiwa głową i sięga pod klapę kurtki, gdzie ma elektroniczny przycisk. Na jego plecach widać bijący w oczy, seledynowy napis wykonany elektropigmentem. Napis głosi: „MAFIA”.

Starszy odwraca się. Ma na plecach to samo.

Hiro przystaje na środku trapu i spogląda za siebie. Ma za plecami ze dwudziestu członków załogi. Nagle słowo „MAFIA” ukazuje się wszędzie. Nagle wszyscy członkowie załogi sięgają po broń.

45

– Miałem zamiar skontaktować się z przełożonymi tutejszego prokonsula i złożyć na niego skargę – Hiro pozwala sobie na żart. – Bardzo odradzał mi wynajmowanie tego jachtu.

Siedzi w jadalni pierwszej klasy na pokładzie „Kowloon”. Po drugiej stronie przykrytego białym obrusem stołu rozgościł się ów biały, którego Hiro wziął za biznesmena na wakacjach. Facet ma na sobie nienagannie skrojony czarny garnitur. Oprócz tego ma szklane oko. Nie zadał sobie trudu, by się przedstawić, jakby Hiro musiał wiedzieć, kim jest.

Żart Hiro nie robi na nim wrażenia. Jest czymś wyraźnie niepokieszony.

– I co?

– No... nie widzę powodu, żeby składać skargę – mówi Hiro.

– Dlaczego?

– Bo rozumiem jego opory. Nie chciał wzbudzać waszego niezadowolenia, panowie.

– Jak to? Masz przecież pieniądze, prawda?

– No tak, ale...

– Ach, no jasne! – Facet ze szklanym okiem puka się w czoło i zmusza do uśmiechu. – Chodzi o to, że jesteśmy z Mafii! To miałeś na myśli?

– Taaa... – bąka Hiro, czując, że twarz zaczyna mu płonąć. Nie ma to jak zrobić z siebie idiotę! Nie ma lepszej rzeczy na świecie, o nie!

Tocząca się przed hotelem bitwa brzmi tu jak cichy pomruk. Jadalnia jest odizolowana od zewnętrznych hałasów, wody, wiatru i przemieszczających się z dużą prędkością ołowianych przedmiotów zadziwiająco grubą warstwą szkła klejonego jakąś przezroczystą, lekko opalizującą, żelatynową substancją. Inna rzecz, że bitwa chyba dobiega końca.

– Jebane karabiny maszynowe! – klnie nagle jednooki. – Nienawidzę ich. Jedna kula na tysiąc trafia coś wartego trafienia, a pękają od nich bębniaki. Chcesz kawy albo czego innego?

– Byłbym zobowiązany.

– Niedługo zaserwują nam dania z bufetu. Bekon, jajka, świeże owoce... aż trudno uwierzyć.

Facet, którego Hiro widział na górnym pokładzie – ten od walenia po plecach – wsadza głowę do jadalni.

– Przepraszam, szefie, ale musimy przejść do trzeciej fazy planu. Pomyślałem, że zechce pan wiedzieć...

– Dziękuję, Livio. Daj mi znać, jak Ruscy wejdą do portu. – Jednooki upija łyk kawy i z lekkim rozbawieniem obserwuje zmieszanego Hiro. – Widzisz, mamy plan, który, jak każdy, składa się z kilku faz.

– Pojmuję.

– Pierwsza faza nazywała się „Unieruchomienie” i obejmowała zestrzelenie helikoptera. Druga faza nazywała się „Zasłona dymna” i polegała na przekonaniu Ruskich, że chcemy ich zabić w hotelu. Myślę, że udała się znakomicie.

– Ja też.

– Dzięki. Ważnym elementem składowym tej fazy było bezpieczne przetransportowanie twojego tyłka na jacht, co także się udało.

– Plan obejmuje i mnie?!

Jednooki uśmiecha się słodko.

– Gdyby było inaczej, byłbyś już martwy.

– Wiedzieliście, że jadę do Port Sherman?

– Znasz taką laskę, na którą mówią D.U.? Tę, którą wykorzystywałeś do szpiegowania Mafii?

– No. – Nie ma sensu zaprzeczać.

Więc my skorzystaliśmy z jej nieświadomej pomocy do szpiegowania ciebie.

– Po co? Co was obchodzi ktoś taki jak ja?

– Żeby to wytłumaczyć, musielibyśmy odejść od zasadniczego tematu naszej rozmowy, jakim jest plan i jego poszczególne fazy.

– Dobra. Stanęliśmy na fazie drugiej...

– I przechodzimy do fazy trzeciej, która właśnie trwa i nosi nazwę „Zwycięstwo”. W tej fazie Ruski musi podjąć niewiarygodnie bohaterską próbę ucieczki z hotelu do portu.

W drzwiach pokazuje się głowa Livio, adiutanta.

– Faza czwarta!

– *Scusi* – rzuca jednooki, odsuwa krzesło i rzuca serwetkę na stół, po czym wstaje i wychodzi z jadalni.

Hiro idzie za nim na wyższy pokład.

Parę tuzinów Rosjan próbuje sforsować bramę prowadzącą do portu. Wejście jest wąskie, Rosjanie rozciągają się w długi szereg biegnący ku „Królowej Kodiak”.

W połowie szeregu biegnie większa grupa, tworząca żywą tarczę wokół kilku ludzi w środku.

– Grube ryby – zauważa filozoficznie jednooki.

Rosjanie biegną zgięci w pół. Od czasu do czasu oddają strzały w stronę ulic Port Sherman.

Jednooki mruży oczy. Od morza wieje chłodny wiatr. Odwraca się do Hiro i z lekkim uśmiechem oznajmia: – Zrobimy im niespodziankę.

Trzyma w dłoni małe, czarne pudełko przypominające pilota. Naciska jedyny guzik.

Wybuch brzmi jak grzmot nadbiegający ze wszystkich stron naraz. Hiro czuje, jak zbliża się woda, jak wibruje pod jego stopami. Nie widać płomieni czy chmury dymu, za to pod dnem „Królowej Kodiak” wyrastają nagle dwa potężne gejzery, wyrzucające w górę, niczym skrzydła, strumienie białej, spienionej wody. Skrzydła zapadają się pod własnym ciężarem, a „Królowa Kodiak” zanurza się nagle zdumiewająco głęboko. Coraz głębiej.

Rosjanie biegnący po kei zatrzymują się jak wryci.

– Teraz! – mówi mafioso z lornetką do kłapy kurtki.

Wzdłuż całej kei pojawiają się mniejsze wybuchy. Konstrukcja załamuje się i skręca w wodzie jak wąż. Jeden z segmentów – ten, na którym stoją „grube ryby” – kołysze się i podskakuje jak osiodłane źrebię. Na obu końcach pojawia się dym. Wybuchy oderwały segment od reszty konstrukcji.

Stojący na nim ludzie przewracają się jednocześnie i w tym samym kierunku, bo segment szarpnął gwałtownie i zaczyna płynąć. Hiro widzi kabel – napinający się teraz i prowadzący wprost do niewielkiej łodzi z dużym silnikiem. Łódź właśnie wypływa z portu.

Niektórzy ze strażników podnoszą się. Jeden z nich ogarnia wzrokiem sytuację i podnosi do góry swoje AK-47, mierząc w kierunku łodzi oddalonej o kilkaset jardów. Gdy broń jest już gotowa do strzału, odważny strażnik traci głowę (za sprawą snajpera umieszczonego w bocianim gnieździe „Kowloon”).

Pozostali strażnicy wyrzucają automaty do wody.

– Czas na fazę numer pięć – mówi jednooki. – Kurewsko wielkie śniadanie.

Zanim Hiro zasiadł w jadalni, „Kowloon” odcumował od kei i ruszył w dół fiordu, płynąc równolegle do kursu, który obrała łódź ciągnąca kawałek mola z Rosjanami. Jedząc, wyglądają przez okno i podziwiają sprawność, z jaką Ruscy utrzymują się na wodzie. Wszyscy jak jeden mąż usiedli na tyłkach, by obniżyć swój środek ciężkości. Tratwą straszliwie rzuca.

– Im dalej od brzegu, tym większe fale – komentuje jednooki. – Straszne kurestwo. Ledwo człowiek wyrzyga śniadanie, już trzeba rzygać lunch.

– Amen – dodaje Livio, nakładając sobie jajecznicę.

– Chcecie ich zostawić, czy weźmiecie ich na pokład? – pyta Hiro.

– Pies ich trącał. Niech sobie odmrożą tyłki. Niech dojrzeją do wejścia na pokład. Może nie będą się stawiać, może porozmawiają z nami, może nawet nam podziękują!

Wszyscy są bardzo wygłodniali. Przez pewien czas słychać tylko szuranie sztućców po talerzach i niezbyt eleganckie mlaskanie. W końcu jednooki przerywa milczenie, chwając głośno posiłek. Wszyscy potakują głowami. Hiro dochodzi do wniosku, że można już mówić.

– Zastanawiam się, skąd to nagle zainteresowanie moją osobą? – rzuca w powietrze. Dobrze jest wiedzieć, dlaczego interesuje się nami Mafia.

– Stąd, że należymy do tego samego gangu – mówi jednooki.

– Jaki to gang?

– Gang Lagosa.

– Hę?!

– No, może niezupełnie... Chociaż Lagos złożył to wszystko do kupy. Stał się załączkiem, wokół którego powstała większa struktura.

– O czym pan, do cholery, mówi?!

– Dobra... – Jednooki odsuwa talerz, składa serwetkę i odkłada ją na stół. – Zacznijmy od początku. Lagos był facetem, który miał różne pomysły. Różne pomysły na różne rzeczy.

– Podzielał to zdanie.

– Miał u siebie składowisko danych: pliki, zbiory, teczki i foldery na każdy temat. Zbierał wiadomości z całego jebanego świata i wiązał wszystko do kupy. Miał swoje skrytki w całym Metawersie i czekał, aż jakaś informacja się przyda.

– Nie wiedziałem. Myślałem, że miał jedno archiwum.

– Miał ich wiele. Nikt do końca nie wie ile. Tak czy inaczej, parę lat temu Lagos zgłosił się do L. Boba Rife'a.

– Naprawdę?

– Czy wyglądam na takiego, co kłamie? Rife zatrudniał już wtedy miliony programistów i miał zajoba na punkcie tego, że kradną mu dane.

– Wiem, że zakładał im podsłuchy w domach i takie tam...

– Wiesz o tym, bo czytałeś archiwum Lagosa. A Lagos zajmował się tym, bo badał rynek. Rozglądał się za kimś, kto zapłaci mu żywą gotówką za dane, których dokopał się w archiwum Babel/Infokalipsa.

– Uważał, że Rife interesuje się wirusami?

– Owszem. Widzisz, nie kapuję połowy z tego gówna, ale domyślam się, że Lagos znalazł jakiś stary wirus, który nadawał się do zakażenia myślicieli, elity...

– Technologicznego kapłaństwa – kończy Hiro. – Infokratów... Znalazł wirus, który wykończył całą sumeryjską infokrację...

– Niech i tak będzie.

– Ale to bez sensu – mówi Hiro. – Wirus nie mógł mieć żadnej wartości rynkowej. Ten, kto by go kupił, podciąłby gałąź, na której siedzi. Czy jest na świecie pracodawca, który stwierdziwszy, że pracownicy kradną mu długopisy, kazałby ich za to rozstrzelać? Lagos musiał wiedzieć, że jeśli użyje wirusa, zniszczy wszystkich programistów.

– Wirusa w oryginalnej postaci – przerywa mu jednooki. – Rzecz w tym, że Lagos chciał go zmodyfikować.

– Chciał stworzyć informacyjną broń masowej zagłady?

– Niezupełnie. Chciał wyizolować wirus i zmodyfikować go w taki sposób, by nadawał się do kontrolowania programistów, nie niszcząc jednocześnie ich potrzebnych do pracy umysłów.

– Udało mu się?

– Nikt tego nie wie. Rife ukradł pomysł Lagosa. Najnormalniej w świecie ukradł mu pomysł i uciekł. Później Lagos nie miał już wpływu na to, co zrobił Rife. Szydło wyszło z worka dopiero po kilku latach, kiedy Lagos zaczął dostrzegać pewne niepokojące symptomy...

– Na przykład eksplozję zainteresowania Perłowymi Wrotami Wielebnego Wayne'a.

– I Ruskich mówiącymi językami. I prace archeologiczne Rife'a...

– Wykopaliska w Eridu.

– Być może. Symptomów było bez liku. Tak czy inaczej, Lagos nagle otrzeźwiał i zaczął się martwić. Zaczął zgłaszać się do różnych ludzi. Na przykład do nas. Na przykład do tej laski, z którą miałeś kiedyś romans...

– Ma na imię Juanita.

– Nie neguję tego. Fajna laska. I dalej... na przykład do Pana Lee. W ten sposób wokół Lagosa powstał krąg ludzi, który nazwałem gangiem.

46

– Co się z nimi stało? – pyta Hiro.

Nagle wszyscy szukają tratwy z Ruskimi. Nagle wszyscy zauważyli, że jej nie ma. Zniknęła zza okna, ale nie z powierzchni morza, została ćwierć mili z tyłu i stoi nieruchomo na wodzie. Łódź holownicza okrąża ją teraz, próbując ponownie wziąć ją na hol.

– Odczepili kabel – mówi Hiro.

– Niemożliwe – odpowiada jednooki. – Był przytwierdzony do dna, pod wodą. A poza tym, to nie był kabel tylko stalowa lina. Nie mają tak ostrych zębów.

W tej samej chwili Hiro zauważa małą łódkę kołyszącą się na wodzie w połowie drogi między Rosjanami a motorówką. Łódka nie rzuca się w oczy, bo jest mała, ma niezbyt wysokie burty i pomalowana jest na morski kolor. W zasadzie to nawet nie jest łódka tylko kajak. A w środku siedzi długowłosa mężczyzna.

– Kurwa! – mówi Livio. – A ten skąd się tu wziął!

Wioślarz rozgląda się po powierzchni morza, jakby czytał fale. Nagle skręca ostro i zaczyna machać wiosłem, przyspiesza, rzucając od czasu do czasu spojrzenia w tył. Zbliża się duża fala, unosi kajak do góry, zrównuje się z nim szybkością. Kajak mknie na szczycie i nagle rusza do przodu jakby pchnięty odrzutem. Płynie z falą, pędzi szybciej niż cokolwiek, co porusza się na wodzie.

Wioślarz od czasu do czasu macha rękoma, nadając kajakowi odpowiedni kierunek. Po chwili układa wiosło w poprzek łodzi, sięga w głąb i wyjmuje jakiś obły przedmiot – rurę długości mniej więcej czterech

stóp. Zarzuca ją sobie na ramię.

Pędzi na wprost motorówki płynącej w przeciwnym kierunku. Oddziela ich nie więcej niż dwadzieścia stóp. I wtedy motorówka wybucha.

„Kowloon” jest oddalony od tego wszystkiego o dobre kilka tysięcy jardów. Zakręca teraz najostrożniejszym łukiem, na jaki może sobie pozwolić jednostka tej wielkości. Silniki pracują na największych obrotach. Jest jeszcze szansa, że zdążą rozprawić się z Ruskimi. (Znacznie mniejsza, że zdążą dopaść Kruka).

Kruk wraca teraz po kumpli.

– Co za kutas! – mówi nie bez podziwu Livio. – Tylko ciekawe, co teraz zrobi? Pociągnie ich do Tratwy jebanym kajakiem?!

– Szlag by go trafił! – klnie jednooki. – Wyślij na górę paru chłopaków ze Stingerami. Gdzieś w pobliżu musi być helikopter.

– Na radarze nie widać innych jednostek pływających – melduje jeden z żołnierzy z mostka. – Tylko my i oni. Helikopterów też nie widać.

– Wiecie, że Kruk ma bombę – stwierdza raczej niż pyta Hiro.

– Tak słyszałem. Ale nie wsadził jej do pierdolonego kajaka! Za mało miejsca. Kto by przypuszczał, że można pływać po pełnym morzu w takim gównie.

Nagle z oceanu wyrasta góra: olbrzymi bąbel czarnej wody rosnący w oczach. Za tratwą wznosi się czarna wieża majestatycznie wyłaniająca się z głębi z parą ukośnych skrzydeł po bokach. Jest coraz wyższa, skrzydła wydają się coraz szersze, aż w końcu góra nabiera właściwego kształtu. Widać na niej czerwoną gwiazdę i jakiś numer. Nie trzeba czytać numerów, by domyślić się, że jest to łódź podwodna. Ruska, atomowa łódź podwodna porwana przez Kruka.

Wieża zatrzymuje się. Burta łodzi jest tak blisko tratwy, że Gurov i jego kumple mogą bez przeszkód przeskoczyć przez wąski pas wody. Podpływa do nich Kruk, tnąc wiosłem wodę niczym szklanym nożem.

– Szlag mnie trafi! – krzyczy prawdziwie zdumiony jednooki. – Kurwa, kurwa, kurwa – powtarza. – Wujek Enzo nas nie pochwali.

– Skąd mieliśmy wiedzieć? – pyta retorycznie Livio. – Mamy do nich strzelać?

Zanim jednooki podjął stosowną decyzję, odezwała się armata z wieży łodzi podwodnej. Pierwszy pocisk minął jacht o kilka jardów.

– Okay, sytuacja rozwija się w sposób nie kontrolowany. Hiro, idziesz ze mną.

Załoga „Kowloon” należycie oceniła sytuację i postawiła na zwycięstwo atomowej łodzi podwodnej. Z tego powodu na wodę zaczęły spadać duże, szczelne kapsuły z włókna szklanego, które po otwarciu zmieniają się w pomarańczowe łodzie ratunkowe.

Gdy ruski celowniczy poprawił namiar, sytuacja stała się tragiczna. „Kowloon”, nie bardzo wiedząc, czy ma zatonać, spalić się, czy rozpaść na kawałki, zrobił wszystkie te rzeczy jednocześnie. Ale większość ludzi z jachtu była już bezpieczna na tratwach. Kołyszą się teraz na wodzie, wciągają ratunkowe kamizelki i wpatrują się w ruski okręt.

Kruk schodzi pod pokład jako ostatni. Przez kilka minut wyjmuje jakiś sprzęt z kajaka: mocno wypchany plecak i długą, ośmiostopową włócznię z półprzezroczystym grotem w kształcie liścia. Przed wejściem na okręt odwraca się w stronę płonącego jachtu i unosi harpun nad głową. Jest to gest tryumfu i groźba zarazem. Po chwili znika. Po kilku minutach znika również okręt.

– Dostaję gęziej skórki, jak patrzę na tego gościa – mówi jednooki.

Gdy znów zaczyna wszystko rozumieć, gdy pojmuje, że ci ludzie są pojebanymi świrusami, powoli zauważa także inne rzeczy. Na przykład to, że przez cały czas nikt nie patrzy jej prosto w oczy. Szczególnie mężczyźni. Jakby ich wykastrowali, jakby w ogóle nie myśleli o seksie albo zepchnęli tę myśl gdzieś w głąb siebie. Zrozumiałe jest, że nie podnieca ich widok grubych Rosjanek. Ale D.U. jest piętnastoletnią, amerykańską laską i przyzwyczała się, że faceci ślinią się na jej widok. Ale nie tutaj.

Do czasu. Gdy pewnego dnia podnosi głowę znad kotła z zupą rybną, widzi przed sobą pierś jakiegoś gościa. I gdy podąża wzrokiem w górę wzdłuż szyi i twarzy, zauważa ciemne oczy, które gapią się na nią z drugiej strony lady.

Facet ma na czole tatuaż: SŁABA KONTROLA ODRUCHÓW. Trochę to przerażające, ale i seksowne. Nadaje mu aurę pewnej romantyczności, której brakuje reszcie pasażerów Tratwy. D.U. spodziewała się, że Tratwa jest ponurym i niebezpiecznym miejscem, a zamiast tego trafiła na linię produkcyjną, która niewiele różni się od biura Federalów. Facet, który na nią patrzy jest pierwszą osobą, która sprawia wrażenie

prawdziwego flisaka.

No i ten jego wygląd! Ma w sobie coś ordynarnego. Mógłby być całkiem do rzeczy, gdyby nie długie wąsy, które zupełnie nie dodają mu uroku.

– Przyjmujesz to ściervo? – pyta go, machając zalotnie chochlą. – Jeden rybi łeb czy dwa? – Zawsze mówi bzdury, bo i tak nikt jej nie rozumie.

– Wezmę wszystko, co dasz – odpowiada facet po angielsku. Ma trochę dziwny akcent.

– Nic nie daję – ripostuje D.U. – Ale jeśli masz ochotę, możesz pogrzebać w kotle.

To miał być żart, ale gość rzeczywiście zagląda do kotła i zaczyna w nim mieszać. Robi to tak długo, że ludzie z kolejki zaczynają wspinać się na palce i rozglądać za przyczyną zatoru. Ale gdy tylko ich wzrok pada na czarniawego gościa, natychmiast kurczą się w sobie i znikają za plecami towarzyszy.

– Co dajesz na deser? – pyta nieznajomy. – Masz dla mnie coś słodkiego?

– Nie wierzymy w desery – mówi D.U. – Deser to pierdolony grzech, nie pamiętasz?

– Zależy jaką się ma orientację kulturową.

– Nie gadaj? A jaka jest twoja?

– Jestem Aleutem.

– Nigdy o takich nie słyszałam.

– Dlatego, że nas przejebali – mówi wielki, przerażający Aleut. – Gorzej niż kogokolwiek na świecie.

– Przykro mi – rzuca D.U. – Więc chcesz tę rybę czy pościsz?

Wielki Aleut patrzy na nią przez chwilę. Potem wskazuje coś głową i mówi: – Chodź, wypierdalamy stąd.

– Co? Mam rzucić tę wspaniałą pracę?

Uśmiecha się głupkowato.

– Znajdę ci lepszą.

– Czy w tej nowej pracy będę miała na sobie ubranie?

– Chodź, szkoda czasu – powtarza, świdrując ją wzrokiem. D.U. próbuje nie zwracać uwagi na nagłe ciepło, jakie poczuła między nogami.

Idzie za nim wzdłuż kolejki i lady, zmierzając do wyjścia. Przełożona ruskich babuszek wybiega z zaplecza i zaczyna drzeć mordę w niezrozumiałym języku.

D.U. odwraca się w jej stronę. Nagle czuje potężne ręce na swych biodrach. Ręce suną w górę. Przyciska łokcie do boków, by powstrzymać je, ale to na nic. Dłonie są już pod jej pachami i unoszą ją coraz wyżej i wyżej i zabierają ze sobą. Wielki facet przenosi ją nad ladą, jakby miała trzy lata i stawia obok siebie.

D.U. patrzy jeszcze na przełożoną ruskich dziewczyn: suka stanęła jak wryta, a na jej twarzy pojawiła się mieszanina zdumienia, strachu i podniecenia o niewątpliwie erotycznym podłożu. W końcu jednak strach bierze górę, kobieta odwraca się i wrzeszczy na jakąś podwładną, by zastąpiła D.U. przy kotle numer dziewięć.

– Dzięki za przejażdżkę – mówi D.U. dziwnie łamiącym się głosem. – Mimo wszystko nie zjadłbyś czegoś?

– Właśnie myślałem o tym, żeby gdzieś wyjść.

– Gdzieś wyjść? A gdzie się wychodzi na Tratwie?

– Chodź, pokażę ci.

Prowadzi ją wąskim korytarzem i stromymi, stalowymi schodami w górę, na pokład. Nadciąga zmierzch. Wieża kontrolna Enterprise wznosi się dumnie niczym czarny monolit na tle szarego nieba, które z każdą chwilą robi się coraz bardziej ponure i jest teraz nawet ciemniejsze niż o północy. Nie zapalono jeszcze świateł i cały wszechświat wygląda szaro, czarno i ponuro.

Idzie za nim na rufę statku. Dalej jest tylko woda oddalona od nich o trzydzieści stóp. Z rufy rozciąga się wspaniały widok na bogatą, czystą, białą dzielnicę Rosjan oddzieloną od biedniejszej części Tratwy szerokim kanałem patrolowanym przez motorówki z ubranymi na czarno i uzbrojonymi facetami. W dół nie prowadzi żaden trap czy choćby drabina sznurowa; jest tylko gruba lina przywiązana do burty. Aleut chwytą linę i jednym szybkim ruchem przekłada ją sobie pod ramieniem i opasuje nogę. Potem chwytą D.U. w pasie, opiera o biodro, odchyła się i zaczyna spadać ze statku.

D.U. nie ma nawet ochoty krzyknąć. Czuje, jak lina powstrzymuje upadek, czuje, jak jego ramię ściska ją tak mocno, że zaczyna się dusić, a potem tylko wisi zdana na jego łaskę.

W tej pozycji ma obie ręce przy bokach, jak u mumii. Ale zaczyna się wiercić, stopniowo przechodzi do pionu i zarzuca mu ręce na szyję, opiera głowę na jego ramieniu i wtula się w jego ciało. Aleut jest zwinny jak małpa, zjeżdżają wygodnie na linie i po chwili stoją już na czystej, bogatej, rosyjskiej wersji Tratwy.

– Jak masz na imię? – pyta D.U.

– Dmitri... Dmitri Kriukoff... Lepiej znany jako Kruk.

O kurwa...

Połączenia między łodziami są poplątane i nieprzewidywalne. Żeby dostać się z punktu A do punktu B,

trzeba najczęściej przejść pół Tratwy. Ale Kruk czuje się tu jak w domu. Czasami chwyta ją za rękę i pomaga przejść nad wodą. Robi to delikatnie, nie szarpie jej, chociaż porusza się znacznie szybciej od niej. Co jakiś czas patrzy na nią z uśmiechem, który wydaje się mówić: „Mógłbym cię zjeść, maleńka, na podwieczorek, ale tego nie zrobię. Jeszcze nie teraz”.

Dochodzą do miejsca będącego czymś w rodzaju pomostu między dzielnicą ruską a resztą Tratwy. Rolę mostu spełnia szeroki trap strzeżony przez facetów z Uzi. Kruk w ogóle nie zwraca na nich uwagi, bierze D.U. za rękę i przechodzi przez most. Początkowo D.U. nie zdaje sobie sprawy, co to oznacza i dopiero, gdy rozgląda się wokół siebie i widzi setki chudych Azjatów wpatrzonych w nią niczym w pięciodaniowy obiad, pojmuję, że jest na Tratwie. Na właściwej Tratwie.

– To Wietnamczycy z Hongkongu – mówi Kruk. – Żyją na łodziach już od kilku pokoleń. W Indochinach było dużo wojen, sama wiesz. Nie musisz się ich bać, nic ci nie zrobią.

– Nie wiem, czy trafię z powrotem – tłumaczy się bez sensu D.U.

– Spokojna głowa – rechocze Kruk. – Jeszcze nigdy nie zgubiłem dziewczyny.

– Miałaś kiedyś dziewczynę?

Kruk odrzuca głowę do tyłu i śmieje się na cały głos.

– Nie jedną... w dawnych czasach... Teraz trochę mniej.

– W dawnych czasach? Kiedy to było? Zrobili ci wtedy tatuaż?

– Zgadza się. Jestem alkoholikiem. Miałem przez to masę kłopotów. Ale nie piję już od ośmiu lat.

– To dlaczego wszyscy tak się ciebie boją?

Kruk spogląda na nią i uśmiecha się szeroko, wruszając przy tym ramionami.

– No bo wiesz, jestem bezwzględny, śmiertelnie niebezpiecznym zabójcą.

D.U. też się uśmiecha. Po chwili śmieją się oboje.

– Kim jesteś z zawodu?

– Harpunnikiem.

– Jak ten z Moby Dicka... – D.U. podoba się ten zawód. Czytała książkę w szkole. Większość ludzi z jej klasy – nawet kujoni – uważała, że książka jest do kitu. Ale jej podobały się kawałki o harpunnikach, może przez analogię ze spunianiem aut...

– W porównaniu ze mną goście z Moby Dicka to były cioty.

– Co łowiłeś na harpun?

– Zapytaj lepiej, czego nie łowiłem.

Od tej chwili tylko patrzy na niego. I na różne nieożywione przedmioty. Bo w przeciwnym razie widziałaby tylko tysiące ciemnych oczu świdrujących ją na wylot. Choć to i tak duża zmiana w porównaniu z tym, czego doświadczyła w kuchni dla represjonowanych.

Część problemu polega na tym, że jest inna. Ale głównie chodzi o to, że na Tratwie nie ma prywatności. Położenie zmienia się, przeskakując z łodzi na łódź. A każda łódź jest domem dla przynajmniej trzydziestu ludzi, więc człowiek czuje się, jakby bez przerwy przechodził przez cudze mieszkania. I łazienki. I sypialnie. Trudno się dziwić, że patrzą. Każdy by się patrzył na obcych odwiedzających jego kibel.

Przeskakują przez chybrotliwe platformy ułożone na beczkach. Jacyś Wietnamczycy kłócą się o kawałek rybiego ściierwa. Ten, który zwrócony jest w ich stronę nieruchomości, widząc nadchodzącego Kruka. Zerka płochliwie na D.U. i opuszcza wzrok, ustępując z drogi. Drugi Wietnamczyk – odwrócony plecami – nie rozumie, co się dzieje. Odwraca głowę i dosłownie wyskakuje w powietrze, wydając przy tym przeraźliwe kwiknięcia. Po chwili obaj znikają nie wiadomo gdzie.

Wtedy D.U. domyśla się, o co tu chodzi. Ci ludzie tak naprawdę wcale się nią nie interesują. Nie poświęcają jej zbyt wiele uwagi. Wszyscy patrzą na Kruka. Dosłownie pożerają go wzrokiem. I nie jest to zwykła ciekawość z jaką tłuszczka obserwuje gwiazdę. Wszyscy mieszkańcy Tratwy – twardzi ludzie, którzy przemierzali ocean – robią dosłownie w portki na jego widok.

A ona jest z nim na randce, która właśnie się zaczęła.

I nagle przemierzając kolejną wietnamską łazienkę, przypomina sobie najbardziej idiotyczną rozmowę, jaką odbyła z mamą przed mniej więcej rokiem. Mama próbowała wtedy wyjaśnić jej, jak powinna się zachować w sytuacji, gdy chłopiec staje się zbyt natarczywy. Tak, mam. Będę pamiętać. Jasne, że o tym nie zapomnę. D.U. od samego początku wiedziała, jak bezwartościowe są te rady. Czas pokaże, że chyba miała rację.

W tratwie ratunkowej siedzi czterech mężczyzn:

Hiro Protagonista – wolny strzelec, współpracownik Centralnej Korporacji Wywiadowczej, którego

działalność ograniczała się do tej pory do tak zwanych „suchych” operacji, czyli zbierania informacji i umieszczania ich w Bibliotece – bazie danych CKW bez udziału w rzeczywistych akcjach. Teraz jego działalność stała się nadzwyczaj „mokra”. Hiro jest uzbrojony w dwa miecze i półautomatyczny pistolet kaliber 9 mm – znany powszechnie jako „dziewiątka” – oraz dwa magazynki naboji zawierające po jedenaście naboji.

Vic – nazwisko nieznane. Gdyby istniało jeszcze coś takiego jak podatek dochodowy, Vic wypełniając swój PIT, jako zawód podawałby specjalność „snajper”. Jak każdy snajper Vic jest małomówny, spokojny i nikomu się nie narzuca. Uzbrojony jest w długi, wielkokalibrowy karabin snajperski z interesującym mechanizmem znajdującym się w miejscu lunety, z której Vic – jako jeden z czołowych specjalistów w swym fachu – nigdy nie korzysta. Nie wiadomo czemu służy ów mechanizm, Hiro podejrzewa, że jest to nadzwyczaj dokładny zestaw czujników spełniający podobną rolę jak używana dawniej muszka. Vic przypuszczalnie posiada jeszcze inne uzbrojenie ukryte w bezpiecznych zakamarkach.

Eliot Chung. Eliot był kapitanem jednostki pływającej o nazwie „Kowloon”. Chwilowo jest bez pracy. Eliot wychował się w Watts, więc gdy mówi po angielsku, brzmi jak czarny. Pod względem genetycznym jest stuprocentowym Chińczykiem. Mówi płynnie białym i czarnym angielskim, kantońskim, taxilingą, wietnamskim (nieco gorzej), hiszpańskim i mandaryńskim. Eliot uzbrojony jest w rewolwer Magnum 44, który miał ze sobą na pokładzie „Kowloon” z przeznaczeniem „na halibuty”, co oznacza, że uśmiercał nim złowione przez pasażerów ryby przed wciągnięciem ich na pokład. Halibuty są rybami osiagającymi znaczne rozmiary i zdarzało się, że miotając się po pokładzie, uśmiercały swoich dręczycieli, dlatego rozważny kapitan zabija halibuta strzałem w głowę, zanim zaprosi go na statek. Strzelanie do halibutów jest jedynym powodem, dla którego Eliot nosi broń. Obroną „Kowloon” zajmowali się inni członkowie załogi specjalnie przeszkoleni w tym celu.

„Rybiooki” – mężczyzna ze szklanym okiem. Nie podał innych danych. Uzbrojony jest jedynie w dużą, czarną walizkę.

Walizka jest masywna i ma wbudowane kółka. Waży od trzystu funtów do metrycznej tony – o czym Hiro przekonał się, próbując ją przesunąć. Ciężar walizki uwypuklił stożkowato płaskie w normalnych warunkach dno tratwy ratunkowej. Walizka wyposażona jest w pewien warty odnotowania dodatek: jest nim elastyczny, gruby na trzy cale kabel, wąż lub coś w tym rodzaju, wychodzący z rogu sakwojażu, biegnący przez kilka metrów po podłodze tratwy, przechodzący przez burłę i zanurzony w wodzie. Na końcu tej tajemniczej macki znajduje się kawałek metalu wielkości mniej więcej kosza na śmieci, lecz tak gęsto pokryty wyżłobieniami i nacięciami, że jego powierzchnia nie ustępuje zapewne powierzchni dawnego stanu Delaware. Hiro widział tę rzecz jedynie przez chwilę, gdy przenoszono ją na tratwę. Wówczas kosz emitował czerwone światło, co świadczyłoby o tym, że jest bardzo gorący. Gdy zanurzono go w wodzie, natychmiast zniknął z widoku otoczony chmurą piany i baniek, jakie widuje się w naczyniu zawierającym płyn i poddanym działaniu wysokiej temperatury. Bąble pary wielkości pięści tworzyły się wokół rozgrzanych do czerwoności fraktalnych radiatorów i odrywały się, wybuchając w kipieli na powierzchni oceanu. Od tamtej pory robiły to nieustannie. We dnie i w nocy. Pozbawiona silnika tratwa ratunkowa dryfująca bezradnie na Północnym Pacyfiku emituje chmurę pary w niczym nie ustępującą tej, jaka wydobywała się z komina lokomotywy Żelazny Koń pędzącej przez Góry Skaliste. Ani Hiro, ani Eliot nie wspominają, ani nie komentują oczywistego dla wszystkich faktu, że Rybiooki podróżuje z niewielkim, zwartym źródłem energii nuklearnej zawierającym, bez dwóch zdań, radiotermiczne izotopy podobne do tych, którymi napędzane są Szczurojamniki. Sam Rybiooki nie ma ochoty niczego im tłumaczyć, a pytanie wprost mógłby odebrać jako niestosowne.

Wszyscy obecni ubrani są w pomarańczowe, ocieplane kombinezony okrywające całe ciało. Kombinezony są tutejszą wersją kamizelek ratunkowych. Są grube i niewygodne, ale, jak twierdzi Eliot Chung, zwykła kamizelka ratunkowa na wodach Północnego Pacyfiku nadaje się tylko do tego, żeby zamieniać ludzi w boje.

Tratwa ratunkowa jest czymś w rodzaju nadmuchiwanego pontonu o długości dziesięciu stóp, pozbawionym, rzecz jasna, silnika. Na całej powierzchni przykryta jest wodoszczelnym, przypominającym namiot dachem, który można rozpinać lub zapinać suwakiem w zależności od pogody. Gdy dach jest zapięty, tratwa wygląda jak wodoszczelna kapsuła i prawdopodobnie można w niej przetrwać nawet najgorsze burze.

Przez kilka dni wieje silny, chłodny wiatr od strony gór Oregonu. Wiatr ten wypycha ich na pełne morze. Eliot tłumaczy radośnie, że tratwę ratunkową wynaleziono w dawnych czasach, gdy istniała jeszcze straż przybrzeżna i marynarka – instytucje zajmujące się ratowaniem rozbitków w przymusowych sytuacjach. W przymusowych sytuacjach wystarczyło, że rozbitek trzymał się na wodzie i był pomarańczowy. Reszta zajmowali się inni. Rybiooki ma telefon komórkowy, który oczywiście nie działa. Komputer Hiro może zdalnie łączyć się z siecią, ale w tym względzie bardzo przypomina telefon komórkowy i podobnie jak urządzenie Rybiookiego, nie sprawdza się na środku oceanu.

Gdy pogoda jest bardzo deszczowa, siedzą pod dachem. Gdy pada mniej, zwijają dach. Wszyscy mają taki czy inny sposób na zabicie czasu.

Hiro, rzecz jasna, bawi się komputerem. Wolny czas na tratwie ratunkowej na środku Pacyfiku idealnie nadaje się do pracy hackera.

Vic czyta w kółko jedną i tę samą powieść w papierowej okładce – nie trzeba dodawać, że mokrej. Książkę tę miał przypadkiem w kieszeni kurtki Mafii, gdy „Kowloon” poszedł na dno. Oczekiwanie nie sprawia mu przykrości. Jako profesjonalny snajper wie, jak zabić czas.

Eliot zajmuje się oglądaniem świata przez lornetkę, choć widok jest dosyć monotony. Dużo czasu poświęca też na rządzenie na tratwie i czeplenie się byle czego, co – jak można przypuszczać – jest skrzywieniem zawodowym wszystkich kapitanów. Poza tym łowi. Na tratwie jest duży zapas jedzenia, ale nikt nie pogardzi świeżym halibutem czy łososiem.

Rybiooki ślęczy nad – jak się wydaje – instrukcją obsługi dołączoną do czarnej walizki. Instrukcja ma tylko trzy spinające pierścienie, można zatem uznać ją za miniaturową. Pierścienie spinają wydrukowany laserowo tekst. Oprawa jest tania, nie rzucająca się w oczy – taka, jaką kupuje się w każdym sklepie biurowym. Pod tym względem instrukcja wiele mówi Hiro, przypomina bowiem tysiące podobnych instrukcji dołączanych do nowoczesnych produktów znajdujących się w fazie badań. Każde urządzenie techniczne wymaga takiej czy innej dokumentacji, ale trzypierścieniowe instrukcje w tanich oprawach wydrukowane na laserowej drukarce wydają jedynie technokraci zajmujący się pracami nad projektem; ludzie, którzy nienawidzą papierkowej roboty i zwlekają z pisaniem dokumentacji do ostatniej chwili. Gdy już absolutnie muszą, ślęczą nocami przed edytorem tekstów, drukują wycpiny na firmowej drukarce i wysyłają firmowe sekretarki po oprawy do najbliższego sklepu z artykułami biurowymi. Tak powstaje instrukcja.

Jednak czytanie instrukcji nie zajmuje Rybiookiemu całego dnia. Resztę czasu mafioso poświęca na gapienie się w horyzont, jakby spodziewał się ujrzeć w oddali Sycylię. Rzecz jasna, nic takiego się nie zdarza. Sycylia nie pojawia się na horyzoncie. Można przypuszczać, że Rybiooki nie może pogodzić się z porażką misji, często bowiem mruczy do siebie pod nosem, jakby szukał sposobu na wyjście z bardzo kłopotliwej sytuacji.

– Jeśli wolno... – Hiro wrywa go z zamyślenia. – Na czym dokładnie polega pańska misja?

Rybiooki zastanawia się przez chwilę.

– Zależy, jak na to spojrzeć – mówi z namysłem. – Nominalnie miałem za zadanie wyrwać piętnastolatkę z rąk bandytów. W tym celu chciałem wziąć zakładników spośród ruskich grubych ryb i zorganizować wymianę.

– O jakiej piętnastolatce mówimy? – pyta zaniepokojony Hiro.

Rybiooki wzrusza ramionami.

– Jak to o jakiej? O D.U. Znasz ją przecież.

– Czy to był jedyny pański cel?

– Chodzi o to, Hiro, żebyś zrozumiał, jak działa Mafia. A Mafia zawsze działa tak, że pod pozorem spraw osobistych realizuje większe cele. Weźmy na przykład faceta, który rozwozi dla nas pizze. Nie robi tego szybko z powodu pieniędzy czy jebanej polityki firmy. Robi to szybko z powodu osobistego układu, jaki wujek Enzo zawiera z każdym klientem. Osobistego, czyli gwarantowanego honorem wujka Enzo. W ten sposób Mafia uniknęła korporacyjnej pułapki zbiorowej, a więc niczyjej odpowiedzialności. Co więcej, nie wpadła w pułapkę samonapędzającej się systemowej ideologii. Ideologia jest wirusem. My załatwiamy wszystko twarzą w twarz. Tak więc uratowanie tej laski jest czymś więcej, niż tylko uratowaniem laski. Staje się konkretnym przejawem mafijnego etosu. A etos to coś więcej, niż zbiorowa odpowiedzialność czy ideologia. Etos to cała historia i tradycja i wszystkie ludzkie losy, które się na nie składają. Inna rzecz, że niektórzy myślą etos Mafii z cementem, nie Vic?

Vic pozwala sobie na ostrożny uśmiezek, po którym następuje szeroki uśmiech.

– Więc jaki jest związek mafijnego etosu z tą konkretną sprawą? – pyta Hiro.

– Dokładnie ci nie powiem – mówi Rybiooki. – Wiem tylko, że wujek Enzo jest osobiście wkurwiony na L. Boba Rife’a.

Hiro działa w dwóch wymiarach. Robi to po części dlatego, że musi oszczędzać baterie komputera. Trójwymiarowa grafika obciąża procesor, który zżera mnóstwo prądu. Dwuwymiarowe biurko jest bardzo energooszczędne.

Jednak głównym powodem, dla którego siedzi w płaskim świecie jest to, że on, Hiro Protagonista, ostatni z wolnych hakerów, zajmuje się hakerstwem. A kiedy haker zajmuje się hakerstwem, nie traci czasu na sztuczne światy Metawersu i awatarów. Schodzi głębiej do podziemnego świata kodów i poplątanych nam-shubów, które je tworzą, gdzie wszystko, co widzi się w Metawersie – bez względu na to jak piękne dla oka i skomplikowane – sprowadza się do zwykłego pliku tekstowego: serii znaków na elektronicznej stronie. To pozostałość z czasów, gdy komputery programowało się prymitywnymi klawiaturami perforującymi karty IBM.

Od tamtej pory powstało wiele zgrabnych i przyjaznych dla użytkownika narzędzi programujących.

Obecnie można zaprogramować komputer, siedząc za biurkiem w Metawersie i łącząc ze sobą komendy operacyjne w postaci małych klocków. Ale prawdziwy haker nigdy nie zniży się do takiego poziomu, podobnie jak prawdziwy mechanik samochodowy nigdy nie diagnozuje samochodu przy pomocy wskazań na tablicy rozdzielczej.

Hiro nie wie do końca, co chce zrobić i do czego się przygotowuje. Nie przeszkadza mu to. Większa część programowania polega na przyziemnej budowie struktur, które pozornie nie mają żadnego związku z rozwiązywanym zadaniem.

Wie natomiast jedno: Metawers stał się miejscem, w którym można zginąć. Jeśli nawet nie w sensie fizycznym, to z pewnością w każdym innym – związanym z procesami myślenia. Zaszła radykalna zmiana w naturze Metawersu. Ktoś przesznuł rewolwery do raju.

Z drugiej strony dobrze im tak – myśli o swoich dawnych kolegach. Postępowali jak dzieci, nie biorąc pod uwagę zagrożenia. Wydawało im się, że najgorszą rzeczą jaka może spotkać ich po zawirusowaniu systemu, będzie zdjęcie gogli i zresetowanie komputera. Straci się przy tym takie czy inne pliki – jeśli jest się na tyle głupim, by pracować bez antywirusowej tarczy ochronnej – ale to przecież nic strasznego. Z tego powodu Metawers był otwarty dla wszystkich i całkiem bezbronny, jak lotniska w czasach przed wybuchem terroryzmu, jak szkoły przed pojawieniem się maniaków ze strzelbami. Każdy mógł tam wejść i robić, co mu się żywnie podoba. Nie było żadnych glin. Nie można było się bronić, przepędzić złych ludzi. Żeby to zmienić, trzeba dużo pracy. Metawers wymaga fundamentalnej przebudowy przeprowadzonej na ogólnoswiatową i korporacyjną skalę.

Tymczasem jednak trzeba zacząć od podstaw i tu jest miejsce dla takich jak on. Takich, którzy znają Metawers na wylot. Kilka drobnych zmian może diametralnie odwrócić sytuację. Wolny haker może ocalić przyszłość Metawersu zanim korporacyjne giganty zbudzą się ze snu.

Wirus, który zeżarł mózg Da5ida był strumieniem przedstawionej w formie binarnej informacji rzuconej mu w twarz w postaci bitmapy – serii białych i czarnych pikseli, w której kolor biały przedstawia zero, a czarny jeden. Umieścili bitmapę na zwoju, a ten dali awatarowi, który chodził po Metawersie, wypatrując ofiar.

Clint, który próbował zarazić Hiro w Czarnym Słońcu, uciekł, ale zostawił zwój – nie przyszło mu do głowy, że ktoś utnie mu rękę. Hiro wrzucił zwój do tuneli pod podłogą systemu, tam gdzie mieszkają Cmentarne Demony. Później polecił jednemu z nich zanieść zwój do warsztatu pod domem. A wszystko, co znajduje się w wirtualnym domu Hiro jest – z definicji – zapisane na twardym dysku jego komputera. Nie musi łączyć się z globalną siecią, by mieć do tego dostęp.

Niełatwo pracuje się programem, który może zabić. Ale rzecz jest wykonalna. W rzeczywistości ludzie przez cały czas pracują przy niebezpiecznych substancjach – radioaktywnych izotopach czy trujących chemikaliach. Trzeba mieć tylko odpowiednie narzędzia: zrobotyzowane manipulatory, rękawice, gogle, ołowiane szyby. W komputerowym świecie dwóch wymiarów, gdy ktoś potrzebuje narzędzie to siada i je pisze. Hiro zaczyna więc od napisania paru prostych programów, które pozwolą mu na manipulowanie zawartością zwoju bez otwierania niebezpiecznych plików.

Zwój, jak inne widzialne rzeczy w Metawersie, jest po prostu Programem. Zawiera kody opisujące jego wygląd – po to, żeby komputer wiedział, jak go narysować – i kilka komend zarządzających zwijaniem i rozwijaniem. Oprócz tego ma gdzieś ukryty kod źródłowy – dane będące cyfrową wersją wirusa Zamieci.

Po wydobyciu i wyizolowaniu skażonego kodu, Hiro musi napisać program, który roboczo nazywa się ZamiecioSkan. ZamiecioSkan jest tarczą ochronną broniącą systemu Hiro – zarówno hardware’u, jak i, by posłużyć się określeniem Lagosa, bioware’u – przed cyfrowym wirusem Zamieci. Po zainstalowaniu w systemie ZamiecioSkan będzie śledził informacje nadchodzące z zewnątrz, szukając danych odpowiadających zawartości zwoju. Gdy trafi na takie informacje, zablokuje ich dostęp do systemu.

Hiro ma jeszcze inną robotę w dwuwymiarowym świecie. Hiro jest dobry w pisaniu awatarów, projektuje więc dla siebie niewidzialny awatar, który może się przydać w nowym, niebezpiecznym Metawersie. Łatwo jest spieprzyć taki program i bardzo trudno zrobić go dobrze. Niemal każdy może napisać sobie awatar, który będzie wyglądał jak pustka, ale przy jego użyciu powstaną liczne problemy. Niektóre posiadłości w Metawersie – na przykład Czarne Słońce – chcą znać wielkość awataru po to, żeby obliczyć, czy zmieszczą go u siebie i czy nie dojdzie do kolizji z innymi awatarami i przedmiotami. Jeśli na pytanie o wielkość awatar odpowie „zero”, program zarządzający posiadłościami uzna go za nieskończenie mały, by uniknąć dużego konfliktu sprowadzającego się w dziedzinie matematyki do niemożliwości dzielenia przez zero. Nieskończenie mały awatar będzie miał zabójcze skutki dla podejrzliwego programu zarządzającego nieruchomościami, który chcąc obliczyć rzeczywistą wielkość obiektu, w końcu się zawiesi. Można zatem uznać, że przy awatarze o wielkości zero jest się niewidzialnym, ale to tylko złudzenie, bo zostawia się za sobą ślad destrukcji szeroki na milę. Zresztą w niektórych miejscach niewidzialne awatary są nielegalne. Gdy pojawi się awatar o stuprocentowej przezroczystości w ogóle nie odbijający światła – a napisanie takiego programu jest dziecinnie łatwe – zostanie rozpoznany jako nielegalny i natychmiast włączy się alarm. Idealny niewidzialny awatar jest przezroczysty dla ludzi, ale nie dla oprogramowania.

Hiro nie wiedziałby o tym wszystkim, gdyby nie to, że przez kilka ostatnich lat programował awatary dla ludzi pokroju Witalija Czernobyla. Napisanie naprawdę dobrego, niewidzialnego awataru zajmuje dużo czasu, ale Hiro ma w archiwach fragmenty starych projektów i pisze nowy program jedynie przez kilka godzin. Tak właśnie najczęściej pracują hakerzy.

Robiąc to, trafia na starą teczkę z programami służącymi do przenoszenia się w Metawersie. Folder pochodzi z okresu, gdy nie funkcjonowała jeszcze jednotorówka i jedynym sposobem przemieszczania się w sieci były własne nogi albo symulator pojazdu.

W tamtych czasach – gdy Metawers był zwykłą czarną kulą o pustej powierzchni – napisanie pojazdu było zadaniem trywialnym. Później, gdy wyrosła Ulica i ludzie zaczęli stawiać domy, sprawy nieco się skomplikowały. Na Ulicy można przechodzić przez awatary, ale nie można przenikać przez ściany. Nie można wchodzić na cudzą posesję. I nie można przechodzić przez pojazdy, ani przez stałe elementy Ulicy, takie jak Porty czy słupy jednotorówki. Gdy dochodzi do kolizji z czymś takim, awatar nie umiera, nie zostaje nawet wyrzucony z Metawersu, ale zachowuje się jak mucha, która trafiła w szybę.

Innymi słowy, gdy Metawers zapełnił się przeszkodami, pisanie symulatorów pojazdów poruszających się z dużą prędkością stało się ciekawe. Podstawową kwestią była manewrowość. Dalej wielkość. Hiro i DaSid, i wszyscy inni przesiedli się z wielkich, uduziwnionych pojazdów modnych na początku – na przykład wiktoriańskich domów na czołgowych gąsienicach, tankowców na rowerowych kółkach, kryształowych kul o średnicy jednej mili czy płonących rydwanów ciągniętych przez smoki – do małych, zwrotnych autek i przede wszystkim motocykli.

Metawersowy pojazd może być tak szybki i zwinny jak kwark. Nie trzeba martwić się prawami fizyki, ograniczeniami przyspieszenia czy oporami powietrza. W Metawersie opony nigdy nie piszczą, a hamulce nie blokują się. Jedyne, czego nie można zmienić, to czas reakcji użytkownika. Gdy jak co roku ścigali się 1 marca na swych najnowszych motocyklach, nie musieli martwić się pojemnością silnika. Jedynym ich zmartwieniem był jak najlepszy interfejs przenoszący reakcje jeźdźcy na wirtualną maszynę i jej ster, manetkę gazu czy hamulce. Bo kiedy jedzie się zatłoczoną Ulicą z niebotyczną szybkością i wpada nagle na coś co zwalnia nas dokładnie do zera, można od razu zapomnieć o dogonieniu innych. Jeden błąd i człowiek wypada z wyścigu.

Hiro miał całkiem niezły motocykl. Byłby prawdopodobnie najlepszym jeźdźcą na całej Ulicy – dzięki swemu niezwykłemu refleksowi – ale wolał ćwiczyć walkę mieczami. Nie miał czasu na trenowanie wiraży.

Otwiera ostatnią wersję programu motocykla i przypomina sobie jego niezbyt skomplikowany interfejs. Przechodzi ze świata dwóch wymiarów do Metawersu i ćwiczy jazdę motocyklem na niedużym podwórku. Za płotem posiadłości jest tylko czerń. Nie może podłączyć się do sieci. Nagle czuje się bardzo samotny, zupełnie tak jak w rzeczywistości, płynąc ratunkową tratwą przez Pacyfik.

49

Od czasu do czasu widują w oddali inne jednostki pływające. Kilka z nich zbliża się nawet, żeby sprawdzić, co u nich słychać, ale żadna nie jest skora do udzielania pomocy. W pobliżu Tratwy nie ma altruistów, a z drugiej strony rozbitkowie z „Kowloon” nie mają rzeczy wartych skradzenia.

Co jakiś czas pojawiają się stare dalekomorskie statki rybackie, mierzące do stu stóp długości i pływające w otoczeniu małych kutrów.

Gdy Eliot powiadamia ich, że są to okręty pirackie, Vic i Rybiooki nadstawiają uszu. Vic wyjmuje swój karabin z pokrowca z plastikowych toreb chroniących broń przed solą i odkręca maszynę celowniczą, korzystając z niej jak z lunety. Hiro nie rozumie, dlaczego Vic to robi, dlaczego nie obserwuje piratów przez celownik umieszczony na karabinie? Może nie chce ich drażnić widokiem celującej lufy?

Gdy pojawia się piracki okręt, zmieniają się wachtami przy celowniku, bawiąc się przy okazji wszystkimi wmontowanymi czujnikami; obserwują piratów w świetle widzialnym, w podczerwieni, noktowizji i tak dalej. Eliot – który spędził połowę życia na morzu – zna się na pirackich barwach i wpatrując się w nie przez celownik, wie, z kim ma do czynienia. Któregoś dnia podpłynął do nich „Clint Eastwood” ze swoją bandą, ale zniechęcony ruszył dalej. Innym razem widzieli „Parszywą Dwunastkę”, która nawet wysłała zwiad, ale ten, nie wypatrywszy niczego wartego zrabowania, dał im spokój. Hiro miał nadzieję, że „Dwunastka” weźmie ich do niewoli, bo spodobał mu się jej piracki okręt: luksusowy jacht przerobiony na kanonierkę z rakietami Exotec. Piraci najwyraźniej nie znają się na termodynamice i nie domyślają się, co oznacza potężny kłęb pary wydobywający się spod tratwy. W przeciwnym razie już dawno dokonaliby abordażu.

Pewnego ranka nieopodal tratwy pojawia się duży, stary trawler; wyłania się z nicości i zza opadającej

mgły. Hiro już wcześniej słyszał huk silnika, ale nie miał pojęcia, jak blisko płynie statek.

– Co to za jedni? – pyta Rybiooki, krztusząc się łykiem zbożowej kawy, której nienawidzi. Jest otulony kosmicznym, foliowym kocem i leży do połowy pod wodoodpornym dachem, pod którym widać tylko jego twarz i ręce.

Eliot patrzy na wszystkich niespokojnie. Nie należy do zbyt wylewnych facetów, ale teraz jest najwyraźniej mocno zaniepokojony.

– To „Bruce Lee” – mówi.

– Jak bardzo powinniśmy się bać? – pyta Rybiooki.

– Spójrz pan na tę flagę – rzuca Eliot.

Statek podpłynął już tak blisko, że flaga jest doskonale widoczna. Ma czerwoną barwę i insygnia w postaci srebrnej pięści, skrzyżowanego nunczako i dwóch liter B i L po bokach.

– Coś z nią nie tak? – prycha Rybiooki.

– Nooo... ten facet, który każe na siebie mówić „Bruce Lee”... ich przywódca... nosi kamizelkę w tych samych barwach...

– I co z tego?

– To z tego, że te wzorki nie są wyhaftowane czy wymalowane... zrobiono je ze skalpów... taki patchwork...

– Co? – pyta Hiro.

– Pojawiła się taka plotka, tylko plotka, człowieku, że Bruce odwiedzał łajby uchodźców i szukał na nich rudych albo siwych, żeby wyszyć sobie flagę.

Hiro kręci z niedowierzaniem głową, gdy nagle Rybiooki podejmuje niespodziewaną decyzję.

– Chcę porozmawiać z tym gościem – mówi. – Intryguje mnie.

– Po jaką cholere chcesz pan gadać z tym pieprzonym psycholem? – pyta Eliot.

– Właśnie – wtóruje mu Hiro. – Nie ogląda pan wiadomości? To maniak.

Rybiooki wyrzuca ręce do góry na znak, że jego motywy są jak prawda objawiona – nieodgadnione.

– Tak postanowiłem – mówi.

– A kim pan jesteś, do kurwy nędzy, żeby decydować za wszystkich?! – pyta Eliot.

– Jestem prezesem tej jebanej tratwy – mówi nieporuszony mafioso. – Właśnie się mianowałem. Czy są inne kandydatury?

– Nie ma – odzywa się Vic. Po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin.

– Kto jest za? – pyta Rybiooki.

– Wszyscy – mówi Vic w nie kontrolowanym wybuchu elokwencji.

– Wygrałem – kończy Rybiooki. – Teraz trzeba się zastanowić, jak skłonić ludzi tego Bruce’a do rozmowy z nami.

– Dlaczego mieliby z nami rozmawiać? – pyta Eliot. – Nie mamy nic wartościowego oprócz siebie.

– Chcesz pan powiedzieć, panie szyper, że ci goście to pedały? – pyta Rybiooki, krzywiąc się z niesmakiem.

– Trzeba było się krzywić, jak mówiłem o skalpach – rzuca Eliot.

– Teraz wiem, dlaczego nigdy nie miałem zaufania do marynarzy – mówi Rybiooki.

– Jeśli robi to panu jakąś różnicę, to powiem, że nie są pedałami w takim sensie, o jakim zawsze myślimy – tłumaczy Eliot. – Z natury są heteroseksualni, ale jako piraci biorą wszystko, co jest ciepłe i ma wglębienia.

Rybiooki podejmuje kolejną szybką decyzję.

– Dobra. Wy dwaj, Hiro i Eliot, zdejmujecie ciuchy. Jesteście Chińczykami...

– Co?

– Róbcie, co wam mówię. Jestem prezesem, pamiętacie? A może mam poprosić Vica, żeby was rozebrał?

Eliot i Hiro zerkają na snajpera, który siedzi nieruchomo jak Indianin w transie. W jego znudzonej postawie jest coś, co wzbudza strach.

– Rozbierajcie się albo was, kurwa, rozwałę – Rybiooki nie zostawia cienia wątpliwości co do swoich intencji.

Hiro i Eliot zdejmują ratunkowe kombinezony, kołyszając się niezdarnie na podskakującym pod ich stopami pokładzie. Potem ściągają resztę ubrań, wystawiając po raz pierwszy od kilku dni gołą skórę na działanie świeżego powietrza.

Trauler płynie wzdłuż ich burty nie dalej niż dwadzieścia stóp od pontonu. Gasi silniki. Piraci są nieźle wyposażeni: mają z pół tuzina gumowych zodiaków z całkiem nowymi silnikami, sporo pocisków typu Exotec, dwa radary i dwa pięćdziesięciomilimetrowe karabiny maszynowe na rufie i dziobie statku. Obecnie nikt nie próbuje z nich strzelać.

Z tyłu traulera płynie rząd motorówek połączonych ze statkiem jak pontony. Na każdej z nich jest jeden ciężki karabin maszynowy. Nieco dalej, o własnych siłach płynie trzydziestosześcioletni, motorowy

jacht.

Załoga „Bruce’a Lee” składa się z paru dziesiątek piratów, którzy zgromadzili się teraz przy burcie traulera po to, by szczyrzyć zęby, gwizdać, wyć jak wilki i wymachiwać w powietrzu rozwiniętymi prezerwatywami.

– Nie obawiajcie się, panowie – mówi Rybiooki. – Nie mam zamiaru pozwolić im na skorzystanie z waszych wgłębień.

– Ciekawe, co pan zrobisz... – mówi kwaśno Eliot. – Przeczytasz im pan encyklikę papieską?

– Zaapeluję im do rozumu – odpowiada niewzruszony mafioso.

– Ci goście nie boją się Mafii, jeśli o to panu chodzi – mówi Eliot.

– Tylko dlatego, że w ogóle nas nie znają.

Na pokład traulera wychodzi sam „Bruce Lee” we własnej osobie. Jego bojowy uniform składa się z kuloodpornej kamizelki z kevlaru, narzuconej na nią kamizelki z amunicją, dwóch skrzyżowanych na piersiach pasów z pociskami, samurajskiego miecza – który Hiro z chęcią by wypróbował – nunczaka oraz barw wykonanych z ludzkich skalpów.

„Bruce” obdarza ich śnieżnobiałym uśmiechem, spogląda z aprobatą na Hiro i Eliota, wykonując przy tym bardzo sugestywny gest uniesionym kciukiem, po czym przemierza całą długość statku, przybijając po drodze górne piątki ze swymi rozradowanymi kompanami. Co kilka kroków wybiera któregoś z piratów i wskazuje na jego kondom. Wybrany w ten sposób pirat przykłada prezerwatywę do ust, nadmuchuje ją i podnosi z dumą do góry. „Bruce” ogląda śliski, zebrowany balonik i upewnia się, że nie ma w nim dziur. Wygląda na to, że na statku panuje surowa dyscyplina.

Hiro przygląda się w tym czasie skalpom na plecach „Bruce’a”. Piraci, widząc to, spoglądają po sobie z zadowoleniem i wskazują na skalpy z udawanym przerażeniem w oczach. Barwy są zbyt jednorodne – konstataje Hiro – by mogły być naturalne. „Bruce Lee” – wbrew temu, co głosiła plotka – skalpował wszystkich jak leci, po czym wybielał włosy i farbował je na pożądaną kolor. Co za niedojda!

W końcu „Bruce Lee” zatrzymuje się na śródokręciu i znów błyska zębami. Ma wspaniałą, olśniewającą uśmiech i doskonale o tym wie; niewykluczone, że kazał wyłożyć sobie zęby jednokaratowymi brylantami.

– Łódka, łódka – woła „Bruce”. – Może waszu i naszu machniom? Hę? Cha, cha, cha...

Na tratwie wszyscy oprócz Vica uśmiechają się kwaśno.

– Kuda płynął? Na Hawaj? Cha, cha, cha...

„Bruce Lee” przygląda się bacznie Hiro i Eliotowi, po czym kręci wskazującym palcem na znak, że mają się obrócić i ukazać wszystkim zainteresowanym podlegającą targom wklęsłość. Wykonują polecenie.

– *Quanto?* – pyta „Bruce Lee”, a piraci wpadają w zachwyt nie niniejszy niż zachwyt dowódcy. Hiro czuje, że jego zwieracz kurczy się do wielkości łebka szpilki.

– Pyta, ile kosztujemy – tłumaczy Eliot. – To ma być żart, kapujecie, bo wszyscy wiedzą, że może mieć nasze tyłki za darmo.

– Pękam ze śmiechu – mówi Rybiooki.

Hiro i Eliot paradują nago na pokładzie, a Rybiooki wciąż leży sobie pod dachem. Co za skurczybyk!

– Punpocisk, może być? – mówi „Bruce”, wskazując na jedną z rakiet na pokładzie. – Cip? Motorola?

– Chodzi mu o raketę typu woda-woda. Naprawdę drogą rzecz – tłumaczy Eliot. – Cip to system elektroniczny, a Motorola to marka, jak ford albo chevrolet. „Bruce Lee” handluje elektroniką jak większość azjatyckich piratów.

– Chce nam dać raketę za wasze tyłki? – pyta z niedowierzaniem Rybiooki.

– Nie! – krzyczy Eliot. – Nie wyczuwasz pan azjatyckiego sarkazmu?

– Powiedz mu, że chcemy łódź z silnikiem – mówi Rybiooki.

– Machniom za odin zod, odin maszyna i do pełna – mówi Eliot.

Nagle „Bruce Lee” poważnieje i rozważa propozycję.

– Pociemu niet, wariszcz? Pogledaju, pomachaju... Tiasnu i rigu niet, charaszo...

– Mówi, że się zastanowi, ale najpierw musi obejrzyć towar – tłumaczy Eliot. – Mówi, że jeżeli mamy ciasne otwory i nie będziemy rzygać, to znaczy dławić się podczas stosunku, to wszystko będzie dobrze. Tak się handluje w burdelach na Tratwie...

– Rybionki kałasznikowu srajut, niet? Cha, cha, cha...

– Mówi, że wyglądamy mu na takich, co srają pociskami od kałasznikowa – tłumaczy Eliot. – To znaczy, że mamy szerokie zwieracze i żadnej wartości.

Rybiooki postanawia wziąć sprawę w swoje ręce.

– Kałasznikowu niet, niet... Parabelum, co najwyżej...

Cała załoga pirackiego statku wpada w podniecenie.

– Niczewo nie budiet, paka nie uwidut – mówi „Bruce Lee”.

– Te rybionki – kontynuuje Rybiooki – mają odbyt jak wisienki!

Piraci wybuchają szaleńczym, nieprzystojnym śmiechem. Jeden z nich wspina się na reling, wyrzuca pięść w powietrze i wrzeszczy: – ba ka na zu ma lay ga no ma la aria ma na po no a ab zu... – W tym

momencie pozostali przestają rechotać, poważnieją nagle i przyłączają się do zawodzącego, a z ich gardel wydobywa się potok niezrozumiałych sylab i dźwięków przecinających falami powietrze.

Hiro czuje, że pokład tratwy ucieka mu spod stóp, traci równowagę i przewraca się obok padającego Eliota.

Podnosi wzrok na piracki statek i bezwolnie zamyka oczy, widząc czarną falę wzbierającą nad pokładem, zmywającą rząd uczepionych relingu piratów, wznoszącą się od rufy aż do samego dziobu. To nie może być prawda! Fala jest jakimś złudzeniem, najprawdopodobniej optycznym. Nagle tratwa odplywa na odległość pięćdziesięciu stóp od statku. Na pokładzie traulera nie słychać już żadnych głosów, za to na tratwie, gdzieś w pobliżu Hiro, pojawia się nowy dźwięk: niski, terkoczący poszum, dobiegający od strony Rybiookiego. Powietrze wokół łodzi wypełnia przesywające syczenie, jakby za chwilę w tratwę miał trafić piorun albo jakby ktoś darł w pobliżu cienkie arkusze blachy.

Hiro znów spogląda na statek. Czarny, falopodobny fenomen nie jest złudzeniem. Jest najprawdziwszą falą powstałą z krwi. Statek wygląda tak, jakby splukano jego pokład strumieniem z gigantycznej aorty. Ale strumień ten nie pochodzi z zewnątrz. Bierze się z ciał piratów wybuchających jedno po drugim od rufy aż do dziobu. Pokład ucichł i zamarł w bezruchu. Wyjątkiem jest spływająca wszędzie krew i galaretowate organy zsuwające się po zardzewiałej stali i wpadające z pluskiem do wody.

Rybiooki jest teraz na kolanach, nie leży już pod dachem w okryciu koca z blachy. Trzyma w ręku jakiś przedmiot: długie urządzenie o średnicy kilku cali, wydające terkoczący dźwięk. Urządzenie składa się z tarczy i przymocowanych do niej równoległych rurek grubości ołówka i długości kilku stóp. Przypomina nieco zminiaturyzowaną wyrzutnię granatów. Tarcza obraca się tak szybko, że trudno dostrzec poszczególne rurki. Gdy urządzenie działa, wygląda jak półprzezroczysta, połyskująca chmura umieszczona jakimś cudem w dłoni Rybiookiego. Z rękojeści broni – bo jest to niewątpliwie broń – wystają grube, czarne kable prowadzące do otwartej walizki leżącej w głębi tratwy. W pokrywie walizki wbudowany jest kolorowy monitor pokazujący graficznie status sytemu: ilość amunicji, stan poszczególnych podsystemów broni. Hiro zerka na to wszystko, a potem przenosi wzrok na trauler, gdzie właśnie zaczynają eksplodować materiały wybuchowe.

– Mówiłem wam, że posłuchają głosu Rozumu – oznajmia Rybiooki, zatrzymując obracający się granatnik.

Na panelu kontrolnym w walizce widnieje tabliczka znamionowa z następującym napisem:

ROZUM
Wersja 1.0B7
Hiperszybkościowy granatnik – 3 mm
Wspomagany elektronicznie
Zakłady Przemysłu Obronnego Nga
WERSJA BETA – NIE STOSOWAĆ NA POLU WALKI
NIE TESTOWAĆ W REJONACH ZALUDNIONYCH
– ULTIMA RATIO REGUM -

– Pierdolony odrzut! O mało nie dopłynęliśmy do Chin – oznajmia nie bez dumy Rybiooki.

– To pan to zrobił? – pyta Eliot. – To... to... co tam się stało?

– Owszem. Rozumem. Strzela takimi maleńkimi opiłkami metali, kapujesz pan. Lecą szybciej niż karabinowe kule. Zubożony uran...

Tarcza granatnika zatrzymała się. Widać na niej ze dwa tuziny luf.

– Myślałem, że nie lubi pan karabinów maszynowych – mówi Hiro.

– Fakt. Ale jeszcze bardziej nie lubię tej jebanej tratwy. Pożyczmy sobie teraz coś, co naprawdę pływa.

Coś, co ma motor...

Na traulerze płoną małe pożary i wybucha amunicja. Prawdopodobnie dlatego nie zauważają, że na pokładzie wciąż są żywi, którzy w dodatku strzelają. Rybiooki odpowiada im ogniem. Lufy zaczynają obracać się coraz szybciej i znikają z widoku, tworząc przezroczysty cylinder. W powietrzu rozlega się terkot i syk. Rybiooki omiata pokład hiperszybkim strumieniem zubożonego uranu, od którego trauler „Bruce’a Lee” zaczyna jarzyć się i lśnić, jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki Dzwoneczka czy innej nuklearnej wróżki sypiącej gwiazdzisty pył.

Załoga jachtu płynącego za traulerem popełnia błąd i podplywa bliżej, by sprawdzić, co się dzieje. Rybiooki kieruje wylot cylindra na jacht i zmiata do morza wysoką, wystającą nad pokład kabinę.

Główne elementy konstrukcyjne traulera poddają się. Ze środka statku słychać metaliczne jęki, stukoty i trzaski, a cała, dziurawa jak ser szwajcarski, metalowa konstrukcja zapada się w sobie niczym nie dopieczony suflet. Widząc to, Rybiooki wstrzymuje ogień.

– Starczy, szefie – mówi Vic.

– Stopiłem go...? – pyta sam siebie Rybiooki.

– Jesteś pan baran – mówi Eliot, wciągając spodnie. – Mogliśmy popłynąć tym statkiem.

– Nie chciałem go podziurawić. Ale te małe gówna przechodzą przez wszystko.

– Szybko pan myśli – rzuca z przekąsem Hiro.

– Bardzo przepraszam, że ocalałem wasze tyłki – złości się Rybiooki. – A teraz do roboty. Musimy pożyczycie sobie jakąś łajbę, zanim wszystkie spłoną.

Podpływają, wiosłując rękami do wraku. Trauler „Bruce’a Lee” jest już tylko ramą – pustym, stalowym kadłubem o ścianach z płomieni, podsycanych przypadkowymi eksplozjami.

To, co zostało z jachtu, ma w sobie mnóstwo maleńkich otworów i lśni wyrzuconymi na zewnątrz opiłkami włókna szklanego: milionami maleńkich okruchów szklanych o mikronowej długości. Kapitan jednostki i członkowie załogi – a raczej gulasz, w jaki zamienili się po trafieniu kabiny Rozumem – zsunęli się do wody wraz ze szczątkami konstrukcji, zostawiając za sobą jedyny ślad swego istnienia w postaci dwóch, równoległych, mokrych plam niknących w morzu. Ktoś jednak ocalał. Jest nim filipiński chłopiec, który ukrył się w kambuzie położonym poniżej poziomu wody. Chłopak nie jest ranny i nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Instalacja elektryczna jachtu jest przecięta na pół. Eliot nurkuje pod pokład i wyciąga narzędzia. Następne dwanaście godzin spędzi na łataniu wszystkiego, co się da. To jedyny sposób na uruchomienie silnika i późniejsze sterowanie jachtem. Hiro, który posiadał podstawową wiedzę z dziedziny elektryczności, służy mu za pomagiera i niechcianego doradcę.

– Słyszał pan, co mówili piraci, zanim Rybiooki zaczął strzelać? – pyta Eliota zajętego pracą.

– Po rusku? – odpowiada pytaniem Eliot.

– Nie. Na samym końcu. Jak zaczęli bełkotać...

– Taa. Tak się mówi na Tratwie.

– Naprawdę?

– Jasne. Jeden zaczyna, a cała reszta idzie jego śladem. Taka moda...

– I wszyscy tak mówią na Tratwie?

– Coś w tym rodzaju. Normalnie mówią różnymi językami, sam pan wiesz... Są różnych narodowości. Ma pan tam pierdoloną wieżę Babel! A kiedy zaczynają bełkotać do siebie, chyba naśladują obce języki...

Filipińczyk przygotowuje jedzenie. Rybiooki i Vic siadają pod pokładem i jedzą, przeglądając chińskie magazyny i oblizując się na widok azjatyckich dziewcząt. Zerkają też na mapy żeglarskie. Gdy Eliot kończy pracę i elektryczność zaczyna działać, Hiro podłącza komputer do kontaktu, by naładować baterie.

Na dworze jest już ciemno. W oddali, na południowy zachód od jachtu, widać migoczącą kolumnę światła, pojawiającą się i znikającą pod nisko zawieszonymi chmurami.

– Czy to Tratwa? – pyta Rybiooki, gdy wszyscy zgromadzili się na prowizorycznym mostku wzniesionym przez Eliota.

– Tak jest – odpowiada Chińczyk. – Oświetlają ją w nocy, żeby kutry łowiące ryby mogły trafić do portu.

– Jak pan myślisz, ile może do niej być?

Eliot wzrusza ramionami.

– Ze dwadzieścia mil.

– A do lądu?

– Nie mam pojęcia. Kapitan z traulera pewno wiedział, zanim został starty na miazgę.

– Fakt – mówi Rybiooki. – Zamiast na „ścieranie na miazgę” mogłem nastawić spust na „bitki” albo „mielone”.

– Tratwa trzyma się jakieś sto mil od brzegu – mówi Hiro. – Boją się przybrzeżnych raf.

– Jak stoimy z paliwem?

– Sprawdziłem zbiornik – mówi Eliot. – I jeśli mam być szczerzy, nie wygląda to najlepiej.

– Co znaczy „nie wygląda to najlepiej”?

– Trudno mi orzec bez wskaźników, które był pan łaskaw rozpieprzyć. Jachtem kołysz, więc nie wiem, ile naprawdę zostało w zbiorniku. Nie wiem też, ile pali silnik. Jeśli jednak jesteśmy osiemdziesiąt lub więcej mil od brzegu, może nam się nie udać.

– W takim razie płyniemy na Tratwę – rzuca Rybiooki. – Na miejscu przekonamy kogoś, że w jego dobrze pojętym interesie leży użyczenie nam paliwa. A potem wrócimy na ląd.

Nikt tak naprawdę nie wierzy, że pójdzie im tak łatwo. Sam Rybiooki też, bo mówi dalej: – Na Tratwie... po zatankowaniu paliwa... wiele może się wydarzyć... Kapujecie, nie? Życie jest nieprzewidywalne.

– Jeśli ma pan coś konkretnego na myśli, to może zechciałby nam pan powiedzieć... – proponuje Hiro.

– W porządku. Zmieniamy strategię: zawiodła nas taktyka brania zakładników, dlatego musimy zdecydować się na odbicie.

– Odbicie czego?

– Odbicie D.U.

– Popieram – mówi Hiro. – Ale jeśli zdecydujemy się na odbijanie, chciałbym odbić kogoś jeszcze...

- Kogo?
- Juanitę. Sam pan powiedział, że to fajna laska.
- Jeśli jest na Tratwie, może już nie być taka fajna – rzuca mimochodem Rybiooki.
- Tak czy inaczej, chcę ją odbić – oznajmia stanowczo Hiro. – Pamięta pan, jesteśmy w tym wszyscy, należymy do gangu Lagosa...
- „Bruce Lee” może mieć na Tratwie swoich ludzi – włącza się Eliot.
- Za pozwoleniem – mówi Rybiooki. – „Bruce Lee” mógł mieć na Tratwie swoich ludzi.
- Ale to nie zmienia faktu, że mogą być wkurwieni.
- Myśli pan, że będą wkurwieni? Bo ja uważam, że będą srali w pory ze strachu – oznajmia Rybiooki. – Dobra, odpalaj pan te łajbe, Eliot. Mam już powyżej uszu tej pieprzonej wody.

50

Kruk wprowadza D.U. na płaskodupą barkę przykrytą czymś w rodzaju markizy. Barka wygląda jak rzeczna krypa zmieniona w wietnamsko-amerykańsko-tajsko-chińskie obwoźne przedsiębiorstwo; coś w rodzaju baro-restauracja-burdelo-kasyna. Podzielona jest na kilka ogromnych kajut, gdzie tłum ludzi pozwala sobie na wszystko, oraz mniejsze, a w zasadzie małe kabiny o stalowych ścianach mieszczące się pod pokładem. Bóg jeden wie, co się w nich dzieje.

W głównej kajucie panuje nieopisany zamęt, charakterystyczny dla najniższych form życia. Dym sprawia, że nozdrza D.U. kurczą się spazmatycznie. Salę wyposażono w rozrywający bębenki w uszach system nagłaśniający – jeden z tych, z jakich słyną państwa Trzeciego Świata. Zniekształcony dźwięk jest najczystszy hałasem, odbijającym się od stalowych ścian z natężeniem trzystu decybeli. Odbiornik telewizyjny, przyśrubowany do jednej ze ścian, wyświetla zagraniczne filmy rysunkowe, wyprodukowane w dwóch kolorach: wyblakłej czerwieni i zwiędłej zieleni. Bohaterem filmów jest upiorny wilk przypominający wściekłego Wile’a E. Kojota, torturowany i mordowany w tak przemyślnie sposoby, że nie wymyśliliby ich nawet sadyści z Warner Bros. Ohyda. Ścieżka dźwiękowa jest albo niesłyszalna, albo zagłusza ją krzykliwa muzyka płynąca z głośników. W jednym z rogów sali trwa pokaz tańca erotycznego.

Kajuta jest zatłoczona do granic wytrzymałości. Nigdy nie znajdą tu wolnego miejsca. Ale gdy Kruk wchodzi do sali, w najbliższym wejściu rogu widać poruszenie i nagle, jak na komendę, ze dwudziestu facetów staje na baczność, i ucieka od stołu, chwytając po drodze papierosy i drinki. Kruk, idąc przez salę, popycha D.U. przed sobą niczym dziobową rzeźbę na swoim kajaku. Ludzie pierzchają im z drogi, jakby odpychała ich jakaś niewidzialna emanacja pochodząca od Kruka.

Kruk pochyla się i zagląda pod stół, potem podnosi krzesło z podłogi i odwraca je, sprawdzając jego dolną stronę. Ostrożności nigdy nie za wiele – historia zna przypadki bomb umieszczanych pod krzesłem. Odstawia mebel i popycha go w sam róg kajuty, tam gdzie stykają się dwie stalowe ściany. Zajmuje miejsce przodem do sali. Wskazuje D.U. wolne krzesło. D.U. siada – tyłem do akcji. Z tego miejsca widzi tylko twarz Kruka, oświetlaną sztyletami błysków przeciskających się przez tłum i pochodzących z lustrzanej kuli wiszącej nad erotycznymi tancerkami, owiewaną zielono-czerwoną mgłą wydobywającą się z telewizora, na przemian z przypadkowymi efektami świetlnymi towarzyszącymi wybuchom bomb neutronowych, połykanych przez wilka lub płomieniom z miotaczy ognia skierowanych na nieszczęsne zwierzę.

Natychmiast pojawia się kelnerka. Kruk krzyczy coś z drugiej strony stołu. D.U. nie słyszy go, ale domyśla się, że pyta, co zamawia.

– Chcę cheeseburgera! – wrzeszczy na całe gardło.

Kruk wybucha śmiechem i kręci głową.

– Widziałaś tu jakieś krowy? – ryczy.

– Cokolwiek, oprócz ryby – krzyczy D.U.

Kruk rozmawia z kelnerką w narzeczu podobnym do taxilinga.

– Zamówiłem ci kałamarnicę – drze się po chwili. – To mięczak.

Cudownie. Kruk – ostatni z prawdziwych dżentelmenów!

Przez następne kilkadziesiąt minut rozmawiają ze sobą, krzycząc. Krzyczy głównie Kruk. D.U. słucha, uśmiecha się i kiwa głową. Na szczęście Kruk nie domaga się od niej komentarzy do stwierdzeń w rodzaju: „Uwielbiam ostry seks połączony z aktami przemocy”.

Kruk w ogóle nie mówi o seksie. Mówi o polityce. Przedstawia jej skrócony wykład historii Aleutów, poszatowany na fragmenty oddzielone od siebie kęsami kałamarnicy i głośną muzyką.

– Ruscy nas przejebali... epidemia ospy ze śmiertelnością sięgającą dziewięćdziesięciu procent... pracowali jak niewolnicy na statkach wielorybnych... szaleństwo Sewarda... pierdoleni Japońce zabrali mi ojca w czterdziestym drugim, wsadzili go do obozu jenieckiego na całą...

– A potem jebani Amerykanie zrzucili na nas bombę atomową. Dasz wiarę? – pyta Kruk. Muzyka przycicha i D.U. słyszy nagle całe zdania. – Nippończycy mówią, że tylko oni byli zbombardowani, ale to gówno prawda. Każde mocarstwo nuklearne wybierało sobie jedną mniejszość etniczną, na której sprawdzało broń nuklearną. Amerykanie wybrali Aleutów. Słyszałaś o wyspie Amchitka? Mój ojciec... – w głosie Kruka słychać dumę – ...przeszedł przez to dwa razy: najpierw w Nagasaki, gdzie stracił wzrok, a potem w 1972 roku, kiedy Amerykanie zbombardowali moją ojczyznę...

Cudownie! – myśli D.U. Mam nowego chłopaka, który jest mutantem! To wiele tłumaczy...

– Urodziłem się kilka miesięcy po amerykańskich testach na Amchitce – ciągnie Kruk, pogrążając się ostatecznie w oczach D.U.

– Jak skumałeś się z tymi Ortosami?

– Odszedłem od naszych tradycji, zamieszkałem w Sołdotnej, pracowałem na szybach naftowych. – D.U. nie ma pojęcia, gdzie leży Sołdotna, ale Krukowi wydaje się, że wszyscy to wiedzą. – Piłem wtedy na umór i zarobiłem na tatuaż... – dotyka czoła. – Nauczyłem się także kochać kobiety i robię to nawet lepiej od rzucania harpunem...

D.U. dochodzi do wniosku, że pieprzenie i rzucanie harpunem jest blisko skorelowane w głowie Kruka, który – choć straszny i nieokrzesany – przyprawia ją o dosyć kłopotliwe w tej sytuacji erotyczne dreszcze.

– Pracowałem też na kutrach rybackich, żeby zarobić dodatkowo trochę forsy. Jak wracaliśmy z morza po czterdziestoosmiodzinnym rejsie, na przykład po otwarciu sezonu na halibuty... wiesz, w tamtych czasach były jeszcze przepisy dotyczące odłowów... więc jak wracaliśmy po takim rejsie do portu, zakładaliśmy kombinezony ratunkowe, wypychaliśmy kieszenie piwem i wskakiwaliśmy do morza. Pływaliśmy tak przez całą noc, żłopiąc piwo. Pewnego razu upiłem się i usnąłem. A kiedy się obudziłem, był już następny dzień albo któryś dzień z rzędu... nie wiem. Pływałem w kombinezonie ratunkowym na samym środku Cieśniny Cooka i byłem całkiem sam. Moi kumple z kutra chyba o mnie zapomnieli...

Nie dziwię im się – myśli D.U.

– W każdym razie pływałem tak przez kilka dni. Chciało mi się pić jak jasna cholera. W końcu prąd zaniósł mnie na brzeg wyspy Kodiak. Byłem bardzo osłabiony, delirium tremens i takie tam... Fale wyrzuciły mnie obok rosyjskiego kościoła prawosławnego. Rosjanie znaleźli mnie na brzegu, uratowali i wyprostowali. I wtedy zrozumiałem, że zachodni, amerykański styl życia o mało mnie nie zabił... Czas na kazanie...

– Pojąłem, że prawdziwe, proste życie możliwe jest tylko w wierze. Życie bez gorzały, bez telewizji, bez tego wszystkiego...

– Więc co tu robisz?

Wzrusza ramionami.

– W takich miejscach czuję się jak w domu, choć nic mnie tu nie rajcuje. Przyszedłem tu, bo nigdzie indziej na Tratwie nie znajdziesz porządnego jedzenia.

Do stołu zbliża się kelner. Ma wielkie, spłoszone oczy, ostrożnie stawia kroki. Nie przyszedł po talerze, przynosi złe wieści.

– Najmocniej pana przepraszam – mówi – ale wzywają pana przez radio.

– Kto wzywa? – pyta Kruk.

Kelner rozgląda się, jakby bał się wymówić publicznie zakazane nazwisko.

– To bardzo ważne – mówi w końcu.

Kruk wdycha ciężko, łyka ostatni kęs ryby i wstaje. Nim D.U. pojmuje, co ma zamiar zrobić, cmoka ją w policzek.

– Mam robotę, najdroższa. Albo coś w tym rodzaju. Czeka tu na mnie i nigdzie nie odchodź.

– Tutaj?

– Nikt nie śmie tknąć cię palcem – mówi Kruk, rozglądając się po twarzach zgromadzonych.

Z odległości kilku mil Tratwa wygląda dziwnie radośnie. Na górującej nad wszystkim wieży „Enterprise” włączają się właśnie punktowce i kolorowe lasery; promienie reflektorów omiatają niebo jak w Hollywood w dniu premiery. Jednak im bliżej, tym bardziej ponury staje się widok. Z kłębowiska łodzi i tratw, i wszystkiego, co trzyma się na wodzie, wydobywa się niezdrowa, żółtawa poświata psująca widowisko.

Niektóre z części składowych Tratwy płoną. I nie są to wesołe ogniska rozpalone przez harcerzy, ale prawdziwe pożary, z których wydobywają się kłęby czarnego dymu, jakby ogień trawił beczki z paliwem.

– Wojna gangów... – teoretyzuje Eliot.

– Źródła energii – zgaduje Hiro.

– Rozrywka – mówi Rybiooki. – Nie mają tu jebanej kablówki.

Przed wjazdem do piekła, Eliot sprawdza poziom paliwa w zbiorniku. Zakręca bak bez słowa, ale po jego minie widać, co myśli.

– Wyłączcie światła – poleca, choć od Tratwy dzieli ich wiele mil. – Pamiętajcie, że patrzą na nas setki albo tysiące uzbrojonych i głodnych ludzi.

Vic chodzi po pokładzie i wypełnia polecenie Eliota przy pomocy młotka, którym tłucze żarówki. Rybiooki stoi i wpatruje się w Eliota, jakby nagle nabrał do niego szacunku. Eliot mówi dalej: – Zdejmijcie wszystkie jaskrawe ciuchy, przede wszystkim kombinezony, nawet jeśli jest wam zimno. Od tej chwili wszyscy leżymy na pokładzie i pokazujemy się tyle, ile będzie trzeba. Nie rozmawiamy, chyba że to konieczne. Kończymy z uprzejmością i przechodzimy na „ty”. Vic, zostaniesz na śródokręciu z karabinem w pogotowiu. Będziesz czekał, aż skierują na nas reflektor. Obojętnie skąd padnie światło, strzelasz w reflektor. Dotyczy to także punktowców z małych łodzi. Hiro, twoim zadaniem będzie patrolowanie okrężnicy. Masz chodzić wzdłuż burt i pilnować, żeby na jacht nie dostał się żaden pływak. Jak tylko zobaczysz czyjeś ręce wynurzające się z wody, obetnij je bez wahania. Uważaj też na haki i inne zaczepy. Nigdy nic nie wiadomo... Panie... Rybiooki... ty zajmiesz się zatapianiem wszystkiego, co znajdzie się w odległości stu stóp od tego jachtu...

– Jak zobaczycie ludzi z antenami na głowach, zabijajcie ich w pierwszej kolejności, bo potrafią porozumiewać się bez słów.

– Z antenami na głowach? – powtarza z niedowierzaniem Hiro.

– Tak. To gargulce z Tratwy – mówi Eliot.

– Gargulce? Kim są naprawdę?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery! Widziałem ich tylko parę razy i to z daleka. A teraz słuchajcie mnie uważnie, bo nie będę powtarzał: mam zamiar wprowadzić tę łajbę w sam środek piekła. Gdy znajdziemy się wystarczająco blisko celu, dam prawo na burt i zacznę opływać Tratwę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wtedy zaczniemy rozglądać się za kimś, kto chciałby odstąpić nam trochę paliwa. Gdyby doszło do najgorszego i okazało się, że musimy zacumować przy Tratwie, pamiętajcie, żeby trzymać się razem. Po zacumowaniu wynajmiemy przewodnika, bo sami nie damy rady w tym labiryncie. Wędrówka po Tratwie bez przewodnika grozi przykrymi konsekwencjami...

– Jakiego rodzaju przykrymi konsekwencjami? – pyta Rybiooki.

– Na przykład zawiśnięciem na przerdzewiałym haku lub pokrytej glonami linie od windy transportowej między dwoma statkami kołyszącymi się ze zmienną amplitudą, na wysokości czterech pięter nad lodowato zimną wodą pełną zadzumionych szczurów, toksycznych odpadków i rekinów morderców. Są jeszcze jakieś pytania?

– Ta – mówi Rybiooki. – Którędy do domu?

Jeśli Rybiooki może mieć pietra, to tym bardziej może bać się Hiro.

– Pamiętajcie, co stało się z piratem, na którego mówili „Bruce Lee” – ciągnie Eliot. – Dowodził dobrze uzbrojoną flotyllą i pewnego dnia podpłynął nieopatrznie do pontonu pełnego rozbitków. Chciał sobie tylko podupczyć i pożegnał się z tym światem, nie wiedząc, co go trafiło. Na Tratwie jest pełno ludzi, którzy zechcą potraktować nas tak, jak my potraktowaliśmy nieodżałowanego „Bruce’a Lee”.

– Nie ma tam jakichś gliniarzy czy kogoś w tym rodzaju? – Pyta Vic. – Słyszałem, że mają jakieś patrole...

Vic oglądał filmy fabularne o Tratwie w kinach przy Times Square.

– Biczem bożym są tu ludzie przebywający na pokładzie lotniskowca „Enterprise” – mówi Eliot. – Na pasie startowym zamontowane są wielkie działa... między innymi granatniki, takie jak Rozum, tylko o większym kalibrze. Uzbrojenie to było pierwotnie przeznaczone do zestrzeliwania rakiet typu Exotec. Mówimy tu o potężnej sile ogniowej. Jeśli coś na Tratwie jest nie tak, problem znika po jednym wystrzale. Drobne morderstwa czy zamieszki nie zasługują na ich uwagę, ale jeśli na przykład rozpoczyna się pojedynek raketowy między dwoma rywalizującymi ze sobą ugrupowaniami pirackimi, to co innego...

Nagle uderza w nich snop światła o tak dużej średnicy i mocy, że czują się jak karaluchy przydybane nocą w kuchni.

Po chwili znów zapada ciemność, a w uszach dzwoni im huk wystrzału karabinowego.

– Ładny strzał, Vic – chwali towarzysza Rybiooki.

– To coś w rodzaju łodzi do przemytu narkotyków – melduje Vic, śledząc cel przez czarodziejską lunetę.

– Pięciu gości. Płyną w naszą stronę. – Bum! – Poprawka. Już tylko czterech i nie płyną w naszą stronę. – Bum! W odległości dwustu stóp od jachtu wybucha kula ognia. – Poprawka. W ogóle nie płyną.

Rybiooki wybucha gromkim śmiechem i klepie się po udach.

– Hiro, czy ty to nagrywasz?

– Nie. Nic by nie wyszło...

– Szkoda – mówi z prawdziwym żalem Rybiooki.

– To była pierwsza fala – tłumaczy Eliot. – Bogaci piraci rozglądający się za łatwym łupem. Mają dużo do stracenia, więc łatwo ich wypłoszyć...

– Mamy kolejnych gości – melduje Vic. – Duża łódź, w zasadzie jacht, ale zawraca...

W oddali słychać zawrodożenie silnika pracującego na najwyższych obrotach.

– To druga fala – mówi Eliot. – Piraci in spe. Są znacznie szybsi od pierwszych, więc miejcie się na baczności.

– Mam radar o milimetrowej długości fali – chwali się Rybiooki. Hiro przenosi na niego wzrok. Twarz Rybiookiego oświetla od dołu sina poświata z ekranu wbudowanego w panel sterujący Rozumem. – Mam tych skurczybyków jak na dłoni.

Vic opróżnia magazynek. Zakłada następny.

Nieopodal przemyka zodiak, ślizgając się po falach. Maca ich słabym światłem latarek. Rybiooki korzysta z Rozumu, wypala kilka razy, wybijając w wodzie otwory, nad którymi kłębi się gorąca para. Nie trafia.

– Oszczędzaj amunicję – rzuca całkiem rozsądnie Eliot. – Są uzbrojeni w Uzi, ale nie trafią w nas, jeśli nie zwolnią. A dopóki nie zwolnią, ty też w nich nie trafisz nawet z tym swoim radarem.

Po drugiej stronie jachtu pojawia się następny zodiac, jest bliżej od poprzednika. Vic i Rybiooki czekają. Zodiac okrąża jacht i wraca tam, skąd przyplłynął.

– Widzę dwa zodiaki – melduje Vic. – Spotykają się poza zasięgiem strzału. Dobijają do nich dwa następne. W sumie cztery... Konferują ze sobą...

– To był rekonesans – mówi Eliot. – Teraz uzgadniają taktykę. Możecie zacząć się bać.

Nie mija sekunda, gdy na rufie... tam, gdzie przed chwilą stał Eliot... rozlegają się dwa potężne strzały, którym towarzyszą krótkie błyski. Hiro odwraca głowę i widzi ciało wpadające do wody. Na szczęście to nie Eliot. Eliot kłęczy na rufie, trzymając w ręku swoją armatę na halibuty.

Hiro biegnie na rufę, zerka na martwego pływaka, ledwo widocznego w ciemnościach. Trup jest goły, wysmarowany czarną mazią. Na biodrach ma pas, za którym tkwi nóż i pistolet. Jedną ręką wciąż trzyma się liny, po której wspinał się na pokład. Na końcu liny jest hak, który zaczepił o poszarpaną burtę jachtu.

– Trochę wcześniej jak na trzecią falę – mówi drżącym głosem Eliot. Udaje spokój, co przynosi efekt przeciwny od spodziewanego. – Hiro, w tym rewolwerze są jeszcze trzy naboje. Ostatni będzie dla ciebie, jeśli jeszcze raz zobaczą na pokładzie któregoś z tych skurwysynów.

– Przepraszam – bąka Hiro. Wyciąga krótki miecz wakizashi. Czułby się pewniej, mogąc trzymać w drugiej ręce dziewiątkę, ale ręka ta musi być wolna, bo służy do opierania się o burtę, co jest jedynym sposobem na pozostanie na jachcie. Biegnie wzdłuż obwodu, wypatrując kolejnych haków. Jest! Jest następny wczepiony w podporę pokładową. Biegnie za nim gruba, napięta lina ginąca gdzieś w odmetach.

Poprawka: to nie lina tylko kabel! Miecz tego nie przetnie. Wiszący na kablu ciężar jest zbyt duży, by odczepić hak...

Mimo to próbuje, gdy nagle z ciemności wyłania się pokryta smarem dłoń, która chwyta go za nadgarstek. Druga dłoń szuka drugiego nadgarstka, ale trafia na miecz. Hiro przeciąga ostrze, czując lekki opór. Uwalnia miecz i robi zamach, celując między dłonie. Widzi przed sobą zęby zacierające wprost ku jego kroczu. Ale krocze Hiro chroni motocyklowy kombinezon z cerzożelowym wzmocnieniem w tym najczulszym z miejsc. Człowiek-rekin łamie sobie niepotrzebnie zęby. Gdy miecz spada na jego głowę, zwalnia uścisk i wpada bez słowa do wody. Hiro posyła za nim hak i kabel. Na pamiętkę.

Vic oddaje trzy szybkie strzały. Na wodzie znów pojawia się kula ognia. Przez chwilę widzą wszystko na odległość stu jardów, a efekt jest taki, jak po zapaleniu światła w piwnicy pełnej wygłodniałych szczurów. Jacht oblegany jest ze wszystkich stron przez hordę małych łodzi.

– Mają butelki z benzyną – ostrzega Vic.

Teraz atakujący też ich widzą. Z kilku łodzi wystrzelono flary. Hiro dostrzega złowrogie błyski wymierzonych w ich stronę łuf. Rybiooki strzela raz, potem drugi, przechodzi na krótkie serie, których efektem jest kolejna kula ognia nieco dalej od wcześniejszej.

Od ataku pływaka nie minęło więcej niż pięć sekund. Hiro szuka wzrokiem haków i podejmuje wędrówkę wzdłuż obwodu jachtu. Tym razem burty są czyste. Dwaj martwi pływacy musieli działać wspólnie.

Od jednej z łodzi odrywa się pochodnia, butelka z benzyną. Zatacza krótki łuk i spada na sterburtę, niczego nie uszkadzając. Byłoby gorzej, gdyby spadła na pokład. Rybiooki wykorzystuje Rozum do zanihilowania obiektu, z którego rzucono cocktail Mołotowa. Płonąca burta jachtu przyciąga uwagę strzelców. Hiro stwierdza z przerażeniem, że w miejscu, w którym leżał Vic, widać tylko strumyczki krwi.

Nie ma czasu, by zastanawiać się nad losem snajpera, bo oto z lewej strony wyłania się z wody jakiś obły kształt, za którym widać tors nagiego mężczyzny. Pływak odgarnia długie włosy z twarzy, a drugą ręką sięga daleko za siebie. Robi zamach ośmiostopowym harpunem. Hiro dopiero teraz pojmuję, co się dzieje nie dalej niż siedem jardów od jachtu.

Harpun mknie nad wodą. W milionach maleńkich płaszczyzn tworzących szklany grot załamuje się

światło. Grot wygląda jak jądro komety.

Trafia Rybiookiego w plecy. Z łatwością przebija kuloodporną kamizelkę, z którą Rybiooki nigdy się nie rozstawał. Wychodzi z przodu. Uderzenie podrywa mafiosa do góry, wyrzuca go za burtę. Rybiooki spada twarzą do wody, jest martwy, nim uderza w fale.

Do zapamiętania: harpun Kruka jest niewidoczny na ekranie radaru.

Hiro przenosi wzrok ku miejscu, w którym wynurzył się Kruk. Nikogo już tam nie ma. Za to na jacht wdrapują się dwaj następni towociarze. Wskakują na pokład nie dalej niż dziesięć stóp od Hiro. Przez chwilę nic nie widzą, oślepieni płomieniami. Hiro wyciąga dziewiątkę i mierzy w ich stronę. Naciska spust, strzela jeszcze, gdy za towociarzami zamyka się woda. Nie liczył naboji, nie wie, ile zostało mu w magazynku.

Słyszy za plecami syk i pokasływanie. Płomienie na burcie nikną i gasną zupełnie. Przymotny Eliot skorzystał z pokładowej gaśnicy.

Pokład jachtu staje dęba pod stopami Hiro. Hiro pada na twarz, którą osłonił barkiem. Zrywa się, wiedząc już, że zostali staranowani lub sami staranowali jakąś dużą jednostkę. Słyszy tupot bosych stóp na pokładzie. Odgłos zbliża się w jego stronę. Wypuszcza z ręki wakizashi, sięga po katanę i wykonując półobrót, trafia ostrzem w czyjś brzuch. Czuje, że ktoś wytrwale uderza go w plecy nożem. Nie sprawia mu to wielkiego bólu dzięki kombinezonowi. Uwalnia katanę. Na szczęście ostrze nie zaklinowało się między kręgami, choć zapomniał podkręcić cięcie. Odwraca się, instynktownie paruje cios nożem zadany przez towociarza, unosi miecz i zatapia ostrze w czaszce przeciwnika. Tym razem robi to właściwie, rozłupuje kości i podrywa klingę. Po obu stronach Hiro wyrastają następni towociarze. Hiro wybiera jednego z nich, tnie po skosie, nie patrzy na spadającą głowę. Kolejny obrót. Towociarz, który idzie na niego, uzbrojony jest w wybitą ćwiekami maczugę, ale, w przeciwieństwie do Hiro, chwieje się na stromym teraz pokładzie. Hiro szura nogami, wychodząc mu na spotkanie, przenosi ciężar ciała na wysuniętą stopę i nabija go na katanę.

Na dziobie stoi towociarz, który przygląda się temu ze zdumieniem. Hiro strzela do niego. Trup pada na pokład. Dwaj inni napastnicy z własnej woli opuszczają jacht.

Jacht oplątany jest teraz pajęczyną lin, kabli i towarowych sieci, rozciągniętych nad powierzchnią wody jako pułapka na takich jak oni. Silnik wciąż pracuje, ale śruba stoi w miejscu. Coś zaplątało się w trzpień.

Nigdzie nie widać Kruka. Może ktoś wynajął go, żeby sprzątnął Rybiookiego? Może Kruk nie chciał zaplątać się w sieci? Może doszedł do wniosku, że po unieszkodliwieniu Rozumu towociarze poradzą sobie z resztą załogi...

Eliot nie stoi za sterem. Nie ma go na pokładzie. Hiro woła go, ale nikt mu nie odpowiada. Nie słysząc nawet szamotaniny w wodzie. Ostatnią rzeczą, jaką zrobił, było zgaszenie pożaru. Musiał wypaść za burtę, gdy jacht wpadł w zasadzkę.

Hiro podnosi wzrok i widzi nad sobą monumentalną sylwetkę „Enterprise”. Nie miał pojęcia, że znaleźli się tak blisko lotniskowca. Pokonali dużą odległość podczas walki, większą niż powinni. Tratwa otacza go teraz ze wszystkich stron. Rozgląda się w słabym świetle płonącego zoda, który wplątał się w liny obok jachtu.

Ucieczka jachtem na otwarte wody nie jest dobrym pomysłem. Okolice Tratwy roją się od konkurencji, której nie wytrzyma żaden samotny żeglarz. Hiro rusza na dziób. Zatrzymuje się nad walizką – panelem sterowniczym i sercem Rozumu. Na kolorowym ekranie monitora migocze komunikat: „Krytyczny błąd systemowy. Zresetuj system i zacznij jeszcze raz”.

Po chwili obraz zamiera i na ekranie pojawia się śnieg. Zamieć.

Vica trafili serią z karabinu maszynowego. Oczywiście nie żyje. Jacht nie jest sam w sieci. Hiro widzi wokół siebie z pół tuzina podobnych jednostek kołyszących się bezradnie na falach. Wszystkie były kiedyś porządnymi jachtami. Teraz zostały z nich same kadłuby, które odarto ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość lub po prostu dało się rozmontować. Wpadliśmy w pułapkę na myszy – myśli Hiro, widząc nieopodal wielką boję z nagryzmlonym farbą napisem: „PALIWO”.

Łodzie, które ich ścigały, zatrzymały się na otwartym morzu, daleko od pajęczyny. Wiedzą, że nie mogą podплыnąć – sieć jest królestwem towociarzy, pajaków, które wybił niemal co do jednego.

Jeśli teraz wejdzie na samą Tratwę, nic gorszego już go nie spotka... chyba nie...?

Na jachcie jest maleńka łódź ratunkowa – dingy, najmniejszy z nadmuchiwanym zodiaków. Ponton ma silnik, słaby, ale zawsze... Hiro woduje łódkę.

– Ja też płynę – odzywa się jakiś głos.

Hiro odwraca się, wyciąga pistolet i widzi przed sobą twarz filipińskiego chłopca. Małego chłopca okrętowego z jachtu. Filipińczyk mruga, jest trochę zaskoczony, ale nie widać, żeby się bał. W końcu zadawał się z piratami. Trupy na pokładzie także nie robią na nim specjalnego wrażenia.

– Będę przewodnikiem – mówi. – Ba la zin ka nu pa ra ta...

D.U. czeka już tak długo, że na zewnątrz zrobił się pewnie dzień. Z drugiej strony, nie mogło upłynąć więcej niż parę godzin. Tak czy inaczej, tutaj nie ma to specjalnego znaczenia. Na barce nic się nie zmieniło: muzyka gra dalej, rysunkowy serial leci od początku, a do baru przychodzą kolejne grupy spragnionych mężczyzn, którzy bardzo starają się na nią nie patrzeć. Więc czeka.

W końcu, jak spod ziemi, wyrasta przed nią Kruk. Jest teraz inaczej ubrany: ma na sobie mokry, śliski strój wykonany chyba ze zwierzęcej skóry. Po zaczerwienionej twarzy spływają mu krople wody.

– Skończyłeś robotę? – pyta D.U.

– Tak jakby – mówi Kruk. – Zrobiłem dosyć.

– Co to znaczy „dosyć”?

– To znaczy, że nie lubię, jak mi przerywają randkę i kaza paprać się w gównie – rzuca. – Zrobiłem porządek, gdzie było trzeba, a resztą zajmą się te ich gnomy.

– No cóż... świetnie się bawiłam...

– Wybacz, maleńka... Wypadamy stąd... – mówi teraz głębokim, pełnym napięcia głosem faceta cierpiącego na erekcję.

– Skoczmy do Jądra – oznajmia, gdy stają na świeżym powietrzu.

– Co tam jest?

– Wszystko. Ludzie, którzy prowadzą ten biznes. Ci tu... – wskazuje na tłumy przemierzające Tratwę – ...nie mają tam wstępu. Ja mam. Chcesz zobaczyć?

– Jasne, czemu nie... – odpowiada D.U. jak gimnazjalna cipa. Ale co niby miała powiedzieć?

Prowadzi ją po nieskończenie długich, oświetlonych jedynie promieniami księżycy trapach ku większym statkom płynącym w środku Tratwy. Można by tu pojeździć na rolkach, ale wymagałoby to sporej wprawy.

– Czym się różnisz od tych ludzi? – pyta D.U. Wyrzuca z siebie to pytanie po długim zastanowieniu. Ale warto zaryzykować...

Kruk uśmiecha się.

– Po pierwsze: jestem Aleutem, co samo w sobie sprawia, że jestem inny...

– Nie, nie o to mi chodzi. Chciałam zapytać, dlaczego jesteś normalny... – Żle... – Dlaczego cię nie pojechało... – Jeszcze gorzej... – No, wiesz, o co mi chodzi... W przeciwieństwie do tych tam... w ogóle nie mówisz o Słowie...

– Wiesz, maleńka, z tym jest jak z pływaniem w kajaku, jak z surfowaniem...

– Naprawdę? Ja też surfuję, tylko na jezdni – mówi D.U.

– My nie robimy tego dla zabawy. Pływanie jest naszym życiem. Przenosimy się z wyspy na wyspę, surfując na falach.

– Ja robię to samo – mówi D.U. – Skaczę od franszulatu do franszulatu, surfując z autami.

– Na świecie jest wiele rzeczy potężniejszych od nas, ale jeśli wiesz, jak wskoczyć na falę, możesz dać sobie z nimi radę...

– Mówisz moim językiem, człowieku.

– Dokładnie w ten sposób postępuję z Ortosami. Zgadzam się z niektórymi założeniami ich religii. Ale nie ze wszystkimi. Ich ruch ma jednak wielką siłę. Zrzessa wielu ludzi, ma pieniądze i statki...

– I ty po nich surfujesz?

– Zgadza się.

– W porządku, mogę to zrozumieć. Ale co chcesz osiągnąć? Jaki jest twój prawdziwy Cel?

Przechodzą przez długą, szeroką platformę. Kruk zatrzymuje się, bierze ją w ramiona, przyciąga do siebie. D.U. stoi na samych koniuszkach palców. Czuje dotyk jego zimnego nosa na skroni i gorący oddech w uchu. Ma dreszcze.

– Krótko... czy długoterminowy? – pyta Kruk.

– Noo... długo...

– Miałem taki plan, żeby odpalić głowicę atomową w Ameryce.

– Hmm, to dosyć radykalne posunięcie...

– Może... Zależy od punktu widzenia. Poza zbombardowaniem Ameryki nie miałem innych celów długoterminowych – jego szept pali ją w policzek.

– A średnioterminowe?

– Za parę godzin Tratwa zniknie. Płyniemy do Kalifornii, szukając miejsca, w którym można się osiedlić. Niektórzy będą chcieli nas powstrzymać. Moim zadaniem jest pomóc ludziom w bezpiecznym wylądowaniu na brzegu. Wybieram się na wojnę.

– Szkoda – mówi D.U.

– Trudno mi więc snuć jakieś plany...

– Rozumiem.

– Wynajęłam tu ładny pokój z czystymi prześcieradłami – kończy Kruk.

Czystymi? – myśli D.U. Nie na długo...

Wydawało jej się, że będzie miał zimne i sztywne usta, jak u ryby. Dlatego zdumiewa ją ich ciepłota. Każda część jego ciała jest gorąca, jakby broniła się w ten sposób przed lodowatymi wodami Arktyki.

Pocałunek trwa jakieś pół minuty, po czym Kruk pochyla się, obejmuje ją w pasie grubymi jak uda ramionami i podnosi do góry nad pokład.

Obawiała się, że zanieśie ją do jakiejś cuchnącej nory, ale Kruk wynajął mieszkalny kontener w osiedlu kontenerów wzniesionym na kontenerowcu – jednym ze statków Jądra. Wygląda tu jak w luksusowym hotelu dla grubych ryb z Tratwy.

D.U. zastanawia się, co zrobić z nogami, które teraz wiszą bez sensu w powietrzu. Nie jest jeszcze gotowa, by objąć go nimi w pasie – nie robi się tego w tak wczesnym etapie zbliżenia. Nagle czuje, że coś je rozszerza – coraz dalej i dalej... Kruk jest szerszy w udach niż w pasie, podnosi nogę, która trafia wprost w jej krocze, opiera stopę na krześle. D.U. siedzi teraz na jego udzie jak mała dziewczynka. Kruk przyciąga ją do siebie, przyciska i puszcza, przyciska i puszcza, a D.U. kołysze się bezradnie w przód i w tył, opierając cały swój ciężar na kroczu. Jakiś potężny mięsień w górnej części jego uda napręża się w miejscu, w którym styka się z biodrem. Kruk kołysze ją coraz mocniej i bliżej, i D.U. zbliża się do tego miejsca, siedzi na nim tak ciasno, że czuje szew własnego kombinezonu i drobne w małej kieszonce czarnych dżinsów Kruka. Kruk przesuwając ręce wzdłuż jej pleców, nie zwalniając uścisku. Chwyta ją za pośladki. Ma tak wielkie dłonie, że przypomina to ściskanie mandarynki. Ma tak długie palce, że nie mieszczą się między jej pośladkami. D.U. opada na jego tors, by uciec od tych dłoni, ale to niemożliwe, zresztą, dokąd miałyby uciec, mając przed sobą tylko jego piersi. Odrywa od niego usta, osuwa się po jego grubej, gładkiej i bezwłosej szyi. Wydaje krótki okrzyk, który zamienia się w jęk. Już wie, że ją załatwił. Nigdy nie wyje, nie krzyczy ani nie jęczy podczas stosunków, ale tym razem nic na to nie może poradzić.

Pogodziwszy się z okolicznościami, D.U. staje się niecierpliwa. Może ruszać rękoma, może ruszać nogami, tylko biodra ma unieruchomione w miejscu, na którym usadził ją Kruk. Kruk nie zmieni pozycji, dopóki D.U. czegoś nie zrobi. Zaczyna od lizania ucha. Zazwyczaj to załatwia sprawę.

Próbuje od niej uciec. Kruk! Chce uciec od kogoś takiego jak ona! Podoba jej się to. D.U. ma mocne ręce, mocniejsze niż niejeden facet. Nie na darmo spędziła spory kawałek życia, jeżdżąc za samochodami. Zarzuca mu ręce na głowę, chwyta ją jak w imadło. Przyciska czoło do jego skroni i zaczyna obracać koniuszkiem języka w jego małżowinie.

Kruk przez kilka minut stoi jak sparaliżowany. Oddycha płytko. D.U. posuwa się dalej, do wewnątrz. Gdy wpycha język w sam środek ucha, Kruk jęczy i szamocze się jak nadziany na harpun. Zdejmuje ją z nogi, kopie krzesło, które wpada na stalową ścianę kontenera. D.U. opada na łóżko, Kruk spada tuż nad nią. Przez chwilę wydaje jej się, że zmiażdży ją swoim ciężarem, ale zatrzymuje się na łokciach. Zatrzymuje się tylko do połowy, bo od pasa w dół spada na nią bezlitośnie, a ciało D.U. przesywa elektryczne targnięcia rozkoszy. Jej uda i biodra twardnieją, jakby napełnione od wewnątrz, nie może ich rozluźnić. Kruk opiera się na jednym łokciu, odrywa na chwilę od jej ciała i całując ją prosto w usta – dla podtrzymania kontaktu – wpycha jej język do gardła, przebija ją językiem, jednocześnie rozsuwając zamek jej kombinezonu po samo krocze. Otwiera ją, odstania trójkątny fragment ciała od ramion w dół. Opada z powrotem na łokieć, chwyta górę kombinezonu i ściąga ją w dół przez plecy, unieruchamiając jej ręce przy bokach. Wpycha górną część kombinezonu (całą masę poduszek) pod jej krzyż. D.U. leży teraz wygięta w łuk, o co, zdaje się, mu chodziło. Opada ku jej zaciśniętym udom, wpycha między nie dłoń. Przyzwyczajone do wysiłku mięśnie kurczą się, lecz w końcu ustępują i znów chwyta ją za tyłek. Czuje jego dotyk na skórze; wydaje jej się, że siedzi na rozgrzanej, pełnej roztopionego masła patelni, od czego, rzecz jasna, robi się jej gorąco.

W tym punkcie ich znajomości powinna o czymś pamiętać, powinna o coś zadbać. Jest to coś ważnego – jeden z tych przyziemnych obowiązków, które wydają się tak logiczne, gdy myśli się o nich na trzeźwo, a które w chwilach takich jak ta są całkowicie pozbawione znaczenia i jakiegokolwiek sensu.

Dotyczy to zapewne kontroli urodzin... Albo czegoś w tym guście... D.U. nie ma już na to czasu, jest zbyt pochłonięta przeżywaniem własnej rozkoszy, zbyt zajęta skopywaniem nogawek kombinezonu z kolan, zsuwaniem majtek, które zatrzymały się na kostkach.

Kruk rozbiera się przez trzy sekundy. Ściąga koszulę przez głowę i rzuca ją w kąt, rozpina spodnie i skopuje je na podłogę. Ma tak gładką skórę jak D.U., jak skóra ssaków pływających w morzu. Jest przy tym gorący, a nie zimny i oślizgły jak ryba. Nie widzi jego członka, ale nie musi, bo niby po co?

Pierwszy raz w życiu zdarza się jej coś takiego: ma orgazm w tej samej chwili, w której Kruk w nią wchodzi. Czuje uderzenie pioruna płynące skądś z wewnątrz, rozplywające się po jej napiętych udach, po krzyżu, po piersiach i sutkach... Wciąga głośno powietrze, tak że o mało nie pęka, a potem krzyczy na całe gardło. Niczego sobie nie żałuje. Kruk pewno ogłuchł. Ale to jego pieprzony problem.

Rozluźnia się, staje się bezwładna. On też. Musiał mieć orgazm w tej samej chwili, co ona. W porządku. Jest jeszcze wcześniej, a biedny Kruk musiał być napalony jak jasna cholera od tego pływania w morzu. D.U. ma nadzieję, że następnym razem okaże się bardziej wytrzymały.

Teraz zadawała się leżeniem pod nim i syceniem się ciepłem jego ciała. Było jej zimno, odkąd tylko znalazła się na Tratwie. Zimno całymi dniami. Teraz ma tylko zimne stopy wiszące nad krawędzią łóżka, ale

dzięki temu potrafi docenić ciepłość reszty ciała.

Kruk też wygląda na zadowolonego. Nie tak jak inni. Bo co faceci wiedzą o przeżywaniu rozkoszy? W tym momencie znajomości z dziewczyną zajmują się już przerzucaniem kanałów w telewizorze. Kruk tego nie robi. Leży i delectuje się spełnieniem, dysząc lekko i postępując. Chyba usnął... Nie ma co, oboje są zmęczeni...

D.U. także przysypia. Leży przez kilka minut, myśląc o tym i owym...

Ładnie tu – myśli sobie. Wnętrze kontenera przypomina wnętrze pokoju w całkiem porządnym hotelu dla biznesmenów gdzieś w dolinie. Nie miała pojęcia, że coś takiego może być na Tratwie. Ale są tu bogaci i biedni, jak wszędzie...

Kiedy szli po trapach ku pierwszemu z wielkich statków Jądra, w pewnej chwili drogę zagroził im uzbrojony strażnik. Oczywiście, przepuścił Kruka, a wraz z Krukiem D.U., i tylko patrzył dziwnie – ni to ze strachem, ni z podziwem...

Dalej trapy były już coraz szersze, jak drewniane chodniki na plaży. Zniknęły gdzieś chińskie staruszki noszące cały dobytek na plecach i nie śmierziało już gównem. Przynajmniej nie wszędzie.

Gdy doszli do pierwszego statku Jądra, zatrzymali się przed schodami, które prowadziły na pokład. Z pokładu przeszli trapem do wnętrza innego statku, a Kruk prowadził ją tak pewnie, jakby chodził tamtędy milion razy. W końcu znaleźli się na kontenerowcu. Tu już było całkiem przyjemnie, zupełnie jak w hotelu. Po pokładzie uwijali się chłopcy w białych rękawiczkach, roznoszący bagaże facetów w garniturach. Była prawdziwa recepcja i wszystko inne... Ale nadal był to tylko statek – stalowa konstrukcja malowana tysiące razy białą farbą. Przypomniała sobie o tym, widząc lądowisko dla helikopterów z maszyną, na której widniało logo ZATER – Zaawansowanych Technologii Rife'a. Widziała je już wcześniej. U ludzi, którzy dali jej kopertę do centrali GWKOO. Wszystko zaczyna pasować: Federalowie, L. Bob Rife, Perłowe Wrota Wielebnego Wayne'a, Tratwa, to elementy jednej i tej samej konstrukcji, jednego brudnego interesu...

– Kim, do cholery, są ci ludzie? – zapytała Kruka na kontenerowcu. Nie dość, że nie udzielił jej odpowiedzi, to jeszcze ją uciszył.

Później, gdy szukali pokoju, to znaczy kontenera, powtórzyła pytanie. Wtedy jej odpowiedział. Dowiedziała się, że są to ludzie Rife'a. Programiści, inżynierowie, faceci od komunikacji. Rife jest ważnym gościem. W końcu prowadzi monopol.

– Rife też tu jest? – zapytała. Musiała udawać głupią; wiedziała, że jest.

Kruk powiedział tylko „ciiiii” i zamknął jej usta.

Ha! A więc to prawda! Hiro się ucieszy, jeśli tylko uda się jej z nim skontaktować. Ale to nie powinno być trudne. Nie myślała, że na Tratwie są terminale Metawersu, ale są, nawet cały rząd. Faceci w garniturach muszą przecież mieć jakiś kontakt z cywilizacją. Gdyby więc udało się jej wymknąć, nie budząc Kruka... Hm, to może być ryzykowne. Szkoda, że nie ma pod ręką środków usypiających, jak w filmach szpiegowskich o Tratwie...

Ta myśl wyrwywają z odrętwienia. Wypływa z jej podświadomości i kołacze jej w głowie jak koszmar. Jak nagłe olśnienie, które mówi nam pół godziny po wyjściu z domu, że nie wyłączyliśmy czajnika. Jasna cholera, jasna cholera! Najgorsze jest to, że nic już nie można zrobić!

Niech mnie szlag! – myśli D.U., przypominając sobie niejasny niepokój o środki antykoncepcyjne. W samym środku rui!

Nie chodziło jej o pigułkę ani o podmycie. To pieprzona dentata dawała o sobie znać! Ostatnia linia obrony. Jedyne rzecz – oprócz znaczków od wujka Enzo – jakiej nie zabrali jej Ortosi. Nie zabrali jej, bo uznali za niepotrzebne przeprowadzanie badań ginekologicznych.

Oznacza to, że w momencie penetracji Kruka spotkała niemiła niespodzianka. Jego penis trafił na maleńką igłę wyposażoną w maleńki zbiorniczek zawierający piorunującą mieszanekę narkotyków i środków uspokajających.

Został trafiony harpunem w najmniej spodziewanym momencie. Teraz będzie spał przez najbliższe cztery godziny.

A kiedy się obudzi... Chryste...może być trochę zdenerwowany...

Hiro pamięta słowa Eliota: na Tratwie potrzebny jest przewodnik. Chłopak jest pewnie Uchodźcą zwerbowanym przez „Bruce'a Lee” na Tratwie.

Ma na imię Transsubstancjacja. Zdrobniale: Tran. Wskakuje do zoda, zanim Hiro pozwala mu na to.

– Chwila – mówi Hiro. – Najpierw musimy się spakować.

Ryzykując, że zostanie zauważony, zapala małą latarkę i przegląda to, co zostało na pokładzie,

zabierając wszystko, co ma jakąś wartość: dwie butle pitnej (prawdopodobnie) wody, trochę jedzenia, dodatkową amunicję do dziewiątki. Te rzeczy na pewno przydadzą się na Tratwie.

Została jeszcze jedna rzecz do zrobienia – coś, co nie sprawi mu przyjemności.

W swoim czasie Hiro wynajmował kwatery, w których codziennym problemem były myszy i szczury. Początkowo próbował się ich pozbyć przy pomocy mechanicznych pułapek. Działy się wówczas okropne rzeczy. Budził się w środku nocy, słysząc szcęk mechanizmu, a potem przeraźliwe piski i słabnący łomot gryzonia, który próbował ukryć się w bezpiecznym miejscu, ciągnąc za sobą pułapkę zatrzaśniętą na którejś z części ciała, a najczęściej na głowie. Trudno jest spokojnie położyć się do snu, gdy o trzeciej w nocy na twoim kuchennym stole zdycha mysz, rozbryzgując przy okazji fragmenty tkanki mózgowej po laminacie. Po takich doświadczeniach Hiro przerzucił się na trutkę.

Teraz musi uporać się z podobnym problemem – ciężko rannym towociarzem, tym, do którego strzelił na samym końcu i który miota się teraz po pokładzie, bełkocząc coś bez sensu.

Hiro najchętniej uciekłyby z jachtu. Wsiadłby do zoda i odpłynął, zostawiając towociarza na łaskę losu. Jeśli jednak zdecyduje się mu pomóc czy choćby skrócić jego męczarnie, będzie musiał oświetlić go latarką, a kiedy to robi, ujrzy coś, czego nigdy nie zapomni.

Nie ma rady, musi to zrobić. Przełyka ślinę, bo już teraz robi mu się niedobrze, i kieruje światło latarki na dziób.

Jest gorzej niż się spodziewał.

Facet dostał gdzieś w okolicę nosa, a kula przeszła do góry. Oderwała mu czoło aż do skroni. Hiro patrzy na przekrój płata czołowego mózgu.

Pochyliła się i zauważa coś dziwnego w głowie mężczyzny, a raczej po jej bokach. Może to odłamki czaszki... Ale są zbyt regularne i gładkie...

Pierwsza fala młodości minęła. Hiro wziął się w garść. W zasadzie towociarza już nie ma, a to, co z niego zostało, jest zwykłym warzywem. Nie może być inaczej, gdy ktoś żyje jeszcze po amputacji połowy mózgu. Mimo to wciąż mówi; ma świszczący, rozregulowany głos jak zepsuta piszczałka organów. Pewnie przez zmiany w mózgu.

A może w ogóle nie mówi? Może dźwięk, jaki wydaje, jest agonialnym skurczem jego strun głosowych? To, co wystaje mu z głowy, wygląda jak dwie anteny długości mniej więcej stopy. Anteny pokryte są gumą, jak te, których używają gliniarze przy swoich walkie-talkie. Wychodzą z głowy z boku, nad uszami... Zdaje się, że Eliot mówił o czymś takim...

Hiro chwytą antenę i ciągnie. Przyda mu się zestaw komunikacyjny wroga; dowie się, w jaki sposób L. Bob Rife steruje ludźmi na Tratwie...

Antena nie chce zejść z głowy towociarza; ciągnąc antenę, ciągnie go za głowę. O... o... Więc to nie jest zestaw słuchawkowy... Anteny wbudowane są na stałe w czaszkę tych ludzi.

Hiro przełącza gogle na milimetrowy radar i zagląda w głąb czaszki rannego.

Anteny przymocowane są do kości krótkimi śrubami, które nie wychodzą na drugą stronę. W podstawie anten są jakieś mikroprocesory, których przeznaczenia nie jest w stanie dociec. W dzisiejszych czasach na jednym chipie można zmieścić pamięć superkomputera, więc gdy w jednym miejscu widzi się kilka mikroprocesorów, to znak, że sprzęt jest poważnym przedsięwzięciem.

Z podstawy anteny na drugą stronę czaszki przechodzi jedynie cienki jak włos drucik, który przecina rdzeń przedłużony i oplata całą korę misterną pajęczyną, by zapętlić się w zwoju między najwyższymi kręgami.

To tłumaczy, dlaczego facet nadaje miejscowy bełkot, nie mając połowy mózgu. Wygląda na to, że L. Bob Rife odkrył sposób na nawiązanie łączności z tą częścią mózgu, w której mieszka Asherah. Słowa wypowiedane przez rannego nie zrodziły się w jego głowie. Są nadawane przez radio zielonoświątkowców, a towociarz odbiera je przez anteny.

Rozum wciąż działa, wysświetlając ku niebu sinawą statykę. Hiro odnajduje wyłącznik i zamyka dopływ prądu. Komputery tego rodzaju powinny wyłączać się same, gdy się o to poprosi. Odcięcie prądu jest dla komputera tym samym, co dla człowieka usypianie młotkiem. Ale system cierpiący na zamieć nie jest w stanie sam się wyłączyć i wymaga podjęcia radykalnych metod. Hiro chowa granatnik z powrotem do walizki i zamyka pokrywę.

Może walizka nie jest tak ciężka, jak mu się wydawało, albo może on sam operuje na wzmożonych dostawach adrenaliny, bo uniesienie jej nie sprawia mu najmniejszego kłopotu. Dopiero po chwili przychodzi mu do głowy, że walizka jest lżejsza, bo Rybiooki wykorzystał część amunicji stanowiącej trzy czwarte jej wagi. Przenosi, a raczej przeciąga walizkę na rufę, upewniając się, że wymiennik ciepła jest ukryty w wodzie, po czym przerzuca ciężar na zoda.

Schodzi z jachtu. Tran już na niego czeka, majstrując przy silniku.

– Bez motoru – mówi. – Trzeba uważać na śrubę.

Fakt. Pod wodą jest taka sama pajęczyna jak nad jej powierzchnią, nie można ryzykować. Tran pokazuje Hiro, jak umocować wiosła w dulkach.

Odpywają. Hiro wiosłuje przez chwilę i stwierdza, że znaleźli się na czystym przesmyku, wijącym się wokół Tratwy jak szczelina wokół lodowego pola.

– Teraz już można motor – mówi Tran i opuszcza silnik do wody. Ciągnie za linkę, silniczek odpala. Odpala od pierwszego pociągnięcia; „Bruce Lee” utrzymywał porządek na statku.

Płynąc po otwartych wodach, Hiro boi się, że trafił na jezioro otoczone ze wszystkich stron gettem. Ale to tylko złudzenie. Wpływa w kolejną zatokę i widzi, że woda ciągnie się aż do granicy widzialności. Znaleźli się na pasie otaczającym Tratwę niczym fosa. Po obu stronach brzeg fosy pocięty jest kanałami – wodnymi uliczkami i zaułkami prowadzącymi do poszczególnych dzielnic. Wyloty kanałów strzeżone są przez uzbrojonych ludzi. Każdy może pływać po fosie, ale wstęp do getta mają tylko mieszkańcy.

Najgorszą rzeczą, jaka może spotkać takie getto, jest odcięcie od Tratwy. Dlatego Tratwa sprawia wrażenie ogromnej pajęczyny. Mieszkańcy każdego z gett boją się, że mieszkańcy innego zasadzą się i odetną ich od Jądra, zostawiając na pastwę losu na środku Oceanu. Dlatego próbują przywiązać się do reszty na setki sposobów, używając w tym celu kabli prowadzonych nad i pod wodą, mocowanych nie do jednego, a do kilku gett naraz, a w najlepszym przypadku do statków samego Jądra.

Strażnicy uzbrojeni są w najrozmaitsze rodzaje oręża, ale ich ulubioną bronią jest mała, chińska wersja AK-47. Jej metalowy obrys doskonale widoczny jest na radarze. Chińczycy musieli wyprodukować nieprawdopodobne ilości tych rzeczy w czasach, gdy przemysłowali nad rozpoczęciem wojny lądowej z Sowietami.

Strażnicy przypominają znanych z telewizji niedowarzonych partyzantów z krajów Trzeciego Świata. Przy jednym z kanałów Hiro zauważa strażnika z pojedynczą anteną wyrastającą mu prosto z głowy.

Po kilku minutach dopływają do miejsca, w którym fosa krzyżuje się z szerokim kanałem biegnącym wprost do środka Tratwy, do Jądra. Na końcu kanału widać wielkie statki. Najbliższym z nich jest nipponski kontenerowiec – niska, płaska jednostka z wysokim mostkiem, wyładowana transportowymi kontenerami. Kontenery pokrywa sieć drabinek linowych, niżej stoją dające się przesuwac schody – wszystko to ma na celu umożliwienie dotarcia do tego czy innego pojemnika. W kontenerach mieszkają ludzie – świadczą o tym palące się tu i ówdzie światła.

– Bloki mieszkalne – żartuje Tran, widząc zainteresowanie Hiro. Potem kręci głową, przewraca oczami i pociera kciukiem o końce palców, co oznacza, że jest to bardzo droga okolica.

Miła część rejsu dobiega końca, gdy zauważają kilka szybkich łodzi wynurzających się z ciemnego, zadymionego getta.

– Wietnamski gang – mówi Tran. Kładzie rękę na dłoni Hiro i delikatnie, acz stanowczo zdejmuje ją z manetki silnika.

Hiro sprawdza Wietnamczyków na radarze. Kilku z nich ma małe kałasznikowy, ale większość uzbrojona jest w noże i pistolety, spodziewając się zapewne walki wręcz. Ci w łodziach to peoni. Ich bossowie stoją na brzegu getta i paląc, obserwują przebieg wydarzeń. Paru z nich ma anteny na głowach.

Tran dodaje gazu, skręca do niezbyt zatłoczonego getta składającego się z luźno powiązanych arabskich kryp i manewruje w kanałach i zaułkach, od czasu do czasu kładąc rękę na głowie Hiro i zmuszając go do jej schowania, co ma uchronić go przed nisko zawieszonymi linami.

Gdy wypływają spośród kryp, Wietnamczyków nie ma już z nimi. Za dnia śledziliby ich, płynąc tropem wymiennika ciepła Rozumu. Tran skręca w średniej szerokości kanał i wpływa w zbite ciasno kutry rybackie. Kutry otaczają stary trawler, który jest właśnie cięty na żyłki. Refleksy acetylenowych palników odbijają się w czarnej toni. Większość pracy wykonywana jest jednak przy pomocy młotów i łomów dudniących głucho w całej okolicy.

– Dom – mówi Tran z uśmiechem na ustach. Pokazuje palcem kilka łodzi mieszkalnych powiązanych razem. Na łodziach palą się jeszcze światła, na pokładach widać mężczyzn palących grube, nie wiadomo z czego zrobione cygara. Kobiety są w środku i zajmują się kuchnią.

Gdy podpływają do łodzi, mężczyźni przykucają i wyciągają rewolwery zza pasów. Tran przemawia do nich radosnym strumieniem tagalog. I wszystko się zmienia.

Witają go niczym syna marnotrawnego: jest płacz, histeryczne krzyki grubawych pań, piski dzieciaków, które wyskoczyły z hamaków i podskakują w górę i w dół, ssąc brudne palce. Starsi mężczyźni, uśmiechając się, ukazują braki w uzębieniu, obserwują powitanie, kiwają głowami i od czasu do czasu ściskają Trana.

Na obrzeżach tłumu, daleko, w ciemnym zaułku rodzinnej dzielnicy Trana stoi kolejny antenogłowy.

– Pan też wejść do nas – mówi do Hiro czterdziestoletnia kobieta, która przedstawia się jako Eunice.

– Dzięki za zaproszenie – odpowiada Hiro. – Ale nie chciałbym przeszkadzać.

Jego słowa – po przetłumaczeniu – przekazywane są z ust do ust przez tłum liczący ośmiuset sześćdziesięciu sześciu Filipińczyków, którzy wylegli na powitanie Trana. Filipińczycy przyjmują je z prawdziwym zdumieniem. Przeszkadzać? Niemożliwe! Nie mógł tak powiedzieć! Chyba nie ma zamiaru nas obrazić?

Jeden z bezzębnych facetów – miniaturowy staruszek wyglądający na weterana drugiej wojny światowej – wskazuje na kołyszący się pokład zoda, łapie równowagę, jakby pół życia spędził na morzu (co jest bardzo

prawdopodobne), i obejmuje ramieniem Hiro. Z dumą wsadza sobie cygaro do ust.

Czerstwy facet – myśli Hiro i pochyla się ku niemu.

– Compadre – mówi mu wprost do ucha – kim jest ten pan z anteną? To wasz znajomy?

– Nieee – odpowiada szeptem staruszek. – To pojeb. – A potem przykłada dramatycznie palec wskazujący do ust i nakazuje ciszę.

54

Wszystko zależy od oczu. Dobry wzrok wraz z umiejętnością otwierania kajdanków, przeskakiwania przez blokady i odstraszenia zbrojczyków należy do podstawowych zalet dobrego Kuriera. Dobry wzrok pozwala poruszać się po nieznanym miejscu bez wzbudzania podejrzeń. Pozwala przemieszczać się bez zaglądania ludziom w oczy. Trzeba zawsze patrzeć przed siebie – bez względu na konsekwencje. Nie wolno otwierać oczu zbyt szeroko, bo to zdradza napięcie. Tak więc, dobry wzrok oraz to, że przyszła tu z facetem, którego wszyscy się boją, pozwala jej dotrzeć bez przeszkód do recepcji na kontenerowcu.

– Muszę skorzystać z terminalu – mówi do faceta w recepcji. – Proszę obciążyć tym rachunek za pokój.

– Dobrze, proszę pani – odpowiada recepcjonista. Nie musi pytać, który to pokój. Uśmiecha się anielsko i kłania z szacunkiem. Takie przyjęcie nie zdarza się często, gdy człowiek chodzi w uniformie Kuriera.

D.U. mogłaby przyzwyczać się do związku z Krukiem, gdyby nie to, że jej były partner jest morderczym mutantem.

55

Hiro zmywa się z powitalnego obiadu stosunkowo wcześniej, wyciąga Rozum z zoda i przenosi go na werandę mieszkalnej łodzi. Otwiera walizkę i podłącza swój osobisty komputer do biosa Rozumu.

Rozum startuje bez najmniejszego problemu, jak można się było spodziewać. Z drugiej strony, można się spodziewać, że później – w najmniej sposobnym momencie – Rozum znów się zawiesi, tak jak zrobił to Rybiookiemu. Można, rzecz jasna, wyłączyć go i włączyć, ale nie jest to zbyt poręczne – szczególnie w ogniu walki – a w dodatku rozwiązanie tego rodzaju nie przystoi hakerowi. Bardziej sensowne wydaje się naprawienie Rozumu.

Hiro mógłby to zrobić, gdyby miał czas. Ponieważ go nie ma, musi obejść ten problem. Wielce prawdopodobne jest, że Zakłady Przemysłu Obronnego Nga natknęły się już na błąd w systemie operacyjnym i naprawiły go we własnym zakresie, innymi słowy, wypuściły nową wersję oprogramowania. Jeśli tak jest w istocie, należy je ściągnąć, co można zrobić z Ulicy.

Hiro pojawia się w swoim biurze. Bibliotekarz wsuwa głowę przez drzwi na wypadek, gdyby Hiro go potrzebował.

– Co znaczy *ultima ratio regum?* – pyta Hiro.

– „Ostatni argument królów” – mówi Bibliotekarz. – Król Ludwik XIV kazał odlewać ten napis na lufach swoich armat.

Hiro wstaje i wychodzi do ogrodu. Motocykl czeka na niego na wyźwirowanej dróżce prowadzącej do bramy. Za ogrodzeniem widać światła Śródmieścia migoczące w oddali. Komputerowi udało się połączyć z globalną siecią L. Boba Rife'a. Hiro znów ma dostęp do Ulicy. Spodziewał się tego. Z pewnością na „Enterprise” Rife zamontował cały arsenał łączy satelitarnych obsługujących sieć telefonii komórkowej na Tratwie. Inaczej sam nie mógłby się połączyć z Metawersem ze swej oceanicznej fortecy, a to dla człowieka zawiadującego medialnym molochem byłoby niedopuszczalne.

Hiro wskakuje na motocykl, wyjeżdża poza posiadłość i zmierza ku Ulicy. Przyśpiesza do trzystu mil na godzinę, robiąc dla wprawy slalom między słupami jednotorówki. W końcu wpada na jeden i staje w miejscu. Wyszedł z wprawy.

Zakłady Przemysłu Obronnego Nga zajmują całe piętro wysokiego na milę, neonowego wieżowca, który stoi obok Portu 1, w samym środku centrum. Biuro – jak wszystkie inne w Metawersie – jest czynne przez całą dobę, bo zawsze znajdzie się ktoś z odległej części świata, kto prowadzi nocą interesy. Hiro zostawia motocykl na Ulicy, wjeżdża windą na 397 piętro i staje twarzą w twarz z demonem recepcjonistki. Przez chwilę nie może połapać się, jaką rasę reprezentuje demon, by w końcu dojść do wniosku, że jest skrzyżowaniem rasy czarnej z żółtą, zupełnie tak jak on. Gdyby z windy wysiadł biały, demon byłby blondynką. Biznesmen z Nipponu natknąłby się na gejszę... Ng zadbał o wszystko.

– Słucham pana – mówi recepcjonistka. – Odwiedza nas pan w sprawie zakupu jednego z naszych produktów, czy chodzi o usługę serwisową?

– O usługę serwisową.
– Kogo pan reprezentuje?
– Kogo chcesz. Pracuję dla wszystkich.
– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Demon recepcjonistki – podobnie jak jego ludzkie odpowiedniczki – nie bardzo daje sobie radę z ironią.

– W tej chwili pracuję chyba dla Centralnej Korporacji Wywiadowczej, Mafii i Wielkiego Hongkongu Pana Lee.

– Rozumiem – mówi recepcjonistka, zapisując coś w notatniku. Trudno jej zaimponować, jak wszystkim recepcjonistkom. – Jakiego produktu ma dotyczyć usługa?

– Rozumu.

– Sir! Witamy w Zakładach Przemysłu Obronnego Nga – mówi niespodziewanie inny głos.

Głos należy do innego demona, atrakcyjnej czarno-żółtej kobiety ubranej w przepisowy kostium. Ta wychyłała przed chwilą gdzieś z głębi biura.

Prowadzi Hiro długim, wybitym elegancką boazerią korytarzem, a potem następnym, podobnym do pierwszego. Co kilkanaście kroków mijają otwarte sale recepcyjne, w których siedzą awatary z całego świata, nudząc się na wygodnych fotelach. Hiro nie ma czasu do stracenia. Kobieta wprowadza go do obszernego, wybitego boazerią biura, w którym siedzi jakiś Azjata, bawiąc się modelami helikopterów stojącymi na blacie biurka. Zdaje się, że to pan Ng we własnej osobie. Ng wstaje. Wymieniają ukłony. Przewodniczka wychodzi.

– Pracuje pan z Rybiookim? – pyta Ng, zapalając cygaro. Dym unosi się majestatycznie w powietrzu. Realistyczne oddanie dymu wydmuchiwanego przez Nga wymaga takiej samej mocy obliczeniowej jak wymodelowanie systemu pogodowego dla całej planety.

– Rybiooki nie żyje – odpowiada Hiro. – Rozum zawiesił się w krytycznym momencie, a Rybiooki połknął harpun.

Na rozmówcy Hiro nie robi to najmniejszego wrażenia. Siedzi, delektując się cygarem i (prawdopodobnie) absorbując dane, jakby codziennie miał klientów, którzy giną od harpuna. Pan Ng ma gdzieś ukrytą potężną bazę danych wszystkich klientów korzystających z jego zabawek i ich dalszych losów.

– Mówiłem mu, że to wersja beta – oznajmia w końcu. – Przestrzegłem także przed używaniem Rozumu na ograniczonej przestrzeni. Tam, gdzie zazwyczaj przydaje się nóż sprężynowy.

– Rozumiem. Ale Rybiooki był, zdaje się, zafascynowany tą bronią.

Ng wydmuchuje dym. Myśli.

– Już w Wietnamie przekonaliśmy się, że broń szybkostrzelna oddziałuje na zmysły w sposób zbliżony do środków psychoaktywnych. Zupełnie jak LSD, które przekonuje ludzi, że potrafią latać, i każe im skakać z okien. Tak, broń tego rodzaju sprawia, że ludzie nabierają niczym nie uzasadnionej pewności siebie. A to z kolei wpływa negatywnie na ich osąd taktyczny. Czego ilustracją jest casus Rybiookiego.

– Zapamiętam tę lekcję – mówi Hiro.

– W jakim środowisku bitewnym ma pan zamiar używać Rozumu?

– Jutro rano chcę zdjąć lotniskowiec.

– „Enterprise”?

– Tak.

– Słyszał pan – mówi Ng, który bez wątpienia jest w nastroju do rozmów – o człowieku, który zawładnął atomową łodzią podwodną uzbrojony jedynie w kawałek szkła?

– Owszem. Ten sam człowiek zabił Rybiookiego. Niewykluczone, że będę musiał stawić mu czoła.

Ng wybucha śmiechem.

– Jaki jest pański ostateczny cel? Siedzimy w tym razem, więc z chęcią dowiem się, o co panu chodzi.

– Wolalbym zachować dyskrecję w tej materii.

– Za późno na dyskrecję, Hiro – mówi jakiś inny głos. Hiro odwraca się. Do biura pana Nga wchodzi wujek Enzo wprowadzany przez recepcjonistkę – z wyglądu Włoszkę. Kilka kroków za nim idzie nieduży, azjatycki biznesmen, prowadzony przez Azjatkę.

– Pozwoliłem sobie wezwać naszych przyjaciół po pańskim przyjściu, Hiro – mówi Ng. – Musimy odbyć naradę wojenną.

– Miło mi cię poznać – mówi wujek Enzo, kłaniając się Hiro.

Hiro odpowiada na ukłon.

– Sir... Przykro mi z powodu tego auta...

– To stare, zapomniane dzieje – mówi z uśmiechem mafioso i odwraca się w stronę Azjaty.

Hiro w końcu poznaje ostatniego przybysza. Jego zdjęcie zdobi ściany każdego Wielkiego Hongkongu na świecie. To pan Lee we własnej osobie.

Ukłony, wymiany uprzejmości. W biurze pojawiają się nagle nowe krzesła. Przybyli zajmują miejsca. Ng wychodzi zza biurka i siada naprzeciw, zamykając koło.

– Przejdźmy zatem do rzeczy – zaczyna wujek Enzo. – Zakładam, że twoja sytuacja, Hiro, jest o wiele

bardziej skomplikowana niż ta, w której my się znajdujemy, więc nie marnotrawmy czasu.

– Słusznie pan to ujął – mówi Hiro.

– Jednak najpierw chcielibyśmy dowiedzieć się, co tam się, do cholery, dzieje – mówi pan Lee. Jego angielszczyzna jest pozbawiona chińskich naleciałości, wbrew temu, co propaguje jego wizerunek publiczny.

– Ile zatem wiecie, panowie? – pyta Hiro.

– Docierają do nas strzępy informacji – mówi wujek Enzo. – Rozumiem, że rozgryzłeś całą tę sprawę...

– Niemal całą – odpowiada Hiro. – Pozostałe wątki sprawy wyjaśnił się po moim spotkaniu z Juanitą.

– Posiadasz zatem bardzo cenne dane wywiadowcze – stwierdza wujek Enzo. Sięga do kieszeni i wyciąga z niej hiperkartę, którą podaje Hiro. Widnieje na niej napis:

DWADZIEŚCIA PIĘĆ MILIONÓW
DOLARÓW
HONGKONSKICH

Hiro odbiera kartę.

Gdzieś w sieci dwa komputery wymieniają strumień danych i pieniądze przechodzą z konta Mafii na konto Hiro Protagonisty.

– Pamiętaj o części, która przypada D.U. – mówi wujek Enzo.

Hiro kiwa głową. Na pewno o tym nie zapomni.

56

– Jestem na Tratwie po to, żeby znaleźć pewien program... a raczej lekarstwo... stworzone przed pięcioma tysiącami lat przez sumeryjskiego hakera znanego jako Enki... neurolingwistycznego hakera.

– Co to znaczy? – pyta zafrasowany pan Lee.

– Chodzi panu o neurolingwistycznego hakera? No cóż, Enki potrafił programować ludzkie umysły przy pomocy strumieni danych werbalnych nazywanych *nam-shub*.

Nga jakby zamurowało. Siedzi nieruchomo z otwartymi ustami, z których wydobywa się strużka dymu rozplywająca się pod sufitem.

– Jaki jest mechanizm owych *nam-shub*?

– Mamy w głowach dwa rodzaje języka. Ten, którym posługujemy się na co dzień, jest językiem nabytym. Odwzorowującym się w naszym mózgu w trakcie procesu nauki. Ale istnieje jeszcze język, z którym przychodzimy na świat, ukryty w głębokiej strukturze mózgu i wspólny dla wszystkich ludzi. Głębokie struktury są podstawowymi połączeniami sieci neuronów, istniejącymi po to, byśmy mogli nauczyć się języka nabytego.

– Taka językowa infrastruktura – dodaje wujek Enzo.

– Tak. To chyba jedno i to samo. W każdym razie, w odpowiednich warunkach można dotrzeć do owych ukrytych pokładów mózgu. Skutkiem takiego procesu może być glosolalia... mówienie językami. Głębokie struktury lingwistyczne podczepiają się wówczas pod nabyty język i dochodzą do głosu, omijając lub eliminując język wyższy, wyuczony. Fenomen ten znany jest od bardzo dawna.

– Jeśli jest skutek, musi być przyczyna... – rzuca Ng.

– Jest. Proces, jeśli pominać jego samoczynne wzbudzenie spowodowane choćby urazami, zachodzi także w drugą stronę i może być indukowany. W odpowiednich warunkach nasze uszy... lub oczy... mogą trafić na strukturę głęboką i podczepić się pod nią, omijając lub eliminując wyższe funkcje językowe. Oznacza to, że ktoś, kto zna odpowiednie słowa... albo symbole wizualne... kiedyś mówiono na to zaklęcia albo *nam-shub*... może wykorzystać je, by obejść nasze wyższe funkcje językowe, nasz system obronny, i trafić wprost do głębokich struktur mózgu. Człowiek ów postępuje jak haker włamujący się do systemu komputerowego, omijający zabezpieczenia i podłączający się do jądra systemu, co daje mu całkowitą kontrolę nad maszyną.

– W takiej sytuacji ludzie, do których należy komputer, są bezradni – mówi Ng.

– Niestety. Bo mają dostęp do maszyny z wyższego poziomu, który został wyeliminowany. Podobnie rzecz się ma z hakerem neurolingwistycznym, który, gdy już dostanie się do struktury głębokiej mózgu, zaczyna zawiadywać całością, a co gorsza, nie można się go pozbyć, bo w normalnych warunkach nie potrafimy sterować mózgiem z tak niskiego poziomu.

– Jaki to ma związek z glinianą tabliczką znajdującą się na pokładzie „Enterprise”? – pyta pan Lee.

– Zaraz do tego dojdziemy. Język struktury głębokiej wspólny wszystkim ludziom, nazwijmy go językiem podstawowym, jest niszą, w której przetrwały wcześniejsze fazy naszego rozwoju społecznego. Pierwotne społeczności ludzkie kierowały się prostymi, werbalnymi regułami, które nazywano *me*. Owe *me* były algorytmami, małymi programami dla ludzi. Stanowiły niezbędny element na drodze z jaskiń do zorganizowanej społeczności rolniczej. Wśród reguł *me* znajdował się na przykład program orania i sadzenia w odpowiedniej porze roku. Inny program był algorytmem pieczenia chleba, jeszcze inny – budowy domu. Istniały także reguły *me* o większym stopniu złożoności, dotyczące prowadzenia wojen, dyplomacji czy praktyk religijnych. Wszystkie umiejętności niezbędne do przetrwania samowystarczalnej kultury znajdowały się w *me*, spisane na tabliczkach lub przekazywane w formie ustnej. Jeśli *me* miało postać uprzedmiotowioną, przechowywano je najczęściej w świątyni... bazie danych *me*... nad którą pieczę sprawował król-kapłan nazywany *en*. Kiedy ktoś chciał upiec chleb, a nie wiedział, jak to zrobić, szedł do *en* albo jednego z jego podwładnych i łądował algorytm pieczenia chleba ze świątyni. Potem wykonywał instrukcje... jak kto woli – program... a po skończeniu miał przed sobą świeży bochen chleba. Oczywiście, jest to najprostszy przykład, ale ilustruje zasadę. To samo dotyczyło wojen, dyplomacji i praktyk religijnych.

– Centralna baza danych była potrzebna z wielu różnych przyczyn. Jedną z nich było wykonywanie *me* w odpowiednim czasie. Gdyby ludzie wykonywali algorytm orania i siania o nieodpowiedniej porze, nie byłoby zbiorów i wszyscy pomarliby z głodu. Jedynym sposobem na wykonywanie *me* w odpowiednich porach było znalezienie powtarzalnego i niezmiennego systemu odniesienia. Systemem takim były gwiazdy, które obserwowano ze specjalnie wzniesionych w tym celu budowli. Sumerowie budowali wieże „sięgające nieba”, pokryte astronomicznymi diagramami. *En* przyglądał się gwiazdom i w odpowiedniej porze roku uruchamiał *me* orania i siania dla dobra całej społeczności.

– Wydaje mi się, że trafiłeś na problem z gatunku: „Co było pierwsze: kura czy jajo”? – mówi wujek Enzo. – W jaki sposób wytłumaczysz powstanie tak zorganizowanej społeczności?

– W informatyce istnieje pojęcie „metawirusa”, mówiące o samoinfekcji systemów informatycznych własnymi wirusami. Być może w podobny sposób działa natura, być może jest to jedna z jej podstawowych zasad, tak jak zasada doboru naturalnego Darwina... A może informacje tego rodzaju, jakieś odwieczne *me*, płyną we wszechświecie i przenoszą się z miejsca na miejsce na kometach albo z falami radiowymi... nie wiem. Ja w każdym razie opowiadam się za teorią metawirusa, której definicja brzmi mniej więcej tak: „Każdy system informatyczny o odpowiednio dużej złożoności infekuje się wirusami generowanymi przez sam system”.

– Kiedyś... w odległej przeszłości... jakiś metawirus zainfekował rasę ludzką i towarzyszy nam od tamtej pory. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było otwarcie puszkę Pandory z wirusami DNA: wirusami ospy, grypy i tak dalej... Zdrowie i długowieczność minęły bezpowrotnie. Odległym wspomnieniem tego wydarzenia jest uniwersalny mit o upadku człowieka lub o wygnaniu z raju, mówiący o końcu łatwego życia i początku życia w chorobach i bólu.

– Plagi zapoczątkowane przez ów wirus osiągnęły z czasem stały, wysoki poziom. Dziś także powstają nowe wirusy DNA, ale nasz organizm nauczył się je zwalczać, inaczej mówiąc, jesteśmy odporni na większość tego rodzaju wirusów.

– Może istnieje z góry określona liczba wirusów działających w ludzkim DNA – wtrąca Ng – i metawirus wyczerpał już wszystkie możliwości?

– Być może, choć bardzo w to wątpię. W każdym razie, kultura sumeryjska... społeczność działająca na podstawie reguł *me*... stanowi kolejny przejaw aktywności metawirusa. Jednak w tym przypadku wirus zaatakował głębokie struktury mózgu, a nie DNA.

– Przepraszam – mówi pan Lee. – Jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pan, że cywilizacja powstała na skutek infekcji, czy tak?

– Tak, cywilizacja w swej pierwotnej formie. Każde *me* było swoistym wirusem powołanym do życia przez metawirusa. Weźmy dla przykładu *me* pieczenia chleba. Po jego powstaniu społeczność zdobyła nowe możliwości przetrwania i tu zasada metawirusa jest doskonale skorelowana z prawem doboru naturalnego: ludzie, którzy wiedzieli, jak upiec chleb, żyli lepiej i dłużej od tych, którzy nie wiedzieli, przez co wydawali na świat więcej potomstwa. Dodajmy: potomstwa zainfekowanego *me* pieczenia chleba; potomstwa, które było nosicielem wirusa w postaci samopowtarzalnej informacji, co zresztą jest jednym i tym samym. Kultura sumeryjska, ze świątyniami pełnymi *me*, była zbiorowiskiem wirusów, którym się powiodło i które nagromadziły się przez tysiąclecia. Sumerowie prowadzili franszulat metawirusa, z tym, że zamiast barów, mieli zigguraty, a zamiast podręczników użytkownika – gliniane tabliczki.

– Sumeryjskie słowo oznaczające „umysł” lub „mądrość” brzmi tak samo jak słowo oznaczające „ucho”. Co z tego wynika? To mianowicie, że Sumerowie mieli zamiast głów uszy, byli biernymi odbiorcami informacji. I wtedy pojawił się Enki. Enki był inny. Nie był zwykłym *en* jak jego poprzednicy, bowiem posiadał zdumiewającą umiejętność pisania nowych *me*. Enki był hakerem! A poza tym był pierwszym człowiekiem o pełnej świadomości, pierwszą współczesną istotą ludzką, zupełnie taką jak my.

– W którymś momencie Enki zdał sobie sprawę, że Sumerowie znajdują się w ślepym zaułku. Ludzie

wykonywali te same stare *me* i nic się nie zmieniało, ludzie przestali myśleć. Podejrzewam, że czuł się bardzo samotny, będąc jednym z niewielu... a może jedynym... świadomym człowiekiem na ziemi. Enki doszedł do wniosku, że jeśli ludzkość ma przetrwać, musi wyzwolić się z okowów wirusowej cywilizacji.

– Stworzył swoje *nam-shub*, *nam-shub* Enki, będące antywirusem rozprzestrzeniającym się tymi samymi drogami co *me* i metawirus. *Nam-shub* Enki trafiał do głębokiej struktury mózgu i przeprogramowywał ją. Od tamtej pory nikt już nie rozumiał sumeryjskiego ani żadnego języka podstawowego wywodzącego się ze struktury głębokiej. Ludzie, odcięci od wspólnego pnia, zaczęli tworzyć nowe języki, które nie miały ze sobą już nic wspólnego. Stare *me* przestało działać, a nikt nie mógł napisać nowego. Zablokowało się dalsze przenoszenie metawirusa.

– Dlaczego rasa ludzka nie wymarła? – pyta wujek Enzo. – Przecież nikt już nie wiedział, jak upiec chleb?

– Niektórzy wiedzieli. Inni musieli wykombinować to sami i zaczęli używać wyższych funkcji mózgu. W pewnym sensie *nam-shub* Enki wyzwolił rasę ludzką, dając jej świadomość; ludzie po raz pierwszy musieli myśleć na własną rękę. W tym czasie powstały także pierwsze racjonalne religie. Ludzie zaczęli rozmyślać o takich abstrakcyjnych pojęciach jak Bóg, Dobro i Zło. Z tamtego okresu pochodzi słowo Babel, które dosłownie oznacza „Bramę Boga”. Przez tę bramę Bóg dotarł do ludzi. Babel jest bramą w naszych umysłach, bramą otwartą dzięki *nam-shub* Enki, który wyzwolił nas od metawirusa i dał nam umiejętność myślenia; przeniósł nas z jednorodnego świata materialistycznego w świat dualistyczny, binarny, obejmujący to, co fizyczne, i to, co duchowe.

– Początkowo na ziemi panował chaos i zamęt. Enki i jego syn Marduk próbowali zaprowadzić porządek, zastępując stary system *me* zbiorem praw – kodeksem Hammurabiego. Odnieśli częściowy sukces. Ale metawirus nie dał za wygraną i objawił się pod postacią kultu Asherah, który trwał w wielu miejscach. Był to niezwykle uporczywy kult, cofający ludzkość do czasów sumeryjskich, rozprzestrzeniający się zarówno w postaci werbalnej, jak i biologicznej: przez wymianę płynów cielesnych. Odpowiadały za to kultowe prostytutki. Wierni adoptowali sieroty i karmili je mlekiem zainfekowanych kobiet...

– Zaraz, zaraz... – przerywa mu Ng. – Czy to znaczy, że metawirus miał zawsze dwie postaci: lingwistyczną i biologiczną?

– Dokładnie tak. Na tym polega cały jego sens. Atakuje i tu, i tu: umysł i ciało. Jest podobny do wirusa opryszczki. Wirus ten, wnikając do ciała, zmierza wprost do systemu nerwowego. Niektóre szczepy zatrzymują się na jego obrzeżach, inne wnikają wprost do centralnego systemu nerwowego i zamieszkują na stałe w komórkach mózgu, oplatając jego rdzeń jak wąż wijący się wokół drzewa. Wirus Asherah, spokrewniony z wirusem opryszczki, a kto wie, czy nie będący jednym i tym samym, przechodzi przez ściany komórki, trafia do jądra i zmienia komórkowe DNA, podobnie jak robią to sterydy. Wirus, rzecz jasna, jest znacznie bardziej złożony od sterydów.

– A kiedy już zmieni DNA, co z tego wynika?

– Nikt tego nie badał, poza, być może, L. Bobem Rife'em. Z pewnością wirus wydobywa z głębokiej struktury mózgu język podstawowy i przenosi go na powierzchnię. Ludzie zaczynają mówić językami, a raczej wspólnym językiem podstawowym, i stają się bardziej podatni na działanie *me*. Podejrzewam, że pobudza także do irracjonalnych zachowań, obniża krytycyzm, przez co zainfekowany staje się bardziej podatny na różne chore idee. Być może wzmacnia również popęd płciowy, co w sumie tworzy z istoty ludzkiej łatwego do manipulowania robota.

– Uważasz, że wszystkie chore idee mają swoje biologiczne, wirusowe odpowiedniki? – pyta wujek Enzo.

– Nie. Dotyczy to tylko Asherah. Zresztą nie wiem... Ale kult Asherah wydaje mi się nadzwyczaj żywotny, jest chyba jedynym *me*, jakie przetrwało od czasów sumeryjskich. Od tamtej pory na świecie pojawiło się wiele chorych pomysłów: faszyzm, spodnie dzwony, podkoszulki z Bartem Simpsonem... i żaden nie przetrwał. A kult Asherah ma się świetnie. Prawdopodobnie dlatego, że jego biologiczny aspekt trwa w uśpieniu w naszych ciałach. Po wyzwoleniu przez Enki i po otwarciu „Bramy Boga” nikt nie zajmował się biologicznym wirusem, który przetrwał przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– Wszyscy jesteśmy podatni na chore idee. Z nimi jest tak samo jak z masową histerią albo z przebojami, które nucimy przez cały dzień, zakażając nimi kolejne osoby. Dotyczy to także kawałów o blondynkach, miejskich legend, wiary w horoskopy i marksizmu. Bez względu na to, jak jesteśmy mądrzy, zawsze mamy w sobie ukrytą głęboko potrzebę irracjonalności, która czyni z nas potencjalne ofiary samopowtarzających się informacji. Kontakt ze złośliwym szczepem wirusa Asherah sprawia, że stajemy się jeszcze bardziej podatni na głupstwa. Jedynym czynnikiem, który zapobiega zbiorowemu szaleństwu świata, jest Babel... pozostałość po *nam-shub* Enki... ogólne niezrozumienie dzielące świat na rasy, narody, grupy, przeciwdziałające rozprzestrzenianiu się wirusa.

– Babel doprowadził do językowej eksplozji, którą zaplanował Enki. Monokultury, tak jak pola pszenicy, podatne są na infekcje, natomiast kultury genetycznie zróżnicowane, jak na przykład preria, są niezwykle żywotne. Po kilku tysiącach lat wśród języków ziemi pojawił się hebrajski – język o wyjątkowej

elastyczności i mocy. Pierwszymi, którzy w pełni wykorzystali jego zalety, byli autorzy Pięcioksięgu, Deutronomiści – grupa radykalnych monoteistów z szóstego i siódmego wieku przed Chrystusem. Żyli w czasach niezwykle nasilenia nacjonalizmu i ksenofobii, dlatego tym łatwiej przyszło im odrzucić obce idee, takie jak kult Asherah. Deutronomiści nadali formę starym mitom i legendom, i zapisali je w Torze – dziele, do którego dołączyli prawo zapewniające jego przetrwanie przez kolejne pokolenia. Prawo to brzmiało mniej więcej tak: „Sporządź moją dokładną kopię i czytaj mnie każdego dnia”. Deutronomiści propagowali coś w rodzaju higieny informacyjnej, zachęcali do dokładnego kopiowania oryginałów i przywiązywali dużą wagę do jakości informacji, która – jak twierdzili – może stać się niebezpieczna. Uczynili z danych substancję kontrolowaną. – Niewykluczone, że posunęli się jeszcze dalej. Istnieją dowody na to, że prowadzili starannie przygotowaną wojnę biologiczną przeciwko armii Sancheryba oblegającego Jerozolimę. Deutronomiści mogli mieć własne *me*. A może po prostu znali się na wirusach i wiedzieli, jak wykorzystać szczepy pojawiające się w naturze. Umiejętności kultywowane przez tych ludzi były przekazywane potajemnie przez pokolenia i po dwóch tysiącach lat pojawiły się w Europie jako wiedza tajemna kabalistów nazywanych *ba'al shem* – „panami boskiego imienia”. – Tak wyglądały początki racjonalnej religii. Wszystkie późniejsze wierzenia monoteistyczne – nazywane słusznie przez muzułmanów „religiami księgi” – w mniejszym lub większym stopniu odwoływały się do tego źródła. W Koranie powtarza się bez przerwy, że czytana przez wiernych księga jest jedynie kopią, dokładną kopią księgi znajdującej się w niebie. Każdy, kto w to wierzy, nie ośmielił się zmienić w księdze choćby przecinka! Tego rodzaju idee tak skutecznie zapobiegały szerzeniu się kultu Asherah, że w końcu każdy zakątek ziemi, na którym uprawiano niegdyś kult wirusa... od Indii po Hiszpanię... znalazł się we władaniu islamu, judaizmu lub chrześcijaństwa.

– Ale wirus trwał... uśpiony... owinięty wokół rdzenia nosicieli... przekazywany z pokolenia na pokolenie... i prędzej czy później znajdował sposób, by się uaktywnić. W judaizmie znalazł podatny grunt wśród faryzeuszów – legalistycznych teokratów, którzy narzucili Hebrajczykom sztywne prawa. Teokracja faryzejska, przechowująca prawa w świątyni, pod nadzorem kapłanów obdarzonych sporym zakresem władzy, przypominała stary system sumeryjski i była równie nieznośna.

– I wtedy pojawił się Jezus, którego nauczanie było próbą wyrwania judaizmu spod wpływu teokracji. Jezus zamierzał uczynić to, co wcześniej uczynił Enki. Jego ewangelia jest nowym *nam-shub*, który wyprowadzał religię ze świątyni, odbierał ją z rąk kapłanów i przybliżał Królestwo Boże wiernym. Tak brzmi przesłanie wszystkich kazań Chrystusa, tak brzmi przesłanie symbolizowane przez pusty grób. Po ukrzyżowaniu apostołowie stanęli przed grobem Jezusa, chcąc ujrzyć jego ciało, ale niczego nie znaleźli. Cóż to oznaczało? Jezus powiedział im: „Nie wolno mnie ubóstwiać, moje nauki mówią same za siebie, mój kościół nie należy do jednej osoby, mój kościół tworzą wszyscy”.

– Ludzie przyzwyczajeni do sztywnej teokracji faryzeuszów nie bardzo wiedzieli, co zrobić z ideą ludowego, nie zhierarchizowanego kościoła. Potrzebowali papieżów i biskupów, dlatego w ewangelii znalazła się legenda o Zmartwychwstaniu. Przesłanie Chrystusa zmieniono w bałwochwalczą religię. W nowej wersji ewangelii Jezus wraca na ziemię i zakłada kościół, który później stał się kościołem Wschodniego i Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego – kolejną sztywną, brutalną i irracjonalną teokracją.

– W tym samym czasie powstał kościół Zielonoświątkowców. Pierwsi chrześcijanie mówili językami. W Biblii napisane jest: „Zdumieli się wtedy wszyscy i będąc w niepewności, mówili jeden do drugiego: Cóż to może znaczyć?” Wydaje mi się, że mogę odpowiedzieć na to pytanie. Była to epidemia. Masowe zarażenie wirusem. Pamiętajmy, że Asherah nigdy na dobre nie została pokonana, jej kult czaił się, to wznosił, to przygasał od czasów Deutronomistów. Nie zdołał podnieść głowy dzięki informacyjnej higienie praktykowanej przez Żydów. Ale we wczesnych dniach chrześcijaństwa znów powstał chaos, wszędzie roilo się od radykałów i wolnomyślicieli opluwających tradycję. Był to powrót religijności preracjonalnej, takiej jak w czasach sumeryjskich. Niewiele było trzeba, by wszyscy zaczęli mówić do siebie językiem Edenu.

– Kościół ortodoksyjny nigdy nie zaakceptował tych, którzy mówili prajęzykiem. Przez kilka pierwszych stuleci istnienia chrześcijaństwa patrzył na nich krzywo, by w końcu w 381 roku wykląć ich na soborze w Konstantynopolu. Kult jednak trwał na obrzeżach chrześcijaństwa. Kościół był gotów zaakceptować ksenogłosję – mówienie językami – jeśli tylko służyło to nawracaniu pogan, tak jak w przypadku św. Ludwika Bertranda, który w XVI wieku nawrócił tysiące Indian, rozprzestrzeniając w Ameryce glosolalię szybciej niż ospę. Po nawróceniu wymagano od Indian, by zamknęli buzie i mówili po łacinie, jak wszyscy porządni chrześcijanie.

– Reformacja uchyliła zielonoświątkowcom drzwi kościołów. Ale ich kult wystartował na dobre dopiero w 1900 roku, kiedy grupka studentów kolegium biblijnego z Kansas zaczęła mówić językami. Praktyka ta przeniosła się do Teksasu, gdzie nazwano ją „ruchem odnowy”. Ruch rozprzestrzenił się jak pożar, ogarniając całe Stany Zjednoczone, a potem cały świat. Już w 1906 był znany w Indiach i Chinach. Dwudziestowieczne mass media, łatwy dostęp do książek i szybkie środki transportu stanowiły idealne kanały przerzutowe zarazy. W wypełnionych do granic salkach katechetycznych czy w obozach dla uchodźców w Afryce i Azji, glosolalia przenosiła się z osoby na osobę z szybkością huraganu. W latach

osiemdziesiątych XX wieku liczba zielonoświątkowców na całym świecie sięgała dziesiątków milionów.

– W końcu pojawiła się telewizja i Wielebny Wayne, wspomagany potęgą medialną L. Boba Rife’a. Zachowania promowane przez Wielebnego w programach telewizyjnych, broszurach i franszulatach są identyczne z tymi, jakie widzimy u zielonoświątkowców wczesnego chrześcijaństwa i w pogańskich kultach prajęzykowych. Kult Asherah żyje. Perłowe Wrota Wielebnego Wayne’a to kult Asherah.

57

– Wszystko to wykombinował Lagos. Lagos był najpierw archiwistą w Bibliotece Kongresu, a później – po wchłonięciu Biblioteki przez CKW – pracownikiem firmy. Zarabiał na życie, wyszukując ciekawe rzeczy w Bibliotece – fakty, do których nikomu nie chciało się dotrzeć. Lagos organizował te fakty i sprzedawał je różnym ludziom. Gdy opracował bibliotekę Enki-Asherah, zaczął się rozglądać za kimś, kto mógłby mu za nią zapłacić, i zdecydował się na L. Boba Rife’a, Pana Eteru, właściciela monopolu światłowodowego, który w tamtym okresie zatrudniał więcej programistów niż ktokolwiek inny na świecie.

– Lagos – co jest typowe dla laików w świecie interesów – miał pewną wadę: był minimalistą. Doszedł do wniosku, że przy pomocy niewielkiego kapitału ów neurolingwistyczny haking uda się przetworzyć w nową technologię, która umożliwi Rife’owi pełną kontrolę nad informacjami znajdującymi się w mózgach jego pracowników. Co, pomijawszy stronę moralną przedsięwzięcia, nie było wcale głupim pomysłem.

– Rife natomiast uwielbia myśleć w skali makro. Natychmiast pojął, że w pomysłu Lagosa kryje się niewyobrażalny potencjał. Przywłaszczył sobie pomysł, a Lagosowi kazał spadać. Realizację swoich planów rozpoczął od dofinansowania dużymi sumami pieniędzy kościołów zielonoświątkowych. Przejął mały kościół w Bayview w Teksasie i wybudował tam uniwersytet. Wyszukał podłego kaznodzieję, wielebnego Wayne’a Bedforda, i zrobił z niego instytucję ważniejszą od papieża. Założył na całym świecie sieć samowystarczalnych religijnych franszulatów i przy ich pomocy oraz dzięki uniwersytetowi i metawersowemu kolegium, wykształcił dziesiątki tysięcy misjonarzy, którzy rozbiegli się po Trzecim Świecie i zaczęli nawracać ludzi setkami tysięcy, tak jak wcześniej robił to św. Ludwik Bertrand. Glosolalijny kult L. Boba Rife’a jest najpopularniejszą religią na świecie od czasów powstania islamu. Wierni Rife’a i Wayne’a dużo mówią o Jezusie, ale ich kościół – podobnie jak wiele innych zgromadzeń obwołujących się chrześcijańskimi – nie ma nic wspólnego z nauką Chrystusa, poza, rzecz jasna, nazwą. Jest to religia postracjonalna.

– Rife chciał także zająć się rozprzestrzenianiem wirusa biologicznego jako jednego z elementów kultu, ale nie mógł skorzystać ze starego, wypróbowanego sposobu religijnej prostytucji, jako że ta jest jawnie sprzeczna z doktryną chrześcijaństwa. Wymyślił inny sposób: w krajach Trzeciego Świata misjonarze prowadzili akcję szczepień profilaktycznych i, jak można przypuszczać, w zastrzykach były nie tylko szczepionki.

– Tu, w Ameryce, wszyscy już byli szczepieni, a ludzie na ogół nie pozwalają fanatykom religijnym kłuć się igłami. Natomiast wielu Amerykanów kłuje się igłami z własnej woli, biorąc narkotyki. Dla nas Rife wymyślił więc narkotyk zawierający wirus wyizolowany z surowicy ludzkiej krwi i sprzedawany w opakowaniu pod handlową nazwą Zamieci.

– Równocześnie puścił w ruch Tratwę, będącą środkiem transportu dla milionów wiernych zamieszkujących odległe rejony Azji i pragnących przenieść się do Stanów Zjednoczonych. Medialny obraz Tratwy wykreowano w taki sposób, by uczynić z niej siedlisko chaosu, miejsce pozbawione jakiegokolwiek władzy czy autorytetu, wieżę Babel, gdzie każdy mówi w obcym, nieznanym języku. Prawda jest jednak całkiem inna. Tratwa jest wysoce zorganizowanym przedsięwzięciem, prowadzonym żelazną ręką. Ludzie mówią do siebie językami i rozumieją się nawzajem, bo L. Bob Rife uczynił z ksenoglosji prawdziwą dziedzinę nauki.

– Steruje uchodźcami z Tratwy, wszczepiając im pod czaszkę odbiorniki radiowe. W ten sposób instrukcje Rife’a – jego *me* – trafiają bezpośrednio do rdzenia tych nieszczęśników. Wystarczy jedna osoba z odbiornikiem na stu uchodźców; człowiek ten spełnia rolę lokalnego *en* przekazującego *me* Rife’a innym. Wszyscy wypełniają polecenia Boba, jakby ich zaprogramowano. W tej chwili około miliona tych ludzi zmierza ku wybrzeżu Kalifornii.

– Rife dysponuje również cyfrowym metawirusem zapisanym w kodzie dwójkowym, którym zaraża komputery i programistów-hakerów, działając na ich nerw oczny.

– W jaki sposób przekształcił informację genetyczną w kod dwójkowy? – pyta Ng.

– Chyba nie musiał tego robić. Przypuszczam, że znalazł wirus w kosmosie. Jest właścicielem największej sieci radioastronomicznej na świecie. Nie prowadzi przy tym prawdziwych badań astronomicznych, nasłuchuje jedynie sygnałów nadchodzących z kosmosu. Nic dziwnego, że w końcu jedna

z jego anten trafiła na metawirus...

– Jak to „nic dziwnego”?!

– Metawirus jest wszędzie. Wszędzie tam, gdzie istnieje życie, istnieje metawirus rozprzestrzeniający się dzięki niemu. Przypuszczam, że początkowo... we wczesnych etapach istnienia wszechświata... wirus rozprzestrzenił się dzięki kometom. W ten sposób trafił na Ziemię, zresztą podobnie jak samo życie. Ale komety są wolne, dlatego przeniósł się na znacznie szybsze fale radiowe. W postaci kodu binarnego wirus może przemieszczać się przez wszechświat z szybkością światła. Gdy trafia na planetę, na której istnieje zaawansowana technicznie cywilizacja, atakuje komputery, namnaża się i w sposób nieunikniony jest przekazywany dalej przez radio czy telewizję. Sygnały radiowe i telewizyjne nie zatrzymują się na krawędzi atmosfery, biegną dalej, promieniują w kosmos... bez końca... I znów, kiedy trafią na planetę o zaawansowanej technicznie cywilizacji, gdzie ludzie słuchają gwiazd, tak jak robi to Rife, przynoszą ze sobą wirus, i tak w kółko... bez końca. Zamiar Rife'a powiódł się: schwycił wirus i zamknął go w butelce. Dostał do ręki broń informatyczną, z której może korzystać wedle uznania. Wirus Rife'a, umieszczony w komputerze, prowadzi do zamieci – awarii systemu, po której komputer infekuje się nowymi wirusami. O wiele groźniejsze jest zainfekowanie wirusem programisty-hakera – osoby, która rozpoznaje kod dwójkowy i ma ową umiejętność wbudowaną w głęboką strukturę mózgu. Dwójkowy metawirus niszczy umysł hakera.

– Więc Rife może sterować dwoma rodzajami ludzi – mówi Ng. – Zielonoświątkowcami, używając *me* wbudowane w prajęzyk, i hakerami, z tym że tych ostatnich raczej niszczy przy pomocy binarnego wirusa.

– Dokładnie tak – odpowiada Hiro.

– Jak pan sądzi, co zamierza osiągnąć?

– Chce być Ozymandiaszem – królem królów. Sprawa jest prosta, panowie: po nawróceniu was na swą religię, będzie wami sterował przy pomocy *me*. A nawraca miliony ludzi, bo ten pieprzony kult roznosi się jak zaraza. Ludzie nie są na niego uodpornieni, bo odczyli się myśleć o religii i nie są na tyle racjonalni, by o niej dyskutować. W zasadzie każdy, kto czyta „National Enquirer” albo ogląda zapasy w telewizji, jest podatny na chorobę. Reszta może skorzystać z Zamieci oferowanej w dwojakiej postaci...

– Zasadniczym osiągnięciem myślowym Rife'a jest postawienie znaku równości między kulturą współczesną a sumeryjską. Na świecie istnieją olbrzymie zasoby niewykształconej i ciemnej siły roboczej, opierającej swój ogląd świata na telewizji, traktującej ją jako swoistą, mówioną tradycję. Na drugim biegunie znajduje się niewielka, wykształcona i w pełni profesjonalna elita... ludzie, którzy spotykają się w Metawersie... którzy rozumieją, że informacja jest potęgą, i którzy mogą sterować resztą dzięki na poły mistycznej umiejętności mówienia czarodziejskim językiem komputerów.

– Ludzie ci są niewątpliwie przeszkodą dla Rife'a. A z drugiej strony, Rife nie może się bez nich obejść. Nawet gdyby ich nawrócił, nie miałby z nich pożytku, bo to, co robią, jest z natury twórcze i nie może być przejęte przez ludzi wykonujących algorytmy *me*. Rife ma jednak broń w postaci Zamieci, którą może grozić opornym. W ostateczności może ją wykorzystać, co przytrafiło się mojemu kumpłowi. Da5id mógł być obiektem eksperymentu Rife'a, mógł też być ostrzeżeniem dla reszty informatycznej społeczności. Rife mówi nam: „Jeśli gniew Asherah spadnie na głowy technologicznego kapłaństwa...”

– Rusza z napalmem na poziomy! – mówi Ng.

– O ile wiem, nie ma sposobu powstrzymania binarnego wirusa. Ale istnieje antidotum na pseudoreligię Rife'a. Jest nim *nam-shub* Enki, zaklęcie, które przetrwało do naszych czasów. Enki przekazał *nam-shub* synowi, Mardukowi, ten z kolei oddał je Hammurabiemu. Nie wiadomo, czy Marduk istniał, czy nie istniał naprawdę. Rzecz w tym, że Enki postarał się, by ludzie odnieśli wrażenie, że przekazuje *nam-shub* kolejnym pokoleniom w takiej czy innej postaci. Innymi słowy, Enki zostawił wiadomość dla przyszłych pokoleń hakerów; wiadomość, którą należy odszyfrować, gdyby Asherah znów podniosła głowę.

– Mam niemal stuprocentową pewność, że informacja, której potrzebujemy, zawarta jest w glinianej kopercie wykopanej w starożytnym sumeryjskim mieście Eridu. Eridu leży obecnie w południowym Iraku, a odkrycia dokonano przed dziesięcioma laty. Eridu było stolicą Enki. Inaczej mówiąc, Enki był *en* Eridu, a tamtejsza świątynia zawierała jego *me*, w tym *nam-shub*, o który nam chodzi.

– Kto wykopał kopertę?

– Wykopaliska w Eridu były prowadzone przez naukowców z uniwersytetu Bayview w Teksasie.

– L. Bob Rife?

– We własnej osobie. Rife stworzył na uniwersytecie wydział archeologii, którego jedynym zadaniem było prowadzenie prac wykopaliskowych w Eridu, odnalezienie świątyni, w której Enki przechowywał *me*, i sprowadzenie znalezisk do Teksasu. L. Bob Rife chciał odwrócić proces, którym posłużył się Enki. Analiza *me* miała stać się dziedziną wiedzy, wokół której powstałaby klasa neurolingwistycznych hakerów piszących nowe *me* – zasady, a raczej program nowego społeczeństwa, które chce stworzyć Rife.

– Ale *nam-shub* Enki stanowi potencjalne zagrożenie dla Rife'a – mówi Ng.

– Owszem, dlatego tak bardzo zależało mu na tej tabliczce. Rife nie chce, by *nam-shub* dostał się w niepowołane ręce i obrócił przeciwko niemu.

– Gdyby jednak ktoś zdobył ów *nam-shub*, co mógłby z nim zrobić? – pyta Ng.

– *Nam-shub* można przekazać wszystkim antenogłowym *en* z Tratwy, którzy z kolei przekażą go swoim ludziom. *Nam-shub* zablokuje neurony prążyka, uniemożliwi Rife’owi przekazywanie im nowego *me*, programowanie tych ludzi... – mówi Hiro. – Należałoby to wykonać przed rozbiciem Tratwy, przed przybiciem uchodźców do brzegów Kalifornii. Rife mówi do swoich *en* przez centralny nadajnik umieszczony na „Enterprise”. Myślę, że jest to nadajnik stosunkowo małej mocy albo coś w rodzaju radiolinii. Niedługo Rife nada sygnał do odboju i armia uchodźców ruszy do brzegu. Tratwa zniknie i nikt nie zdoła dotrzeć do wszystkich *en* przy pomocy radia. Trzeba to zrobić teraz, bo później nie będzie już nic do zrobienia...

– Pan Rife będzie bardzo niepokojony – prorokuje Ng. – Z pewnością zechce wykorzystać Zamieć przeciwko technologicznemu kapłaństwu...

– Jestem podobnego zdania – mówi Hiro. – Ale staram się martwić o jedną rzecz na raz. Przydałaby mi się tu jakaś pomoc...

– Nie będzie z tym łatwo – mówi Ng. – Żeby dotrzeć do Jądra, należałoby użyć łodzi albo samolotu. Rife ma pod sobą milionową armię wyposażoną w karabiny maszynowe i wyrzutnie pocisków. Nawet najnowocześniejsze systemy zaczepno-obronne nie wytrzymają zmasowanego ataku z broni krótkiej.

– Postarajcie się o jakieś helikoptery czuwające w pobliżu... cokolwiek... Jeśli znajdę *nam-shub* Enki i nadam sygnał przez radio, będziecie mogli się zbliżyć.

– Coś wymyślimy – mówi wujek Enzo.

– Świetnie – stwierdza bez przekonania Hiro. – A teraz, co z Rozumem?

Ng mruczy coś pod nosem i w jego ręce pojawia się hiperkarta. – To nowa wersja systemu – mówi. – Powinna być mniej zawodna.

– Mniej?!

– Żaden program nie jest stuprocentowo pewny...

– Każdy z nas nosi w sobie trochę Asherah – mówi wujek Enzo.

58

Hiro wychodzi z biura pana Nga bez pomocy demona, wsiada do windy i zjeżdża na Ulicę. Gdy opuszcza neonowy wieżowiec, widzi białą-czarną dziewczynę siedzącą na jego motocyklu i bawiącą się manetkami.

– Gdzie jesteś? – pyta czarno-biała.

– Na Tratwie. Tak jak ty. Właśnie zarobiłem dla nas dwadzieścia pięć milionów.

Hiro jest przekonany, że tym razem zrobi na niej wrażenie. Ale jest inaczej.

– Wyprawia mi za to piękny pogrzeb, kiedy mama otrzyma moje zwłoki w emaliowanym garnku – mówi.

– Niby dlaczego?

– Mam kłopoty – przyznaje D.U., chyba po raz pierwszy w życiu. – Mam wrażenie, że mój chłopak chce mnie zabić.

– Kim jest twój chłopak?

– Ma wypisane na czole: „SŁABA KONTROLA ODRUCHÓW” – mówi D.U., a Hiro o mało nie siada z wrażenia na chodniku (na szczęście awatarom nie robi się słabo). – Teraz wiem dlaczego – kończy.

Hiro nie jest w stanie wydobyć z siebie choćby jęku.

– Cudownie! – mówi D.U. – Miałam nadzieję, że mi pomożesz albo przynajmniej udzielisz jakiejś rady.

– Jeśli myślisz, że Kruk cię zabije – mówi w końcu Hiro – mylisz się, bo gdybyś się nie myliła, byłabyś już martwa.

– Zależy od okoliczności – rzuca D.U. i opowiada mu średnio zabawną historię kończącą się użyciem dentaty.

– Spróbuj ci pomóc – mówi Hiro. – Ale nie ludź się, że przy mnie będziesz bezpieczna.

– Skumałeś się już z przyjaciółką? – pyta D.U.

– Nie, ale mam ogromną nadzieję, że mi się uda. Zakładając, rzecz jasna, że przeżyję kolejną godzinę.

– Co ci się uda?

– Ocalić nasz związek.

– Niby dlaczego nie masz go ocalić? – pyta D.U. – Co się zmieniło między wtedy i teraz?

To stosunkowo proste i oczywiste pytanie jest dosyć irytujące, bo Hiro nie zna na nie odpowiedzi.

– Chyba tylko to, że wydedukowałem, co robiła... Dlaczego tu się znalazła...

– I...

Kolejne proste i oczywiste pytanie.

– I chyba już ją rozumiem.

– Naprawdę?

– Tak jakby...

– I uważasz, że to coś dobrego?

– Chyba tak...

– Hiro, jesteś palant. Sytuacja wygląda tak: ona jest kobietą, a ty jesteś facetem. W tego rodzaju związkach facet nie może rozumieć kobiety. Takie są zasady, kapujesz? Jej wcale na tym nie zależy.

– W takim razie, na czym jej zależy? Słuchając twojej odpowiedzi, będę pamiętał, że jej nie znasz i że sypiasz z Krukiem.

– Nie chce, żebyś ją rozumiał. Wie, że to niemożliwe. Chce natomiast, żebyś sam zrozumiał siebie. Cała reszta podlega dyskusji.

– Tak myślisz?

– Jestem tego pewna!

– Dlaczego uważasz, że ja siebie nie rozumiem?

– To oczywiste. Jesteś sprytnym hakerem i największym samurajem na świecie, a mimo to zajmujesz się dowożeniem pizzy i promowaniem koncertów, z których nie masz ani centa. Nie możesz się spodziewać, że ona...

Resztę słów D.U. zagłusza w słuchawkach Hiro przeraźliwy świst kończący się głuchym wybuchem. Dźwięk dobiega z rzeczywistości. Po nim słychać pisk przestraszonych dzieci, okrzyki mężczyzn w tagalog i zgrzyt stali trawlera zapadającego się pod ciśnieniem wody.

– Co to było? – pyta zaniepokojona D.U.

– Meteoryt – mówi Hiro.

– Co?!

– Nie rozłączaj się – rzuca. – Zdaje się, że będziemy tu mieli mały pojedynek na granatniki.

– Nie zostawiaj mnie!

– Zamknij się na chwilę!

Filipińskie getto Tratwy ma kształt litery U. Powstało wokół zatoczki, której brzegi tworzą zardzewiałe kutry w liczbie kilkudziesięciu. Kutry połączone są ze sobą czymś w rodzaju pływającego mola ze starych pontonów, biegnącego wzdłuż burt.

Pusty trawler, ten, który cięto na żyletki, został trafiony z wielkiego działa umieszczonego na pokładzie „Enterprise”. Teraz wygląda jak samochód po kolizji z drzewem: jedna z burt zapadła się do środka, a rufa i dziób znajdują się w pozycji niemal równoległej do siebie. Wybuch przetrącił stępkę statku, puste ładownie nabierają brunatnej, mętnej wody, ciągną tutejszą odmianę morza jak topielec powietrze. Niedługo trawler pójdzie na dno.

Hiro wrzuca Rozum z powrotem do zoda, wskakuje zaraz za nim i odpala motor. Nie ma czasu, by odwiązać łódź od mola, przecina więc sznur wakizashi i odpływa.

Pontony tworzące molo zaczynają kryć się pod wodą. Ciągną je w dół liny cumownicze trawlera. Statek idzie na dno, biorąc ze sobą całą okolicę. Wsysa ją niczym czarna dziura.

Filipińczycy wylegli z łodzi. Mężczyźni biegają po pokładach kutrów i odcinają nożami liny łączące dzielnicę ze sobą, próbują oddzielić się od tej jej części, której nie da się już uratować. Hiro podpływa do pontonu zanurzonego do połowy w wodzie, odnajduje linę łączącą go z pontonem, który właśnie zniknął pod powierzchnią oceanu i nacina ją kataną. Pozostałe liny pękają jak nitki. Uwolniony od nich ponton wyskakuje na powierzchnię jak wystrzelony z armaty, o mało nie wywracając zoda.

Nie da się już uratować dużego kawałka mola idącego na dno wraz z burtą trawlera. Mężczyźni z rybackimi kozikami i kobiety z kuchennymi nożami klęczą w wodzie sięgającej im już pod brody, uwalniając getto od balastu. Idzie im ciężko, liny pękają jedna po drugiej, wyrzucając ludzi w powietrze. Chłopak z maczetą tnie nieostrożnie ostatnią z lin. Gruby zwój trafia go prosto w twarz. Uwolniona Tratwa kołysze się na wodzie, wracając do pierwotnego stanu równowagi. W miejscu, w którym stał trawler, widać tylko gotujący się wir, wyrzujący od czasu do czasu lżejsze od wody śmieci.

Większe fragmenty trafiają w burtę kutra zacumowanego najbliżej trawlera. Kuter jest już do niczego, mężczyźni wychylają się za burty, by oszacować straty – wielkie kratery oduderzeniowe w poszyciu łodzi. Każdą dziurę otacza aureola zdmuchniętej podmuchem farby; dziury mają wielkość piłek do golfa. Hiro postanawia odpłynąć.

Przedtem jednak sięga do kieszeni motocyklowego kombinezonu i wyciąga zwitek banknotów. Odlicza kilka tysięcy megadolców. Rzuca je na pokład i przykrywa katem czerwonego zbiornika z paliwem. Potem rusza w drogę.

Bez problemu odnajduje kanał prowadzący do sąsiedniego getta. Jego paranoja nasila się. Rozgląda się wokół siebie, jakby miał głowę na zawiasach, zagląda we wszystkie odnogi, do każdego ciemnego zaułka, pilotując łódź. W jednej z takich nisz widzi antenogłowego nadającego coś do siebie.

Sąsiednie getto zajmują Malajczycy. Kilkudziesięciu z nich – zwabionych hałasem – zebrało się wokół

pomostu. Wpływając do ich dzielnicy, Hiro widzi innych mężczyzn biegających po kołyszącym się pontonowym moście, służącym tu za główną ulicę. Mają karabiny i noże. Miejsca policja. Jej szeregi zasilają coraz to nowe grupy ochotników wybiegających z przejść, skiffów i sampanów.

Tuż obok Hiro powietrze rozrywa przerażający, potężny wybuch, jakby ciężarówka z drewnem uderzającej w betonową ścianę. Spada na niego fontanna wody, czuje na twarzy gorący wyziew pary. I znów jest cicho. Odwraca się niechętnie, wiedziony masochistycznym przymusem. Po najbliższym pontonie nie zostało ani śladu, a woda jest krwawą zupą okraszona resztkami drewnianych konstrukcji i ciał.

Spogląda za siebie. Antenogłowy, którego widział przed chwilą, wyszedł z ukrycia i stoi na krawędzi kanału. Wszyscy inni zniknęli. Hiro widzi, jak sukinsyn porusza ustami. Zakręca. Kieruje zoda wprost na niego. Zbliżając się, wyciąga wakizashi i otwiera celownicemu brzuch.

Ale będzie ich coraz więcej. Hiro wie, że dostali rozkaz, by go namierzyć. Ci, którzy strzelają z działa, nie dbają o to, ilu uchodźców zabije. Ważne, żeby go wystawili.

Opuszcza dzielnicę malajską i wpływa do chińskiej. To getto jest bardziej okazałe, więcej tu stalowych statków i barek. Ciągnie się aż po samo Jądro, daleko jak okiem sięgnąć, przynajmniej z tej podłej wysokości, na jakiej się teraz znajduje.

Wystawia go facet siedzący wysoko na nadbudówce jednego z chińskich statków. Hiro widzi jego kłapiącą szczękę. Domyśla się, jakie koordynaty odbiera centrala.

Działo na „Enterprise” znów daje głos. Meteoryt uranowych opiłków spada na pustą barkę jakies dwadzieścia stóp od zoda. Burta barki zapada się w sobie, stal wygląda jak wyżuta guma, w dodatku ciągnąca wodę. Metal jaśnieje – fala uderzeniowa zamienia rdzę w aerozol, odrywa ją od podłoża i posyła w kierunku Hiro z tak przeraźliwym stęknieniem, że czuje je w piersiach i w brzuchu, i robi mu się niedobrze.

Działo jest sterowane radarem. Ma bardzo dużą celność, gdy strzela do metalu, i trochę gorszą, gdy chce zdmuchnąć z powierzchni ziemi żywe kości powleczone skórą.

– Hiro! Co tam się, kurwa, dzieje?! – słyszy w słuchawkach głos D.U.

– Nie mogę rozmawiać – odpowiada pośpiesznie. – Zawieź mnie do biura. Posadź mnie na motocyklu i zawieź mnie tam!

– Nie umiem na tym jeździć!

– Wystarczy ci prawa manetka. Wskakuj na siodełko i przekręć ją do oporu.

Kieruje zoda ku otwartym wodom i dodaje gazu. Włącza w goglach półprzezroczysty obraz Metawersu. Widzi przed sobą czarno-białe plecy D.U. wiozącej go na motorze. D.U. też dodaje gazu. Z szybkością 1 macha rozbijają się o ścianę wieżowca.

Wychodzi z Metawersu. Gogle stają się przezroczyste. Przełącza się na pełen tryb gargulca: podbite światło widzialne z nałożoną podczerwienią plus radar o milimetrowej długości fal.

Widzi teraz świat w ziarnistej czerni i bieli. Obraz jest bardziej jaskrawy od rzeczywistego. Tu i ówdzie pojawiają się rozmazane kształty, lśniąco czerwono i różowo. Kolory te pochodzą z filtra podczerwieni i oznaczają, że ma przed sobą ciepłe lub gorące obiekty. Barwa różowa oznacza najczęściej ludzi; czerwona – maszyny lub ogień.

Obraz z radaru jest wyraźniejszy, ma ostrzejsze kontury. W goglach oddany jest przy pomocy neonowej zieleni. Zielone jest wszystko, co ma w sobie metal. Hiro płynie teraz po ziarnistej, węglowo-szarej alei, będącej powierzchnią wody, wzdłuż jasnoszarych pontonowych pomostów przytwierdzonych do wyraźnych, seledynowych barek i statków, na których pojawiają się czerwone kształty obiektów generujących ciepło. Widok nie jest ładny. Mówiąc szczerze, jest tak obrzydliwy, że można zrozumieć, dlaczego każdy gargulec jest socjopatą. Mimo to, mówi mu znacznie więcej niż normalny ogląd rzeczywistości.

I ratuje mu życie. Hiro pruje, zakręcającym lekko, wąskim kanałem, gdy nagle widzi, jak z wody unosi się cienka, zielona parabola, która po chwili zamienia się w naprężoną linię wiszącą w poprzek szlaku. Na wysokości jego szyi. Pochyla głowę, grozi pięścią Chińczykom, którzy zastawili pułapkę, i nie zwalniając, płynie dalej.

Radar pokazuje mu trzy rozmazane, różowe sylwetki z chińskimi AK-47. Stoją nad krawędzią kanału. Hiro skręca gwałtownie w boczną odnogę i unika egzekucji. W tym miejscu jest bardzo wąsko i nie wiadomo, co znajduje się dalej.

– D.U.! – krzyczy do mikrofonu. – Gdzie ja, do cholery, jestem?

– Jedziemy ulicą prowadzącą do twojego domu. Mijaliśmy ją już chyba ze sześć razy.

W rzeczywistości wąski kanał kończy się ślepym zaułkiem. Hiro skręca o sto osiemdziesiąt stopni. Zoda ciągnący za sobą wielki wymiennik ciepła nie jest tak manewrowy, jak życzyłby sobie Hiro. Płyne własnym śladem. Mija pułapkę z metalowej liny i skręca w kolejną odnogę, równoległą do pierwszej.

– Okay, jesteśmy w domu. Siedzisz przy swoim biurku – krzyczy D.U.

– Dobrze. Teraz będzie najgorsze...

Zatrzymuje się na samym środku kanału. Rozgląda się na wszystkie strony, szukając antenogłowych i uzbrojonych ludzi. Nikogo takiego nie ma w pobliżu. Jediną osobą, która na niego patrzy, jest niewysoka Chinka uzbrojona w rzeźnicki nóż, którym kroi coś w łodzi. Chyba może sobie pozwolić na takie ryzyko.

Przechodzi do Metawersu.

Siedzi za biurkiem. D.U. stoi obok niego z założonymi rękami, promieniując spokojem.

– Bibliotekarzu! – woła Hiro.

– Słucham pana – mówi demon, wchodząc do biura.

– Potrzebne mi są plany konstrukcyjne lotniskowca „Enterprise”. Szybko. Byłbym wdzięczny, gdybyś postarał się o coś trójwymiarowego.

– Tak jest, proszę pana.

Hiro wyciąga ręce i chwyta Ziemię.

– JESTEŚ TUTAJ – mówi.

Ziemia obraca się i zatrzymuje. Patrzy teraz na Tratwę z boskiej perspektywy. Tratwa zbliża się ku niemu z oszałamiającą prędkością. Ma ją jak na dłoni, co zajęło mu całe trzy sekundy.

Gdyby poprosił program o pokazanie jakiegoś miłego, stabilnego zakątka świata, na przykład dolnego Manhattanu, ujrzałby zgrabny, trójwymiarowy obraz. W przypadku Tratwy Ziemia musi polegać na dwuwymiarowym obrazie przekazywanym z satelitów. Hiro ma przed sobą czerwoną kropkę nałożoną na czarno-białą fotografię Tratwy. Czerwona kropka znajduje się na środku wąskiego kanału. Obok widnieje napis: „JESTEŚ TUTAJ”.

Cholerny labirynt! Ale łatwiej można się w nim poruszać, patrząc nań z góry. Po upływie sześćdziesięciu sekund Hiro jest już na otwartym Pacyfiku. Świta, na dworze jest szaro i mglisto. Kłęb pary wydobywający się z wymiennika ciepła Rozumu gęstnieje nieco...

– Gdzie jesteś? – pyta D.U.

– Opuszczam Tratwę.

– Świetnie. Dzięki za pomoc.

– Zaraz po ciebie wracam. Muszę się tylko przygotować.

– Hej, posłuchaj... Obserwuj mnie jacyś faceci... – szepcze D.U.

– Nie bój się – mówi Hiro. – Na pewno posłuchają głosu rozumu...

59

Otwiera wielką walizę. Ekran wciąż działa. Widać na nim płaską powierzchnię biurka z paskiem menu u góry. Kładzie dłoń na kulistym odpowiedniku myszy i otwiera menu POMOC.

POMOC

Przygotowanie urządzenia do pracy

Używanie Rozumu

Porady taktyczne

Utrzymanie Rozumu w gotowości bojowej

Amunicja i jej uzupełnianie

Komunikaty o błędach Rozumu

Inne

Pod nagłówkiem: „Przygotowanie urządzenia do pracy” jest więcej informacji, niż mógłby sobie życzyć, w tym półgodzinny, kiepskiej jakości film wideo, pokazujący jakiegoś Azjatę o pokrytej bliznami twarzy (blizny nadają owej twarzy permanentnie pogardliwy wygląd), który ubiera się, wykonuje ćwiczenia rozciągające, zbliża się do Rozumu, otwiera walizkę, sprawdza wnętrze luf, szukając uszkodzeń i zanieczyszczeń, i tak dalej, i tym podobne. Hiro ogląda to na szybkim przesuwie.

W końcu Azjata chwyta za broń.

Okazuje się, że Rybiooki nie używał Rozumu we właściwy sposób. Rozum ma własną uprzęż, którą przypina się broń do ciała, co minimalizuje skutki odrzutu, którym przeciwdziała się biodrami. Wygląda na to, że Rozum nie jest zbyt zdrowy dla wątroby. W uprzęży są zminiaturyzowane amortyzatory i inne hydrauliczne cuda kompensujące wagę broni i siłę odrzutu. Przy dobrze zamocowanej uprzęży Rozum jest łatwy w użyciu. Po podłączeniu uprzęży do gogli w okularach pojawia się celownik znacznie ułatwiający mierzenie.

– Pańskie informacje, sir – mówi Bibliotekarz.

– Czy wiesz, jak wkleić je do JESTEŚ TUTAJ? – pyta Hiro.

– Zobaczę, co da się zrobić, sir. Sądzę, że nie powinno dojść do konfliktu między formatami. Sir...

– Tak.

– Te plany nie są już aktualne. „Enterprise” zmienił właściciela...

– Który mógł przebudować okręt. Rozumiem.

Hiro wraca do rzeczywistości.

Wpływa do otwartego kanału prowadzącego wprost do Jądra. Wzdłuż jednej z krawędzi kanału biegnie coś w rodzaju kładki dla pieszych, zbudowanej dosyć niestarannie z niezliczonej liczby trapów, pontonów, kłód, porzuconych łódek, aluminiowych kajaków i blaszanych beczek. Gdzie indziej uznano by to za tor przeszkód, tutaj, w Piątym Świecie, kładka jest superautostradą.

Hiro płynie samym środkiem kanału, nie śpieszy się. Gdyby trafił na przeszkodę, zoda mógłby się wywrócić. Rozum poszedłby na dno, a Hiro – połączony z Rozumem uprzężą – zaraz za nim.

Przełącza się na tryb gargulca. Podnosi wzrok ku potężnej sylwetce lotniskowca i widzi pikietę półkolistych kształtów rozrzuconych luźno wzdłuż krawędzi pasa startowego „Enterprise”. Baza danych namiaru informuje go posłuszenie, że ma przed sobą radarowe anteny sterujące działami antyrakietowymi Phalanx. Istotnie, pod każdą kopułą widać wielolufowe działo.

Zwalnia zoda. Przesuwa lufę Rozumu tak, by celownik znalazł się w polu widzenia i okularach gogli. Celownik zmienia kolor na czerwony. Namierza jedno z dział. Hiro naciska spust i przytrzymuje przez pół sekundy.

Olbrzymia kopuła zmienia się w fontannę poszarpanych, wirujących odłamków. Jednak niżej wciąż widoczne są działa oznaczone oddzielnie na czerwono. Hiro opuszcza celownik i ładuje w nie pięćdziesiąt naboju, uwalniając armaty z lawet. Wybuchają zapasy amunicji, Hiro musi odwrócić wzrok.

Odnajduje następnego Phalanxa i stwierdza, że patrzy wprost w wylot luf. Widok jest tak przerażający, że mimowolnie naciska spust, strzelając długą serią, która pozornie nie czyni żadnych szkód. W jego polu widzenia pojawia się jakiś bezkształtny obraz – siła odrzutu wepchnęła go za wrak jachtu cumujący przy krawędzi kanału.

Wie, co teraz będzie: jego pozycję zdradzi kłęb pary. Musi się wycofać. W następnym ułamku sekundy jacht unosi się do góry, wypchnięty z wody podmuchem wybuchu. Hiro płynie wzdłuż brzegu kanału, znajduje w miarę stabilny ponton, o który może się oprzeć, i otwiera ogień. Strzela długimi seriami. Gdy kończy, w burcie „Enterprise” pojawia się poszarpana, półkolista wyrwa po Phalanxie.

Od pływa głównym kanałem, kierując się ku środkowi Tratwy, i zatrzymuje się przed jednym ze statków Jądra: kontenerowcem zamienionym w osiedle hotelowo-mieszkalne. Na statek wchodzi się po siatce ładunkowej, która służy również jako podnoszony most w sytuacji, gdy na statek próbują się dostać niepożądane jednostki z gett. Hiro jest chyba najbardziej niepożądaną osobą na całej Tratwie, a mimo to, nikt nie podnosi mostu.

Niech i tak będzie – myśli. Tymczasem musi zostać na zodie. Pruje fale wzdłuż burty kontenerowca i za dziobem skręca o sto osiemdziesiąt stopni.

Następna jednostka to wielki tankowiec – prawie pusty, na co wskazuje duże wynurzenie. Patrząc w górę stalowego kanionu między dwoma statkami, Hiro nie zauważa żadnej łączącej je siatki. Widocznie właściciele Tratwy nie życzą sobie złodziei i poszukiwaczy ropy na tankowcu.

Następny jest „Enterprise”.

Dwie gigantyczne jednostki, tankowiec i lotniskowiec, płyną równolegle, oddzielone od siebie przesmykiem nie węższym niż dziesięć i nie szerszym niż pięćdziesiąt stóp, połączone grubymi kablami i zabezpieczone przed kolizją i ocieraniem olbrzymimi poduszkami powietrznymi niczym pierzyną. Kable nie są tylko przerucone między burtami; Hiro domyśla się, że zabezpieczono je całym systemem obciążników i naciągarek, które zwalniają kabel, gdy statki oddalają się od siebie na wzburzonym morzu.

Hiro płynie między nimi na swej małej powietrznej poduszce. W szarym stalowym tunelu jest cicho i spokojnie w porównaniu z resztą Tratwy. Oprócz niego nikt nie ma powodu, by tu wpływać. Przez chwilę myśli o tym, że musi się odprężyć i odpocząć.

Co jest raczej niewykonalne, jeśli się nad tym zastanowić.

– JESTEŚ TUTAJ – mówi.

Widok kadłuba „Enterprise” – widok olbrzymiej polaci szarości z lekkimi krzywiznami – zamienia się w trójwymiarowy rysunek ukazujący jego oczom wnętrza okrętu. Wszystko to, co kryje się za stalowymi płytami.

Tuż obok, nad samą linią wody, ciągnie się szeroki pas komór z uzbrojeniem przeciwtorpedowym. Nie wygląda to obiecująco. Dalej są magazyny uzbrojenia, a po drugiej stronie coś, na co liczył: szereg kabin dla załogi, a nie, tak jak tutaj, zbiorniki z paliwem czy zbrojownie.

Wybiera kabinę oznaczoną na planie jako STRAŻNICA i otwiera ogień.

Kadłub lotniskowca jest zadziwiająco twardy. Rozum nie wybija w nim dziury, tak jak się spodziewał. Wybuch z trudem przebija się na drugą stronę, a powstały otwór ma nie więcej niż sześć cali średnicy. Odrzut pcha Hiro na zardzewiałą burtę tankowca.

Tak czy inaczej, nie będzie mógł zabrać ze sobą Rozumu. Naciska spust i starając się mierzyć w jedno miejsce, opróżnia cały zapas amunicji. Rozpina uprzęż i wyrzuca wszystko za burtę. Rozum nie zginie. Zostanie po nim ślad w postaci gorącego źródła. Później Wielki Hongkong Pana Lee przyśle tu jedną ze swoich organizacji ekologicznych, która zajmie się wydobyciem radioaktywnych odpadów. Jeszcze później postawią Hiro przed Ogólnoświatowym Trybunałem Ekologicznym za zanieczyszczanie mórz i oceanów.

Teraz jednak ma to dokładnie gdzieś.

Wrzucenie haka do wnętrza otworu wymaga ze dwudziestu prób. Hak wypada, bo ściana jest zbyt gładka albo Hiro nie trafia do otworu. Dziura jest jakieś dwadzieścia stóp na wodą.

W końcu hak klinuje się w postrzępionej wyrwie. Hiro wspina się do góry. Gdy przeciska się przez niezbyt szeroki otwór, słyszy trzask pękającego materiału. To syntetyczny kombinezon topi się w zetknięciu z gorącymi krawędziami dziury. Kawałki materiału zostają w otworze, przyspawane do kadłuba. Hiro ma oparzenia pierwszego i drugiego stopnia na odkrytych teraz fragmentach skóry. Jeszcze nie czuje bólu. Za bardzo jest spięty. Później będzie bolało go jak jasna cholera.

Podeszwy butów gotują się i topią, gdy stąpa po rozgrzanych do czerwoności odłamkach metalowej płyty. Kabina jest pełna dymu, ale lotniskowce są raczej niepalne i Hiro nie zauważa nigdzie tłącego się pożaru. Rusza w kłębach dymu ku drzwiom narysowanym w metalu przez Rozum. Otwiera je kopnięciem i wkracza do wąskiego korytarza oznaczonego na planie niezbyt wyrafinowanym technicznie terminem „PRZEJŚCIE”. Ponieważ nie bardzo wie, co dalej, na wszelki wypadek wyciąga kataną.

60

Gdy partner D.U. robi coś w rzeczywistości, jego awatar flaczeje. Ciało awataru nabiera kształtów nadmuchiwanego lalki, z której wypuszczono powietrze, a twarz przechodzi przez różne stadia aktorskich ćwiczeń w mimice. D.U. nie ma pojęcia, co robi Hiro, ale sądząc po tym, co dzieje się z jego twarzą, musi to być niezwykle podniecające. Twarz wyraża najczęściej bezbrzeżne zdumienie albo strach świadczący o tym, że Hiro robi w pory.

Kiedy Hiro skończył gadać z tym gościem z biblioteki o lotniskowcu, D.U. usłyszała głuchy, potężny łomot dobiegający gdzieś z rzeczywistości, gdzieś z zewnątrz. Łomot brzmiał jak odgłos karabinu maszynowego skrzyżowanego z piłą tarczową. Gdy D.U. słyszała huk, twarz Hiro nabierała dziwnego wyrazu, jakby mówił jej: „Za chwilę umrę”.

Ktoś klepie ją po ramieniu. Gość w garniturze. Ma umówione spotkanie w Metawersie. Doszedł do wniosku, że Kurier nie może zajmować się w terminalu poważnymi rzeczami. D.U. przez chwilę nie zwraca na niego uwagi.

Niespodziewanie biuro Hiro znika jej z widoku, rozplywa się jak farba na szkłe. D.U. patrzy prosto w twarz faceta w garniturze. Azjata. Dupek. Z anteną na głowie. Jebany cyborg!

– Dobra – mówi D.U. – Czego?

Chwyta ją za ramię i wyciąga z terminalu. Obok stoi drugi, taki sam. Ten chwyta ją za drugą rękę. Prowadzą ją gdzieś.

– Puście mnie, do kurwy nędzy! – krzyczy na całe gardło. – Pójdę tam, gdzie chcecie. Nie musicie wykręcać mi ręk!

Nie po raz pierwszy wyrzucają ją z miejsca zajmowanego przez ludzi w garniturach. Ale tym razem jest trochę inaczej. Tym razem bramkarzami są plastikowe transformery wielkości dorosłego mężczyzny, jakby żywcem wyjęte ze sklepu „Zabawki to My”.

Nie chodzi o to, że te pieprzone cyborgi nie rozumieją pewnie po angielsku. Rzecz w tym, że nie zachowują się normalnie! D.U. uwalnia jedną rękę. Facet nie wścieka się, nie bije jej w twarz. Odwraca się ku niej, pustym wzrokiem odszukuje jej rękę i chwyta ją mechanicznie. Robi to wszystko zupełnie beznamiętnie. Jego oczy przypominają stłuczone samochodowe reflektory. Otwiera usta na tyle, żeby się nie udusić, ale jego wargi wydają się drętwe, jakby wykute ze stali.

Przechodzą przez kompleks kabin i przeciętych na pół kontenerów, spełniających rolę hotelowego lobby. Antenogłowi wyciągają ją na zewnątrz i prowadzą przez otwarty pokład ku białemu celownikowi lądowiska dla helikopterów. W samą porę, bo właśnie ląduje jakaś maszyna. Zdaje się, że nikt nie przestrzega tu przepisów BHP. Antenogłowi nie przejmują się, że śmigło rotora może im obciąć anteny. Tuż przed nimi siada na pokładzie zgrabny helikopter z korporacyjnym logo ZATER na burcie. Ten, który widziała wcześniej.

Antenogłowi nie prowadzą jej do maszyny. Omijają ją jak psią kupę i ciągną D.U. do wąskiego trapu przerzuconego nad wodą i łączącego kontenerowiec z następnym statkiem. Udaje się jej odwrócić plecami do kierunku marszu, chwyta rękami reling, stopami zahacza o słupki i czeka, co będzie dalej. Jeden z cyborgów łapie ją w pasie i próbuje oderwać od lin, drugi stoi przed nią i otwiera jej zamknięte palce. Jeden po drugim.

Z helikoptera ZATER wyskakuje grupa mężczyzn. Ubrani są w kombinezony, a w kieszeniach mają jakiś sprzęt. Na szyi jednego z nich wisi coś, co z daleka wygląda jak stetoskop. Wyciągają z helikoptera wielkie skrzynie z włókna szklanego z wymalowanym po bokach czerwonym krzyżem. Chwyatają je i

wbiegają z nimi do wnętrza kontenerowca. D.U. wie, że nie przylecieli tutaj udzielać pierwszej pomocy jakiemuś biznesmenowi, który dławi się suszoną śliwką. Przesłano ich tu, by reanimowali jej chłopca: Kruka nafaszerowanego dragami. Świat liczy na jego pomoc..

Wciągają ją w końcu na drugi statek. A potem na następny, bardzo, bardzo duży. Wygląda na tankowiec. Po drugiej stronie pokładu, za pajęczyną rur łuszczących się od rdzy, widzi „Enterprise”. To tam ją ciągną.

Problem w tym, że lotniskowiec nie jest połączony z tankowcem żadnym przejściem. Ale znaleźli rozwiązanie. Wezwali na pomoc dźwig z pokładu „Enterprise”, który przerzucił ramię nad wodą i spuścił im małą, drucianą klatkę wiszącą teraz kilka stóp od D.U. Klatka podskakuje i kołysze się ze stosunkowo dużym wychyleniem, zgodnie z rozbieżną amplitudą zmiany położenia obu statków na falach. Przypomina wahadło na stalowym kablu. Do jej wnętrza prowadzą drzwiczki kołyszące się teraz na wietrze.

Wrzucają ją do środka. Trwa to dobrą chwilę, ponieważ najpierw muszą wykręcić jej obie ręce, żeby nie odepchnęła klatki, a potem – gdy jest już do połowy w otworze – wpychają za nią nogi. Oczywiście jest, że perswazją nic z nimi nie wskóra, dlatego walczy, milcząc. Udaje jej się kopnąć jednego cyborga wprost w nasadę nosa. Wyraźnie słyszy chrzęst miażdżonej tkanki miękkiej, a potem chrupot kości. Ale facet nie reaguje, jeśli nie liczyć zwykłego powrotu do pionu. D.U. jest tak zafascynowana tym spektaklem, tak bardzo liczy, że gość w końcu ocknie się i zorientuje się, kto mu złamał nos, że zapomina na chwilę o walce, co wystarcza, by całkowicie wepchnęli ją do klatki. Słyszy tylko trzask zamykanych drzwiczek.

Z zamkiem drzwiczek poradziłby sobie doświadczony szop pracz. Klatka nie jest przeznaczona do transportu ludzi. Ale zanim D.U. zbiera się, by zająć się zatraskiem, klatka wisi już dwadzieścia stóp nad pokładem, a D.U. patrzy na ołowiany pas wody oddzielający tankowiec od „Enterprise”. Przy burcie lotniskowca widzi porzucony ponton kołyszący się bezradnie na falach...

Na pokładzie lotniskowca panuje jakby zamieszanie... Tu i ówdzie widać jakiś pożar. Ludzie strzelają z karabinów maszynowych. D.U. nie jest pewna, czy chce tam wylądować. Wisząc w powietrzu, dokonuje szybkiego zwiadu, który potwierdza, że nie ma żadnej drogi ucieczki, żadnych trapów, siatek, sznurowych drabin... Nic!

Opuszczają ją na pokład lotniskowca. Klatka kołysze się w przód i w tył, omiatając pokład. Gdy w końcu nań spada, sunie przez kilka metrów, po czym zatrzymuje się z piskiem. D.U. otwiera zamek i opuszcza więzienie. No dobrze, tylko co teraz?

Na pokładzie widać wymalowany celownik dla helikopterów, wokół niego parkuje kilka maszyn przyśrubowanych do podłoża. Na lądowisku stoi natomiast helikopter gigant, dwusilnikowa, potężna maszyna, która wygląda jak skrzyżowanie banana z wanną. Wanna obwieszona jest bronią, głównie raketami, błyska zapalonymi światłami pozycyjnymi, ryczy silnikami wprawiającymi w ruch niechętne łopaty wirników. Obok stoi grupka poważnie wyglądających mężczyzn.

D.U. idzie w ich stronę. Nienawidzi siebie za to, bo wie, że właśnie tego od niej oczekują. Ale nie ma wyboru. Poza, oczywiście, skokiem do morza. Żałuje, że nie ma deski. Pokład lotniskowca jest rajem dla rolkarza. Widziała na filmach katapulty wyrzucające samoloty z pokładu lotniskowca. Ciekawe, jakby wyglądał lot na desce po tak potężnym kopie...

Jeden z mężczyzn stojących przy helikopterze odrywa się od grupy i rusza w jej stronę. Jest wielki, ma korpus przypominający pięćdziesięciopięciogalonową beczkę i w dodatku wąsy podwinięte do góry. Zbliżając się do niej, wybucha z zadowolenia śmiechem, co bardzo ją irytuje.

– A cóż my tu mamy za maleństwo! – woła. – Kurwa, wyglądasz, maleńka, jak zmokły szczur wyjęty z suszarki.

– Dzięki – mówi D.U. – Ty za to wyglądasz, jakby cię wyrzeźbili z gówna.

– Bardzo zabawne.

– Więc dlaczego się nie śmiejesz? Boisz się, że to prawda?

– Posłuchaj – przerywa jej. – Nie mam czasu na sprzecznianie się z nastolatkami. Dorosłem i zestarzałem się specjalnie po to, żeby tego nie robić.

– Masz dosyć czasu – rzuca D.U. – Tylko nie potrafisz.

– Wiesz, kim ja jestem? – pyta.

– Jasne, kto by cię nie znał. A wiesz, kim ja jestem?

– Mówią na ciebie D.U. Jesteś piętnastoletnim Kurierem.

– I osobistą przyjaciółką wujka Enzo – kończy D.U. Zdejmuje z szyi wojskowe blaszki i rzuca je wielkoludowi. Ten, zaskoczony, wyciąga rękę, jakby chciał się przed nimi obronić. Łączuszek wplątuje mu się między palce. Podnosi znaczkę do oczu.

– No, no – mówi. – Ładna pamiątka. – Odrzuca znaczkę D.U. – Wiem, że kolegujesz się z wujkiem Enzo. Gdyby było inaczej, nakarmiłbym tobą ryby, zamiast sprowadzać cię na pokład. Ale tak czy siak, nie ma to żadnego znaczenia, bo zanim dzień dobiegnie końca, wujek Enzo straci robotę albo ja, jak to ujęłaś, jestem wyrzeźbiony z gówna. Tymczasem doszedłem do wniosku, że Wielki Makaroniarz nie poczęstuje nas Stingerem, jeśli dowie się, że wieziemy na pokładzie jego słodkie maleństwo.

– To nie tak – mówi D.U. – Nie utrzymujemy ze sobą stosunków seksualnych. – Jest zła i rozczarowana,

bo okazało się, że blaszki wujka E. nie zamieniają złych ludzi w potulne baranki.

Rife odwraca się do niej plecami i wraca do helikoptera. Po kilku krokach odwraca się i kiwa na nią palcem. D.U. próbuje opanować szloch.

– Idziesz? – pyta Rife.

D.U. zerka na helikopter. Swoją przepustkę na wolność.

– Mogę zostawić wiadomość dla Kruka?

– Jeśli chodzi o Kruka, udowodniłaś, kto jest górą... ha... ha... ha... Chodź, dziewczyno! Niepotrzebnie marnujemy paliwo i zatruwamy cholerne środowisko.

Idzie za nim do helikoptera i wspina się na pokład. W środku jest ciepło i jasno, mają też wygodne fotele. D.U. czuje się tak, jakby po ciężkim, lutowym dniu spędzonym na autostradzie, znalazła się w zacisznym wnętrzu domu.

– Trochę go przerobiłem – chwali się Rife, widząc po jej minie, że nie wzgardzi gościna. – Tego skurczybyka wymyślili Sowieci i przysięgam ci, że nie chodziło im o wygodę. Nie ma na świecie maszyny latającej o grubszym pancerzu.

Na pokład wchodzi dwaj inni goście: pierwszy ma około pięćdziesiątki, niezdrową cerę, okulary w drucianej oprawie i wygląd ascety. Znaczący się, specjalista od komputerów, co łatwo można poznać po laptopie, którego trzyma w ręku. Drugi jest zwalistym Afroamerykaninem uzbrojonym w karabin.

– D.U. – odzywa się uprzejmie L. Bob Rife – poznaj Franka Frosta, mojego dyrektora do spraw technicznych, i Tony’ego Michaela, szefa mojej ochrony.

– Witam panią – mówi Tony.

– Cześć – rzuca Frank.

– Possijcie mi palce u stóp – odpowiada D.U.

– Patrz pod nogi, jeśli łaska – mówi całkiem poważnie Frank.

D.U. zerka na dół. Zajmując pierwszy pusty fotel najbliższej wyjścia, stanęła niechętnie na pakunku leżącym na podłodze. Paczka jest wielkości książki telefonicznej, ma dosyć nieregularny kształt i na oko wydaje się ciężka. Zawartość ukrywa się w miękkiej, bąbelkowej wyściółce, a dodatkowo zabezpieczono ją przezroczystym plastikiem. Miejscami widać to, co jest w środku. To coś ma lekko czerwony, miejscami brunatny kolor. Pokryte jest wzorkiem kurzych stópek. I twarde jak kamień.

– Mamusia podrzuciła wam ciasto? – pyta D. U., wskazując na tajemniczy przedmiot.

– To starożytne dzieło sztuki – odpowiada Frank i widać, że jest wkurwiony. Rife chichocze pod nosem, zadowolony, że D.U. obraża kogoś innego.

Przez pokład lotniskowca biegnie jeszcze jeden mężczyzna. Jest zgięty wpół i przerażony obracającymi się wirnikami. Wskakuje do helikoptera. Ma około sześćdziesiątki, a na głowie grzywę siwych włosów, których nie był w stanie zmierzić nawet wir dwóch, napędzanych silnikami odrzutowymi łopat.

– Witam wszystkich – rzuca radośnie. – Nie sądziłem, że dane mi będzie poznać tylu nowych, wspaniałych ludzi. – (D.U. ma wrażenie, że facet czyta z kartki). – Przybyłem tu dopiero dziś rano, a już czas odjeżdżać!

– Coś pan za jeden? – pyta Tony.

Nowo przybyłemu rzędzie mina.

– Greg Ritchie – przedstawia się.

Gdy na nikim nie robi to odpowiedniego wrażenia, dorzuca: – Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– Aha! Pan wybaczy, panie prezydencie, miło poznać... – odpowiada Tony, wyciągając rękę. – Tony Michaels...

– Frank Frost – mówi Frank, wyciągając dłoń ze znudzoną miną.

– Mnie może pan nie brać pod uwagę – mówi D.U., gdy Ritchie spogląda w jej stronę. – Jestem zakładniczką.

– Dobra, odpalaj ten parowóz – mówi Rife do pilota. – Lecimy do LA. Mamy tu całą Kontrolę Lotów.

Pilot, który wychyla się z kabiny z podniesionym kciukiem, ma kanciastą twarz, którą D.U. – po doświadczeniach na Tratwie – rozpoznaje nieomylnie jako słowiańsko-azjatycką facjatę mieszkańca terenów byłego Związku Radzieckiego. Rosjanin znika za sterami. Silniki wyją na maksymalnych obrotach, wzmagają się świst łopat wirników. D.U. czuje, choć nie słyszy, kilka małych eksplozji gdzieś na pokładzie lotniskowca. Inni też to czują, ale tylko Tony reaguje jak prawdziwy profesjonalista: kuca przy drzwiach, wyciąga broń spod marynarki i zerka na dół. Tymczasem wycie silników cichnie, wirniki zwalniają, by w końcu znieruchomieć.

D.U. widzi go przez okno. To Hiro. Cały pokryty krwią i sadzą. W jednej ręce trzyma pistolet. Właśnie wypalił kilka razy w powietrze, by zwrócić na siebie uwagę. Teraz ukrył się za jednym z helikopterów i przejmuje kontrolę.

– Jesteś martwy! – krzyczy Rife. – Nie zapominaj, gdzie się znajdujesz, pajacu! Mam tu milion Myrmidonów. Myślisz, że wszystkich ich pozabijasz?

– Mieczom nie kończy się amunicja – krzyczy Hiro.
 – Kończmy te gadki, czego chcesz?
 – Chcę tabliczkę. Oddasz mi tabliczkę, a ja pozwolę ci odlecieć i dam się zabić milionowi fajansiarzy. Jeśli nie oddasz mi tabliczki, opróżnię cały magazynek w przednią szybę tego wiertalota...
 – Jest kuloodporna, ha... ha... ha...
 – Jednak nie – mówi Hiro – co udowodnili powstańcy w Afganistanie...
 – Mówi prawdę – stwierdza krótko pilot.
 – Pierdolone ruskie gówno! – piekli się Rife. – Zbudowali je z dziesięciomilimetrowej stali i wsadzili w okno szybę!
 – Daj mi tabliczkę – mówi Hiro. – Albo was rozpieprzę.
 – Nie zrobisz tego – odpowiada spokojnie Rife. – Bo w mej podróży towarzyszy mi Dzwoneczek...
 D.U. chce się zapaść ze wstydu pod ziemię. Ale Hiro dostrzegł już jej twarz w oknie. D.U. widzi klęskę w jego oczach...
 RzUCA się ku drzwiom. Jest już do połowy na zewnątrz, czuje wyciew pracujących na wolnych obrotach silników. W ostatniej chwili Tony chwytą ją za nogę i wciąga do środka. RzUCA ją na brzuch i stawia jej ciężką stopę na tyłku. Tymczasem silnik znów nabiera mocy i po chwili D.U. zauważa oddalający się stalowy horyzont lotniskowca.
 Spieprzyła, wszystko spieprzyła po tyłu niepotrzebnych męczarniach... Nie zasłużyła na to, by dostać choćby centa od swojego partnera, Hiro.
 A może nie...
 Dotyka wnętrzem dłoni krawędzi glinianej tabliczki i pcha ją z całej siły w kierunku otwartych drzwi. Tabliczka sunie po stalowej podłodze, podskakuje na progu i wypada, kręcąc się na zewnątrz.
 Jeszcze jedna dostawa, kolejny zadowolony klient...

61

Przez minutę lub dwie helikopter wisi dwadzieścia stóp nad pokładem lotniskowca. Wszyscy pasażerowie latającego banana zgromadzili się przy drzwiach i patrzą na tabliczkę, która wypadła z opakowania na środku lądowiska. Plastik nie wytrzymał uderzenia i fragmenty tabliczki – duże fragmenty – rozsypały się na przestrzeni kilku stóp niczym stłuczka z rozbitego talerza.

Hiro wpatruje się w to miejsce jak zaczarowany. Stoi ukryty za helikopterem i zapomina o całym świecie. Myśli tylko o tym, jak dopaść tabliczkę, jak pozbierać rozbity *nam-shub*. Nie wychodzi mu to na dobre. Na jego plecach lądują dwaj antenogłowi, którzy wgniatają mu twarz w burtę helikoptera. Hiro osuwa się i pada na brzuch. Ręka z pistoletem jest wolna, ale nie na długo, bo przytrzymują ją następni napastnicy. Kolejni siadają mu na nogach. Nie może się poruszyć. A przed sobą widzi tylko rozbity tabliczkę oddaloną o dwadzieścia stóp. Hałas i podmuch helikoptera Rife'a oddala się i cichnie. Hiro czuje ukłucie na wysokości ucha. Może chcą go oskalpować albo wywiercić mu dziurę w głowie?

Antenogłowi są sterowani z zewnątrz. Ng twierdził, że na Tratwie istnieje zorganizowany system obrony. Ktoś musi wydawać im rozkazy, może jakiś naczelny haker, jakiś *en* siedzący w wieży kontrolnej lotniskowca, panujący nad sytuacją i pociągający za sznurki...

Tak czy inaczej, antenogłowi nie są zbyt spontaniczni. Siedzą na nim przez kilka dobrych minut, zanim dowiadują się, co robić dalej. Wówczas na nadgarstkach, kostkach, łokciach i kolanach Hiro zaciska się wiele dłoni. Niosą go przez pokład jak trumniarzy – twarzą do góry. Hiro podnosi wzrok ku wieży kontrolnej i widzi kilka twarzy wpatrujących się weń z wysoka. Jeden z ludzi na wieży – *en* – mówi coś do mikrofonu.

Wchodzą do dużej, płaskiej windy, której szyb sięga trzewi okrętu. Wieża kontrolna znika. Zjeżdżają na jeden z niższych pokładów przypominający hangar. Kiedyś naprawiano tu samoloty...

Hiro słyszy kobiecy głos wypowiadający wyraźnie, choć cicho, śpiewne słowa: – ...me lu lu mu al. Nu um me en ki me en me lu lu mu me al. Nu ume me me mu lu e al. Nu um me dug ga mu me mu lu e al. Nu um me...

Od pokładu dzieli go odległość nie większa niż trzy stopy. Pokonuje ją w ułamku sekundy, spadając na plecy. Uderza boleśnie głową o stalową płytę. Czuje bezwład w rękach i nogach. Wokół niego antenogłowi padają jak muchy, jak mokre szmaty rzucone na podłogę.

Nie może się poruszyć. Stracił nawet kontrolę nad gałkami ocznymi. W jego polu widzenia pojawia się jakaś twarz, ale nie widzi szczegółów. Rozpoznaje natomiast zarys, owal, włosy odrzucone na ramię, gdy pochyla głowę. Juanita. Juanita z anteną wyrastającą pionowo z potylicy.

Kłęka obok niego. Pochyla się, zamyka dłoń wokół jego ucha i coś szepcze. Hiro czuje ciepły podmuch

powietrza, chce od niego uciec, ale nie może. Juanita szepcze kolejny długi ciąg sylab. Potem prostuje się i trąca go w bok. Hiro jęczy i odsuwa się od niej.

– Wstawaj. Chyba nie chcesz tu spać? – mówi Juanita.

Wstaje. Nic mu nie jest, czuje się doskonale. Ale antenogłowi leżą jak porażeni prądem. Być może są martwi...

– To tylko taki mały *nam-shub* – mówi Juanita. – Nic im nie będzie.

– Cześć – bąka niepewnie Hiro.

– Cześć. Fajnie, że tu jesteś. Chodź. Muszę cię uściskać... Uważaj na antenę...

Obejmuje go mocno. Hiro odwzajemnia uścisk, choć bez przekonania. Antena trafia go w nos. Czuje się dosyć dziwnie...

– Kiedy się tego pozbędę, odrosną mi tam włosy – mówi Juanita, widząc jego minę. Odsuwa go od siebie. – Niespecjalnie się starasz. Zapomniałeś już, jak pociesza się samotną i przerażoną kobietę?

To typowe dla Juanity. Zawsze lubiła czułości w najmniej sprzyjających okolicznościach.

– Nie zrozum mnie źle – mówi Hiro. – Ale czy nie jesteśmy przypadkiem po dwóch różnych stronach?

– Chodzi ci o to? – pyta, wskazując na antenę.

Hiro kiwa głową.

– Pracujesz dla nich?

– Nawet jeśli, to chyba nie są ze mnie zadowoleni – mówi ze śmiechem Juanita, spoglądając na nieruchomych kumpli. – To na mnie nie działa. Na początku działało... przez chwilę... ale są sposoby, żeby to zwalczyć...

– Dlaczego... dlaczego to na ciebie nie działa? – pyta zaskoczony Hiro.

– Przez kilka ostatnich lat zadawałam się z jezuitami...

Hiro nie ma pojęcia, czy czasem z niego nie kpi.

– ...mózg ma system immunologiczny, podobnie jak reszta ciała. Im częściej go używasz... im częściej wystawiasz go na działalność wirusów... tym staje się odporniejszy. Zdziwiłbyś się, wiedząc, jak odporny mam mózg. Pamiętasz... przez jakiś czas byłam ateistką, a potem wróciłam do religii ortodoksyjnej...

– Dlaczego nie skasowali cię jak Da5ida?

– Przybyłam tu z własnej woli.

– Jak Inanna.

– Tak.

– Nie rozumiem, jak z własnej woli można przypląć na Tratwę...

– Niczego nie rozumiesz. Jesteś w samym środku ruchu religijnego, który z jednej strony właśnie się tworzy, a z drugiej jest bardzo stary... Bycie tu jest jak... podążanie za Jezusem albo za Mahometem... jak uczestnictwo w narodzinach wiary.

– To straszne, co mówisz. Rife jest Antychrystem.

– Nikt tego nie kwestionuje. Mimo to, nadal uważam, że nie mogłam przegapić takiej szansy, takiego doświadczenia... Na korzyść Rife'a przemawia jeszcze jedno: ma Eridu.

– Miasto Enki...

– Właśnie! Ma każdą tabliczkę, którą napisał Enki! Jeśli ktoś zajmuje się religią i jest przy okazji hakerem, nie może tu nie być. Gdyby te tabliczki miał król Arabii Saudyjskiej, wciągnęłabym czador, spaliłabym prawo jazdy i przeszła przez pustynię. Ale tabliczki są tutaj, więc dlatego pozwoliłam im wywiercić sobie dziurę w głowie.

– Przez cały czas chodziło ci tylko o te tabliczki?

– Chodziło mi o *me*, jak Inannie. O nic innego...

– I co, przeczytałaś je?

– Jasne.

– I...?

Juanita uśmiecha się i wskazuje na uspiionych Myrmidonów: – I potrafię robić takie rzeczy. Jestem teraz *ba'al shem*... neurolingwistycznym hakerem...

– Wspaniale, bardzo się z tego cieszę, ale w tej chwili mamy mały problem. Jesteśmy otoczeni przez milion uchodźców, którzy chcą nas zabić. Potrafisz sparaliżować ich wszystkich?

– Mogłabym to zrobić... – mówi Juanita – ...ale wówczas wszyscy by umarli.

– W takim razie wiesz, co musimy zrobić...

– Uwolnić *nam-shub* Enki – mówi. – Powtórzyć Babel...

– Zatem do dzieła – rzuca Hiro.

– Powoli – uspokaja go Juanita. – Najpierw wieża kontrolna.

– Dobrze. Przygotuj się do złożenia tabliczki, a ja zajmę się wieżą.

– Co chcesz zrobić? Posiekać ich na plasterki?

– Tak. Na nic innego nie zasługują.

– Zrobimy to inaczej – mówi Juanita i rusza przez hangar.

Nam-shub Enki jest tabliczką zapakowaną w glinianą kopertę, pokrytą pismem klinowym będącym odpowiednikiem nalepki z ostrzeżeniem. Całość rozbiła się na tuzin, jeśli nie więcej, kawałków. Większość z nich pozostała w plastiku, część jednak została rozrzucona po lądowisku. Hiro zbiera wszystkie odłamki i kładzie je w środku białego celownika.

Właśnie przecina plastik, gdy widzi Juanitę machającą do niego zza szyby na szczycie wieży kontrolnej.

Zbiera wszystkie kawałki przypominające zewnętrzną kopertę i odkłada je na oddzielną kupkę. Potem składa pozostałą część tabliczki, tak by kawałki mniej więcej pasowały do siebie. Nie jest to łatwe, nie wszystkie krawędzie przylegają do siebie, a Hiro nie ma czasu na układanie puzzli. Przechodzi do Metawersu, fotografuje cyfrowo leżącą na pokładzie układankę i wzywa Bibliotekarza.

– Słucham pana.

– Masz tu hiperkartę ze zdjęciem rozbitej glinianej tabliczki. Znasz jakiś program, który pomoże odtworzyć jej pierwotny wygląd?

– Jedną chwilę – mówi Bibliotekarz. W jego ręku pojawia się inna hiperkarta. Podaje ją Hiro. Jest to zdjęcie złożonej tabliczki. – Tak to wygląda, sir.

– Potrafiśz czytać po sumeryjsku?

– Owszem, proszę pana.

– Możesz mi przeczytać na głos ten napis?

– Tak.

– Dobra, przygotuj się i czekaj na mój znak.

Hiro podchodzi do podstawy wieży kontrolnej, odnajduje luk, za którym widać schody. Wspina się na kapitański mostek, który wygląda obecnie jak skrzyżowanie jaskini Neandertalczyków z centrum dowodzenia załogową wyprawą na Marsa. Juanita czeka na niego w środku otoczona przez śpiących antenogłowych. Stuka w mikrofon umieszczony na elastycznym statywie w panelu sterowania – ten sam, do którego mówił *en...*

– Obudź Tratwę – mówi Juanita. – Do dzieła...

Hiro włącza głośniki wbudowane w komputer i staje przed mikrofonem. – Bibliotekarzu! – woła. – Czytaj!

Z głośników płynie monotony strumień sylab.

W połowie *nam-shub* Hiro zerka na Juanitę. Stoi daleko w rogu z palcami w uszach.

Gdzieś na klatce schodowej odzywa się antenogłowy. We wnętrzu „Enterprise” odpowiadają mu inne głosy. Mówią całkiem bez sensu. Bełkoczą.

Wieżę kontrolną otacza coś w rodzaju stalowego balkonu. Hiro wychodzi na zewnątrz. Słucha Tratwy. Ze wszystkich stron dobiega go głuchy pomruk niesiony wiatrem. Milion ludzi mówi jednocześnie i chyba nie może się porozumieć.

Juanita wychodzi na balkon, opiera się o balustradę, słucha. Hiro widzi kropelkę krwi zbierającą się za jej uchem.

– Krwawisz – mówi.

– Wiem. Musiałam przeprowadzić na sobie małą operację – mówi z pewnym wysiłkiem. – Miałam przygotowany skalpel specjalnie na tę okazję.

– Co zrobiłaś?

– Przecięłam mały drucik prowadzący od anteny pod czaszkę.

– Kiedy to zrobiłaś?

– Jak zbierałaś tabliczkę.

– Po co?

– A jak myślisz? – pyta. – Nie chciałam usłyszeć *nam-shub* Enki. Jestem neurolingwistycznym hakerem, pamiętasz? Zapłaciłam wysoką cenę za zdobycie tej wiedzy. Teraz nikt mi jej nie odbierze. Chyba nie spodziewałaś się, że z własnej woli poddam się lobotomii...

– Jeśli wydostaniemy się stąd... zostaniesz ze mną?

– Tak – mówi Juanita. – Ale najpierw się wydostaniemy...

– Zrobiłam, co do mnie należało, człowieku – mówi D.U. – Ten koleś, Enki, miał wiadomość dla Hiro i ja mu ją dostarczyłam.

– Zamknij się – mówi Rife. Nie jest na nią zły, chce po prostu, żeby była cicho. Jej czyn niczego nie zmienił. Hiro trafił w końcu tam, gdzie powinien znajdować się od samego początku: w rękach

Myrmidonów.

D.U. wygląda przez okno. Lecą nad Pacyfikiem na stosunkowo niewielkiej wysokości. Widzi grzbiety fal uciekające do tyłu. Nie wie, jaką mają prędkość, ale chyba nie najmniejszą. Zawsze wydawało jej się, że ocean powinien być błękitny, a ten tu ma najnudniejszy szary kolor, jaki w życiu widziała. I ciągnie się bez końca.

Po kilku minutach dołącza do nich inny helikopter. Lecą burta w burtę, całkiem blisko, może nawet za blisko... Ta druga maszyna ma logo ZATER z boku i jest pełna medyków...

Przez otwarte drzwi zagląda do jej wnętrza. Kruk siedzi nieruchomo w fotelu. Początkowo wydaje jej się, że ciągle jest zaćpany, bo siedzi złożony wpół i w ogóle się nie rusza.

Nagle podnosi głowę. Ma na oczach gogle i podłączony jest do Metawersu. Podnosi rękę i przesuwając gogle na czoło, mruży oczy i wbija wzrok w twarz D.U. Ich spojrzenia krzyżują się nad oceanem... Serce podskakuje D.U. do przetyku jak nakręcana żabka. Kruk uśmiecha się i macha do niej ręką.

D.U. opada na fotel i zaciąga zasłonę na okno.

63

Z podwórka przed domem Hiro do czarnego monolitu L. Boba Rife'a przy Porcie 127 trzeba przejechać przez pół Metawersu. Dokładna odległość wynosi 32 768 kilometrów. Najtrudniejsza część drogi przypada na jej początek, gdy trzeba wydostać się ze Śródmieścia. Hiro może przejeżdżać jak zwykle przez awatary, ale Ulica zapchana jest także innymi pojazdami: witrynami reklamowymi, tablicami, słupami, słowem programami umieszczonymi na stałe, co oznacza, że nie można przez nie przejechać.

Są też inne przeszkody. Po prawej stronie, w odległości mniej więcej kilometra od Czarnego Słońca, widać głęboką dziurę w linii drapaczy chmur hiperManhattanu. Znajduje się tam otwarty plac o szerokości mili, coś w rodzaju parku, w którym awatary zbierają się na koncerty, zjazdy i festiwale. Większość placu zajmuje głęboki amfiteatr mogący pomieścić do miliona awatarów naraz. Daleko w dole widać olbrzymią, obrotową scenę.

Zazwyczaj występują na niej znane zespoły rockowe. Dziś jednak zajmują ją najwspanialsze i najbardziej jaskrawe halucynacje komputerowe, na jakie stać ludzki umysł. Nad sceną wisi trójwymiarowa markiza reklamująca wydarzenie: benefisowy koncert graficzny w hołdzie Da5idowi Meierowi, który wciąż przebywa w szpitalu, cierpiąc na nieznaną chorobę. Amfiteatr jest wypełniony do połowy hakerami z całego świata.

Wyjechawszy ze Śródmieścia, Hiro dodaje gazu na maks i pokonuje pozostałe trzydzieści dwa tysiące i ileś tam kilometrów w czasie mniej więcej dziesięciu minut. Nad głową widzi zjawy pociągów ekspresowych podróżujących z metaforyczną prędkością dziesięciu tysięcy mil na godzinę. Wyprzedza je tak, jakby stały w miejscu. Jest to możliwe dlatego, że pędzi wzdłuż idealnej prostej. W programie motocykla zapisana jest procedura nakazująca maszynie automatyczne trzymanie się linii jednotorówki. Hiro może podróżować z założonymi rękami.

Tymczasem Juanita stoi obok niego w rzeczywistości. Ma na oczach gogle, widzi to samo co Hiro.

– Rife ma połączenie satelitarne w swoim helikopterze, takie jak w zwykłych samolotach rejsowych. Może z niego skorzystać, lecąc nad oceanem. To jego jedyne okno na świat, dopóki jest w powietrzu. Gdyby udało nam się dotrzeć do tego łącza i zablokować je...

– Obawiam się, że jego osobisty sprzęt komunikacyjny ma tyle zabezpieczeń, że nie rozwalimy ich w najbliższej dekadzie – mówi Hiro, zatrzymując się w miejscu. – O kurwa! Jest dokładnie tak, jak mówiła D.U.

Stoi przed Portem 127. Ma przed sobą budowlę Rife'a – czarny sześcian, który opisała D.U. Nigdzie nie widać drzwi.

Schodzi z Ulicy i rusza w kierunku budowli. Sześcian nie odbija światła i Hiro nie wie, czy dzieli go od niego dziesięć stóp czy dziesięć mil. Musi być jednak blisko, na co wskazują materializujące się z nicości demony strażników. Pokazało się ich z pół tuzina naraz; są dużymi, zwalistymi awatarami w granatowych uniformach przypominających mundury wojskowe, z tym, że bez oznaczeń i stopni. Oznaczenia i stopnie nie są im potrzebne, bo wykonują jeden program. Stają przed Hiro w idealnym półkolu o promieniu dziesięciu stóp i blokują mu drogę do budowli.

Hiro wypowiada cicho zaklęcie i znika – jego awatar staje się niewidzialny. Z przyjemnością postąpiłby tu trochę dłużej, żeby przekonać się, jak demony poradzą sobie z tym problemem, ale nie ma na to czasu, bo nie można wykluczyć, że sterujący nimi program przygotowany jest na taką ewentualność.

Wydaje się jednak, że nie. Hiro przebiega między dwoma strażnikami i pędzi ku ścianie budowli. Oczywiście, wpada na nią i zatrzymuje się w miejscu. Demony zorientowały się, że je przechytrzył i biegną

w jego stronę. Wiedzą mniej więcej, gdzie się znajduje – program podpowiada im jego położenie – ale poza tym niewiele mogą wskórać. Działają w oparciu o podobne zasady, co demony bramkarzy w Czarnym Słońcu; demony, których programy są dziełem Hiro. Programy te opierają się na regułach tutejszej fizyki, która nie dopuszcza działań na czymś, czego nie ma. Będąc niewidzialnym, Hiro faktycznie nie istnieje. Oczywiście, to nieprawda i w dobrze napisanym programie powinno być mnóstwo wyrafinowanych metod wyznaczania jego obecności, a co za tym idzie, pozbycia się go. Znowu nie ma czasu, by to sprawdzić. Wyciąga katanę i przebija nią mur, idzie za ciosem i przechodzi na drugą stronę.

To jest hak. Osobisty hak Hiro. Opiera się na bardzo starym pomysle – pętli, którą odkrył przed wielu laty, próbując zaszcześcić reguły walki na miecze w istniejących programach Metawersu. Miecz Hiro nie może wycinać dziur w ścianach – oznaczałoby to wprowadzenie trwałych zmian w programach budynków – potrafi jednak je przebić. Awatary nie mają takich możliwości. Na tym polega sens budowania ścian w Metawersie: ściany są programami zatrzymującymi awatary. Ale zasada ta – jak wszystko inne w hiperrzeczywistości – jest niczym innym jak protokołem: umową między komputerami zgadzającymi się na jej przestrzeganie. Teoretycznie nie wolno ignorować protokołu. W praktyce wszystko zależy od systemów komputerowych, od ich szybkości i precyzji, z jaką wymieniają między sobą dane. W pewnych sytuacjach wolne i nieprecyzyjne przesyłanie danych może okazać się zaletą. Hiro połączony jest z Metawersem przez antenę satelitarną na Tracie. Jego sygnał, odbierany przez serwery na lądzie, ma opóźnienie w stosunku do tego, co dzieje się w jego komputerze. Opóźnienie to można wykorzystać, jeśli wie się jak i nie ogląda się za siebie. Hiro przechodzi przez ścianę jako cyfrowa pętla dołączona do klingi katany.

Rifeląd jest olbrzymim, jasno oświetlonym miejscem, w którym znajdują się proste geometryczne figury i bryły oddane w podstawowych kolorach. Hiro czuje się jak we wnętrzu edukacyjnej zabawki służącej poznawaniu kształtów przez trzylatka: są tu stożki, kule, czworoboki, wieloboki, a wszystko połączone jest w sieć cylindrów, Unii i spiral. Sieć nie jest już tak mało skomplikowana – wygląda jak pozornie bezładna konstrukcja z klocków lego połączonych ze sobą według jakiegoś dawno zapomnianego wzoru.

Hiro spędził w Metawersie wystarczająco dużo czasu, by domyślić się, że mimo radośnie bezładnego wyglądu sieć jest w istocie prosta i użyteczna jak obóz wojskowy. Jest modelem systemu. Dużego i złożonego systemu. Każdy kształt odpowiada osobnemu rodzajowi komputerów: serwerom lub węzłom komunikacyjnym w ogólnosiwiatowej sieci Rife'a albo franszolatom Perlowych Wrót, albo innym lokalnym czy regionalnym biurom utrzymywanym przez Rife'a na całej planecie. Przyglądając się tej strukturze lub otwierając tworzące ją figury i bryły, Hiro mógłby prawdopodobnie odtworzyć kody sterujące działaniem sieci. Mógłby ją trochę przerobić, jak sugerowała Juanita.

Ale nie ma sensu psuć czegoś, czego nie rozumie. Spędziłby całe godziny na bawieniu się kodem, który później mógłby okazać się programem sterującym automatycznym splukiwaniem toalet w Kolegium Biblijnym Boba. Więc zamiast psuć, rusza przed siebie, przyglądając się płataninie kształtów, próbując odnaleźć w niej jakiś wzór. Wie, że znalazł się w maszynowni całego Metawersu, ale nie ma pojęcia, czego powinien w niej szukać.

System składa się z kilku oddzielnych sieci splątanych ze sobą w jednym miejscu. Widzi przed sobą potwornie złożony węzeł grubych, czerwonych linii, całych milionów linii biegnących w tę i z powrotem między tysiącami małych, czerwonych kul. To może być światłowodowa sieć Rife'a, choć przypuszczenie to jest tak samo dobre jak każde inne. Gdyby jednak tak było, czerwone punkty oznaczałyby niezliczone lokalne biura i węzły rozrzucone po świecie. Są tu także inne, nieco mniej skomplikowane sieci, oddane w innych kolorach. Mogą to być linie współosiowe, takie jak kable używane do przesyłania obrazu telewizyjnego czy połączeń wokofonicznych.

Jest jeszcze jedna, prymitywna i kanciasta sieć oznaczona kolorem niebieskim. Składa się z kilkunastu, nie więcej niż dwudziestu, dużych, błękitnych sześcianów. Bryły połączone są tylko ze sobą, i z niczym innym, przy pomocy masywnych, sinawych rur. Rury są przezroczyste i w środku widać sploty cieńszych linii w innych kolorach. Ogarnięcie tego wzrokiem zajmuje mu dobrą chwilę, bo niebieskie sześciany ukryte są wśród innych brył, głównie czerwonych kul i mniejszych węzłów, zupełnie jak drzewa porośnięte przez kudzu. Wygląda na to, że sieć niebieska jest siecią pierwotną, podstawową, z własnymi kanałami wewnętrznymi, w których być może znajdują się łącza pierwszej telefonii. Rife obudował ją własnym, zaawansowanym technicznie systemem.

Hiro przedziera się do jednego z niebieskich sześcianów, zagląda do środka przez sploty porastających go linii. Z bliska dostrzega białe gwiazdy na każdej z sześciu błękitnych ścian.

– To własność rządu Stanów Zjednoczonych! – mówi Juanita.

– Obozu koncentracyjnego hakerów – dorzuca Hiro. Największego, a mimo to najmniej wydajnego producenta oprogramowania komputerowego na świecie.

Hiro i D.U. zjedli ze sobą tyle hamburgerów, hotdogów, pączków, burrito, pizzy i sushi, że Hiro wie wszystko o potwornej pracy, jaką wykonuje mama D.U. dla Federalów. Wie wszystko o paramilitarnym reżimie, o wykrywaczach kłamstw, o niewyobrażalnej segmentacji uniemożliwiającej jakąkolwiek współpracę, a co za tym idzie, wykrycie, nad czym akurat przemysłowa rząd.

Hiro w ogóle nie zna się na rządach, ale zdaje się, że o to właśnie im chodzi. Rząd wymyślono po to, by zajmował się sektorami, którymi nie opłaca się zajmować prywatnej przedsiębiorczości, a to oznacza, że nie ma w zasadzie powodu, by utrzymywać rząd. Rząd, który nie wiadomo co i dlaczego robi. Wolni hakerzy zawsze spoglądali na rządowe, komputerowe pola śmierci z nie małym przerażeniem i starali się zapomnieć, że coś takiego w ogóle istnieje.

Ale rząd zatrudnia tysiące programistów. Programistów pracujących po dwanaście godzin na dobę z jakimś niepojętym poczuciem lojalności i misji. Techniki inżynierii komputerowej stosowane przez rząd – choć prymitywne i pozbawione uroku – są niezwykle skuteczne. Rząd jak zwykle coś knuje.

– Juanito...

– Tak?

– Nie pytaj mnie, dlaczego tak uważam, ale wydaje mi się, że rząd pracuje nad dużym projektem komputerowym dla L. Boba Rife'a.

– To miałyby sens... – mówi Juanita. – Rife potrzebuje programistów, ale ich nie znosi, a nie znosi ich dlatego, że nie może im ufać. Rząd jest jedyną organizacją zapewniającą stuprocentową dyskrecję, gdy chodzi o coś ważnego. Ciekawe, co to może być...

– Zaczekaj – mówi Hiro. – Zaczekaj...

Znajduje się teraz o rzut kamieniem od dużego, błękitnego sześcianu stojącego na podłodze Rifelądu. Wszystkie inne niebieskie bryły są mu jakby podległe i podłączone bezpośrednio do niego. Obok największego sześcianu stoi zaparkowany motocykl – oddany w kolorze, ale tak niewyraźnie, że wygląda na czarnobiały. Piksele są poszarpane, paleta kolorów uboga... Motocykl ma wózek. Obok stoi Kruk.

Kruk trzyma coś w rękach. Jest to kolejna prosta bryła geometryczna, coś w rodzaju wydłużonej, gładkiej, niebieskiej elipsoidy o długości kilku stóp. Sądząc po tym, jak porusza się Kruk, właśnie wyjął elipsoidę z niebieskiego sześcianu. Niesie ją do motocykla i wkłada do wózka.

– Informatyczna bomba jądrowa – mówi Hiro.

– Zemsta Rife'a – szepcze Juanita. – Coś, czego się obawialiśmy.

– Pojedzie do amfiteatru. Znajdzie tam wszystkich hakerów z całego świata. Rife zrzuci to na nich, poradzi sobie ze wszystkimi za jednym zamachem. Odmóddzy ich na zawsze...

64

Kruk siedzi już na motorze. Jeśli Hiro zacznie go gonić, być może złapie go, zanim ten wyjedzie na Ulicę.

Ale może go też nie złapać. W takim przypadku Kruk rozpędzi się do tysiący kilometrów na godzinę, gdy Hiro będzie szukał swojego motocykla. Przy takiej szybkości, jeśli straci go z oczu, straci go na zawsze.

Kruk odpala, rusza ostrożnie przez labirynt sieci, jadąc spokojnie do wyjścia. Hiro już biegnie – tak szybko, jak pozwalają mu na to niewidzialne nogi. Zmierza wprost ku ścianie.

Przebija się na drugą stronę po kilku sekundach. Wraca na Ulicę. Mały, niewidzialny awatar nie może prowadzić motocykla, Hiro wraca więc do normalnego trybu, wskakuje na siodło. Zapala maszynę i zawraca, szukając wzrokiem Kruka. Kruk jedzie bez pośpiechu w kierunku Ulicy. Logiczna bomba lśni niebieskawo jak ciężka woda z reaktora. Jeszcze nie widzi Hiro.

Teraz albo nigdy! Hiro wyciąga katanę i rozpędza motocykl do sześćdziesięciu mil. Szybsza jazda byłaby bezcelowa. Jedyny sposób, by zabić awatar Kruka, to obciąć mu głowę. Rozjechanie go motocyklem niczego nie zmienia.

Obok Kruka wyrasta demon strażnika i wymachuje ramionami. Kruk odwraca się, widzi miecz Hiro uniesiony do cięcia, dodaje gazu. Miecz tnie pustkę za jego szyją.

Za późno! Kruk zniknie. Ale biorąc ostry zakręt, Hiro widzi go na środku Ulicy. Wpadł na słup podtrzymujący jednorówkę. Straszliwy ból dla hipermotocyklisty.

– Kurwa! – mówią obaj jednocześnie.

Kruk skręca w stronę Śródmieścia, dodaje gazu. Hiro wjeżdża tuż za nim na Ulicę i robi dokładnie to samo. Po kilku sekundach pędzą w kierunku centrum z szybkością pięćdziesięciu tysięcy mil na godzinę. Hiro jest jakieś pół mili za Krukiem, ale widzi go całkiem dobrze. Uliczne światła zlały się w dwie żółte linie. Mknie pomiędzy nimi niczym burza tandetnych kolorów i niewyraźnych pikseli.

– Jeśli uda mi się obciąć mu łeb – woła Hiro – są skończeni.

– Wiem – mówi Juanita. – Jeśli Kruk zginie, wykopią go z systemu. I nie zaloguje się z powrotem, dopóki demony cementarne nie pozbędą się jego awataru.

– A ja steruję tymi demonami. Wystarczy więc, że zabiję raz tego skurczybyka.

– Kiedy wylądują, będą mieli lepszy dostęp do sieci. Mogą wprowadzić do Metawersu kogoś innego, kto

zastąpi Kruka – ostrzega Juanita.

– I tu się mylisz – odpowiada nie bez dumy Hiro. – Kiedy wylądują, wyjdzie im na spotkanie komitet powitalny wujka Enzo i pana Lee. Muszą to zrobić teraz albo nigdy. Została im jeszcze godzina.

65

D.U. budzi się nagle ze snu. Nie miała pojęcia, że usnęła. Być może uspił ją jednostajny huk wirników helikoptera. Musi być kurewsko zmęczona, to wszystko.

– Co jest, do wszystkich diabłów, z moją siecią komunikacyjną! – piekli się L. Bob Rife.

– Nikto nie otwiera – mówi rosyjski pilot. – Nikto iz Tratwu, nikto iz Jejeja, nikto iz Gjuston...

– Połącz mnie z LAX przez telefon – rzuca Rife. – Chcę mieć przygotowany odrzutowiec do Houston.

Polecimy na campus i przekonamy się, co to wszystko znaczy...

Pilot gmera przy przełącznikach na tablicy kontrolnej.

– Prablerna... – mówi.

– Co!? – pyta z niedowierzaniem Rife.

Pilot kręci bezradnie głową.

– Nu da, ktonibudź miesza zie skajfonom. My zadziemowani...

– Może ja spróbuję załatwić jakąś linię – zgłasza się prezydent Ritchie.

Rife obdarza go spojrzeniem mówiącym: „Zamknij się złamasie” i woła w głąb helikoptera: – Ktoś ma przy sobie jebane ćwierć dolara?

Frank i Tony patrzą po sobie niepewnie.

– Wylądujemy przy pierwszej budce telefonicznej – piekli się Rife. – Do czego to, kurwa, doszło... – wybucha śmiechem. – Żeby ja musiał płacić za telefon!

Chwilę później D.U. wygląda przez okno i widzi prawdziwą ziemię! A na niej dwupasmową autostradę wijącą się wzdłuż piaszczystego brzegu. To Kalifornia!

Helikopter zwalnia, zbliża się do brzegu, skręca i leci nad autostradą. Nigdzie w pobliżu nie widać plastikowych bud ani neonowych świateł i mija dobra chwila, nim dolatują do pierwszego franszulatowego getta rozłożonego po obu stronach drogi, w miejscu oddalonym nieco od plaży.

Helikopter ląduje na parkingu Kup & Siup. Na szczęście parking jest niemal pusty i nie muszą obcinać nikomu głów. W środku paru małych latów zajętych jest gramami wideo i nie ma czasu na zastanawianie się, skąd wziął się tu ruski helikopter. I dobrze. D.U. jest totalnie załamana, musząc pokazywać się światu w towarzystwie tych starych pierdzieli. Silniki helikoptera zwalniają. L. Bob Rife wyskakuje na parking i biegnie do telefonu umieszczonego na ścianie.

Tak się składa, że nikt nie zauważył, że obok fotela D.U. stoi sobie gaśnica. Byłoby głupotą nie wykorzystać tego faktu. D.U. wyszarpuje gaśnicę z zacisków, tym samym płynnym ruchem wyciąga zawleczkę i naciska spust, kierując wylot na twarz Tony’ego.

Nic się nie dzieje.

– Kurwa mać! – krzyczy na całe gardło i rzuca gaśnicą w Tony’ego, a raczej wpycha mu ją w twarz. Ochroniarz właśnie pochylił się do przodu, chciał chwycić ją za nadgarstek i dno gaśnicy może ostudzić nieco jego zapał. Co daje jej dosyć czasu, by wyrzucić nogi na zewnątrz helikoptera.

Wszystko się jebie. D.U. ma otwartą jedną z kieszeni kombinezonu i gdy wytacza się – lub, jak kto woli, wypada z helikoptera – kieszeń zahacza o zacisk gaśnicy i przytrzymuje ją w miejscu. D.U. szarpie się, ale Tony jest już na nogach, a raczej na kolanach i rękach, i wyciąga po nią wielką dłoń.

Ucieczka przed dłonią nie jest trudna. D.U. biegnie wolna przez parking. Z tyłu ma Kup & Siup, po bokach wysoką graniczną siatkę oddzielającą franszulat od Świątyni NeoWodnika z jednej strony i Wielkiego Hongkongu Pana Lee z drugiej. Jedyna droga ucieczki prowadzi na autostradę po drugiej stronie helikoptera. Ale pilot, Frank i Tony zdążyli już wyskoczyć z maszyny i odcinają tę możliwość ucieczki.

Świątynia NeoWodnika raczej jej nie pomoże. Jeśli padnie na kolana u jej bram, może włączyć ją do swych modlitw w przyszłym tygodniu. Zostaje więc Wielki Hongkong Pana Lee, na którego – zdaje się – można liczyć. Biegnie do siatki i wskazuje na nią z rozpędu. Ma do pokonania osiem stóp stalowych oczek zwieńczonych na końcu wstęgą z żyłek. Kombinezon powinien wytrzymać cięcia... Przynajmniej teoretycznie...

Jest już w połowie wysokości. I wtedy chwyta ją w pasie grube, ale mocne łąpska. Ma pecha. L. Bob Rife zdejmuje ją z siatki. D.U. wymachuje jeszcze nogami i rękami. Na wszelki wypadek. Bob nic sobie z tego nie robi i niesie ją z powrotem do helikoptera.

D.U. patrzy z zalem na Hongkong Pana Lee. Była już tak blisko...

Na parkingu pojawia się nowa osoba. To Kurier! Zjeżdża z autostrady pewnie po to, by ochłodzić się i

odpocząć.

– Hej, koleś – wrzeszczy D.U. Sięga do przełącznika w klapie i podkręca kolory kombinezonu. Jest teraz cała pomarańczowo-niebieska. – Hej, jestem Kurierem! Nazywam się D.U. Porwali mnie ci zboczeńcy...

– Uau! – odpowiada kolega z firmy. – Co za pech! – Pyta ją o coś, ale jego głos ginie w szumie silników i łopat helikoptera.

– Lecą ze mną na LAAAAX! – wrzeszczy D.U. ile sił w płucach. Rife wrzuca ją do kabiny głową naprzód. Helikopter startuje śledzony przez las anten umieszczonych na dachu Hongkongu Pana Lee.

Na parkingu zostaje Kurier. Najpierw przygląda się zafascynowany startującej maszynie. Fajna rzecz – myśli sobie – a ile na niej rakiet! Zdaje się, że ci goście faktycznie robili molest tej lasce. Na maksa...

Kurier wyciąga osobisty telefon z kieszeni, łączy się z Centrum Dowodzenia Radixu i przyciska czerwony guzik. Podaje kod alarmowy.

Dwa i pół tysiąca Kurierów zajmuje miejsca na betonowych brzegach rzeki LA. Na dnie, suchym o tej porze, stoi scena, na której Witalij Czernobyl i Sarkofagi zaczynają właśnie katować środkową, najlepszą część swojego drugiego przebojowego singla: „Blokada grafitowych prętów regulacyjnych”. Część Kurierów korzysta z przebojowego podkładu, by popisywać się akrobatycznymi ewolucjami na wybetonowanych brzegach. Tylko Witalij, i to na żywo, może ich tak podkręcić, że nie straszne im są strome zjazdy, wyrwy w betonie i przypadkowo rozbita twarz.

Nagle ciemna masa fanów Sarkofagów zamienia się w oscylującą, pomarańczowo-czerwoną galaktykę dwu i pół tysiąca lśniących jednakowo gwiazd. Ci, którzy stoją z boku, otwierają usta z zachwyty, biorąc to za nowy efekt wizualny, opracowany przez ludzi Witalija. Przypomina to wspólne machanie zapalniczkami, ale na znacznie większą i lepiej zorganizowaną skalę. Kurierzy opuszczają głowy i widzą czerwone guziki mrugające jaskrawo przy telefonach. Któryś z nich potrzebuje pomocy i posłużył się kodem.

We franszulacie Wielkiego Hongkongu Pana Lee, na obrzeżach Phoenix, budzi się ze snu Szczurojamnik Numer B-782.

Fido budzi się jak zwykle dlatego, że szczekają pieski.

Pieski zawsze szczekają, jedne bliżej, drugie dalej. Fido wie, że odległe szczeknięcia nie są ważne, w przeciwieństwie do bliskich, dlatego najczęściej śpi, kiedy szczekają tylko pieski z daleka.

Czasami jednak nawet pieski z daleka szczekają tak, że Fido wpada w podniecenie i budzi się ze snu.

Teraz właśnie szczekają w ten sposób. Szczekanie pochodzi z daleka, ale jest pilne. Któryś z miłych piesków w odległych stronach jest czymś bardzo zaniepokojony. Jest tak bardzo zaniepokojony, że obudził szczekaniem całą sforę: wszystkie miłe pieski z daleka i bliska.

Fido nasłuchuje szczekania. Wpada w podniecenie. Jacyś źli obcy byli bardzo blisko podwórka miłego, zaniepokojonego pieska. Przybyli w czymś, co lata. Mieli dużo broni.

Fido nie przepada za bronią. Kiedyś, dawno temu, pewien zły obcy strzelił do niego z broni i bardzo go skrzywdził. Pomogła mu wtedy miła, bardzo dobra dziewczynka.

Źli obcy, o których szczeka zaniepokojony piesek, są bardzo niedobrzy. Każdy miły piesek przy zdrowych zmysłach powinien zrobić im krzywdę, tak żeby odeszli. Słuchając szczekania zaniepokojonego pieska, Fido wyobraża sobie, jak wyglądają obcy, i słyszy nawet, jak mówią. Gdyby któryś z nich pojawił się kiedyś na jego podwórku, będzie miał się z pyszna.

Słuchając szczekania, Fido dowiaduje się, że źli obcy gonią... gonią dziewczynkę! Fido domyśla się, że robią jej krzywdę, poznaje to po jej głosie i nie skoordynowanych ruchach.

Źli obcy robią krzywdę dziewczynce, która kocha Fido!

Fido robi się bardzo zły, nawet bardziej niż wtedy, kiedy zły obcy mierzył do niego z broni. Fido warczy i wyszczerza kły.

Fido wie, że jego praca polega na pilnowaniu podwórka przed obcymi. Nie wolno mu robić niczego innego.

Ale teraz ktoś krzywdzi dziewczynkę, która go kocha! A dziewczynka ważniejsza jest od podwórka. Ważniejsza jest niż wszystko inne. I nic go nie powstrzyma, nawet drucziana siatka.

Siatka jest bardzo wysoka. Ale kiedyś, dawno temu, Fido skakał przez wyższe ogrodzenia.

Wybiega z ciepłej budy, odbija się na mocnych nogach i przeskakuje przez siatkę wyznaczającą podwórko. Przeskakuje przez nią, choć wie, że nie jest w stanie tego zrobić. Sprzecznosc ta wcale mu nie przeszkadza; introspekcja nie jest mocną stroną jego psiej duszy.

Szczekanie roznosi się szeroko i daleko. Wszystkie miłe pieski z najodleglejszych miejsc wiedzą już, że muszą mieć się na baczności. Muszą wypatrywać bardzo złych obcych i dziewczynki, która kocha Fido. Pieski z jednego z podwórek są bardzo zaniepokojone, bo wiedzą, że źli obcy mogą się na nim pojawić. Fido wyobraża sobie to podwórko. Jest duże, szerokie i płaskie jak łąka, na której można gonić frisbee. Latają nad nim latające rzeczy, a w okolicy mieszka kilka miłych piesków.

Fido słyszy ich szczekanie. Wie, skąd pochodzi. Z bardzo daleka. Z bardzo, bardzo daleka. Ale można

tam dostać się ulicami. Fido zna mnóstwo różnych ulic. Więc biegnie ulicą i wie, gdzie jest i dokąd zmierza.

Początkowo jedyny ślad, jaki zostawia po sobie B-782, to snop iskier ciągnący się przez franszulatowe getto. Gdy B-782 wydostaje się na autostradę, sytuacja zmienia się diametralnie. Nagle i niespodziewanie zaczynają pękać i wypadać szyby we wszystkich pojazdach poruszających się po czterech pasach drogi szybkiego ruchu. Nad całą autostradą unosi się brzęk tłuczonego szkła, którego odłamki tworzą wektor wytyczający trasę niewidzialnego pocisku.

Wszystkie Szczurojamniki pilnujące franszulatów Wielkiego Hongkongu zaprogramowane są tak, by nigdy nie przekraczać bariery dźwięku na terenach zaludnionych. Jest to zwykły element dobrosąsiedzkiej polityki pana Lee. Ale Fido za bardzo się śpieszy, by przejmować się dobrosąsiedzką polityką pana Lee. Przekracza barierę dźwięku. Robi w okolicy hałas.

66

- Kruk – woła Hiro. – Opowiem ci pewną historię, zanim cię zabiję.
- Z chęcią posłucham – mówi Kruk. – Mamy przed sobą długą drogę.

Wszystkie pojazdy poruszające się w Metawersie wyposażone są w wokofony. Hiro zadzwonił najpierw do siebie, do Bibliotekarza i kazał mu odnaleźć numer Kruka. Potem zadzwonił do Kruka.

Jadą jeden za drugim po czarnej powierzchni nierzeczywistej planety. Hiro niezauważenie zbliża się do Kruka. Metr po metrze.

– Mój tata służył w wojsku podczas drugiej wojny światowej. Skłamał na komisji, podając wiek, tak bardzo mu zależało, żeby się dostać. Wysłali go na Pacyfik do zwiadu. W końcu trafił w ręce Nippończyków.

– I?

– I zawieźli go do Nipponu. Wsadzili do obozu jenieckiego. Było tam mnóstwo Amerykanów, trochę Anglików i Chińczyków. I paru gości nie wiadomo skąd. Wyglądali jak Indianie. Mówili po angielsku, ale jeszcze lepiej po rosyjsku.

– Aleuci – mówi Kruk. – Obywatele amerykańscy, ale nikt nigdy o nich nie słyszał. Większość ludzi nie wie, że podczas wojny Japończycy zdobyli amerykańskie terytoria... kilka wysp na samym końcu Archipelagu Aleuckiego. Wysp, na których mieszkali ludzie. Mój lud. Japończycy zabrali dwóch najważniejszych Aleutów i wsadzili ich do obozu jenieckiego w Japonii. Jednym z nich był burmistrz Attu... najważniejszy przedstawiciel władzy cywilnej. Drugi był jeszcze ważniejszy, ale dla nas, Aleutów. Był to najlepszy harpunnik całego ludu...

– Burmistrz rozchorował się i umarł – mówi Hiro. – Brakowało mu odporności. Ale harpunnik był twardym skurczybykiem. Parę razy chorował, ale przeżył. Pracował razem z innymi na polach, sadząc ryż dla wojska. Pracował też w kuchni, gotując żarcie dla jeńców i strażników. Trzymał się na uboczu. Zresztą wszyscy go unikał, bo śmierdział jak jasna cholera. Zasmrodził całe baraki.

– Gotował truciznę na wieloryby z tojadów i grzybów, które rosły na polach. Chował ją po kieszeniach – mówi Kruk.

– Poza tym – ciągnie Hiro – wszyscy byli na niego wkurwieni, bo wybił kiedyś szybę w baraku i przez całą zimę wiało im z dworu. Tak czy inaczej, któregoś dnia strażnicy bardzo się rozchorowali.

– Trucizna na wieloryby w zupie rybnej – mówi Kruk.

– Jeńcy byli już na polach, pracowali przy ryżu i nagle wszystkim strażnikom zrobiło się niedobrze. Zaczęli ich pędzić z powrotem do baraków, bo nie mogli ich przecież pilnować, zwijając się z bólu. Działo się to już pod koniec wojny i w Japonii brakowało żołnierzy, nie mogli więc liczyć, że ktoś ich zmieni. Mój ojciec szedł jako ostatni w kolumnie jeńców, a przed sobą miał właśnie tego Aleuta.

– Gdy jeńcy przechodzili przez rów nawadniający – mówi Kruk – Aleut skoczył do wody i zniknął.

– Mój ojciec nie miał pojęcia, co robić – mówi Hiro. – Nagle usłyszał charczenie strażnika, który pilnował ich z tyłu. Odwrócił się i zobaczył, że strażnik przebity jest bambusową tyczką. Na wylot. Nie wiadomo, kto rzucił tyczką. Wyglądało tak, jakby spadła z nieba. Aleut – myślał ojciec – nie mógł tego zrobić, bo nigdzie nie było go widać. Widocznie zwiął. I wtedy padł kolejny strażnik. Z poderżniętym gardłem. Aleut stał za nim i właśnie robił zamach, żeby przebić tyczką trzeciego strażnika.

– Robił potajemnie harpunny i ukrywał je w rowie – mówi Kruk.

– Mój ojciec – mówi dalej Hiro – zrozumiał wtedy, że jest już trupem. Że bez względu na to, co powie, Japońce i tak uznają, że brał udział w spisku i przygotowaniach do ucieczki. Obetną mu głowę. Więc nie namyślając się wiele, wyrwał broń najbliższemu strażnikowi, wskoczył do rowu i położył trupem paru Japońców, którzy nadbiegali od przodu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Aleut – odpowiada Kruk – pobiegł pod ogrodzenie. Nic nie warty płotek z bambusa. Za płotem miało być podobno pole minowe, ale przebiegł przez nie bez najmniejszej szkody. Miał albo dużo szczęścia, albo

miny – jeśli w ogóle tam były – nie miały zapalników.

– Japończycy nie przejmowali się specjalnie zabezpieczeniem obozu – mówi Hiro – bo Japonia leży na wyspach, więc nawet gdyby ktoś uciekł, to i tak nie miałby dokąd pójść. Wyróżniałby się w każdym tłumie...

– Ale Aleut zaryzykował – mówi Kruk. – Wiedział, że jeśli dotrze do brzegu morza, zbuduje sobie kajak. W kajaku z łatwością opłynie wybrzeże Japonii, a potem, skacząc z wyspy na wyspę, wróci do swoich.

– Zgadza się – mówi Hiro. – Nie wiedziałem, jak to jest możliwe, dopóki nie zobaczyłem cię na otwartym morzu... jak doganiałeś motorówkę. Pojąłem wtedy, że twój ojciec nie był szalony, że miał całkowicie wykonalny plan.

– Tak, ale twój ojciec tego nie rozumiał.

– Mój ojciec pobiegł za twoim ojcem przez pole minowe. Byli wolni... w Nipponie. Twój ojciec zaczął schodzić z gór. Szedł ku morzu. Mój ojciec wykombinował, że bezpieczniej będzie iść wyżej i ukryć się w górach. Przeczekać do końca wojny.

– To był głupi pomysł – mówi Kruk. – W Japonii mieszka dużo ludzi na stosunkowo niewielkim obszarze. Nie można ukryć się tak, żeby nikt tego nie zauważył.

– Mój ojciec nie wiedział nawet, czym jest kajak.

– Niewiedza nie jest żadnym wytłumaczeniem – mówi Kruk.

– Spór – podobny do tego, który prowadzimy teraz – przyczynił się do ich porażki. Nipponczycy złapali ich przy drodze do Nagasaki. Nie mieli nawet kajdanków, więc związali im ręce sznurówkami i kazali uklęknąć twarzą do siebie na drodze. Ich porucznik wyciągnął miecz z pochwy. Bardzo stary miecz. Porucznik pochodził z dumnego samurajskiego rodu i musiał służyć na tyłach dlatego, że na początku wojny mina urwała mu nogę. Uniósł miecz nad głową mojego ojca...

– Gdy unosił miecz, w powietrzu rozległ się świst – mówi Kruk – od którego aż zabolalo ojca w uszach...

– Ale miecz nie opadł.

– Mój ojciec – mówi Kruk – widział, co twój ojciec ma pod skórą. Widział jego kości. To była ostatnia rzecz, jaką w ogóle widział...

– Mój ojciec siedział tyłem do Nagasaki – mówi Hiro. – Ale światło też go oślepiło. Upadł twarzą naprzód i leżał tak, dopóki światło nie zgasło. Potem wszystko wróciło do normy.

– Oprócz tego, że mój ojciec oślepl – mówi Kruk. – Słyszał, jak twój ojciec walczy z porucznikiem.

– Była to walka pomiędzy ślepym, jednonogim samurajem uzbrojonym w katana, a zdrowym, rosnącym mężczyzną z rękami związanymi na plecach – mówi Hiro. – Ciekawe, jak to wyglądało... Ciekawe, czy było sprawiedliwe... W każdym razie mój ojciec zwyciężył. I to był koniec wojny. Po kilku tygodniach w Japonii wylądowały siły okupacyjne. Mój ojciec wrócił do domu, wałęsał się to tu, to tam, i w końcu, w latach siedemdziesiątych, zdecydował się ustatkować. Urodził mu się syn, tak jak twojemu ojcu...

– Amchitka, 1972 roku – mówi Kruk. – Mój ojciec przeżył to dwa razy. Dwa razy go zbombardowaliście, skurwysyny...

– Rozumiem, co czujesz – mówi Hiro. – Ale nie sądzisz, że pomściłeś go już po stokroć? Wystarczy, Kruk!

– Nie wiem, co znaczy „wystarczy” – odpowiada Aleut.

Hiro dodaje gazu, zbliża się do Kruka z wysoko uniesioną katana. Kruk, który widzi go w bocznym lusterku, wyciąga rękę i paruje cięcie długim nożem, który pojawił się nagle w jego dłoni. Zamyka gaz, ale nie całkiem, i skręca między najbliższe słupy. Hiro wyprzedza go o dobre pół mili, po czym zwalnia za mocno i widzi sylwetkę Kruka wyprzedzającą go po drugiej stronie jednotorówki. Hiro dodaje gazu i wjeżdża w pierwszą szczelinę między słupami. Za późno. Kruk jest już pod drugiej stronie.

I tak to wygląda. Ścigają się po Ulicy, jadąc slalomem między słupami, kręcąc wspólnie ósemki pod linią jednotorówki. Gra jest prosta. Krukowi chodzi o to, by Hiro wpadł na słup. To całkiem wystarczy, by oddalić się od niego na bezpieczną odległość, by zniknąć mu z widoku. Później żadna siła nie zdoła go odnaleźć.

Gra jest łatwiejsza dla Kruka niż dla Hiro. Ale Hiro jest w niej lepszy, co mniej więcej wyrównuje szanse. Jadą slalomem pod jednotorówką z szybkością od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy mil na godzinę. W oddali i wokół nich pojawiają się niskie budynki centrów handlowych i laboratoriów, magazynów i parków rozrywki. Dalej jest już tylko Śródmieście lśniące na czarnym niebie jak *aurora borealis* nad Morzem Beringa.

Pierwszy pun trafia w brzuch helikoptera, gdy lecą nisko nad doliną. D.U. czuje go bardziej, niż słyszy. Zna ten słodki odgłos tak dobrze, że rozpoznaje go w każdych okolicznościach niczym superczuły sejsmograf wykrywający trzęsienia ziemi po drugiej stronie globu. Po pierwszym, w poszycie helikoptera uderza tuzin innych, jeden po drugim. D.U. z całych sił powstrzymuje się, by nie wyjrzeć przez okno. Jasna sprawa. Brzuch ruskiego mamuta wykonany jest z dobrej, radzieckiej stali. Chwyta puny jak dzik kleszcze. I będzie dalej chwycił, bo muszą lecieć nisko ze względu na radary wujka Enzo.

D.U. słyszy, jak z przodu trzeszczy radio.

– W górę, w górę, Sasza – mówi chrapliwy głos. – Łapiesz pasożyty.

Wygląda przez okno. Drugi helikopter, nieduża korporacyjna wałka, cała z aluminium, leci obok nich, może trochę wyżej. Wszyscy pasażerowie wyglądają przez okna, wbijając wzrok w jezdnię pod nimi. Wyjątkiem jest Kruk. Kruk dalej surfuje po Metawersie.

Kurwa. Pilot zwiększa wysokość.

– Dobra, Sasza. Zgubiłeś ich – mówi radio. – Ale ciągniesz za sobą te ich sznurki. Uważaj, żeby się w coś nie wplątać. Te kable są mocniejsze od stali!

D.U. więcej nie trzeba. Otwiera drzwi helikoptera i wyskakuje na zewnątrz.

Tak to przynajmniej wygląda z punktu widzenia tych, którzy siedzą w kabinie. D.U. nie popełnia jednak samobójstwa. Chwyta klamkę drzwi i zwisa z nich, kołysząc się w powietrzu. Opuszcza głowę i zagląda pod brzuch helikoptera. Kilka punów wciąż trzyma się mocno. Trzydzieści stóp niżej lecą rączki rozwiewane przez wiatr. Podnosi głowę. Słyszy wrzeszczącego Rife'a, chociaż go nie widzi. Rife siedzi obok pilota i drze się: – Na dół, kurwa, na dół!

Właśnie na to liczyła. Bycie zakładnikiem działa w obie strony. Martwa na nic nie przyda się Rife'owi. Dlatego Bob stara się mieć ją przy sobie w jednym kawałku.

Helikopter znów traci wysokość. Zbliża się do podwójnego pasa logio wytyczającego aleję poniżej. D.U. buja się na drzwiach, w końcu wychyla się tak daleko, że chwyta jeden z kabli nogą.

Następny popis będzie bolał jak jasna cholera. Ale gruba tkanina kombinezonu powinna zapobiec utracie całej skóry. Widok Tony'ego wychylonego do połowy z kabiny, próbującego ją złapać za rękaw, wzmacnia jej naturalną predyspozycję do nieroztrząsania ewentualnych konsekwencji swych działań. Puszczą jedną ręką drzwi i chwyta kabel, owija go wokół rękawicy, po czym uwalnia całkowicie drzwi od swego ciężaru.

Miała rację. Boli jak jasna cholera. Gdy kołysze się pod brzuchem maszyny poza zasięgiem łapska Tony'ego, coś chrupie jej w dłoni – pewno jakaś mała kosteczka. Okręca się kablem wokół ciała – w taki sam sposób, w jaki okręcił ją Kruk, gdy spuszczała się razem ze statku – i zjeżdża na dół, kontrolując szybkość, choć skóra piecze ją jak przypalana.

Na dół, czyli do rączki. Przyczepia ją sobie do pasa – tak, by nie oderwać się całkiem od macierzystego statku – i przez dobrą minutę rzuca się w powietrzu, rozwijając się z kabla. W końcu wisi na nim, zaczepiona tylko na rączce, i okręca się w kółko między helikopterem a ulicą. W całkiem nie kontrolowany sposób. Chwyta rączkę oburącz i odczepia ją od pasa. Znów wisi na rękach – i właśnie o to chodziło w tym ćwiczeniu. Kręcąc się, widzi drugi helikopter – raz z lewej, raz z prawej strony. Widzi zdumione oczy pasażerów i wie, że wszystkie ewolucje opisywane są dokładnie drogą radiową Rife'owi.

Jasne, że tak. Helikopter zwalnia o połowę i jeszcze bardziej zniża lot.

Naciska guzik na rączce i rozwija linę na całą długość. Opada o całe dwadzieścia stóp w jednej podniecającej chwili. Teraz leci na wysokości dziesięciu, piętnastu stóp nad autostradą z szybkością nie większą niż czterdzieści pięć mil na godzinę. Reklamy po obu stronach szosy uciekają do tyłu jak meteory. Ruch jest niewielki, za to na drodze roi się od Kurierów.

Helikopter ZATER obniża lot. Podchodzi niebezpiecznie blisko. D.U. podnosi głowę i przez jedną, krótką sekundę widzi twarz Kruka wpatrującego się w nią przez okno. Kruk ma gogle na czole, właśnie ściga je na dół. Widać nie ma czasu podziwiać jej akrobacji, ale to, co D.U. wyczytała w jego twarzy, wystarczy jej za cały komentarz. Kruk wcale nie jest na nią wkurwiony. Kruk jest w niej zakochany.

D.U. puszcza rączkę i zaczyna spadać. W tej samej chwili ciągnie za kółko połączone sznurkiem z kołnierzem kombinezonu. We wnętrzu uniformu zostają zdetonowane małe ładunki gazowe, umieszczone we wszystkich strategicznych punktach. D.U. wygląda teraz jak spadająca z nieba reklama Michelina. Największy ładunek wybucha jak granat zaczepno-obronny wokół jej szyi. Kołnierz zamienia się w cylindryczną poduszkę gazową, otulającą szczelnie głowę ze wszystkich stron. Inne poduszki chronią jej tors i biodra, sztywniejąc nieco wokół kręgosłupa. Stawy D.U. na co dzień chronią poduszki z cerzożelu.

Nie znaczy to, że niczego nie czuje podczas lądowania. Nie ma pojęcia, co się z nią dzieje, ze względu na poduszkę wokół głowy, ale czuje, że odbija się od podłoża przynajmniej z dziesięć razy. Potem sunie przez jakieś ćwierć mili, zajeżdżając drogę samochodem. Słyszy pisk opon i klaksony trąbiące nie wiadomo po co. Kończy jazdę, wbijając się pupą w czyjaś przednią szybę. Ostatecznie zatrzymuje się na przednim siedzeniu. Samochód natomiast ostatecznie zatrzymuje się na balustradzie. Gdy wszystko zamiera, poduszki automatycznie wypuszczają powietrze. D.U. odgarnia zwoje materiału z twarzy.

Dzwoni jej w uszach albo coś w tym rodzaju. Niczego nie słyszy. Może od gazowych wybuchów

popękały jej bębrenki?

Innym powodem, dla którego nie słyszy, może być bliskość wielkiego helikoptera, który ma niezwykle dar robienia hałasu. D.U. wyczołguje się na maskę samochodu, rysując lakier odłamkami bezpiecznego szkła.

Wielki sowiecki helikopter Rife'a jest już na swoim miejscu; wisi dwadzieścia stóp nad aleją, a z jego brzucha zwisają kolejne puny. Wędruje wzrokiem za kablami, które kończą się na poziomie ulicy. Tym bardziej, że wiszą na nich Kurierzy, którzy tym razem nie mają zamiaru dać za wygraną.

Rife zaczyna coś podejrzewać i helikopter wznosi się ciężko do góry, podnosząc Kurierów z desek. Nadjeżdża półciężarówka, za którą przybywają kurierskie posiłki w liczbie mniej więcej stu osób. D.U. nie może się nadziwić, jak ten niewielki w sumie pojazd poradził sobie z całą kompanią rolników! Po kilku sekundach setka MagnaPunów frunie w powietrzu i połowa za pierwszym razem trafia w miękkie podbrzusze potwora. Helikopter opada w dół, wszyscy Kurierzy znów są na ziemi, z tym, że teraz jest ich przynajmniej o dwudziestu więcej. Ci, którzy nie mają swoich kabli, chwytają za puny innych. Helikopter próbuje się wznieść. Bezskutecznie. Ponawia próby. Wygląda na to, że jest na dobre przygwożdżony do asfaltu.

Obniża lot. Opada. Kurierzy rozbiegają się na wszystkie strony. Helikopter ląduje w środku promienistego wybuchu kabli.

Tony, szef ochrony, wysiada jako pierwszy. Porusza się bardzo wolno, wysoko unosi nogi nad płataniną kabli, zachowuje jednak równowagę i godność. Odchodzi od helikoptera. Jest już poza zasięgiem wirników. Wyciąga spod kurtki Uzi i puszcza krótką serię w powietrze.

– Odpierdolicie się od naszego helikoptera – krzyczy.

Kurierzy w większości stosują się do wskazówki. Nie są głupi. D.U. stoi już bezpiecznie na ziemi, misja dobiega końca, kod został odwołany, nie ma potrzeby denerwować gości wymachujących bronią. Jeden po drugim, odczepiają puny od brzucha helikoptera i zwijają kable.

Tony rozgląda się. Odnajduje wzrokiem D.U., która idzie prosto w jego stronę. W stronę helikoptera. Rusza się ociężale, jak przystało osobie, która spadła z czwartego piętra.

– Wracaj do helikoptera, ty głupia suko! – wrzeszczy Tony.

D.U. podnosi z ziemi rączkę jednego z punów, po który nikt się nie zgłosił. Naciska guzik zwalniający elektromagnes. Głowica puna odpada od helikoptera. D.U. zwija kabel. Kończy, gdy głowicę od rączki dzieli jakieś cztery stopy.

– Czytałam kiedyś o takim gościu, Ahabie – mówi, zaczynając kręcić kablem nad głową. – Owinął kablem swojego puna rzecz, którą chciał spłacić. Popękał duży błąd...

Pozwala punowi lecieć. Głowica mija płaszczyznę wirnika, przecina ją przez środek. D.U. widzi, jak niezrywalny kabel zaczyna okręcać się wokół delikatnych części osi wirnika niczym garotta wokół szyi baleriny. Widzi twarz Saszy za przednią szybą. Pilot przekłada gorączkowo jakieś dźwignie, rzuca się na przełączniki, klnie bezgłośnie po rosyjsku. Wypuszcza rączkę puna, która znika między łopatami, jakby wciągnęła ją czarna dziura.

– Nie to, co niektórzy ludzie – kończy. – Trzeba zawsze wiedzieć, kiedy zwolnić pun. Odwraca się i odchodzi od helikoptera. Słyszy, jak za jej plecami zgrzytają straszliwie duże kawałki metalu wyrwane z piast i łożysk, trące o siebie z dużą, bardzo dużą prędkością.

Rife pojął, co się stanie, już dawno temu. Teraz biegnie środkiem drogi z karabinem maszynowym w rękę. Próbuje wymusić darmową przejażdżkę. Nad głową ma helikopter ZATER, który nie wie, co robić dalej. Rife macha do niego rękami i krzyczy: – Na LAX! Leć na LAX!

ZATER po raz ostatni zatacza koło, przygląda się, jak Sasza wydaje wannie rozkaz: „Maszyny stop”, jak rozwścieczeni Kurierzy rzucają się na Tony'ego, Franka i prezydenta, jak rozbijają ich po kolei. Przygląda się, jak Rife, stojący na środku drogi, zmusza do zatrzymania się samochód dowożący pizzę CosaNostra, jak wyrzuca kierowcę i siada za kierownicą. Jediną osobą, która tego nie widzi, jest Kruk. Kruk patrzy w drugą stronę, tam gdzie stoi D.U. Gdy helikopter ZATER pochyła dziób do przodu i przyspiesza, lecąc na lotnisko, Kruk uśmiecha się i pokazuje D.U. wzniesiony kciuk. D.U. przygryza dolną wargę i pokazuje mu palec. Ma nadzieję, że to zakończy ich znajomość po wsze czasy.

Potem pożyczka deskę od pierwszego lepszego frajera i jedzie ulicą do najbliższego Kup & Siup. Musi zadzwonić do mamy. Musi poprosić ją, żeby zawiozła ją do domu.

Hiro gubi Kruka kilka mil przed Śródmieściem, ale w tej chwili nie ma to już najmniejszego znaczenia. Jedzie prosto na plac, gdzie zbierają się hakerzy, i zaczyna krążyć z dużą prędkością wzdłuż krawędzi amfiteatru, niczym strażnik na czatach. Kruk pojawia się po kilku sekundach. Hiro kończy czaty i skręca w jego stronę. Zbliżają się do siebie jak rycerze podczas średniowiecznego turnieju. Hiro traci lewą rękę, a Kruk gubi nogę. Obcięte członki spadają na ziemię. Hiro rzuca katanę i jedyną ręką, jak mu pozostała, sięga

po wakizashi, które jest lepszą odpowiedzią na długi nóż Kruka. Odcina Krukowi drogę, gdy ten dodaje gazu, by przeskoczyć krawędź amfiteatru; zmusza go do ostrego skrętu. Szybkość wynosi Kruka pół mili dalej w przeciągu pół sekundy. Hiro ściga go, polegając na swej znajomości terenu – w końcu zna to miejsce, tak jak Kruk aleuckie cieśniny – i znajduje na wąskich uliczkach centrum finansowego Metawersu. Pędzą obok siebie, wymachując ostrzami, tnąc i kawałkując setki ubranych w garnitury w prążki awatarów, które wchodzą im w drogę.

Ale jakoś nie mogą zrobić sobie krzywdy. Poruszają się zbyt szybko, stanowią dla siebie zbyt mały cel. Hiro, jak dotąd, ma więcej szczęścia – udało mu się wciągnąć Kruka w pułapkę współzawodnictwa, odwrócić jego uwagę od zasadniczego celu. Kruk nie musi z nim walczyć. Z łatwością mógłby przedostać się do amfiteatru, nie troszcząc się o to, czy Hiro żyje, czy nie.

Wreszcie idzie po rozum do głowy. Chowa nóż do pochwy i znika w wąskim zaułku między wieżowcami. Hiro zawraca, lecz nim wjeżdża w zaułek, po Kruku nie ma już ani śladu.

Hiro przeskakuje krawędź amfiteatru, jadąc z szybkością kilkuset mil na godzinę i zawisa w powietrzu; leci nad głowami dwustu pięćdziesięciu tysięcy wyjących z radości hakerów.

Wszyscy znają Hiro. Hiro to facet z mieczami. Kumpel Da5ida. Widać, postanowił – jako osobisty wkład w sprawę – odbyć walkę na miecze z jakimś olbrzymim, przerażającym wyglądającym demonem na motocyklu. Nie rozłączaj się, koleś. Najlepsze dopiero przed nami.

Łąduje na scenie tuż obok swego motocykla. Silnik wciąż pracuje, ale maszyna jest tu bezużyteczna. Kruk stoi w odległości dziesięciu metrów i uśmiecha się wyzywająco.

– Bomba w górę! – krzyczy Kruk. Wyciąga błękitne jajo z wózka motocykla i jedną ręką rzuca je w sam środek amfiteatru. Jajo rozbija się, odpadają od niego lśniące sinawo skorupy. W środku pojawia się światło, coraz silniejsze, nabierające kształtu.

Tłum szaleje.

Hiro biegnie w kierunku jaj. Kruk staje na jego drodze. Nie może chodzić, bo stracił nogę, ale wciąż siedzi na motorze. Wyciąga długi nóż. Dwa ostrza krzyżują się nad jajem, z którego wydobywa się wir oślepiającego i ogłuszającego tornada światła i dźwięku. Kolorowe kształty, zniekształcone olbrzymią prędkością, wystrzeliwiają ze środka, zajmują pozycje nad głowami widzów, tworzą trójwymiarowy obraz.

Hakerom odjechało do reszty. Hiro wie, że Kwadrant Hakerów w Czarnym Słońcu świeci teraz pustkami. Wszyscy biegną do wyjścia i tłoczą się na ulicy, pędząc w kierunku placu. Nie mogą przecież stracić wspaniałego pokazu światła, dźwięku, mieczy i magii przygotowanego przez Hiro.

Kruk próbuje odepchnąć go od jaja. W rzeczywistości z pewnością dokonaby tego, ma przecież ogromną przewagę siły fizycznej. Ale wszystkie awatary są jednakowo silne, chyba że podrasuje się je w specjalny sposób. Kruk pcha Hiro, a potem podstawia nóż, by obciąć mu głowę od tyłu, gdy będzie padał na ziemię. Ale Hiro nie pada na ziemię. Wie, gdzie jest ręka z nożem, i obcina ją bez zastanowienia. Potem, na wszelki wypadek, obcina Krukowi drugą rękę. Tłum ryczy z zachwytem.

– Jak to zatrzymać? – pyta Kruka.

– Pytaj kogo innego. Ja tylko dostarczam towar – mówi Kruk.

– Czy wiesz, co przed chwilą zrobiłeś?

– Jasne. Spełniłem swoje życiowe marzenie – odpowiada Kruk z szerokim uśmiechem na ustach. – Zrzuciłem bombę na Amerykę.

Hiro obcina mu głowę. Tłum skazanych na zagładę hakerów wstaje z miejsc i piszczy.

Nagle zapada cisza, bo Hiro znika. Przełączył się i jest teraz małym, niewidzialnym awatarem. Szybkuje w powietrzu nad rozrzuconymi skorupami jaja, siła ciężenia kieruje go w sam środek dawnej elipsoidy. Spadając, Hiro mówi do siebie: – ZamiecioSkan...

Napisał ten program, nudząc się na trawie ratunkowej. ZamiecioSkan szuka Zamieci.

Gdy Hiro Protagonista znika ze sceny, tłum kieruje swoją uwagę na gigantyczną konstrukcję wyrastającą z jaja. Wszystkie te bzdury z walką na miecze były zapewne wstępem do zasadniczej części koncertu, typowym wygłupem Hiro przyciągającym uwagę. Główną atrakcją wieczoru jest pokaz świateł i dźwięków. Amfiteatr wypełnia się gwałtownie. Nadciągają tłumy hakerów z całego Metawersu; biegną Ulicą od strony Czarnego Słońca; przepychają się wąskimi uliczkami oddzielającymi wieżowce, w których mają swoje siedziby główne firmy komputerowe; wchodzą do Metawersu ze wszystkich rejonów kuli ziemskiej, bo wiadomość o niezwykłym pokazie obiega planetę z szybkością światła po światłowodowych przewodach.

Pokaz świateł zaprojektowano jakby z myślą o spóźnialskich. Fałszywe zwieńczenia następują jedno po drugim niczym w barokowym pokazie sztucznych ogni, a każde z nich jest lepsze od poprzedniego. Pokaz jest tak olbrzymi i skomplikowany, że każdy z obecnych widzi nie więcej niż 10 procent całości. Można by spędzić rok na jego oglądaniu i za każdym razem dostrzec coś nowego.

Hakerzy mają przed sobą wysoką na milę konstrukcję ruchomych dwu – i trójwymiarowych obrazów przenikających się w przestrzeni i czasie. Są tu filmy Leni Riefenstahl, rzeźby Michała Anioła i ożywione konstrukcje samego Leonarda. W środku toczą boje myśliwce z czasów drugiej wojny światowej, co chwila

któryś z nich wypada nad głowy widzów, strzela długimi seriami, wybucha kulą ognia. Sceny z tysięcy klasycznych filmów płyną i nakładają się na siebie, tworząc przedziwną, nieodgadnioną, skomplikowaną historię.

Z czasem wszystko upraszcza się do wąskiej, pojedynczej kolumny jasnego światła. Motorem pokazu staje się teraz muzyka: dudniący basowy rytm i głębokie, groźne ostinato, które przygotowuje widzów do tego, co ma się wydarzyć. Wszyscy zamierają. Czekają w niemal religijnym skupieniu.

Kolumna światła porusza się w górę i w dół, przybierając kształt ludzkiej postaci. Nie! Czterech postaci nagich kobiet stojących ramię w ramię twarzami na zewnątrz, jak kariatydy. Każda z nich trzyma w ręku długi i wąski przedmiot, coś w rodzaju rury.

Jedna trzecia miliona hakerów patrzy na kobiety górujące nad sceną, unoszące ramiona nad głowami, rozwijające cztery zwoje. Każdy zwój zamienia się w płaski telewizyjny ekran o powierzchni boiska piłkarskiego. Ekran przesłaniają niebo tym, którzy siedzą w fotelach. Nie ma sposobu, by ktokolwiek z obecnych przeoczył to, co się na nich dzieje.

Ekran są początkowo puste. I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawia się na nich ten sam obraz; obraz składający się ze słów:

GDYBY TO BYŁ WIRUS
BYLIBYŚCIE JUŻ MARTWI
NA SZCZĘŚCIE TO NIE JEST WIRUS
ALE
METAWERS JEST NIEBEZPIECZNYM MIEJSCEM
CZY ZADBALIŚCIE O SWOJE BEZPIECZEŃSTWO?
ZADZWOŃCIE DO HIRO PROTAGONISTY I
I JEGO WSPÓLPRACOWNIKÓW,
PROŚCIE O NIEODPŁATNĄ WSTĘPNĄ KONSULTACJĘ

69

– Tego rodzaju technologiczne nowinki nigdy się nie sprawdzały, gdy używaliśmy ich w Wietnamie – mówi wujek Enzo.

– Rozumiem pański punkt widzenia, ale od tamtej pory wiele się zmieniło w technice – odpowiada Ky, człowiek od inwigilacji w Zakładach Przemysłu Obronnego Nga. Ky ma na głowie słuchawki i rozmawia z wujkiem Enzo przez radio; jego van, pełen elektronicznego sprzętu, stoi zaparkowany ćwierć mili dalej w cieniu olbrzymiego magazynu przy lotnisku LAX. – Mam pod kontrolą cały obszar lotniska. Widzę je w trzech wymiarach przez metawersowy wyświetlacz. Wiem na przykład, że nie ma pan na szyi znaczków wojskowych z Wietnamu, które zwykł pan nosić. Wiem, że ma pan w kieszeni jednego megadolca i osiemdziesiąt pięć megacentów drobnych. Drobne trzyma pan w lewej kieszeni. W prawej kieszeni dostrzegam natomiast brzytwę. Wygląda bardzo elegancko...

– Zawsze byłem zwolennikiem klasycznego stylu golenia – mówi wujek Enzo.

– Nie rozumiem natomiast, po co panu ta deska na kółkach?

– To prezent dla D.U., która straciła swój środek lokomocji przed budynkiem GWKOO. Ale to długa historia...

– Sir, dostaliśmy meldunek z jednego z naszych franszulatów – mówi młody adiutant w firmowej kurtce Mafii. Jest zdyszany, biegł przez pas startowy z walkie-talkie w ręku. W zasadzie nie jest adiutantem. Mafia raczej nie stosuje paramilitarnych tytułów, ale wujek Enzo z jakiegoś powodu myśli o nim jako o adiutancie. – Drugi helikopter wylądował na parkingu jakieś dziesięć mil stąd. Rife zostawił tam nasz samochód i wsiadł do helikoptera. Teraz zbliżają się do nas.

– Wyślij kogoś po to porzucone auto. Aha, daj kierowcy wolne – mówi wujek Enzo.

Adiutant jest nieco zdziwiony, że wujek Enzo zajmuje się takimi drobiazgami. Czy wypada, by don jeździł wzdłuż autostrady i zbierał śmieci po swoich podwładnych? Kiwa z szacunkiem głową, bo dowiedział się czegoś ważnego: liczą się tylko szczegóły. Odwraca się i zaczyna mówić coś przez radio.

Wujek Enzo ma sporo wątpliwości co do tego faceta. To typ garniturowca, nadaje się do prowadzenia małego interesu, takiego jak franszulat Nowej Sycylii, ale brakuje mu elastyczności, jaką ma na przykład D.U. Przez takich jak on giną ideały Mafii. Wziął go tylko dlatego, że sytuacja zmienia się bardzo szybko i chce mieć adiutanta pod ręką. No i jeszcze dlatego, że stracił najlepszych ludzi na pokładzie „Kowloon”.

Ky zgłasza się przez radio.

– D.U. właśnie skontaktowała się z matką. Prosi ją o odwiezienie do domu. Życzy pan sobie posłuchać

ich rozmowy?

– Nie, jeśli nie ma to znaczenia taktycznego – odpowiada szorstko wujek Enzo.

Kamień z serca... Martwił się o D.U. Martwił się o jej kontakt z matką. Miał nawet zamiar porozmawiać z nią o tym...

Odrzutowiec Rife'a stoi już na podjeździe. Ma włączone silniki, czeka na pozwolenie wjazdu na pas startowy. W kokpicie siedzi dwóch pilotów. Jeszcze pół godziny temu byli to lojalni pracownicy L. Boba Rife'a. A potem zdarzyło się tak, że siedząc w samolocie, widzieli, jak wierni Rife'owi strażnicy, pilnujący hangaru, zginęli gwałtowną śmiercią, już to przez oderwanie głowy, już to przez podcięcie gardła. Widzieli też, jak ci, którzy nie zginęli, odrzucili broń, padli na kolana i poddali się. Pilot i drugi pilot złożyli zatem wiążącą ich na całe życie przysięgę wierności wujkowi Enzo i jego organizacji. Wujek Enzo mógł ich po prostu wywlec z samolotu i zastąpić swoimi ludźmi, ale tak jest lepiej. Dla wszystkich. Rife – jeśli jakimś cudem dotrze do samolotu – rozpozna pilotów i trochę się uspokoi. Wujek Enzo zaufa pilotom i złożonej przez nich przysiędze, o czym świadczy choćby to, że zostawił ich w kokpicie całkiem samych, bez nadzoru człowieka z Mafii. Piloci to doceniają. Wiedzą, co znaczy obowiązek. Gdyby złamali przysięgę, wujek Enzo byłby niepokieszony w dwojnásób. Bo teraz nie żywi do nich najmniejszych wątpliwości.

Ma natomiast sporo do zarzucenia przygotowaniom na samym lotnisku, które poczyniono w bardzo dużym pośpiechu. Problemem okazało się jak zwykle nieprzewidywalne zachowanie D.U. Nikt nie prosił jej o to, żeby skakała z helikoptera i uciekała Rife'owi. Wszyscy liczyli i byli przygotowani na negocjacje w późniejszym terminie, po powrocie Rife'a (wraz z D.U.) do jego kwatery głównej w Houston.

Ponieważ jednak sprawa z zakładnikiem rozwiązała się sama, wujek Enzo doszedł do wniosku, że Rife'a należy zatrzymać teraz, zanim znajdzie się u siebie w Houston. W tym celu rozkazał przegrupowanie znacznych sił i środków, i dokładnie w tej chwili kilkanaście mafijnych helikopterów i jednostek taktycznych zmienia miejsce położenia, i zmierza pośpiesznie w kierunku lotniska LAX. Tymczasem wujek Enzo jest tu niemal sam z paroma ochroniarzami i facetem od inwigilacji technicznej z organizacji Nga.

Lotnisko jest zamknięte. Zamknęła je Mafia, co wcale nie było trudne. Na początek na pasie startowym stanęło w poprzek kilka limuzyn marki Lincoln. Potem na wieży kontrolnej pojawiło się paru mężczyzn, którzy oznajmili wszystkim zainteresowanym, że za parę minut rozpocznie się tu wojna. Na LAX nie było tak cicho od czasów prehistorycznych. Wujek Enzo słyszy nawet delikatny szum fal rozbijających się na plaży odległej stąd o pół mili. Jest tu nawet przyjemnie. Można by rozłożyć grill.

Wujek Enzo współpracuje z panem Lee, a to z kolei oznacza pracę z Ngiem, który – choć bardzo kompetentny – ma technologiczny odchył, któremu wujek Enzo nie ufa. Wolałby mieć przy sobie zwykłego, wyszkolonego żołnierza w wypastowanych butach, uzbrojonego w dziewiątkę niż setkę tych elektronicznych cudów i przenośnych cudeniek oferowanych przez Nga.

Przyjeżdżając tutaj, wyobrażał sobie, że stanie do konfrontacji z Rifem na dużej, otwartej przestrzeni. Okazało się jednak, że będzie inaczej. Na lotnisku stoi kilkanaście korporacyjnych odrzutowców i helikopterów. W pobliżu znajdują się prywatne hangary – każdy z ogrodzonym parkingiem pełnym samochodów i innych wehikułów. Poza tym są dosyć blisko zbiornika, w którym przechowuje się lotniskowe zapasy paliwa. Oznacza to, że tuż pod nosem mają pajęczynę rur, przepompowni i hydraulicznych bajerów, wyrastającą wprost z ziemi. Pod względem taktycznym obszar ten ma więcej wspólnego z dżunglą niż z pustynią. Pas startowy i prowadzące doń dojazdy są oczywiście puste, choć między nimi bieżą rowy odpływowe, w których mogłaby się ukryć cała kompania żołnierzy. Jeśli lotnisko kojarzy się wujkowi Enzo z którymś z miejsc, w jakich przyszło mu walczyć, to z pewnością jest to wietnamska plaża: duży, odkryty obszar zamieniający się nagle w dżunglę. Wietnamskie plaże nie miały w sobie nic z nadmorskich kurortów.

– Helikopter zbliża się do granic lotniska – oznajmia Ky.

Wujek Enzo zwraca się do adiutanta: – Wszyscy zajęli pozycje?

– Tak jest, sir.

– Skąd wiesz?

– Zgłaszali się po kolei przed kilkoma minutami.

– To absolutnie nic nie znaczy. Co z tym samochodem z pizzą?

– Myślałem, że zajmę się nim później...

– Powinieneś wiedzieć, że w sytuacjach takich jak ta, robi się więcej niż jedną rzecz na raz.

Adiutant odwraca się zawstydzony i przerażony.

– Ky – mówi wujek Enzo. – Czy coś ciekawego dzieje się na obrzeżach?

– Absolutnie nic – odpowiada Ky.

– A może coś nieciekawego?

– Widzę kilku robotników obsługi lotniska.

– Skąd wiesz, że są to robotnicy obsługi, a nie przebrani żołnierze Rife'a? Sprawdzales im dokumenty?

– Żołnierze mają karabiny albo przynajmniej noże. Radar pokazuje, że ci ludzie są czysti. Choć bez przesady...

– Wywołuję po kolei naszych ludzi – melduje adiutant. – Ale są jakieś problemy z radiem.

Wujek Enzo obejmuje go ramieniem.

– Coś ci powiem, synu. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, wydawałeś mi się znajomy. Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem: młodego porucznika, który był przez pewien czas moim dowódcą w Wietnamie.

Adiutant jest wniebowzięty.

– Naprawdę, sir?

– Tak. Był bardzo młody, bystry, ambitny, wykształcony. Ale miał też pewne wady. Otóż cierpiał na wrodzoną niemożność zrozumienia naszej sytuacji w tym kraju. Był to taki psychiczny blok, jeśli wolisz. Ci z nas, którzy przeżyli pod jego dowództwem, doświadczali bardzo intensywnego uczucia frustracji. Sytuacja ta była wprost nieznośna i bardzo niebezpieczna, synu. Nie obawiam się takich stwierdzeń.

– I jak się skończyła, wujku Enzo?

– Na szczęście dobrze. Widzisz, pewnego dnia, synu, wziąłem na siebie obowiązek strzelenia mu z tyłu w łeb.

Oczy adiutanta wyglądają jak spodki, a twarz paraliżuje strach. Wujek Enzo w ogóle mu nie współczuje. Jeśli chłopak coś spieprzy, znowu zginą ludzie.

W radiu adiutanta odzywają się jakieś głosy.

– Wujku Enzo, sir... – mówi adiutant z ociąganiem.

– Słucham?

– Ten samochód z pizzą...

– Co z nim?

– Zniknął.

– Jak to zniknął?

– Wygląda na to, że ktoś wysiadł z helikoptera, gdy odbierali Rife'a. Człowiek ten musiał odjechać naszym samochodem.

– Dokąd pojechał?

– Nie wiemy, sir. Mieliśmy tam tylko jednego obserwatora, który pilnował Rife'a.

– Wyjmij tę słuchawkę z ucha – mówi wujek Enzo. – I wyłącz to radio. Potrzebne ci będą uszy.

– Uszy?

Wujek Enzo pochyla się i biegnie przez pas startowy ku małym odrzutowcom. Odstawia cicho deskę. Potem rozsznurowuje i zdejmuje buty. Zdejmuje skarpetki i wkłada je do butów. Z kieszeni wyjmuje brzytwę, otwiera ją i rozcina nogawki spodni od mankietu aż po sam krok. Następnie zwija materiał i obcina na samej górze. Ma owłosione nogi, a materiał, z którego uszyto garnitur, ociera się o włosy i trzeszczy.

– Mój Boże! – krzyczy adiutant zza innego samolotu. – Al... Al nie żyje!

70

Wujek Enzo nie zdejmuje na razie marynarki. Po pierwsze dlatego, że jest ciemno, a po drugie dlatego, że marynarka ma podszewkę z satyny i nie robi hałasu. Wspina się na skrzydło odrzutowca; nie chce, by jego nogi zobaczył ktoś klęczący na ziemi. Zamiera przy krawędzi skrzydła. Otwiera usta, żeby lepiej słyszeć.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszy w tej chwili, jest nierównomierne kapanie, jakby wody z nie dokręconego kurka. Odgłos dobiega chyba z sąsiedniego samolotu. Wujek Enzo obawia się, czy przypadkiem nie jest to paliwo przeciekające na ziemię. Ktoś mógł wpaść na pomysł wysadzenia w powietrze tej części lotniska i pozbycia się za jednym zamachem wszystkich przeciwników. Zeskakuje bezgłośnie na ziemię, ostrożnie przechodzi wokół samolotów i nadstawia ucha. Już go ma! Podnosi wzrok i widzi jednego ze swoich żołnierzy, przybitego dzidą do aluminiowego zbiornika z paliwem odrzutowca Lear. Z rany płynie krew, spływa nogawkami spodni do butów, a z nich skapuje na asfalt.

Gdzieś z tyłu słychać krótki krzyk zamieniający się w cichy wydech. Zna ten dźwięk. Wydaje go człowiek, któremu poderżnięto gardło. Zdaje się, że człowiekiem tym był jego nieszczęsny adiutant.

Ma teraz kilka sekund na swobodny ruch. Nie wie, kim jest jego przeciwnik, a powinien to wiedzieć. Biegnie w kierunku, z którego usłyszał krzyk, przeskakuje od jednego odrzutowca do następnego, porusza się zgięty.

Widzi dwie nogi, idąc po drugiej stronie samolotu. Jest na wysokości skrzydła. Wiesza się na nim obiema rękami, ciągnie całym ciężarem w dół i puszcza.

Działa: samolot kołysze się na zawieszaniu. Morderca myśli, że wujek Enzo właśnie wskoczył na skrzydło. Zatem wskakuje na skrzydło po przeciwnej stronie i czeka, leżąc oparty oabinę. Czekają, aż wujek Enzo przejdzie przez samolot i pojawi się po jego stronie.

Ale wujek Enzo wciąż stoi na ziemi. Biegnie pod zbiornikiem z paliwem bez najmniejszego hałasu, pochyla się i wylania po drugiej stronie. Z brzytwą w ręku. Zabójca – Kruk – jest tam, gdzie powinien być.

Ale Kruk zaczął coś podejrzewać. Schodzi ze skrzydła i zagląda w miejsce, z którego przyszedł wujek Enzo. Jego gardło jest poza zasięgiem brzytwy. Wujek Enzo ma przed sobą tylko jego nogi.

Zawsze lepiej być przezornym i brać, co się da, niż czekać na całą pulę i przegrać. Wujek Enzo wyciąga rękę i na oczach Kruka, który pojął już swój błąd, przecina mu lewe ścięgno Achillesa.

Wujek Enzo odwraca się, by przeciwnik widział jak najmniejszą część jego ciała, i w tej samej chwili czuje, że coś uderza go mocno w piersi. Spogląda na dół i widzi ze zdumieniem przezroczysty przedmiot wystający pod kątem prostym z jego klatki piersiowej. Gdy podnosi wzrok, twarz Kruka znajduje się o trzy cale od jego własnej.

Wujek Enzo cofa się od skrzydła. Kruk chciał na niego skoczyć, ale spada ciężko na ziemię. Enzo robi krok w przód, wyciągając rękę z brzytwą, ale Kruk siedzi już na asfalcie i ma w dłoni drugi nóż. Celuje w wewnętrzną stronę uda wujka Enzo i robi tam sporo szkód. Enzo cofa się przed ostrzem, które osłabiło jego atak, i zamiast w gardło, trafia Kruka w ramię. Cięcie jest krótkie, ale głębokie. Kruk odpycha rękę wujka Enzo zmierzając ponownie ku gardłu.

Obaj są ranni. Ale Kruk przestał być szybszy. Nadszedł czas na małe podsumowanie. Enzo zaczyna biec, choć z każdym krokiem czuje potworny ból przeszywający całe ciało. Coś uderza go w plecy... Ostry ból gdzieś nad nerką, ale tylko przez chwilę. Odwraca się i widzi zakrwawiony kawałek szkła rozbijający się o asfalt. Kruk rzucił nim w jego plecy. Ale ranny w ramię nie ma już takiej siły. Ostrze nie przeszło przez kuloodporny materiał i spadło na ziemię.

Szklane noże. Nic dziwnego, że Ky nie widział ich na radarze.

Wujek Enzo kryje się za samolotem, a w powietrzu słychać teraz dudnienie nadlatującego helikoptera.

Oczywiście, to Rife. Łąduje kilkadziesiąt metrów od samolotu. Grzmot wirników i podmuch łopat rezonują gdzieś pod czaszką wujka Enzo. Zamyka oczy przed wiatrem i traci równowagę. Nie ma pojęcia, co się z nim dzieje, póki nie uderza całym ciałem w asfalt. Asfalt jest śliski i mokry. Wujek Enzo wie, że traci wiele krwi.

Podnosi głowę. Widzi Kruka wlokącego się do samolotu, ciągnącego za sobą nogę, całkiem bezużyteczną. Kruk rezygnuje z niej i zaczyna skakać na tej, która mu została.

Rife wysiada z helikoptera. Rozmawia z Krukiem. Kruk pokazuje miejsce, w którym leży Enzo. Rife kiwa z zadowoleniem głową. Kruk odwraca się, błyska białymi zębami. Nie krzywi się, wyszczerza zęby w uśmiechu, wiedząc, co go teraz czeka. Skacze na jednej nodze w kierunku wujka Enzo, wyciągając po drodze kolejny szklany nóż. Skurwysyn, powybiłszy szyby na całej Alasce.

Chce dobić Enzo, a Enzo nie ma nawet sił, by się podnieść.

Rozgląda się, widzi tylko deskę na kółkach i parę drogich butów ze skarpetkami, stojących dwadzieścia stóp dalej. Nie może wstać, ale może się czołgać. Podciąga się na łokciach, wiedząc, że Kruk jest szybszy. Nawet na jednej nodze.

Spotykają się w wąskim przejściu między dwoma odrzutowcami. Enzo leży na brzuchu przewieszony przez deskę. Kruk stoi na jednej nodze, opierając się o skrzydło. W drugiej ręce trzyma szklany nóż. Enzo widzi teraz świat w czerni i bieli, jakby połączył się z nim przez tani terminal Metawersu. Kumpie w Wietnamie mówili, że tak jest, zanim umarli z upływu krwi.

– Mam nadzieję, że jesteś już po ostatnim namaszczeniu – mówi Kruk. – Bo nie ma czasu, żeby wzywać księdza.

– Nie trzeba nikogo wzywać – mówi wujek Enzo i z całej siły uderza pięścią w guzik oznaczony na desce jako WUPFU: Wąskostożkowy Ukierunkowany Projektor Fali Uderzeniowej Radiksu.

Wybuch o mało nie urywa mu głowy. Jeśli jakimś cudem przeżyje, już nigdy nie będzie słyszał. Wstrząs cuci go nieco. Podnosi głowę znad deski. Kruk stoi przed nim oszołomiony. Ma puste ręce. Z jego kurtki na ziemię sypią się miliony okruczków szkła.

Wujek Enzo przewraca się na plecy, wyciąga rękę z brzytwą.

– Osobiście wolę stal – mówi. – Może cię ogolić?

Rife widzi to wszystko i w mig pojmuje, co zaszło. No cóż, z chęcią zabawiłby tu jeszcze i poczekał na kolejne trupy, ale jest bardzo zajęтым człowiekiem. Musi wydostać się stąd, zanim reszta Mafii, Ngów, Lee'ów i wszystkich innych cholernych dupków tego świata zwali mu się na łeb z ciepłolubnymi raketami. Nie ma czasu czekać na kulawego Kruka, który dowlecze się, albo i nie, do samolotu. Rife podnosi kciuk ku kabinnie pilota i wchodzi po schodkach do odrzutowca.

Na dworze jest jasno. Rife rzuca za siebie ostatnie, pożegnalne spojrzenie. Jakaś milę dalej, przy zbiornikach z paliwem, wznosi się nad ziemią pomarańczowy płomień. Rośnie i rozwija się jak filmowana w zwolnionym tempie chryzantema. Widok jest tak zdumiewający, że Rife ociąga się przez chwilę.

W środku płomienia pojawia się jakiś kształt, a raczej zniekształcenie. Zostawia za sobą linearny ślad światła, jak kosmiczny promień przebijający się przez chmury. Kształt ów porusza się z taką mocą, że zostawia za sobą falę uderzeniową wyraźnie widoczną w płomieniu: jasny, rozszerzający się stożek, sto razy większy niż źródło, z którego pochodzi. Źródłem tym jest czarna, podobna do pocisku rzecz poruszająca się na czterech nogach, które obracają się zbyt szybko, by mogły być widoczne. Rzecz owa jest tak mała i tak szybka, że L. Bob Rife nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie to, że zmierza prosto w jego stronę.

Biegnie przez pajęczynę rur rozłożonych na wolnym powietrzu, rur, którymi dostarcza się paliwo do samolotów. Przeskakuje przez niektóre przeszkody, od innych odbija się metalowymi pazurami, otwierając je na wylot siłą swojego pędu, podpalając zawartość iskrami powstającymi tam, gdzie nogi dotknęły ziemi. Teraz chowa nogi pod siebie i szybuje w powietrzu przez nie mniej niż sto stóp, by wylądować na szczycie zakopanego do połowy zbiornika. Używa go jako wyrzutni do kolejnego skoku – długiej paraboli, która przenosi ją ponad ogrodzeniem oddzielającym zbiorniki z paliwem od właściwego lotniska. Ląduje na twardym podłożu i przyśpiesza do wściekłego galopu niosącego ją przez geometryczną doskonałość pasa startowego. Ściga ją długi jęzor płomieni ciągnący się leniwie z samego środka pożaru, zawijający się na siebie zgodnie z ruchem prądów wzbudzonych przez falę uderzeniową tego... tego stworzenia...

Coś każe L. Bobowi Rife'owi uciec z samolotu, który przecież jest bombą wypełnioną paliwem. Odwraca się i nie patrząc na ziemię – wzrok bowiem ma zajęty obserwacją potwora – stacza się i zsuwa po schodach.

Potwór jest małym, czarnym zwierzątkiem pędzącym nisko przy ziemi, widocznym głównie dzięki płomieniom, jakie za sobą ciągnie, i iskrom wydobywającym się spod jego łap. Teraz zwierzątko zmienia nieco kurs.

Nie pędzi już w kierunku samolotu, ale wyraźnie zmierza wprost na L. Boba Rife. Rife zmienia zdanie i wraca do samolotu, wskazując do góry po trzy stopnie naraz. Schody piszczą i trzęsą się pod jego ciężarem, co przypomina mu o kruchości samolociku.

Pilot już dawno zauważył to coś, co się zbliża. Nie czeka na schowanie schodów, by zwolnić hamulce. Odrzutowiec rusza po asfalcie, skręcając nosem w przeciwnym kierunku niż ten, z którego nadbiega to coś. Pilot dodaje gazu, o mało nie przewracając samolotu na skrzydło w zakręcie pod ostrym kątem. Zwiększa moc maksymalnie, gdy tylko widzi środkową linię pasa startowego. Teraz piloci widzą tylko to, co z przodu i po bokach. Nie mają pojęcia, co ich ściga.

D.U. jest jedyną osobą, która wie, co się stanie. Przed paroma minutami dostała się na lotnisko, machając na prawo i lewo przepustką Kuriera. Teraz jedzie na desce wzdłuż krawędzi lotniska, mając za sobą terminal towarowy. Z tego miejsca dokładnie widać pas startowy na całej jego długości. Z pewnością nie minie jej to, co się stanie, choć z góry wie, co będzie. Samolot ryczy, tocząc się po pasie, zamykając po drodze drzwi. Z wylotów silnika strzela błękitny płomień, pilot stara się nabrać szybkości przed startem. Fido goni samolot jak pies tłustego listonosza, po raz ostatni wznosi się w powietrze i zamieniając się w raketę Sidewinder, uderza nosem w wydech lewego silnika.

Odrzutowiec eksploduje dziesięć stóp nad ziemią. Jasny, oczyszczający płomień ogarnia Fido i L. Boba Rife'a wraz z jego wirusem.

Jak pięknie.

D.U. zatrzymuje się. Stoi przez chwilę, przyglądając się zamieszaniu, które zwała się na lotnisko wraz z pierwszymi helikopterami Mafii. Po asfalcie biegają doktorzy z podręcznymi apteczkami, przezroczystymi torebkami z krwią, noszami. Żołnierze Mafii nurkują między odrzutowcami, jakby kogoś szukali. Z jednego z parkingów wyjeżdża z piskiem opon samochód dowożący pizzę. W pościg za nim ruszają inne samochody Mafii.

Po chwili widok staje się nudny. D.U. wraca do głównego terminalu, przeważnie na własnych nogach, choć przez kawałek drogi ciągnie ją cysterna z paliwem.

Mama czeka na nią w swoim idiotycznym zielonym samochodziku obok punktu odbioru bagażu linii United, tak jak się umówiły przez telefon. D.U. otwiera drzwi auta, wrzuca do środka deskę i wskakuje na przednie siedzenie.

– Do domu? – pyta mama.

– Tak. Tylko do domu.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta powstała dzięki współpracy z grafikiem Tonym Sheederem. Naszym początkowym celem

było stworzenie powieści opartej na komputerowo generowanej grafice. Tony zajmował się stroną wizualną przedsięwzięcia, ja natomiast słowami. Książka ta niemal w całości składa się ze słów, ale jej niektóre aspekty mają swe źródła w moich rozmowach z Tonym.

Zamiec była powieścią bardzo trudną w pisaniu, dlatego wiele zawdzięczam pomocy i radom moich agentów: Liz Darhansoff, Chucka Verrilla i Denise Stewart, którzy czytali pierwsze szkice. Kolejnymi osobami, które przeczytały szkice, są Tony Sheeder i dr Steve Horst z Wesleyan University, który przedstawił mi obszerny i niezwykle przejrzysty komentarz dotyczący wszystkiego, co ma związek z mózgiem i komputerami (i który po godzinie czytania książki chwycił nagle jakiś wirus), a także mój szwagier, Steve Wiggins, pracujący obecnie na University of Edinburgh, który zapoznał mnie z Asherah i podrzucał mi cenne artykuły i cytaty, gdy miotalem się żałośnie po Bibliotece Kongresu.

Marco Kaltofen był jak zwykle moim encyklopedystą i jak Bibliotekarz odpowiadał na moje pytania z dziedziny ekologii. Richard Green, mój agent z LA, pomógł mi w niektórych aspektach topografii miasta.

Bruck Pollock przeczytał z uwagą i niezwykłą szybkością „szcztotki” powieść, dorzucając przy okazji kilka ciekawych sugestii. Był pierwszym i z pewnością nie ostatnim, który zwrócił mi uwagę, że skrót BIOS oznacza „Basic Input/Output System”, a nie „Built-In Operating System”, jak napisałem w powieści (bo uznałem, że tak jest lepiej). Uważam, że jako autor mam prawo wdępywać w ziemię wszystko, co przeszkadza mi w uzyskaniu zamierzonego celu literackiego, dlatego ten element książki pozostał w oryginalnej postaci.

Pomysł „rzeczywistości wirtualnej”, takiej jak Metawers, jest obecnie dosyć popularny, szczególnie wśród ludzi zajmujących się grafiką komputerową; pomysł ten jest eksploatowany na wiele różnych sposobów. Moja osobista wizja Metawersu, przedstawiona w powieści, wzięła się z dyskusji z Jaime'em (Captain Bandwidth) Taaffe'em – co nie znaczy, że ktokolwiek oprócz mnie ponosi winę za nierealistyczne lub nieestetycznie opisane elementy Metawersu. Terminy: „awatar” (w znaczeniu użytym w powieści) i „Metawers” są mojego autorstwa. Sam Metawers pojawił się wówczas, gdy doszedłem do wniosku, że istniejące wcześniej określenia w rodzaju „rzeczywistości wirtualnej” są niezbyt poręczne w użyciu.

Zastanawiając się nad konstrukcją Metawersu, posiłkowałem się tezami przedstawionymi w książce firmy Apple *Human Interface Guidelines*, która wyjaśnia filozofię kryjącą się za komputerem Macintosh. Podkreślam, że powołuję się na to wydawnictwo z wdzięczności za korzyści, jakie wyniosłem z lektury. Jej autorzy nie są w najmniejszym stopniu odpowiedzialni za rezultaty moich przemyśleń.

Dziwnym zrzędzeniem losu – o którym piszę tylko dlatego, że ma pewien związek z powieścią – dane mi było poznać tajniki Macintosha podczas pierwszych faz z góry skazanego na porażkę i nieco maniakalnego projektu stworzenia powieści graficzno-komputerowej, gdy stało się jasne, że jedynym sposobem na zmuszenie Maca do robienia tego, czego od niego oczekiwaliśmy, jest własnoręczne napisanie potrzebnych nam programów służących do obróbki obrazów. Wydaje mi się, że w okresie powstawania książki spędziłem więcej czasu na pisaniu programów niż nad pisaniem powieści; po zarzuceniu projektu graficznego, programy te i cała związana z nimi praca okazały się bezużyteczne.

Muszę wspomnieć również, że pisząc historię Babel, posługiwałem się materiałami wielu, naprawdę wielu historyków i archeologów, którzy prowadzili badania nad tym zagadnieniem. Większość słów wypowiedzianych przez Bibliotekarza pochodzi z owych opracowań. Mam nadzieję, że Bibliotekarz wywiązał się z obowiązku podawania źródeł, jak każdy dobry naukowiec, którym ja nie jestem.

Po pierwszym wydaniu *Zamieci* dowiedziałem się, że termin „awatar” był wykorzystywany przez kilka dobrych lat w systemie rzeczywistości wirtualnej o nazwie Habitat, stworzonym przez F. Randalla Farmera i Chipa Morningstara. System ten opracowano na komputery Commodore 64, które w Stanach Zjednoczonych są już na wymarciu, choć cieszą się pewnym wzięciem w Japonii. Oprócz awatarów Habitat ma wiele innych cech wspólnych z Metawersem opisanym w tej książce.